

LOTY W CISZY

JORGE REAL



LOTY W CISZY

JORGE REAL

Z hiszpańskiego przełożył
JERZY ZEBROWSKI



Tytuł oryginału:
LOS VUELOS DEL SILENCIO

Copyright © Jorge Real Sierra 2009
All rights reserved

Published by arrangement with Random House Mondadori S.A., Barcelona

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2013

Polish translation copyright © Jerzy Żebrowski 2013

Redakcja: Beata Słama

Ilustracje na okładce:
Mike Harrington/Photographer's Choice/Getty Images/Flash Press Media (*front*)
pzAxe/Shutterstock [*tył*]

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7885-608-5

Dystrybutor

Firma Księgarska Olesiejuk sp, z o.o. sp. k.-a.
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe
www.merlin.pl
www.fabryka.pl
www.empik.com

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

2013. Wydanie I

Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

Moim księżniczkom

*Przestałem wierzyć w Boga 30 lipca 1966 roku.
Wracałem do tego dnia tysiące razy.
Potrafisz dochować tajemnicy?
Oto moja tajemnica...*

1.

Mieszkaliśmy nad morzem w pięknym domu mojego dziadka, jednym z najstarszych na wyspie Margarita w Wenezueli. Mały rybacki port, noszący imię lokalnego bohatera, Juana Griego, był położony w malowniczej zatoce z białymi plażami i stanowił naturalną przystań dla niewielkich łodzi, które codziennie wypływały w morze. Przy końcu zatoki na szczycie wzgórza stał stary bastion z zardzewiałymi działami, które w dawnych czasach broniły zaciekle tej części wyspy.

Dom, znany jako Vista Hermosa, czyli Piękny Widok, zajmował cały kwartał i był dumą mojego dziadka. Miał czternaście pokoi, w tym salony, sypialnie, jadalnie i bibliotekę oraz wewnętrzne dziedzińce, i przypominał niewielki zamek, gdzie nie brakowało miejsca do spania, nauki i zabawy i gdzie z łatwością można było się ukryć, by uniknąć kary za dziecięce psoty. Z jego balkonów z wielkimi łukami i pokoi na górnym piętrze można było podziwiać całą zatokę, zachwycać się pięknymi zachodami słońca, słuchać nieustannego szumu fal i wdychać słone powietrze, które przynosiła morska bryza.

Mój ojciec, pracowity człowiek o prostych upodobaniach, uwielbiał moją matkę, kwiata zadufanego w sobie staroświeckiego rodu, którą poznał podczas studiów w stolicy. Kiedy wzięli ślub, mój dziadek wymógł na nich, by z nim zamieszkali. Dziadek, który podobnie jak mój ojciec uwielbiał morze, siadywał na tarasie i stamtąd, niczym król na tronie, pilnował nas, gdy

bawiliśmy się na plaży, i odpowiadał na pozdrowienia przechodzących chodnikiem ludzi.

Byłem małym chłopcem, gdy ojciec zabrał mnie pierwszy raz na ryby na południe wyspy. Skąły wchodziły tam w głąb morza i wystarczyło tylko usiąść na górze, zanurzyć wędki i czekać. W pobliżu znajdowało się lotnisko i z miejsca, w którym siedzieliśmy, górującego nieco nad otoczeniem, widać było i słyszeć startujące i lądujące samoloty. Ojciec zauważył, że interesują mnie bardziej niż na łowienie ryb, i powiedział:

– Jesteś podobny do mnie. Zawsze podobały mi się samoloty. Gdybym mógł wybrać inny zawód, może byłbym dziś lotnikiem.

Potem zamyślił się, spojrzął na mewę i wskazując na nią, rzekł:

– Zobacz, jak latają. Potrzebują tylko wiatru. Czy jest coś piękniejszego niż taka wolność?

Od tamtego dnia zabierał mnie od czasu do czasu na lotnisko, aby patrzeć, jak startują i lądują samoloty. Obserwowaliśmy je, siedząc w samochodzie i jedząc popcorn, jakbyśmy byli w wielkiej sali kinowej. To właśnie wtedy zapragnąłem zostać pilotem. Ojciec podzielał moje marzenia, choć czekała mnie zupełnie inna przyszłość, niż sobie wyobrażał.

Tego, co wydarzyło się nocą dwudziestego ósmego stycznia 1963 roku, nie zapomnę nigdy. Była wigilia moich trzynastych urodzin i rozpętała się potężna burza. Najstraszniejsza, jaką widziałem w życiu. Nadeszła nagle, jak nadchodzą złe wieści. Obwieściły ją grzmoty, błyskawice i wielkie krople deszczu. Brak prądu pogрузzył w mroku nasz dom i znaczną część wyspy.

Nienawidziłem burz. Matka mawiała, że deszcz jest płaczem Boga. Kiedy padało tak jak tamtej nocy, myślałem, że jeśli to prawda, Wszechmogący musi bardzo cierpieć. Jego łzy uderzały o szyby i spływały na ołowiane żołnierzyki, które dostałem w prezencie od ojca. „Będziesz nimi dowodził”, powiedział. Po długim namyśle umieściłem je na parapecie okna wychodzącego na morze, by broniły mojego terytorium przed najeźdźcami. Ale tamtej nocy, skulony w łóżku, nie wierzyłem, by moje żołnierzyki mogły zapobiec inwazji burzy, z jej grzmotami i piorunami.

Każda błyskawica pozbawiała mnie snu i przerażała. Światło, które rozjaśniało na kilka sekund pokój, tworzyło na ścianach ulotne cienie i zjawy niedające mi spać. Byłem sam, przykryty kocem, który ściskałem kurczowo jak tarczę.

Zgodnie ze wskazówkami dziadka, nasłuchując tykania zegara w korytarzu, liczyłem sekundy między pojawieniem się błyskawicy i grzmotem i dzięki temu wiedziałem, że burza nadciąga bardzo szybko. Słyszałem bicie dzwonów. Była druga w nocy i pomijając szum deszczu i uderzenia mojego serca, w domu panowała cisza. Byłem tylko z ojcem. Matka i bracia pojechali poprzedniego popołudnia do wujostwa, na drugą stronę wyspy, aby spędzić tam weekend. „Zostań z ojcem. Jutro z nim przyjedziesz”, powiedzieli mi.

Sądziłem, że dam się oszukać, ale ja wiedziałem, o co chodzi. Matka i bracia szykowali dla mnie przyjęcie urodzinowe. Kiedy przyjedziemy i otworzymy drzwi, na pewno wykrzykną: „Niespodzianka!”.

Lecz w tamtej chwili wszystko to wydawało mi się takie odległe. Przerażała mnie burza, była tuż nade mną i rysowała błyskawicami małe potworki na ścianach. Przeczuwałem coś strasznego. Kolejny ogłuszający grzmot sprawił, że postanowiłem szukać schronienia w pokoju ojca. Wołałem go obudzić, niż siedzieć sam.

Bardzo ostrożnie i powoli usiadłem na łóżku. Czuję chłód podłogi, szukając po omacku kapci. Wstałem i w świetle błyskawic, które rysowało na ścianie mój cień, ruszyłem do drzwi, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na okno. Wyszedłem na korytarz i pokonałem bezgłośnie kilka metrów, które dzieliły mnie od pokoju ojca.

Oparty plecami o ścianę, zacząłem się zastanawiać, co pomyśli, widząc moje przerażenie. Będzie ubolewał, że jego syn jest tchórzem? Spojrzy na mnie rozczarowany? Nie miałem czasu odpowiedzieć sobie na te pytania, bo w tym momencie korytarz rozświetliła kolejna błyskawica i wiedziałem, że potężna burza szybko się nie skończy.

Nie było odwrotu. Przekręciłem gałkę i wsunąłem głowę przez drzwi. Wydawało się, że ojciec śpi odwrócony plecami do wejścia. Korzystając z tego, że mnie nie widzi, schowałem się za fotel sekundę wcześniej, nim rozległ się

kolejny grzmot. Byłem skulony, w niewygodnej pozycji, ale czułem się bezpiecznie, mając blisko ojca. Potem, gdy burza mijała, położyłem się na podłodze.

Pokój moich rodziców był największy w całym domu i miał wielki taras z roślinami. Zwykle jadali tam śniadania. Ścianę od strony tarasu zastąpiono wielką szybą ze szklanymi przesuwanymi drzwiami. Dzięki temu można było podziwiać morze w całym jego majestacie. Nagle pokój załała luna światła z ulicy, włączono prąd. Drzemałem, gdy usłyszałem skrzypnięcie sprężyny. Zobaczyłem, jak ojciec odwraca się i siada na łóżku niecałe trzy metry od mojej kryjówki. Przez chwilę sądziłem, że mnie zauważył i że zamierza mi coś powiedzieć. Ale było inaczej. Trwałem skulony, nieruchomy i smutny, obserwując w półmroku ciemną sylwetkę ojca, aż odzyskałem równomierny oddech. Siedział na brzegu łóżka, nieświadomy mojego spojrzenia, z twarzą ukrytą w dłoniach. Po kilku minutach zobaczyłem, że wstaje i idzie po coś do szafy. Szeroko otwartymi oczami, przywykłymi już do półmroku, starałem się dostrzec, co stamtąd wyjął, ale dopiero gdy znów usiadł na łóżku, zobaczyłem, że to niewielkie prostokątne pudełko. Widziałem, jak je otwiera, wyjmuje coś ze środka i uważnie się temu przygląda.

Przerażony zdałem sobie sprawę, że ojciec trzyma w ręku rewolwer. Poczulem pulsowanie krwi w skroniach. Widząc błędny wzrok ojca i jego zachowanie, zrozumiałem, co zamierza zrobić. Byłem sparaliżowany i oniemiały. Dławił mnie strach: wydawało się, że ojciec, którego ubóstwiałem, jest gotów odebrać sobie życie, a ja nie potrafiłem wydusić słowa.

Ogarnął mnie strach. Dopiero gdy zobaczyłem, jak unosi rękę i przykłada pistolet do głowy, z mojego gardła wydobyło się słabe „Nie!”, ledwo słyszalne, ale wystarczające, by wiedział, że nie jest sam, że go obserwuję.

Opuścił broń i schował ją do pudełka. Wstał, podszedł i objął mnie, mówiąc:

– Wszystko w porządku, synu. To był tylko koszmarny sen. Wszystko dobrze.

Tej nocy spałem obok niego. Nie było rozmowy ani żadnych wyjaśnień.

Nie wiedziałem, kto kogo chroni. Spaliśmy, dotrzymując sobie towarzystwa, i z jakiegoś powodu – może dlatego, że dzieci domyślają się zwykle przyczyny wydarzeń – nie zadawałem pytań. Burza powoli się oddalała, zabierając ze sobą pioruny i grzmoty. Objęci, słuchaliśmy szumu ulewy. Doskonale rozumiałem, dlaczego Bóg płacze.



Przez następne dni czekałem w napięciu, aż ojciec coś mi powie. Potrzebowałem słów, aby rozwiać wątpliwości na temat tego, co widziałem tamtej nocy. Ale on nic nie powiedział i zachowywał się normalnie. Pamiętam, że zaczął szukać pocieszenia w alkoholu. Nawet w moim wieku zdawałem sobie sprawę, że pijąc, próbował zagłuszyć głęboki ból i że ukrywał jakiś sekret, który był powodem jego goryczy.

Martwiło mnie jego milczenie. Zauważył to pewnego popołudnia, gdy poszliśmy na plac zabaw w towarzystwie moich braci i kuzynów. Usiadłem w cieniu drzewa, w pewnej odległości od grupy, ale ze wzrokiem wbitym w ojca, który rozmawiał z wujem. Kiedy spostrzegł, że jestem sam i że mu się przyglądam, przerwał rozmowę. Podszedł do mnie powoli, wpatrzony w horyzont, jak człowiek, który spogląda w niebo, szukając odpowiedzi na swoje wątpliwości. Stanąwszy przy mnie, przez kilka sekund patrzył mi w oczy, a potem spytał z uśmiechem, bardzo czule:

– Wiesz, jak bardzo cię kocham?

Nie powiedział mi, jak bardzo, i już nigdy więcej o to nie zapytał, ale w tamtej chwili miłość, jaką mnie darzył, wydawała mi się bezgraniczna.



Wszystko było osnute mgłą tajemnicy. Pierwszy klucz do jej rozwikłania odnalazłem w domu. Dyskutowałem z braćmi na temat dziesięciorga przykazań i które z nich powinno być najważniejsze. Enrique, mój starszy brat, twierdził stanowczo, że głównym przykazaniem powinno być „Nie zabijaj”, ponieważ – dowodził – gdyby ludzie przestali się mordować, świat byłby o wiele lepszy. Natomiast mój młodszy brat, Joseph, któremu schowałem piłką

futbolową, proponował, by na czele listy umieścić „Nie kradnij”. Wtedy jeden z braci zapytał ojca, które przykazanie, jego zdaniem, jest najważniejsze. Ojciec, siedząc w swoim starym fotelu z kieliszkiem wina, pogrążony w myślach i wpatrzony w morze, odpowiedział, nie odwracając wzroku, ale zdecydowanym tonem: „Nie kochaj”. Wyglądało to na żart, lecz ja wiedziałem, że słowa te płynęły z głębi duszy.



Od tamtej nocy potwory z moich snów zniknęły. Zastąpił je powtarzający się koszmar: wracałem ze szkoły i szukając ojca, znajdowałem go przy łóżku z bronią w dłoni, w wielkiej kałuży krwi.

Z biegiem czasu ten koszmar zmienił się w obsesję. Całymi godzinami zadawałem sobie po tysiącokroć pytanie, dlaczego mój ojciec nie chce żyć. Z pozoru wszystko było w porządku, ale widziałem przecież, co się dzieje. Nie miałem cienia wątpliwości. W nocy zastanawiałem się ciągle nad możliwymi przyczynami jego determinacji... Ale rozważając wszelkie możliwości, nie znajdowałem powodu, który by ją uzasadniał. On sam wpajał mi zawsze przekonanie o wartości życia. Był przeciwny polowaniu i łowieniu ryb. „Jeśli nie chodzi o zdobywanie pożywienia, o zaspokajanie głodu, nie ma na to usprawiedliwienia. Po co zabijają zwierzęta? Życie jest cudownym darem”, mawiał. Te słowa sprawiały, że łamigłówka stawała się jeszcze bardziej skomplikowana.

Po długim namyśle doszedłem do wniosku, że wszystko dobrze się ułoży, jeśli ojciec będzie pod moim nadzorem i opieką. Jeśli moja obecność mogła odwrócić jego uwagę od trosk, byłem gotów poświęcić mu cały mój czas. Rozpocząłem nowy etap życia. Rano, obudzwszy się, biegłem do jego pokoju, aby się upewnić, że wszystko jest w porządku, że moi rodzice są tam, gdzie być powinni, czyli jedno obok drugiego. Przez wiele nocy spałem jak wierny pies pod ich drzwiami. Gdy zastawali mnie tam bracia, żartowali z moich lęków i sennych koszmarów. Matka, która już mnie za to skarciła, nie mogła zrozumieć, dlaczego zamiast spać z braćmi, sypiam pod jej drzwiami. Powodem była tajemnica, którą dzieliłem z ojcem i której nigdy nikomu nie wyjawiałem. Zresztą, kto by mi uwierzył?

W szkole miałem coraz gorsze stopnie. Nie potrafiłem się koncentrować i zdarzało mi się zasypiać z głową na ławce. Wezwano rodziców na rozmowę. Katolicka szkoła, do której chodziłem, przez wzgląd na dziadka zgodziła się mnie przyjąć, gdy miałem pięć lat. Mając jedenaście, ukończyłem podstawówkę, a w wieku lat trzynastu byłem już w drugiej klasie ogólniaka. Zarówno dla moich rodziców, jak i dla szkoły stanowiło to powód do dumy, dlatego mój brak koncentracji tak zwracał uwagę. Ojciec Plascencia oznajmił moim rodzicom:

– Bardzo nas martwi. Jest dobrym uczniem, ale coś się z nim dzieje. Zasypia na lekcjach, nie umie się skupić, a ostatnio prawie wcale nie ma kontaktu z kolegami.

Ojciec, nieco zdziwiony, zapytał:

– Skoro tak źle się sprawuje, jak to możliwe, że ma dobre oceny?

Profesor zamyślił się i odpowiedział z chytrym uśmiechem:

– Oszukuje.

– Jak to: oszukuje? Chce ojciec powiedzieć, że odpisuje od kolegów?

– Nie, nie o to chodzi. Państwa syn ma doskonałą pamięć. Dostrzeżliście na pewno, w jaki sposób się wysławia. Lubi studiować znaczenie i pochodzenie słów i dysponuje słownictwem na poziomie studenta uniwersytetu. Mówiąc, że oszukuje, mam na myśli to, iż potrafi przejrzeć książkę tuż przed egzaminem i zapamiętać to, co najważniejsze.

– Jak ojciec może być tego pewny?

– Tydzień temu uprzedziłem uczniów, że następnego dnia zrobię im egzamin z geografii politycznej. Powiedziałem, co mają powtórzyć, i kazałem im się nauczyć nazw stanów, stolic i najważniejszych miast. W dniu egzaminu zaskoczyłem ich ustnym odpytywaniem. Niemal wszyscy pamiętali trzydzieści do pięćdziesięciu procent nazw. W istocie nie oczekujemy, że zapamiętają więcej, bo to dużo materiału, ale David wymienił nie tylko poszczególne stany i ich stolice. Wyrecytował, jakby czytał z książki, także nazwy wszystkich miast. Wszystkich. Najbardziej zaskoczyło mnie to, że podał je dokładnie w takiej kolejności, w jakiej są wymienione w podręczniku, nie myląc się ani razu.

– Dobrze – odparła z dumą moja matka – zatem sprawa nie jest tak poważna.

– Obawiam się, że jest. Wykorzystuje fotograficzną pamięć, by zapamiętywać to, co chce, ale mam poważne wątpliwości, czy rozumie zasady, na których opiera się wykształcenie. Postępując tak, w przyszłości z pewnością będzie miał problemy...

Ojciec, który miał powody podejrzewać, jakie są rzeczywiste przyczyny mojego zachowania, uznał, że z czasem sobie z tym poradzę, a matka nigdy nie zadawała mi pytań i nie interesowało jej, co mi chodzi po głowie. Ograniczyła się do stwierdzenia:

– Kiedyś mu to przejdzie.



Codziennie wychodziłem pospiesznie ze szkoły i przebiegałem pięć przecznic, by dotrzeć do domu i upewnić się, że ojciec nie wrócił jeszcze z pracy. Chciałem być na miejscu, aby go powitać.

Pewnego majowego popołudnia, wyruszywszy spod szkoły, podniosłem wzrok i zobaczyłem z daleka, na wysokości domu, czerwone światła karetki. Serce podeszło mi do gardła. Przyspieszyłem kroku, ale ogarnęła mnie panika i zacząłem biec, przekonany, że zdarzyło się to, czego tak się obawiałem. Ulice, które musiałem przemierzyć, wydawały się nie mieć końca.

Don Jimeno, taksówkarz, przysięgał zrozpaczony i przerażony, że wybiegłem zza rogu, nie rozglądając się, i nie zdążył zareagować. Hamował, ale samochód wpadł na mnie siłą bezwładności. Leżałem nieruchomo na chodniku, a książki wysypały się z plecaka na jezdnię.

Ocknąłem się w szpitalu. Gdy otworzyłem oczy, matka usiadła na skraju łóżka i pocałowała mnie. Bracia uśmiechali się do mnie, stojąc kilka kroków dalej.

– Hej, skarbie, jak się czujesz? – Zamierzała pogłodzić mnie po włosach, ale się powstrzymała. Wyczuwałem jej troskę i ten niezdarny gest sprawił mi radość.

– Dobrze – odparłem, spragniony czułości, szukając wzrokiem ojca. Ogarniał mnie strach, że go nie ma.

Chyba właśnie wtedy odkryłem, że pełnia szczęścia nie istnieje. Że na wszystkim jest jakaś rysa i każdy ma swoje rany i blizny.

Ojciec wszedł, rozejrzał się i skupił wzrok na mnie. Nasze oczy rozjaśnił uśmiech. Podeszedł z drugiej strony łóżka, wziął mnie za rękę i powiedział na powitanie:

– Ale napędziłeś nam strachu, Davidzie.

Wpatrywałem się w nich. Stali uśmiechnięci przy moim łóżku. Warto było to zobaczyć.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. Jestem szczęśliwy.

– Powinieneś być. Miałeś dużo szczęścia, synu.

– Dobrze, że masz twardą głowę – stwierdził żartem jeden z braci.

Wtedy matka pochyliła się nade mną, uściskała mnie mocno i pogładziła moje włosy, a po jej policzkach płynęły wielkie łzy, jak krople deszczu...



W ciągu następnych tygodni matka zaczęła poświęcać mi więcej czasu. Pojawiała się wczesnym rankiem w drzwiach mojego pokoju i zapraszała mnie szeptem, bym jej towarzyszył: „Chodź! Poszukamy skarbów na plaży”. Wychodziliśmy wtedy po cichu z domu, przecinaliśmy ulicę, zostawialiśmy buty na piasku i spacerowaliśmy, szukając rzadkich okazów muszli. Przyglądałem jej się czasem, gdy nie zdawała sobie z tego sprawy, i odnosiłem wrażenie, że jej serce ścisła ból. Kiedy spostrzegą, że ją obserwuję, uśmiechała się uspokajająco.

Życie płynęło i rok minął dość spokojnie, choć dało się zauważyć, że pewne sprawy uległy zmianie. Wyglądało na to, że ojciec zrezygnował ze swego strasznego zamiaru i że burze zniknęły na zawsze. Mimo wszystko nie przestałem być czujny i kiedy widziałem, że jest samotny albo zamyślny, natychmiast rozbrzmiewał w mojej głowie alarm i spieszyłem dotrzymać mu towarzystwa.

Nie zwierzałem się braciom ani matce z tego koszmaru, jednak inni zdawali sobie sprawę, że coś mnie niepokoi. Jedną z nich była Maria. Dźwigała na swych barkach ciężar służenia przez całe życie naszej rodzinie. Dzieliła

nasze radości i smutki i znała wszystkie rodzinne sekrety. Czasem wyglądało na to, że potrafiła czytać w moich myślach. Przyglądała mi się nagle z wielką miłością i mówiła:

– Wszystko jest w porządku... Nie martw się.

Drugą osobą, która dostrzegała mój niepokój, był stary Calisto. Mieszkał sam, w domu oddalonym od miasteczka. Nazywaliśmy go Czarownikiem Kaligulą. Patrzyliśmy na niego z mieszaniną strachu i podziwu i stroiliśmy żarty. Miewaliśmy okrutne pomysły. Calisto stanowił idealny cel naszych drwin, zwłaszcza gdy siedł ze sforą psów, które podążały za nim, jakby był gigantyczną kością. Pewnego dnia spytałem ojca, czy to prawda, że Calisto jest czarownikiem. Uśmiechnął się, poprosił, żebym usiadł, i opowiedział mi historię tego człowieka. Wyjaśnił, że to nie żaden czarownik, tylko wspaniały człowiek i dobry przyjaciel, który kiedyś był znakomitym rybakiem. Kiedyś, przed wielu laty, ogromny wieloryb uderzył w jego łódź, która zatonięła w ciągu kilku minut. I on, i jego towarzysz stracili orientację i spędzili w wodzie wiele dni, zanim Calisto odnaleźli prawie nieprzytomnego inni rybacy. Gdy spytali go, jak przeżył tyle dni bez jedzenia i wody, odpowiedział po prostu, że jadł wszystko, co miał pod ręką.

Ponieważ ciała jego towarzysza nigdy nie odnaleziono, wszyscy sądzili, że Calisto go zjadł, ale on, w swoim obłędzie, chciał tylko powiedzieć, iż jadł żywność, która ocalała z łodzi. Na powierzchnię wypłynęło ponad dwadzieścia orzechów kokosowych, które mieli na pokładzie. Zebrał je i zjadał po kolei, dlatego stracił zęby.

Niektórzy twierdzili, że to czary i że Calisto postradał zmysły. Ktoś nazywał go Kaligulą, nawiązując do imienia szalonego rzymskiego cesarza. Ojciec zapewniał mnie jednak, że to jeden z najlepszych ludzi na wyspie i doskonały kucharz, który od czasu do czasu zapraszał go do siebie na wysmienitą supkę rybną. Ojciec radził, bym go szanował i się go nie bał.

Pewnego dnia podszedłem do drzwi jego domu. Zwykle były otwarte i z progu widać było niewielki salonik, a w głębi drugą izbę, w której znajdowało się palenisko. Patrzyłem, jak Calisto się krząta, aż zorientował się, że

go obserwuję. Nie zamierzał mnie przestraszyć. Zaczął mówić głośno, żebym go słyszał:

– Powiniennem ich wszystkich pozwać! Tak jest... To właśnie powinienem zrobić, żeby skończyć z tymi idiotyzmami. Dlatego że jestem stary, brzydki, mieszkam sam i źle widzę, uważają mnie za sprawcę wszystkich nieszczęść, jakie zdarzają się w tym miasteczku. – Spojrzał w kierunku drzwi i zobaczywszy, że nadal tam stoję, ciągnął: – Ośmielają się mówić, że gotuję i zjadam dzieci. Wielki Boże! Potrafią to sobie wyobrazić? Zresztą nawet gdybym zjadł kilka, kto byłby temu winien? Rodzice zostawiają dzieci własnemu losowi, pozwalają im chodzić samym na plażę, węszyć pod drzwiami sąsiadów, a potem się skarżą. Zjadam dzieci! – powtórzył. – To oni są winni, bo się nimi nie zajmują. Potem jest płacz, gdy któregoś im brakuje, i chcą szukać go w mojej zupie.

Usłyszawszy te narzekania, powiedziałem:

– Ja się pana nie boję. Mówi pan to wszystko, żeby nikt się do pana nie zbliżał. Lubi pan być sam i nie chce z nikim dzielić się zupą.

Calisto wybuchnął gromkim śmiechem.

– Ojciec ci to powiedział. A więc się mnie nie boisz?

– Nie, proszę pana.

– No to wejdź, nie stój w drzwiach. A zatem mi nie wierzysz... To zobacz, co wrzucę do kotła.

Podszedłem bliżej i usłyszałem cichy skowyt. Zobaczyłem, jak Calisto wyciąga z drewnianej skrzyni szczeniaka, malutkiego owczarka niemieckiego. Widać było, że urodził się przed paroma dniami, bo ledwo otwierał oczy. Stary Calisto zapytał:

– Jak sądzisz, będzie z niego dobra zupa?

Nie wiedziałem, co myśleć o tym starcu, ale wydał mi się bardzo sympatyczny. Byłem pewny, że nie wrzuci szczeniaka do kotła.

– Nie wierzę panu – oświadczyłem.

– Jeśli go nie zjemy, co z nim zrobimy? Jego matka nie żyje.

– Zaopiekujemy się nim – odparłem bez wahania.

– Są trzy takie szczeniaki. Kto się o nie zatroszczy?

– Jeśli pan pozwoli, ja zajmę się tym.

- Jest bardzo malutki i potrzebuje dużo uwagi. Nie wiem, czy przeżyją...
 - Skoro pan przeżył na morzu bez jedzenia... im też się uda – odważyłem się powiedzieć.
 - Dobra odpowiedź. Masz, daję ci go w prezencie. Jak go nazwiesz?
 - Nie wiem... A jak pan by go nazwał?
 - To będzie twój pies, ale ja dałbym mu na imię Tiki.
 - Dlaczego?
 - Ponieważ wyprawa „Kon Tiki” była najśmielszą w dziejach próbą przetrwania w trudnych warunkach, a jeśli ten szczeniak przeżyje, będzie to z pewnością bohaterski wyczyn szczęściarza.
 - A więc nazwę go Tiki. Mogę go zabrać?
 - Jeszcze nie. Jest bardzo mały. Lepiej, żeby został przez kilka dni ze swoimi braćmi, wtedy nie będzie się czuł taki samotny...
- Ale możesz przychodzić go karmić, kiedy zechcesz. Będziesz miał czas uprzedzić rodziców i przekonać się, czy się zgodzą.
- Na pewno się zgodzą – odparłem z przekonaniem.



Zacząłem często go odwiedzać i karmiąc szczeniaka, poznałem człowieka, który ukrywał się pod skorupą samotności. Był nerwowy i bardzo energiczny, często wzdychał i czasem zaczynał opowiadać o całej serii nieszczęść, jakie go dotknęły. Fascynował mnie, zwłaszcza gdy widziałem, jak rzeźbi w drewnie: spod jego rąk wychodziły piękne rzeczy.

Po dwóch tygodniach ciągłych nalegań stary Calisto pozwolił mi zabrać psa do domu. Był to wspaniały szczeniak i powoli zdobył sympatię całej rodziny, z wyjątkiem Marii, która od czasu do czasu znajdowała na podłodze kałużę pozostawioną przez – jak go nazywała – zwierzaka.

Moi bracia bili się o to, by móc się z nim pobawić, ale szczeniak wybrał mnie na swego towarzysza, z czego byłem bardzo dumny. Był to owczarek niemiecki, który z powodu jakiegoś genetycznego kaprysu w ogóle nie rósł. Miał pozostać wiecznym szczeniakiem, przymilnym i swawolnym. Po wielu dyskusjach z rodzicami i Marią pozwolono mu sypiać w moim pokoju. W końcu się na to zgodzili, a Tiki miał w tym swój udział: szczekał i drapał

drzwi, próbując wejść do mojej sypialni.

Z czasem wiedział już, o której wracam ze szkoły, i czekał na mnie, szcękając, przy drzwiach. Doprowadzał do szału Marię, hałasując, dopóki go nie wypuściła, a wtedy pędził przed siebie, aby spotkać mnie w połowie drogi. Kiedy wychodziliśmy z domu, krzychałem: „Biegnij!” i Tiki natychmiast był przy nas. Należał do grupy. Rzecz jasna, był moim powiernikiem. Siadał u moich stóp, patrząc uważnie, co robię, gdy do niego przemawiałem. Był towarzyszem zabaw i wiernym stróżem.

Pewnego dnia, gdy byłem na placu, a Tiki pił wodę z fontanny, podszedł do mnie Luigi, jedyny cudzoziemiec mieszkający w miasteczku. Spojrzał na nas i zapytał:

- Ile chcesz za tego psa?
- Słucham?
- Za ile mi go sprzedasz?
- Nie jest na sprzedaż.
- Na pewno masz ich kilka. Kilka miesięcy temu widziałem cię z innym, identycznym.
- To ten sam. Jest karłem. Nie rośnie. Będzie szczeniakiem przez całe życie.

Włoch zamyślił się na parę chwil. Wyglądało na to, że moje wyjaśnienia zwiększyły jeszcze jego zainteresowanie, gdyż zaproponował:

- Dam ci za niego trzydzieści boliwarów.

W tamtych czasach taka suma przekraczała granice wyobraźni dziecka, gdyż za kilka centymów można było kupić wszystkie upragnione słodycze.

- Już panu mówiłem, że go nie sprzedam. Po co chce go pan kupić?
- Mam w domu suczkę, która byłaby dla niego dobrą partnerką.
- Więc niech sobie poszuka innego narzeczonego. Ten nie jest na sprzedaż.

- Zastanów się i daj mi odpowiedź. Do widzenia.
- Do widzenia.

Kilka dni później, gdy szedłem z moim bratem Josephem, Włoch zaczął nas i ponowił ofertę. Proponował już trzydzieści pięć boliwarów. Zastanawiałem się przez kilka sekund, po czym odparłem:

– Czterdzieści. Za czterdzieści go sprzedam.

Słyszając to, mój brat oniemiał z wrażenia. Włoch, uśmiechając się dumnie, wyjął z kieszeni portfel i wręczył mi uzgodnioną sumę. Przeliczywszy pieniądze, ku zdumieniu brata wziąłem szczeniaka na ręce i oddałem go Włochowi, mówiąc:

– Spokojnie, Tiki.

Potem powiedziałem do brata:

– Pospiesz się, idziemy.

Brat podążył za mną, patrząc na mnie ze złością. Gdy znaleźliśmy się za rogiem, przystanąłem i krzyknąłem:

– Biegnij!

Wysunąwszy ostrożnie głowy, zobaczyliśmy, jak Tiki wrywa się z rąk Włocha i pędzi w naszą stronę. Włoch stał i krzyczał, żeby wrócił. Tiki z łatwością nas dogonił. Mój brat był przestraszony, ale nie przestawał się śmiać. Popeliłem pierwszy w życiu występki. Oszustwo, nadużycie? Nie wiedziałem, jak to nazwać, ale z całą pewnością nie postąpiłem uczciwie. Przyznaję jednak, że odczuwałem wielką satysfakcję, oszukawszy kogoś, kto chciał oszukać mnie. Tiki pozostał przy mnie. Przyjaciela się nie porzuca ani nie sprzedaje.

Usiedliśmy razem pod drzewem na dziedzińcu opuszczonego domu, który służył nam za kryjówkę, i wręczyłem bratu połowę otrzymanej sumy.

– Najlepsze życzenia w dniu urodzin.

Joseph nie krył wzruszenia. Te pieniądze stanowiły fortunę.

– Dzięki, myślałem, że nikt nie pamięta o moich urodzinach.

– Widzisz, że tak nie jest. Uczcijmy je.

Poszliśmy kupić różne drobiazgi i słodczyce, a u rzeźnika dostaliśmy dla Tikiego największą kość, jaką mieli.

– A co z Włochem? – spytał Joseph, nieco zmartwiony.

– Nie przejmuj się, zajmę się tym.

Następnego dnia Włoch czekał na mnie przed szkołą.

– Gdzie mój pies?

– Pański pies? Nie wiem, wczoraj go panu oddałem.

– Dobrze wiesz, że uciekł i pobiegł za tobą. Słyszałem, że dziś rano ci towarzyszył.

– Myli się pan – odparłem spokojnie. – To jego brat. Są trzy jednakowe. Sprzedałem panu swojego, bo wiedziałem, że dostanę następnego.

– Więc chodźmy do tej osoby, która rozdaje psy. Jeśli to potwierdzi, nic więcej nie powiem.

– Chodźmy, to blisko.

Wyobraziłem sobie minę starego Calista, gdy zobaczy mnie z Włochem i usłyszy całą historię. Sprawy coraz bardziej się komplikowały, bo stary nie lubił odwiedzin...

Gdy dotarliśmy do jego domu, drzwi jak zwykle były otwarte. Calisto siedział przy stoliku i rzeźbił drewnianą figurkę. Zobaczywszy nas, podniósł wzrok i burknął:

– O co chodzi? Czego pan chce?

– Ten chłopak sprzedał mi wczoraj psa, z którym dziś go widziano, a on twierdzi, że to nie ten sam, że podarował mu pan innego, bo były dwa identyczne.

Stary Calisto spojrział na mnie, po czym odparł, nie patrząc na Włocha:

– Więc pana okłamał.

Włoch pokręcił głową, zadowolony, że zdemaskował moje kłamstwo, podczas gdy ja, pochyliwszy nisko głowę, przyglądałem się swoim butom i błagałem Boga o wstawiennictwo. Calisto odchrząknął i kontynuował:

– Oszukał pana, w miocie były trzy szczeniaki. I owszem, dwa mu podarowałem. Proszę chwilę zaczekać. – Oddalił się i za chwilę przyniósł szczeniaka identycznego jak Tiki. Potem powiedział do Włocha z drwiną: – To był jego pies i jeśli go panu sprzedał, miał do tego prawo. Mam nadzieję, że nie sprzeda tego, którego zabrał wczoraj. To rzadkie okazy, nie rosną, są karłowate. Jeśli pan chce, mogę panu sprzedać tego za sto boliwarów...

Włoch spojrział na niego z niechęcią i wyszedł, mrużąc:

– Nie, dziękuję.

Calisto popatrzył na mnie z powagą, ale po chwili, nie mogąc się pohamować, wybuchnął gromkim śmiechem.

– Grzeczny chłopiec tak nie postępuje – skarcił mnie.

– Wiem, ale on tak nalegał... Poza tym były urodziny mojego brata, a ja nie miałem dla niego prezentu.

– Cóż, choćby ci się wydawało, że miałeś dobre intencje, postąpiłeś źle. Rozumiesz to?

– Tak.

Mijały miesiące i z czasem zacząłem sądzić, że wszystko dobrze się układa i że być może problemy ojca były wytworem mojej wyobraźni. Cieszyłem się szkołą, towarzystwem braci i Tikiego, ale nie mogłem zapomnieć widoku ojca przykładającego sobie rewolwer do skroni. Tak naprawdę nie byłem spokojny. Zawsze uważnie obserwowałem jego zachowanie. Myślę, że to dostrzegął i wiedział, iż powodem mojego niepokoju jest sekret, który dzieliliśmy, dlatego uśmiechał się do mnie i próbował mnie uspokoić.

Strach zaczął narastać, gdy znów rozpętała się burza. Pewnej nocy, leżąc w łóżku, usłyszałem kłótnię rodziców, pospieszne kroki i przytłumione głosy. W środku nocy zjawiała się u nas ciotka Amanda, siostra matki. Wysunąłem ostrożnie głowę przez drzwi i słyszałem, jak rozmawia na schodach z Marią i wydaje jej cicho polecenia. Rankiem wiedziałem już, co się wydarzyło.

Matka opuściła dom razem z ciotką. Zabrała moich braci. Nie widziałem, jak odjeżdżała. Nie pamiętam, by się ze mną żegnała. Może zrobiła to dyskretnie, gdy spałem. Chcę wierzyć, że tak było, jak na jednym z tych starych filmów. Pogłaskała mnie i ucałowała, mając oczy pełne łez.

Zauważywszy nieobecność matki i braci, zapytałem o nich Marię. Odparła, że wyjechali z ciotką, ponieważ ktoś w rodzinie zachorował, i że zostawili mnie, żebym towarzyszył ojcu, wiedziałem jednak, że coś przede mną ukrywa. Nie patrzyła mi w oczy. Wydawała się smutna...

Od tamtej nocy wszystko zaczęło się zmieniać. Ojciec wyjeżdżał służbowo na całe tygodnie, a dziadek spędzał wiele godzin poza domem. Sprzeczały się i wyglądało na to, że unikają spotkań.

Dziadek miał pomalowaną na czerwono niewielką dwumetrową łódź, którą o świcie, zanim się zbudziliśmy, wypływał codziennie na ryby. Czasem robił to o zmierzchu i kołysał się na wodzie długie godziny, aż do północy.

Nieraz, wstawszy rano, brałem lunetę i szukałem w zatoce jego małej łódeczki. W weekendy zarzucaliśmy sieci albo spacerowaliśmy po nabrzeżu,

patrząc, co robią inni. Gdy widziałem go z okna, tak małego, tak daleko, miałem wrażenie, że jest mu obojętne, czy łowi ryby, czy nie, że szuka tylko ciszy i samotności.

Jedynie piękny dom stał nadal na swoim miejscu, ale filary mojego bezpieczeństwa, bliskość rodziców, braci, dziadka upadały jeden po drugim jak kostki domina. Wkrótce po odejściu matki i braci wiedziałem już, że nie wrócą, że zamieszkają u ciotki Amandy, a ja zostanę na wyspie z dziadkiem i ojcem. Nie rozumiałem wtedy, dlaczego tak się stało.



Przestrzeń kuchni wypełniała płynąca ze starego radia pierwsza kolęda, choć do grudnia brakowało jeszcze ośmiu dni.

María, krojąc warzywa do zupy rybnej, nucila do wtóru, a ja siedziałem przy stole i kręciłem pod nosem nacią pietruszki, próbując bez powodzenia skoncentrować się na podręczniku do botaniki. Piosenka przypomniała mi poprzednie Boże Narodzenie i dałem się ponieść wspomnieniom.

Nagle kolędę przerwano. María i ja spojrzeliśmy po sobie. Po kilku sekundach ciszy usłyszeliśmy głos spikera, który bardzo poważnym tonem zapowiadał specjalny komunikat: „Przerywamy program, aby odczytać wiadomość niezwyklej wagi z ostatniej chwili. W Dallas został ciężko ranny prezydent Stanów Zjednoczonych John F. Kennedy. Zamachu dokonał snajper. Obecnie prezydent znajduje się w miejskim szpitalu, gdzie lekarze walczą o jego życie. Powtarzamy...”.

– Wielki Boże! Co oni zrobili!

Pamiętam zduszony krzyk Maríi i jej łzy. Podeszła do mnie wstrząśnięta i otoczyła mnie ramieniem, jakby ta wiadomość była zapowiedzią tragedii, która dopiero miała się wydarzyć.

– Leć i powiedz o tym dziadkowi. Niech włączy radio.

Wbiegłem szybko po schodach, a za mną Tiki. Gdy wszedłem do jego gabinetu, stał obok stołu plecami do drzwi.

– Dziadku, María mówi, żebyś włączył radio, że był zamach na Kennedy'ego.

– Co powiedziałaś?

Dziadek nie czekał, aż powtórzę. Natychmiast włączył radio i nastawił je na odpowiednią częstotliwość, by usłyszeć więcej informacji. Wszystkie stacje nadawały to samo.

Wróciwszy do kuchni, zastałem Marię siedzącą przy stole nad moimi książkami z nieruchomym spojrzeniem. Ryba nadal leżała na desce do krojenia. Pokrywka garnka podskakiwała pod ciśnieniem pary. Zranili Kennedy'ego i ta wiadomość, niezrozumiała dla mnie, zakłóciła spokój tego dnia.

Jego nazwisko nie było obce w moim domu. Mnóstwo razy słyszeliśmy anegdoty, które dziadek opowiadał o swojej podróży. Prawie dwa lata wcześniej, dokładnie szesnastego grudnia 1961 roku, gubernator stanu Aragua zaprosił go na uroczystość, którą zorganizował prezydent Wenezueli, Rómulo Betancourt, pod auspicjami Sojuszu dla Postępu, w posiadłości La Morita w pobliżu Maracay. Początkowo dziadek nie chciał tam jechać, ale w końcu postanowił przyjąć zaproszenie i zawieźć mały prezent dla amerykańskiej Pierwszej Damy: piękny szylkretowy grzebień. Podczas uroczystości złamał protokół i wręczył prezent Jackie, która przyjęła go z zachwytem. Dzięki tej zuchwałości miał okazję uścisnąć dłonie Kennedym i zrobić sobie z nimi zdjęcie. Oprawił je i umieścił na honorowym miejscu wśród fotografii w swoim gabinecie. Widniał na nim również prezydent Wenezueli, którego dziadek nie cierpiał, dlatego powtarzał ciągle, że byłoby to idealne zdjęcie, gdyby nie obecność Betancourta.

Dzwonek w sieni rozbrzmiał donośnie. Usłyszałem głos Marii i po kilku sekundach pojawił się cywilny zarządca miasteczka w towarzystwie swojego syna i administratora portu. Krótką wymianę zdań przerwały im słowa spike-ra, który oznajmił beznamiętnym tonem: „Otrzymaliśmy właśnie potwierdzenie informacji, że prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, John F. Kennedy, nie żyje”.

Przez cały wieczór, do późnej nocy, dziadek, który był w miasteczku kimś w rodzaju guru, przyjmował ludzi, chcących pomówić o tym, co się wydarzyło. Gdy w domu znów zapanował spokój, przyszedł do mojego pokoju i usiadł przy mnie na łóżku. Chyba miał lekkie poczucie winy, że nie zwracał na mnie uwagi z powodu gości, i powiedział, jakby chcąc się usprawiedliwić:

– To był dobry człowiek i wspaniały prezydent. Zrobił dużo dla równości społecznej, a szczególnie dla czarnej ludności swojego kraju. Chcę, żebyś go pamiętał. Wątpię, by Stanami Zjednoczonymi rządził jeszcze ktoś lepszy.



Nadszedł grudzień i tak jak co roku zbudowaliśmy obok szkoły szopkę, aby każdy mógł ją zobaczyć. Wszyscy braliśmy w tym udział pod nadzorem siostry Emilii i ojca Ernesta. Praca nas jednoczyła. Uczniowie z szóstej klasy konstruowali rzeki, jeziora i góry, ci z piątej zajmowali się grotami, bramami i domostwami, a moja klasa umieszczała w szopce śpiących pasterzy, kobiety z dzbanami wody albo koszami, jagnięta na rusztach, kury, owce, woły i, oczywiście, osiołka. Szopka była gigantyczna. Nie brakowało najdrobniejszego szczegółu.

W ostatnim dniu przygotowań zniknęła w tajemniczy sposób najważniejsza figurka: Dzieciątko Jezus. Ojciec Ernesto, rozgniewany, uznał to za świętokradztwo. Z niektórych twarzy znikły uśmiechy, gdy siostra Emilia, bardziej zdecydowana, zagroziła nam zbiorową karą, jeśli figurka się nie znajdzie.

– Dzieciątko Jezus to nie zabawka – tłumaczyła.

Przesłuchała nas po kolei i dokładnie zrewidowała. Przez dwie godziny staliśmy w niemal wojskowym szyku, czekając, aż ktoś postanowi wyjawić, gdzie znajduje się figurka Syna Bożego. Nic z tego. Nikt się nie odezwał.

Wiedziałem, kto ją schował, milczałem jednak, delektując się tą awanturą. Widziałem, jak ukrył ją Guido, który stał w szeregu, udając złość. W końcu, gdy kazano nam wejść do klas, skorzystałem z okazji, by go spytać, jako współwinny, co zamierza zrobić z „dzieciątkiem”. Poprosił, żebym zamilkł, i dodał, że zobaczymy się po szkole.

Ojciec Ernesto przestrzegł „świętokradcę”, który ukrył Dzieciątko Jezus, że Bóg wszystko widzi i nie zapomni ani nie wybaczy tego grzechu. Z groźbą boskiej kary nad głowami wyszliśmy ze szkoły.

Po drodze Guido kazał mi złożyć przysięgę milczenia i lojalności. Potem wyznał, dlaczego ukradł figurkę. Opowiedział mi, że tydzień wcześniej, po

próbie chóru w kościele, wszedł do świątyni, by poszukać swojej siostry Josefiny. Widział, jak wychodzi stary proboszcz, i dziwił się, że siostry tak długo nie ma. Kościół był pusty, więc – nie przeżegnawszy się – ruszył cicho w kierunku drzwi do zakrystii. Otworzywszy je powoli, nikogo nie dostrzegł, ale usłyszał jakiś głos za drzwiami prowadzącymi do kancelarii parafialnej. Wychyliwszy głowę, zobaczył, jak ojciec Ernesto obmacuje jego siostrę.

Zmieszany i oburzony, wyszedł niepostrzeżenie, wrócił do domu i opowiedział ojcu, co widział. Ten, nie próbując dociec prawdy, spuścił mu łanie za to, że ośmiela się mówić źle o księdzu i siostrze. Kiedy następnego dnia poprosił siostrę, by potwierdziła, co się stało, ta, przerażona, wszystkiemu zaprzeczyła, i ojciec, jeszcze bardziej rozgniewany, znów solidnie go sprął. Guido nie mógł zrozumieć, dlaczego ojciec nie wścieka się na księdza, tylko na niego. Z tego właśnie powodu ukrył Dzieciątko Jezus.

W tym czasie miałem pierwszy konflikt z Bogiem. Po moich długich naleganiach dziadek potwierdził to, co przeczuwałem: że moja matka i bracia nie przyjadą na święta.

Rozczarowanie połączyło mnie z Guidem. Stał się moim cieniem, a ja jego współnikiem. Fantazjowaliśmy, jak by tu zemścić się na ojcu Erneście: przedstawić sprawę staremu proboszczowi, ukraść mu sutannę czy napisać o jego grzechu na ścianach szkoły?

W końcu obmyśliliśmy plan. Noc wcześniej przygotowaliśmy zemstę. Obliczyliśmy, że wszystko zajmie około dwudziestu minut. Następnego dnia, tuż przed wyjściem ze szkoły, wcieliliśmy plan w życie. Efekty mieliśmy oglądać z zewnątrz.

Czekaliśmy zdenerwowani, siedząc pod migdałowcem w pobliżu szkoły... Jednak upływały minuty i musieliśmy pogodzić się z tym, że coś nie wyszło. Spojrzeliśmy na siebie rozczarowani i powiedziałem:

– Dobra, spróbujemy jutro...

Eksplozja nastąpiła po południu. Była jak wystrzał armatni i zagrzmiała niespodziewanym echem w naszych uszach. Ptaki siedzące na drzewach w parku uciekły przerażone. Na kilka sekund czas jakby się zatrzymał. Wokół nas opadały białe płatki migdałowca. Patrzyłem z szeroko otwartymi ustami

na niewielką chmurę unoszącą się nad miejscem, gdzie stała szopka. Guido, wybałuszając oczy, krzyknął:

– Cholera!

Wybuch, spowodowany przez proch i petardy, które umieściliśmy pod szopką ojca Ernesta, sprawił, że wyleciała w powietrze.

W ułamku sekundy poszybowały w górę owieczki, pastuszkowie, jagniątka, kurki i pozostałe elementy małej wioski. Gdy u naszych stóp wylądował plastikowy osiołek, rzuciliśmy się przerażeni w kierunku naszych domów...

2.

Przez jakiś czas czekałem na matkę. Odeszła bez pożegnania. W swojej naiwności wierzyłem, że jeśli ktoś odchodzi bez słowa, szybko wróci. Ja robiłem tak wiele razy. Wychodziłem z Tikim na spacer, nikomu nic nie mówiąc. Wracałem z kieszeniami pełnymi muszli i piaskiem w butach. Często nikt nawet nie wiedział, że mnie nie ma. Opuszczałem dom, przechodziłem przez ulicę i siadałem pod migdałowcem.

Gdy pytałem, kiedy matka wróci, odpowiedź zawsze brzmiała tak samo: „Pojechała odwiedzić ciotkę, która jest chora. Niedługo wróci”. Wyjaśnienie było przekonujące, ale wyczuwałem, że to nieprawda.

Moi bracia także wyjechali. Maria pocieszała mnie i obdarzała hojnie miłością i troską. Podobnie jak ja czekała, pragnęła, by wszystko było jak dawniej, cierpiała z mojego powodu... Dziś, gdy patrzę wstecz, pamiętam, że zawsze była zaniepokojona. Myślę, że wypatrywała jakiegoś listu, telegramu, znaku życia – bezskutecznie. Kiedy ktoś dzwonił do drzwi, biegła je otworzyć jak zjawa w czarnej szacie. Jej włosy posiwiały, dało się zauważyć zmęczenie na twarzy i smutek w głosie.

Ojciec, choć nic nie mówił, także czekał na powrót matki. Dużo pracował. Wyjeżdżał na całe tygodnie, a gdy był w domu, siedział milczący, nieobecny. Coraz rzadziej można było usłyszeć jego śmiech. Ten zaraźliwy uśmiech, który dawał nam poczucie bezpieczeństwa.

Codziennie czatowałem na listonosza w nadziei, że przyniesie list, który wszystko wyjaśni. Nocami, po kolacji, też czekałem. Ostatni prom przypląwał na wyspę o dwudziestej trzeciej i liczyłem, że jeśli matka zechce zrobić nam niespodziankę, przybędzie właśnie o tej porze. Co noc nad wyspą przeleatywał samolot. Słyszając huk silników, podnosiłem wzrok w mroczne niebo i wpatrywałem się w migające światła maszyny, dopóki nie zniknęły za drzewami na placu. Wyobrażałem sobie, że siedzę w kabinie, za konsolą, w mroku i ciszy, otoczony gwiazdami. Jako pilot mógłbym mieć nad wszystkim kontrolę, nawet nad swoim życiem. Już nigdy nie odczuwałbym strachu. Piloci się nie boją. Wtedy właśnie powziąłem decyzję. Aby spełnić swoje marzenie, pojedę do stolicy i podejmę jakąkolwiek pracę, by móc brać lekcje pilotażu i nauczyć się latać.

María widziała, że siaduję na krawężniku z Tikim u boku, i martwiła się. Prosiła łagodnie, bym przyszedł do domu. Mówiła, że muszę być cierpliwy, że oni wrócą, że trzeba nauczyć się czekać.

Nadszedł dzień moich urodzin. Minął rok, odkąd ojciec próbował odebrać sobie życie. Po matce zaginął słuch. Z biegiem czasu w domu przestano o niej mówić, jakby samo wypowiedanie jej imienia było grzechem. Byłem pewny, iż żadna matka nie zapomina o urodzinach syna, dlatego czekałem na wiadomość. Czekałem do późnej nocy, ale nie nadeszła.

Poszedłem z Tikim na plażę. Tam nikt nie widział, jak płaczę.

Nie było przyjęcia urodzinowego, tylko prezenty od dziadka i Maríi. Ojciec przysłał mi podarek z miejsca, w którym się znajdował. Tamtej nocy ktoś zadzwonił do drzwi. María była spokojna, jakby pogodziła się z losem. Poszła otworzyć bez pośpiechu i zrozumiałem – albo rozumiem teraz – że poprzez swoją rezygnację chciała mnie nauczyć, bym żył spokojnie, bez niepotrzebnej nadziei.

Widziałem ze schodów, jak otwiera drzwi, jakby z góry wiedziała, kim jest nocny gość. Wydawało się, że Tiki, z głową na moich kolanach, czeka razem ze mną. María otworzyła drzwi i zamieniła kilka słów z przybyszem. Wzięła od niego kopertę i pospiesznie wsunęła coś do kieszeni. Przez chwilę milczała, jakby słuchając wyjaśnień, po czym zamknęła drzwi. Oparła się o

ścianę, przyciskając kopertę do piersi. Wydawało mi się, że minęła cała wieczność, zanim ją otworzyła i wyjęła kartkę, w którą włożone były jakieś fotografie. Wpatrywała się w list, jakby nie rozumiała znaczenia słów. Potem pochyliła głowę i ku mojemu zaskoczeniu zaczęła szlochać.

Kiedy otarła łzy, wyprostowała się i schowała list do chińskiego kuferka, w którym trzymała zapalniczki do zapalania świeczników zdobiących stół. Przez cały ten czas Tiki, zwykle swawolny i chętny do zabawy, siedział przy mnie nieruchomo, jakby świadomy wagi panującej ciszy. Przytuliwszy go, pomyślałem, że może psy wyczuwają nasze emocje i lęki. Maria poszła zmęczonym krokiem do swojego pokoju, a ja wróciłem do siebie.

Wszystko to było takie dziwne... Otworzyłem okno i zobaczyłem w oddali, w ciemnościach, małe czerwone światełko na łodzi dziadka. Odkąd matka i bracia odeszli, stał się innym człowiekiem, zmęczonym, starym odludkiem. Rzadko rozmawiał z moim ojcem, który wyjeżdżał w coraz dłuższe podróże służbowe. Dom wypełniały duchy i dobrze strzeżone sekrety. Pokoje, w których bawiłem się i sypiałem z braćmi i w których przeżyaliśmy szczęśliwe chwile, były teraz puste i zamknięte, przypominały zapomniane grobowce.

Nie mogłem zasnąć, paliła mnie ciekawość. Kim był tajemniczy gość, który zjawił się o tak późnej porze? Co było w liście? Dlaczego Maria szlochała? Co schowała do kieszeni? Wydawało mi się, że jakiś klucz... Jeśli tak, to do jakich drzwi?

Czekając na dziadka, który zawsze wracał po północy, zapewne by ukryć swoją samotność, zacząłem porządkować mój pokój. Gdy wziąłem do ręki muszlę, prezent od matki, i próbowałem usłyszeć szum morza, wyczułem, że dziadek wszedł do domu i idzie po schodach. Zgasilem światło, położyłem się i udawałem, że śpię. Znałem jego zwyczaje: wracał, gdy wszyscy już spali, i zanim się położył, podchodził do mojego łóżka i głąskał mnie po głowie albo całował w czoło. Było to jak jakiś grzeszny rytuał. Nie rozumiałem, dlaczego nie potrafi robić tego w świetle dnia. Dlaczego musiałem czekać do nocy, aby ukradkiem, jak złodziej, okazał mi czułość? Może mój ojciec miał rację i miłość jest grzechem? Przypomniałem sobie jego dziwne

przykazanie: „Nie kochaj”. Dziadek pocałował mnie w czoło, jakby to był obrzęd religijny, i zamknął okno.

Gdy wyszedł, odczekałem kilka minut i zbiegłem cicho po schodach. Otuchy dodawała mi obecność Tikiego. Uznałem, że lepiej, by mi towarzyszył, bo dzięki temu nie będzie szczeakał. Dotarłem do kuferka z zapalkami. Otworzyłem wieko i zobaczyłem kopertę. Pismo wydało mi się dziwnie znajome. Wyjąłem kartkę, w którą były wsunięte fotografie, i rozłożyłem ją.

Oniemiałem. Czuję się tak, jakby ktoś uderzył mnie od środka. Na jednej z fotografii matka towarzyszyła moim uśmiechniętym braciom. Na drugiej była sama i miała smutne spojrzenie. Na kartce skreślono tylko kilka słów:

Droga Mario!

Dziękuję za list. Rozumiem Cię, ale nie mogę być na jego urodzinach. Prawdę mówiąc, nie zamierzam wracać.

Przykro mi, nie potrafiłabym znieść jego spojrzenia. Nie umiem mu tego wyjaśnić. Jeśli chcesz, zrób to Ty, w końcu wcześniej czy później się dowie. Dbaj o niego. Jestem pewna, że ojciec albo dziadek zajmą się nim lepiej niż ja. To dobre rozwiązanie. Mam nadzieję, że beze mnie będzie spokojniej.

Laura

Oglądałem zdjęcia oczami pełnymi łez. Te, które miałem w pokoju, dodawały mi otuchy, ale fotografie z koperty rozdzierały duszę. Nie było na nich mnie. Matka uśmiechała się, stojąc obok moich braci, jakbym nie istniał. Nie potrafiłem zrozumieć, jak może się uśmiechać, gdy ja cierpię z powodu jej nieobecności...

Dlaczego odeszła? Dlaczego jest teraz z moimi braćmi beze mnie? Co to za tajemnica? Czym sobie zasłużyłem, by zostać wykluczonym z jej życia? Nie rozumiałem treści tego listu. Jakie uczucia, których nie mogła znieść, dostrzegą w moim spojrzeniu? *Nie zamierzam wracać.* Z jaką łatwością obwieszczała tę okrutną decyzję.

Wyszedłem z domu jak odurzony, bez Tikiego. Nie chciałem, żeby mi

towarzyszył. Miałem na sobie białą koszulę ojca, która sięgała mi za kolana. O tej porze na ulicach nie było nikogo. Panowała cisza. Szedłem powoli, zastanawiając się, czym zgrzeszyłem. Minąłem drzwi kościoła. Były otwarte, ale nie wszedłem do środka. To nie była sprawa Boga. Zaczynałem podejrzewać, że Bóg nie istnieje albo żyje tak jak mój dziadek, wyobcowany na morzu, samotny.

Bezwiednie opuściłem miasteczko, mijając cmentarz i boisko. Dalej była już tylko droga z ostrym zakrętem. Wszyscy go znaleźliśmy. Starsi uczniowie robili tam czasami „próby odwagi”. Chodziło o to, by położyć się na jezdni obok siebie i czekać, aż będzie słyhać nadjeżdżający samochód. Ten, kto wstał pierwszy, był tchórzem, a drugi wykazywał się odwagą.

Bez namysłu położyłem się na asfalcie. Panowały nieprzeniknione ciemności. O tej porze nie było żadnego ruchu. Podłożyłem sobie ręce pod głowę i poczułem chłód i szorstkość nawierzchni. Leżałem tak pod gwiazdami. Myślałem o tym, co powiedział profesor: że być może wiele z gwiazd, które widzimy, już nie istnieje, zgasły przed milionami lat, ale ich światło nadal wędruje w przestrzeni. Wszystko to było oszustwem, jak miłość mojej matki. A ja dałem się nabrać. Zdołali mnie przekonać, że matce musiało coś się przydarzyć, bo inaczej by się ze mną skontaktowała. Ale te zdjęcia demaskowały oszustwo, ukazywały całą prawdę. Zrozumiałem, że kłamstwa zawsze szkodzą w końcu temu, kto się ich dopuszcza. Miłość, jaką darzyłem matkę, była jak to światło od dawna nieistniejącej gwiazdy. Zostałem sam.

Usłyszałem w oddali odgłos silnika nadjeżdżającego samochodu, ale nie odwróciłem głowy, nie podniosłem się z jezdni. Moja śmierć miała być gwiazdną zemstą. Umrę i z jednej z tych gwiazd będę patrzył, jak mnie oplakują... Być może.

Reflektory samochodu zaczęły oświetlać zakręt, za kilka chwil miał mnie przejechać. Nie bałem się, byłem jak znieczulony. W ostatniej chwili, gdy wydawało mi się, że jestem już niemal pod kołami, usłyszałem szczekanie Tikiego, otworzyłem oczy i usiadłem, jakby uniosła mnie w górę sprężyna. Tiki stał koło mnie, ujadając wściekle. Wyglądało na to, że zamierza skoczyć w kierunku zbliżających się światel. Widząc go, wstałem szybko i pobiegłem, by ściągnąć go z szosy. Kierowca furgonetki, którym okazał się

don Matías, piekarz, opowiadał później, że gdy wszedł w zakręt, przyhamowując, zobaczył ubraną na biało zjawę, która wyłoniła się z asfaltu, by zabrać z drogi psa. Aby uniknąć zderzenia, skręcił raptownie w lewo i dlatego stracił panowanie nad kierownicą, wypadł z szosy i wjechał w pole bawełny, rozrzucając po drodze pieczywo.

Podszedłszy bliżej, zobaczyłem, że kierowcy nic się nie stało. Mruczał coś tylko o gwoździach Chrystusa. Pobiegłem z Tikim do domu. Weszliśmy od tyłu przez niewielką dziurę w ogrodzeniu, przez którą uciekłem, aby mnie odnaleźć. Następnego dnia wszyscy usłyszeli o wypadku piekarza i jego spotkaniu z duchem na zakręcie. Nikt nie mówił o chłopcu. Byłem zmieszany, bo nie kojarzyli mnie z tą zjawą. Mówiono tylko o postaci ducha, który wyłonił się na drodze tuż przed furgonetką Matiasa. Niektórzy, lubiący takie opowieści, w nią uwierzyli. Inni, bardziej sceptyczni, twierdzili, że zapewne Matías był wstawiony, gdy brał zakręt, i że duch wyskoczył z butelki rumu, którą z pewnością miał przy sobie.

Byłem przygnębiony i miałem wyrzuty sumienia, gdyż moja nieudana próba samobójstwa zatrąła życie staremu Matiasowi. Naśmiewali się z niego z mojej winy. To nie było sprawiedliwe. Dwa dni później, gdy siedziałem na ławce, czekając na rozpoczęcie lekcji, ktoś usiadł obok mnie. Spojrzawszy kątem oka, zobaczyłem porośnięte siwymi włoskami dłonie i ramiona oraz typowe dla starszego wieku brązowe plamy na skórze. Zmroziło mnie. To był stary Matías, który przyglądał się spokojnie przejeżdżającym ulicą samochodom. Nie wiedziałem, co zrobić, chciałem go przeprosić, ale brakowało mi śmiałości. Mógł przeze mnie zginąć, pomyślałem. Ale on jakby nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności. Po kilku minutach, nadal wpatrując się w ulicę, powiedział, jakby głośno myśląc:

– Co może tak bardzo zasmucić małego chłopca, że chce zamienić się w ducha?

Spojrzałem na niego. Nie było już tajemnic. Zniknęły wyrzuty sumienia i poczułem wielką ulgę, bo nie znosiłem kłamstw. Nawet nie próbowałem zaprzeczać.

– Od kiedy pan wie? – spytałem.

- Z początku nie wiedziałem. Sądziłem, że naprawdę widziałem ducha. Ale wczoraj zobaczyłem cię z psem i domyśliłem się, że to byłeś ty.
- Dlaczego pan nikomu nie powiedział?
- Miałbym pozbawić miasteczko opowieści o duchach? Chyba żartujesz! Nie ma mowy. – Spojrzał mi w oczy z szelmowskim uśmiechem.
- Nie przeszkadza to panu?
- Prawdę mówiąc, nie. Będzie się dużo mówiło o tym duchu, będą się szerzyły pogłoski, ktoś powie, że też go widział, stanie się legendą, pojawią się nowe szczegóły, aby przydać opowieści kolorytu i tajemniczości... Powiedzą, że to dusza chłopca, która błąka się przy cmentarzu. Chociaż, szczerze powiedziawszy, naprawdę wyglądałeś jak zjawą. Co miałeś na sobie?
- Białą koszulę ojca.
- A! Teraz rozumiem. To wyjaśnia, dlaczego przypominałeś ducha, ale pozostaje pytanie, dlaczego chciałeś zginąć pod kołami furgonetki. Jestem wścibskim staruszkiem, nic na to nie poradzę...
- Myślę, że jestem zawadą dla rodziny i byłoby lepiej, gdyby mnie nie było.
- Synu, nie wiem, dlaczego tak uważasz. Na pewno jest wiele osób, które cię kochają. Nie powinieneś wątpić, że kochają cię rodzice. Na swój sposób. Na tym polega problem. Musisz się nauczyć, że każdy okazuje miłość po swojemu, tak jak potrafi. Ale to nie powinno cię martwić. Jeśli jedni cię nie kochają, zastąpią ich inni. Korzystaj z tego, dziel się miłością, kochaj ludzi, którzy odwzajemniają twoje uczucia, a o innych zapomnij. Nie warto umierać z czyjegogo powodu. Życie jest skarbem, w twoim wieku szczególnie cennym.
- Nie sędzę, by życie było tak ważne czy tak łatwe, jak pan mówi.
- Cóż, tamtej nocy myślałeś inaczej i nie mów, że nie, bo byłem tego świadkiem. Widziałem chłopca, który podniósł się z ziemi, aby uratować swojego psa gotowego rzucić się na moją furgonetkę, by ocalić swojego pana. To, synu, dowodzi, że życie jest piękne, że warto żyć. Nie możesz nikogo zmusić, by cię kochał, ale możesz cieszyć się tym, że jesteś kochany. Rozumiesz?
- Chyba tak. Powie pan komuś o tym, co się stało?

– Jeśli kiedyś to zrobię, opowiem historię chłopca, który ryzykował życie, by ocalić swojego psa, i historię szczeniaka, który zagroził drogę furgonetce, aby uratować dziecko. Będzie to opowieść o przyjaźni i umiłowaniu życia.

– Co się stanie z duchem z zakrętu?

– Jak ci już powiedziałem, powstaną o nim legendy, zawsze tak się dzieje. Ludziom podobają się takie rzeczy, mają o czym mówić.

– A my?

– My? Będziemy śmiali się z tego po cichu i zostaniemy przyjaciółmi, zgoda?

– Zgoda.

Wstał, uściskał mnie i powoli odszedł...



Jakiś czas później odkryłem straszną tajemnicę, która zniszczyła moje życie rodzinne i której byłem mimowolnym bohaterem.

Mój ojciec, filar podtrzymujący ruiny naszego domowego ogniska, postanowił podjąć pracę w przemyśle naftowym. Oznajmił, że ze względu na długoterminowy kontrakt nie będzie go przez sześć miesięcy. W noc poprzedzającą wyjazd przyszedł do mojego pokoju. Odrabiałem lekcje przy biurku i od czasu do czasu podnosiłem wzrok na morze, wypatrując przez szybę łodzi dziadka. Wyczułem obecność ojca, zapach jego wody kolońskiej. Stał przy mnie. Patrzył przez okno na plażę i morze. Nie mam pewności, co obudziło we mnie przecucie, że nie jest to pożegnanie jak wiele innych. Może jego nieobecny wzrok, milczenie lub widoczny na twarzy niepokój. Wyczuwałem, że chce mi coś powiedzieć, ale nie wie jak.

Widząc jego zatroskanie, powiedziałem:

– Tato, wiem wszystko... i nie ma to dla mnie znaczenia. Kocham cię teraz jeszcze bardziej.

Nie miałem zamiaru ranić go tymi słowami ani robić mu wyrzutów. Chciałem tylko powiedzieć, że mimo wszystko powinniśmy dalej żyć.

Stał nieruchomo, spoglądając w morze, jakby mnie nie słyszał. Potem odwrócił się, zmierzwił mi włosy, niemal na mnie nie patrząc, i wyraźnie

wzruszony zniknął z mojego pokoju i mojego życia...

Bywa tak, że wszystko skupia się w jednym momencie i pozostaje wspomnienie, które już zawsze będzie nam towarzyszyło. Ostatnie minuty spędzone z ojcem to jedno z takich wspomnień.

Zmęczyło mnie czekanie na rodziców. Siadywałem w drzwiach domu albo na tarasie ze wzrokiem utkwionym w wylot ulicy. Maria cierpiała razem ze mną. Wiele razy widziałem, jak płacze w kącie.

Pewnego ranka wyszedłem ukradkiem, by już nie wrócić. Zostawiłem list do Marii, wyjaśniając powody mojego wyjazdu, i do ojca, na wypadek gdyby pojawił się jeszcze w domu. List do ojca był bardzo krótki. Dobrze pamiętam jego treść, bo pisałem go kilka dni. Starłem się dobrać właściwe słowa i odpowiednio je powiązać. Gdyby ojciec go znalazł, przeczytałby następujący tekst:

Drogi Ojcze!

Pozostał już tylko dziadek i Maria. Może, jeśli odejdę, wszyscy wrócą i będzie tak jak dawniej. Zabieram rewolwer. Nie potrzebujesz go. Proszę, nie szukaj innego. Uczyłeś mnie, że życie jest piękne. Zawsze pozostaniesz moim ojcem, a ja Twoim synem.

David

Dotarłem do nabrzeża, skąd odpływał prom na kontynent. Towarzyszył mi Tiki. Bardzo kochałem tego psiaka. Liczyłem, że bez trudu dostanę się na prom, kiedy otworzą bramę wjazdową dla samochodów. Załoga mnie знаła i często widywali mnie tam, gdy czekałem na ojca albo podróżowałem z dziadkiem. Przyszedłem pół godziny przed odpłynięciem promu i usiadłem z Tikim na ławce przy nabrzeżu. Wyjaśniłem mu najlepiej, jak umialem, dlaczego nie może płynąć ze mną. Powiedziałem, że dla własnego dobra powinien zostać na wyspie, gdzie będzie bezpieczny i znajdzie opiekę. Nie wiem, czy to zrozumiał, bo bezgłośny szloch pozbawiał mnie głosu. Potem napisałem na kawałku kartonu:

„Mam na imię Tiki. Jestem dobrym psem. Potrzebuję pana, który mnie nie porzuci”. Zawiesiłem mu ten kartonik na szyi i zostawiłem go przywiązanego do ławki. To bolało mnie najbardziej, ale bałem się, że inaczej rzuci

się za mną i wpadnie do morza.

Wszedłem na prom w tłumie ludzi i kilka minut później stałem oparty o balustradę, patrząc na Tokiego. Czas dłużył mi się w nieskończoność. Po kilku gwizdkach prom zaczął oddalać się powoli od nabrzeża. Zasłoniłem twarz dłońmi, by ukryć łzy.

Widziałem, jak Tiki staje się coraz mniejszy, aż w końcu był już tylko małym punkcikiem, zanim zniknął na zawsze. Przypomniałem sobie słowa ojca: „Nie kochaj”.

3.

Podczas godzin spędzonych na promie pozostałem niezauważony w tłumie pasażerów. Czułem niepokój, nie wiedząc, co niesie przyszłość, i myślałem ze smutkiem o Marii, być może jedynej osobie, która zauważyła moją nieobecność. I o Tikim. Jednak ani przez moment nie zamierzałem wracać. Gdy dotarłem do portu, uczucie osamotnienia zniknęło.

Zszedłem na ląd z setkami pasażerów i miasto po prostu mnie wchłonęło. Pierwszą noc przespałem w portowej poczekalni, a następnego dnia wsiałem do autobusu do Caracas i dojechawszy tam, zacząłem włóczyć się po ulicach. Miałem niewiele pieniędzy, wystarczyło ich tylko na jedzenie na kilka dni. Odpoczywałem, gdzie mogłem. Moje ubranie było coraz bardziej zniszczone. W ciągu niecałego tygodnia stałem się częścią miasta. Jeszcze jednym bezimiennym nastolatkiem, który żyje bez celu i sypia pod okapami albo w ciemnych zaułkach.

Przez sześć miesięcy byłem jednym z nich. Odkryłem, że istnieją chłopcy, których nikt nie dostrzega, jakby byli niewidzialni. Często siadałem gdzieś i patrzyłem na ludzi. Krzyczałem do nich w duchu: „Spójrzcie na mnie!”, próbując telepatycznie zwrócić ich uwagę. Nic to nie dawało. Jeśli ktoś przypadkiem się o mnie potykał, szybko odwracał wzrok, nie chcąc przyjąć do wiadomości, że w jego świecie, tak dobrze zorganizowanym, mogą istnieć opuszczone istoty, dzieci i młodzi ludzie o brudnych twarzach i zagubionych spojrzeniach. Szybko pogodziłem się z tym, że ja też należę do świata niewidzialnych.

Włóczyłem się po ulicach, by znaleźć schronienie i coś do jedzenia. Stałem się ekspertem w wyszukiwaniu miejsc do spania. Nocne godziny były najbardziej niebezpieczne. W ciągu dnia mogłem rozciągnąć się na trawie w parku i zamknąć oczy, a nawet spać, nie zwracając niczyjej uwagi. Ale nocami było inaczej. Żyło się wtedy w trudnym, okrutnym, irracjonalnym świecie. Pojawiali się inni ludzie, a może ci sami, tylko z innymi zamiarami. Nocą wszystko się zmieniało. Do obojętności ludzi spotykanych za dnia dochodził strach, pozbawione zahamowań folgowanie przyjemnościom. Noc ukazywała bez ogródek całe okrucieństwo miasta. Dla nas, niewidzialnych, była to pora ukrywania się.

Przepędzany z różnych miejsc, nauczyłem się, gdzie nie wolno spędzać nocy. Najpierw wyrzucono mnie z kościoła. W moim miasteczku w kościele nigdy nie zamykano drzwi. Proboszcz mówił, że Dom Boży nie ma godzin urzędowania. Dlatego wybrałem najpierw to miejsce. Sądziłem, że prześpię się trochę na jednej z ławek. Ale się myliłem. Dokładnie o dwudziestej pierwszej kazano mi wyjść.

Będąc już na schodach kościoła, usłyszałem, jak zamykają drzwi, i dobiegł mnie metaliczny zgrzyt świętego klucza. Wyobraziłem sobie, że robią to po to, by nie weszły tam złe nocne duchy... a może, by stamtąd nie wyszły.

W poszukiwaniu miejsca do spania dotarłem na dworzec autobusowy. Tam zawsze byli ludzie. Siadałem obok jakiejś pary albo staruszki, udając, że czekam na odjazd autobusu. Ale nie zawsze to działało. Wracałem tak zmęczony z włóczęgi po ulicach, że zasypiałem, pasażerowie odchodzili i zostawałem sam, aż budził mnie policjant albo ochroniarz. „No już, wstawaj... To nie miejsce do spania!”. Pewnej nocy odkryłem, że istnieją poczekalnie na ostrym dyżurze w szpitalach. Członkowie rodzin i przyjaciele pacjentów, czekający przepelnieni bólem i troską na wiadomości o swoich bliskich, nie zauważali mojej obecności. Siadałem na krześle z boku i ukrywałem się wśród nich. Próbując się zdrzemnąć, patrzyłem na ich smutne twarze i słuchałem, co mówią. Obserwując te sceny, sporo się w ciągu tych tygodni dowiedziałem o ludziach.

Prawie nikt nie zwracał na mnie uwagi. Każdy miał swoje zmartwienia. Niewiele osób rozmawiało, nikt nie chciał słuchać o problemach innych,

wystarczały mu własne. Ja byłem tylko chłopcem czekającym na jakiegoś krewnego, którego badano. Tam poznałem Yolandę, pulchną śniadą pielęgniarkę, która pewnej nocy stanęła w mojej obronie. Jeden ze szpitalnych ochroniarzy zorientował się, że śpiam w poczekalni. Podeszedł do mnie, ale zanim zdążył się odezwać, Yolanda złapała go za rękę i powiedziała stanowczo:

– Zostaw go, nikomu nie przeszkadza. Pozwól mu spać. Rano zawsze wychodzi.

Pewnego ranka, kiedy wstałem, by wyjść, podeszła do mnie, wzięła za rękę i rzekła:

– Chodź.

Zabrała mnie do kafejki, zaprosiła na filiżankę czekolady i podzieliła się ze mną ciastem z dyni, które smakowało anielsko.

Spojrzawszy na mnie, powiedziała:

– Mam na imię Yolanda. Chcę, żebyś wiedział, że w tym tygodniu pracuję nocami, a w przyszłym mam dzienną zmianę. Gdybyś źle się czuł, był chory albo gdyby coś ci się przydarzyło, poszukaj mnie. Jeśli mnie nie będzie, powiedz, że jesteś moim siostrzeńcem, i poproś, żeby ci pomogli.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Ta kobieta emanowała dobrocią. Podziękowałem jej i ruszyłem do drzwi. Wtedy z uśmiechem na puciołowatej twarzy zawołała:

– Hej, czy mój siostrzeniec ma jakieś imię?!

Spojrzałem na nią, uśmiechnąłem się i odpowiedziałem podobnie szelmowskim tonem:

– Tak, ma na imię David.

– Do widzenia, Davidzie.

– Do widzenia, Yolando...



Sądziłem, że po mojej ucieczce z domu ktoś będzie mnie szukał. Moja matka i bracia mieszkali w tym samym mieście i przypuszczałem, że wcześniej czy później natknę się na któreś z nich. Wyobrażałem sobie, że zobaczywszy mnie, podbiegną i będą namawiali, bym wrócił...

Pewnego popołudnia stałem przed wystawą cukierni. Bułeczki, cukierki i ciastka odbijały się w ogromnym lustrze, przez co wydawały się jeszcze większe i bardziej apetyczne. Odliczałem palcami w kieszeni spodni monety, które zarobiłem, myjąc samochód, by sprawdzić, czy wystarczy mi na kawałek ciasta. Spojrzałem na siebie w lustrze. Odrośły mi włosy, a ubranie wypłowiło. Właśnie w tym momencie zobaczyłem w szybie odbicie mojego brata Josepha. Szedł w kierunku krawężnika w towarzystwie ciotki Amandy. Odwróciłem się i serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi.

Musi istnieć jakaś szczególna energia, która przepływa między braćmi w dramatycznych chwilach, gdyż mimo iż Joseph był po drugiej stronie ulicy, podniósł głowę i popatrzył wprost na mnie. Nasze spojrzenia się spotkały i widziałem, jak osłupiały zwolnił kroku, szeroko otwierając oczy. Obok niego zatrzymał się samochód i zobaczyłem, jak ciocia otwiera drzwi, a Joseph unosi rękę, wskazując na mnie. Podniosła wzrok i dostrzegłszy mnie, bez wahania zmusiła mojego brata do opuszczenia ręki i pospieszenie wepchnęła go do samochodu. Potem wyprostowała się, rzuciła mi obojętne spojrzenie i również wsiadła. Po kilku sekundach samochód zniknęła w tłumie pojazdów. Ostatnią rzeczą, którą zapamiętałem, była zdumiona twarz mojego brata za tylną szybą.

Głód zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i aż do zmroku włóczyłem się po ulicach. To niezrozumiałe odrzucenie sprawiło, że wpadłem w rozpacz. Może jednak ojciec miał rację, jeśli w tamtą burzliwą noc, gdy próbował odebrać sobie życie, czuł się jak ja w tym momencie? Może rzeczywiście istniały ważne powody, by pragnąć śmierci?

Tej nocy, ukryty między stertami kartonów w ciemnej uliczce za centrum handlowym, przeciąłem sobie lewy przegub maszynką do golenia. Nie czułem bólu, tylko wielki smutek. Z rany zaczęła płynąć krew i gdy byłem gotów naciąć także drugi przegub, usłyszałem klótnię i pospieszne kroki kogoś, kto uciekał przed pościgiem. Był to Varillas. Nie miałem pojęcia, skąd wziął się ten przydomek, i nigdy go o to nie spytałem. Goniło go kilku chłopaków, aby odebrać mu torebkę, której jakaś kobieta „zapomniała” w kafejce. Kiedy go dopadli, zaczęli bić. Była to bardzo nierówna walka, postanowiłem więc interweniować. Przyznaję, że na ten nagły przyływ odwagi wpłynął fakt, iż

miałem w kieszeni spodni rewolwer ojca. Zagroziłem im bronią i powiedziałem, żeby przestali bić chłopaka. Nieświadomie, podnosząc się z ziemi, przesunąłem dłonią po policzku. Widok mojej zakrwawionej twarzy i pistoletu podziałał: napastnicy rzucili się do ucieczki, zapominając o torebce.

Varillas okazał mi wdzięczność, zabierając mnie do szpitala, by opatrzyć mi ranę, mówiąc, że zostaliśmy napadnięci. Lekarz, który nie bardzo w to uwierzył, założył mi szwy i zapytał:

- Ile masz lat?
- Czternaście.
- Jesteś za młody, żeby mieć blizny, ale ta zostanie ci do końca życia.



W tym szalonym świecie zyskałem pierwszego przyjaciela. Varillas dobrze znał język ulicznej nędzy i wiedział, jak dużo znaczy koło ratunkowe, którego można się uchwycić w morzu zapomnienia. Dopiero po wielu dniach spytał mnie pewnego ranka, wpatrując się w bliznę na moim przegubie:

- Dlaczego chciałeś odebrać sobie życie?

Spojrzałem na niego i pamiętam, że odparłem z uśmiechem:

– Nie chciałem odebrać sobie życia. Chciałem tylko posmakować śmierci.

- I teraz już wiesz?
- Co?
- Że nikogo to nie obchodzi...



Zaczęliśmy pracować razem na dworcu autobusowym, na rogach ulic i w tych rejonach miasta, gdzie nikomu nie wadziliśmy. Zarabialiśmy trochę pieniędzy na jedzenie. Ja zawsze więcej, może dlatego, że byłem bardziej skrupulatny, a może dlatego, że miałem twarz dziecka, które nie należało do tego świata. Umiałem więcej niż inni chłopcy, ale, by się do nich upodobnić, starałem się mówić językiem ulicy, choć zawsze sprawiałem wrażenie, że jestem starszy. Pewnego dnia jakaś kobieta, porozmawiawszy ze mną przez kilka minut, stwierdziła zdumiona:

– Wyrażasz się jak dorosły. Nie powinieneś być tutaj, jesteś wykształcony, jak nasi chłopcy.

Uraził mnie ten komentarz, lecz wtedy nie wiedziałem jeszcze dlaczego. Byłem bardzo młody, ale dostrzegłem w tamtym momencie iskierkę czegoś, co nazywałem potem rasizmem kulturowym. Jej komentarz stanowił tego potwierdzenie. Dla tej kobiety mycie samochodów i okien było zajęciem zarezerwowanym dla ludzi, którzy nie mają wykształcenia: dla nieudaczników.

Dużo się nauczyłem od mojego nowego przyjaciela. Bronił mnie, nie pozwalał, by ktokolwiek mi dokuczał, a czasem lubił mówić, że jest moim bratem. Wszyscy go rozpoznawali po chudej sylwetce i niechlujnym wyglądzie. Stawał przy przejściach dla pieszych, spoglądając smętnym wzrokiem, z wiadrem pełnym wody, gąbką i gumową skrobaczką, by czyścić szyby. Pierwszego dnia, widząc moje niezdecydowanie, powiedział:

– Patrz, co robię, i rób to samo.

Podchodził do samochodów i pytał:

– Umyć szybę?

Na ogół kierowcy nie odpowiadali. Niektórzy patrzyli w drugą stronę i udawali, że go nie widzą, inni machali rękami i nie opuszczając szyb, krzyczeli: „Nie!”. Byli i tacy, którzy od czasu do czasu dawali mu jakieś monety, i nieliczni, którzy zamieniali z nim parę słów i obdarzali uśmiechem. Varillas nauczył mnie podstawowej rzeczy, prostej i niezbędnej, by pracować na ulicy: jak lawirować między samochodami i unikać policji. Kiedy zacząłem pracować, moja nieśmiałość zniknęła. Bo przecież nie miałem się czym przejmować. Nikt nas nie widział. Zastosowałem własny system: nie zadawałem pytań, zwracałem tylko uwagę na światła. Nie traciłem czasu: gdy zapalało się czerwone, wybierałem któryś samochód i starannie myłem mu szyby. Jeśli coś dostawałem, to dobrze. Jeśli nie, mówiłem tak jak Varillas: „Nie szkodzi, jeżeli dziś pan nie ma, jutro też jest dzień”.

Wielu kierowców nas upokarzało. Byli to ci, którzy tylko intensywnie się w nas wpatrywali, nie mówiąc ani słowa i nie wykonując żadnego gestu, a gdy światło zmieniało się na zielone, ruszali, nawet nie dziękując. To tak

jakby mówili: „Pieprz się! Nie prosiłem cię, żebyś mył mi szyby!”.

W przeciwieństwie do Varillasa, któremu było obojętne, gdzie spędza noc, ja szukałem lepszego miejsca do spania, by móc tam ukryć mój skromny dobytek: spodnie, dwa podkoszulki i, oczywiście, rewolwer. Dni nadal spędzaliśmy razem, ale gdy zacząłem pracować na parkingu dworca autobusowego, trochę się od siebie oddaliliśmy. On nie chciał tam pracować. Przywykł do ulicy, do ludzi, do ruchu samochodów, a nawet do zniewag, które z czasem zaczęły spływać po nim jak woda po kaczce.

Kiedy przestałem pracować z nim na ulicach, zaprzyjaźniłem się z Pecasem, energicznym chłopakiem w moim wieku, o czarnych prostych włosach. Miał wyzywające spojrzenie, typowe dla kogoś, kto jest stale odrzucany, pogardzany lub po prostu ignorowany. Spotykaliśmy się całą trójką w weekendy. Myliśmy razem szyby, kradliśmy owoce i napoje z ciężarówek. Byliśmy jak trzej mali muszkieterowie. Pewnego dnia spytałem Pecasa, jak ma na imię. Odparł, że Pedro, ale że to imię mu się nie podoba. Nie znał swoich rodziców. Porzucili go pod drzwiami kościoła San Pedro. Siostry zaopiekowały się nim i nadały mu imię patrona świątyni. Skończył właśnie czternaście lat i aby to uczcić, ukradliśmy fordę futurę, którego Varillas znalazł z kluczykami w stacyjce. Ja prowadziłem, a Pecas zauważył pod tylnym siedzeniem walizkę. Zawierała różne dokumenty i kopertę z dziesięcioma banknotami o wartości stu boliwarów. Nie była to duża suma, ale my poczuliśmy się bogaci. Pecas nie krył radości, gdy postanowiliśmy, że za banknot, który pozostał po podziale pieniędzy, kupimy mu prezent.

– Co najbardziej chciałbyś mieć, Pecas?

Zastanowiwszy się, odparł spokojnie:

– Imię, nazwisko i dużo pieniędzy.



To Pecas opowiedział mi, co stało się tamtego ranka, zanim doszło do tragedii. Gdy Varillas wykonywał niemal mechanicznie swoją pracę, przecierając szmatą szybę lśniącego sportowego auta, zobaczył za kierownicą swojego brata. Spojrzeli sobie w oczy. Nie widzieli się od ponad pięciu lat.

Z powodu uzależnienia od narkotyków Varillas stracił kontakt z rodziną. O starszym bracie wiedział tylko tyle, że pracuje w pięciogwiazdkowym hotelu. Teraz stał na czerwonym świetle. Zamierzał się do niego uśmiechnąć, ale dostrzegł pogardę w jego wzroku. Mimo wszystko, z całą godnością, na jaką potrafił się zdobyć, Varillas skończył myć szybę, na próżno mając nadzieję, że brat wykona jakiś pojednawczy gest. Nie doczekał się go. Gdy światło zmieniło się na zielone, brat wcisnął gaz. Varillas został na przejściu dla pieszych ze ścierką w ręku i wielkim smutkiem w sercu.

– Nie szkodzi, jeżeli dziś pan nie ma, jutro też jest dzień – mruknął.

Ale to spotkanie pozostawiło w nim otwartą ranę. Pecas opowiadał mi, jak od tamtego dnia Varillas, który poruszał się po mistrzowsku między samochodami i ludźmi, stracił pewność siebie i poczucie bezpieczeństwa i pewnego razu wpadł pod samochód. Poniósł śmierć na miejscu.

Jakiś czas później jedna z gazet poświęciła mu kilka linijek. Pamiętam to, bo ta wiadomość mnie zaszokowała. Dwa tygodnie po jego śmierci starszy brat i rodzice Varillasa złożyli pozew, domagając się sprawiedliwości i milionowego odszkodowania od kierowcy, który był sprawcą tragicznego wypadku.

Jednak sprawa ujrzała światło dzienne nie z powodu wiadomości o wypadku, lecz wyroku sądowego. Nie pamiętam jego dokładnego brzmienia, ale był sprawiedliwy. Sędzia odmówił krewnym prawa do jakiegokolwiek finansowej rekompensaty. Uzasadniał swoją decyzję tym, że gdy Varillas żył na ulicy, myjąc szyby samochodów, nikt z jego rodziny się nim nie zajmował ani nie zatroszczył się o to, by wydobyć go z nałogu, bo tak naprawdę już ich nie obchodził.

Oznajmił na koniec, że odrzuca pozew, bo skoro Varillas nie mógł za życia skorzystać z pomocy systemu i krewni pozostawili go własnemu losowi, on, jako sędzia, nie pozwoli, by ktoś czerpał korzyści z jego śmierci.

Spodobała mi się ta notatka. Przez długi czas przechowywałem ją wśród swoich rzeczy. Wyrok wydał mi się godnym epitafium dla mojego wiernego przyjaciela.

Przez kilka tygodni towarzyszyłem Pecasowi, zajmując miejsce naszego kolegi. Wszystko zaplanowaliśmy i czekaliśmy... Pewnego popołudnia, gdy

ruch się nasilał, w porze powrotów do domu, Pecas zaczął dawać mi rozpaczliwe sygnały, gdy samochody stały na czerwonym świetle. Natychmiast zareagowałem, chwyciłem metalowy pręt, który miałem przygotowany, i podbiegłem do niego, z trudem łapiąc oddech:

– Jesteś pewny, że to on?

Pecas, bardzo przestraszony, skinał głową. Kilka kroków od nas czekał na zielone światło niebieski sportowy samochód. Podszedłem do niego zdecydowanym krokiem. Siedzący w środku młody wytworny mężczyzna widział, jak się zbliżam. Nie bał się. Nie miał powodu. Uśmiechałem się uprzejmie. Ćwiczyłem to w myślach setki razy. Wskazałem przednie koło, dając mu do zrozumienia, że coś jest nie tak. Opuścił szybę i spytał:

– Co się dzieje?

Przyglądałem mu się przez sekundę, po czym odparłem poważnym tonem:

– Nic, chciałem tylko wyczyścić panu szybę w imieniu pańskiego brata.

Patrzył zdumiony, jak unoszę metalowy pręt i uderzam nim z całej siły w przednią szybę, rozbijając ją na tysiąc kawałków. Wysiadł przerażony drugimi drzwiami i uciekł na drugą stronę ulicy. Pecas, nabrawszy śmiałości, dołączył do mnie, by złożyć Varillasowi pośmiertny hołd. Rozbiliśmy wszystkie szyby.

– Już są czyste! – krzyknąłem.

Oddaliliśmy się na oczach zdumionych przechodniów, którzy przystawali, obserwując, co się dzieje. Pecas krzyczał, by wszyscy słyszeli:

– Morderco, zabiłeś swojego brata! Zabiłeś brata!

Tłum gapiów, słysząc nasze oskarżenia, zaczął spoglądać z niechęcią na brata Varillasa. Nikt nie próbował nas zatrzymać ani nie wezwał policji.

Wyrównawszy rachunki i pomściwszy Varillasa, nadal pracowaliśmy. Pecas rządził na rogach ulic, a ja na dworcu. Widywaliśmy się niemal codziennie. Szliśmy coś zjeść albo do kina. Byliśmy braćmi z ulicy. Dzieliliśmy okruchy, które udało nam się skraść życiu.

Pewnego dnia zauważył mój smutek.

– Co? Tęsknisz za rodziną? – spytał.

– Może mi nie uwierzysz, Pecas, ale już za nimi nie tęsknię. Czasem z trudem przypominam sobie ich twarze. Myślałem o Tikim – wyznałem. – Moim psiaku. Zastanawiam się, czy tęskni za mną tak samo, jak ja za nim. Wydaje mi się czasem nocami, że słyszę jego szczekanie na nabrzeżu.

– Dlaczego go zostawiłeś? Mogłeś zabrać go ze sobą.

– Po co? Żebyśmy razem głodowali?

Pecas rzucił mi zakłopotane spojrzenie i wzruszywszy ramionami, odparł:

– I co z tego? My też cierpieliśmy razem głód. Jedliśmy z jednej miski i nie rozstaliśmy się, prawda?

Milczałem, więc Pecas dodał:

– Ja nie mam ani rodziny, ani psa, ani pieniędzy.

– Nie mów głupstw. Masz brata i zawsze będziesz go miał. Mnie. I powiem ci coś jeszcze: pewnego dnia zarobimy tyle pieniędzy, że nie będziemy wiedzieli, co z nimi robić. Obiecuję ci to. Zmienimy nazwiska i przestaniemy być niewidzialni.

Pecas się uśmiechnął.

– Wejdziemy do restauracji, zamówimy wszystko, co mają w karcie, i zemścimy się za naszą nędzę, jedząc, aż spuchniemy... – zaproponował Pecas.



Mimo skłonności do buntu rozumiałem, że nie można iść pod prąd. Uznałem, że myjąc samochody na parkingu dworca autobusowego, powinienem wykazać się większym sprytem. Spytałem obsługę, którym autem jeździ dyrektor, i od tamtego dnia myłem najpierw jego wóz. Wypucowawszy go, zabierałem się do innych.

Trzeciego dnia, gdy myłem starego chevroleta, zobaczyłem kątem oka, że podchodzi do mnie sam naczelny. Przygotowałem się na reprimendę, ale ku mojemu zaskoczeniu spytał:

– Czy to ty myjesz mój samochód?

– Tak, proszę pana.

– Dlaczego to robisz? Nie prosiłem cię.

– Bo jest pan szefem i pomyślałem, że jeśli codziennie umyję panu samochód, mniej będzie pana drażniło, że się tu kręcę.

– Podoba mi się twoja szczerość – powiedział, po raz pierwszy się uśmiechając. – Przyjdź jutro rano do mojego biura. – I odszedł, nie mówiąc nic więcej.

Zastanawiałem się, dlaczego chce mnie zobaczyć. Następnego dnia poszedłem wprost pod drzwi jego gabinetu. Widziałem, jak nadchodzi w towarzystwie dyrektora do spraw operacyjnych.

Pozdrowił mnie i powiedział do kolegi:

– Ten chłopak zacznie nieoficjalnie pracę jako pomocnik na parkingu. Proszę mu załatwić identyfikator, żeby nikt go nie przeganiał. – Potem zwrócił się do mnie i oznajmił: – Nie będziemy ci płacili, ale dostaniesz schowek na rzeczy. Możesz korzystać z pustej budki od południowej strony. Jeśli przez trzy miesiące będziesz się dobrze sprawował, dostaniesz stałe zatrudnienie. Zgoda?

– Zgoda – odparłem szczęśliwy.

Problem pracy został w końcu rozwiązany. Nadal nie miałem stałego miejsca do spania, ale mogłem legalnie myć samochody i nie bać się policji. Był to jakiś postęp.

W tamtych dniach odkryłem najlepsze miejsce do wypoczynku: kina, w których wyświetlano filmy non stop. Otwierano je o szesnastej, a niektóre nawet w południe, i za cenę jednego biletu mogłem siedzieć w wygodnym fotelu do ostatniego seansu, który kończył się zawsze około pierwszej. Po przepracowaniu prawie całego dnia mogłem obejrzeć film, a potem przespać dwa seanse i nikt mi nie przeszkadzał. Wychodziłem wypoczęty i łatwiej mi było przetrwać cztery czy pięć godzin, które zostały do świtu.

Kino stało się moim domem. Pan Arévalo, bileter o ciemnej cerze, kręconych włosach i nosie boksera, zawsze wyglądał na zirytowanego. Pewnego dnia, zobaczywszy, że zaliczam przykładowie wszystkie seanse, poinformował mnie, patrząc na mój bilet:

– Ten film jest dla dorosłych. Ile masz lat?

– Sto – odparłem poważnie.

Spojrzał na mnie i spytał, jak mam na imię.

– David.

– Dobrze, Davidzie. Wejdiesz, kiedy zgasną światła. Dam ci znać. Nie

chcemy, żeby ktoś się przeraził, widząc na sali takiego starca. Prawda?

– Dziękuję, panie...

– Arévalo. Nazywam się Arévalo.

Zauważyłem, że pan Arévalo jest nie tylko bileterem, ale między seansami sprząta szybko salę, zbiera opakowania po popcornie i plastikowe kubki po napojach. Zacząłem robić to samo. Zajmowało mi to tylko parę minut. Za trzecim razem pan Arévalo przyłapał mnie, gdy szedłem wrzucić do kosza stertę pudełek po popcornie.

– Co robisz?

– Gimnastykuję się – odparłem drwiąco.

– Widzę... widzę. – Oddalił się, nic nie mówiąc.

Tej nocy, gdy wychodziłem, stanął przede mną i powiedział:

– Jeśli przyjdiesz jutro, a sądzę, że tak, nie kupuj biletu. Podejdz od razu do mnie.

Widząc moje zaskoczenie, wyjaśnił konfidencjonalnym tonem:

– Osoby powyżej osiemdziesięciu lat nie płacą za wstęp.

W ten sposób znalazłem miejsce, w którym mogłem przespać się parę godzin, oglądać filmy, nie płacąc za bilet, jeść za darmo popcorn, a co najważniejsze... zacząłem uczyć się angielskiego i włoskiego. W Wenezueli, podobnie jak w wielu innych krajach Ameryki Łacińskiej, filmy wyświetla się w wersji oryginalnej z napisami, co zmusza do ćwiczenia wyobraźni.

Dziś mogę powiedzieć, że mimo trudnego dzieciństwa miałem szczęście do wykształcenia. Moimi nauczycielami angielskiego byli bezlitosny James Cagney, zrównoważony Humphrey Bogart i tancerz Fred Astaire, a nauczycielkami – piękne Bette Davis, Ingrid Bergman, Lana Turner, Olivia de Havilland i niezwykła Lauren Bacall. Uczyłem się od nich języka, oglądając dramaty, filmy przygodowe, musicale, filmy science fiction i komedie. Ale do największego wysiłku zmuszał mnie Clark Gable. Właśnie on i jego piękna partnerka, Vivien Leigh, uparli się, żeby wbić mi do głowy swoje słownictwo, fonetykę i dykcję.

Po dziewiętnastu tygodniach seansów *Przeminęło z wiatrem* nienawidziłem potężnych jankesów z Północy, gardziłem Południowcami i sympatyzowałem z nieszczęsnymi czarnymi niewolnikami z Południa. Gdy siedząc

w ulubionym fotelu, obejrzałem ten film po raz trzeci, przyszło mi do głowy, by zasłonić papierem po czekoladzie napisy z tłumaczeniem dialogów u dołu ekranu.

Spodobało mi się to. Stanowiło moją jedyną rozrywkę. Nie miałem nikogo. Bawiłem się, próbując zrozumieć na podstawie ich głosów, gestów i ruchów warg, co mówią. Wzbudziły moją ciekawość ostatnie słowa Clarka Gable'a: *Simple darling... I don't give a damn*. Po angielsku było siedem słów, a tłumaczenie ograniczało się do pięciu. Ukradli dwa słowa. Powiedziałem to panu Arévalo, który wyjaśnił mi bardzo uprzejmie, że tłumaczenie nigdy nie jest dosłowne, bo zajmowałoby zbyt dużo miejsca i ludzie nie nadążaliby z oglądaniem filmu, tracąc zbyt dużo czasu na czytanie napisów. Zauważył, że od tamtej rozmowy przychodziłem na seanse z zeszytem. Widząc mój zapał do nauki angielskiego, zaskoczył mnie dwoma prezentami: latarką i kieszonkowym słownikiem. Myślę, że istnieją drobiazgi, które pomagają zmienić bieg wydarzeń. Te prezenty wpłynęły na moje życie. Te dwa niewielkie przedmioty i krótka kartonowa linijka stały się moimi narzędziami do nauki języków. Zacząłem zapisywać w zeszycie słówka. Stosowałem złożony, a zarazem prosty system ich rozpoznawania: wybierałem słowa lub krótkie zwroty i porównywałem je z tymi, które wcześniej zanotowałem.

Tych sto osiemdziesiąt godzin, które spędziłem z prywatnymi nauczycielami, zmotywowało mnie do nauki. W kinowej sali skończyłem piętnaście lat...

4.

Poznałem ją o świcie w pewien wtorek. Podczas jednej z tych nocy, gdy wydaje się, że wszyscy postanawiają zostać w domach. Ostatni seans w kinie skończył się po pierwszej. Nie było na nim prawie nikogo. Minęło kilka tygodni od premiery *Doktora Żywago* i byłem już zmęczony oglądaniem, jak Omar Sharif (Jurij Żywago) i Julie Christie (Lara) próbują ocalić swoją beznadziejną miłość w czasie rosyjskiej rewolucji i straszliwego mrozu.

Miałem kilka wolnych godzin i nie chciało mi się spać. Byłem rozbudzony i pełen energii. Podeszedłem do Café de París, otwartej przez całą dobę. Krzesła stały w pasażu dla pieszych, po którym w ciągu dnia płynął strumień ludzi różnego pokroju. Było to doskonale miejsce spotkań, jedyne w swoim rodzaju, ze względu na lokalizację i zróżnicowaną klientelę. Z biegiem lat i po wielu podróżach po świecie odkryłem, że w większości miast istnieje jakaś Café de París, przypominająca Miasto Światła, gdzie spotyka się miejscowa bohema: malarze, artyści, aktorzy... Mówią różnymi językami, ale to tacy sami ludzie. O świcie bywali tam inni klienci: potrzebujący ostatniego kieliszka lub ostatniej filiżanki kawy, nocne ptaki i potencjalni klienci wesołych pańienek kręcących się w pobliżu.

Miejsce, gdzie znajdowała się kafejka, zamknięto dla ruchu samochodów. Był to spacerowy deptak, odnowiony i ozdobiony kwietnikami, roślinami i ławkami. Popołudniami siadywali na nich starszycy, by pogawędzić, rozegrać partyjkę szachów albo po prostu poobgadywać przechodniów. O

tej porze było tam niewiele osób i ławki stały puste.

Siadałem co noc, po wyjściu z ostatniego seansu, na ławce najbliższej kafejki. Czasami, szczególnie w weekendy, kiedy przybywało klientów, pomagałem kelnerowi o imieniu Juve sprzątać ze stołów szklanki i filiżanki. Nie tykałem napiwków, ale pod koniec zmiany zawsze coś mi zostawiali. Szef kafejki mnie znał i choć wiedział, że nie powinien pozwalać mi pracować, szczególnie w nocy, bo jestem małoletni, przymykał oczy, bo brakowało mu personelu. Ale w tamtą wtorkową noc, gdy kafejka była prawie pusta, siedziałem na ławce i obserwowałem, jak dziewczyny są nagabywane przez klientów albo same ich zaczepiają. Wiele z nich znałem z imienia.

I wtedy właśnie zjawiała się ona. Usiadła na skraju ławki, mruczając coś pod nosem, wyraźnie poruszona. Miała na sobie bardzo krótką minispódniczkę, czarną, przylegającą do bioder jak druga skóra, czerwoną jedwabną bluzkę, która podkreślała jej małe, ale jędrne piersi, oraz buty pasujące kolorem do torebki. Nie sposób było nie spoglądać ukradkiem na jej kuszące ciało. Była najładniejszą dziewczyną, która trudniła się tą profesją. Gdy siedziała obok mnie, tak blisko, że czułem zapach jej perfum, z lekką nutą jaśminu, wydała mi się prześliczna. Widywała mnie już w poprzednie noce. Spojrzała na mnie i powstrzymując płacz, spytała:

– Mógłbyś kupić mi kawę?

Byłem tak zaskoczony, że tylko skinąłem głową. Zanim zdążyłem się zorientować, wyjęła z torebki parę monet i wręczyła mi je. Chciałem powiedzieć, że nie ma potrzeby, że mogę zapłacić, ale bałem się, że głupią demonstracją dumy zerwę nawiązaną między nami cienką nić porozumienia. Nie czekając, poszedłem kupić jej kawę i poprosiłem Juvego o aspirynę. Dał mi dwie.

Wróciwszy, podałem jej kawę i cukier, usiadłem na ławce obok niej, a gdy wypila pierwszy łyk, wyciągnąłem rękę z dwiema tabletkami aspiryny i powiedziałem:

– Weź, na wszelki wypadek...

Nie wiem, dlaczego ją to rozbawiło. Uśmiechnęła się przez łyki, które rozmazały jej makijaż. Miała piękne oczy.

– Aspiryna dla zbolełej duszy? Dziękuję. Jak masz na imię? – spytała, ocierając łyki chusteczką.

– A jakie imię by ci się podobało? – odparłem, próbując zażartować, aby ją pocieszyć.

Spojrzała na mnie zdziwiona, uśmiechnęła się lekko i powiedziała:

– Boże! Tej nocy? Daj mi pomyśleć... Chciałabym... chciałabym, żebyś miał na imię Ricardo... Tak, Ricardo Corazón de León* i żebyś przybył ratować królestwo i księżniczkę... Oczywiście ja byłabym księżniczką. A powiedz, jakie imię wybrałbyś dla mnie?

* Ricardo Corazón de León (hiszp.) – Ryszard Lwie Serce.

Popatrzyłem jej w oczy i rzekłem bez namysłu:

– Chciałbym, żebyś miała na imię Jazmín... Przepraszam, księżniczka Jazmín. I żebyś przestała płakać. Nie warto, bez względu na wszystko... – dodałem stanowczo.

Przyjrzała mi się z zainteresowaniem.

– Jesteś za młody, Ricardo, żeby dawać takie rady. Masz duże doświadczenie?

– Nie, ale dużo płakałem...

Wyglądało na to, że się uspokoiła i że rozmowa sprawia jej przyjemność.

– Ricardo! – rzekła, obdarowując mnie pierwszym uśmiechem. – Rycerz nigdy nie płacze ani nie pozwala, by księżniczka dowiedziała się, że płakał.

– Cóż, czasem spadamy z konia... i, jak widzę, księżniczki także. Zasmuciły mnie twoje łzy.

Roześmiała się, lecz nagle spoważniała i spytała:

– Wiesz, czym się zajmuję?

– Oprócz tego, że płaczesz? Tak, wiem. Pocieszasz smutne i samotne serca.

– Słodki jesteś, Ricardo. A ty co robisz, kiedy nie ratujesz płaczących księżniczek?

– Oczekujesz szlachetnego kłamstwa czy okrutnej prawdy?

– Wolę okrutną prawdę, nie zniosłabym tej nocy kolejnego kłamstwa.

– Jestem uczniem, a przynajmniej nim byłem. Teraz w dzień myję samochody, śpiam w kinach, gdzie wyświetlają non stop filmy, kąpię się i trzymam ubrania na dworcu autobusowym, a kiedy kończy się ostatni seans

w kinie, dosiadam białego konia i galopuję, by ratować takie jak ty piękne księżniczki. Tym się zajmuję.

– Siedzisz tu do świtu? – spytała zaskoczona.

– Czasami. Nieraz sypiam w takim specjalnym miejscu.

– Co w nim takiego specjalnego?

– Och, jest magiczne, wspaniałe, z dala od wszystkiego. Zapomina się tam o problemach.

– Dlaczego dziś jesteś tutaj?

– Mogę tam iść tylko dwa, trzy razy w tygodniu.

– Jest bardzo daleko?

– Mniej więcej godzinę drogi.

– Zaprośisz mnie tam kiedyś?

– Kiedy zechcesz. Z przyjemnością ci je pokażę, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Że nigdy nie przestaniesz się uśmiechać.

– Słowo „nigdy” pobrzmiwa wiecznością, Ricardo.

– A zatem będziemy musieli na zawsze zostać przyjaciółmi.

– Zostaniemy, jeśli tylko będziesz zawsze nazywał mnie księżniczką

Jazmín.

– Będę. A ty mnie Ricardem?

– Ricardo Corazón de León. Skoro już zobowiązałeś się być moim rycezem, odprowadzisz mnie do drzwi pałacu? Chcę iść do domu. Moja noc dobiegła końca i nie chcę wracać sama.

– Nic nie sprawi mi większej radości.

Szliśmy powoli przez wiele przecznic. Mijaliśmy niewidzialnych ludzi pracujących nocą: śmieciarzy, zamiataczy ulic, spieszących się taksówkarzy i różnych roznosicieli. Wszyscy zostawali za nami. Opowiadała mi o swoim siedemnastoletnim życiu, o rodzinnym mieście i o tym, w jaki sposób trafiła na ulicę. Historia stara jak świat, ale przez to wcale nie mniej dramatyczna. Porzuciła dom tak jak ja. Uciekła ze starszym mężczyzną, który zniknął po paru miesiącach. Poznała niewłaściwą osobę i teraz prowadzi takie życie. Przyjaciółka z Argentyny, przed powrotem do kraju, zostawiła jej mieszkanie.

Ostrzegła ją, że ma zaległe rachunki za czynsz, telefon i światło, lecz może z niego korzystać co najmniej przez miesiąc, zanim przyjdą upomnieć się o klucze. Ale ona zaczęła spłacać należności. Właścicielka mieszkania powiedziała, że jeśli wszystko ureguluje i będzie płaciła rachunki na czas, nie musi się wyprowadzać. I tak zostało.

Opowiedziała mi, że od pięciu miesięcy pracuje na ulicy i że tej nocy, wyszedłszy z hotelu z „szacownym” klientem, natknęła się w bramie na jego żonę. Doszło do strasznej awantury i zanim zdążyła się oddalić, została spoliczkowana i nazwana dziwką, jakby to ona była odpowiedzialna za to, że mąż tej kobiety ją wynajął.

– Na pewno szukał chwili spokoju z dala od niej – ośmieliłem się zauważyć.

– To było bardzo dziwne. Nawet nie poprosił, żebym się rozebrała. Nic nie robiliśmy, chciał tylko z kimś porozmawiać. Jego żona obrzuciła mnie wyzwiskami, obrażała, jak mogła. Wiesz, co najbardziej mnie zabolalo? Milczenie tego mężczyzny. Jego tchórzostwo. Nie próbował jej powstrzymać ani nic nie powiedział, jakbym nie zasługiwała na obronę, jakbym nie miała uczuć. To zabolalo mnie bardziej niż spoliczkowanie i zniewagi. Dlatego płakałam, kiedy mnie spotkałeś, Ricardo.

Dotarliśmy do bramy starej kamienicy. Nadeszła pora rozstania.

– Tutaj mieszkam. Dokąd teraz pójdziesz?

– Już prawie świta. Pójdę na dworzec.

– Zaczekaj – powiedziała, wyjmując coś z torebki.

Zapisała na kartce jakiś numer i wręczyła mi ją.

– Weź, to mój telefon, zadzwoń do mnie. Jutro.

– To już dzisiaj. Dobrze się czujesz?

– Po tym, jak zwierzyłam się ze wszystkich trosk memu rycerzowi? Jasne, że tak. Prześpię cały dzień. – Pochyliła się i pocałowała mnie w kącik ust. Lekkie muśnięcie jej warg sprawiło, że przeszedł mnie dreszcz.

– Dzięki, Ricardo.

– Do widzenia, księżniczko Jazmín.

Zacząłem się oddalać, ale mnie zawołała:

– Ricardo! Proszę cię, podejdź. Weź to.

Wyjęła z torebki banknot i dała mi go.

Widząc moje zaskoczenie, wyjaśniła pospiesznie:

– Nie chcę tych pieniędzy, dostałam je od niego. Wyobrażam sobie, że niewiele zarabiasz. Wykorzystaj je.

Spojrzałam na nią. Wciąż miała na pięknej twarzy resztki makijażu rozmazanego przez łzy. W tym momencie zdałem sobie sprawę, jaka jest niewinna i bezbronna. Wziąłem banknot, który mi wręczyła, i podarłem go na strzępy.

– Żadne pieniądze świata nie wynagrodzą twoich łez.

Obdarzyła mnie kolejnym pocałunkiem. Słodkim i czułym, który będę pamiętał przez całe życie.

– Dziękuję, Ricardo Corazón de León.

Odszedłem, nie mówiąc nic więcej. Tamtej nocy księżniczka Jazmín skradła mi sen i serce. Jej pocałunek odebrał mi wolność. Stałem się po części jej własnością. Zrozumiałem, że się zakochałem, że zapamiętam na zawsze tę dziewczynę, tak samo zagubioną w świecie jak ja: moją księżniczkę Jazmín, moją pierwszą miłość.



Łatwo jest zapamiętać twarz. Miliony różnokolorowych punkcików tworzą gdzieś w naszym umyśle niezapomniany wizerunek. Ale dziś zdaję sobie sprawę, jak trudno opisać go słowami. Fizyczny opis nie nastrecza większych trudności. Trudno natomiast znaleźć słowa, by scharakteryzować daną osobę. Jej słodycz, radość, prostoduszność, pragnienie miłości, delikatność.

Byłem najszcześliwszym człowiekiem na świecie, gdy tamtego popołudnia, kiedy czekałem na nią, by zabrać ją do mojej potajemnej kryjówki, zobaczyłem, jak wyłania się z tłumu i obdarza mnie uśmiechem, który rozjaśnił jej twarz.

Przyglądając się jej, pomyślałem, że chciałbym zatracić się w tym radosnym, choć pełnym wahania spojrzeniu, że tej nocy, pożegnawszy się z nią, będę się czuł bardzo samotny, że tak mało mam jej do ofiarowania, a tak dużo pragnę od niej dostać.

– Ricardo, jesteś bardzo punktualny – stwierdziła, pocałowawszy mnie.

– Księżniczko Jazmín, wyglądasz pięknie!

– Podobam ci się? – spytała, okręcając się i śmiejąc jak dziewczynka. Miała na sobie białe tenisówki, bardzo obcisłe dzinsy i białą bluzę z kapturem, z napisem: LOVE IS IN THE AIR.

– Miłość wisi w powietrzu – przetłumaczyłem, patrząc jej w oczy.

– Nie zakochasz się chyba w swojej księżniczce? – spytała drwiąco, biorąc mnie pod rękę.

– Niestety, jesteś dla mnie za stara.

– Ja, za stara? – Szturchnęła mnie czule łokciem i nagle spoważniała. – Jestem tylko dwa lata starsza od ciebie. A teraz powiedz, dokąd mnie zabierasz?

– Do Wariarupano.

– Dokąd?

– Do Wariarupano. To nazwa wymyślona przez karaibskich Indian. Oznacza „siedlisko tapirów”.

– Tapirów?

– To ssaki o bardzo smacznym mięsie, przypominającym wieprzowinę.

– Pierwszy raz o nich słyszę. Czy to miejsce jest daleko?

Chwyciłem ją za ramiona, obróciłem i wskazałem otaczające nas góry.

– Szczyt Ávila? Nie wiedziałam, że tak go nazywają.

– Ja też nie, podobnie chyba jak połowa mieszkańców Caracas. Teraz już wiem, bo przyjaźnię się z pewnym staruszkim, który obsługuje kolejkę linową i zna całą historię tej góry i hotelu na jej szczycie.

– Nie jest zamknięty?

– Nie dla nas. A już na pewno nie dla księżniczek.



Wsiedliśmy do autobusu, który dowiózł nas w pobliże dolnej stacji kolejki linowej w Maripérez. Otwarto ją, tak jak hotel Humboldt na szczycie góry, w 1956 roku, ale po wielu latach działalności zamknięto ze względu na zły stan techniczny. Korzystali z niej tylko nieliczni pracujący tam ochroniarze i konserwatorzy. Trasa kolejki, z dwudziestoma trzema słupami i naprężonymi linami podtrzymującymi wagoniki, miała dwa odcinki. Jeden wznosił się od podnóża góry na szczyt, na wysokość dwóch tysięcy stu metrów,

drugi schodził przeciwnym zboczem do miasta Macuto, w pobliżu morza. Na szczycie była kafejka i jeszcze jedna linia kolejki linowej, zapewniająca połączenie z hotelem. Widoki były wspaniałe.

Agustín, nadzorca kolejki, był bratem pana Arévalo, tego z kina. Pracował kiedyś dla niemieckiej firmy z Saarbrücken, która montowała nadziemne elementy kolejki, i znał wszystkie jej szczegóły techniczne. W zamian za to, że pomagałem mu w czwartkowe i piątkowe noce w kabinie operacyjnej na szczycie, dostawałem symboliczne wynagrodzenie. Moje zadanie było proste: wykrywać i zgłaszać wszelkie anomalie w wagonikach. Hotelowi ochroniarze potrzebowali kolejki. Nigdy nic złego się nie działo, ale ktoś musiał kontrolować jej stan. Pan Agustín, widząc, z jakim entuzjazmem podjąłem się tej pracy, powiedział:

– Zobaczmy, jak sobie poradzisz. Nikt nie lubi tu pracować. Szybko odchodzą.

– Dlaczego? To piękne miejsce i jest niewiele do roboty.

Spojrzał na mnie pobłażliwie.

– Samotność, synu, samotność. Niewielu ją znosi. Co innego być samemu tam na dole, w mieście, i tu, na górze. Samotność wystawia cię na próbę.

Mimo tej uwagi miejsce wydało mi się fascynujące. Pan Agustín pokazał mi, jak wszystko funkcjonuje, i dwa tygodnie po przedstawieniu mnie ochroniarzom dał mi kopie kompletu kluczy. Jeden otwierał niewielkie, nieużywane już pomieszczenie, znajdujące się na uboczu i przeznaczone pierwotnie na magazyn. Nazywał je Stacją 3. Kiedy brat wspomniał mu, że nie mam gdzie spać, powiedział mi:

– Jeśli chcesz, możesz tam nocować. Wjechanie na górę zajmie ci trochę czasu, ale warto...



Ponieważ księżniczka Jazmín nalegała, że chce zobaczyć moją magiczną kryjówkę, a pracowałem już na stacji od kilku tygodni, odważyłem się spytać pana Agustína:

- Pozwoliłby mi pan przyprowadzić na Stację-trzy dziewczynę?
- Uśmiechnął się, nie patrząc na mnie, po czym zmarszczył brwi i zapytał:
- Jest ładna? Warta zachodu? Nie chciałbym ryzykować pracy dla kogoś tak brzydkiego jak ja.
- Jest piękna. Jak marzenie.
- Dobrze, ale żadnego alkoholu. Zgoda?
- Zgoda.



Dotarliśmy do stacji i otworzyłem drzwi. Jazmín była podekscytowana perspektywą jazdy kolejką. Jej oczy błyszczały z radości.

- Nigdy nie jechałam czymś takim. Nie spadnie?
- Dziś nie – odparłem swobodnie.
- A kto uruchomi wagonik?
- My sami, z tego miejsca. Każdy wagonik ma niezależne sterowanie dla indywidualnego operatora.
- Dojedziemy aż do hotelu?
- Nie, tylko do Stacji-trzy.
- Co tam jest?
- Moja magiczna kryjówka.
- Tam zabierasz swoje dziewczyny?
- Tylko księżniczki.

Zaczynało zmierzchać i wagonik piął się w górę na tle migoczących świateł miasta. Jazmín, podekscytowana i nieco przestraszona wysokością, napawała się widokami, trzymając mnie pod rękę.

Gdy wpatrywała się w światła, ja przyglądałem się jej. Miała piękny profil, a jej ekscytacja była zaraźliwa. Po osiemnastu minutach dotarliśmy na szczyt. Wsiadłszy z wagonika, pokazałem jej to miejsce. Nie czuło się tam duszącego upału, jak w mieście. Jazmín stanęła na punkcie widokowym.

– Zostałabym tu na zawsze. Jest przepięknie, a ta dziwna cisza działa orzeźwiająco.

– Chodź. Chodź ze mną. – Wziąłem ją za rękę i poprowadziłem do budki. Przymocowane do ściany schody wiodły na dach.

– Wejdz, proszę.
– Co robisz? – spytała przejęta. – Zwariowałeś?
– Wejdz, księżniczko. – Na dachu był tylko materac, dwa krzesła i składany stolik. Na nim stały dwa kieliszki owinięte celofanem i butelka wina, którą zostawiłem tam rano. Odkorkowałem ją i nalałem jej wina, podczas gdy ona gładziła mnie czule po plecach.

– Wznoszę toast za lady Jazmín, najpiękniejszą księżniczkę, jaką znam.
– A ja za Ricarda, najbardziej szalonego rycerza, jakiego znam. – Wypiliśmy po kieliszku, urzeczeni miastem i jego światłami.
– A teraz chodź – powiedziałem, kładąc się na materacu. – Chcę ci coś pokazać.

Położyła się obok mnie. Gdy tak leżeliśmy, wskazałem niebo i powiedziałem:

– Spójrz na gwiazdy... z wyjątkiem tej, która lśni najjaśniej. – Pokazałem punkt na firmamencie. – Pewnego dnia wszystkie pozostałe będą twoje.

Pocałowała mnie w rękę, którą wskazywałem w niebo, i spytała:

– A dlaczego tamta nie?
– Bo to moja ulubiona gwiazda. To ty. Chcę wierzyć, że jest moja, marzyć, że należy do mnie.
– Już jest twoja...



Przez jakiś czas podziwialiśmy niebo. Jazmín opierała głowę na moim ramieniu. Nagle szepnęła mi do ucha:

– Ricardo, kochałeś się kiedyś z księżniczką?
– Tylko w marzeniach – odparłem, całując ją czule. – Co noc, odkąd cię poznałem...
– To zamknij oczy i śnij – poprosiła, pieszcząc mnie delikatnie. – Nie ruszaj się i nie otwieraj oczu – wyszeptwała.

Jej dłonie muskały pożądliwie moje ciało, mój brzuch. Najpierw był dotyk, powolny i zmysłowy, jak zapowiedź snu, który mi obiecywała. Rozpięła bez pośpiechu guziki mojej koszuli, ani przez sekundę nie przestając

mnie całować i pieścić każdego centymetra odsłanianej skóry, aż dotarła do miejsca, które pulsowało żądzą i pragnęło zjednoczenia z nią. Jej drobne dłonie przesuwały się bez wytchnienia po moim ciele, drażniły, kokietowały... aż w końcu, gdy sądziłem, że zaraz umrę, poczułem jej usta. Delikatne pocałunki, muśnięcia językiem, które doprowadziły mnie niemal do eksplozji, a wreszcie rozkoszne i cudowne ciepło jej warg wokół mojej nabrzmiałej żądz. Po kilku minutach, które zdawały się trwać wieki, poprosiła:

– Nie otwieraj oczu...

Słyszałem, jak się rozbiera. Otworzyłem oczy kierowany pierwotnym instynktem. Zobaczyłem nad sobą jej nagą sylwetkę. Pochyliła się nade mną, otarła sutkami o mój brzuch, przywarła ustami do moich warg i pocałowała mnie namiętnie. Poczułem, jak moje pulsujące krocze ociera się o ciepły otwór między jej udami. Instynktownie sięgnąłem tam ręką, ale powstrzymała mnie.

– Zaczekaj... Chcę, żeby twój pierwszy raz był niezapomniany.

Wsunęła drobną dłoń między nasze biodra, zawładnęła mną i poprowadziła do wrót swego sezamu. Nie pozwalając mi wejść, zręcznie i łagodnie okiełznała palcami moją namiętność i zaczęła delikatnie łączyć nas ze sobą. Ocierała się o mnie subtelnie, wzniecając jeszcze intensywniejszy ogień pożądania, który trawił nas i sprawiał, że nabrzmiewałem coraz bardziej. Kiedy myślałem, że serce pęknie mi z żądz, pochyliła się znowu i całując mnie czule i namiętnie, szepnęła:

– Teraz twoja kolej, mój zachwycający rycerzu... Moje ciało należy do ciebie. Korzystaj z niego, jak chcesz, bez ograniczeń. Chcę tylko, żebyś wszedł we mnie mocno, od razu do samej głębi. Chcę poczuć cię całego w środku. Chcę czuć przyjemność i ból. Nie przejmuj się, jeśli zobaczysz, że płaczę... No już, rycerzu, wejdź we mnie z całej siły.

Nie powiedziała nic więcej. Objąłem ją mocno i wniknąłem w najgłębszą czeluść jej ciała jednym, niemal brutalnym ruchem, a ona opuściła biodra. Odchyliła głowę i wyszeptowała tylko jedno słowo: „Boże!”

Zanurzałem się w jej ciele w intensywnym rytmie, jaki sama narzucała. Nie wiem, jak długo trwalіśmy złączeni, lecz jej jęki były coraz głośniejsze,

a ruchy coraz szybsze, coraz bardziej energiczne... Z oczu płynęły jej łzy, a nasze ciała były już mokre od potu, gdy poczułem skurcze w jej łonie. Drżenie jej pleców, napięcie nóg i wywierające na mnie ucisk spazmy dopełniły reszty. W końcu, nie mogąc dłużej się powstrzymać, eksplodowałem, zalewając jej łono gorącym strumieniem, który wywołał u niej kolejne dreszcze. Byliśmy oboje bez tchu, spleceni w uścisku.

Leżała na mnie, z głową na moim torsie. Dysząc ciężko, wyznała po chwili zamyślona:

– To było najbardziej intensywne doświadczenie, jakie kiedykolwiek przeżyłam. Jestem pewna, że nigdy już nie będę odczuwała takiej rozkoszy, namiętności i czułości, jak tej nocy. Nigdy – powtórzyła z przekonaniem.

– A ja, księżniczko, od tej chwili będę już zawsze nieszczęśliwy – odparłem.

– Dlaczego? – spytała.

– Ponieważ od dzisiaj, spotykając się z jakąkolwiek kobietą, będę porównywał ją z tobą i czuł się rozczarowany. Będziesz jak zjawą, obecna zawsze obok łóżka, która patrzy i mówi: „Wejź we mnie”.

– Mój rycerzu – powiedziała, całując mnie delikatnie i czule – jest na to sposób. Kochaj mnie mocno i zostań ze mną na zawsze.

5.

Od tamtej chwili zaczęliśmy widywać się codziennie i rozpoczęły się moje cierpienia. Nalegała, bym z nią zamieszkał i przestał sypiać w kinie. Konsekwentnie odmawiałem, mówiąc, że to ja chciałbym móc jej zaproponować przeprowadzkę do mnie. Marzyłem, by wyrwać ją ze świata, w którym żyła. Pewnego dnia powiedziała mi w kafejce, zasmucona i ze łzami w oczach:

– Wiem, dlaczego nie chcesz ze mną zamieszkać. Bo jestem dziwką.

Nie mogłem patrzeć na jej łzy. Wiedziałem, że kiedyś dojdzie do tej rozmowy, ale jeszcze nie byłem na nią przygotowany. Wyrzuciłem z siebie wszystko, co mnie dręczyło:

– Księżniczko, okłamałem cię. Nie masz pojęcia, jak krwawi mi serce za każdym razem, gdy z kimś idziesz. Przykro mi, nic na to nie poradzę. Nie byłem z tobą szczerzy. Nie jest mi to obojętne. Nie znoszę tych momentów. Cierpię nieopisane męki, myśląc, że jesteś z innym mężczyzną, że ktoś dotyka twojego ciała i muska twoje wargi. Nie mógłbym mieszkać z tobą i zostawać spokojnie w domu, gdy ty wychodzisz z innymi. Po prostu bym nie mógł. Chcę cię z tego wyzwolić, chcę, żebyś chodziła pod rękę tylko ze mną, chcę być panem twojego uśmiechu i twojej radości, ale nie mam ci nic do zaoferowania.

Milczała przez parę chwil, a potem odrzekła tonem wymówki:

– Zrobię dla ciebie wszystko. Będę pracowała gdziekolwiek. Musisz tylko powiedzieć „kocham cię” i obiecać, że nigdy mnie nie porzucisz.

„Nigdy mnie nie porzucisz...” Miałem wrażenie, że moje życie wiruje jak motyl między przykazaniami i słowami, które zupełnie przypadkowo były ze sobą sprzeczne. „Nigdy mnie nie porzucisz...” „Nie Kochaj”. To nie dawało się pogodzić. Jak można porzucić kogoś, kogo się kocha? Jak można nie kochać osoby, która cię nie porzuca?

Właśnie w tej kafejce, samotny w tłumie, po raz pierwszy przysięgłem kobiecie wieczną miłość. Miałem tego nie robić nigdy więcej... przynajmniej wtedy tak sądziłem.

Od tamtej przysięgi zaczęliśmy nowy etap życia. W ciągu następnych dni i tygodni nauczyłem się, że największy skarb dwojga ludzi to miłość, szczerłość, lojalność i marzenia.

Nadszedł dzień, gdy pierwszy raz wszedłem do jej mieszkania. Wcześniej nie chciałem tego robić. Już w drzwiach ostrzegła mnie z szelmowskim uśmiechem i błyskiem w oczach, który tak uwielbiałem:

– Nie przestrasz się zwierzaków. Są niegroźne.

Przygotowałem się na to, że skoczy na mnie jakiś pies albo będzie warczał u moich stóp.

– Jakie zwierzaki? Nigdy mi nie mówiłaś, że je masz.

Pocałowała mnie delikatnie i odparła żartobliwie:

– Bo nigdy nie pytałeś. – Przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi.

Wchodziło się tam jak do małego świata fantazji. Stare meble maskowały dziesiątki typowo kobiecych lub niemal dzieciennych drobiazgów zdobiących ściany i kąty. Na kanapie leżała bardzo poważna Różowa Pantera, tyle że żółta. Roześmiałem się i zauważyłem, rozpakowując rzeczy:

– Nigdy nie widziałem żółtej pantery.

– Nie bądź rasistą. Jest z Chin – odparła rozbawiona Jazmín.

Wszędzie pełno było pluszaków. Całe mieszkanie odzwierciedlało jej radosny charakter i złożoną osobowość. Z każdym dniem kochałem ją coraz bardziej. Na komodzie stało mnóstwo książek i zdjęcia bardzo pięknej kobiety o jasnych włosach i uśmiechniętej dziewczynki w otoczeniu koleżanek z drużyny sportowej. Zorientowałem się, że na jednej z fotografii jest jej

matka, a na drugiej ona, gdy uprawiała gimnastykę. Usiadłem na kanapie, a Jazmín przyniosła kieliszki, by uczcić moje przybycie. Wznieśliśmy toast za nas, po czym pokazała mi mieszkanie: jeden wielki pokój.

– Jesteś głodny? Mamy wino, ser i miłość – oznajmiła, wchodząc do małej kuchni.

Podążyłem za nią i zobaczyłem pluszaka w fartuchu, który trzymał drewnianą łyżkę. Uśmiechnąłem się.

– Podoba ci się? Nazywam go Szefem Kuchni.

– Jest fantastyczny.

Stałem za nią. Wyjęła z lodówki ser i gdy kroїła go na małe kawałeczki, układając je symetrycznie na talerzu, wpatrywałem się w nią zafascynowany. Miała lekko rozchylone pełne wargi, jej niemal idealną twarz rozjaśniał delikatny uśmiech, a krótka spódniczka podkreślała zmysłowe kształty.

Nie odwracając się, poczęstowała mnie przez ramię łykiem wina. Zacząłem całować jej szyję i pieścić biodra. Wsunąłem dłonie pod minispódniczkę i dotknąłem krocza. Westchnęła głęboko, zamknęła oczy i oparłszy ręce o blat, wygięła lekko plecy i uniosła biodra. Odbierając ten ruch jako milczące przyzwolenie, ukląknąłem za nią, odsunąłem jedwabny materiał, który bardziej uwypuklał, niż zasłaniał idealne krągłe kształty przedmiotu mojego pożądania, i zacząłem całować gorączkowo płatki tego kwiatu.

Jazmín, jęcząc z rozkoszy, domyśliła się, czego pragnę, rozsunęła lekko nogi i wyszeptwała namiętnie:

– Zrób to... Znasz już moje fantazje.



Mój skromny dobytek bez problemu zmieścił się w jej małym mieszkanku. Zrobiła mi miejsce na moje rzeczy.

– Mam tutaj rewolwer – powiedziałem. – Jeśli nie chcesz trzymać go w domu, zrozumieć to.

O nic nie zapytała i odparła spokojnie:

– Nie przejmuj się. Widziałam ich wiele. Włóż go do plecaka Marca.

– Do plecaka Marca? – Uśmiechnąłem się. – A kto to taki?

– Pluszowy bernardyn z plecakiem na grzbiecie. Siedzi obok Coco. Uprzedzając twoje pytanie: Coco to krokodyl z przerażoną miną, w kącie pokoju, obok lampy.

Czułem się jak w krainie czarów.

– A gdzie jest pluszak, którego ci podarowałem? – spytałem.

– Lew? Jest tam, gdzie powinien: w łóżku z Don Kichotem.

– Z kim?

– Z Don Kichotem. Czytam go co noc. Fascynuje mnie. Lew i Don Kichot śpią ze mną. – Po chwili namysłu poprawiła się: – Przynajmniej tak było do dziś...

Opowiedziała mi, że sypiała przy zapalonych światłach i w otoczeniu pluszaków, by odpędzić zjawy przeszłości i samotność.

– Powiniennem poznać jeszcze jakiegoś członka rodziny? – spytałem rozbawiony.

– Cóż... jest jeszcze żaba Szczęśliwy Feliks, Szef Kuchni i Hipo w łazience.

– Nie ma więcej pluszaków? Tylko te? – spytałem, udając zdziwienie.

– I ja... Jestem twoim pluszakiem.



Były to dni miłości i niepohamowanej namiętności, wyznań i obietnic. Wychodziliśmy razem, razem się kąpaliśmy, jedliśmy, spacerowaliśmy i snuliśmy plany... I jak to zwykle bywa, prawdziwa miłość zmienia ludzi. My także się zmieniliśmy. Łączyły nas odmienne losy, ale o podobnym charakterze. Samotność, którą dawniej można było wyczytać z naszych twarzy, zniknęła, a smutne myśli o przeszłości zostały zamknięte w szufladzie wspomnień, którą rzadko otwieraliśmy.

Myślę, że w dniu, gdy Pecas poznał księżniczkę Jazmín, pokochał również jej radość. Tamtego popołudnia szczególnie dużo mówiła i śmiała się, co było nieomylnym znakiem, że to spotkanie sprawia jej przyjemność. Myślę, że zaraził się jej nadzieją i optymizmem. Nadzieją, że być może w naszym życiu dokonuje się zmiana i przestajemy być niewidzialni. Skoro

Jazmín dostrzegła naszą obecność i potrafiła się przy nas śmiać, nie pytając, skąd przychodzimy, skoro potrafiła kochać braci z ulicy, istniała szansa, że może, mimo wszystko, świat nie jest taki straszny. Oznaczało to, że przestaliśmy być dziećmi i razem możemy stawić czoło przeznaczeniu.

Pewnego popołudnia Jazmín oznajmiła:

– Muszę wyjść. Wrócę szybko.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, pocałowała mnie i wyszła. Nie miałem czasu zapytać, dokąd się wybiera. Zostałem sam. Próbowałem skupić się na innych sprawach, żeby nie myśleć, gdzie się podziewa. Nie była to zazdrość. Martwiłem się, że chce szybko zarobić pieniądze. Pracowałem, ile mogłem, ale nasze oszczędności topniały. Tego się bałem. Powinienem był iść do pracy, ale tkwiłem na kanapie. Wydawało się, że żółta pantera, siedząca na jej drugim końcu, dzieli moje troski, spoglądając szklistym, nieruchomym wzrokiem.

Jazmín wróciła po dwóch godzinach i gdy otworzyła drzwi, uśmiechnięta jak zawsze, zdałem sobie sprawę, jak wiele dla mnie znaczy. Musiała dostrzec mój niepokój, bo podeszła i spojrzała mi w oczy. Uniosła nieco spódniczkę i usiadła mi okrakiem na kolanach, zbliżając swoją piękną twarz do mojej. Obdarzyła mnie długim pocałunkiem i spytała:

– Martwiłeś się? Myślałeś, że poszłam „pracować”?

– Tak myślałem, przyznaję.

– Spójrz mi w oczy, Ricardo. Nie masz czym się martwić, nigdy do tego nie wrócę, przenigdy – stwierdziła stanowczo. – Bardzo cię kocham i nie mogłabym już być z innym mężczyzną. Przedtem mogłam, bo nie miałam nikogo, potrafiłam udawać. Teraz już nie potrafię. Zmieniłeś mnie. Rozumiesz? Myślę, że ta miłość mnie odmieniła i ciebie chyba także. Nie wiem, czy potrwa długo, czy krótko. Może zakocham się na nowo, a może nie, ale jednego jestem pewna: nigdy nie wrócę na ulicę. Chcę być z tobą, jestem bardzo szczęśliwa. Są chwile, gdy czuję strach, że coś może się zmienić.

Po jej policzkach popłynęły dwie łzy. Nie mogłem patrzeć, jak płacze.

– Księżniczko Jazmín – powiedziałem, muskając wargami jej łzy – księżniczka nie płacze w obecności rycerza...

Znów się uśmiechnęła i objęła mnie, mówiąc:

– Wiem, ale właśnie spadłam z konia... – Zaśmiała się, po czym, rozejmionowana, spytała z nieoczekiwaną radością: – No dobrze, chcesz wiedzieć, co robiłam przez te dwie godziny?

– Umieram z niecierpliwości, żeby poznać twój sekret.

– A ja, żeby ci go wyjawić. Byłam na rozmowie w sprawie pracy i od przyszłego poniedziałku jestem nową przedstawicielką handlową firmy Suchards. Co ty na to?

– Suchards? Tej od czekoladek?

– *Yes, sir*. Tej samej. Będziesz mnie kochał, kiedy stanę się gruba i brzydka z powodu jedzenia zbyt dużej ilości czekolady?

– Nie sędzę, żebyś aż tak przesadziła. Podobno czekolada to afrodyzjak... Dlaczego nic mi wcześniej nie mówiłaś? Boże! Nie mogę w to uwierzyć. Czekoladka, która sprzedaje czekoladki... Zapewniam cię, że sprzedaż wzrośnie.

– Chciałam zrobić ci niespodziankę.

– Gratuluję, księżniczko Jazmín. Udało się pani. A teraz co zrobimy? Uczymy to?

– Natychmiast – powiedziała, pozwalając, by jej spódnica opadła zmysłowo na podłogę i ofiarowując mi to, co miała najlepszego: swoje piękne ciało.



Poszliśmy do kafejki Josuégó. Było to spokojne miejsce, mniej zatłoczone niż Café de París, ale bardzo przyjemne. Ustawienie stolików zapewniało większą intymność. Cały lokal był pełen roślin.

Josué, rosły i sympatyczny mężczyzna koło pięćdziesiątki, poznał Jazmín, gdy chadzała od kafejki do kafejki, i ją uwielbiał. Nie pociągała go fizycznie, gdyż miał chłopaka, ale gdy się pojawiała, zawsze do niej podchodził i czule się z nią witał. Podobnie jak innych, urzekał go jej uśmiech i roziskrzone oczy. Widząc ją ze mną, domyślił się, co nas łączy. Pewnej nocy podszedł do naszego stolika, przynosząc wino i dwa kieliszki. Postawił je bez słowa na blacie i oznajmił:

– Poczęstunek od firmy. Dla najszczęśliwszej pary w tej sali. Obyście państwo zawsze byli szczęśliwi. Zazdroszczę wam.

Oddalił się, zanim zdążyliśmy podziękować. Byłem zaskoczony, a Jazmín wzruszona.

– Wiesz, dlaczego tak nas ugościł?

– Myślę, że przypomniał sobie jakiś moment w swoim życiu, kiedy być może był równie szczęśliwy jak my.

– Zaczekaj... Nie podziękowaliśmy mu. – Zanim się zorientowałem, wstała, podeszła do Josuégo i mocno go uściskała i pocałowała. Byłem z niej dumny. Obejmując tego olbrzyma, wydawała się jeszcze drobniejsza niż w rzeczywistości i wzbudzała taką samą czułość, jak jej pluszaki.

Zastanawiałem się, jakim cudem mężczyźni, z którymi się spotykała, nie dostrzegali emanujących z niej radości i dobroci.

Gdy wróciła rozradowana, powiedziałem:

– Księżniczko Jazmín, kradniesz serca, gdzie tylko się pojawisz. Już wcześniej go zniewoliłaś, a teraz... teraz zapamięta cię na zawsze.

I tak było. Nigdy jej nie zapomniał...



Tydzień później wszedłem sam do kafejki Josuégo. Robił porządki za barem. Gdy się przywitaliśmy, rozejrzał się i spytał z uśmiechem:

– Gdzie moja mała?

– Przyjdzie za kilka minut.

Dostrzegłem na jego twarzy cień wątpliwości.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się.

– Tak, Josué. Wszystko dobrze, dziękuję.

Usiadłem przy tym samym stoliku co zawsze i patrzyłem przez okno na ulicę. Ludzie wracali pospiesznie z pracy, jakby poruszali się w takt jakiejś melodii. Otworzyły się drzwi i pojawiła się ona, jak zawsze z uśmiechem. Była w spódnicy do kolan, brązowej jak czekolada, i bluzce koloru kości słoniowej. Suchards. To był jej nowy służbowy strój, ale także oznaka szczęścia.

– Cześć, Cukiereczku... – powiedziałem, całując ją.

- Co powiesz? Jak się prezentuję?
- Na zewnątrz pięknie. A wewnątrz masz jak zwykle zachwycające.

W ciągu ostatnich miesięcy urosły jej włosy i związawszy je, wyeksponowała smukłą szyję. Była zachwycająca.

- Co się z tobą dzieje? – spytała.
- Jesteś śliczna i czuję nieodpartą pokusę, by pocałować cię w szyję.

Roześmiała się i nie zwlekając ani chwili, pochyliła głowę i zbliżyła szyję do moich warg. Tak zwyczajnie, tak uroczo. Gdy pocałowałem ją dwa razy, podniosła głowę i zrewanżowała mi się pocałunkiem w usta. Podeszedł do nas Josué. Przyznał nam się potem, że nie poznał Jazmín w jej nowym stroju i ze związanymi włosami i poczuł się bardzo niezręcznie, sądząc, że jestem z inną kobietą.

- Czy to ty, moja mała?! – wykrzyknął zdziwiony.

Zamiast odpowiedzieć, wstała z krzesła i okręciła się radośnie wokół niego.

- Podoba ci się, Josué?
- Moja mała... Jesteś śliczna... – Potem przyjrzał się uważniej jej strojowi. – Widzę, że zaczęłaś pracować. Co za radość, trzeba to uczcić.
- Zaczęłam dziś rano. I pasuje mi ta praca, Josué.
- Jeszcze to uczymy, moja mała. Teraz muszę iść, bo lokal zaczyna się zapelniać.

Gdy jedliśmy kanapki, relacjonowała mi szczegółowo, na czym polega jej praca. Musiała szybko wracać. Kiedy wychodziła, Josué podeszedł do nas, pocałował ją i oznajmił, jakby był jej ojcem:

- Nie masz pojęcia, jaki jestem z ciebie dumny...

Wyszliśmy z kafejki, trzymając się za ręce, idąc w tłumie milczących postaci, jak aktorzy z niemego filmu.

- Mam ochotę cię zjeść, pokroić na kawałeczki.
- Masz halucynacje – odparła przymilnie. – Jak Don Kichot, kiedy zaatakował bukłaki z winem.

Odprowadziłem ją do pracy. Była szczęśliwa. Kiedy przechodziła przez drzwi, zawołałem:

- Księżniczko Jazmín!
- Odwróciła się zaciekawiona.
- Wiesz, jak bardzo cię Kocham?
- Wiem...



W tamten weekend wjechaliśmy kolejką na górę. Jazmín miała urodziny i trzeba było to uczcić. Z pomocą Pecasa, pana Arévala, Agustína i Josuégo przygotowałem dla niej niespodziankę.

Hotel Humboldt na szczycie góry był oficjalnie zamknięty, jednak ponieważ należał do państwa, pozostawiono czynne trzy najwyższe piętra, by umożliwić korzystanie z nich politykom i osobistościom, sprowadzającym tam w ciągu dnia, a czasem także na noc, swoich przyjaciół i „przyjaciółki”. Jednak o tej porze roku prawie nikt nie wjeżdżał na górę. Nad miastem niemal bez przerwy wisiały chmury, które przesłaniały widok. Pan Agustín zdobył pozwolenie, by wykorzystać jeden z pokoi, i zorganizowaliśmy w nim małe przyjęcie. Josué zadbał o jedzenie i picie, które wspólnie z Agustínem dostarczyliśmy wcześniej na miejsce.

Był to specjalny apartament, przynajmniej kiedyś. Znajdował się w bocznej części hotelu. Z jednej strony widać było miasto, z drugiej zaś góry, a w oddali morze.

Na przyjęcie zostali zaproszeni Pecas, Josué, Arévalo, Agustín oraz najlepsza przyjaciółka Jazmín, Mónica, i czekali w tym cudownym miejscu, by zrobić jej niespodziankę. Jazmín wjeżdżała już parę razy kolejką na szczyt, ale po raz pierwszy miała dotrzeć aż do hotelu. Była podekscytowana. Ochroniarze, którzy znali nasz plan, zachowywali się, jak gdyby nigdy nic. Jeden z nich, Guido, bardzo dobrze odegrał swoją rolę. Zjawiwszy się w towarzystwie Jazmín, spytałem go, czy pozwoli nam wejść do hotelu.

- Dobrze wiesz, że to zabronione.
- Daj spokój, człowieku, tylko na parę minut. Chcę pokazać mojej dziewczynie, jak wyglądał ten hotel, zanim go zamknęli.
- No nie wiem – ochroniarz nie dawał za wygraną. – Będę musiał pójść z wami. Mam klucz tylko do drzwi jednego piętra. Pozostałe są zamknięte.

- Nie ma problemu, chodź.
- Ale tylko na parę minut – zastrzegł.

Gdy dotarliśmy do apartamentu, Guido otworzył drzwi i Jazmín weszła pierwsza. Główny salon wyglądał olśniewająco.

Podeszła do okna z widokiem na morze. Drzwi na taras były zamknięte.

- Jak tu pięknie – westchnęła.
- Nie mam klucza do drzwi na taras, ale z przyległego pokoju jest jeszcze lepszy widok... – rzekł Guido.

Jazmín otworzyła drzwi i... niespodzianka! Pokój wypełniły okrzyki radości. Josué wyściskał ją i złożył życzenia, jakby naprawdę była jego córką, a Mónica robiła zdjęcia, by upamiętnić tę chwilę. Jazmín promieniała radością. Wspominając to dzisiaj, myślę, że przeżywała wtedy najszcześniejsze chwile w życiu. Zjadłszy pyszny posiłek, bawiliśmy się doskonale, tańczyliśmy i opowiadaliśmy sobie historyjki i dowcipy. To było niezapomniane przyjęcie. O północy odprowadziliśmy wszystkich do wagonika kolejki. Stary Arévalo i Agustín pojechali z Josué, podczas gdy Jazmín i ja, stojąc w drzwiach, żegnaliśmy docinkami Monicę i Pecasa. Zjeżdżali na dół objęci i choć Pecas nigdy się do tego nie przyznał, jestem pewny, że tamtej nocy stracił dziewictwo. My zostaliśmy w hotelu. Wszystko było przygotowane, żebyśmy mogli spędzić tam noc. Pokój ozdobiły bukiety róż i jaśminu. Kochaliśmy się do świtu.

Wstaliśmy prawie w południe. Niebo było czyste i z tarasu widziałem samoloty, które nabierały wysokości po starcie z lotniska znajdującego się blisko morza. Wyznałem Jazmín, że marzę, by zostać pilotem.

– Chciałbym nauczyć się latać i zabrać cię ze sobą. Może pewnego dnia będziemy mogli kupić mały samolot i podróżować po całych Karaibach, od wyspy do wyspy. Co ty na to?

Ten pomysł ją zafascynował. Rozmawialiśmy o nim, dzieląc się najskrytszymi marzeniami. W końcu powiedziała:

– Obiecuj mi, że to zrobimy. Obiecuj, że bez względu na wszystko nauczysz się latać, zdobędziesz licencję pilota i polecimy razem poznawać nowe miejsca, jak na filmach.

– Obiecuję...



Dwa miesiące po przyjęciu, gdy spacerowaliśmy razem w pobliżu lotniska La Carlota, na wschód od miasta, Jazmín zobaczyła w jednym z okien trzypiętrowego budynku napis DO WYNAJĘCIA. Bardzo się tym przejęła i zapisała numer telefonu. Mieszkanko było niewielkie, a cena wynajmu przystępna. Od hałasu, który robiły startujące i lądujące niedaleko samoloty, drżały szyby w oknach, dlatego poprzedni lokatorzy postanowili się wyprowadzić. Właściciel chciał to mieszkanie wynająć i zaproponował Jazmín dobrą cenę. Przekonywała mnie, żebyśmy się tam przeprowadzili. Twierdziła, że to bardzo piękne miejsce, a mając w sąsiedztwie samoloty, nie zapomnę o obietnicy. Umówiliśmy się z właścicielem na oglądanie mieszkania i Jazmín oczarowała go, jak wszystkich. Obniżył nawet cenę, którą jej zaproponował. Przyjął bez problemów tytułem referencji to, że pracuje w firmie Suchards, a ja przy obsłudze kolejki linowej. Tydzień później przewieźliśmy furgonetką Josuégo nasze rzeczy i wielką rodzinę pluszaków i wprowadziliśmy się do nowego domu.

Zacząłem bywać w aeroklubie i tamtejszej kafejce. Wkrótce znał mnie cały personel i szef lokalu. Przez wiele tygodni tak bardzo nalegałem, że pozwolili mi w końcu pracować w nadgodzinach w zamian za bezpłatne lekcje. Początkowo miałem przychodzić tylko popołudniami. Kierownik wiedział, że muszę pracować także gdzie indziej, żeby starczyło mi na życie. Któregoś popołudnia, po trzech miesiącach, spytał mnie:

– Co robisz rano?

Poczułem się trochę niezręcznie, ale odparłem:

– Myję auta na parkingu na dworcu autobusowym i pracuję kilka nocy w tygodniu przy obsłudze kolejki linowej, ale tam mi nie płacą.

– Po co to robisz za darmo?

– Bo to piękne miejsce i pomagam przyjacielowi, którego bardzo cenię.

Zamyślił się, po czym zaproponował:

– Jeśli chcesz, możesz przychodzić pracować tu rano. Dostaniesz pensję nie taką, jak inni, ale z pewnością zarobisz więcej niż teraz.

Podziękowałem mu i powiedziałem, że poszukam zastępstwa na dworcu. Od razu pomyślałem o Pecasio. Z pewnością chętnie rzuci pracę na ulicy. Kiedy go spotkałem, zaskoczył mnie, oznajmiając, że dostał tymczasową pracę w warsztacie za miastem i że nie będzie go przez trzy miesiące. Był zadowolony. Wszystko zaczynało się zmieniać...

6.

– Że czego byś chciała? – spytałem ją, śmiejąc się.

Graciela była piękną kobietą o dobrym charakterze. Miała jasne włosy do ramion i regularne rysy. Wyglądała na osobę, która stawiała czoło życiu i zwyciężyła. Jej miodowe oczy wyrażały dojrzałość i pewność siebie kogoś, kto jest zadowolony ze swoich osiągnięć. Choć skończyła czterdzieści lat, jej figura zachowała naturalną elegancję, którą podkreślały torebki firmy Chanel i wytworna garderoba od Valentina.

Zanim ją poznałem, Jazmín opowiedziała mi, że pewnej nocy, gdy włączyła się jeszcze po ulicach, Graciela zatrzymała przy niej swój lśniący samochód i zaprosiła na przejażdżkę. Gdy się zgodziła, zabrała ją do swojego domu, rezydencji na wzgórzach w ekskluzywnej dzielnicy Vista Hermosa, gdzie brama otworzyła się przed nimi jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Wynajęła ją na kameralne przyjęcie. Powiedziała, że chce, by była pięknym prezentem-niespodzianką dla pewnego niezwykle subtelnego mężczyzny. Uspiała jej obawy, mówiąc, że to człowiek niezwykle subtelny i nieśmiały. Dom tej kobiety był bardzo luksusowy. Wprowadziła Jazmín do wytwornie umeblowanego pokoju. Z ogromnego łóżka z pościelą z błękitnej satyny widać było przez sięgające do podłogi okna światła miasta. Parkiet pokrywał biały dywan, który pieścił stopy. Były tam trzy telewizory i dziesiątki wmontowanych w sufit lampek o regulowanym natężeniu światła. Były również dwie

łazienki, damska i męska. Zanim Graciela wyszła z pokoju, zachęciła Jazmín, by skorzystała z jacuzzi.

– On przyjdzie za kilka minut...

Jazmín powiedziała mi, że rozebrała się i weszła do jacuzzi, ale czas mijał i nikt się nie zjawiał. Wtedy zaczęła podejrzewać, że są tam zainstalowane ukryte kamery, które śledzą każdy jej ruch. Naga, okryta tylko ręcznikiem, położyła się na łóżku na pachnących poduszkach. Prawie zapadała w sen, gdy wyczuła czyjąś obecność. Światła były przyciemnione i nie widziała wyraźnie rysów tego mężczyzny, ale zauważyła, że jest dobrze zbudowany, w średnim wieku. Zaczął pieścić jej biodra, a potem rozsunął delikatnie uda. Zamknęła oczy, starając się skupić, aby dobrze odegrać swoją rolę. Nagle poczuła dotyk ciała drugiej osoby, która zaczęła ją pieścić i całować jej piersi. Otworzywszy oczy, zobaczyła jasne włosy Gracieli przytykającej palec do ust, jakby chciała powiedzieć: „Zaczekaj... nic nie mów”.

Graciela oddawała się pieszczotom, przyglądając się podniecona, jak mężczyzna wchodzi w Jazmín. Musiało ją to bardzo ekscytować. Intymna scena trwała krótko, zaledwie parę minut, i zakończyła się jękami rozkoszy Gracieli i spazmami mężczyzny, który wykorzystał ciało Jazmín, by zaspokoić fantazje ich obojga.

Obdarzywszy ją prawie ojcowskim pocałunkiem, odszedł równie dyskretnie, jak się pojawił. Graciela została z nią w łóżku minutę dłużej. Pocałowała ją i oznajmiła szeptem:

– Jesteś piękna i masz wspaniałe ciało. Chciałabym zobaczyć pewnego dnia, jak kochasz się z kimś, kto ci się podoba. Dziękuję, że mnie uszczęśliwiłaś.

Jazmín powiedziała mi, że Graciela była dla niej bardzo hojna. Odwiozła ją do miasta i choć nigdy już nie odegrały podobnej sceny, często się widywały. Od czasu do czasu, zwłaszcza w weekendy, Graciela zapraszała ją na drinka albo kawę. Płaciła jej sowicie za rozmowy i z przyjemnością słuchała opowieści o życiu i spotkaniach z klientami. W końcu się zaprzyjaźniły, choć Jazmín wyznała jej, że czuje się niezręcznie, Kochając się z innymi kobietami.

Spotkawszy się tamtego dnia, nie widziały się już od dłuższego czasu i Graciela zapytała Jazmín, gdzie się podziewała. Opowiedziała jej, że nie pracuje już na ulicy, że jest zakochana i bardzo szczęśliwa.

Graciela słuchała jej podekscytowana i chciała wiedzieć, jak do tego doszło, jaki jestem i czy pozwoli, żeby popatrzyła, jak się kochamy.

– Fascynuje mnie obserwowanie, jak robią to inni – wyznała. – Chciałabym zobaczyć, jak się kochasz z kimś, kto wiele dla ciebie znaczy, kto daje ci rozkosz.

Stwierdziła, że gdy kogoś wynajmowała, jak ją tamtej nocy, miała świadomość, że to tylko gra, ale mimo wszystko odczuwała odprężenie i przyjemność. Powiedziała, że dałaby wszystko, żeby zobaczyć, jak kocha się ze mną, bo to byłoby coś prawdziwego, rzeczywistego. Tamtego popołudnia Jazmín opowiedziała mi o swoim spotkaniu z Graciela i jej fantazjach i spytała, czy zgodziłbym się, by była świadkiem naszego intymnego zbliżenia. Zaśmiałem się i spytałem zaciekawiony:

– A ty nie czułabyś się niezręcznie?

– Chyba nie. Jestem szczęśliwa, Kochając się z tobą, a ona jest moją bliską przyjaciółką... Skoro sprawia jej radość oglądanie prawdziwej namiętności, chciałabym jej to umożliwić. Tylko jeden raz.

Podeszła do mnie, musnęła moje usta kilkoma pocałunkami i wyszeptała:

– Niech zobaczy, jak słodki jest seks z kimś, kogo się kocha. Na pewno będziesz nią zachwycony, jest bardzo ładna... A odkąd jej o tobie opowiedziałam, obsesyjnie o tym myśli.

Byłem zaintrygowany i przyznam, że jej pomysł trochę mnie pociągał. Spytałem zaciekawiony:

– Mogłabyś mi zdradzić, księżniczko Jazmín, co powiedziałaś tej kobiecie, że tak obsesyjnie pragnie nas zobaczyć?

– To... to tajemnica.

– No już, mów, co jej opowiedziałas?

Zbliżyła się do mnie i szepnęła mi na ucho:

– Powiedziałam jej prawdę, że dzięki tobie sięgam do gwiazd, że jesteś jedynym mężczyzną, który sprawia, iż drzę... że mój rycerz ma najgrubszy i najwspanialszy miecz, jaki kiedykolwiek mnie przeszył, i gdy napiera na

mnie z całej siły, czuję, jak wypełnia każdy milimetr mego ciała, i krzyczę z bólu i rozkoszy... – odrzekła, śmiejąc się frywolnie.

– Nie wierzę, żebyś była zdolna powiedzieć jej coś takiego.

– Oczywiście, że tak, przecież to prawda. Dlaczego miałabym jej tego nie powiedzieć? Lubi słuchać takich rzeczy.

– I co odpowiedziała na takie wyznanie? – spytałem, bawiąc się jej włosami.

– Nic. Zniknęła na parę minut w toalecie i wróciwszy, przyznała się, że musiała sobie ulżyć, bo nie mogła się pohamować.

Jazmín była moją zachwycającą nauczycielką miłości. Nauczyła mnie, jak iść powoli, zamiast biec, jak pieścić, zamiast tylko dotykać, jak wchodzić zdecydowanie, gdy daje to satysfakcję, jak być czułym i delikatnym. Nauczyła mnie wykorzystywać wszystkie zmysły, uczyniła mnie zwierciadłem swoich emocji i pragnień. Była pięknym źródłem mojej namiętności. Każdego dnia czerpałem wiedzę z jej siły, szczerości i doświadczenia. Kiedy się kochaliśmy, oddawała mi się cała i zawsze pragnęła mnie nauczyć czegoś jeszcze...

Tydzień później poznałem Gracię i moje wątpliwości się rozwiały. Przyjechała w kostiumie koloru kości słoniowej, który okrywał jędrne ciało. Wszystko, co opowiedziała mi o niej Jazmín, było prawdą. Wydała mi się bardzo atrakcyjna. W jej zachowaniu i szczerym spojrzeniu było coś pociągającego, co sprawiło, że miałem wrażenie, jakbym znał ją całe życie. Zauważyłem, jak działało na nią to, gdy Jazmín i ja obejmowaliśmy się albo trzymaliśmy za ręce. Cieszyła się naszym szczęściem. Zaprosiła nas na niedzielę do swojej rezydencji. Powiedziała, że jest nieco przygnębiona i potrzebuje widoku radosnych twarzy. Dręczyła ją samotność.

Dom wyglądał tak, jak opisała go Jazmín. Była to majestatyczna rezydencja z eleganckim i przytulnym wnętrzem. Oprowadziła nas po niej, poczęstowawszy najpierw szampanem. Siedząc na tarasie, śmiałyśmy się z dowcipów, z całego świata i z siebie. Po dwóch godzinach zostawiła nas w tym samym pokoju, o którym opowiadała Jazmín. Zapewniła, że w domu nie ma nikogo, że cała służba dostała wolny dzień. Oddaliła się, mówiąc, że gdybyśmy czegoś potrzebowali, będzie w pobliżu. Jazmín promieniała

szczęściem. Wiedzieliśmy, po co tam przyjechaliśmy, i rozumiałem, że moja księżniczka miała rację: skoro tej sympatycznej kobiecie sprawi radość widok tego, jak się kochamy... niech korzysta.

Szaman podziałął na Jazmín. Zabawialiśmy się nadzy w sypialni i w jacuzzi. Jazmín zaczęła pieścić i całować delikatnie moją skórę. Powtarzała swój zwykły rytuał, ale z jeszcze większą namiętnością. Chłonęła moje ciało, doprowadzając mnie do szaleństwa, i kiedy już miałem w nią wejść, dołączyła do nas Graciela. Ubrana w przezroczystry szlafrok, który odsłaniał częściowo jej nagość, podeszła z uśmiechem i powściągając żądzę, pocałowała najpierw Jazmín, a potem mnie. Jazmín rozpoczęła tymczasem nade mną swój subtelny taniec. Uniosła się powoli, aż źródło jej namiętności znalazło się w zasięgu moich ust. Trzymała moją głowę między swoimi udami. Posmakowałem jej skóry i tego miejsca, przy którego muskaniu jęczała z rozkoszy. Graciela przestała się przyglądać i też zaczęła mnie pieścić. Poczulem ciepło jej ust na moim członku. Jazmín pozwalała, bym „torturował” ją językiem, obserwując równocześnie, jak Graciela mnie „pochłania”. Była bardzo pobudzona i jęczała coraz głośniejsze, ocierając się kroczeniem o moje usta. Czułem, że zaraz eksploduje. Osunęła się, muskając piersiami moją twarz, a gdy jej wargi znalazły się na wysokości moich, pocałowała mnie i wyszeptła błagalnie: „Już nie wytrzymam, wejdź we mnie”. Usłyszawszy to, Graciela nakierowała moją płonącą żądzę na wrota namiętności Jazmín, która, czując gorący dotyk, nie mogła się pohamować i uniosła gwałtownie biodra, gdy wtargnąłem w jej łono. Nasze ciała się złączyły. Jej krzyk rozkoszy obwieścił, że przeniknąłem ją do głębi. Nagle odsunęła się na bok, dysząc ciężko. Spojrzała na mnie rozogniona i rozumiałem, o co jej chodzi. Odwróciłem się do Gracieli, która, z zamkniętymi oczami, intensywnie sama się zaspokajała. Umieściłem jej ręce nad głową, by ją unieruchomić. Nie otwierając oczu, rozsunęła nogi i oddała mi się. Jazmín powtórzyła to, co zrobiła wcześniej Graciela: popieściwszy przez chwilę mój „wulkan”, umieściła go we właściwym miejscu. Wszedłem w Gracielę z taką samą intensywnością, do jakiej przyzwyczała mnie moja nauczycielka miłości. Zaciśnęła uda i wygięła się w łuk, jęcząc z rozkoszy. W ciągu kilku minut

ekspłodowała serią orgazmów, najsilniejszych, jakie kiedykolwiek czułem u kobiety. Drżała w ekstazie, przenikając mnie wibracjami, aż wytrysnąłem. Tamtej nocy spaliliśmy we troje w ogromnym łóżku...

Pewnie pragnęliśmy wszyscy zachować tę noc w pamięci jako coś szczególnego, bo nigdy więcej tego nie powtórzyliśmy.

Co ciekawe, to Jazmín poruszyła ten temat. Nawykła z powodu życia, jakie prowadziła, do chłodnej farsy udawanej miłości, wyznała mi, że choć sama zaproponowała to spotkanie i sprawiło jej przyjemność, czuła zazdrość, widząc, jak kocham się z Graciela. Przyjaciółka wzmogła jeszcze niechcący tę zazdrość uwagą, że była to najlepsza noc w jej życiu. Tydzień później podarowała nam mały samochód. Obydwoje potrafiliśmy prowadzić, ale nie mieliśmy prawa jazdy. Auto sprawiło nam wiele radości. W niedzielę jeździliśmy na plażę. Nie rzucaliśmy się w oczy między setkami pojazdów zmierzających nad morze. Wiedzieliśmy, iż w tłumie kierowców istnieje mniejsze prawdopodobieństwo, że nas zatrzymają. W tygodniu samochód stał na miejscu zarezerwowanym dla Many'ego na parkingu kafejki Josu'ego. Prawie go nie używaliśmy.

Po tamtej niedzielni widywałem Gracielę wiele razy. Zawsze byłem w towarzystwie Jazmín. Graciela lubiła widzieć nas razem. W ciągu tygodnia znikła, zajęta pracą, która stanowiła dla nas zagadkę. Wyczuwaliśmy jedynie, że to coś ważnego, ale nie zadawaliśmy pytań, a nasza dyskrecja najwyraźniej jej się podobała. Każde z nas miało prawo do tajemnic.

Graciela dawała nam dużo prezentów i to niepokoiło Jazmín. Sądziła, że jest samotna i chce nas tymi prezentami kupić. Pewnego dnia powiedziała do niej słodko:

– Nie musisz dawać nam prezentów, Gracielo. Bardzo cię kochamy taką, jaka jesteś, naprawdę. To, co zrobiliśmy tamtej nocy, było dowodem przyjaźni. Urzekłaś nas. – Potem dodała już poważniej: – Odczuwałam przyjemność, całując cię i patrząc, jak całujesz mojego ukochanego. Chciałam, żebyś dzieliła z nami coś pięknego, niezwykłego. Nieważne, jeśli świat uzna mnie za zdemoralizowaną. I wierz mi, że gdyby moje serce i moje pragnienia skłaniały się ku jakiejś kobiecie, z pewnością byłabyś nią ty.

Graciela przyglądała nam się z czułością. Słuchając Jazmín, bawiła się papierową serwetką. Od czasu do czasu podnosiła wzrok, jakby zawstydzona. Potem odparła spokojnie:

– Teraz ja wam coś powiem. Nie sędzę, by było coś złego w tym, co robiliśmy tamtej nocy. Jeśli ktoś popełnił występki, to tylko ja: uprawiałam seks z dwojgiem młodych ludzi, którzy mogliby być moimi dziećmi. Ale nie żałuję tego. Będę onanizowała się co noc, snując fantazje o tej kazirodczej miłości. – Uśmiechnąwszy się lekko, mówiła dalej: – Umrę przytłoczona moimi grzechami. Być może dziś, gdy tu siedzimy, obserwujący nas kelner myśli, że jestem matką, która towarzyszy swoim dzieciom... i w pewnym sensie tak jest, bo już stanowicie część mojego życia. Sprawia mi radość dawanie wam prezentów i nadal będę to robiła. Jesteście moją miłością. I pamiętajcie, że zawsze i wszędzie, gdy tylko będziecie w potrzebie, pomogę wam. Bardzo was kocham.

7.

Nie mam na imię Ricardo, ale to już wiecie. Przyjąłem je, bo moja księżniczka nazwała mnie Ricardo Corazón de León. Od tamtej chwili przedstawiałem się jako Ricardo León. Postanowiliśmy z Jazmín zataić nasze prawdziwe nazwiska. Nie mieliśmy złych intencji, chodziło tylko o to, by pozostać w ukryciu, z dala od wspomnień. Jazmín, moja słodka księżniczka, nazywała się naprawdę Lidia Blanco Keller. Po naszej pierwszej nocy spodobało jej się imię Jazmín i przy nim została. Nasz drogi przyjaciel Josué nazywał ją Radością. Żyliśmy jak we śnie, świadomi, że pewnego dnia możemy się obudzić. Jednak uwikłany w tę miłosną historię prawie zapomniałem, jak naprawdę mam na imię. Dlatego tamtego poranka, gdy wychodziłem po pracy z dworca, zmartwiałem, słysząc wołanie:

– Davidzie! Davidzie! – Nie wiedziałem, że to policjant, który poddawał mnie próbie, i wpadłem w pułapkę. Nie miałem czasu, by cokolwiek powiedzieć. Drugi policjant chwycił mnie pod ramię i oznajmił:

– Jesteśmy z policji. Aresztujemy cię.

Zrewidowali mnie i kazali wyjąć wszystko z kieszeni. Zabrali klucze i portfel. W ciągu paru sekund znalazłem się w radiowozie. Nie jechaliśmy długo. Policjanci nie zadawali mi żadnych pytań. Ja też milczałem. Po przybyciu do komisariatu zamknęli mnie w pokoju. Wkrótce zjawił się elegancko ubrany mężczyzna. Towarzyszyli mu dwaj inni. Nie wyglądał na policjanta, ale z jego ruchów i sposobu, w jaki się do niego odnosili, wywnioskowałem,

że jest wyższy rangą. Mógł być szefem. Odprawiwszy tamtych dwóch machnięciem ręki, przypatrywał mi się przez kilka chwil, po czym zapytał:

– Jak się nazywasz?

– Ricardo León – odparłem szybko.

– Posłuchaj, jestem inspektor Jordán Petit. Wiem, jak się nazywasz, nie traćmy więc czasu. Szuka cię dziadek. Jesteś na liście zaginionych.

Odczekał kilka sekund, nim zaczął mówić dalej, abym nabrał przekonania, że wszystko wie.

– Nie znam twojego dziadka, ale on zna gubernatora wyspy, na której się urodziłeś, a ten zna gubernatora tego miasta, który jest przyjacielem mojego szefa... Cały łańcuszek przyjaciół. Wyjaśniam ci to wszystko, żebyś zrozumiał, że wiele osób próbuje cię odnaleźć. Dziadek chce, żebyś wrócił do domu, bardzo się o ciebie martwi. Powiedział nam, że uciekając, zabrałeś rewolwer. Pragnie tylko twojego dobra. Powiedz mi tylko, gdzie jest broń. Nie chcemy, żeby ktokolwiek został ranny. Powiedz mi, gdzie trzymasz rewolwer, zabierzemy go i jutro odeślemy cię do domu.

Nie było sensu udawać, stało się jasne, że tylko opóźnię to, co nieuniknione, więc odparłem:

– Wyrzuciłem rewolwer do morza z promu.

– W porządku... Wyrzuciłeś go do morza. Doskonale. A teraz mi powiedz, gdzie masz swoje rzeczy? Gdzie mieszkasz?

– Nie mam domu, powinien pan to wiedzieć. Sypiam na dworcach.

– Nie wierzę ci, Davidzie. Bardzo schludnie wyglądasz. Nie mieszkasz na ulicy, tylko z kimś, i może nie chcesz mi zdradzić gdzie, bo tam jest broń. Miałeś w kieszeni klucze, myślę, że do mieszkania. Posłuchaj, co zrobimy. Powiesz mi, gdzie mieszkasz, pójdziemy tam i upewnimy się, czy mówisz prawdę, czy nie ukrywasz broni. Jeśli naprawdę jej tam nie ma, jeszcze dziś odeślę cię do dziadka na wyspę.

Pomyślałem o Jazmín. Było oczywiste, że nie wiedzą, gdzie mieszka. Na dworcu nie znali mojego adresu, a w aeroklubie mieli poprzedni. Policja najwyraźniej nie wiedziała, że pracuję tam popołudniami. Nie mogłem zaprowadzić ich do mieszkania, nie z powodu rewolweru, lecz ze względu na

Jazmín. Wyobraziłem sobie, jak przeszukują jej mieszkanie, dowiadują się, kim jest, i jakie mogłaby ponieść konsekwencje, gdyby się okazało, że przechowuje w domu broń. Nigdy bym jej tego nie zrobił.

– Nie mam domu – powtórzyłem z uporem. – Z nikim nie mieszkam.

– Synu, pozwól, że ci to dokładnie wyjaśnię. Broń jest zarejestrowana na twojego dziadka. Jeśli coś się wydarzy, on będzie za to odpowiadał. Nie chcesz chyba, by winili go za jakieś nieszczęście.

– Nie mam domu ani broni – powiedziałem, patrząc mu w oczy. Drażnił mnie jego tani paternalizm i to, że nazywał mnie synem.

– Dobrze, skoro się upierasz... Zawiadomię twojego dziadka i ktoś po ciebie przyjedzie. To może trochę potrwać. Moja oferta była lepsza. Teraz będziesz musiał zostać tu parę dni.

– Ile?

– Nie wiem. To zależy od twojego dziadka.

– Mogę porozmawiać z nim przez telefon?

– Jasne. – Wstał i nie pożegnawszy się, wydał polecenie, by zaprowadzono mnie do telefonu. Pół godziny później rozmawiałem z dziadkiem. Inspektor, czy kim on tam był, powiedział mu, jaka jest sytuacja.

– Davidzie, synu, gdzie jest rewolwer? Podobno nie chcesz go oddać.

– Nie jestem twoim synem i nie mam rewolweru. Wrzuciłem go do morza, a teraz każ im mnie wypuścić.

– Nie jesteś jeszcze pełnoletni, odpowiadam za ciebie.

– Już nie. Nigdy nie wrócę, a jeśli mnie zmusisz, znowu ucieknę.

– Jesteś bardzo zdenerwowany. Nie masz pojęcia, jak się o ciebie martwiliśmy.

– Kto? Moja matka i bracia odeszli, ojciec także. Kto się martwił?

– Chcę, żebyś wrócił i kontynuował naukę. Tu jest twój dom, synu...

– Czy ktokolwiek wrócił?

Odpowiedzią było milczenie.

– Współpracuj z policją. Powiedz im wszystko, co chcą wiedzieć. Porozmawiamy jutro, gdy się uspokoisz.

– Nie mam nic do powiedzenia...

Zostawili mnie w tym pokoju na całą noc. Przynieśli mi kawałek pizzy i butelkę wody, a potem materac. Najwyraźniej nie chcieli umieszczać mnie w celi. Powiedzieli, że gdybym potrzebował iść do toalety, mam zapukać w drzwi. Zostawili mnie samego. Nie spałem, wyobrażając sobie zmartwioną Jazmín, która na pewno mnie szuka. Nie mogłem się z nią skontaktować. W nowym mieszkaniu nie było telefonu, a gdyby nawet był, nie powinienem tam dzwonić, bo mogliby sprawdzić, dokąd dzwoniłem, i dotarliby do niej. Odkąd zamieszkaliśmy razem, nigdy się nie rozdzielaliśmy. Niepokoiłem się coraz bardziej, myśląc, jak ona się martwi. Następnego dnia wyprowadzili mnie z pokoju, żeby zrobić zdjęcia i pobrać odciski palców.

– Nic nie zrobiłem. Po co zdjęcia i odciski?

– Nie do rejestru zatrzymanych, tylko do dowodu tożsamości. Nie masz żadnego, a komisarz i twój dziadek chcą, żebyś miał się czym wylegitymować.

Pozwolili mi pójść do toalety, a potem zabrali z powrotem do biura. Nikt ze mną nie rozmawiał ani o nic nie pytał. Gdy w południe zacząłem walić do drzwi, zjawił się jakiś inspektor. Stanąwszy w progu, zapytał:

– Przypomniałeś sobie, gdzie jest rewolwer?

– Wrzuciłem go do morza, już mówiłem.

Spojrzał na mnie i rzekł:

– Trzy dni. Inspektor może cię tu trzymać przez siedemdziesiąt dwie godziny, zanim przekaże cię władzom twojego kraju... I wierz mi, jeśli nie powiesz mu tego, co chce wiedzieć, odsiedzisz ten czas co do minuty.

I faktycznie, trzymał mnie tam przez trzy dni. Pojawiwszy się, oznajmił, że zanim po mnie przyjadą, może minąć jeszcze dużo czasu.

– Chcę rozmawiać z dziadkiem. Proszę...

Wyszedł bez słowa. Dwie godziny później zaprowadzono mnie do telefonu. Było już połączenie i komisarz powiedział tylko:

– Mów, słucha cię. – I zostawił mnie samego.

– Dziadku, jak długo jeszcze mam tu siedzieć? – spytałem.

– Przyjadą po ciebie jutro – odparł.

Wpadłem w gniew. Próbowałem się opanować, ale na myśl o Jazmín wybuchnąłem:

– Posłuchaj, dziadku, chcę natychmiast stąd wyjść! Każ im mnie wypuścić. Jeśli tego nie zrobisz, opowiem temu inspektorowi i każdemu, kto będzie chciał słuchać, dlaczego moja matka uciekła z domu i dlaczego ojciec chciał strzelić sobie w głowę z rewolweru, którego tak szukasz. Wiem wszystko, dziadku, i to wyjawię. Daję ci pół godziny... Żegnaj.

Zaprowadzili mnie z powrotem do biura. Mój gniew ustąpił miejsca melancholii. Kufer, w którym zamknięte były tajemnice, został otwarty i duchy przeszłości zjawiły się przy mnie, przynosząc wspomnienia.

Po krótkim czasie drzwi się otworzyły. Inspektor dał mi znak, bym wyszedł, i odprowadził na ulicę. Tam przystanął, wyjął z kieszeni dowód tożsamości z moją fotografią i wręczył mi go.

Potem oddał mi klucze i portfel, mówiąc:

– Masz dowód, żebyś nie zapomniał, jak się nazywasz i kim jesteś... – Uśmiechnął się złośliwie. – Jesteś wolny.

8.

Kluczyłem po ulicach ponad godzinę, żeby się upewnić, czy mnie nie śledzą. Czułem się jak uciekinier, który w każdej chwili spodziewa się, że go zatrzymają. W końcu się uspokoiłem, sądząc, że grożenie dziadkowi odniosło lepszy skutek, niż oczekiwałem. Przypuszczałem, że o tej porze Jazmín powinna być w pracy. Znalazłem telefon i zadzwoniłem do działu sprzedaży Sucharda. Jazmín zostawiła mi swój numer na wypadek, gdybym potrzebował się z nią skontaktować.

- Jazmín? – zapytałem, pragnąc usłyszeć jej głos.
- Przykro mi, ale w naszym dziale nie pracuje nikt o tym imieniu. Natychmiast się poprawiłem, mówiąc:
 - A Lidia Keller?
 - Ach! Tak, pracuje tutaj, ale nie było jej wczoraj ani dziś.
 - Bardzo dziękuję.

Pewnie mnie szuka, pomyślałem. Poszedłem do domu i otworzyłem drzwi, czując zarazem niepokój i radość, ale jej nie było. Zajrzałem do kafejki Josuégo. Musiała zostawić tam dla mnie wiadomość. Josuégo nie zastałem, ale wyraz twarzy jednego z kelnerów zdradzał, że coś jest nie w porządku. Zobaczyłem w głębi sali Many'ego i ruszyłem w jego stronę. Jako partner Josuégo wiedział o wszystkim, co działo się w lokalu.

- Cześć, Many. Wiesz, gdzie jest Josué? Widziałeś Jazmín?
Zbladł, rozglądając się, jakby szukał pomocy, a potem powiedział:

– Wszędzie cię szukaliśmy. Jazmín... miała wypadek. Jest w szpitalu Del Valle.

– Jak to? Co się stało? Czy to coś poważnego?

– Nie wiem... Lepiej, żebyś tam pojechał. Josué jest z nią.

Nie mógł powiedzieć więcej, tak był roztrzęsiony. Wybiegłem na ulicę i złapałem taksówkę. W ciągu paru minut dotarłem na miejsce. Zapłaciłem taksówkarzowi i wbiegłem po schodach, nie przystając, by złapać, oddech. Zapytałem o nią. Była na oddziale intensywnej terapii. Pojechałem windą i podszedłem do recepcji.

– Chodzi mi o Lidię Blanco Keller. Chcę wiedzieć, w jakim jest stanie.

– Musi pan chwilę zaczekać. Jest pan jej krewnym?

– Narzeczonym. Gdzie ona jest?

– Jest tutaj, ale będzie pan musiał zaczekać, aż przyjdzie lekarz i wyjaśni panu, jaka jest sytuacja.

– Chcę ją zobaczyć.

– Rozumiem, ale teraz nie ma odwiedzin. Musi pan poczekać na lekarza. – Widząc moje przygnębienie, dodała łagodniej: – To potrwa tylko chwilę.

Wtedy zobaczyłem Yolandę i podbiegłem do niej. Poznała mnie, choć od dawna się nie widzieliśmy.

– Co ci jest, siostrzeńcu?

Wyjaśniłem jej wszystko, byłem zrozpaczony.

– Chodź ze mną – powiedziała.

Poszliśmy długim korytarzem. Gdy Josué nas zobaczył, podszedł natychmiast i mnie uściskał. Nie mógł mówić, był zbyt przejęty.

– Co się stało, Josué?

– Z moją małą jest bardzo źle... Gdzie się podziewałeś?

Zanim zdołałem odpowiedzieć, Yolanda podeszła do nas w towarzystwie lekarki.

– Co jej jest? – dopytywałem się. – Co się stało?

– Przywieźli ją wczoraj. Została brutalnie napadnięta. Ma kilka złamanych żeber, jedno przebiło płuco. Śledziona jest uszkodzona. Ma też uraz czaszki, który spowodował wewnętrzne krwawienie. Robimy, co w naszej mocy. Teraz jest nieprzytomna. Wczoraj się ocknęła i pytała o Ricarda Leona.

Trudno ją było zrozumieć. Potem znów zapadła w śpiączkę i już się nie obudziła. Najbliższe godziny będą decydujące...

- Mogę ją zobaczyć?
- Jest pan jej krewnym?
- Jestem Ricardo, jej narzeczony. To o mnie pytała.
- Proszę pójść ze mną.

Są takie dramatyczne chwile, o których z czasem zapominamy. Ale jeszcze dziś pamiętam bardzo dobrze, jak wstrząsnął mną jej widok. Miała obandażowaną głowę i podłączoną kroplówkę. Oddychała powoli z pomocą respiratora. Nigdy nie odczuwałem takiego bólu. Podeszedłem do niej i wziąłem ją za rękę. Być może dotyk jej skóry sprawił, że pojąłem w pełni, co się stało. Płakałem w milczeniu, aż w końcu Yolanda mnie objęła.

– Chodź, siostrzeńcu, odejdz na chwilę, musisz porozmawiać z twoim przyjacielem. Może przy niej być tylko jedna osoba z rodziny. On nie opuścił szpitala, odkąd ją przywieźli. Powinieneś z nim pomówić.

Wyszedłem na korytarz. Josué siedział z poszarzałą twarzą. Ten człowiek płakał nad moją księżniczką i był przy niej zamiast mnie.

Byłem mu głęboko wdzięczny.

– Josué, co się stało? – Starałem się mówić spokojnie, żeby nie załamała się jeszcze bardziej.

– To moja wina. Ponieważ nie wróciłeś do domu, poszła cię szukać. Na dworcu autobusowym, w aeroklubie, w kinie... Wstąpiła do mnie i prosiła, żebym poszedł z nią na stację kolejki spytać o ciebie Agustína. Nalegała, żebyśmy podjechali do Stacji-trzy. Martwiła się i chciała mieć pewność, że cię tam nie ma. Sądziła, że coś ci się stało. Pytała w szpitalach i na policji, ale powiedzieli jej, że nic o tobie nie wiedzą. Wszędzie zostawiła wiadomości dla ciebie, aż w końcu przyszła do kafejki. Następnego dnia była jeszcze bardziej zrozpaczona i przygnębiona. Została z nami do drugiej w nocy. Jej radość zgasła. Powinienem był odprowadzić ją do domu. Zadzwonili do mnie ze szpitala o piątej nad ranem. W portfelu miała moją wizytówkę. Przyjechałem natychmiast i dowiedziałem się, że jest w ciężkim stanie. Wczoraj odzyskała przytomność, wzywała cię, a potem znów zapadła w śpiączkę i więcej się nie obudziła. Siedzę tu cały czas.

- Czy wiesz, co się stało?

– Wczoraj była tu Mónica. Powiedziała, że spotkała Jazmín, że pytała ją o ciebie. Jazmín mówiła, że idzie do domu, żeby sprawdzić, czy wróciłeś. Opowiadała, że zauważyła samochód, który zatrzymał się obok. Wyglądało na to, że siedział w nim ktoś, kogo znała. Chciał, żeby Jazmín z nim pojechała, ale odmówiła. W samochodzie był jeszcze drugi mężczyzna. Wsadzili ją do auta siłą i odjechali. Mónica zadzwoniła na policję. Zachowała się jak należy. Powiedziała, że dziewczyny były bardzo przybite. Wszystkie wiedziały, że przestała pracować na ulicy, a wiesz, że w głębi duszy się cieszą, gdy któreś z nich udaje się uciec z półświatka. Mónica jest przerażona.

– Dzięki, Josué. Idź do domu i odpocznij. Ja tu zostanę. Zadzwoń, gdy będę coś wiedział, obiecuję.

– Wybacz mi... Powinienem był odprowadzić ją do domu.

– Zapomnij o tym, Josué. To nie twoja wina.

Wstał i objął mnie na pożegnanie. Zanim odszedł, spytał:

– Wiesz, jak zawiadomić jej rodzinę? Pytali mnie o to.

– Spróbuję skontaktować się z jej matką – powiedziałem bez przekonania. – Jeszcze raz dziękuję, Josué.

Nagle, patrząc błędnym wzrokiem, oznajmił:

– Nie całe życie byłem gejem, wiesz? Miałem śliczną córeczkę. Była uosobieniem radości, jak moja mała. Byłaby teraz w jej wieku... Straciłem ją...

Nie mówiąc nic więcej, poszedł do windy.

Przez chwilę nie ruszałem się z miejsca, chciałem uporządkować myśli. Potem wszedłem do sali i usiadłem na brzegu łóżka. Widząc Jazmín w takim stanie, czułem, że pęka mi serce. Nie mogłem pojąć, jak ktoś mógł zrobić coś takiego właśnie jej, przecież była uosobieniem radości. Jedynym aktem przemocy, którego dopuściłem się w życiu, było rozbicie szyb w samochodzie brata Varillasa.

Rodzice nigdy mnie nie bili i nigdy nie widziałem, by byli agresywni wobec siebie. Rodzina dała mi wychowanie, jakiego nie daje szkoła, najlepsze, bo w dzieciństwie i w życiu bazujemy na wzorach i przykładach. Nigdy nie uznawałem przemocy za sposób radzenia sobie z problemami, jakiegokolwiek by były.

Następnego dnia wróciłem do domu. Josué zastąpił mnie, żebym mógł

doprowadzić się do porządku. Po drodze myślałem, że nawet bez zgody Jazmín muszę skontaktować się z jej rodziną. Ktoś gdzieś na pewno się o nią martwi.

Nagle zdałem sobie sprawę, jak mało o sobie wiedzieliśmy. Znałem tylko jej nazwisko i widziałem zdjęcie matki, która wspominała ją pewnie w dniu urodzin i w Boże Narodzenie i może opłakiwała jej nieobecność. Szukałem, jak robią to w filmach, pudełka po butach. Zawsze jest jakieś ukryte w szafie. Chowamy w nim przed wścibskimi spojrzeniami naszą przeszłość.

Znalazłem je w kącie na poddaszu. Nie było to pudełko po butach, lecz czerwona szkatułka z mosiądzu. Nie było w niej pamiętnika, kosmyka włosów ani zdjęć, tylko parę zapisanych kartek złożonych na pół i noszących różne daty. Były to listy napisane przez kochającego ojca. Nic nie wskazywało na to, skąd przyszły. Jazmín wspomniała mi kiedyś, że przechowuje listy od ojca, że tylko one jej po nim zostały. Nie znalazłem adresu ani numeru telefonu jej matki czy kogokolwiek z rodziny. W notesie miała zapisane tylko telefony przyjaciółek i znajomych, ale żadnego z krewnych. Nie dziwiło mnie to. Jazmín była moim lustrzanym odbiciem i może dlatego tak dobrze się rozumieliśmy. Postanowiłem zadzwonić do Gracieli. Dla niej będzie to miało znaczenie.

- Gracielo, Jazmín jest w szpitalu. W stanie śpiączki.
- Boże! Co się stało?

Opowiedziałem jej wszystko. Wydawało mi się, że na drugim końcu linii usłyszałem stłumiony szloch.

- W którym jest szpitalu?
- Del Valle.
- Już tam jadę.

Szedłem szpitalnym korytarzem, korytarzem udręki. Znałem jego tajemnice, a on moje. Płyty posadzki w szarym kolorze smutku przypominały niewielkie szuflady, do których, idąc, można wkładać wszelkie racje, przyczyny i winy. Szczególnie winy. Było tam dużo miejsca. Dziewięćdziesiąt niewielkich szuflad, sześćdziesiąt na sześćdziesiąt. Można było umieścić tam winnych. Ja czułem się tak bardzo winny, że powinienem być pierwszy, gdyż nie byłem przy niej i jej nie obroniłem. Policja była winna, bo mnie

zatrzymała, dziadek, ponieważ mnie szukał, Josué dlatego, że jej nie odpro-
wadził, Pecas, bo wyjechał z miasta do pracy, a Mónica, ponieważ nie krzy-
czała wystarczająco głośno. Zalała mnie fala gniewu i żalu tak gwałtowna,
że musiałem oprzeć się o ścianę.

Graciela zjawiała się, jakby była dowódcą pułku kawalerii, przybywające-
go na odsiecz swoim żołnierzom. Mnie bardziej niż kiedykolwiek zaimpono-
wała jej stanowczość, siła i lojalność.

Podeszła, uściskała mnie i powiedziała:

– Witaj, serduszek. Nie martw się. Po rozmowie z tobą zadzwoniłam do
szpitala i powiedzieli mi, w jakim jest stanie. Sprowadziłam znajomych le-
karzy. Zabierzemy ją do prywatnej kliniki. Karetka jest już w drodze.
Chodźmy ją zobaczyć.

Nie byłem przygotowany na to, jak Graciela zareaguje na widok Jazmín.
Minęło już kilka dni, ale na jej twarzy pozostawały ślady pobicia. Zobac-
zywszy ją, zakryła usta ręką, aby powstrzymać szloch, i podeszła bliżej.
Wzięła Jazmín za rękę i płakała bezgłośnie. Jej cierpienie było tak wielkie,
że nikt nie ośmielił się odezwać. Potem wycofała się, by mogli wejść leka-
rze. Byli to znani specjaliści i personel szpitala traktował ich z szacunkiem.

Graciela chwyciła mnie za rękę i wyszliśmy na korytarz. Objęła mnie,
pytając wzrokiem: kto to zrobił i dlaczego? Jedna z pielęgniarek szła koryta-
rzem z dokumentami i zobaczywszy nas, zapytała:

– Jesteście państwo krewnymi panny Keller? Ktoś musi podpisać prośbę
o przeniesienie do innej kliniki.

Graciela odzyskała pewność siebie i odparła zdecydowanie:

– Jestem z rodziny. Gdzie trzeba podpisać?

Pielęgniarka nie zadawała więcej pytań. Wkrótce lekarze wyszli z sali.
Jazmín była gotowa do przewiezienia.

Graciela przejęła kontrolę nad sytuacją, która mnie przerosła. Kiedy wy-
chodziliśmy, spojrziałem na płyty na posadzce i pomyślałem: jeszcze jedno
przewinienie, może powinienem był wezwać kawalerię wcześniej. Kilka
minut później Jazmín leżała w karetce. Graciela nadal była bardzo zdener-
wowana i poprosiła, bym poprowadził jej samochód. Gdy jechałem tuż za
karetką, płakała bezgłośnie. Pomyślałem, że los narzuca nam, bez możliwości

wyboru, rodziców, braci i innych krewnych i że wybierać możemy tylko przyjaciół. Graciela okazała się wspaniałą przyjaciółką.

Zrozumiałem wtedy to, co stary Matías powiedział mi na ławce w parku: „Jeśli jedni cię nie kochają, zastąpią ich inni. Korzystaj z tego, dziel się miłością, kochaj ludzi, którzy odwzajemniają twoje uczucia”.



Pewnej nocy, idąc do kliniki, natknąłem się na Mónicę. Nie widziałem jej, odkąd przyszła nam przynieść odbitki zdjęć z przyjęcia urodzinowego Jazmín w hotelu Humboldt. Uściskała mnie i nie mogła powstrzymać łez.

– Współczuję ci, Ricardo, tak bardzo ci współczuję. Pobiegałam jej na pomoc, kiedy zdałam sobie sprawę, co się dzieje, ale wszystko stało się tak błyskawicznie. Krzyczała, gdy mężczyzna, który wysiadł z samochodu, wciągnął ją siłą do środka, a kierowca mu pomagał.

– Widziałas ich przedtem?

– Nie zauważyłam twarzy kierowcy, ale ten drugi był wysoki i silny. Miał około trzydziestki. Nie rozpoznałam go, ale nie wiem dlaczego, wydało mi się, że to policjant.

– Policjant? – powtórzyłem zdziwiony.

– Chyba dlatego, że wepchnął ją do samochodu w taki charakterystyczny sposób. No wiesz, kiedy wsadzają zatrzymanego do radiowozu, każą mu pochylić głowę. Tak postępuje policjant.

– Pamiętasz numer rejestracyjny albo markę samochodu?

– Było ciemno. Wiem tylko, że numer kończył się na trzydzieści osiem, a samochód był biały i dwudrzwiowy, z czarnym dachem. Jak wóz Włocha z pizzerii, tyle że czarno-biały. Jak się czuje Jazmín?

– Nie odzyskała jeszcze przytomności. Ale odzyska – powiedziałem z przekonaniem. – Na pewno.

– Mogę w czymś pomóc?

– Mónico, gdybyś znowu zobaczyła ten samochód, zwróć uwagę na numer rejestracyjny. Jeśli będzie się kończył na trzydzieści osiem, tak jak mówisz, zanotuj pozostałe cyfry i daj mi znać. Popołudniami i nocami zawsze jestem w szpitalu. Albo zawiadom Josuégo lub Many'ego, nie zapomnij... Uważaj na siebie.

– Ricardo, jestem pewna, że wszystkie dziewczyny pomogą ich znaleźć. Nie znasz ich, ale wiele z nich zna ciebie. Jesteś rycerzem Jazmín, który zabrał ją z ulicy, jak bohater z filmu. Niejedna z nas marzy o tym, by spotkać kogoś takiego, i wierz mi, nie musi być przystojny ani bogaty, byle nas kochał i szanował bez względu na to, kim byliśmy. Ci, którzy napadli na Jazmín, to bydlaki. Rozpuszczę wici i ich znajdziemy. Ucałuj ją ode mnie. Jutro do niej przyjdę.

– Dziękuję. Pilnuj się.

Dotarłszy do kliniki, musiałem chwilę poczekać, bo właśnie trwał obchód i nie wpuszczano odwiedzających. Usiadłem zamyślony na krześle w korytarzu. Osoba siedząca obok mnie spytała:

– Jest pan katolikiem?

– Słucham?

– Pytam, czy jest pan katolikiem. Czasem obecność księdza pomaga.

– W czym? Udzieli ostatniego namaszczenia? Nie, dziękuję, ona nie jest katoliczką. Będzie żyła – powiedziałem rozdrażniony.

Yolanda, gdy miała wolny czas, wpadała do kliniki i spędzała ze mną godzinę lub dwie. Opowiadała mi o swojej rodzinie, o problemach i próbowała wywołać uśmiech na mojej twarzy. Chociaż pracowała w innym szpitalu, wszyscy ją znali. Od tamtego dnia, gdy stanęła w mojej obronie, stała się dla mnie kimś szczególnym. Miałem wrażenie, że znamy się całą wieczność. Pewnej nocy powiedziała bardzo poważnie:

– Nie jest dobrze. Nie reaguje. Jej stan jest stabilny, ale nie reaguje. Lekarze obawiają się, że może upłynąć dużo czasu, zanim się obudzi, albo nie obudzi się nigdy.

Co noc siadałem przy Jazmín i z nią rozmawiałem. Wierzyłem, że mnie słyszy, że jakaś część jej mózgu nadal funkcjonuje. Trawił mnie ból i przerażała możliwość, że już nie odzyska świadomości.

– Książniczko, jestem tutaj, przy tobie. Pozostanę, dopóki się nie obudzisz. Musisz się obudzić, nie umiem bez ciebie żyć. Skradłaś mi serce i będę twój na zawsze. Skradłaś serca wszystkim. Gdy wszedłem dziś rano do mieszkania, zastałem za drzwiami płaczącego Coco. „To krokodyle lzy”,

powiedziałem, a on odparł, że są prawdziwe. Że bardzo za tobą tęskni. Wszyscy za tobą tęsknią. W aeroklubie pozwalają mi ćwiczyć na symulatorze, więc szykuję się powoli do chwili, gdy kupimy mały samolot i polecimy w podróż po Karaibach. Będziemy latali nocą, bardzo wysoko, aby widzieć gwiazdy w całym ich blasku. Wróc do mnie...

9.

Był kwadrans po dwudziestej trzeciej. Pamiętam to dokładnie, bo o tej porze pielęgniarki zaczynały ostatni obchód na swojej zmianie. O północy zastępowały je inne. Jedna z pielęgniarek podeszła do mnie i powiedziała:

– Jakaś kobieta pyta o ciebie na dole w recepcji. Mówi, że ma na imię Mónica. Chce natychmiast z tobą rozmawiać.

Zjechałem windą na dół. Mónica była przestraszona i zdenerwowana.

– On jest w Odysei!

Nie musiałem pytać, o kim mówi. Strach na jej twarzy wyjaśniał wszystko.

– Przyszedł przed kwadransem. Wzięłam taksówkę. Samochód stoi na parkingu przed lokalem. – Drżącymi rękami wyjęła z torebki kawałek papieru i mi go wręczyła. Był na nim zapisany tylko numer rejestracyjny samochodu: PEG-238.

– Zostań z Jazmín.

– Co zamierzasz zrobić?

– Nieważne. Nie martw się.

– Uważaj, Ricardo! – krzyknęła za mną.

Odyseja była barem-dyskoteką, zwykle zatłoczonym do świtu. Pojechałem tam taksówką. Zaczynało padać. Kazałem taksówkarzowi stanąć na rogu ulicę wcześniej i poszedłem powoli w kierunku lokalu. Ludzie cisnęli się do drzwi, by wejść jak najszybciej i nie zmoknąć. Parę osób wychodziło z parkingu.

Wszedłem na parking i odszukałem samochód z rejestracją PEG-238. Stał na drugim piętrze, w rogu. Musiałem zadbać przede wszystkim o to, by nie odjechał. Przykucnąłem, udając, że zawiązuję sznurówki, i końcówką kluczyka wcisnąłem wentyl w prawym kole. Głośny syk uciekającego powietrza uspokoił mnie. Opona sflaczała. Samochód był unieruchomiony! Ruszyłem do drzwi. Wyszedłem z parkingu jak gdyby nigdy nic i skręciwszy za róg, przyspieszyłem kroku. Do mieszkania miałem około piętnastu przecznic, ale idąc na skróty, przez pasaż i park, mogłem dotrzeć tam bardzo szybko.

Biegłem w coraz bardziej ulewnym deszczu. Z każdym krokiem narastała we mnie determinacja i gniew. Przebieg wydarzeń, który odtworzyłem na podstawie relacji Móniki, to, co powiedzieli mi lekarze i cierpienia Jazmín popychały mnie do działania. Chciałem spojrzeć tym ludziom w twarz i zapytać, czym zawiniła moja księżniczka, by zasłużyć na taki los? Gdy byłem przecznicę od mieszkania, miałem już w rękach klucze. Światła pasa startowego lotniska lśniły w mroku. Otworzyłem bramę i nie zamknąłem jej za sobą. Wbiegłem po schodach. Wszedłszy do mieszkania, stałem przez chwilę pochylony z rękami opartymi na kolanach, by złapać oddech po szybkim biegu. Odszukałem Marca, pluszowego bernardyna, który ukrywał w plecaku mój rewolwer. Nie musiałem go sprawdzać. Wiedziałem, że jest naładowany. Wziąłem notes i kilka długopisów, zatrzasnąłem drzwi i zbiegłem, przeskakując po dwa schody, na dół. Nie przystanąłem ani na chwilę.

Z dachów lała się woda, oświetlona ulicznymi latarniami. Chodnikiem płynął strumień. Woda spływała mi po twarzy, ściekała po policzkach. Zbliżywszy się do pasażu, zauważyłem, że nie jest tam zupełnie pusto. W bramie ścisła się jakaś para, samotny mężczyzna prawie biegł pod parasolem, który zasłaniał mu twarz i sprawiał, że wyglądał jak grzyb, dwoje ludzi szło wolnym krokiem z pochylonymi głowami, również niosąc parasole. Przeciąłem park i podążyłem dalej pasażem w kierunku dyskoteki. W szybach okien wystawowych widziałem odbicie szaleńca, który pędził zdesperowany, trzymając po pachą pluszaka z ukrytym narzędziem zemsty.

Dotarłszy na parking, zwolniłem kroku. Po kilku kilometrach szaleńczego biegu serce waliło mi jak młotem. Ale mój wysiłek został nagrodzony:

samochód nadal tam był. Schowałem się za furgonetką. Minęły ponad dwie godziny, zanim zjawił się właściciel wozu. Moje obawy, że przyjdzie z kimś, rozwiały się w momencie, gdy zobaczyłem, iż zmierza sam w kierunku auta. Szedł powoli, szukając czegoś w kieszeniach. Pudełka papierosów. Wyjął jednego i płomień zapalniczki oświetlił na chwilę jego twarz.

– Cholera! – zaklął, widząc sflaczałą oponę.

Ukryty za furgonetką, widziałem jego sylwetkę. Dwie lampy zwisające z sufitu były daleko i pozwalały dostrzec tylko kształty, nie szczegóły. Przeszedł niepewnie kilka kroków. Może był wstawiony, a może rozważał, czy bezpiecznie jest zostawić tam samochód do następnego dnia. Ruszył chwiejnym krokiem do wyjścia. Wyjąłem rewolwer z plecaka. Mężczyzna wrócił jednak, podszedł od tyłu do samochodu, otworzył bagażnik i zaczął zmieniać koło.

Opierając głowę o furgonetkę, kuciałem w cieniu kilka metrów od niego. Bałem się. Wreszcie skończył, zebrał narzędzia i wrzucił je razem z kołem do bagażnika. Chciał odjechać, ale ja nie zamierzałem mu na to pozwolić.

Mój widok tak go zaskoczył, że cofnął się, potknął i upadł na plecy, między dwa samochody. Podniósł się przerażony, jak na zwolnionym filmie.

– Wsiadaj do wozu i połóż się na siedzeniu! – poleciłem.

– Chcesz mnie zabić?

– Zamknij się, wsiadaj i kładź się twarzą w dół. Z rękami na karku.

Był przestraszony, więc robił wszystko, co mu kazałem. Przesunąłem oparcie fotela do przodu i usiadłem z tyłu. Wykorzystując to, że leży twarzą w dół, wyciągnąłem mu z kieszeni portfel.

Sprawdziwszy, czy nie ma broni, rozkazałem:

– Siadaj i słuchaj. – Przytknąłem mu lufę rewolweru do policzka. – Czujesz to? To rewolwer kalibru trzydzieści osiem. Ukryję go w tym sympatycznym bernardynie... Ma na imię Marco i będziesz go miał cały czas na karku. Moją rękę również. Posłuchaj teraz uważnie. Wyjedziemy stąd jak dwaj starzy przyjaciele. Będę wskazywał ci drogę. Jeśli gwałtownie się zatrzymasz, spróbujesz sięgnąć lewą ręką do drzwi albo dasz komuś jakiś znak, który wyda mi się dziwny lub podejrzany, strzelę ci w głowę i wierz mi, będzie dla mnie bez znaczenia, że jesteśmy na ulicy, w tłumie ludzi, przed kościołem czy szwadronem policji. Strzelę. Zrozumiałeś?

Skinął głową i spytał:

- Czego chcesz?
- Nie zadawaj pytań! Zapalaj silnik!

Wyjechaliśmy z parkingu. Kazałem mu skręcić w starą drogę, która prowadziła nad morze. Była wąska, kręta i biegła nad urwiskiem. Zbudowali ją więźniowie w czasach dyktatury generała Juana Vicente Gómeza na początku wieku. Za jego despotycznych rządów przekazano eksploatację złóż ropy zagranicznym spółkom. Przy budowie tej drogi straciło życie wielu ludzi, ale znacznie więcej zniknęło bez śladu. Gdy oddano autostradę do użytku, prawie nikt nią nie jeździł. Właściciel wozu znał, jak wszyscy, historię tej drogi i był wyraźnie przestraszony.

- Zamierzasz mnie zabić?
- Sam mi powiedz. Zaslugujesz na to? Dlaczego pytasz? Zrobiłeś coś, za co powinieneś umrzeć? Nie, nie zamierzam cię zabić, choć wszystko zależy od ciebie...

Powiedziałem, żeby zatrzymał samochód na dwudziestym trzecim kilometrze. Był tam punkt widokowy, z którego można było podziwiać morze i światła portu. Zrobiłem tak, jak poprzednio: kazałem mu położyć się na siedzeniu i wyjąwszy kluczyki ze stacyjki, wysiadłem z samochodu, po czym rozkazałem:

- Wsiadaj i idź w kierunku skał!
- Co?
- Słyszałeś. Idziemy.

Szedł pochylony przede mną, a ja trzymałem się w bezpiecznej odległości za nim. Wiedział, że nie ma wyboru. Kiedy dotarliśmy do skał, poleciłem:

- A teraz się rozbieraj!
- Zrobił to pospiesznie, zostając w samych kalesonach.
- Ściągaj wszystko! Jeśli odważysz się uciekać... będziesz nagi i nagi umrzesz.

Wstawał świt, gdy miałem wreszcie przed sobą jednego z mężczyzn odpowiedzialnych za napaść na Jazmín.

- Słuchaj uważnie. Zadam ci parę pytań i masz na nie odpowiedzieć

zgodnie z prawdą, choćby była straszna. Jeśli skłamiesz, przestrzelę ci nogę, a potem drugą, aż wykrwawisz się na śmierć. A więc... Przypominasz sobie dziewczynę, którą razem ze swoim kompanem wsadziłeś siłą do samochodu i zostawiłeś nagą i na wpół żywą w zaułku?

– Jaką dziewczynę?

Strzał rewolweru odbił się w ciszy głośnym echem. Jego lewa noga, drażniona pociskiem, zaczęła krwawić. Byłem zaskoczony, bo nie zamierzałem go trafić. Ale tak wyszło. Krzyknął z bólu.

– Zamknij się! Odświeżyłem ci pamięć? Teraz ją sobie przypominasz?

– Wykrwawię się!

– Zła odpowiedź. – Wycelowałem w drugą nogę.

– Zaczekaj! Zaczekaj! To nie byłem ja, tylko Alberto. Wkurzył się, bo nie chciała z nami jechać. Znał ją. Mówił, że jest dziwką. Nie chciała wsiąść do samochodu, więc złapał ją za ramię, a ona uderzyła go w twarz torebką. Wtedy stracił nad sobą panowanie.

– Ale ty mu pomagałeś. Ktoś to widział. Byłeś z nim. Jak ten Alberto ma na nazwisko? Czym się zajmuje? Gdzie mieszka? Zaczekaj chwilę. Masz, napisz mi to wszystko.

Notował, mówiąc równocześnie:

– Jest policjantem, pracuje w wydziale do spraw kradzieży.

– Czym jeździ? Podaj mi numer rejestracyjny.

– Ma szarego opla rekorda. Nie pamiętam rejestracji, ale na tylnej szybie jest naklejka straży pożarnej.

Był żalony. Szlochał, pisząc, ale nie miałem dla niego współczucia. Wprost przeciwnie, jego słowa przypominały o Jazmin leżącej nieruchomo na szpitalnym łóżku. Powiedziałem:

– Na podstawie rozległych obrażeń lekarze wnioskują, że była nie tylko bita i kopana, ale prawdopodobnie została wyrzucona z samochodu podczas jazdy. Czy to prawda?

– Tak, ale sądziliśmy, że nie żyje.

– Napisz to, napisz to wszystko. Napisz, że ty i twój przyjaciel odpowiadacie za napaść na Lidie Blanco Keller. Tak się nazywa. Twoje zeznania

może cię ocalą. Bądź dokładny i czytaj na głos to, co piszesz.

Płacząc, pisał bez wytchnienia. Już świtało, ale ja, słuchając jego zeznań, pogrążałem się w mroku.

– Wykrwawiam się – jęknął.

– W porządku, zostaw na papierze odciski palców ze śladami swojej krwi.



Szkoda, że nie można cofnąć czasu i uniknąć popełnionych błędów, gdyż w tamtym momencie zaczęły ogarniać mnie wątpliwości. Gdy ten człowiek spisywał w notesie swoje zeznania, jakby sporządzał testament, pomyślałem: Do czego to doprowadzi? Jedna rzecz zawsze wynika z drugiej. Wszystko przypomina sekwencję zniekształconych snów, oglądanie kropel deszczu, które uderzają w szybę i spływają, początkowo nieśmiało, ale potem coraz szybciej, z niepowstrzymaną siłą.

Pisał długo i zrozumiałem, że próbuje zyskać na czasie. Może miał nadzieję, że ktoś będzie przechodził i uniknie losu, którego się spodziewał. Powtarzał to samo, dodając tylko nieistotne szczegóły, robił wszystko, aby opóźnić chwilę, której tak się bał.

– Wystarczy, daj mi to.

– Zamierzasz mnie zabić? Z powodu jakiejś dziwki? – Moje milczenie przeraziło go jeszcze bardziej. – Nie mogę przez nią zginąć!

– Wstawaj i podejdź na skraj urwiska.

Znieruchomiał przerażony i spojrział mi w oczy.

– Proszę! Błagam, nie zabijaj mnie. Dam ci pieniądze. Mam ich dużo. Cholera! Przecież to była dziwka!

Wycelowałem broń w jego drugą nogę.

– Jeśli nie wstaniesz i nie podejdziesz na skraj urwiska, zaboli cię.

Podźwignął się powoli i zaczął iść. Dowlókł się ze zranioną nogą nad przepaść.

– Dam ci taką samą szansę, jaka dałeś jej. Skacz! – rozkazałem.

Obejrzał się i krzyknął, szlochając:

– Oszalałeś? Przecież nie przeżyję! Zabiję się!
– Ona nie jest dziwką. Ma na imię Jazmín i leży teraz w śpiączce. Może będziesz miał więcej szczęścia niż ona i przeżyjesz upadek, może ktoś cię znajdzie i zabierze do tego samego szpitala. Może będziesz mógł prosić ją o przebaczenie... Może ona ci wybaczy. Ale ja nie... Policzę do trzech i rozwalę ci głowę, jeśli nie skoczysz...

Raz...

Ile smutku można znieść?

Dwa...

A sekrety? Pozostaną niezgłębione, kiedy umrzemy, czy nas przeżyją?

Dlaczego sądziłem, że mu wybaczę?

Potrafisz dochować tajemnicy?

Oto tajemnica mojego smutku. Nasza tajemnica.

Trzy...

10.

To Jazmín nakłoniła mnie, żebym szkolił się na pilota. Pragnęła, bym spełnił swoje marzenie, i dlatego nalegała na przeprowadzkę do tego mieszkania. Mogłem teraz oglądać startujące i lądujące samoloty, które robiły na mnie takie wrażenie w dzieciństwie, ale nieobecność Jazmín była nie do zniesienia.

Gdy ona leżała w klinice, ja starałem się uciec od samotności. Byłem cały czas zajęty w aeroklubie. Tam również za nią tęsknił.

Przywykłem do tego, że widywałem ją niemal codziennie podczas przerw i rozmawialiśmy, pijąc coś w kafeterii. Fascynowało ją to miejsce, jego klimat, widok samolotów. Przedstawiłem ją Robertowi i Miguelowi i, oczywiście, oczarowała ich.

– Zazdroszczę ci – powiedział mi pewnego dnia Roberto. – Masz uroczą dziewczynę. Promieniuje radością i optymizmem. Szczęściarz z ciebie.

Jazmín interesowała się lotnictwem coraz bardziej. Próbowaliśmy nauczyć ją tego, co sam już umiałem. Czasem jedliśmy wszyscy razem obiad i Jazmín pytała z uśmiechem Roberta:

– Kiedy przypniesz skrzydła mojemu księciu z bajki?

Roberto zawsze się śmiał. Za pierwszym razem odparł:

– Jazmín, w niektórych barach są tabliczki z napisem: „Dziś nie daję na kredyt, jutro tak”. Moja odpowiedź brzmi tak samo: „Dziś nie polecę, jutro tak”.

Kiedy w aeroklubie dowiedzieli się, co się stało, wszyscy mnie pociesza-
li. Pracowałem bez wytchnienia, by uciec od rozpacz. Podejmowałem się
każdego zadania, wykonywałem wszystkie polecenia. Pomagałem mecha-
nikom zmieniać olej w silnikach i tankować paliwo, zamiatałem hangary,
układałem narzędzia, dbałem o porządek i zawsze byłem do dyspozycji.
Wszyscy wiedzieli o mojej tragedii, niektórzy domyślali się, jak wielki czuję
ból.

Roberto był jednym z nich i starał się zawsze czymś mnie zająć. Miał
trzydzieści pięć lat, kiedyś był oficerem sił powietrznych. Doszedł do rangi
porucznika, zanim zrezygnował, szukając dla siebie nowych możliwości.
Był dyrektorem aeroklubu i kierował szkołą pilotów. Oprócz niego pracował
tam główny instruktor i dwóch asystentów, którzy prowadzili zajęcia teore-
tyczne. Potrafił zarządzać firmą i lubił swoją pracę. Miał zasłużoną reputację
człowieka bardzo odpowiedzialnego, dzięki czemu wielu posiadaczy pry-
watnych samolotów zlecało mu konserwację swoich maszyn. Był też właście-
cielem niewielkiego sklepu ze sprzętem elektronicznym, który instalowano
w jego hangarach.

Wiele miesięcy wcześniej, w dniu, gdy mnie wezwał, by oznajmić, że
mogę u niego pracować w zamian za udział w szkoleniu, zrobił mi wykład
na temat tego, jak odpowiedzialna jest praca przy samolotach. Zapamiętałem
na zawsze jego słowa, bo mówił bez ogródek.

– W lotnictwie nie ma miejsca na błędy. Jeśli zrobimy coś źle, pracując
na ziemi, pilot odkryje to, niestety, w powietrzu albo kiedy się rozbije. Po-
winienes powtarzać sobie kilka razy dziennie: „Jeśli popełnię błąd, ktoś mo-
że zginąć”. Nie ma też miejsca na wątpliwości. One również mogą zabić.
Wolę, żebyś przychodził sto razy zapytać, jak coś zrobić, niż sam decydo-
wałem, nie mając pewności, czy robisz dobrze. Nigdy nie będę się złościł, że
prosisz o radę.

Z czasem nabrał do mnie zaufania i zgodnie z zapewnieniami zawsze był
gotów odpowiadać na moje pytania i rozwiewać wątpliwości.

W wolnym czasie uczyłem się i chodziłem na zajęcia teoretyczne. Byłem
dobrym pracownikiem, a on dotrzymał obietnicy, że będzie mnie szkolił.
Zaczął traktować mnie łagodniej. Pewnego popołudnia wezwał Miguela,

głównego instruktora, i powiedział do niego w mojej obecności:

– Miguelu, nie mamy wyjścia, nie pozbedziemy się tego chłopaka, więc musimy zająć się poważnie jego szkoleniem. Inaczej doprowadzi nas do szaleństwa. Zajmij się nim, niech zaliczy wszystkie niezbędne zajęcia teoretyczne i niech korzysta z symulatora, kiedy będzie wolny. Chcę, żeby jak najszybciej zaczął latać. Uznałem, że skoro Amerykanie zrobili z Roberta Bucka pilota w wieku szesnastu lat, David zostanie najmłodszym pilotem w tym kraju.



Gdy zniknąłem, zatrzymany przez policję, Roberto mnie szukał. Wiedział, w jakich miejscach bywamy i gdzie mieszkamy. Nigdzie nas nie znalazłszy, poszedł zmartwiony do baru Josuégo i tam się dowiedział, co spotkało Jazmín. Pojechał do kliniki i towarzyszył mi parę razy w długim czekaniu. Dodawał otuchy.

– Nie trać wiary. Wyzdrowieje. Jest silna.

Pewnego ranka byłem w jednym z hangarów i woskowałem i polerowałem kadłub awionetki, gdy przyszedł Roberto i zapytał:

– Gotowy do lotu?

Myślałem, że chodzi mu o samolot, który właśnie czyściłem, więc odparłem:

– Już prawie skończyłem, muszę jeszcze tylko zetrzeć wosk ze stateczników.

Uśmiechnął się i powiedział:

– Zostaw to, umyj ręce i chodź ze mną. Polatamy trochę.

Pobiegłem do toalety. Z radości serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Po kilku minutach szedłem z nim w kierunku szkolnego skyhawka.

Niebo było bezchmurne, lekki chłód. Roberto kazał mi sprawdzić samolot przed lotem. Obserwował uważnie moje ruchy. Potem wsiedliśmy i zajęliśmy miejsca. Poprosił, żebym przeczytał listę procedur, i widząc, że cytuję ją z pamięci, przerwał mi:

– Zaczekaj, synu. Dam ci radę i chciałbym, żebyś zapamiętał ją na całe życie. Jest bardzo prosta. Jak wiesz, istnieją różne listy procedur, z których korzysta się w poszczególnych fazach lotu: procedury obowiązujące podczas

postoju, przy kołowaniu, przed startem, podczas wznoszenia, na trasie przelotu, podczas opadania i lądowania. Te listy są upiornie długie, ale pozwalają wszystko skontrolować, bo potem nie będziesz już mógł zatrzymać się w powietrzu, by rozwiązać problem spowodowany tym, że czegoś nie sprawdziłeś. Pamiętaj: czytaj zawsze powoli i na głos listę procedur. Nigdy nie ufaj pamięci. W każdym samolocie listy są inne i łatwo się pomylić.

Poprosił mnie, bym wykonał rutynowe procedury przed włączeniem silnika. Byłem tak podekscytowany, że nie zdałem sobie sprawy, iż nie zapiąłem pasów, i pokazał mi to palcem. Choć pracowałem przy wszystkich tych maszynach i byłem oswojony ze wskaźnikami i wnętrzem kabiny, miałem wrażenie, jakbym niczego nie pamiętał, jakbym siedział w samolocie pierwszy raz.

Roberto kazał mi nałożyć słuchawki, otworzył okienko w kabynie pilota i krzyknął:

– *Clear!* – Potem przekręcił kluczyk w stacyjce, uruchomił zapłon i zapuścił silnik.

Śmigło zaczęło się obracać, początkowo z głośnym warkotem, a potem z delikatnym pomrukiem. Roberto połączył się z wieżą kontrolną i poprosił o zezwolenie na kołowanie na początek pasa startowego. Tam zczekał, aż wojskowy samolot, który przeciął nam drogę, zjedzie z pasa. Dokończyliśmy procedury i wieża kontroli zezwoliła nam na start. Roberto ustawił samolot. Długi pas startowy był przed nami. Roberto wcisnął do oporu dźwignię gazu i gdy silnik zaczął pracować na pełnych obrotach, zwolnił hamulce i samolot błyskawicznie ruszył, nabierając prędkości, aż strzałka szybkościomierza znalazła się na zielonym polu. Uniósł delikatnie maszynę, kiedy osiągnęła siedemdziesiąt węzłów. W ciągu sekundy byliśmy w powietrzu. Gdy nabieraliśmy wysokości, Roberto udzielał mi instrukcji przez mikrofon. Trudno opisać, co czułem, kiedy samolot oderwał się od ziemi. Wszystko, co zostało w dole, stawało się coraz mniejsze. Świat wydawał się tak odległy, a niebo tak ogromne, że z trudem mogłem się skupić na czymś innym. Roberto zauważył, jakie wrażenie robi na mnie pierwszy lot, i uśmiechał się z zadowoleniem. Po kilku minutach, kierując się na wschód, zrobiliśmy znowu skręt o dziewięćdziesiąt stopni i leciliśmy równoległe do gór. Wkrótce

zbliżyliśmy się do lotniska. Po paru następnych minutach lotu na kursie dwieście dziewięćdziesiąt znów dwa razy skręciliśmy i znaleźliśmy się naprzeciwko pasa startowego. Roberto zredukował moc, opuścił klapy i skierował samolot na koniec pasa. Gdy mieliśmy już dotknąć kołami asfaltu, uniósł lekko dziób maszyny, osadzając ją na ziemi z imponującą precyzją. Potem posprawdzał wszystko zgodnie z procedurami i wyłączył silnik. Byłem bardzo podekscytowany.

- Dzięki, Roberto. To było fantastyczne.
- Wiem, że ci się podobało. Uwielbiam zabierać kogoś w pierwszy lot.

W tym dniu już moje życie zyskało na zawsze nowy wymiar. W powietrzu, na wysokości dwóch tysięcy metrów, widok przesłaniają tylko chmury. Myślałem o Jazmin, pragnąłem, by obudziła się ze śpiączki i bym mógł podzielić się z nią moimi przeżyciami.

Roberto odgadł, o czym myślę, i powiedział:

- Nie martw się. Jeszcze polecicie razem.



Wykonując polecenie Roberta, Miguel potraktował moje szkolenie jako wyzwanie. Po raz pierwszy instruował kogoś tak młodego. Wziął sobie za punkt honoru, by zrobić to dobrze. Był doskonałym pilotem, który żył po to, by latać. Trzykrotnie brał udział w mistrzostwach w akrobacji lotniczej. Od początku wyczuł, że pasjonują mnie samoloty, i poświęcał mojemu szkoleniu wiele dodatkowych godzin. Cierpliwie pomagał mi pokonywać wszystkie lęki. Bałem się, na przykład, ćwiczenia *stalls*, reagowania w razie utraty aerodynamicznej siły nośnej. Pewnego dnia Miguel wykorzystał wyjątkowo dobrą widoczność, by to ze mną poćwiczyć. Na lokalnej częstotliwości słychać było w radiu rozmowę pilotów, którzy przeprowadzali w pobliżu manewry. Miguel ściszył radio i zaczął powoli ciągnąć drążek, by samolot wznosił się pod ostrym kątem. Gdy się to działo, zauważyłem, że wbijam się w oparcie fotela. Patrzyłem w niebo, a tymczasem samolot zaczął bardzo powoli wytracać prędkość, aż zatrzymał się w powietrzu. W tym momencie, gdy wydawało się, że runie na ziemię, Miguel pchnął delikatnie drążek do przodu. Dziób maszyny opadł i znów nabraliśmy prędkości, jakby nic się nie stało. Gdy lecieliśmy już poziomo, powiedział:

– To jest, mój przyjacielu, kontrolowana utrata siły nośnej. Zrozumiałeś?

– Chyba tak. Rozumiem, że każde lądowanie to *stall*, ale co robić, jeśli próbuję odzyskać siłę nośną, a samolot nadal opada i nie mogę wyrównać lotu?

– To się nie zdarza. Zawsze, gdy samolot zaczyna nabierać prędkości, będzie próbował się wznieść. Pamiętaj, że jest skonstruowany, by latać.

– To dlaczego samoloty, które tracą siłę nośną, rozbijają się?

– Ponieważ nie były dostatecznie wysoko. Pamiętaj o prędkości i wysokości.

– Aż w grobie spoczną kości – przerwałem mu ze śmiechem.

– A teraz przejmiesz drążek i poćwiczysz różne opcje utraty siły nośnej na wysokości trzech tysięcy stóp.

– Miguelu, prawdę mówiąc, czuję się nieswojo, kiedy muszę wyłączać silnik, żeby to przećwiczyć.

– Nie ty jeden. Przyznam ci się, że kiedy instruktor pierwszy raz to zrobił, prawie zesrałem się w portki. Ten łajdak nie ostrzegł mnie, że wyłączę silnik. Kiedy wylądowaliśmy, byłem tak wkurzony, że nie mogłem się pohamować i spytałem go, dlaczego wyciął mi taki gówniany numer, nie dając mi znać. O mało go nie wałnąłem.

– I co ci odpowiedział?

– „Awarie silnika nie są zapowiadane”, po prostu się zdarzają i cię zaskakują. Nie chciałem postąpić tak jak on, by oszczędzić ci stresu, ale zapamiętaj jedno: przyczyną katastrofy nie jest utrata silnika, lecz psychiczny kryzys pilota. Strach i desperacja nie pozwalają mu wykorzystać posiadanej wiedzy.

W ciągu kolejnych tygodni nie tylko pokonałem lęk przed tymi manewrami, ale w dodatku Miguel zaraził mnie swoją pasją do akrobacji lotniczych. Każdego popołudnia w wolnych chwilach zapraszał mnie na swoją osobistą „górką kolejkę”. Podczas jednego z takich lotów na sporej wysokości spytał mnie:

– Słyszałeś o jakimś Immelmanie?

Przez kilka sekund próbowałem skojarzyć to nazwisko, sądząc, że chodzi

o jakiegoś klienta z aeroklubu. I wtedy popełniłem głupstwo, odpowiadając, że go nie znam. Miguel, nic nie mówiąc, wprowadził samolot w półobrót w pionie, a potem w korkociąg w poziomie, przez co lecieliśmy twarzą do ziemi. W tej pozycji wyjaśnił mi:

– To był niemiecki lotnik, który wymyślił to ćwiczenie.

Nazywał te akrobacje ćwiczeniami, jak profesor matematyki, który próbuje przekonać uczniów, że aby odnaleźć prawdziwe szczęście, trzeba koniecznie rozumieć iloczyn kartezjański.

– Słyszałeś o ataku serca?! – krzyknąłem, gdy wyrównał lot.

Uwielbiałem jednak te godziny, gdy ćwiczyliśmy beczki, pętle i korkociągi, które potrafiły uwolnić mnie na chwilę od bolesnych myśli i sprawić, że wracałem na ziemię wykończony.

Jako specjalista od akrobacji lotniczych Miguel miał duże doświadczenie w krótkich lądowaniach. Opanował do perfekcji technikę zwaną *hovering*, która polegała na wykorzystaniu silnego czołowego wiatru, aby utrzymać maksymalną prędkość lotu i wylądować pod wiatr, niemal tak wolno jak helikopter. Było to bardzo ryzykowne, wykonalne tylko w określonych warunkach pogodowych, gdyż z powodu błędu w kalkulacji albo nagłej zmiany kierunku wiatru samolot mógł opaść na ziemię, uśmiercając pilota. Poświęcał na te lądowania wiele godzin.

Dużo później dowiedziałem się, że Roberto, martwiąc się o mnie i nie chcąc, bym poddał się rozpacz, poprosił Miguela:

– Nie daj mu czasu na myślenie o niej. Utrzymuj go w powietrzu, niech ciągle lata...

11.

Stan Jazmín się nie zmieniał. Ślady zadrapań i uderzeń na twarzy niknęły, ale nie mogła się obudzić. Rozmawiałem z nią codziennie. Po pracy wracałem szybko do domu, kąpałem się i zjadłszy coś, szedłem do kliniki. Co noc do niej przemawiałem. Próbowałem wskazać jej drogę powrotu, używając głosu jak latarni. Dyżurowaliśmy na zmianę. Mónica przychodziła w niektóre noce, Josué popołudniami, nawet Many wytrwale jej towarzyszył. Również Graciela zjawiała się każdego dnia i zostawała jakiś czas.

Codziennie wracałem z aeroklubu do domu pieszo. Chociaż musiałem przejść spory kawałek i obejść lotnisko, starałem się nie korzystać z samochodu. Nie miałem jeszcze prawa jazdy i wolałem unikać dodatkowych problemów.

Pewnego popołudnia, dotarłszy do domu, odwróciłem się z ciekawości, słysząc za sobą odgłos samolotu startującego z lotniska. Nauczyłem się rozpoznawać brzmienie silników poszczególnych maszyn. Była to mała Cessna i widząc ją, przypomniałem sobie obietnicę złożoną Jazmín, że pewnego dnia polecimy razem. Wróciłem do rzeczywistości, wszedłem do budynku i zacząłem wspinać się powoli po schodach, jak starzec dotknięty artretyzmem. Byłem wykończony i przybity. Słyszając echo swoich kroków, pomyślałem, że może dziś Jazmín się obudzi... A może już się obudziła i w klinice czeka mnie niespodzianka. Codziennie miałem niezłomną nadzieję, że zobaczę, jak się budzi, i znów ujrzę w jej oczach radość życia.

Wkładając klucz do zamka, dostrzegłem kątem oka jakiś cień. Chciałem się odwrócić, ale było za późno. Ktoś przyłożył mi do skroni pistolet i polecił:

– Otwórz i wejdź powoli do środka! – Usłyszałem, jak drzwi się zamykają, i ten ktoś mnie pchnął. – Połóż się twarzą do podłogi z rękami na karaku! Nie ruszaj się! Nawet nie oddychaj!

Zrobiłem, co kazał, zastanawiając się gorączkowo, kim jest intruz i czego chce.

– Jak masz na imię? – spytał, kopiąc mnie w bok tak, że skuliłem się z bólu.

– David – jęknąłem. Widziałem kwadratowe czubki jego butów.

– Nie kłam! Nazywasz się Ricardo León! – Kopnął mnie po raz drugi.

– Myli się pan, mam na imię David. Mam w kieszeni dowód tożsamości. Ricardo to mój starszy kolega. Pracuje na dworcu autobusowym...

Przydusił mnie nogą do ziemi. Policyjna metoda rewizji, pomyślałem, gdy wyciągał mi z kieszeni portfel i przeglądał jego zawartość. Poczulem ulgę, widząc, że mnie nie rozpoznał.

– W porządku. Nie jesteś Ricardo. Wstań, siadaj tu i się nie ruszaj. Powiedz mi, kim jesteś i co, do cholery, tutaj robisz... I nie kłam.

– Pracuję w pizzerii Giani – zmyśliłem na poczekaniu. – Rozwożę pizzę i załatwiam sprawunki dla dziewczyn, no wie pan, tych z ulicy. Jedna z nich dała mi klucz od mieszkania i prosiła, żebym przyszedł po rzeczy jej przyjaciółki. Zdaje się, że jest w szpitalu. Miała wypadek czy coś takiego.

– Znasz Ricarda?

– Tak, to chłopak dziewczyny, która tu mieszka. Też, co miała wypadek. Zarozumiały typ.

– Ile dostajesz jako posłaniec?

– Niewiele, ale dobrze mnie traktują.

Zaczął rozglądać się po małym pokoju. Wodził szybko oczami od ściany do ściany. Zobaczywszy mnóstwo pluszaków, mruknął:

– To wygląda jak Disneyland... Znasz dziewczynę, która tu mieszka?

– Widziałem ją parę razy. Pracuje na ulicy...

Nie skończyłem jeszcze wypowiadać tych słów, gdy zdałem sobie sprawę, że popełniłem błąd. Przypomniałem sobie, że w szufladzie nocnej szafki stojącej obok łóżka Jazmín trzyma zdjęcia, które zrobiliśmy sobie w hotelu podczas jej urodzinowego przyjęcia. Uśmiechy, radość i szczęście promieniujące z naszych twarzy nie pozostawiały wątpliwości, kto jest Ricardem. Zacząłem myśleć intensywnie, jak z tego wybrnąć, ale zauważyłem, że ten człowiek nie jest zainteresowany przeszukiwaniem mieszkania, tylko znalezieniem Ricarda, więc zaproponowałem:

- Jeśli pan go szuka, wiem, gdzie można go znaleźć.
- Mów.
- Wszystko ma swoją cenę.
- Co?
- Ile mi pan zapłaci?

Zaśmiał się głośno.

– Podoba mi się twój zmysł handlowy. Nie owijasz w bawełnę. Żeby ci udowodnić, że nie jestem zły, dam ci pięćdziesiątkę... Robisz dobry interes.

– Sześćdziesiąt i już pana do niego prowadzę. Ale najpierw muszę wziąć rzeczy, o które prosiła ta dziewczyna. Jeśli ich nie przyniosę i zniknę z kluczem, może mnie zaskarżyć.

- No dobrze, sześćdziesiąt, ale pospiesz się. Co kazała ci zabrać?
- Szlafrok, sandały i jakiś podkoszulek.
- Dobra, ale szybko.

Wszedłem do sypialni, a on za mną. Otworzyłem szafę, udając, że nie wiem, gdzie co leży. Wyjąłem torbę i wrzuciłem do niej parę rzeczy, nie patrząc nawet, co biorę. Przyglądał mi się uważnie. Wiedziałem, że będę miał tylko jedną szansę.

Gdy mieliśmy wychodzić, pomyślałem: teraz albo nigdy... Podeszedłem wprost do żółtej pantery, która siedziała na kanapie, i wsunąłem ją sobie pod pachę. Jej długie łapy sięgały prawie do ziemi.

- Po jaką cholere to zabierasz? – spytał.
- Dziewczyna prosiła o jakiegoś pluszaka. Jej chora przyjaciółka najwyraźniej lubi przytulanki – odparłem, udając głupka.

– Widząc ten cyrk, jestem skłonny w to wierzyć, ale nie zamierzam iść z tobą ulicą, kiedy będziesz dźwigał gigantyczną Różową Panterę. Weź coś mniejszego.

Rozejrzałem się, jakbym nie mógł się zdecydować. Rzuciłem panterę na kanapę i podszedłem do kąta, gdzie leżał bernardyn z niewielkim plecakiem na grzbiecie. Chwyciłem go bez skrupułów za łeb i wsadziłem pod pachę.

– Chodźmy już – ponaglił mnie mężczyzna.

Gdy byliśmy na klatce schodowej, powiedziałem uprzejmie:

– Nie znam pańskiego nazwiska. Jak mam się do pana zwracać?

– Jestem Alberto. Pospiesz się.

Kiedy wskazywał mi drogę do swojego samochodu, miałem ochotę powiedzieć: „A ty nie znasz jeszcze tego bernardyna. Ma na imię Marco...”.

Samochód stał kilka kroków dalej. Był to szary opel rekord. Na tylnej szybie miał czerwoną nalepkę straży pożarnej.

– Siadaj z tyłu... Gdzie czeka na ciebie ta dziewczyna?

– W pizzerii na bulwarze. Jakies dziesięć przecznic stąd.

– Wiem, gdzie to jest. Oddaj jej to szybko i nie ociągaj się.

– Proszę się nie martwić – odparłem z tylnego siedzenia, wyciągając rewolwer z plecaka Marca. – Obiecuję, że się pospieszę...

Mężczyzna już miał zapalić silnik, gdy mu przypomniałem:

– Jest mi pan winien sześćdziesiąt.

– Dostaniesz forszę, gdy wskażesz mi Ricarda, gdy powiesz mi, kim jest.

Przystawiłem mu rewolwer do karku i powiedziałem, hamując gniew:

– Już mówię: to ja. Zanim przyjdzie panu do głowy sięgnąć po broń, powiem dokładnie to, co usłyszał pański przyjaciel: Niech pan trzyma rękę na kierownicy i ani na moment jej nie puszcza! Wyjaśnię panu, jaka jest sytuacja. To dla mnie bez znaczenia, czy będziemy na środku ulicy, w tłumie ludzi, a choćby i na wypełnionym po brzegi stadionie. Jeśli spróbuje pan jakiejś sztuczki, rozwalę panu łeb. Proszę się nie ruszać!

Wsunąłem lewą ręką między fotel i drzwiczki i wyciągnąłem mu zza pasa pistolet.

– A teraz niech pan lewą ręką wyciągnie powoli broń spod nogawki... I

proszę nie mówić, że jej pan tam nie ma. Widziałem ją, gdy mnie pan kopał, kiedy leżałem na podłodze.

Ten dobrze zbudowany mężczyzna, który tak długo kopał Jazmín, aż uznał, że nie żyje, był przerażony. Uważał się za cwaniaka i wpadł we własne sidła. Dygotał ze strachu.

– Jestem policjantem – powiedział bez przekonania.

– Wiem. To bez znaczenia. Choćbyśmy byli przed komisariatem, strzelę, gdyby próbował pan coś zrobić. Znam pana, dużo się o panu dowiedziałem, więcej, niż pan sobie wyobraża i więcej, niż chciałbym.

– Co mam zrobić?

– Proszę zapalić silnik i słuchać moich poleceń, to może wyjdzie pan z tego cało.

– Dokąd jedziemy?

– W niezwykle miejsce.

– Chcesz mnie zabić?

– Tylko jeśli będę musiał. Wszystko zależy od pana. Chcę pokazać panu pewien magiczny zakątek.

12.

Był kwadrans po szesnastej w sobotę, dzień największego ruchu na lotnisku. Wielu pilotów, właścicieli awionetek, wykorzystywało weekend, by polatać. Byłem na skrzydle starego piper archera należącego do służby leśnej. Napelniałem baki, gdy zobaczyłem, że Roberto podjeżdża jeepem aeroklubu, co oznaczało z pewnością jakieś nagłe zlecenie. W piątkowe popołudnia przygotowywaliśmy maszyny, które miały wylecieć następnego dnia. Roberto wysiadł z auta i podszedł do mnie szybkim krokiem.

– Zejdz! Muszę ci coś powiedzieć.

Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że chodzi o coś ważnego. Zamknąłem klapę zbiornika i ześlizgnąłem się po skrzydle.

– Co się dzieje?

– Dzwonili właśnie z kliniki. Jazmín odzyskała przytomność!

Zaniemówiłem i poczułem skurcz w brzuchu. Siedemnaście tygodni i jeden dzień w śpiączce... Siedemnaście tygodni i jeden dzień oczekiwania na tę wiadomość. Wiele razy zastanawiałem się, jak na nią zareaguję. W jednej sekundzie znów rozbłyły światła, zalała mnie radość.

– Nic nie mów – powiedział Roberto. – Zostaw ten samolot, potem się nim zajmę. Chodź, podwiozę cię do twojego auta.

Pędząc do szpitala, czułem się jak ptak. Ustąpił cały ból. Przeszkadzały mi samochody na drodze. Próbowałem zebrać myśli, zastanawiałem się, co jej powiem. Pragnąłem gorąco wyznać: „Kocham cię”.

Gdy parkowałem byle jak wóz, nagle poczułem niepokój. W jakim ona

jest stanie? Czy mnie rozpozna?

Wpadłem do kliniki prawie bez tchu. Dyżurne pielęgniarki uśmiechnęły się do mnie. Wszystkie mnie znały i wiedziały, dlaczego się spieszę: moja księżniczka się obudziła...

Sekundy spędzone w windzie wlokły się w nieskończoność. Kiedy otworzyły się drzwi, umierałem z niecierpliwości. Próbowałem się uspokoić, ale byłem jak dziecko, które czeka na upragniony prezent: na końcu korytarza była moja ukochana.

Jeden z lekarzy, którego znałem, wychodził właśnie w towarzystwie pielęgniarki. Uśmiechnął się do mnie.

– Jak ona się czuje? – spytałem z niepokojem.

– Jest przytomna, robimy badania. Martwi mnie lekkie obniżenie sprawności motorycznej prawej połowy ciała. Nic ci nie będę mógł powiedzieć, dopóki nie otrzymamy wyników badań. Pytała o ciebie, chyba nie pamięta zbyt dobrze, co się stało, ani nie ma pojęcia, jak długo tu leży.

Otworzyłem powoli drzwi i wszedłem ostrożnie, by nie przestraszyć Jazmín. Miała zamknięte oczy. Stałem, patrząc na nią, i byłem szczęśliwy. Pragnąłem usłyszeć jej głos. Zbliżyłem się do niej, aż poczułem jej oddech, i delikatnie pocałowałem ją w usta. Otworzyła oczy i gdy mnie rozpoznała, cieszyłem się jak nigdy w życiu.

– Dzień dobry, księżniczko – powiedziałem, biorąc ją za rękę. – Widzę, że całowanie Śpiącej Królowy nadal działa. Witaj, kochanie.

Jazmín, nieco senna, patrzyła na mnie z lekkim uśmiechem.

– Ricardo Corazón de León, nie wiesz, że rycerz nie płacze w obecności księżniczki? – odezwała się drżącym głosem.

Objąłem ją ostrożnie i wyszeptalem:

– Wiesz, jak bardzo cię kocham?

– Tak, ale powiedz mi to jeszcze raz...



Wkrótce wróciła pielęgniarka i kazała mi wyjść z sali. Lekarze robili obchód i jak zwykle wysyłano odwiedzających na korytarz. Poszedłem do kabiny telefonicznej i zadzwoniłem do Josuégo, Gracieli i starego Arévala. Gracieli nie zastałem w domu, ale dowiedziałem się, że już ją powiadomiono

i jest w drodze. Przyjechała po kilku minutach. Uściskała mnie i spytała, w jakim Jazmín jest stanie. Opowiedziałem jej o wszystkim.

Lekarz przyszedł do nas mniej więcej po dwudziestu minutach, okazując zadowolenie, ale także zwyczajową rezerwę. Powtórzył to samo: trzeba czekać.

Zebrałiśmy się wszyscy wokół Jazmín. Przez pół godziny mówiliśmy i dodawaliśmy jej otuchy. Nikt nie wspomniał o tym, co się wydarzyło. Uzgodniliśmy, że nie należy wracać do tamtych chwil. Ważne było to, że jest przytomna. Potem, za radą lekarzy, aby oszczędzić jej emocji, wszyscy wyszli z sali. Zostałem z nią sam.

– Jak długo tu jestem? – spytała.

– Siedemnaście tygodni. Choć mnie się wydaje, że całą wieczność.

– Śniłeś mi się... Opowiadałeś mi o Coco i Iwie, próbowałam ci odpowiedzieć, ale nie mogłam. Nie byłam w stanie się odezwać.

– Wcale ci się to nie śniło. Byłem tutaj, czekałem na twój powrót i rozmawiałem z tobą. Przeczuwałem, że mnie słyszysz... Ale teraz nie trać sił, odpoczywaj. Będę przy tobie. Wszyscy będziemy.

– Co robiłeś w tym czasie?

– Pracowałem jak szalony i uczyłem się. Latam już samodzielnie awionetkami z aeroklubu. Roberto mnie wspiera i chce, żebym jak najszybciej zdobył licencję prywatnego pilota. Za każdym razem, gdy odbywa się próbny lot, wysyła mnie jako osobę towarzyszącą. Chce, żebym zapoznał się ze wszystkimi typami samolotów i w sierpniu zdał egzamin.

– Czy to nie za szybko? Jesteś tam dopiero od kilku miesięcy.

– Spędzam wiele godzin w samolotach i na symulatorach. Wierz mi, wyciskają ze mnie siódme poty. Jestem w aeroklubie od dwunastu do czternastu godzin na dobę. Pomagam mechanikom, a w wolnym czasie towarzyszę pilotom. Poza tym spieszę się, bo jestem zaręczony z piękną dziewczyną... Zamierzamy podróżować po Karaibach, z wyspy na wyspę. Zawarliśmy układ, że będziemy się kochali na każdej z nich – powiedziałem, gładząc jej włosy.

– Mam nadzieję, że to będzie bardzo długa podróż, przez wiele wysp. Będziemy musieli zabrać wszystkich: Coco, Hipo, Szefa Kuchni, Iwa i Marca.

– Nie martw się, rozmawiałem z nimi i są gotowi do podróży. Musisz tylko wyzdrowieć i wyjść ze szpitala.

W tych dniach wrócił Pecos i dowiedział się, co się wydarzyło.

Na szczęście dla niego zjawił się, gdy było już po wszystkim i nie musiał cierpieć, widząc Jazmín nieprzytomną i podłączoną do aparatury. Dołączył do grupy osób, które codziennie ją odwiedzały, i dzielił z nami radość z jej rekonwalescencji.



Z biegiem dni odzyskiwała właściwą sobie witalność. Zdradzał to blask jej oczu. Stojąc przy łóżku, patrzyłem z rozkoszą, jak muska wargami róże, które jej przyniosłem. Sypiała z lwem, swoim ulubionym pluszakiem, wydawało się, że wszystko wraca do normy. Ślady obrażeń zniknęły, wiedziałem jednak, że rany, których nie widać, których nie można dotknąć, zablizniają się o wiele dłużej.

Zginałem jej i masowałem prawą nogę, jak zalecił lekarz. Niektóre mięśnie były jeszcze zesztyniałe. Jazmín, nieco rozbawiona, protestowała:

- Ricardo, fizjoterapeuta tak nie masuje.
- A kto?
- Zakochany.
- Nie podoba ci się mój masaż?
- To nie masaż, tylko pieszczoty...
- Pieszczoty terapeutyczne.
- Wielka szkoda.
- Że co?
- Że nie umarłam.

Spojrzałem na nią, zaszokowany tym komentarzem, więc wyjaśniła z uśmiechem:

– Śmierć jest sojuszniczką miłości, Ricardo. Nie ma miłości, która przetrwałaby bez jej pomocy. Gdybym żyła długo i zrobiła się gruba i brzydka, przestałabym być twoją księżniczką i czułbyś do mnie odrazę. Natomiast gdybym umarła, kochałbyś mnie zawsze.

– I tak zawsze będę cię kochał, księżniczko Jazmín, grubą, brzydką i starą.

– Chodź, zostaw w spokoju moją nogę, zamknij drzwi i połóż się na chwilę koło mnie.

Natychmiast to zrobiłem. Objęliśmy się, przeżywając na nowo znajome gesty i doznania, choć z pewną dozą niepokoju. Chwilę później Jazmín zaczęła cicho szlochać.

Jedna z pielęgniarek wsunęła głowę przez drzwi, spojrzała na nas i wycofała się dyskretnie.

- Nigdy mnie nie opuszczaj – poprosiła Jazmín przez łzy.
- Nie opuszczę cię.



Gdzie zaczyna się wspomnienie? Gdzie kończy się życie? Kolejne dni przypominam sobie jako ciąg szybko przesuwających się obrazów. Pracowałem z radością, gdy Jazmín wracała do zdrowia. Lekarze oznajmili, że być może w ciągu tygodnia wypiszą ją ze szpitala. Zebraliśmy się, żeby przygotować dla niej powitalne przyjęcie, ale nigdy się nie odbyło... Nigdy nie opuściła kliniki.

Przestałem wierzyć w Boga trzydziestego lipca 1966 roku. W dniu, gdy księżniczka Jazmín zamknęła na zawsze oczy w mojej obecności, podczas gdy większość świata emocjonowała się finałowym meczem mistrzostw świata w piłce nożnej między Anglią a Niemcami. Przyczyną jej nagłej śmierci był krwotok śródmózgowy, spowodowany pęknięciem tętniaka.

Życie kazało mi zapłacić za kilka miesięcy szczęścia. Musiałem pogodzić się z tym, że wszyscy, których kochałem, znikają.

Na cmentarzu nie zabrakło nikogo, z wyjątkiem Josuégo, który nie mógł przyjść, tak był przytłoczony bólem. Przesłał karteczkę, którą wręczył mi Many, z trudem powstrzymując łzy: *Przykro mi. Nie będę na pogrzebie. Wolę myśleć, że Ona jest wśród nas.*

Graciela pokryła wszystkie koszty pogrzebu. Ukryła oczy za ciemnymi okularami, ale po jej policzkach spływały łzy. Wsparta na moim ramieniu, nie odezwała się ani słowem. Gdy odprowadziłem ją do samochodu, pogłodziła mnie po twarzy i powiedziała:

– Musisz płakać. Znajdź jakieś ustronne miejsce i płacz, ale potem walcz, nie poddawaj się. Ona zawsze będzie ci towarzyszyła.



Inspektor Jordan Petit szybko awansował. Był człowiekiem średniego wzrostu, lekko łysiejącym, o wyrazistych rysach i eleganckiej posturze. Przypominał raczej odnoszącego sukcesy przedsiębiorcę. Jego wytworne garnitury, nienaganna prezencja i miarowy krok sprawiały, że ci, którzy mieli z nim do czynienia, traktowali go z szacunkiem. Za tym wizerunkiem krył się analityczny umysł wielkiego detektywa, specjalisty od kryminalistyki. Odrzucał represje i tortury jako narzędzia śledztwa, zachęcając swoich ludzi, by opierali dochodzenie na szczegółowej analizie każdego przypadku. Nienawidził donosicieli i choć przyznawał, że są pomocni w rozwiązywaniu niektórych spraw, wołał stawiać hipotezy i prowadzić metodyczne śledztwo. Dzięki charyzmie zebrał zgrany zespół. To właśnie on kilka miesięcy wcześniej zadawał mi pytania na temat rewolweru dziadka, zatrzymawszy mnie na trzy dni w komisariacie.

Gdy siedziałem w areszcie, napadnięto Jazmín. Znał tę sprawę, słuchał zeznań Móniki, która wspominała, że jej zdaniem co najmniej jeden z napastników był policjantem.

Dowiedziawszy się o śmierci Jazmín, inspektor przyszedł na pogrzeb. Był przekonany o słuszności starej teorii, że pogrzeb ofiary zbrodni to doskonała okazja do zdobycia nowych tropów albo potwierdzenia słuszności kierunku śledztwa. Był równie zaskoczony, zobaczywszy mnie na cmentarzu w towarzystwie Móniki i Gracieli, jak ja, widząc jego. Ograniczył się do spojrzenia mi w oczy, po czym skinął lekko głową, co potraktowałem jako gest współczucia.

Został na cmentarzu do końca uroczystości, potem spojrzał na mnie ostatni raz i oddalił się wolnym krokiem, głęboko zamyślony.



Skorzystałem z rady Gracieli i pogrążony w rozpacz, postanowiłem pójść na Stację 3. To było dobre miejsce na samotność.

Mieszkanie przytłaczało mnie wspomnieniami i jeszcze trudniej było mi znieść nieobecność Jazmín.

Trzeciego dnia, gdy patrzyłem na miasto oparty o barierkę, wyczułem, że zatrzymuje się za mną wagonik. Wsiadł z niego Agustín, brat pana Arévala. Stał bez słowa obok mnie, milczał przez kilka minut, po czym, wpatrzony w dal, powiedział:

– Musisz żyć, choćbyś czuł, że nie warto. Tam, w dole, jest wielu ludzi, którzy się o ciebie martwią, którzy cię kochają. Jazmín jest obecna nie tylko tutaj, jest wszędzie i zawsze będzie przy tobie, gdziekolwiek się znajdziesz. Wspomnienia, które dziś napawają cię smutkiem, kiedyś przyniosą ci radość i dodadzą sił, by nie poddać się w najtrudniejszych chwilach. Złożysz Jazmín najwspanialszy hołd, jeśli będziesz cieszył się życiem i zachowasz ją w sercu. Póki o niej myślisz, nigdy nie umrze. – Potem, nie mówiąc nic więcej, wrócił do wagonika kolejki, uruchomił go i zostawił mnie samego z moim cierpieniem.

Mam wytatuowanych w pamięci tych czternaście miesięcy szczęścia jak czternaście wersów sonetu. Jazmín była dla mnie sercem świata, mojego świata. Stąd patrzyliśmy, jak słońce opada na dachy i kopuły budowli miasta, a jego kontury nikną w mroku. Cały wszechświat mieścił się w jednym słowie: „Jazmín”.

Następnego ranka zjechałem na dół. Nigdy już nie wróciłem na Stację 3.

13.

Roberto powitał mnie w aeroklubie, jakby nic się nie stało. Uściskał mnie mocno i powiedział:

– Przyjechałeś w odpowiednim momencie. Jeden z mechaników zachorował, a jest do zrobienia kilka przeglądów. Poza tym musisz się przygotować, bo w przyszłym tygodniu masz egzamin teoretyczny, a parę dni później praktyczny. Zrobiłem ci listę pytań, które mogą ci się trafić na egzaminie, żebyś je przejrzał i był spokojniejszy.

– Dzięki za wszystko, Roberto.

– Cieszę się, że wróciłeś, synu.

Pokazał mi, czym mam się zająć. Rano tankowałem samoloty i robiłem przeglądy, po południu czekał na mnie w kafejce Miguel. To z nim wylatałem obowiązkowe godziny i wiele dodatkowych, by wypróbować różne maszyny.

Nalegał, bym zapoznał się z różnymi typami samolotów, urządzeń i wskaźników. Była to emocjonująca, intensywna nauka. Podczas wielu lotów Miguel kazał mi siadać na kilka minut za sterami, abym poczuł, jak się pilotuje inne maszyny. Powoli stawałem się jego asystentem, nie tylko uczniem.

– Już wiem, kto będzie cię egzaminował z lotu: kapitan Vásquez – powiedział. – Jest trochę wymagający, ale to dobry człowiek. Kontroluj wysokość i nie daj się nabrać na żadną z jego sztuczek. Pomyśl, zanim wykonasz polecenie. Obowiązują cię przede wszystkim przepisy. Nie ulegaj perswazji.

W ciągu następnych tygodni Roberto zadbał o to, żebym nie miał ani jednej wolnej chwili. Pracowałem i uczyłem się bez wytchnienia. Jeden z mechaników potwierdził to, co już wiedziałem: że nalegał, by Miguel latał ze mną, gdy tylko może. Chciał, żebym doszedł do siebie, i sądził, że latanie mi w tym pomoże. Spędzałem w aeroklubie po czternaście, piętnaście godzin dziennie i czas robił swoje.



Nadszedł wreszcie dzień egzaminu. O świcie niebo było błękitne, jak przewidywały prognozy. Przejrzawszy zlecenia i przygotowawszy samolot, który miał wcześniej startować, skierowałem się do centrum operacyjnego. Po drodze spotkałem Roberta, który szedł w towarzystwie wysokiego mężczyzny z wielkimi wąsami. Wyglądał jak postać z meksykańskiego filmu, brakowało mu tylko sombrera. Roberto powiedział:

– Przedstawiam ci kapitana Vásqueza. Zmiana planów: masz teraz egzamin z lotu, a teoretyczny po południu.

Kapitan zignorował moją wyciągniętą rękę i rzucił tylko: „Chodźmy, spieszę się”.

Nie wiedząc, co myśleć o tej nagłej zmianie planów i prawie zastraszającej powadze egzaminatora, o mało nie popełniłem pierwszego błędu, zanim jeszcze wystartowałem. Miałem zwyczaj sprawdzać samoloty szkoleniowe zaraz po przyjsciu do aeroklubu i ponieważ zrobiłem to już wcześniej, zapomniałbym skontrolować zbiorniki z paliwem. W ostatniej chwili przypomniałem sobie słowa Miguela: „Pomyśl, zanim wykonasz polecenie”. Poświęciłem więc niezbędny czas, by zrobić to, co należy: dokonać sumiennego przeglądu samolotu przez startem pod czujnym okiem kapitana.

Nagle dostrzegłem stojącą przed hangarem postać, której widok mnie zmroził. Był to inspektor Jordán Petit. Nie ukrywał, że mnie obserwuje. Nie dawał żadnych znaków ani nie zamierzał podejść bliżej, ale nie wątpiłem, że jego obecność nie jest przypadkowa.



Nie co dzień zdaje się egzamin na pilota. Zdenerwowanie jest rzeczą naturalną i egzaminatorzy są tego świadomi, ale moje opanowanie podczas

manewrów, które kapitan Vásquez kazał mi wykonywać, musiało zrobić na nim wrażenie, gdyż po kilku startach i lądowaniach zapytał:

– Powiedz mi prawdę: ile godzin wylatałeś na tej maszynie?

Nie wiedziałem, czy powinienem się do tego przyznawać, więc bodpowiedziałem wymijająco:

– Pracuję w aeroklubie od kilku miesięcy.

– Wiedziałem. To strata czasu. – Polecił mi wracać na lotnisko.

Spojrzałem na niego nieco zaskoczony, lecz dodał tylko:

– To mi wystarczy.

Nie mógł się domyślać, że moje opanowanie spowodowane było poważniejszym zmartwieniem: świadomością, że na płycie lotniska czeka na mnie inspektor.

Sądziłem, że oblałem, bo wkurzyłem Vásqueza swoją odpowiedzią. Byłem przygnębiony perspektywą tego, co mnie czekało, ale moje obawy okazały się bezpodstawne: inspektora już nie było, a egzamin zdałem z wyróżnieniem.



Po egzaminie czekałem na licencję. Wciąż pracowałem niezmordowanie w aeroklubie. Miguel szkolił mnie intensywnie i traktował jak syna. Roberto był zadowolony także dlatego, że za pensję pracownika obsługi lotniska miał teraz pilota, który pełnił różne funkcje, co pozwoliło mu zaoszczędzić sporo pieniędzy, bo nie musiał zatrudniać dodatkowego personelu.

Pewnego ranka dostałem jednak list z Dyrekcji Lotnictwa Cywilnego z informacją, że ponieważ nie ukończyłem jeszcze osiemnastu lat, muszę przesłać upoważnienie podpisane przez rodziców, a także dowód wykupienia przez nich dodatkowego ubezpieczenia odpowiedzialności cywilnej. Bez spełnienia tych warunków nie otrzymam licencji. Pokazałem list Robertowi, który zauważył moje rozczarowanie. Przejmował się bardzo moim szkoleniem i zdenerwowały go te przeszkody. Jakby na potwierdzenie, że złe wieści zawsze chodzą parami, powiedział z troską:

– Pytał o ciebie inspektor z policji. Przyszedł wczoraj, kiedy cię nie było. Chciał wiedzieć, od kiedy tu pracujesz, skąd znałeś Jazmín i czy z nią

mieszkałeś. Niewiele mu powiedziałem, ale wydawał się bardzo tobą zainteresowany. Uważaj na niego. Nie martw się, pomogę ci zdobyć licencję, ale unikaj kłopotów.

Było oczywiste, że inspektor powiązał fakty i doszedł do wniosku, że kiedy mnie zatrzymano, mieszkałem z Jazmín. Przypuszczałem, że lada dzień zjawi się w moim mieszkaniu z nakazem sądowym i będzie szukał rewolweru ojca. Była to tylko kwestia czasu.

Wbrew sobie zadzwoniłem do dziadka z prośbą, by podpisał potrzebne mi upoważnienie. Próbował namówić mnie do powrotu, ale nie był już rozgniewany ani nie pytał o broń. Wydawał się raczej zrezygnowany. Zgodził się wysłać mi dokument. Nie wspominał o ojcu ani o matce, a ja o nich nie pytałem. Wiedziałem, że nie wrócili, bo od czasu do czasu rozmawiałem przez telefon z Marią. Prosiła, żebym bardzo na siebie uważał i modlił się codziennie, zwłaszcza gdy jestem tam, w górze, tak blisko Boga.

Miesiąc później Roberto rozwiązał problem ubezpieczenia. Wziął odpowiedzialność na siebie. Otrzymałem licencję prywatnego pilota. Nie wolno mi było przewozić pasażerów, ale mogłem legalnie latać.

Zachęcony przez Roberta i Miguela, wykonałem pierwszy lot z licencją. Polecałem na wyspę odwiedzić Marię, która była chora. Roberto nalegał, bym wziął cenną skyhawk.

Latałem wiele razy bez asysty, ale samodzielny lot na wyspę, z której kiedyś uciekłem, był ogromnym przeżyciem. Roberto i Miguel łączyli się ze mną co dwadzieścia minut. Byli jakby obok mnie, ale czułem się niezależny. Towarzyszyły mi wspomnienia o Jazmín. Zamierzaliśmy odbywać te podróże razem. Bolała mnie jej nieobecność.

Gdy wylądowałem, przydarzyło mi się coś dziwnego. Ustawiłem skyhawk w miejscu, które mi wskazano, i udałem się do biura aeroklubu, aby poprosić o zatankowanie paliwa i przygotowanie maszyny do odlotu. Pracownik, który stał za ladą, wysłuchał mojej prośby i zanotował numer awionetki na formularzu, po czym powiedział:

- Powiedz pilotowi, że musi przyjść osobiście, żeby złożyć podpis.

Uśmiechnąłem się na widok jego zdumionej miny, gdy odparłem z dumą:

- To ja jestem pilotem.
- Mogę zobaczyć twoją licencję?

Gdy wyjąłem licencję z kieszeni i położyłem na ladzie, wziął ją do ręki, obejrzał uważnie i powiedział:

- Chwileczkę.

Poszedł w głąb pomieszczenia, gdzie za wielkim biurkiem siedział bardzo opalony szczupły mężczyzna w okularach. Pokazał mu moją licencję i po kilku sekundach, wymieniwszy jakieś uwagi, podeszli do mnie obaj.

- Jesteś synem Davida?
- To mój ojciec. Jakiś problem? – spytałem.

Mężczyzna wyciągnął rękę na powitanie i powiedział:

– Żaden. Wprost przeciwnie, miło mi cię poznać. Mam na imię Pedro. Jestem przyjacielem twojego ojca i dziadka. Dawno ich nie widziałem. Nie wiedziałem, że jeden z synów Davida szkoli się na pilota. Ile masz lat?

- Szesnaście. W styczniu skończę siedemnaście.
- No, no, nie do wiary. Cieszę się, że mogę służyć ci pomocą. Jesteśmy do twojej dyspozycji, gdybyś czegokolwiek potrzebował. Pozdrów ode mnie ojca i dziadka.
- Pozdrowię.

Od tamtej pory podobne sytuacje powtarzały się wiele razy. Byłem za młody na pilota. W aeroklubie traktowano to inaczej, byli dumni, że mnie wyszkolili. Stanowiłem ich reklamę. W Stanach Zjednoczonych i innych krajach pilot mający piętnaście czy szesnaście lat nie zwracał tak bardzo uwagi, ale u nas była to nowość. Nie wyobrażałem sobie, że nadejdzie dzień, gdy będę musiał ukrywać, iż jestem pilotem, jakbym był nosicielem zakaźnej choroby.



Dziadka nie było na wyspie. Wyjechał do swojej hacjendy w stanie Apure, na południu kraju. Miał wrócić za parę dni. Może tak było lepiej. Maria na mój widok jakby odmłodziła i odzyskała radość życia. Opowiadała, jak to jest mieszkać samotnie w domu pełnym wspomnień. Moja matka nie

wróciła, ale od czasu do czasu dzwoni i pyta o mnie. Ojciec nadal się nie pojawił.

– Dziadek zostawił dla ciebie wiadomość. Chyba przeczuwał, że przyjedziesz – powiedziała cicho Maria, jakby wspomnianie o nim na głos mogło obudzić jakieś duchy za ścianą albo jakby się obawiała, że będzie musiała odpowiedzieć na nieuniknione pytanie.

– Był jakiś list od moich rodziców albo braci?

– Nie – odparła ze smutkiem.

– Oddaj tę kartkę dziadkowi, proszę.

– Zatrzymaj ją. To tylko adres, pod którym jest, na wypadek, gdybyś go potrzebował.

Zabrałem kartkę, aby nie sprawić jej przykrości, ale gdy tylko wyszedłem z domu, podałem ją na strzępy, nawet na nią nie spojrzawszy.



Domy, drzewa, szkoła, kościół – wszystko jakby zastygło w czasie, jak na fotografii, choć świat dookoła się zmienił. Ulice były pełne wspomnień, które jak szczątki rozbitego okrętu ocalały w mojej pamięci. Przeszedłem się po znajomych miejscach, ale szybko zdałem sobie sprawę, że już tam nie należę. Dom, plaża, a nawet zachód słońca napawały mnie smutkiem.

Przenocowałem na wyspie. Spytałem o Tikiego, choć wiedziałem, co usłyszę. Maria powiedziała, że nigdy nie wrócił ani nie miała o nim wieści.

– Pewnie adoptował go ktoś lepszy ode mnie.



Maria starała się mnie rozweselić i opowiadała mi zabawne historie o tym, co zdarzyło się w miasteczku pod moją nieobecność, ale nie dało się uniknąć rozmowy na temat moich rodziców. Oboje nie wrócili. Maria powiedziała, że dziadek cierpi w milczeniu i prawie do nikogo się nie odzywa.

Tego popołudnia wszedłem do mojej sypialni. Wszystkie rzeczy leżały tam, gdzie je zostawiłem, jak w muzeum. Biegałem po całym domu, otwierając drzwi do pokoi moich rodziców i braci w poszukiwaniu wspomnień. Odnalazłem ich wiele. Spędziłem w tym domu dzieciństwo. Wśród tych ścian nastąpiła nagle dziwna i okrutna zmiana w życiu naszej rodziny. Nie

mogłem zasnąć. Leżałem w łóżku, moje żołnierzyki nadal stały na parapecie, a bryza przynosiła słony smak morza, niemego świadka naszej nicości, ale ja byłem już inny. Czułem się obco we własnej sypialni.

Następnego ranka zjadłem z Marią śniadanie w kuchni i gdy się ze mną zegnała, powiedziała stanowczo:

– Zaczekaj.

Wyszła na kilka minut i wróciła, niosąc gruby złoty łańcuszek. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest stary. Wisiał na nim mały złoty kluczyk w kształcie serca. Maria założyła mi go uroczyście na szyję i zasłoniła koszulą, mówiąc:

– Noś go zawsze jako amulet. Zna wiele tajemnic i pewnego dnia może ci pomóc. Obiecuj mi, że bez względu na wszystko nie będziesz się z nim rozstawał.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć, Marío. Co ten kluczyk otwiera? – spytałem.

– Może czyjeś serce. Przyrzeknij mi tylko, że zawsze będziesz go nosił. Nie mogę powiedzieć ci więcej. Spraw radość starej kobiecie i nigdy o niej nie zapomnij.

– Obiecuję ci to, Marío. Bardzo cię kocham i wiesz, że spełnię każde twoje życzenie.

Wyszedłem z domu i oddaliłem się z miejsca tak pełnego duchów przeszłości. Podczas tej podróży odkryłem, że w dzieciństwie przeczuwamy pewne sprawy, choć ich nie rozumiemy, ale gdy dorastamy i potrafimy je zrozumieć, pozostawiają w sercu głębokie rany.

14.

Czekałem w kafejce na lotnisku, aż dostanę zielone światło do startu. Roberto radził mi przez telefon, bym wstrzymał się z lotem na kilka godzin, bo u nich jest fatalna pogoda i chociaż na wyspie świeciło słońce, nie chciał, żebym podczas pierwszego samodzielnego rejsu trafił na burzę.

– Zaczekaj trochę, może pogoda się poprawi. Śledź komunikaty meteo na lotnisku, ale nie startuj, dopóki nie dam ci znać.

– Wiem, nie chcesz, żebym się rozbił podczas pierwszego lotu. Straciłbyś w szkole wielu młodych klientów – zażartowałem.

– Martwię się raczej o samolot – odciął się.

– Zgoda, zaczekam.

Kafejka była nieduża i znajdowała się jakieś sto metrów od głównej hali lotniska. Przychodzili tam mechanicy, operatorzy, robotnicy, czasem też piloci i pasażerowie czekający na lot. Na jednej ze ścian wisiał monitor. Bursztynowe napisy na jego ekranie obwieszczały na przemian przyloty i odloty samolotów oraz stan pogody. Wszyscy spostrzegli, że pilot skyhawkka jest wyjątkowo młody. Tam stanowiło to nowość. Dziewczyna, która mnie obsługiwała, była bardzo miła. Uśmiechając się nieśmiało, spytała:

– Jesteś młody jak na pilota. Nie boisz się latać sam?

– Nie. Znasz powiedzenie: „Lepiej być samemu niż w nieodpowiednim towarzystwie...”

Moja odpowiedź bardzo ją rozbawiła i jej nieśmiałość zniknęła. Najwyraźniej miała ochotę na rozmowę, ale kafejka była zatłoczona i musiała

obsłużyć wielu klientów. Wkrótce jednak wróciła, by mi powiedzieć, że ktoś do mnie dzwoni. To był Roberto.

– Synu, burza przemieszcza się chyba na południe. Jeśli chcesz, startuj, ale bądź czujny i utrzymuj kontakt z lotniskami w Puerto La Cruz. I pamiętaj, że jest pas startowy w Higuero. Jeśli nie spodoba ci się pogoda, ląduj gdziekolwiek i czekaj, aż się poprawi.

– W porządku, dzięki.

Wróciłem, by dokończyć kawę, i kiedy siedziałem, przy moim stoliku stanął niski mężczyzna o pulchnej twarzy. Przywitał się i zapytał z niedowierzaniem:

- Czy to prawda, że jesteś pilotem?
- Tak, ale to nie moja wina – zażartowałem.
- Lecisz do Caracas?
- Tak, za parę minut.

Przyglądał mi się, jakby się nad czymś zastanawiał. Nagle zaskoczył mnie nieoczekiwaną propozycją:

– Jestem Jaime i też lecę do Caracas, ale mam lot dopiero za trzy godziny. Zabrałbyś mnie? Lubię awionetki. Jeśli lecisz sam, dotrzymam ci towarzystwa i pokryję część kosztów podróży. Co ty na to?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, przywołał człowieka, który stał za barem, i ten natychmiast do nas podszedł.

– Poprosiłem tego młodzieńca, żeby zabrał mnie swoim samolotem do Caracas. Zanim mi odmówi, wyjaśnij mu, kim jestem, no wiesz, żeby nie pomyślał, że rozmawia z szaleńcem.

Barman roześmiał się i powiedział do mnie z udawaną galanterią:

– Obecny tutaj señor Jaime jest znanym na tej wyspie przemysłowcem. Handluje najdroższymi meblami świata. Jeśli pozwolisz, żeby ci towarzyszył, narażasz się jedynie na to, że zanim dotrzecie do celu, zdąży ci coś sprzedać.

– Dzięki za pomoc – powiedział don Jaime, szturchając go przyjaźnie. – Z takimi kumplami jak ty...

– Mam tylko licencję prywatnego pilota. Nie mogę przyjąć od pana pieniędzy, ale chętnie pana zabiorę, jeśli się pan nie boi.

– Bać się? Kto mówi o strachu? – spytał Jaime, rozglądając się.

– No to chodźmy – odparłem. Pożegnałem się z dziewczyną, zapłaciłem rachunek i skierowałem się do wyjścia, a za mną don Jaime, który niósł czarną walizeczkę i skórzaną torbę, przypominającą bardziej sakwę przytrzymaną do siodła.

Wszedłem do biura, by zgłosić plan lotu, po czym udaliśmy się do awionetki. Pomagając mu załadować bagaż, spytałem:

– Woli pan siedzieć z tyłu czy obok mnie, jako drugi pilot?

Oczy zaślnęły mu radośnie, gdy odpowiadał:

– Wolę być drugim pilotem. Za nic w świecie nie przepuściłbym takiej okazji.

Podobał mi się ten człowiek. Sprawiał wrażenie dzieciaka, który ma właśnie wsiąść po raz pierwszy w życiu do wagonika kolejki górskiej. Był podniekcytowany i obserwował uważnie każdy mój ruch. Sprawdziwszy, czy wszystko jest w porządku, zająłem miejsce i zaskoczyłem go, wręczając mu książkę procedur.

– Pierwszy raz leci pan awionetką?

– Nie, w Kolumbii używamy ich często do lotów w niektóre rejony, ale zawsze siedziałem z tyłu. Po raz pierwszy siedzę na miejscu drugiego pilota. Ma się stąd zupełnie inną perspektywę.

– No dobrze, skoro już siedzi pan obok mnie, będzie pan drugim pilotem. Proszę czytać linijka po linijce. To lista czynności, które należy wykonać przed lotem.

Nie wiedziałem wtedy, że to początek wielkiej przyjaźni. Jednej z tych, które zwiastują nam przeczucia, jak w filmie *Casablanca*.

Sprawniwszy, że wszystko działa jak należy, zmieniłem częstotliwość fal i skontaktowałem się z wieżą.



– Wieża kontrolna Nueva Esparta, tu skyhawk trzy-pięć victor, numery jak w zgłoszeniu lotu, proszę o zgodę na start, pas dwa-siedem.

– Skyhawk trzy-pięć victor, kołuj na początek pasa i czekaj, ląduje samolot – ostrzegł mnie kontroler.

Słyszeliśmy, jak podaje przez radio instrukcje pilotowi maszyny King Air, która właśnie lądowała. Spytałem don Jaime, czy widzi ją po swojej prawej.

– Widzę, widzę, jest bardzo blisko – odpowiedział z entuzjazmem.

Kilka sekund później samolot przeleciał przed naszymi oczami i wylądował sto metrów dalej.

– Skyhawk trzy-pięć victor, zezwalam na start na pasie dwa-siedem. Pozostańcie na tej częstotliwości do otrzymania nowych dyspozycji.

Natychmiast ustawiłem maszynę w pozycji do startu. Zwiększałem delikatnie obroty silnika, osiągając prędkość sześćdziesięciu pięciu węzłów. Przy siedemdziesięciu pięciu węzłach zaczęliśmy się wznosić na wysokość tysiąca stu metrów, a potem skręciliśmy pod wiatr.

Don Jaime wykrzyknął zachwycony:

– To niewiarygodne, jaki stąd jest widok! Zdajemy sobie sprawę, jak mało znaczymy.

Zanim obrałem kurs na stolicę, chciałem zatoczyć koło nad wyspą. Po kilku minutach przeleciałem nisko nad portem. Widziałem z góry plażę i dom dziadka. Przypomniałem sobie, jak siedząc na krawężniku, oglądałem samoloty i marzyłem, by zostać pilotem.

Gdy leciałem już właściwym kursem, nakazano mi zmianę częstotliwości, po czym kontynuowaliśmy lot. Roberto i Miguel skontaktowali się ze mną, aby się upewnić, czy wszystko w porządku, i poinformować mnie, że pogoda na lotnisku się poprawiła.

Don Jaime zadawał mi mnóstwo pytań na temat samolotu. Wyznał mi, że zawsze chciał być pilotem, bo podoba mu się ten zawód, ale nie miał takich możliwości. Przez pół godziny delektował się lotem, aż nagle spytał:

– A jak tu się można wysikać?

– Za oparciem fotela są specjalne torebki. Może pan z nich skorzystać, ale proszę uważać, żeby nie zamoczył pan sobie spodni. Albo trzeba poczekać, aż wylądujemy.

– Jak długo potrwa lot? – spytał zakłopotany i domyśliłem się, o co chodzi.

– Jeśli nie chce pan skorzystać z torebki, wracamy na ziemię. Możemy wylądować na jednej z tych opuszczonych dróg na plantacjach. Jest ich dużo.

– Robiłeś to już kiedyś?

– Jasne. Jeśli pan chce, wylądujemy. Lecimy teraz w martwej przestrzeni między dwoma strefami zasięgu radarów. Możemy zrobić to szybko i nikt się nie zorientuje.

Kiedy latałem z Miguelem, nauczył mnie lądować na bocznych drogach. Mówił, że trzeba to umieć na wypadek awaryjnej sytuacji. Dla don Jaimego konieczność wysikania się była właśnie taką sytuacją. Zauważyłem, że się waha. Nie czekałem, aż odpowie, tylko natychmiast zniżyłem lot do pięciuset metrów. Szybko zlokalizowałem odpowiednio długi odcinek szosy. Była to wiejska droga między dwiema plantacjami kakao.

– Strasznie mi przykro, mój pęcherz już mi nie służy jak dawniej – usprawiedliwiał się don Jaime.

– Proszę się nie przejmować. Niech pan się przygotuje, bo zaraz lądujemy.

Zatoczywszy koło, aby się upewnić, że nikogo tam nie ma, wysunąłem klapy i zredukowałem do minimum obroty silnika. Przed nami rozciągała się polna droga, która wydała mi się krótsza, niż początkowo sądziłem. Wylądowaliśmy jednak, podskakując kilka razy na wybojach i wzbijając chmurę pyłu. Gdy tylko samolot stanął, wyskoczyłem i pomogłem wysiąść don Jaime, który oddalił się kilka kroków, by ulżyć pęcherzowi.

W ciągu paru minut znowu byliśmy w powietrzu i obraliśmy poprzedni kurs. Don Jaime wyraźnie czuł ulgę. Roberto spytał, czy wszystko w porządku. Gdy określiłem swoją pozycję, zdał sobie sprawę, że mam opóźnienie, ale nie chciałem wspominać, że wiozę pasażera, który ma problemy z pęcherzem. Zapewniłem go, że wszystko jest w porządku i nie ma się czym martwić. Don Jaime słyszał naszą rozmowę w słuchawkach i gdy pożegnałem się z Robertem, powiedział:

– Mam nadzieję, że nie będziesz miał przeze mnie kłopotów.

– Nie ma obawy. I jak się pan czuje w roli drugiego pilota? Jest tak, jak pan oczekiwał?

– Lepiej, to niepowtarzalne przeżycie. Zawsze chciałem pilotować.

– To proste. Chce pan przejąć stery?

– Tak, ale nie wiedziałbym, co robić.

Przez kilka następnych minut wyjaśniałem mu podstawowe zasady pilotażu. Słuchał bardzo uważnie. Na koniec poradziłem mu:

– Przede wszystkim niech pan nigdy nie zapomina, że samolot jest skonstruowany tak, żeby latać, i jeśli mu w tym nie przeszkodzimy, będzie leciał. Teraz proszę przejąć stery i wyczuć delikatnie puls maszyny...

Trwało to tylko parę minut. Stosując się do moich wskazówek, zwiększył wysokość i wykonał kilka delikatnych skrętów. Potem poprosiłem, by ponownie skierował samolot na właściwy kurs. Były to proste manewry, ale dla tego człowieka oznaczały spełnienie marzeń. Widziałem w jego oczach radość i podniecenie. Spodobał mi się ten staruszek, bo cieszył się lotem, nie okazując strachu. Spytał mnie, jakie mam aspiracje jako pilot.

– Chcę latać wyżej i dalej – odparłem.

Wylądowaliśmy w Caracas i nim się pożegnaliśmy, poprosiłem, by chwilę zaczekał. Poszedłem do szafy w aeroklubie, gdzie trzymałem swoje rzeczy, i wyjąłem z niewielkiego pudełka złote skrzydełka, które dostałem w prezencie po uzyskaniu dyplomu, i przypiąłem mu je do koszuli.

– Proszę przyjąć je na pamiątkę, don Jaime. Teraz już pan wie, że pilotował pan samolot. Nosi pan skrzydła w sercu.

15.

Miguel zawarł kontrakt ze spółką górniczą na przewóz pasażerów i zaopatrzenia do odległych osad poszukiwaczy złota w stanie Bolívar oraz w stanie Amazonas, na granicy z Brazylią. Na południu kraju było kilka spółek i każda miała swój własny system transportowania ludzi i towarów, niewiele jednak ryzykowało świadczenie tego typu usług, dzięki czemu były one bardzo dobrze płatne. W porze zimowej ciągle padały deszcze. Transport pasażerów lub sprzętu do tych miejsc oznaczał konieczność lądowania w nieprzychylnych warunkach na krótkich nieutwardzonych pasach, często zamieniających się w grzęzawiska. Było to niebezpieczne zajęcie nie tylko z powodu warunków meteorologicznych i stanu pasów startowych, lecz także ze względu na ludzi. W osadach górniczych nie brakowało przestępców gotowych zabić za parę okruchów złota.



Roberto i Miguel założyli spółkę, gdyż kontrakt wymagał posiadania co najmniej trzech maszyn, aby zagwarantować ciągłość dostaw. Miguel przez wiele miesięcy szkolił mnie do tego typu lotów. Miałem licencję już od ponad roku. Teraz gromadziłem wylatane godziny i czekałem na pełnoletność, aby móc się ubiegać o zezwolenie na loty komercyjne, gdyż zdobyłem już uprawnienia we wszystkich kategoriach, na wszystkie typy samolotów.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy latałem z Miguelem piperem PA-30 comanche, dwusilnikową wersją awionetki PA-24. Wyglądał jak wydobyty z cmentarzyska samolotów, ale to były pozory. Mechanicy zastąpili jego dwa

sfatygowane silniki potężnymi motorami typu Lycoming, które zapewniały mu większą moc przy starcie, gdy leciał obciążony do Amazonas. W jego wnętrzu zainstalowano najlepszy dostępny sprzęt nawigacyjny i elektroniczny. Lataliśmy często i przebywaliśmy w terenie trzy lub cztery dni, aby dotrzeć do różnych obozowisk. Lądowaliśmy w rozmaitych warunkach. Górnicy witali nas entuzjastycznie, czekając na pocztę, wypłaty, czasopisma, żywność, odzież i różne zbytkowne rzeczy, które można zdobyć tylko w mieście.

Miguel zyskał z powodu swojej czapki przydomek Charlie Brown, który najwyraźniej mu się podobał. Mnie nazywano Dzieciakiem. Stopniowo zaakceptowały mnie różne grupy górników i z czasem ci ludzie zaczęli otaczać mnie opieką, jakbym był ich maskotką. Gdy musieliśmy przenocować, trzymali od nas z daleka dziewczyny lekkich obyczajów i pijaków. A w jednej z osad nie pozwalali nam pić alkoholu. Początkowo mnie to dziwiło, ale kiedy opowiedzieli mi, że przed laty pijany pilot o mało nie zmiotł z powierzchni ziemi całą wioskę, zrozumiałem ich przezorność.

W weekendy spędzali popołudnia przy butelkach rumu, które stawały się narzędziami walki w spelunkach, gdzie upijali się i tłukli do utraty przytomności. Przyglądałem się przez zasłonę dymu z cygar, jak wrzeszczą i okładają się pięściami.

Trudno było spać. Dokuczały nam komary, które wlatywały mimo moskitier, a poza tym ciągle przychodzili górnicy, prosząc, z początku nieśmiało, a potem coraz odważniej, byśmy wzięli jakiś list albo coś dla nich kupili. Lista zamówień zawsze była długa. Jeden chciał radio z krótkimi falami, żeby słuchać wiadomości, inny zegarek, jeszcze inny buty albo damską bieliznę, żeby podarować dziewczynie. Było nawet zamówienie na dmuchaną lalkę dla kulawego górnika. Co ciekawe, każdy mówił, że przychodzi w czymś imieniu. Wstydzili się przyznać, że są ludzkimi istotami i mają różne gusta. Pewien młody górnik prosił zawsze o to samo:

– Może mi pan przywieźć jedną z tych Biblii, które rozdają w mieście?
– Zacząłem sądzić, że jest kaznodzieją, ale dowiedziałem się, że używa delikatnego papieru do skręcania papierosów z marihuaną.

Rano bałem się tych ludzi jeszcze bardziej niż nocą, gdy się bili. Z ulgą wracałem do samolotu, by odlecieć do kolejnego obozowiska. W powietrzu, z bezkresnym horyzontem przed oczami, wszystko wracało do normy. Wspomnienia minionej nocy się ulatniały.

Loty do Amazonas były pełne niespodzianek. Ale tak do nich przywykłem, że gdy wracałem na lotnisko w Caracas i lądowałem na długim asfaltowym pasie, nudziły mnie wszystkie te oznaczenia i urządzenia nawigacyjne. Pewnego dnia, gdy właśnie miałem wylądować, usłyszałem przez radio, że ktoś na mnie czeka.

Był to inspektor Jordan Petit. Już zdążyłem o nim zapomnieć. Stał na początku pasa startowego. Wracałem z Miguelem z obozowisk przy granicy z Brazylią i lot był wyjątkowo wyczerpujący.

Zatrzymałem maszynę i dokonawszy niezbędnych rutynowych czynności, wysiadłem z kabiny. Miguel udał się do biura, a inspektor podszedł do mnie z uśmiechem.

– Witaj, Davidzie. A może wolisz, żebym nazywał cię Ricardem? – przywitał mnie żartobliwie.

– Witam, inspektorze. Co pana sprowadza? Proszę mi nie mówić, że mój dziadek znowu kazał panu mnie zatrzymać...

– Nie, przyszedłem ci pogratulować. Byłem zaskoczony, patrząc, jak lądujesz. Podobno masz już licencję pilota i jesteś najmłodszym jej posiadaczem.

– Dziękuję, inspektorze. Jestem wzruszony pańską delikatnością – odparłem z uśmiechem – ale mam nadzieję poznać prawdziwy powód pana wizyty. Wiem, że wypytywał pan o mnie, więc domyślałem się, że pański analityczny umysł odkrył jakąś nieścisłość i postanowił pan szukać odpowiedzi, pytając mnie bezpośrednio i patrząc mi w oczy, aby zobaczyć moją reakcję, czy coś w tym rodzaju. Nie takie ma pan zwyczaje?

– Davidzie, bardzo się zmieniłeś. Dojrzałeś w bardzo krótkim czasie. Mówisz jak człowiek, który ma trzydzieści albo czterdzieści lat.

– Proszę nie zwracać na to uwagi, inspektorze. Mój sposób wysławiania się to jeden z dramatów mojego życia. Jeśli to dowód dojrzałości, a zarazem

wykroczenie, niech pan aresztuje mojego dziadka, który zamiast pozwolić mi bawić się na plaży, sadzał mnie obok siebie i zmuszał do czytania Rómula Gallegosa i innych klasyków.

– Nie to miałem na myśli. Nie jesteś już tym samym chłopcem, który siedział przede mną i mówił, że nie ma domu. Minął ponad rok i wiem, że dostałeś od życia w kość.

Ta uwaga skłoniła mnie do refleksji. W istocie, czas pędził nieubłaganie, od śmierci Jazmín minął już prawie rok. Milczałem, a inspektor ciągnął:

– Wiesz, Davidzie, sympatia to bardzo głębokie uczucie. Lubię cię. Jesteś bystry i stanowczy. To mi się podoba, ale muszę cię spytać, czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym przeszukał twój samochód i mieszkanie. Nadal mamy zgubiony rewolwer i wiele znaków zapytania. Co ty na to?

– Kiedy pan tylko zechce, inspektorze. Poza tym z pewnością ma pan w kieszeni nakaz rewizji.

– Zgadza się. Przyznaję, że mam przeczucie, iż niczego nie znajdę, ale muszę dokonać rewizji. Może zaczniemy od samochodu? Nie róbmy tego tutaj, żeby nie niepokoić personelu i nie psuć ci reputacji.

Weszliśmy do biura, żeby zabrać kluczyki do auta. Powiedziałem Robertowi, że zaraz wrócę. Roberto, który znał już inspektora, spytał z troską:

– Jakiś problem?

– Nie, nie sądzę. Szybko wrócę, prawda, inspektorze?

– Z pewnością.

Na parkingu aeroklubu było dwóch policjantów w cywilnych ubraniach. Stanęli na baczność, czekając na rozkazy. Inspektor dał im znak, by odeszli od samochodu, i powiedział:

– Jedziemy do mieszkania. Tam się spotkamy.

Gdy wsiadałem do auta i otwierałem drzwiczki inspektorowi, by zajął miejsce obok mnie, pomyślałem, w jak subtelny sposób wydaje podwładnym polecenia. Nie miałem wątpliwości, że policjanci będą jechali za nami, i tak było. Jednak inspektor, zamiast rozkazać, by to zrobili, oznajmił, że spotkamy się w moim domu, po drugiej stronie lotniska, jakbyśmy jechali na kawę.

Gdy dotarliśmy na miejsce i zanim jeszcze weszliśmy do mieszkania, policjanci przeszukali samochód, podczas gdy ja i inspektor się przyglądaliśmy.

Rewizja była skrupulatna. Także w mieszkaniu sprawdzili dokładnie każdy kąt. Inspektor Petit oglądał zdjęcia, na których Jazmín i ja uśmiechaliśmy się beztrzesko.

– Ładna dziewczyna. Szczerze ci współczuję. To z nią mieszkałeś, kiedy cię zatrzymaliśmy?

– Teraz to już bez znaczenia, nie sądzi pan?

Nie zważając na mój komentarz, kontynuował:

– Nie wykryto jeszcze sprawców, ale śledztwo trwa.

– Jest jakiś postęp?

– Owszem. Jestem pewny, że znajdę tych, którzy dopuścili się tego barbarzyństwa.

– Podobno mogli to być policjanci – mruknąłem z pogardą.

– Wiem. Badamy wszystkie poszlaki. Jeśli to policjanci, zapewniam cię, że za to zapłacą... Chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że już zapłacili.

– Co pan sugeruje?

– Nic, to tylko domysły.

– Inspektorze, dlaczego mi pan nie powie, czego naprawdę szukacie?

Może mógłbym pomóc.

– Zniknął jeden z agentów z wydziału do spraw kradzieży. Dwa dni temu myśliwy znalazł jego zwłoki w wąwozie obok starej drogi do portu.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Wstępne dochodzenie wskazuje, że popełnił samobójstwo, rzucając się nago z tarasu widokowego.

– I?

– Nic więcej. Tyle że on także lubił duże wysokości...

16.

W ciągu następnych tygodni miałem wrażenie, że jestem śledzony. Obserwowałem ludzi wokół siebie. Próbowałem dostrzec czyjś gest, odwracane spojrzenie czy pozorny brak zainteresowania, by zidentyfikować tego, kto za mną chodzi. Ale... Czy tak było, czy to wytwór mojej wyobraźni?

Zrozumiałem, że do tego właśnie zmierzał inspektor Petit: żeby mnie zdenerwować. Ale mylił się, bo nie miałem powodu czuć się winny i żyłem po swojemu, pochłonięty lotami. W ciągu kolejnych miesięcy odbyłem więcej lotów do stanu Amazonas niż Miguel. Dobrze zarabiałem, a ponieważ nie miałem na co wydawać pieniędzy, oszczędzałem. Marzyłem, by kupić własną awionetkę. Dzięki podróżom uciekałem przed samym sobą i przed wspomnieniami: odkryłem, że praca to najlepsza terapia.

Pewnego popołudnia, skończywszy lot, zastałem w biurze aeroklubu wiadomość. Zostawiła ją Graciela. Prosiła, bym do niej zadzwonił. Poszedłem do domu. Niewiele się w nim zmieniło, pluszaki były na swoim miejscu. Jedyną nowością było to, że z pomocą znajomego Roberta zainstalowali mi telefon. Wziąłem prysznic i zadzwoniłem do Gracieli. Gdy tylko się odezwała, natychmiast wyczułem, że coś się stało. Po kilku jej słowach spytałem:

- Mówisz jakoś dziwnie. Dobrze się czujesz?
- Dobrze. Jestem tylko trochę zmęczona.

Wtedy zdałem sobie sprawę, jak źle ją traktowałem. Od śmierci Jazmín

spotkaliśmy się parę razy, by napić się kawy i porozmawiać, ale potem zniknąłem. Unikałem wspomnień. Byłem tego świadomy, gdy zapytałem:

– Może byś do mnie wpadła? Zrobię ci górniczą kawę, a ty mi opowiesz, dlaczego jesteś taka smutna.

– Na pewno nie sprawię ci kłopotu?

– Żadnego. Z przyjemnością cię zobaczę i z tobą porozmawiam.

– W porządku, niedługo będę. Mam coś przynieść?

– Nie, jeśli będziemy głodni, pójdziemy na kolację. Po prostu przyjdź.

– Dobrze. Zobaczymy się późnym popołudniem. *Ciao*.



W ciągu następnych godzin próbowałem posprzątać trochę mieszkanie. Spędzałem wiele dni poza domem, czasem całe tygodnie, i brak troski o porządek dawał się już zauważyć. Graciela zjawiała się po dwóch godzinach. Piękna jak zawsze, miała na sobie bluzkę z czarnego jedwabiu i spodnie w tym samym kolorze. Nie były obcisłe, ale podkreślały jej kształty.

– Twoja obecność podnosi wartość tego skromnego mieszkanka – powiedziałem z uśmiechem.

– Przeceniasz mnie, Ricardo. Jestem taka jak wszyscy. Może tylko bardziej samotna.

– Ciągłe nazywasz mnie Ricardo.

– Zawsze tak cię będę nazywała, przecież wiesz.

Zauważyłem, że z trudem powstrzymuje się od płaczu. Podeszedłem do niej i ją objąłem.

– Co się dzieje, moja droga? – Zaczęła szlochać w moich objęciach. Pozwoliłem jej się wypłakać. Po raz pierwszy widziałem ją taką bezbronną i byłem tym poruszony.

– Wybacz, że przyszedłam tu lamentować – usprawiedliwiała się, ocierając łzy.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, widząc, że płaczesz – powiedziałem żartem, by dodać jej otuchy. – Zaczynałem już sądzić, że jesteś doskonała. Ale nie martw się, trafiłaś w odpowiednie miejsce, w tym domu często słyhać płacz, wierz mi. Napijesz się czegoś? Mam gdzieś butelkę brandy.

Piliśmy Domecq i rozmawialiśmy. Graciela opowiedziała mi o swoim dzieciństwie. Zawsze stanowiła zagadkę, nigdy przedtem nie mówiła o swoim życiu, miłościach ani pracy. Miałem wrażenie, że pragnie oddzielić te sprawy od naszej przyjaźni, a ponieważ oboje chcieliśmy tego samego, żadne nie zadawało pytań. Kochałem ją i akceptowałem taką, jaka była. Z wzajemnością.

– Nie ufam nikomu oprócz ciebie – oznajmiła.

– Masz jakieś problemy? Mogę ci w czymś pomóc?

– Nie, to bardzo skomplikowane.

– Mogę zabrać cię ze sobą do Amazonas i zostawić na parę tygodni z Indianami Yanomami. Zobaczysz, że po powrocie od razu lepiej się poczujesz – zaproponowałem żartem.

– Gdybym mogła...

– Nic o tobie nie wiem, Gracielo, i nigdy nie miało to dla mnie znaczenia. Lubię cię taką, jaka jesteś, i nie chciałbym, żebyś się zmieniała, ale uszczęśliwisz mnie, jeśli pozwolisz sobie pomóc.

– To trudna sprawa, Ricardo. Muszę podjąć bardzo ważną decyzję i jestem pod presją. Martwię się, bo nie wiem, jakie mogą być konsekwencje tej decyzji.

– Coś ci grozi?

– Nie wiem, chyba nie. Ale nie chodzi tylko o strach przed tym, co mi się może przydarzyć. Boję się popełnić błąd. – Siedząc na kanapie obok mnie, odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy.

Widać było, że jest zmęczona.

– Nie jestem żadnym ekspertem, ale radzę ci kierować się instynktem. Niech on cię prowadzi. Jeśli się pomylisz, będziesz mogła się pocieszać, że zrobiłaś to, co uważałaś za słuszne. A teraz chodź, dziś będziesz spała u mnie. Żadne z nas nie może prowadzić samochodu, a po tym, co mi opowiedziałaś, sądzę, że będziesz spokojniejsza tutaj, z dala od twojego królestwa.

– Nie mogę zostać, to nie byłoby w porządku.

– Oczywiście, że możesz. Gdyby Jazmín tu była, nie pozwoliłaby ci wyjść. Połóżysz się w moim łóżku, a ja na kanapie. – Wziąłem ją za rękę i poprowadziłem w kierunku łóżka. – Chodź, pomogę ci zdjąć bluzkę i spodnie, żeby się nie pogniotły.

- Zawsze sypiam nago – ostrzegła bez cienia zalotności.
 - Chyba już widziałem cię nagą. Nie martw się, nic się nie stanie.
- Rozebrawszy się i położywszy do łóżka, powiedziała:

– Ty będziesz spał tutaj – zrobiła mi miejsce obok siebie. – To niesprawiedliwe, żebyś kładł się na kanapie. To twoje łóżko, a poza tym, jak sam wspomniałeś, już ze sobą spaliśmy.

Usiadłem przy niej, pocałowałem ją w czoło i pogładziłem jej włosy, które rozsypały się na poduszce.

- Przestań się martwić i śpij spokojnie. Wszystko się jakoś ułoży.

Obecność Gracieli w moim mieszkaniu, w moim łóżku, była czymś dziwnym, ale równocześnie przyjemnym. Brandy pomogła jej przyznać się do samotności i, jak to zwykle bywa, zwiększyła zaufanie do mnie i zacieśniła łączące nas więzy. Zbierając kieliszki i niosąc je do kuchni, rozmyślałem, jakie życie jest dziwne. Niewiele wiedziałem o Gracieli oprócz tego, że jest dobrą przyjaciółką. Martwiło mnie to, co powiedziała, a jeszcze bardziej to, co ukrywała, i możliwość, że coś jej grozi. Pieniądz przyciąga dobrych i złych. Kusilo mnie, żeby otworzyć jej torebkę i poszukać jakiegoś tropu. Nie wiedziałem nawet, czy naprawdę ma na imię Graciela. Nigdy nie odwiedzałem jej w pracy ani nie miałem pojęcia, czym się zajmuje, ale natychmiast odrzuciłem pomysł szperania w jej torebce. Przypomniałem sobie słowa starego Calista: „Choćby ci się wydawało, że miałaś dobre intencje, zrobiłaś źle”. Postanowiłem dać jej się wyspać, a rano o wszystko wypytać.

Gdy wróciłem do pokoju, Graciela spała głęboko. Nawet się nie poruszyła, kiedy położyłem się koło niej. Po raz pierwszy od śmierci Jazmín spała w moim łóżku inna kobieta.

Po paru godzinach obudziłem się bez powodu i nie mogłem zasnąć. Delikatne perfumy Gracieli drażniły moje zmysły. Świt zaczął rozpraszać półmrok w pokoju. Graciela spała spokojnie na boku. Pierwsze promienie słońca igrały na zasłonie i płoszyły widma. W ciągu kilku minut dotarły do łóżka, do niej, i ogarnęły światłem jej biodra, których zarys widziałem. Nie mogłem się powstrzymać i pogładziłem jej skórę. Obudziła się i nie odwracając głowy, ujęła moją dłoń i przyłożyła do ust. Masowała moje palce słodkimi i zmysłowymi pocałunkami. Zacząłem całować jej szyję, całe ciało...

Poddała się moim pieszczotom. Jej ciche jęki zachęcały mnie, by kontynuować. Nie potrafiąc się pohamować, pieściłem jej biodra, aż wygięła się zmysłowo w niemym przyzwoleniu, naprowadzając mnie tam, gdzie pragnęła, bym dotarł. Pozwoliła mi wejść w siebie od tyłu, raz i drugi, aż eksplodowała intensywnymi spazmami rozkoszy, którym towarzyszyły namiętne słowa.

W ciągu dnia powtórzyliśmy ten dziwny akt wspólnoty uczuć i powściągniętych żądz. Bez poczucia winy. Było to tak naturalne, jak następstwo pór roku. Wieczorem, gdy przyszyła pora rozstania, spytałem:

– Czujesz się lepiej?

Objęła mnie i odparła:

– O niebo. Potrzebowałam odpoczynku, aby zebrać myśli. To było... rozkoszne. Nie chciałam, by ktoś był obok i patrzył. Zaspokoiliś moje fantazje.

– Boże! Nie mów tak, bo nie pozwolę ci wyjść, tylko znowu zaciągnę cię do łóżka.

– Kiedy tylko zechcesz. Od dziś wystarczy, że mnie poprosisz.

Wizyta Gracieli zmieniła moje plany. Choć nalegałem, nie powiedziała mi, co ją trapi. Nie wiedząc, czy coś jej grozi, byłem niespokojny. Nie miałem pojęcia, jak jej pomóc. Rozumiałem, że należy do innego świata, którego nie znam. Mogłem jedynie być blisko niej i czuwać na wypadek, gdyby mnie potrzebowała. Z jej słów wywnioskowałem, że to, czego się obawia, ma nastąpić za parę dni. Musiała podjąć decyzję w ciągu dwóch tygodni. Wziąłem urlop. Wylatałem wiele godzin i Roberto stwierdził, że na to zasługuję. Nie sprzeciwiał się, oznajmił po prostu:

– Weź tyle dni, ile potrzebujesz, i odpocznij. Wrócisz, kiedy zechcesz.

Nocą zadzwoniłem do Gracieli i zawiadomiłem ją, że będę w mieście przez kilka tygodni. Poprosiłem, by dla swojego bezpieczeństwa zamieszkała na kilka dni u mnie.

– Rzuciłeś dla mnie pracę? – spytała.

– Nie. Ale nie będę odbywał długich lotów, chyba że polecisz ze mną odwiedzić Indian i górników.

– Mam dużo pracy. Dużo tekstu do przeczytania i poprawienia.

– Przynieś wszystko, czego potrzebujesz. Mam tutaj stół i duże łóżko –

oznajmiłem radośnie.

– To kusząca propozycja. Zastanowię się i dam ci znać.

– Nie martw się, nie będę ci przeszkadzał w pracy. Chcę tylko, żebyś mogła spokojnie dokończyć to, co robisz.



Następnego dnia wręczono mi w aeroklubie list. Don Jaime – piszący okrągłymi, wyraźnymi literami – zawiadamiał mnie, że w przyszłym tygodniu będzie z wizytą w mieście i chciałby ze mną porozmawiać. Podał mi nazwę hotelu, w którym miał się zatrzymać, i numer telefonu. Spojrzawszy na datę, zauważyłem, że wysłał ten list ponad tydzień temu. Zadzwoiłem do hotelu, by spytać, czy już przyjechał. Telefonista zaskoczył mnie, mówiąc:

– Proszę zaczekać, łączę rozmowę.

Po wymianie uprzejmości don Jaime zaprosił mnie na kolację. Powiedziałem, że wolałbym spotkać się z nim wcześniej, bo na wieczór jestem umówiony z przyjaciółką.

– Stałeś się playboyem – zażartował.

– Nic z tych rzeczy. To dobra znajoma i zapewne zostanie u mnie parę dni.

Umówiliśmy się na spotkanie za parę godzin w hotelowej restauracji. Tymczasem poszedłem na zakupy. W mojej spiżarni brakowało wielu rzeczy, a skoro Graciela miała u mnie zostać, musiałem kupić coś do jedzenia i jakieś napoje.

Przybywszy do hotelu, udałem się wprost do baru. Don Jaime już tam był. Wstał i uściskał mnie po ojcowsku, jakby witał się z synem.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę, chłopcze. Minęło parę miesięcy, odkąd razem lecieliśmy, ale za każdym razem, gdy wsiadam do samolotu, przypominam sobie ciebie... Jak ci się wiedzie? Pytałem o ciebie w aeroklubie i powiedzieli mi, że pracujesz teraz dla spółki z Amazonas i przewożysz górników.

– Tak, latam do dżungli. Nie mam jeszcze licencji na przewóz pasażerów, ale na tych terenach nikt o nią nie pyta. Interesuje ich tylko, żeby dolecieli cali i dostawali zamówione towary.

Rozmawialiśmy o samolotach, o wyspie, o jego rodzinie i interesach, gdy nagle mnie zaskoczył.

– Synu, zebrałem trochę informacji na twój temat i nie miej mi za złe, że ci to mówię. Wiem, że miałeś problemy, że w dzieciństwie uciekłeś z domu, że długo mieszkaleś na ulicy, ale udało ci się stanąć na nogi dzięki pracy, a teraz nadal się uczysz. Rozmawiałem długo z panem Arévałem i opowiedział mi o twoim zamiłowaniu do nauki. Wiem też, co się stało z twoją dziewczyną. Szczerze ci współczuję... Chciałbym, żebyś rozważył możliwość wyjazdu do Kolumbii i pracy ze mną. Zwróc uwagę, co powiedziałem: ze mną, nie dla mnie.

Zmroziło mnie. Słuchałem uważnie, gdy opowiadał mi szczegółowo, czym zajmuje się w tym kraju. Mówił przez godzinę. Wyrażał się jasno. Zdziwiłem się, że zwierza mi się tak otwarcie z nie do końca legalnych przedsięwzięć.

– Jestem zaskoczony, że obdarzył mnie pan zaufaniem. To bardzo poważna sprawa...

– Owszem. Dlatego osobiście dobieram współpracowników. Kiedy cię poprosiłem, żebyś pozwolił mi ze sobą lecieć, nie miałem wobec ciebie żadnych planów, ale to było wspaniałe doświadczenie. Wywarłeś na mnie duże wrażenie, lądując tak pewnie na tej opuszczonej drodze tylko dlatego, że ja tego potrzebowałem. Doszedłem do wniosku, że aby odnieść sukces, musimy stworzyć własny system transportu. Mam świadomość, że transport powietrzny jest rozwiązaniem szybkim i skutecznym. Mamy teraz jedną awionetkę do wewnętrznego użytku, ale potrzebujemy więcej samolotów, i co ważniejsze, dobrych pilotów.

– Nie mam dużego doświadczenia, don Jaime. Wie pan, że latam od niedawna.

– Wiem, ale wiem również, że latałeś do osad górniczych i że dobrze sobie z tym radzisz, lepiej niż wielu, którzy robią to od lat. Zdaję sobie sprawę, że lubisz przygody i że w domu nikt na ciebie nie czeka.

– Jest pan dobrze zorientowany. Pochlebia mi pańskie zaufanie, ale proszę pamiętać, że nie mam licencji na loty komercyjne.

– To tylko papier. Tam, dokąd będziesz latał, nikt tego nie wymaga. Będziesz zarabiał więcej niż teraz, dużo więcej.

- Co konkretnie musiałbym robić?
- To proste, synu: uczyć się. Mój plan nie jest krótkoterminowy. Jego realizacja wymaga czasu, ale muszę wszystko przewidzieć. Chciałbym, żebyś popracował trochę w Kolumbii i poznał teren. Potem pojedziesz na szkolenie do Stanów Zjednoczonych, aby nauczyć się obsługiwać różne typy samolotów i zapoznać się z amerykańskim systemem nawigacji. Wyślę cię do szkoły w Kalifornii, którą prowadzą moi znajomi. Będziesz mógł tam trenować i zdobyć licencję na rozmaite rodzaje maszyn.
- Ile czasu to potrwa?
- Spędzisz sześć miesięcy w Kolumbii i rok w Stanach. Przejdiesz szkolenie w lotach krajowych i międzynarodowych.
- Co pan na tym zyska, don Jaime?
- Nic. Inwestuję w twoją przyszłość i stawiam na ciebie, bo wiem, że jesteś dobrym pilotem. Ile typów maszyn dotychczas pilotowałeś?
- Jednosilnikowe i dwusilnikowe, samoloty typu Séneca, Navajo, Comanche, jako drugi pilot u boku Miguela. Skoro zbierał pan o mnie informacje, już pan to wie. On wypróbował samoloty, które opuszczają warsztat, a podczas lotów do Amazonas korzystamy z jego maszyn.
- Synu, ile masz lat?
- Siedemnaście, skończę osiemnaście w styczniu.
- Posłuchaj. Masz siedemnaście lat i już lądujesz dwusilnikową maszyną na pasach w dżungli, które przyprawiają o mdłości profesjonalnych pilotów. Pamiętasz, co mi powiedziałeś, kiedy odlatywaliśmy z wyspy? Mówiłeś, że chcesz się nauczyć latać odrzutowcami. Teraz masz szansę. Tylko się zastanów.
- Don Jaime, pańska oferta jest bardzo hojna. Ale dlaczego wybrał pan mnie?
- Pamiętasz, jak mi pokazałeś, co mam robić, i pozwoliłeś przejąć stery awionetki? Pamiętasz to?
- Tak.
- To było dla mnie szczególnie doświadczenie. Spełnienie jednego z tych ukrytych pragnień, których nie udaje nam się albo nie mamy odwagi zrealizować. Zawsze chciałem latać, ale moi rodzice uważali, że zwariowałem. W

tamtych czasach było to bardziej niebezpieczne niż teraz. Nie było tylu szkół ani prywatnych lotnisk. Samoloty mogli pilotować tylko synowie bogaczy. Myślałem, że umrę, nie spełniwszy swojego marzenia, aż nagle ty, siedemnastoletni chłopak, powiedziałaś: „Teraz niech pan przejmie stery”. Myślę, że wyczułaś moje pragnienie i zachęciłaś mnie, bym je zrealizował. Byłem pod wrażeniem twojej pewności siebie, zazdrościłem ci jej. Dziś ja mogę ci pomóc spełnić twoje marzenia, żeby latać dalej i wyżej. Tak właśnie powiedziałaś.

– Nie wiem, co mam odpowiedzieć, don Jaime.

– Nic nie mów. Przemysł to, a jeśli się zdecydujesz, zadzwoń do mnie, to po ciebie przyjadę. Co ty na to?

– Dziękuję, zastanowię się.

– A teraz dotrzyмай staremu towarzystwa przy posiłku, zanim pójdziesz do swojej dziewczyny.

17.

Gdy wróciłem do domu po posiłku z don Jaime i zamierzałem zabrać z samochodu zakupy, zauważyłem zaparkowaną w odległości pięćdziesięciu metrów furgonetkę. Miała podniesioną maskę, jakby z powodu awarii. Obok stał mężczyzna, który coś przy niej robił. Zobaczywszy mnie, ruszył w moim kierunku. Było oczywiste, że chce o coś zapytać. Przyjrzałem się jego twarzy: miał grube wargi, orli nos i krzaczaste brwi. Nie było wątpliwości, kim jest z zawodu. Podeszedłszy do mnie, oznajmił:

– Dzień dobry, zepsuła mi się furgonetka i pomyślałem, że może pozwoli mi pan skorzystać ze swojego telefonu, żebym zadzwonił do warsztatu.

– Co się dzieje?

– Nie wiem, nie chce zapalić. Nie brakuje paliwa, sprawdziłem wszystkie styki i akumulator, ale nic to nie dało.

– Nie mam telefonu, ale dwie przecznice stąd jest automat w centrum handlowym.

– Dziękuję, pójdę tam.

Wszedłem do mieszkania obciążony torbami i od razu wyjrzałem przez okno. Mężczyzna nadal stał na ulicy, co potwierdziło moje podejrzenia. Był policjantem. Powiedział, że sprawdzał styki i akumulator, ale nie ubrudził rąk. Poza tym spytał, czy może skorzystać z mojego telefonu, a nie, czy go mam. Telefony były w tej okolicy rzadkością i ludzie zwykle najpierw się upewniali, czy ktoś dysponuje takim sprzętem. Ten człowiek wiedział więcej

o mnie niż ja o nim. Może stawałem się paranoikiem, ale przeżywszy trzy lata na ulicy, wyczuwałem policjanta na kilometr. On bez wątpienia nim był.

Atmosfera robiła się nerwowa. Graciela się nie zjawiała i mój niepokój narastał. O zmierzchu zadzwoniłem do jej domu. Służąca poinformowała mnie, że pani jeszcze nie wróciła i nie wie, kiedy będzie. Nie chciałem jej szukać, bo nie miałem najmniejszego pojęcia, gdzie może być. Nie znałem jej zwyczajów. Wołałem czekać na nią w domu. Może zmieniła zdanie...

O pierwszej w nocy ktoś zapukał do drzwi. Byłem zaskoczony, widząc pana Arévala. Jego powaga wskazywała, że przynosi złe wieści. Skinął głową na powitanie i powiedział, wchodząc:

– Zabrali do komisariatu mojego brata i trzymali go trzy godziny. Pytali o ciebie. Wjechali kolejką na Stację-trzy i tam weszli. Chyba niczego nie znaleźli, ale z jakiegoś powodu sprawdzają, co robiłeś, kiedy Jazmín była w szpitalu. Agustín prosił, żeby cię zawiadomić i żebyś miał się na baczności.

– Dzięki. Napijesz się czegoś?

– Nie, muszę lecieć. Czekałem, aż skończy się ostatni seans, żeby tu przyjść, ale żona będzie się martwiła, jeśli szybko nie wrócę. Uważaj na siebie.

– Jestem twoim dłużnikiem, już na zawsze.

Uściskaliśmy się i odprowadziłem go na ulicę.



Zasnąłem na kanapie tuż przed świtem i nagle się obudziłem. Zadzwoniłem do Gracieli. Odpowiedź była taka sama: nie ma jej i służąca nie wie, kiedy wróci. Przebrałem się i poszedłem do aeroklubu. Tam spotkałem Roberta, który natychmiast mnie ostrzegł:

– Znów wypytywali o ciebie jacyś policjanci w cywilu. Chcieli wiedzieć, czy znam twoich przyjaciół i miejsca, w których bywasz. Pokazywali mi zdjęcia jakichś facetów i pytali, czy ich rozpoznaję albo czy ich z tobą widziałem. Nie byli uprzejmi.

– Był z nimi inspektor Petit?

– Nie, to byli inni ludzie. Wyglądali bardziej na bandytów niż na policjantów.

- Nic z tego nie rozumiem. Wiedzą przecież, gdzie mieszkam. Dziwne, że zamiast mnie przesłuchać, wypytyują wszystkich naokoło. To bez sensu.
 - To dlatego, że nic na ciebie nie mają. Gdyby mieli, już by cię przesłuchali albo zatrzymali. I co z twoim urlopem?
 - Wynikły pewne sprawy. Zaproponowano mi wyjazd na szkolenie do Stanów i zdobycie licencji na odrzutowce.
- Roberto nie potrafił ukryć zdumienia.
- Kto ci to zaproponował? Dziadek?
 - Nie, znajomy. Ale jeszcze nie podjąłem decyzji. Lubię tu pracować, robię to, na czym się znam i co opanuję coraz lepiej.
 - No dobrze, cokolwiek postanowisz, masz nasze poparcie, chociaż musisz przyznać, że nie chciałbym cię stracić. Jesteś synem marnotrawnym tej szkoły i aeroklubu.
 - Dzięki, Roberto. Musiałem ci to powiedzieć.



Są chwile w naszym życiu, gdy mamy przeczucia, gdy przewidujemy, co może się wydarzyć. Niektórzy nazywają to szóstym zmysłem. Tamtego dnia szara chmura, która przesłoniła horyzont, stanowiła złą wróżbę. Czuję to wyraźnie. Dlatego nie byłem zaskoczony, gdy przy wyjściu z aeroklubu pojawili się nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, uzbrojeni osobnicy, którzy wsadzili mnie do samochodu z przyciemnionymi szybami. Przeszukawszy mi kieszenie i zabrawszy kluczyki od wozu, włożyli mi na głowę kaptur i kazali się pochylić, aby nikt z zewnątrz mnie nie zobaczył. Jazda trwała pół godziny. Przez ten czas nie odzywali się ani słowem. W końcu wyczułem, że zjeżdżamy po rampie w jakimś budynku. Wkrótce wywlekli mnie z samochodu i zaprowadzili do windy. Musiały to być jakieś policyjne koszary, bo inaczej nie prowadziliby mnie tak spokojnie zakapturowanego, nie zwracając niczyjej uwagi.

Przesłuchiwali mnie przez dwa niekończące się dni. Nie widziałem ich twarzy. Kazali mi objąć ramionami kolumnę i przykuli mnie do niej. Głowę miałem opartą o zimny cement, a kilku przesłuchujących wypytywało mnie na zmianę o zaginionego policjanta i jeszcze jedną osobę. Dwa razy zabrali mnie do toalety. Gdy wychodziłem, zaczęli mnie nagle okładać pięściami i

kopać w twarz i żołądek. Czulem w ustach smak krwi. Byli przekonani, że miałem coś wspólnego ze zniknięciem policjanta. Podczas przesłuchania wspominali ciągle o Lidii (księżniczce Jazmín). Powtarzali, że była dziwką i że nie warto znosić dla niej takiego bólu. Że głupio robię, milcząc, bo i tak wiedzą, co się stało, i chcą tylko, żebym to potwierdził. Jeden z nich powiedział:

– Nie masz jeszcze osiemnastu lat, nic ci nie grozi. Przyznaj się.



Dwa razy straciłem przytomność. Bili mnie po głowie i po całym ciele zwiniętą w rulon gazetą, żeby nie zostawiać śladów. Kiedy opuszczały mnie siły, wystarczyło, by któryś nazwał Jazmín dziwką, a ogarniała mnie taka wściekłość, że znów mogłem stawiać im opór.

Straciłem poczucie czasu. Chwilami zostawiali mnie samego i gdy znów otwierały się drzwi, moje mięśnie napinały się w oczekiwaniu na kolejne ciosy.

Trzeciego dnia usłyszałem w oddali głos kobiety, która stanowczym tonem wydawała polecenia. Drzwi nagle się otworzyły i weszło kilka osób. Spodziewałem się, że znów zostaną pobity, gdy ktoś obok mnie krzyknął:

– Jest tutaj!

Ściągnęła mi kaptur, by upewnić się, że to ja, i zdjęła kajdanki. Wszyscy, którzy mnie otaczali, byli w czarnych mundurach. Należeli do elitarnej jednostki policji, na co wskazywały również ich identyfikatory.

Nie ośmielając się uwierzyć w to, co się dzieje, zobaczyłem człowieka w szarym uniformie, który, najwyraźniej zmieszany, wyjaśniał powód zatrzymania mnie osobie stojącej za nim.

– Ten młody człowiek został aresztowany na polecenie sądu.

Za nim weszła Graciela. Serce podskoczyło mi do gardła. Przyglądała mi się przez kilka sekund, po czym odparła:

– To nie było zatrzymanie, tylko porwanie. Zabieramy go. Jestem sędzią federalnym. Wydam nakaz aresztowania wszystkich, którzy brali w tym udział. Jeśli pan sobie życzy, wydam też nakaz uwolnienia tego młodzieńca.
– Po chwili dodała: – Sfotografujcie tu wszystko i zabierzcie tego człowieka do gabinetu lekarza sądowego, żeby go zbadał, a potem przyprowadźcie go

do mnie. – Odwróciła się na pięcie i wyszła w towarzystwie dwóch mężczyzn, którzy wyglądali jak członkowie straży pretoriańskiej.

Nikt nie ośmielił się odezwać. I tak, w zupełnie nieoczekiwany sposób, zakończyło się moje aresztowanie. Zobaczyłem Gracielę, jakiej nie znałem: stanowczą, władczą i lojalną.



Spędziłem ponad trzy godziny w gabinecie lekarskim, gdzie dokładnie mnie zbadano. „Pretorianie”, którzy zostali w pobliżu, zabrali mnie do siedziby sądu. Tam był już gotowy dokument uwalniający mnie od wszelkich zarzutów. Jego kopię wręczono agentom, którzy zaprowadzili mnie do sekretarki.

– Jest pan wolny – oznajmiła. – Oto kluczyki od pańskiego samochodu. Stoi na parkingu obok tego budynku. Zawiadomimy pana, kiedy powinien pan się zjawić, żeby podjąć kroki, które uzna za konieczne pani sędzia. Może pan odejść.

Nie widziałem Gracieli ani o nią nie pytałem. Policjanci, którzy mnie śledzili, wiedzieli z pewnością, że ją znam i że spędziła noc w moim mieszkaniu. Było tylko kwestią czasu, kiedy za to zapłaci, kiedy wykorzystają to przeciwko niej.

Samochód stał na parkingu. Przeszukali go dokładnie. Wyrwali radio i obicie drzwi, ale zapalił. Wróciłem do mieszkania, gdzie czekała mnie niespodzianka. Tam też zrobili rewizję. Wyglądało jak po przejściu huraganu. Wszystko było poprzewracane i poniszczone. Niektóre rzeczy zniknęły, między innymi zdjęcia, które przechowywała Jazmín. Nie próbowałem niczego porządkować. Zebrałem rozrzucone po podłodze ubrania i poszedłem pod prysznic. Pod strumieniem wody zacząłem odzyskiwać równowagę i trzeźwiej myśleć. Wziąłem tabletki na uspokojenie i tej nocy spałem głęboko, choć miałem zbolalą duszę.

Następnego ranka, nie chcąc korzystać z domowego telefonu, poszedłem do supersamu i zadzwoniłem z automatu do don Jaime. Powitał mnie uprzejmie, uradowany, że słyszy mój głos.

– Czy oferta pracy w Kolumbii jest aktualna? – spytałem.



Przez trzy dni nie miałem wiadomości o Gracieli. Nie chciałem do niej dzwonić, obawiając się, że rozmowy mogą być nagrywane. Kiedy zaczynałem sądzić, że już nigdy o niej nie usłyszę, miałem nieoczekiwaną wizytę. Zjawił się syn pana Arévala. Przywitawszy się, wręczył mi bilet do kina i oznajmił:

- Może wpadniesz na ostatni seans zobaczyć *Kto się boi Virginii Wolf?*
- Dziękuję – tylko tyle zdołałem powiedzieć.

Była dwudziesta trzecia, gdy – upewniwszy się, że nikt mnie nie śledzi – wszedłem do kina. Pan Arévalo uśmiechnął się do mnie, uściskał na powitanie i rozsunąwszy kotarę, rzekł:

- Przedostatni rząd po prawej.

Wszedłem, patrząc na ekran, aby wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Sala była prawie pusta i szybko dostrzegłem samotną postać. Minąwszy rzędy foteli, usiadłem obok niej. Graciela objęła mnie i spytała, jak się czuję.

– Martwię się o ciebie. Zobaczywszy cię tam, byłem zaskoczony jak nigdy w życiu. Nie wiem, jak ci dziękować. Naraziłaś się dla mnie. Nie przepuszczałem, że jesteś sędzią.

Uśmiechnęła się.

– Nie możemy być doskonali... Jesteś rozczarowany?

– Nie, zaskoczony, ale teraz myślę o tobie. Nie będziesz miała problemów?

– Nie martw się o mnie. To ty musisz na siebie uważać. Ci policjanci nie dadzą za wygraną i wcześniej czy później cię dopadną. Powinieneś wyjechać na jakiś czas.

– Wyjadę ze względu na ciebie. Nie chcę przysparzać ci kłopotów. Ale nie masz pojęcia, jak będę za tobą tęsknił...

– A ja za tobą. Ale nie martw się, zobaczymy się, kiedy wszystko ucichnie. Kiedy wyjeżdżasz?

– Jutro. Do Kolumbii. Będę tam pracował. Dostałem ciekawą ofertę.

– Masz paszport?

– Nie, ale nie potrzebuję go, żeby przekroczyć granicę.

– Nie będę spokojna, dopóki się nie dowiem, że dotarłeś bezpiecznie na miejsce. Umówmy się, że przed wyjazdem zadzwonisz do kina do pana Arévala. Zostawię dla ciebie wiadomość.

- To znaczy, że już się żegnamy?
- Na razie tak...

Pan Arévalo podszedł do nas i powiedział, że jeśli chcemy, możemy skorzystać z sali projekcyjnej na górze. Seans właśnie się zaczął i mieliśmy do dyspozycji co najmniej osiemdziesiąt minut. Nie zastanawiając się, poszliśmy za nim. Zostawił nas samych bez żadnych komentarzy.

Słyszając szum projektora i czując kamforowy zapach zgromadzonych w kabinie taśm, daliśmy upust naszym namiętnościom. Potem pożegnałem się z Graciela.

- Nigdy nie mów „żegnaj” – powiedziała.



Tak jak się umówiliśmy, następnego dnia, zanim wyruszyłem w podróż, zadzwoniłem do pana Arévala, który przekazał mi instrukcje, co mam zrobić, gdy dotrę do miasta granicznego. Ktoś będzie mi towarzyszył przy przekraczaniu granicy i pomoże, gdybym miał problemy. Skontaktuje się ze mną, gdy dotrę na miejsce.

Pożegnałem się ze wszystkimi, obiecując, że niedługo wrócę, choć w głębi duszy wiedzieliśmy, że prawdopodobnie już nigdy się nie zobaczymy. Miguel i Roberto dali mi pieniądze, choć o to nie prosiłem. Powiedzieli, że powinienem je przyjąć, że to jakby podział zysków. Z tym, co zaoszczędziłem, miałem piętnaście tysięcy dolarów. Życzyli mi wszystkiego najlepszego. Pozostało mi tylko pożegnać się z Pecasem. Wsiadłem do samochodu i pojechałem na dworzec. Pecas nie sypiał już na ulicach. Dojrzał i dorobił się własnych blizn. Szukałem go na parkingu, ale nie mogłem znaleźć. Wszedłem do hali dworca. Poczekalnia ze sfatygowanymi ławkami wyglądała tak samo jak wtedy, gdy w niej nocowałem. Zaspani podróżni na krzesłach, biegające dzieciaki, jakiś turysta kupujący pamiątki, zanim wsiądzie do autobusu, dwóch policjantów w cywilu. Potrafiłem ich rozpoznać. Stałem się ekspertem. Niektórzy mają w sobie coś, co nie uchodzi uwagi chłopaka z ulicy: jakiś wyraz głupoty i przebiegłości na twarzach, w pustych, lecz czujnych źrenicach i w ruchach. Czuję ich spojrzenia, choć stałem do nich tyłem.

Zobaczyłem Pecasa. Wydało mi się, że urósł. Miał inną fryzurę. Uściskałem go, mówiąc żartobliwie:

– Wyglądasz jak panicz.

Uśmiechnął się i wskazał kontuar firmy Transportes Alianza, gdzie obsługiwała pasażera śliczna dziewczyna w wieku około piętnastu lat.

– To córka szefa spółki. Ma na imię Alicia i szaleję za nią. Wczoraj z nią rozmawiałem i chyba jej się podobam.

– Gratuluję, Pedro. Zakochałeś się. Jest piękna.

– A co u ciebie?, Za każdym razem, gdy widzę startującą z lotniska awionetkę, podnoszę głowę i pozdrawiam cię. No wiesz... na wypadek, gdybyś nią leciał. Wszystkim mówię: „Mój brat jest pilotem”. Jak się miewasz?

Nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Powiedziałem mu prawdę.

– Zostałem zatrzymany przez policję. Wypuścili mnie, ale przyjdą znowu. Jutro wyjeżdżam do Kolumbii. Potrzebuję przysługi.

– Tylko powiedz jakiej.

– Chcę, żebyś kupił mi na jutro bilet na przejazd do granicy w San Antonio del Táchira, na autobus o dwudziestej. Minutę przed odjazdem wręcz ten bilet pomocnikowi kierowcy i powiedz, że będę czekał na przystanku przy Helicoide, żeby mnie stamtąd zabrał.

– Nie ma problemu, znam większość kierowców tej linii. Załatwione. Kiedy wrócisz?

– Nie wiem. Muszę zniknąć na jakiś czas.

Zamyślił się, spojrzał smutno i powiedział:

– Co za gówniane życie. Jesteśmy wyklęci.

– Nie, nie mów tak. To nieprawda. Zobacz, jaką masz piękną dziewczynę.

– Przy moim szczęściu, kiedy jej ojciec coś zauważy i dowie się, kim jestem, nie pozwoli jej tu przychodzić.

– Więcej optymizmu. Proszę, to są kluczyki do samochodu, a te do mieszkania. Czynsz jest zapłacony za trzy miesiące. Korzystaj. Ten papier to moje świadectwo urodzenia. Na jego podstawie dostałem dowód tożsamości, ale jeśli pojedziesz do innego miasta, możesz wyrobić sobie drugi na to samo nazwisko. Zmieniłem rok w dacie urodzenia. Będziesz figurował pod

tym samym nazwiskiem, ale jako inna osoba, dwa lata młodsza. Przystaniesz mieć na imię Pedro. W kopercie jest też trochę pieniędzy. Korzystaj z nich rozsądnie, żeby starczyły ci na dłużej. Nie zapominaj płacić za telefon, żebyś mógł do mnie dzwonić. Później prześlę ci jeszcze pieniądze.

- A jaki ty masz dokument na podróż?
- Do granicy będę korzystał z dowodu tożsamości. Potem zmienię nazwisko. Mam wystarczająco dużo pieniędzy.
- Wszystko przewidziałeś – stwierdził ze smutkiem.
- Co z tobą? Powinieneś się cieszyć. Teraz masz samochód, żeby zabierać swoją dziewczynę na przejażdżki.
- Wolałbym nadal mieć brata.
- Zawsze nim będę. Pomyśl, po świecie będzie chodziło dwóch ludzi o tym samym imieniu i nazwisku. Zostaniemy bliźniakami. To więcej niż bracia...



Tego popołudnia poszedłem na cmentarz, żeby zanieść róże księżniczce Jazmín. Nie wiem, jak długo tam byłem. To pożegnanie zostawiło pustkę w mojej duszy.



Kiedy autobus się zatrzymał, żeby mnie zabrać, zobaczyłem zdumiony, że wysiada z niego Pecas. Widząc moje zaskoczenie, wyjaśnił, uśmiechając się smutno:

- Nie chciałem, żeby o tobie zapomniał.

Potem uściskał mnie bez słowa i odszedł, nie oglądając się. Z pewnością miał łzy w oczach. Ja nie mogłem powstrzymać się od płaczu.

Nie spałem podczas jazdy. Wspomnienia przesuwają mi się przed oczami jak sceny z filmu. O świcie, gdy autobus pokonywał ostatnie kilometry, pejzaż się zmienił, pojawiły się góry i intensywna zieleń.

Po raz pierwszy odwiedzałem to przygraniczne miasto. Wsiadłem z autobusu, zamierzając zostać tam jak najkrócej. Chciałem przekroczyć granicę, stanowiącą w mojej wyobraźni metę, do której musiałem dotrzeć, aby rozpocząć nowy etap życia. Zamyślony, odbierając na peronie walizkę w tłumie

ludzi, nie zauważyłem, że ktoś stanął obok mnie. Nagle znalazłem się twarzą w twarz z inspektorem Jordanem Petitem. Serce podeszło mi do gardła. Stały mi w oczach wydarzenia ostatnich dni. Zaniemówiłem. Widząc moje zaskoczenie, inspektor powiedział:

– Zabierz swoje rzeczy i chodź ze mną.

Myślałem o ucieczce, ale inspektor z pewnością rozstawił przy drzwiach swoich agentów, więc zrezygnowałem. Pogodziłem się z losem. Wyszliśmy z dworca i gdy szukałem wzrokiem innych policjantów, oznajmił:

– Nie wypatruj nikogo, synu. Jestem sam.

– Dlaczego chce mnie pan aresztować? – spytałem.

Przystanął na chwilę, położył mi dłoń na ramieniu i powiedział z uśmiechem:

– Nie przyszedłem cię aresztować. Przysłała mnie Graciela, żebym cię chronił i pomógł ci przekroczyć bez problemów granicę...

18.

Don Jaime dotrzymał obietnicy. Przyjął mnie z radością i ugościł w swoim domu. Zarówno on, jak i jego żona Yolanda oraz cała rodzina prześcigali się w okazywaniu mi troski i sympatii. W ich towarzystwie odnalazłem tak potrzebny mi spokój.

Musiałem koniecznie zmienić tożsamość. Don Jaime to rozumiał i starał się zdobyć wszystkie niezbędne dokumenty, abym mógł stać się inną osobą: świadectwo urodzenia, dowód osobisty, paszport, prawo jazdy i dyplom szkoły. Zanim się tym zajął, spytał:

- Jak byś się chciał nazywać, Davidzie?
- Nazwisko nie ma znaczenia, ale na imię chciałbym mieć Ricardo.

Po kilku dniach oznajmił:

– Niestety, nie mogłem spełnić twojego życzenia, ale możesz mieć Ricardo na nazwisko. Zaczynasz nowe życie. Odtąd będziesz się nazywał Remy Ricardo. Zapomnij, że kiedyś byłeś Davidem.

- Trudna sprawa. Mój przyjaciel Pecas nadal będzie tak do mnie mówił.
- Ważne, żebyś ty pamiętał, że nie jesteś już Davidem. Powtarzam, od teraz tylko Remy... Remy... Remy... Wygraweruj to sobie w mózgu.

Kiedy wyraziłem obawę, że mogę mieć problemy ze zdobyciem licencji pilota, odparł:

- To, synu, najprostsza sprawa. Nikt nie udaje, że jest pilotem, ani nie chce nim być. Zdasz egzamin i dostaniesz certyfikat z poświadczeniem

wszystkich kategorii uprawnień i wylatanych godzin, jakie miałeś w Wenezueli.

– Dlaczego nikt nie chce być pilotem?

– W Kolumbii zaczyna to być problemem. Policja obserwuje pilotów, którzy nie pracują dla dużych linii lotniczych. Uważają ich wszystkich za przemytników. Nikt nie mówi, że lata. Ty też nie powinieneś. Zapamiętaj raz na zawsze, że w Kolumbii pilotowanie to przestępstwo. Tylko ty i twoi bliscy będą wiedzieli, czym się zajmujesz. Wobec reszty świata masz udawać, że nie potrafisz odróżnić samolotu od komety.



Zacząłem latać starą cesseną między tajnymi lądowiskami w departamentach Vaupés, Caqueta i La Guajira, przewożąc towary i czasem pasażerów do odległych osad w Yari. W ciągu kolejnych miesięcy latałem po terytorium Kolumbii. Wzbogacałem archiwum pamięci o współrzędne i nazwy nielegalnych lotnisk. W krótkim czasie takie miejsca jak La Aurora, Guarataro, Versalles, Laureles, Palmarito, El Cairo, El Olvido i wiele innych były mi dobrze znane. Przekonałem się, jakie wpływy i władzę ma ten wielki człowiek, który starał się pozostawać w cieniu. Don Jaime pozdrawiał wszystkich i jego pozdrawiano z ogromnym szacunkiem.

Kilka miesięcy później nadeszła pora wyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Don Jaime dzięki licznym znajomościom zdobył dla mnie wizę studencką, abym mógł uczęszczać do szkoły pilotażu na Zachodnim Wybrzeżu.

Ogromnie podekscytowany, ze spakowaną walizką i wystarczającą sumą pieniędzy w kieszeni, żegnałem się z nim na lotnisku El Dorado w Bogocie. Gdy się rozstawaliśmy, powiedział wyraźnie wzruszony:

– Jesteś dla mnie jak syn i myślę, że o tym wiesz. Uważaj na siebie i ucz się. Nie pozwól, byś przez cokolwiek lub kogokolwiek stracił z oczu swoje cele. Ucz się, czego zapragniesz, i wracaj, kiedy zechcesz. Tu masz dom i rodzinę.

Nie wiem dlaczego, odpowiedziałem mu arogancko, choć serdecznie:

– Niech się pan nie martwi. Ja zawsze wracam... – Potem słowa te stały się moim pożegnaniem.



Podróż do Kalifornii odbywała się etapami, z postojami w Miami i zmianą samolotu przed lotem do Dallas, Denver i w końcu do Los Angeles. Nikt na mnie nie czekał. Spędziłem jedną noc w hotelu w centrum miasta i następnego dnia wsiadłem do autobusu do Oxnard, odległego o dwie godziny od Los Angeles, a stamtąd pojechałem taksówką do Santa Paula. Szkoła pilotażu znajdowała się obok lotniska, pośród wzgórz.

Powitał mnie Curtis, który miał odpowiadać za moje szkolenie, i pokazał mi, gdzie będę mieszkał. Była to stara przyczepa kempingowa stojąca w szeregu innych. Szkoła kwaterowała w nich zamiejscowych uczniów. Ta, którą mi przydzielono, była umeblowana, miała nawet niewielki zbiór książek na temat lotnictwa. Na ścianach wisiały ryciny z różnymi typami samolotów, na małym biurku leżał przycisk do papieru – miniatura starego D-C3. Wszystko, co mnie otaczało, przypominało o wspaniałych tradycjach lotnictwa Stanów Zjednoczonych.

Curtis był energicznym pilotem w wieku około trzydziestu pięciu lat i miał wylatanych ponad osiem tysięcy godzin. Przedstawił mi się jako główny instruktor. Potraktował poważnie zalecenia don Jaime i stał się moim cieniem, ale najpierw wygłosił na powitanie mowę:

– Z lotniczego punktu widzenia jesteśmy pięćdziesiąt mil od Los Angeles, które uważamy za naszą bazę operacyjną. Wylatałeś już trochę godzin, więc skupimy się na przygotowaniu cię do pilotowania innych typów samolotów. Będziemy latali do Las Vegas, San Francisco, Phoenix i nad Wielki Kanion. Przeszkolimy cię w różnego rodzaju lotach. – Po chwili dodał z uśmiechem: – Nie zapominając o plaży i najpiękniejszych blondynkach świata.

Przedstawił mnie w szkole innym kursantom, w większości starszym ode mnie, którzy szkolili się, by zdobyć licencję prywatnego pilota. Po kilku tygodniach niektórzy przyglądali się zdziwieni, jak wysiadam z kabiny dwusilnikowego odrzutowca. Nadal miałem twarz dziecka i Curtis, podobnie jak Miguel i Roberto w szkole pilotażu w Wenezueli, często to wykorzystywał, by zawstydzić innych kursantów.

– Widzicie, jakie to łatwe? Zobaczcie, nawet dzieciak to potrafi – mówił z dumą.

Gdy odchodziliśmy na bok, usprawiedliwiał się:

– Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe. Muszę podnieść ich na duchu. Przypuszczam zresztą, że nie ja pierwszy wypominam ci twój wiek.

– Nie przejmuj się, już do tego przywykłem.



Kiedy przybyłem do Kalifornii, złożyłem za pośrednictwem szkoły wniosek, by na podstawie licencji uzyskanej w Kolumbii wydano mi amerykańską. Kilka tygodni później otrzymałem prowizoryczny certyfikat prywatnego pilota, który upoważniał mnie również do odbywania lotów komercyjnych. Sądziłem, że zaszła pomyłka, ale Curtis wyjaśnił mi, że skoro mam tak dużą liczbę godzin wylatanych w Kolumbii, przyjęto za pewnik, iż posiadam licencję komercyjnego pilota i brak wzmianki o tym musiał wynikać z przeoczenia albo błędu Federalnego Biura Lotnictwa. Tak czy inaczej, nie zamierzałem protestować.

W pierwszych dniach Curtis stale mi towarzyszył. Kiedy mu powiedziałem, że nie musi po mnie przychodzić, odparł, że kazano mu się mną opiekować, aż się zaadaptuję w nowym środowisku. Wieczorami wychodziłem z nim często do miasteczka Oxnard, na plażę i na pobliski poligon, by ćwiczyć strzelanie. Większość czasu spędzałem jednak w sali wykładowej, w symulatorach lub w samolotach. Nie było większej różnicy między tym, co robiłem teraz i w przeszłości, gdy pracowałem i szkoliłem się z Miguelem. Odbywałem takie same ćwiczebne loty i żyłem równie intensywnie. Nie miałem zbyt dużo wolnego czasu. Dzwoniłem regularnie do Pecasa i do Marii, gdy przypuszczałem, że dziadka nie ma w domu. Zawsze powtarzała, że bardzo mnie kocha, i prosiła, bym na siebie uważał. Zdawałem sobie sprawę, że w domu niewiele się zmieniło, bo już nie mówiła, żebym wrócił.



Uzyskałem licencję pilota komercyjnego z nowymi uprawnieniami, dzięki czemu mogłem latać na innych maszynach i zacząłem się

szkolić, by zdobyć kwalifikacje na odrzutowce. Pierwszym samolotem tego typu, którym leciałem jako drugi pilot, był Learjet 23, należący do spółki produkującej energię wiatrową na dużym obszarze Kalifornii. Spółka zawarła ze szkołą umowę o współpracy. W zamian za konserwację learjeta pozwalano wykorzystywać go czasem do lotów szkoleniowych.

Curtis uwielbiał nim latać. Kiedy ten niewielki odrzutowiec, przeznaczony dla biznesmenów, pojawił się w sprzedaży, natychmiast odniósł sukces. Wszyscy milionerzy i sławni ludzie chcieli taki mieć. Dla nas, pilotów, nie różnił się praktycznie niczym od samolotu bojowego. Miał dużą moc, podobnie jak myśliwce sił powietrznych. Każdy z jego dwóch silników General Electric C1610 mógł osiągnąć dwa tysiące osiemset pięćdziesiąt funtów siły ciągu. Były to te same silniki, które spółka Northrop stosowała w myśliwcach F-5 i Talon T 38. Mówiąc prościej, dało się to porównać z prowadzeniem bolidu Formuły 1. Samolot leciał z prędkością ponad osiemset kilometrów na godzinę i mógł się wznieść na wysokość czterdziestu tysięcy stóp w niewiele ponad siedem minut. Jednakże właśnie ten nadmiar mocy zaczynał przysparzać problemów. W ciągu niecałych trzech lat rozbiły się dwadzieścia trzy learjety, w czterech przypadkach zginęli ludzie. Piloci przekonali się, jak trudno pilotować ten samolot. Mnie on zachwycił i Curtis to zauważył.

Gdy zaliczyłem z nim trzydzieści godzin lotów, postanowił zapoznać mnie z większą maszyną typu Sabreliner.



Po sześciu miesiącach wróciłem do Medellín na parę tygodni urlopu. Don Jaime chciał mnie zobaczyć. Oboje z Yolanda powitali mnie radośnie jak syna.

Zaprosił mnie na obiad do Pueblito Paisa, odległej o parę kilometrów od centrum miasta repliki typowej osady prowincji Antiochia. Był bardzo dumny z moich postępów. Kiedy wracaliśmy, zapadał zmierzch. Zatrzymaliśmy się w kafejce przy avenida La Playa. Wychodząc, usłyszeliśmy strzał i zobaczyliśmy zbiegowisko wokół kogoś, kto leżał na ziemi. Podeszliśmy bliżej.

Na ulicy leżał chłopak, najwyżej jedenastoletni. Miał otwarte oczy i wzrok utkwiony w butach otaczających go ludzi. Z rany pod koszulką sączyła się krew. Jakaś kobieta krzyczała, błagała, by ktoś mu pomógł, ale inni go mijali i szli swoją drogą. Usłyszałem, jak don Jaime mówi:

– Boże! Postrzelili ulicznika. – Przykucnął i wziął go za rękę, a gdy zobaczył, że żyje, ukląkł przy nim i zaczął szeptać mu coś do ucha, nie puszczać jego dłoni. Nieco dalej rozległy się strzały.

– Niech ktoś zadzwoni po karetkę!

– Hej! – krzyknąłem do człowieka, który głośno przeklinał. – Niech pan przestanie wrzeszczeć, wejdzie do kafejki i wezwie pogotowie!

Spojrzał na mnie i zauważył, że trzymam rękę pod kurtką, co było wyraźnym sygnałem, iż mam broń. Natychmiast pobiegł do kafejki. Don Jaime nadal klęczał obok chłopaka jak ksiądz, nie przestając do niego mówić. Nie minęła nawet minuta, gdy zobaczyłem, że w naszym kierunku nadjeżdża dwóch mężczyzn na motocyklu. Wyciągnąłem rewolwer. Otaczający nas ludzie, widząc mój gest i zbliżający się motocykl, rzucili się do ucieczki. Motocyklista na widok broni skręcił i zniknął za autobusem. Po kilku minutach zjawiała się policja i karetka. Sanitariusze zabrali chłopca i odjechali.

Jeden z policjantów, nieszczerze zainteresowany tym, co się stało, zaczął zadawać świadkom pytania. Don Jaime i ja oddaliliśmy się, jakbyśmy niczego nie widzieli. Kilka przecnic dalej weszliśmy do restauracji, w której znali mojego protektora. Od razu poszedł umyć ręce.

Gdy wrócił, wypiliśmy kawę i chwilę posiedzieliśmy. Don Jaime zawsze szanował to, że nic nie mówię o matce i ojcu, więc zaskoczył mnie, pytając:

– Rozmawiałeś z rodzicami?

– Nie, proszę pana. Nie myślałem o tym – odpowiedziałem szczerze. – Dzwonię tylko do Marii.

– To dobra kobieta – odparł zamyślony.

Przez chwilę zamierzałem go spytać, czy ją zna, ale przypomniałem sobie natychmiast, co mi powiedział: że zasięgnął informacji na mój temat.

W drodze do domu zaczął mi wyjaśniać, jak smutne jest życie „dzieci

ulicy”, ale nagle zamilkł, bo chyba przypomniał sobie, że byłem kiedyś jednym z nich.

Na progu zatrzymał się i powiedział:

– Dzięki, że mnie osłaniałeś, kiedy klęczałem, ale gdyby to się jeszcze kiedyś, nie daj Boże, powtórzyło, rzuć się na ziemię.



Spędziwszy kilka dni w domu don Jaime i zapoznawszy go z postęпами, jakie poczyniłem, udałem się z nim do tajnego laboratorium. Wylądowaliśmy po drodze w Mitú, sześćset sześćdziesiąt kilometrów drogą powietrzną od Bogoty. Zaskoczyła mnie liczba samolotów stojących na płycie niewielkiego lotniska. Było oczywiste, że don Jaime znano tam i lubiano. Wszyscy witali go z szacunkiem i sympatią. Wypytywał wielu ludzi o ich krewnych i pamiętał ich imiona. W Mitú zjedliśmy coś i odpoczęliśmy. Towarzyszył nam bardzo dyskretny pilot, który odzywał się tylko wtedy, gdy don Jaime się do niego zwracał.

Mitú, liczące około dziesięciu tysięcy mieszkańców, leży na prawym brzegu rzeki Vaupés przy ujściu Cuduyari, w pobliżu granicy z Brazylią. Nie różni się szczególnie od małych górniczych miasteczek w wenezuelskiej dżungli. Znajduje się wśród lasów, na wysokości stu osiemdziesięciu metrów, co utrudniało budowę dróg, a przez to rozwój gospodarczy. Można do niego dotrzeć tylko rzeką lub z powietrza, dlatego przy nabrzeżu jest zakotwiczone tyle małych i średnich łodzi.

Don Jaime musiał zobaczyć się z kilkoma osobami i, jak mi powiedział, chciał zabrać mnie w szczególne miejsce. Lądowaliśmy w Yaraté i Villa Fatima. Podczas lotu pilot odpowiedział na kilka moich pytań na temat nawigacji na tym obszarze. Okazał się bardzo kompetentny. W okolicach Vaupés brak punktów orientacyjnych w terenie, dlatego trzeba się koncentrować na rzekach i ich dopływach, które tworzą charakterystyczną mapę tego rejonu i pomagają zlokalizować liczne nielegalne lotniska.

Gdy przelatywaliśmy nad tym obszarem, don Jaime wskazał kilka miejsc nadających się do uprawiania koki, co skłoniło mnie do zadania pytania:

– Skoro już o tym mowa, ciekawi mnie jedna rzecz: która kokaina jest najlepsza? Z Kolumbii, Peru czy Boliwii? Wiem, że to pytanie musi się panu wydawać głupie, ale jest pan ekspertem i cenię sobie pańskie zdanie.

Jak zwykle zanim odpowiedział, uśmiechnął się.

– Jestem ekspertem od mebli, nie zapominaj o tym. Spróbuję ci jednak odpowiedzieć. Aby to zrozumieć, musisz traktować kokainę jak wino. Każdy producent chwala swoje i oczywiście twierdzi, że jest najlepsze. Ale, podobnie jak w przypadku wina, o jakości decyduje wiele czynników. Liście koki są jak winogrona: bywają dobre, przeciętne i złe zbiory, ale liczy się przede wszystkim ich pochodzenie, pogoda, a nawet szczerp rośliny.

– To wydaje się oczywiste, ale wciąż nie odpowiedział pan na moje pytanie. Przepraszam, że nalegam.

– Dobrze jest nalegać, zwłaszcza gdy chodzi o to, by się czegoś nauczyć. Widzę, że oczekujesz bardziej wyczerpującej odpowiedzi. Zgoda. Trzeba zacząć od tego, że na zachodniej półkuli istnieje ponad dwieście odmian koki, a spośród siedemnastu, które zawierają alkaloid, tylko dwie uprawia się w naszych krajach. Poziom alkaloidu w pozostałych piętnastu jest bardzo niski i nie opłaca się ich uprawiać. Gatunki, o których mowa, to *Erythroxylum coca* i *Erythroxylum novogranatense*, a każdy z nich ma dwie odmiany. Z gatunku *coca* jedna nosi nazwę koka, druga – ipadú. Odmiany drugiego gatunku to *novogranatense* i *truxillense*.

– Która jest najlepsza?

– Koka uprawiana w Boliwii.

– Czym się wyróżnia?

– Głównie liśćmi, Remy. Kiedy je zobaczysz, zauważysz, że są grube, długie, intensywnie zielone, ze spiczastą końcówką. Odmiana ipadú ma liście bledsze i bardziej zaokrąglone.

– A *novogranatense*?

– Jest bardzo podobna do swojej odmiany, *truxillense*, i różni się od pozostałych tym, że ich liście nie mają linii równoległych do głównej żyłki. Uprowadzając twoje pytanie, najlepsza kokaina pochodzi z koki uprawianej w

Boliwii, na większej wysokości niż gatunki rosnące w Kolumbii. Liście odmiany *novogranatense*, których używamy tutaj, zawierają między jeden a osiem dziesiątych procent alkaloidu, podczas gdy koka boliwijska ma nawet jeden i dwie dziesiąte. Podsumowując, możemy stwierdzić, że wysokość terenu i skład gleby to czynniki, dzięki którym uprawy z Boliwii są najlepsze. Kokaina produkowana z liści boliwijskiej koki, gotowanych na wolnym ogniu z dodatkiem eteru, ma dla znawców dodatkową wartość. Jest o wiele czystsza, bardziej stężona i łatwiej przyswajalna przez krew w płucach.

– Dziękuję, don Jaime. Teraz już wiem, co mam zasiać, jeśli kiedyś zajmę się uprawianiem koki – stwierdziłem.

– Radzę ci pozostać przy samolotach. Praca plantatora jest o wiele cięższa, niż się wydaje. Spójrz w dół. Widzisz tę okolicę? Wyobraź sobie, że musiałbyś wykarczować zbocze pod uprawy. Ale nie mógłbyś siać od razu. Trzeba najpierw wybrać nasiona, wrzucając je do wody. Niedobre wypłyną na wierzch. Potem musiałbyś umieścić je w doniczkach, w odległości pięciu centymetrów od siebie, w zacienionym miejscu, przykryć warstwą próchnicy, podlewać, doglądać i czekać od dwudziestu do trzydziestu dni, aż wykiełkują. Następnie trzeba je przenieść na zbocze i posadzić rzędami w półmetrowych odstępach. Pierwsze liście można zebrać rok lub dwa lata później.

– Jeśli chce mnie pan zniechęcić, don Jaime, już się to panu udało. Napracowałem się, a nie mam na razie żadnych zbiorów.

– A to jeszcze nie wszystko. Pierwsze zbiory wypadają zwykle po marcowej porze deszczowej. W czerwcu i listopadzie zależą od pogody. Zbieranie liści jest bardzo pracochłonne. Trzeba uważać, by nie uszkodzić roślin, włożyć je do worków, zanieść do szopy i rozrzucić na ziemi. Następnego dnia muszą zostać ułożone do wyschnięcia cienkimi warstwami na płaskiej smołowanej powierzchni i pozostać tam około sześciu godzin, jeśli świeci słońce i jest mała wilgotność.

– A gdyby padało?

– Gdy zanoszą się na deszcz, trzeba je zebrać i umieścić pod dachem. Jeśli liście koki za bardzo zmokną, może przepaść cały zbiór. Kiedy wilgotność

przekracza czternaście procent, liście fermentują i alkaloidy ulegają rozpuszczeniu. Po wyschnięciu trzeba zostawić je trzy dni na powietrzu, zanim zostaną wysłane do przeróbki.

- Widzę, że ma pan duże doświadczenie – mruknąłem z szacunkiem.
- Żeby się nauczyć, trzeba zaczynać od podstaw.



Zanim dotarliśmy do laboratorium, przedsięwzięto szereg środków bezpieczeństwa. Cały czas otrzymywaliśmy przez radio krótkie komunikaty z łodzi. Lecieliśmy samolotem dobrym do latania w strefie dżungli, gdzie pas startowy jest drogi i trudny w utrzymaniu, nie brakuje za to głębokich i spokojnych rzek, które można wykorzystać. Podwozie zaopatrzone w koła i płozy jest w takich rejonach idealne. W Kolumbii samolot nie zostanie wykryty przez radary, jeśli leci nisko wzdłuż koryt rzek. Wielu świadomych tego ludzi, zwłaszcza Indian, zajmuje się transportowaniem paliwa na niewielkich łodziach i czółnach. Potem, w strategicznych miejscach, sprzedają je po wygórowanej cenie pilotom, którzy płacą bez szemrania, gdy strzałka wskaźnika paliwa spada do niebezpiecznego poziomu.

Wylądowaliśmy na pasie w pobliżu laboratorium, gdzie czekało już na nas kilku uzbrojonych ludzi, którzy przywitali don Jaime z szacunkiem. Wsiedliśmy od razu do landrovera w towarzystwie kierowcy o nieco chłopskim wyglądzie, którego uśmiech kontrastował z powagą mężczyzn jadących tuż za nami z automatami w rękach. Po drodze dało się zauważyć obecność strażników w maskujących uniformach, którzy zatrzymywali nas dwukrotnie, aby się upewnić, że wszystko jest w porządku. Stosowano zaostrzone środki bezpieczeństwa. Don Jaime wyjaśnił mi, że ponieważ w ciągu ostatnich miesięcy wojsko zniszczyło wiele laboratoriów, aresztując pracowników i konfiskując narkotyki, dobrze strzeżono teren wokół wielkiego kompleksu. Laboratorium było otoczone ładunkami wybuchowymi, które w ostateczności można było odpalić, aby nie przejęli go żołnierze czy agenci.

Droga, rozmoknięta po deszczach, była w fatalnym stanie, pełna wyrw i kałuż, przez które należało przejeżdżać bardzo powoli. Dowiedziałem się, że

nie naprawiano tych dróg, by pojazdy musiały zwalniać, dzięki czemu mogli je śledzić przez lornetki ukryci w terenie obserwatorzy. Nie byłem zachwycony, uświadomiwszy sobie, że podczas całej jazdy byliśmy na celownikach snajperów.

Czekał na nas don Enrique, przyjaciel don Jaime. Przywitał nas serdecznie i zaprowadził do domu, który – osłonięty gęstymi drzewami – zdawał się należeć do innego świata. Wokół krzątali się ludzie, zajęci swoimi sprawami, którzy, o dziwo, nie patrzyli nam w oczy. Okazywali w ten sposób dużą dyscyplinę i jeszcze większy szacunek.

Dom był ogromny, otoczony czymś w rodzaju wiejskich chat. Zupełnie inaczej go sobie wyobrażałem, jego konstrukcja była całkiem inna niż pozostałych budowli. Miał dwie kondygnacje, stał pod najwyższymi drzewami, wkopany na ponad metr w ziemię. Do wejścia prowadziły w dół schody. Robiło to nieco dziwne wrażenie. Z wyższego piętra, na które weszliśmy później, można było obserwować okolicę. O ile z zewnątrz budynek wyglądał topornie, wewnątrz było bogate, co w takim miejscu wydawało się ekstrawaganckim luksusem. W kilku strategicznych punktach stały karabiny automatyczne, jakby zgromadził tam swoją kolekcję miłośnik broni. Nie miałem jednak wątpliwości, że wszystkie są naładowane i gotowe do strzału.

Don Enrique był wysokim krzepkim mężczyzną o wyraźnie zarysowanej szczęce i krótko obciętych włosach. Wydawało się, że jest w dobrej formie. Miał brązowe oczy, trochę kocie. Mimo że się uśmiechał i był uprzejmy, dostrzegłem jego przenikliwy wzrok, któremu nie umknął żaden szczegół. Uspokoilem się, widząc, jak ceni i szanuje don Jaime, który przedstawił mnie z dumą. Było oczywiste, że już o mnie rozmawiali, bo przyjrzawszy mi się uważnie, don Enrique powiedział z podziwem:

– Trudno w to uwierzyć. Gdybym spotkał cię na ulicy, pomyślałbym, że chodzisz do szkoły albo jesteś na pierwszym roku studiów i uganiaś się za dziewczynami. Nie przyszłoby mi do głowy, że potrafisz pilotować odrzutowce. Na jakich maszynach się szkolisz?

– Mam dostać licencję na learjeta dwadzieścia trzy, a szkoleń się na sabrelinerze.

– Imponujące. Co sądzisz o naszym systemie zabezpieczeń przed obserwacją z powietrza?

– Jest prosty i skuteczny, ale myślę, że można go ulepszyć.

Don Jaime spojrział na mnie zdumiony. Nie była to zbyt uprzejma odpowiedź. Don Enrique, widząc ściągnięte brwi przyjaciela, mruknął:

– Podoba mi się ten chłopak...

Potem zwrócił się do mnie:

– Dobrze powiedziałeś. Zgadzam się z tobą. Wielu o tym zapomina: należy się ciągle doskonalić i uaktualniać wiedzę. Trzeba być zawsze krok do przodu i śledzić nowe pomysły. Ale przepraszam, czego się napijesz? Na pewno jest ci gorąco. Zimne piwo czy domowa lemoniada?

– Poproszę lemoniadę.

– Jak pewnie zdajesz sobie sprawę, tego staruszka znam tak długo, że nie muszę go pytać, co pije. – Skinął głową do niskiej i pulchnej kobiety, która stała w kącie salonu. Podeszła do niego, mówiąc uprzejmie:

– Co pan rozkaże.

– Josefo, proszę wybrać najlepsze cytryny i przyrządzić dla tego młodzieńca lemoniadę, jaką tylko pani potrafi robić. A nam niech pani przynieśie butelkę rumu z Medellín i wodę mineralną.

Kiedy wyszła, don Enrique stwierdził:

– Prawdziwy z niej skarb. Jest grzeczna i usługowa, a poza tym nie znam nikogo, kto lepiej gotuje. Mieszka u nas sześć lat, odkąd zabili na plantacji jej męża.

Potem, zmieniając nagle temat, spytał don Jaime o rodzinę i zdrowie. Następnie znów zwrócił się do mnie:

– No i jak ci się tu podoba? Wiem od Jaime, że pierwszy raz jesteś w takim miejscu.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Pomyślałem, że mimo wszystkich wygód żyją z pewnością w wielkim napięciu i ciągłym strachu. Ale by don Enrique nie poczuł się urażony moimi słowami ani tonem głosu, odparłem:

– Jestem pod wrażeniem. Fascynuje mnie konstrukcja tego domu. Jest bardzo oryginalna.

– Staramy się mieć wszystko, czego nam potrzeba. Dbam nie tylko o

szefów laboratorium, ale także o innych pracowników. Dbam o to – stwierdził z dumą – by niczego nie brakowało. Składamy zamówienia przez radio i w ciągu niecałych dwudziestu czterech godzin mamy dostawę. Dom został zaprojektowany z myślą o bezpieczeństwie. Jest wkopany ponad metr w ziemię, co zapewnia nam kompleksową ochronę. W przypadku zagrożenia możemy wykorzystywać dolną kondygnację jako schron. Wystarczy schować głowę, by mieć osłonę przed bezpośrednim ogniem i eksplozjami. Liczy się też funkcjonalność. Ta konstrukcja przypomina górę lodową. Wszystko, co istotne, jest ukryte pod powierzchnią. Stąd kontroluje się komunikację z laboratorium, połączenia radiowe i system ochrony. Nauczyliśmy się od Wietnamczyków, że bezpieczniej jest poruszać się podziemnymi tunelami niż na zewnątrz. Udoskonaliliśmy tę formę komunikacji i funkcjonowanie pod ziemią. Staramy się ograniczyć do minimum liczbę pracowników, którzy muszą wychodzić na powierzchnię, by nie sfotografowano ich z powietrza. Próbuje przewidywać, kiedy robione są zdjęcia lotnicze i satelitarne. Cokolwiek na fotografii mogłoby zwrócić uwagę, znajduje się pod ziemią. Nie możemy ukryć wszystkiego, co byśmy chcieli, ale ograniczamy ryzyko do minimum.

Słuchając rozmowy, którą prowadzili na bardzo poważne tematy, stwierdziłem, że mi ufają. Z czasem nauczyłem się, że w ich świecie obowiązują niepisane prawa i zasady, określające wyraźnie zachowanie każdego, kto wchodził w ten zamknięty krąg, i don Jaime był za mnie odpowiedzialny. Znalazłem się nagle w zupełnie nieznannej rzeczywistości.

– Odkryliśmy, że nasze plantacje niszczy *eloria* – oznajmił don Enrique.

Wyobraziłem sobie, że chodzi o jakąś plantatorkę albo bojowniczkę. Don Jaime, widząc moją konsternację, wyjaśnił:

– *Eloria noyesi* to larwa, która występuje w Kolumbii i żywi się wyłącznie gatunkami *coca* i *novogranatense*. Dojrzewa w ciągu miesiąca i w czasie swojego życia zjada między grudniem a kwietniem, czyli w okresie największej aktywności, około pięćdziesięciu liści koki. Używamy środków owadobójczych, ale roślina, którą zaatakuję powtórnie, z pewnością zginie.

– Jest na nią jakiś skuteczny sposób? – spytałem.

– Owszem. Wykorzystujemy go, ale musimy być ostrożni. Stosuje się go wyłącznie do zwalczania tego gatunku larw, ale dystrybucja wszystkich produktów chemicznych, związanych z uprawianiem koki lub produkcją kokainy jest kontrolowana.

– Jak zamierzasz rozwiązać ten problem? – wtrącił don Jaime.

– Podstawowy składnik sprowadzamy z Peru. Mamy go około siedmiuset kilogramów i spodziewamy się zgromadzić tonę. Ale zaczynamy mieć problem z eterem. Coraz trudniej go zdobyć. Dociera do nas przez Panamę, ale jeden z przewoźników stracił łódź i dostawa się opóźnia – odrzekł don Enrique.

Don Jaime pocieszył go:

– Nie przejmuj się, załatwimy to. Wysyłaj, co możesz, a ja poszukam innego dostawcy. – Potem wrócił do rozmowy na mój temat: – Zabrałem ze sobą Davida, który jest dla mnie jak syn. Chcę, żeby zapoznał się ze wszystkim i miał ogólne pojęcie o tym, co robimy. Ma się zajmować logistyką. Musimy zorganizować bezpieczne kanały dostaw, więc najlepiej, żeby zorientował się w terenie.

W tym momencie weszła Josefa z napojami. Podała mi lemoniadę i don Enrique natychmiast zapewnił:

– Jest najlepsza na świecie.

Wypiłem orzeźwiający łyk i podzieliłem jego opinię:

– Znakomita.

– Tajemnica tkwi w tym, że robi się ją ze świeżo zebranych owoców. Cytryna zerwana z drzewa po jakimś czasie zaczyna tracić smak wskutek procesu utleniania. Dlatego lemoniada zrobiona z owoców zebranych wczoraj albo przed dwoma dniami nie smakuje tak samo jak ta z zerwanych przed chwilą.

– Zachowam tę tajemnicę. Doskonały przepis. Dziękuję, señora Josefa.

Don Enrique spytał mnie ojcowskim tonem:

– Byłeś kiedyś w laboratorium, w którym produkuje się kokainę?

– Nie, jestem w tej dziedzinie ignorantem.

– To chodźmy się przejść. Wszędzie możemy stąd dotrzeć tunelami, ale lepiej wyjść na dwór. Jest tam ładniej i mniej gorąco. Pokażemy temu młodzieńcowi, jak zarabiamy na życie.

Wstał i wziął don Jaime pod ramię. Poprowadził nas przez małą wioskę ukrytą w dżungli. Zaproponował, żebym szedł obok niego. Po drodze, na odcinku około stu pięćdziesięciu metrów, wszystko mi pokazał. Wyjaśniał, co do czego służy i po co się gdzie znajduje. Demonstrował mi zrecznie zakamuflowane przewody wentylacyjne i dość grube kable elektryczne, pomalowane tak, że wyglądały na liany i pnącza. Gdyby nie zwrócił mi na nie uwagi, nigdy bym ich nie zauważył.

Widziałem uzbrojonych w karabiny mężczyzn, którzy nas obserwowali. Z pewnością w gąszczu było ich o wiele więcej. Wejście do podziemi zostało zamaskowane liśćmi i gałęziami, częściowo plastikowymi. Bez pomocy don Enrique trudno byłoby odróżnić sztuczne od naturalnych.

Przy wejściu do laboratorium stali dwaj uzbrojeni mężczyźni. Przywitali nas bardzo uprzejmie i spytali, czy mamy zapalniczki, zapalki albo papierosy. Don Jaime wyjął z kieszeni pudełko papierosów i zapalniczkę i położył je na stole. Don Enrique, widząc moje zdziwienie, wyjaśnił:

– Największym zagrożeniem jest ogień, jakaś iskra czy krótkie spięcie, które mogą wzniecić pożar. W środku jest dużo łatwopalnych materiałów i nikomu nie wolno tam palić ani wносить niczego, co może być źródłem ognia albo spowodować iskrzenie. – Uśmiechnąwszy się, by złagodzić nieco ton swojej wypowiedzi, dodał: – Wiesz, jak nazywamy człowieka, który tu stoi?

Mężczyzna, o którym mówił, patrzył na nas zadowolony, że służy za przykład.

– Nazywamy go Gaśnicą. Ma ścigać tych, którzy palą. To tutaj śmiertelny grzech. Wejźmy do środka. – Przepuścił nas przed sobą.



Nie miałem pojęcia, co zobaczę po drugiej stronie drzwi. Nie kryłem zaskoczenia. Znajdowała się tam bardzo długa sala z półokrągłym sufitem, z którego zwisały fluorescencyjne lampy, dające nadspodziewanie jasne światło.

Nie potrafiłem ocenić jej rozmiarów, ale była ogromna. Trudno sobie wyobrazić, że zbudowano coś takiego pod ziemią. Poczułem falę gorąca. Zobaczyłem, jak w kącie jeden z robotników pospiesznie wkłada podkoszulek. Nietrudno było zrozumieć, że w takim upale pracownicy woleli się rozebrać.

Panował tam straszny zaduch. W powietrzu unosiła się woń substancji chemicznych zmieszana z odorem spoconych ciał. Don Enrique sięgnął po leżące na pobliskim stoliku maseczki i podał je nam. Większość robotników takie nosiła. Wydawało się, że tylko kilku zauważyło naszą obecność, choć gwar głosów natychmiast ucichł. Słychać było tylko szum wentylatorów i innych urządzeń.

W sali stały trzy rzędy stołów. Na tych po prawej stronie znajdowało się mnóstwo różnych rzeczy: rozmaitego typu karafki, lejki, próbówki, gąbki, bibuły, termometry, kroplomierze, pipety, szpatułki i zaopatrzone w etykiety torebki z substancjami chemicznymi. Na stołach w środkowym rzędzie umieszczono w odpowiednich odstępach kotły, zbiorniki przetwórcze, różnej wielkości pojemniki, plastikowe węże w jaskrawych kolorach, stalowe naczynia i mieszacze. Robotnicy mieszały coś w jednym ze zbiorników. Na stołach po lewej stronie, pod lampami, była suszarnia, z szeregiem wielkich tac. Było tam niezwykle czysto i schludnie – zaimponowało mi to.

Don Enrique, najwyraźniej dumny ze swojego laboratorium, mówił:

– Przede wszystkim musisz się nauczyć, synu, że wszelkie substancje chemiczne są potencjalnie trujące, trzeba się więc z nimi obchodzić bardzo ostrożnie i zdawać sobie sprawę z zagrożenia. Nie sądź ani przez chwilę, że przebywając w środku dżungli, jesteśmy mniej przezorni. Wprost przeciwnie. Laboratorium zaprojektowano i zbudowano tak, by zminimalizować ryzyko. Są przewody do odprowadzania gazów, system wentylacji i spryskiwacze. Mimo wszystko zawsze trzeba zachować ostrożność i przestrzegać podstawowych zasad bezpieczeństwa.

Kilka kroków od nas dwaj robotnicy mieszały coś, co wydzielalo duszącą woń.

– Co oni robią?

– Ci dżentelmeni rozpuszczają pastę i dodają do niej kwas siarkowy. Kiedy go nie mamy, używamy mieszanki kwasu chlorowodorowego i wody w proporcji sześć do jednego. Muszą mieszać powoli, aż pasta się rozpuści. To ręczna robota, która wymaga sporo energii. To nie cement. Ten delikatny proces potrzebuje oka eksperta, aby wykrył wady surowca.

Przeszedł kilka kroków i zatrzymał się przy kolejnym robotniku.

– To jest jak taśma montażowa. Kiedy pasta jest rozpuszczona, tu dodaje się do niej nadmanganian potasu i wodę. Potem pobiera się próbkę alkaloidów, która wypływa z nadmanganianem potasu.

W odmianie *novogranatense* spotykamy często duże ilości alkaloidu o nazwie ciscinnamoylcocaina. Ten dżentelmen kieruje tak zwanym minilaboratorium. Jednym z jego zadań jest określanie stopnia stężenia tego alkaloidu. Jeśli jest bardzo wysoki, trzeba dodać więcej nadmanganianu, by go rozpuścić.

– Skoro to alkaloid, dlaczego trzeba go eliminować?

– W paście są różne typy alkaloidów i przez to proces krystalizacji kokainy jest utrudniony.

Słuchając go, czytałem napisy na etykietach fiolek i pojemników: dwuchromian potasu, wodorotlenek sodu, węglan sodu i amoniak. Osobno stały: chloroform, antranilan metylu, chlorek wodoru.

– To bardziej skomplikowane, niż sobie wyobrażałem – stwierdziłem.

Don Enrique, widząc, że przyglądam się chemikaliom, wyjaśnił:

– Używamy na ogół tych z prawej, te po lewej są substytutami. Ale to jeszcze nie wszystko. Trzeba zostawić roztwór na mniej więcej sześć godzin, żeby zaszły reakcje chemiczne. Z pojemników roztwór spływa powoli przez te stalowe lejki z filtrami. Ciecz zostaje odsączona, a reszta substancji trafia do tego drugiego zbiornika, gdzie dodaje się do niej wodę z amoniakiem. Potem powtarza się zabieg powolnego mieszania i ponownie odsącza ciecz. Otrzymaną masę rozkłada się na stołach, by wyschła. Po krystalizacji dzieli się ją na kawałki. To jest to, czego dotyczy w tej chwili Jaime: kokaina zasadowa. Zależnie od jakości pasty możemy pominąć etap przeróbki substancji zasadowej i przejść bezpośrednio do produkcji kokainy HCl.

– Kokainy zasadowej nie można używać?

– Niektórzy jej używają, ale w innej postaci. Oczyszczamy ją, tak jak oczyszcza się kryształki soli. W tym celu rozpuszczamy kokainę zasadową acetonem albo eterem, by wyeliminować niepożądane składniki. Po przefiltrowaniu roztworu dodaje się bardzo ostrożnie kwas chlorowodorowy, co powoduje ostateczną krystalizację. Dlatego nazywamy ją kokainą HCl.

– Która, pańskim zdaniem, jest najlepsza? – spytałem.

– Dzięki zastosowaniu eteru otrzymujemy lśniące, łuskowate, śnieżnobiałe kryształki o intensywnym balsamicznym zapachu. Zawierają do dziewięćdziesięciu sześciu procent czystej kokainy i nie doprowadzają użytkownika do paranoicznej euforii. To odmiana preferowana przez artystów, polityków i osobistości życia publicznego. Inna, nazywana kredą, którą przypomina, jest matowa, pylista i powoduje euforię. Czasem jesteśmy zmuszeni stosować aceton i dlatego produkt finalny nabiera żółtawego koloru. Ma zapach nafty, wywołuje niemal tachykardię, powoduje wybuchy euforii, ale jest bardzo niebezpieczny. Kokaina wytwarzana przy użyciu eteru jest najlepsza, ale właściwości tego składnika powodują, że to dla nas koszmar. Chodź ze mną.

Zaprowadził mnie do strefy sali oddalonej od stołów, gdzie magazynowano jakieś butle, i oznajmił:

– To jest to, o czym mówimy. Eter etylowy lub dietylowy, tlenek etylu albo etoksyetanol. Nazywaj go, jak chcesz, ale ten sukinsyn jest w każdej postaci wyjątkowo lotny i łatwopalny. Ma intensywny zapach i smak palonego cukru. Nie rozpuszcza się w wodzie, ale za to rozpuszcza się w dowolnych proporcjach w większości organicznych cieczy, takich jak alkohol czy chlorek węgla. Używamy go w laboratorium jako rozpuszczalnika żywic i alkaloidów. Problem polega na tym, że mieszanina oparów eteru i powietrza jest bardzo wybuchowa. Poza tym z czasem eter może się częściowo utlenić, tworząc wybuchowy nadtlenek.

– Widzę, że jest tu dużo łatwopalnych materiałów.

– Owszem. Poza eterem mamy także inne rozpuszczalniki: aceton, eter naftowy, metanol, etanol, dwuchlorometan. W większości są to substancje

lotne i łatwopalne. Można je stosować tylko pod wyciągami.

– Teraz rozumiem, dlaczego tych wyciągów jest tak dużo.

– Są tu też kwasy o wysokim stężeniu: siarkowy, chlorowodorowy, wodorotlenek sodu. One również stanowią zagrożenie i jak zauważyłeś, są dobrze oznakowane. Kwas siarkowy, na przykład, jeśli zostanie zastąpiony kwasem azotowym, tworzy nitroglicerynę, która nawet w małych ilościach może spowodować eksplozję. Jeśli będziesz nieostrożny, wylecisz w powietrze, zanim zdążysz zdać sobie sprawę, co zrobiłeś. Metanol może spowodować ślepotę, a wodorotlenek sodu, ze względu na silne właściwości żrące, poważne oparzenia. Mamy tu obsesję na punkcie bezpieczeństwa i dlatego kontrolujemy rygorystycznie wszystko, co może wywołać pożar, i dbamy, by wyciągi i wentylatory zawsze działały bez zarzutu. Pracownicy o tym wiedzą i starają się unikać kontaktu ze źródłami prądu i ciepła. Wyłączamy wszelkie urządzenia elektryczne, które są naprawiane. Wszyscy używają rękawiczek, by zapobiec wyładowaniom statycznym i jak widzisz, magazynujemy łatwopalne substancje w osobnych miejscach, oddzielając je od kwasów, zasad i odczynników utleniających. To bardzo ważne.

– Ile godzin ci ludzie pracują?

– Tyle, ile trzeba. Tworzą zespół i uzgadniają między sobą, kiedy jedzą, śpią czy wychodzą na świeże powietrze. Tutaj nikt nie je, wolno tylko pić wodę. Jeden zawsze zostaje, by kontrolować temperaturę i sprzęt. Laboratorium nigdy nie jest puste.

Gdy don Enrique wyjaśniał mi to wszystko, don Jaime chodził od stołu do stołu, witając się z ludźmi, przyglądając się ich pracy, wtrącając uwagi i sprawdzając konsystencję proszku. Wyznał mi później, że kiedyś był „kucharzem”, specjalizującym się w „rzemieślniczym” wytwarzaniu kokainy.

– Jaka jest obecnie wydajność laboratorium? – chciałem wiedzieć.

– Trudno powiedzieć, bo wszystko zależy od tego, ile mamy w danym momencie kokainy zasadowej – odparł don Enrique. – Ale to laboratorium może pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Aktualnie przetwarzamy tylko od trzydziestu do pięćdziesięciu kilogramów dziennie, choć, gdybyśmy chcieli, moglibyśmy tę ilość podwoić. To niewielkie laboratorium. Pewnego dnia wyprzedzą nas konkurenci, zdolni produkować tony kokainy.

– Co przeszkadza w zwiększeniu produkcji?

Na to pytanie odpowiedział don Jaime:

– Przeszkadzają nam jedynie ograniczone możliwości dostaw do Stanów Zjednoczonych. Nie możemy wytwarzać jej więcej, nie mając zapewnionego transportu.

– A są potencjalni nabywcy na takie ilości towaru?

– Aż za wielu. Problemem jest transport. Tracimy pieniądze, płacąc za dostawy pośrednikom. Każdy musi dostać swoją dolę. Potrzebujemy bezpośredniego kanału zbytu.

Nagle don Enrique zaproponował:

– Wyjdźmy stąd, zanim rozbolą nas głowy. Chodźmy coś zjeść.



W domu powitał nas przyjemny zapach rosolu z kury. Stół był już nakryty. Głębokie talerze czekały na gorący bulion z wazy. W ciągu kilku minut stół został zastawiony półmiskami z mięsem, sałatą, ryżem, bananami i innymi specjałami Josefy. Gdy jedliśmy, don Enrique i don Jaime wymieniali nowiny na temat swoich rodzin i umilali posiłek dowcipami i anegdotami. Nie mówiliśmy o niczym, co miało związek z celem naszej podróży.



Kiedy zasiedliśmy w fotelach, Josefa podała nam kawę i brandy. Potem prowadziliśmy ożywioną rozmowę na temat produkcji, szlaków dostaw i działań wojska. Don Enrique opisał mi sytuację i podsumował:

– Jeszcze kilka miesięcy temu odbieraliśmy towar od niektórych drobnych plantatorów pracujących na własny rachunek, niemających dostępu do rynków zbytu, ale teraz zaprosiliśmy ich do współpracy w laboratorium i dzięki temu produkcja wzrosła. Dostajemy bez problemów z Peru zasadową kokainę bardzo dobrej jakości i zaczynamy mieć nadwyżki produkcji. Możemy wytwarzać jeszcze więcej. Konkurencja się nami nie przejmuje, bo wiedzą, że mamy ograniczone możliwości transportu. Musimy stworzyć nowe połączenia. Prowadzimy przedsiębiorstwo. Nieważne, że nielegalne. Aby się rozwijało i odnosiło sukcesy, muszą funkcjonować perfekcyjnie

cztery rzeczy: produkcja, dystrybucja, transport i ochrona. Szwankuje transport. Musimy wytyczyć bezpieczną trasę przelotów, aby zapewnić dystrybucję części naszych towarów.

Don Jaime spojrział na mnie i zanim zdążył się odezwać, powiedziałem z przekonaniem:

– A więc zajmijmy się wytyczeniem nowej trasy.

Don Jaime, zadowolony z mojej odpowiedzi, uniósł kieliszek i zaproponował:

– Wypijmy za to.

19.

Wróciwszy do Kalifornii ze wszystkimi pomysłami, które trzepotały jak motyle w mojej głowie, z zapalem kontynuowałem szkolenie. Dzięki finansowej pomocy don Jaime wydałem małą fortunę na wynajęcie samolotów, by odbyć niezbędne praktyki i wylatać wymagane do zdobycia uprawnień godziny. Po kilku miesiącach trudnego szkolenia otrzymałem oficjalnie licencje na learjeta i sabrelinera.

Pewnego ranka, gdy jeden z techników udzielał mi lekcji na temat obwodów elektrycznych, usłyszałem, że wzywają mnie przez głośnik w hangarze. Miałem zgłosić się do biura Curtisa. Musiało chodzić o coś ważnego. Gdy zmierzałem tam szybkim krokiem, przebiegłem w myślach loty, które odbyłem poprzedniego dnia, próbując sobie przypomnieć, co zrobiłem źle albo czego nie zrobiłem. Kiedy Curtis wzywał kogoś do biura, zwykle chodziło o udzielenie reprimendy w cztery oczy. Dlatego byłem zaskoczony, gdy powitał mnie z uśmiechem, poprosił, żebym usiadł, i spytał:

– Chciałbyś odbyć podróż w czasie?

Ściągnąłem brwi, słysząc to dziwne pytanie, a on wyjaśnił:

– Mam lot do Nowej Gwinei. Trzeba dostarczyć pipera Cherokee do Port Moresby i pomyślałem, że może miałbyś ochotę na tę podróż, żeby zgromadzić godziny i czegoś się jeszcze nauczyć. Co ty na to?

– Do Nowej Gwinei? Tam, gdzie jeszcze niedawno zjadali ludzi?

– Właśnie, ale... bądź spokojny, już tego nie robią, z pewnością mają tam teraz McDonaldy.

– Ile to godzin lotu?

– W sumie około pięćdziesięciu dwóch. Dwa odcinki po mniej więcej siedemnaście godzin i jeden szesnastogodzinny. Zwyczajny lot.

W ciągu kilku miesięcy mojego pobytu w szkole zdążyliśmy się zaprzyjaźnić i byliśmy w doskonałych stosunkach. Obaj lubiliśmy czarny humor, dlatego śmialiśmy się czasem z dowcipów, których nikt inny nie potrafił zrozumieć.

– I ty nazywasz to zwyczajnym lotem? A o co chodzi z tą podróżą w czasie?

– Zapewniam cię, że to będzie niezapomniane przeżycie. Lecąc na wschód i z powrotem, przekroczysz linię zmiany czasu. Stracisz i zyskasz jeden dzień, będzie więc można powiedzieć, że odbywasz podróż w przeszłość, a potem w przyszłość.

– To brzmi zbyt pięknie, by było prawdziwe. Gdzie jest haczyk?

– Nie ma. To będzie dziecinnie proste. Wystartujesz z Santa Barbara w kierunku Hilo na Hawajach. To trzy tysiące osiemset trzydzieści kilometrów. Odpoczniesz tam jedną lub dwie noce i przelećesz następne trzy tysiące osiemset sześćdziesiąt dziewięć kilometrów do Majuro na Wyspach Marshalla, gdzie zatankujesz. Potem dotrzesz do Port Moresby. W sumie to jedenaście tysięcy trzysta kilometrów. Jakby ci się za bardzo dłużyło, możesz zrobić postój na Wyspach Salomona. Firma zapłaci ci trzy tysiące dolarów plus koszty hotelu i powrotu rejsowym samolotem. Jeśli uważasz, że to zbyt skomplikowane, mogę wysłać kogoś z tobą. Sam decyduj.

– Polecę. I wolę być sam. W jakim stanie jest cherokee?

– To model cherokee dwieście trzydzieści pięć, z potężnym silnikiem Lycoming O-pięćset czterdzieści. Ostatni przegląd miał dwa miesiące temu. Mieści dziewięćdziesiąt osiem galonów paliwa, czterdzieści osiem w skrzydłach i pięćdziesiąt w dodatkowym zbiorniku wewnątrz kadłuba. Wystarczy, by przelecieć przez Pacyfik.

– Na kiedy przewidziany jest wylot?

– Dokumenty maszyny załatwia kierownik lotów z Santa Barbara. Gdy będą gotowe, możesz startować od razu. Przez większą część podróży będziemy w kontakcie radiowym.

– Dlaczego chcesz, żebym to ja leciał?

– To proste, ponieważ zobowiązałem się wobec starego, że zrobię z ciebie przyzwoitego pilota, a teraz polecisz w odpowiednie miejsce, by kontynuować szkolenie. Tu nauczyłeś się już prawie wszystkiego, czego mogłeś.

– A czym Nowa Gwinea tak bardzo różni się od Kalifornii?

– Przekonasz się na miejscu. Wspomnę tylko, że ponad trzydzieści procent pasów startowych ma tam kąt nachylenia powyżej pięciu stopni. Będziesz mógł ćwiczyć starty i lądowania we wszelkich możliwych warunkach. Zwłaszcza na twoich ulubionych krótkich odcinkach. Będziesz lądował w dół zbocza, pod górę, z wiatrem lub bez i przy maksymalnej wilgotności. – Spojrzał na mnie, by zobaczyć, czy jestem pod wrażeniem jego słów, po czym spytał: – Prawda, że brzmi to fascynująco?

– Pasy startowe o nachyleniu pięciu stopni? Już to ćwiczyłem na lotnisku w Maríposie.

– Lotnisko w Maríposie, tu w Kalifornii, to bajka w porównaniu z tymi w Nowej Gwinei. Tam pasy o nachyleniu pięciu stopni to norma i uważa się je prawie za poziome. Jedno z lądowisk, o nazwie Fane, ma kąt nachylenia dwanaście stopni. Po bokach widać liczne szczątki samolotów. Są niemym świadectwem tego, jak trudno tam lądować. Inne lotnisko, Maimafu, jest królem wszystkich: ma nachylenie czternaście i dwie dziesiąte stopnia, czyli największe na świecie.

Wyobraziłem sobie, jak się ląduje na takim pasie. Nie dość, że to ryzykowne, musi wymagać sporo od samolotu i pilota.

– Nie wiem, jak tego dokonać – przyznałem się. – Czternaście stopni to zbyt duże nachylenie.

– Zgadza się. Żebyś miał pojęcie, o czym mówimy, wyjaśnię ci, że nie buduje się dróg o nachyleniu dwudziestu stopni z bardzo prostego powodu: maszyny, materiały, praktycznie wszystko zsuwałoby się w dół. Znam tylko jedną drogę o nachyleniu dwudziestu czterech stopni. Zbudowano ją we Włoszech, ale nie pytaj, kto lub co się po niej porusza. Z punktu widzenia

inżynierii cywilnej miejsce o takim nachyleniu, jakie ma lotnisko Maimafu, uważa się za górskie zbocze. Nic dziwnego, że około trzydziestu procent samolotów, które mają odwagę tam lądować, kończy z uszkodzeniami podwozia albo śmigieł. Znam to miejsce. Byłem w Nowej Gwinei przez rok. Loty między górami i wulkanami są fascynujące.

– Lądowałeś na tym lotnisku?

– Nie. Kilka razy zamierzałem, ale zabrakło mi odwagi. Nauczyłem się jednego: czasem lepiej się wycofać ze zranioną dumą, niż głupio zginąć, nie chcąc przyznać się pokornie do własnych ograniczeń.

– Mówisz tak, jakbym miał tam zostać na zawsze. Myślałem, że chodzi tylko o dostarczenie samolotu.

– Zgadza się, ale ludzie, którzy na niego czekają, to moi przyjaciele z Australii, David i jego żona Elizabeth. Od jedenastu lat mieszkają w Port Moresby i mają tam firmę transportu lotniczego. On jest doświadczonym pilotem, ponad sto razy przeleciał przez ocean i nie ma lotnika, który znałby lepiej południowy Pacyfik. Chciałbym, żebyś skorzystał z okazji, został u nich na parę tygodni i przyjrzał się, jak wszystko funkcjonuje. Zapewniam, że ci się tam spodoba.



Dostarczanie samolotów ich nowym właścicielom do odległych krajów to zajęcie, które zasługuje na wielki szacunek. Przyznaję, że podziwiam pilotów przelatujących nad oceanami w używanych maszynach, których dokładnie nie znają i które na wysokości dziesięciu tysięcy stóp robią im niespodzianki. Mam na ten temat własne zdanie. Ktoś, kto sprzedaje samolot, nie przyzna się oczywiście, że coś w nim szwankuje. Po prostu się go pozbywa, a nowy właściciel musi zrobić przegląd i naprawić ewentualne usterki. Z drugiej strony kupujący, który jedzie po samolot na aukcję do Stanów Zjednoczonych, choćby nawet miał kwalifikacje, by samemu go pilotować, woli zapłacić firmie, żeby mu go dostarczyła i żeby kto inny pilotował nieznaną maszynę i w razie czego stwierdził, niekiedy podczas lotu, że coś nie działa jak należy. Tymczasem nabywca, który ubezpieczył samolot na kwotę dwa razy większą, niż za niego zapłacił, z kopią polisy w kieszeni, wraca wygodnie do domu rejsowym samolotem. Jeśli jego nabytek dotrze szczęśliwie do

celu, pokaże z radością nową maszynę przyjaciółom i współnikom, zapewniając wszystkich, że dokonał doskonałego zakupu. Oczywiście zapomni nadmienić, że to nie on nią przyleciał. A jeśli samolot spadnie do morza, trochę nad tym poubolewa, a po tygodniu zgłosi się z polisą po wypłatę odszkodowania. Być może będzie równie zadowolony albo nawet bardziej, bo za połowę otrzymanej sumy będzie mógł sobie kupić kolejną maszynę i jeszcze zaoszczędzić.

Wiedząc o tym wszystkim, udałem się do Santa Barbara i dokładnie obejrzałem samolot. Odbyłem nawet próbny lot, żeby się upewnić, że wszystko działa jak należy. Trwające ponad piętnaście godzin przeloty nad Pacyfikiem, bez międzylądowania, to poważna sprawa. Wystarczy awaria silnika i w ciągu kilku minut musiałbym lądować na falach, i nie byłoby jak na filmie, gdzie można bez końca zmieniać zakończenie. Samoloty są zaprojektowane do latania, a nie do pływania. Kiedy spadają, szczególnie maszyny jednosilnikowe, pod wpływem siły ciężenia zazwyczaj szybko toną, jak kotwica okrętu. To niemal cud, gdy udaje się utrzymać samolot na powierzchni dostatecznie długo, by wyciągnąć z kabiny łódź ratunkową.

Po południu sporządziłem plan podróży. Spakowałem się, a potem wyjąłem książkę lotów i w rozdziale dotyczącym meteorologii odnalazłem zastrzeżony dla pilotów numer telefonu Amerykańskiego Biura Prognoz.

– Służba Meteorologiczna Los Angeles, w czym mogę pomóc? – odezwał się miły kobiecy głos.

– Witam, jestem pilotem i zamierzam lecieć z Santa Barbara do Hilo na Hawajach. Mam przewidzianą godzinę odlotu na dziesięć tysięcy Zulu, przed oczami całą trasę i chciałbym wiedzieć, co pani o tym sądzi.

– Proszę chwilę zaczekać, zaraz panu powiem.

Milczała przez kilka minut, po czym rozległo się: „Halo, słyszy mnie pan?”, i równie miłym głosem oznajmiła, dostrajając się do mojego swobodnego tonu:

– Sądzę, że wybrał pan idealny dzień na podróż. Na trasie nie ma niczego niezwykłego, tylko typowe poranne i wieczorne cumulusy. Nawet wiatr wieje we właściwym kierunku. Proszę jednak nie zapominać, że to prognoza

na najbliższe dwadzieścia cztery godziny.

– Wiem, dziękuję.

– Znakomicie. Życzę szczęśliwego lotu. Niech pan nie zapomni zadzwonić do nas rano, przed odlotem.

– Zadzwoń. Jeszcze raz dziękuję.

Siedziałem podekscytowany na łóżku. Miałem właśnie dokonać największego wyczynu w życiu. Do kogo mógłbym zadzwonić, żeby podzielić się wiadomością o mojej wielkiej wyprawie? Pomyślałem o Gracieli, ale unikałem kontaktu z nią. Już dość przysporzyłem jej kłopotów. Zadzwoń do Pecasa. Od wyjazdu z Wenezueli telefonowałem do niego co dwa tygodnie. Poinformowałem go o zmianie nazwiska i posłałem mu trochę pieniędzy na czynsz i rachunek za telefon. Zmuszałem go do czytania, przekonując, że powinien przeglądać gazety i zawiadomić mnie, gdyby pojawiła się w nich jakaś ważna informacja.

Z powodu różnicy czasu Pecas, gdy do niego zadzwoniłem, spał. Obudziłem go wiadomością, że lecę na drugi koniec świata.

– Kto ci towarzyszy, Remy?

Uśmiechnąłem się, zdawszy sobie sprawę, jak trudno mu przywyknąć do mojego nowego imienia.

– Lecę sam. Być może nie będę mógł dzwonić tak często jak teraz.

– Lecisz sam? Oszalałeś! Powiniennem lecieć z tobą. Od miesięcy czytam wszystkie książki o lotnictwie, które zostawiłeś w mieszkaniu. Może nie potrafię pilotować, ale przynajmniej będę pilnował, żebyś nie zasnął.

– Spokojnie, Pecas. Jeszcze kiedyś ze mną polecisz. Ucz się dalej...

Gdy skończyłem z nim rozmawiać, pomyślałem o Jazmin... Byłaby zafascynowana tą podróżą.



Tej nocy rozmawiałem z don Jaime i uprzedziłem go, że nie będzie mnie dwa lub trzy tygodnie, bo lecę się szkolić. Nie wspomniałem mu, że chodzi o samotny lot przez Pacyfik. Życzył mi powodzenia i prosił, żebym przysyłał mu pocztówki z egzotycznych miejsc.

Rankiem następnego dnia, sprawdzwszy prognozę pogody, zabrałem rzeczy i wyszedłem z motelu, by udać się na lotnisko. Zdziwiłem się na widok Curtisa, który właśnie podjechał i zaparkował samochód obok mojego. Wsiadł i wyciągnął torbę, stawiając ją na ziemi. Przywitawszy się ze mną, wskazał ją.

– Co to jest?

– Prezent dla ciebie – powiedział, po czym postawił torbę na masce i z satysfakcją ją otworzył.

– Mam urodziny?

– Nie, ale wczoraj zacząłem się o ciebie martwić. To bardzo długa podróż i będę spokojniejszy, wiedząc, że jesteś do niej dobrze przygotowany.

– Niech zgadnę: przywoziłeś mi nadmuchiwaną lalkę, żebym nie czuł się samotny!

– To coś lepszego – oświadczył z dumą. – Najnowszy sprzęt do przetrwania w trudnych warunkach. Zestaw zawiera kamizelkę ratunkową, automatycznie nadmuchiwany ponton z brezentowym daszkiem, żebyś nie umarł wskutek porażenia słonecznego, suszoną żywność, ochraniacze przeciwsłoneczne, wiosło, żeby rekiny nie odgryzły ci ręki, flary, boję z radiolokacją, niewielką skrzynkę z przyborami do wędkowania, dwie lampy i kompas. Tu jest sznurek, za który musisz pociągnąć, gdy wysiądziesz z samolotu.

– Jakież rady?

– No cóż, kiedy zdasz sobie sprawę, że samolot tonie, nie zapomnij otworzyć drzwiczek i zablokować ich butem albo czymkolwiek, żeby się nie zamknęły, bo inaczej ciśnienie wody uwięzi cię w kabinie. To się już zdarzało.

– Może byś przestał się wreszcie martwić? Wszystko będzie dobrze.

– Nie martwię się o ciebie, tylko o siebie – odparł. – Nie wyobrażam sobie, jak miałbym powiedzieć don Jaime, że zjadły cię rekiny.

– Daj spokój. Lepiej już pójde, bo zostanę tu na zawsze.

Schowałem torbę do bagażnika samochodu i pożegnałem się z Curtisem.

Uściskał mnie i powiedział przepaszająco:

- Wybacz, jeśli ci się naprzykrzam, ale jestem przesądny i wierzę, że kiedy będziesz przygotowany na wszystko, nic ci się nie przydarzy.
- Dzięki, Curtis. Zadzwońię do ciebie tuż przed odlotem, żebyś przekazał mi swoją osobistą prognozę pogody.
- Na pewno nie potrzebujesz niczego więcej?
- Nie. Spadaj i pozwól mi lecieć do dziewczyn na Hawaje.



W Santa Barbara udałem się wprost do biura kierownika lotów, żeby odebrać dokumenty samolotu. Gdy powiedziałem, że jestem pilotem, który ma lecieć nim na Hawaje, spojrzał na mnie zdumiony i spytał:

- Ile masz lat?
- Wszystko jest w dokumentach. – Przywykłem już do tych zdziwionych spojrzeń, których powodem był mój wiek. Próbując przełamać lody, żartowałem: – Brakuje tylko zgody matki.

Nie zmienił wyrazu twarzy. Przeglądał dokumenty i nic nie wskazywało na to, by mój komentarz go rozbawił.

- Zgodnie z tą licencją jesteś uprawniony do pilotowania maszyn typu VFR, IFR, Comercial, Comanche, Cherokee, Turboprop, Learjet i Sabreliner. W wieku dwudziestu lat?

Jego nieskrywana wrogość i powątpiewający ton sprawiły, że odpowiedziałem arogancko:

- Dziewiętnastu.
- Co takiego?
- Nie mam jeszcze dwudziestu lat. Mam dziewiętnaście. Sądziłem, że pana zadaniem jest pomóc mi w szybkim załatwieniu formalności.
- W istocie, ale odnoszę wrażenie, że coś tu jest nie w porządku. Nie znam żadnego pilota poniżej dwudziestu lat z uprawnieniami do latania odrzutowcami.
- Teraz zna pan jednego. I proszę nie mówić mi na ty.

Nie patrząc na mnie ani nie prosząc, żebym usiadł, podniósł słuchawkę telefonu i podzielił się z kimś swoimi wątpliwościami:

– Mam tutaj pilota, który nie ukończył jeszcze dwudziestu lat. Chce przelecieć samotnie przez Pacyfik piperem cherokee. Pokazał mi licencję FAA, mam ją przed sobą. Na odwrocie jest cała litania uprawnień do pilotowania rozmaitych maszyn, od Piper Cubów do Learjetów i Sabrelinerów.

Podał rozmówcy moje nazwisko i numer licencji i czekał przy telefonie, przyglądając mi się nieufnie.

– Moja matka określała to jako minięcie się z powołaniem – odezwałem się.

– Co?

– Myślę, że pomylił się pan, wybierając zawód. Widać, że ma pan zadatki na policjanta. Jeszcze ma pan czas zmienić profesję.

Milczał, czekając na potwierdzenie autentyczności mojej licencji. Otrzymawszy w końcu informację, podziękował z posępną miną swojemu rozmówcy, odłożył słuchawkę i mruknął, nie patrząc na mnie:

– No dobrze, dałem plamę, ale nie będę przepraszał. Mam obowiązek sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

– Co bardziej panu przeszkadzało, to, że jestem taki młody, czy że jestem cudzoziemcem? Chłopcy w moim wieku pilotują myśliwce F-czternaście w bazie Sił Powietrznych w Miramar, niedaleko stąd.

Nie odpowiedział na moje pytanie, wręczył mi tylko papiery i życzył szczęśliwej podróży... Ale ten drobny incydent zepsuł mi początek dnia.



– Wieża kontrolna Santa Barbara, cherokee dwa-sześć-sześć papa gotowy do startu.

Podeksycytowany, zwiększyłem obroty silników, aż niewielki samolot zaczął toczyć się po pasie i nabierać prędkości. Sunął swobodnie, przekraczając z nawiązką niezbędne do startu minimalne parametry. Sprawował się dobrze, ale czułem, że jest obciążony dodatkowym ładunkiem paliwa. Mimo to wzniósł się lekko w powietrze. Kontroler z wieży pożegnał mnie, życząc pomyślnego lotu i podając mi częstotliwość fal kontroli ruchu lotniczego. Po

kilku minutach zmniejszyłem kąt wznoszenia i zredukowałem moc, by silnik zużywał ilość paliwa zalecaną na długich trasach. Przeleciałem nad ostatnim lotniskiem przed wielkim skokiem...

Jak zwykle w powietrzu wszystko było łatwiejsze. Nadal towarzyszyła mi naturalna trema przed tak długim lotem, ale w miarę upływu czasu opuściła mnie i zastąpiła ją wielkie odprężenie.



Spokój trwał jednak bardzo krótko. Jakieś dwieście mil przed amerykańskim wybrzeżem nastąpiła nieoczekiwana awaria selektora klap, wskutek której powierzchnia aerodynamiczna samolotu powiększyła się – i tak już zostało. Nie mogłem kontynuować lotu. Włączyłem automatycznego pilota i rozebrałem selektor. Zdołałem połączyć kable i podnieść kłapy, ale od tej chwili aż do lądowania na Hawajach nie mogłem ich opuszczać. Po siedmiu godzinach podróży zepsuł się system audio i przez sporą część trasy nie miałem możliwości korzystania z nadajnika. Straciłem kontakt z Curtisem, który uważnie śledził mój lot. Pomijając te problemy, wszystko przebiegało normalnie. Wiejący od ogona silny wiatr popychał cherokee do przodu, redukując czas przelotu i zużycie paliwa. Leciałem na wysokości dziesięciu tysięcy stóp. Wylczyłem skrupulatnie, ile potrzebuję paliwa. Powinno mi go wystarczyć na jakieś dwadzieścia dwie godziny. Po ośmiu godzinach lotu przebyłem ponad połowę drogi, co określa się jako „punkt bez powrotu”: z ilością paliwa, która mi została, nie miałem już innej możliwości, jak dolecieć do celu. Z niezrozumiałych powodów silnik kilka razy o mało nie przestał działać, gdy gaźniki uległy oblodzeniu, ale rozwiązałem ten problem, obniżając szybko lot do pułapu, gdzie panowała wyższa temperatura, a potem próbowałem zreperować radio.

Dokonywanie jakichkolwiek napraw podczas lotu w ciasnej kabinie samolotu jest trudne i skomplikowane. Lecąc nad morzem, należy mieć cały czas na sobie kamizelkę ratunkową, bo w razie awarii silnika nie starcza czasu na jej włożenie, zanim uderzy się o powierzchnię wody. Takie było ostatnie zalecenie kierownika stacji w Santa Barbara.

Wymieniwszy kilka bezpieczników, zdołałem uruchomić jeden nadajnik i skontaktować się z wieżą kontrolną w Hilo. Powiedzieli mi, że utrzymuję właściwy kurs i mam sprzyjający wiatr. Poprosiłem, by powiadomili o mojej pozycji Curtisa w Kalifornii, żeby go uspokoić.

Siedemnaście godzin i trzydzieści dwie minuty po wystartowaniu z Santa Barbara poczułem ogromną radość, ujrawszy na horyzoncie szczyt Mauna Kea, który witał mnie na obszarze archipelagu Hawajów.

Po wylądowaniu od razu skontaktowałem się z Curtisem, który – zaniepokojony moim milczeniem – zanim przekazano mu ode mnie wiadomość, zawiadomił wieżę kontrolną w Hilo i straż przybrzeżną, że mogę mieć problemy.

Zostałem na Hawajach cztery dni, o dwa dłużej, niż zamierzałem, podczas gdy technicy od Pipera zajmowali się samolotem. Wymienili selektor klap i naprawili nadajnik. Zamieszkałem w hotelu koło lotniska. Tam poznałem Dianę, śliczną blondynkę z Michigan. Odbywała podróż dookoła świata i była właśnie w drodze do Australii. Spotkałem ją w recepcji hotelu. Próbowła się dowiedzieć, w jakich godzinach kursują autobusy na turystycznym szlaku wulkanów. Nie zastanawiając się długo, zaprosiłem ją na wycieczkę. Powiedziałem, że zamierzałem wynająć samochód, aby przejechać się po wyspie. Choć miałem aż nadto pieniędzy, zaskoczyłem ją, mówiąc:

– Ale płacisz za połowę paliwa.

Uśmiechnęła się na te słowa i z jakiegoś powodu nabrała do mnie większego zaufania.

– Zgoda. Pojedziemy razem. *Do you smoke?*

– Nie, nie palę, ale dym mi nie przeszkadza.

Podpisawszy umowę wynajmu samochodu, wrzuciliśmy do niego nasze rzeczy. Diana miała ogromny plecak. Spytałem, dlaczego nie zostawi go w hotelu. Odparła, że woli zawsze mieć go przy sobie, bo jeśli odkryje jakieś ładne i ciekawe miejsce, zostanie tam na noc.

Kilka minut później wyruszyliśmy wynajętym fordem mustangiem na południowy zachód, aby zwiedzić Rezerwat Wulkanów. Zatrzymaliśmy się w Mountain View, żeby zrobić zdjęcia, a potem pojechaliśmy w kierunku krateru Kilauea.

Spędziliśmy razem noc w schronisku Ko Lae na południowym cyplu wyspy. Kiedy dwoje ludzi łączy samotność, pękają tamy milczenia. Przez większość nocy rozmawialiśmy o naszych podróżach i pragnieniach, a o świcie zastąpiliśmy słowa pocałunkami i pieszczotami. Następnego dnia kąpaliśmy się na plażach z czarnym wulkanicznym piaskiem na południowym wybrzeżu. Dianę rozpierała energia. Ponieważ zamierzała dotrzeć do Australii, która leży blisko Nowej Gwinei, była bardzo podekscytowana, gdy zaproponowałem jej, by towarzyszyła mi w podróży. Nigdy nie leciała awionetką i z przyjemnością patrzyłem, jak się cieszy. Przypomnił mi się Roberto, który bardzo lubił zabierać kogoś w pierwszą podróż samolotem.

Między lataniem samotnie i w towarzystwie jest ogromna różnica. Gdy podczas długiego lotu ma się obok siebie kogoś, choćby nie potrafił pilotować, można włączyć automatycznego pilota i zdrzemnąć się parę minut. Ludzie sądzą, że długie loty to przygoda, ale w rzeczywistości, o ile samolot nie przysparza żadnych problemów, są zwykle dość monotonne. Miło mieć towarzystwo ładnej dziewczyny. Diana była inteligentna i bystra i spędziwszy godzinę w fotelu drugiego pilota, ciągle obserwując i pytając, miała już pojęcie, jak kontrolować przyrządy.

Z Hawajów poleciliśmy na południowy zachód, ponad dwa tysiące mil, do Majuro na Wyspach Marshalla. Archipelag ten składa się z więcej niż dwóch tysięcy stu atoli, będących w większości niewielkimi pierścieniami raf koralowych o niezwykłej urodzie. Rozemocjonowana Diana bez przerwy robiła zdjęcia. W wielu momentach przypominała mi księżniczkę Jazmín.

W Majuro zakwaterowaliśmy się w hotelu, włożyliśmy kostiumy kąpielowe i poszliśmy na plażę na końcu wyspy, która nosiła nazwę Laura. Spędziliśmy tam wspaniałe relaksujące popołudnie.

Gdy wracaliśmy spacerkiem do hotelu brzegiem laguny, Diana spostrzegła leżące na kamieniu muszle. Jedna z nich była bardzo piękna. Miała kształt stożka, była najmniejsza, ale zwracała uwagę. Sprawiała wrażenie pomalowanej i oszlifowanej. Pozostałe też były osobliwe, ale ta mała i brązowa

się wyróżniała. Rozejrzałem się, czy jest w pobliżu ktoś, do kogo może należeć, lecz byliśmy sami. Diana wzięła muszlę i poszliśmy dalej.



Spaliśmy objęci, gdy coś mnie obudziło. Pokój pogrążony był w ciemności. Leżałem bez ruchu, mając to dziwne nieokreślone przeczucie, które nas nawiedza, gdy jesteśmy obserwowani, nie wiedząc przez kogo i skąd. W pokoju ktoś był!

Przez długi czas sypiałem z bronią pod poduszką, sięgnąłem więc po nią, zanim sobie przypomniałem, że jej nie zabrałem. Cofnąłem rękę, którą obejmowałem Dianę, i zacząłem przesuwać się powoli na brzeg materaca. Gdy się poruszyłem, Diana zmieniła pozycję i wykorzystałem to, by wyslizgnąć się z łóżka. Wstawałem już, gdy zapaliło się światło i czyjś głos rozkazał:

– Ani kroku! Wstań powoli.

Diana obudziła się i krzyknęła cicho, otwierając szeroko oczy ze strachu i zdziwienia. Przed nami stał wysoki mężczyzna o ogorzałej cerze i wydatnym podbródku. Mierzył do nas z pistoletu. Jego groźna postawa kontrastowała z wyglądem. Miał na sobie wytarty ciemny podkoszulek ze spłowiałym napisem „Cutty Shark”. Jego chude nogi wystawały z przykrótkich dżinsów. Był boso. Zapach alkoholu świadczył o tym, że wypił parę kieliszków. Zanim zdążyliśmy cokolwiek powiedzieć, spytał mnie tonem oficera śledczego:

– Gdzie jest Gloria?

Pytanie, choć zaskakujące, trochę mnie uspokoiło. Ten człowiek najwyraźniej szukał kogoś innego.

– Proszę posłuchać, przyjacielu, niech pan opuści tę broń. Chyba pomylił pan drzwi. Tu nie ma żadnej Glorii.

Moja odpowiedź jeszcze bardziej go rozsierdziła, ale miałem pewność, że nie byłby zdolny strzelić. Widziałem, że jest skonfundowany. Jednak, celując w Dianę, zagroził:

– Jak mi pan nie powie, gdzie jest Gloria, zabiję ją.

Przesunąłem się nieco w kierunku komody, gdzie leżał mój aparat fotograficzny, mówiąc:

– Jeśli pan chce, niech ją pan zabije. Co mnie to obchodzi? Poznałem ją wczoraj wieczorem w barze...

Moja nieoczekiwana odpowiedź i wyraz twarzy Diany na chwilę go rozproszyły, więc zdążyłem rzucić w niego aparatem, równocześnie na niego skacząc. Runęliśmy obaj na podłogę. Podczas upadku mężczyzna upuścił pistolet i Diana wyskoczyła półnaga z łóżka, podniosła go i zagroziła nam bez przekonania:

– Spokój! Nie ruszać się! Przestańcie walczyć!

Szybko się podniosłem i odebrawszy broń z drżących rąk Diany, wycelowałem ją w mężczyznę, mówiąc:

– Teraz pańska kolej, przyjacielu. Proszę powiedzieć, kim pan jest i kto jest Gloria, zanim pana zastrzelę i wezwę policję.

Pokonany mężczyzna usiadł na podłodze, ciężko dysząc, i odpowiedział:

– Nie zastrzeli mnie pan... Broń nie jest naładowana.

Rzeczywiście, sprawdzwszy pistolet, przekonałem się, że magazynek jest pusty.

– Dlaczego pan to zrobił? Czego pan chce? – spytała Diana, zakrywając się prześcieradłem.

– Byliście państwo dzisiaj na plaży?

– Nawet jeśli byliśmy, to chyba nie pora, żeby o to pytać.

– Jakaś para spacerowała dziś po plaży i zabrała należącą do mnie muszlę, którą zostawiłem na kamieniu, żeby wyschła.

– To nie upoważnia pana, żeby wkradać się do cudzego pokoju i budzić ludzi, grożąc im bronią.

Diana, słysząc jego słowa, podeszła do torebki, wyjęła z niej muszlę i zbliżywszy się do nieznanego, zapytała:

– Czy to ta?

Mężczyzna spojrział jak w transie na niewielką muszlę i wyciągnął rękę. Rozgniewany jego zachowaniem, nie pozwoliłem mu jej dotknąć.

– Chwileczkę, skąd mamy wiedzieć, że jest pańska? Na plaży nikogo nie było. Nikogo.

Trochę już uspokojony i nieco zdziwiony moim pytaniem odparł:

– Nurkowałem w lagunie. Powinienem być zostawić jakiś znak albo

schować muszle, ale plaża była pusta. Prawie nikt nie spaceruje po wewnętrznej stronie laguny. Ale ta muszla jest moja – upierał się.

Diana, stojąca przy mnie, poczuła się winna. Wskazała mi gestem, bym mu ją oddał. Wręczyłem mu muszlę, mówiąc:

– Niech pan idzie spać. A następnym razem radzę używać podczas nurkowania boi sygnalizacyjnej.

Wziął muszlę, spojrzął na nas zdziwiony i opuścił pokój, nie żegnając się ani nie dziękując.

Następnego ranka podszedł do naszego stolika w hotelowej kafejce, przywitał się grzecznie i powiedział:

– Mam na imię Albert. Chcę przeprosić za moje zachowanie wczorajszej nocy. Trochę za dużo wypilem. Wielu ludzi szuka tych muszli. Gotowi są z ich powodu zabić. Sądziłem, że państwo do nich należycie. Wybaczcie.

Nie był już tym samym człowiekiem, co w nocy. Zachowywał się kulturalnie.

– Proszę się do nas dosiąść. Napije się pan kawy?

– Dziękuję.

– Nie musiał pan przychodzić. Już o wszystkim zapomnieliśmy, chociaż chciałbym wiedzieć, z czystej ciekawości, co jest niezwykłego w tej muszelce.

– Już panu wyjaśniam. To bardzo rzadki i cenny gatunek. Jeden z najbardziej egzotycznych i poszukiwanych przez kolekcjonerów. Znana jest pod nazwą *Conus gloriamaris*, czyli Morska Gloria. Do końca dziewiętnastego wieku sądzono, że występuje jedynie na Filipinach, w miejscu, które zniszczył podmorski wstrząs tektoniczny. Ale kilka lat temu ktoś znalazł parę okazów na wybrzeżach Guadalcanal, na Wyspach Salomona. Dlatego znalezienie takiej muszli tutaj, tysiące kilometrów od Filipin, ma ogromne znaczenie dla badaczy i kolekcjonerów.

– Fascynująca historia – stwierdziła Diana.

Wtedy nieznajomy wyjął z kieszeni niewielką sakiewkę z czarnego aksamitu i położył ją na stole.

– Wykazała się pani znakomitym gustem, señorita. Wybrała pani najpiękniejszą muszlę. Chciałbym, żeby przyjęła pani teraz na pamiątkę ten

mały prezent.

Wyciągnął z sakiewki przepiękną muszlę o złotoperłowym kolorze z dużymi, jednolitymi, białymi kręgami. Położywszy ją na stole, wyjaśnił:

– To *Cypraea gaspardi*, nazywana też Najrzadszą. Okazaliście się państwo bardzo wyrozumiali, zwracając mi Głorię i nie wnosząc skargi za wtargnięcie do waszego pokoju.

Kiedy odszedł, Diana spojrzała mi w oczy z szelmowskim uśmiechem, wzięła do ręki cenną muszlę i powiedziała:

– Zupełnie niezła jak dla dziewczyny, którą poznałeś w barze...

– Chyba nigdy nie zapomnisz nocy w Majuro?

– Nigdy nie celowano mi w głowę z pistoletu, Remy. To przerażające doświadczenie.

W tym momencie przed oczami stanął mi obraz ojca przystawiającego sobie lufę do skroni.

– Wiem. Wierz mi, że dobrze to wiem...



Pojechaliśmy na lotnisko, aby kontynuować podróż. Kolejne lądowanie było w Honiarze, stolicy Wysp Salomona i prowincji.

Honiara znajduje się na wyspie Guadalcanal, która zasłynęła podczas drugiej wojny światowej z powodu zaciętych walk, jakie toczyli tam w latach 1942–1943 Japończycy i Amerykanie. Spędziliśmy w tym mieście jedną noc i następnego ranka, dzięki sprzyjającej pogodzie, odlecieliśmy w kierunku Port Moresby.



Przed podróżą moja wiedza na temat południowego Pacyfiku ograniczała się do opisów ze szkolnych podręczników geografii. Teraz, przelatując nad nim, mogłem zobaczyć, jak jest ogromny. Lot nad tym bezmiarem wód zmusza do refleksji nad znaczeniem, jakie przypisujemy naszemu życiu. Towarzystwo Diany uprzyjemniało mi podróż.

W oddali zobaczyliśmy zarysy Nowej Gwinei. Zrozumiałem, co miał na myśli Curtis, mówiąc: „Nowa Gwinea jest jak gigantyczna góra wystająca z morza”. Aby dotrzeć do celu, musiałem przelecieć nad Masywem Owena

Stanleya, skupiskiem otulonych mgłą szczytów w intensywnie zielonym kolorze. Minąwszy je, zaczęliśmy lądowanie. Zdumiało nas piękno wodospadów Rouna, które z powietrza wyglądały tak, jakby zraszały dżunglę. Potem dostrzeżliśmy miasto Port Moresby, będące cudownym naturalnym portem.

Był to inny świat, inni ludzie, zwyczaje i kultura. Powitał nas kontroler lotów. Polecił mi przyjacielskim tonem, bym skierował samolot do strefy międzynarodowych prywatnych przylotów. Gdy tylko otworzyliśmy drzwiczki maszyny, uderzyła nas fala gorącego powietrza. Terminal mieścił się w niewielkim budynku, gdzie obsługiwano loty krajowe i zagraniczne. Przypominał stację kolejową.

Zmęczeni czekaniem na słońcu, aż podejdzie do nas inspektor celny, który miał skontrolować samolot, poszliśmy go szukać. Przy kontuarze, gdy chcieliśmy, by sprawdzono nam dokumenty, jeden z urzędników oznajmił, że zanim zostaniemy wpuszczeni do ich kraju, musimy uzyskać zezwolenie na czasowy import awionetki. Bez tego nie możemy przekroczyć oficjalnie granicy ani używać samolotu do poruszania się między lotniskami na obszarze Nowej Gwinei. Zakomunikował nam również, że musimy wykupić polisę ubezpieczeniową jednego z lokalnych towarzystw. Firma, która nas ubezpieczała, nie miała u nich przedstawicielstwa. Gdy spytałem, u kogo mogę załatwić polisę, odparł, że u niego. Kosztowała wraz z zezwoleniem dwieście czterdzieści pięć dolarów. Zapytałem, czy zamierza skontrolować samolot, na co odpowiedział, przeliczając banknoty:

– Ma pan do zadeklarowania coś, co figuruje na tej liście? – Wskazał listę umieszczoną pod szkłem na biurku. Przeczytawszy ją, oznajmiłem, tłumiąc śmiech:

– Nic.

– Więc nie ma potrzeby przeprowadzania kontroli.

Gdy zawiadomiłem Curtisa, że dotarłem szczęśliwie na miejsce, opuściliśmy lotnisko, usytuowane w ruchliwym punkcie miasta i oddzielone od ulicy zwykłym drucianym ogrodzeniem. Pierwsze wrażenie było nieprzyjemne. Nasze bagaże znajdowały się na zatłoczonej ulicy. Stojąc w drzwiach,

widzieliśmy w odległości trzystu metrów nasz hotel. Kilka kroków dalej strażnik pilnował jednego z wejść na teren lotniska. Diana, przerażona perspektywą przeciskania się przez tłum tubylców, najwyraźniej bezrobotnych, a często podpitych i hałaśliwych, wezwała taksówkę, która w niecałą minutę dowiozła nas do hotelu. Spojrzawszy na północ, zobaczyłem majestatyczne góry, nad którymi niedawno przelatywaliśmy. Były piękne.

Po kąpieli kochaliśmy się do utraty sił.

Po południu próbowałem skontaktować się z Davidem, człowiekiem, który miał odebrać samolot, ale poinformowano mnie, że jest w Hoskins i wróci za trzy dni. Zostawiłem mu wiadomość o moim przybyciu i numer telefonu, by do mnie zadzwonił. Zamierzaliśmy wyjść z hotelu, gdy recepcjonista, wskazując łańcuszek, który miałem na szyi, poradził mi, bym dla bezpieczeństwa zostawił go w hotelu. Kiedy odpowiedziałem, że nic się nie stanie, Diana spytała z zaciekawioną:

– Co to za kluczyk?

– To amulet, z którym się nie rozstaję. Dała mi go osoba, którą bardzo kocham.

Wyszliśmy z hotelu i wmieszaliśmy się w tłum, żeby przejść się i poznać trochę miasto.

Port Moresby nie da się opisać subtelnymi, eufemistycznymi słowami. Miasto jest po prostu brzydkie. Ulice pełne są wychudzonych psów, zarażonych w większości kamari, powszechną w Gwinei odmianą świerzbu, który atakuje zarówno ludzi, jak i zwierzęta. Mogliśmy to stwierdzić w ciągu paru minut. Dzieci bawiące się na ulicy też były chore. Port stanowił chaotyczne zbiorowisko domów, zbudowanych na niewielkich łodziach, gdzie sprzedawano jedzenie. Niektóre były burdelami. Nasz pierwszy spacer nie był zbyt zachęcający. Wracaliśmy do hotelu, pragnąc znowu znaleźć się w miejscu, gdzie panuje czystość i porządek.

W holu spotkaliśmy angielskiego handlowca, który robił interesy na wyspach. Poznaliśmy go po przybyciu do hotelu. Teraz, widząc nasze miny, stwierdził z lekkim uśmiechem:

– Miasto nie jest takie, jak państwo oczekiwaliście, prawda?

– Jest inne – odparłem dyplomatycznie.

– Niech się pan nie boi powiedzieć wprost: to koszmarnie miasto. To piec wypełniony ludźmi, którzy przypominają spalone bochny chleba. Mówią tyloma różnymi językami, że sami siebie nie rozumieją. Żeby ogarnąć ten etniczny i urbanistyczny chaos, trzeba poznać ich historię. Wiedzieli państwo, że Hiszpanie nazywali Gwineę wyspą złych ludzi?

– Nie jest to chyba pana ulubiona wyspa?

– Myli się pan, uwielbiam Gwineę. To antypody cywilizacji. Doskonale się tutaj czuję. Ludzie mają swoje wierzenia i zabobony i mimo wszystkich przeciwności losu nie pragną zmian. Czczą górę Yarima, bo mieszkają tam duchy ich przodków, i na swój sposób są szczęśliwi.

– Górę Yarima?

– Tak nazywają górę Yule. Nie zapomnijcie państwo tam się wspiąć, zanim wyjedziecie. Taka jest tradycja. Powinniście wyryć swoje imiona na pniu drzewa i umieścić na szczycie krzyż.

– Nie zapomnimy, dziękujemy.

– Teraz muszę już iść, czekają na mnie. Powodzenia.

– Dzięki, wzajemnie.

Gdy przechodziliśmy obok recepcji, powiedziano nam, że mamy wiadomość od właściciela samolotu. Zapraszał mnie do Hoskins.

Poleciliśmy do tego miasta na wyspę Nowa Brytania. Znów przelatywaaliśmy nad Masywem Owena Stanleya. Na lotnisku powitali nas właściciele awionetki.

Przyjaciele Curtisa mieli niewielki dom z fantastycznym widokiem na morze, w którym przenocowaliśmy. Wyjaśnili nam, że ze względu na problemy komunikacyjne w Nowej Gwinei latają setki małych samolotów, świadczących różnego typu usługi między dużymi miastami i oddalonymi od świata wioskami. Dlatego wpadli na pomysł, żeby założyć w Port Moresby niewielką firmę transportu lotniczego.

Ugoszczeni przez naszych gospodarzy, następnego ranka poleciliśmy do Tokua-Rabaul na północnym krańcu wyspy. Podczas gdy przemysłowiec pilotował swój nowy nabytek, a jego żona i Diana rozmawiały z ożywieniem na tylnym siedzeniu, ja podziwiałem niezwyklej pejzaż. Przelatywaaliśmy nad wulkanem, który zniszczył zabytkowe miasto Rabaul, a gdy dotarliśmy do

celu, nasi opiekunowie pokazali nam różne ciekawe miejsca, jak profesjonalni przewodnicy.

Następnego dnia poleciliśmy na wyspę Nissan. Diana przypomniała mi ze smutkiem, że za dwa dni ma zarezerwowany lot do Australii.

Może oczekiwała, że poproszę, żeby ze mną została. Nie zrobiłem tego. Nie byłem gotowy na nowy związek. Wciąż towarzyszyło mi wspomnienie Jazmín. Rozstaliśmy się ze smutkiem, ale po raz pierwszy posłuchałem zalecenia ojca: „Nie kochaj”.

Na lotnisku podarowała mi na pożegnanie słynną muszlę nazywaną Najrzadszą.

Kilka dni później pozbyłem się jej, wysyłając ją w niewielkiej paczuszcze z Port Moresby.

Nowa Gwinea, październik 1969 roku

Kochana Mamo!

Gdy przyjaciółka podarowała mi tę piękną muszlę, przypomniałem sobie, jak szeptałaś mi na ucho: „Wstawaj, chodźmy szukać skarbów na plaży”. Jak się dowiedziałem, ta muszla to Cypraea gasparidi, znana też pod nazwą Najrzadsza. Znaleźliśmy ją na Wyspach Marshalla, na drugim końcu świata. Mam nadzieję, że Ci się spodoba. Prosiłem Marię, by Ci ją przesłała, gdziekolwiek jesteś, na urodziny.

David

Zacząłem latać jako drugi pilot samolotem, który dostarczyłem. David przekazał cherokee Makowi, doświadczonemu Papuasowi, w ogóle niewyglądającemu na lotnika. Z jego twarzy nie zniknął uśmiech. Był bardzo dumny, że należy do eskadry. W ciągu kolejnych trzech tygodni towarzyszyłem mu podczas wszystkich lotów i wprowadził mnie w arkana transportu powietrznego Nowej Gwinei. Wyjaśnił mi, że mają w zwyczaju ważyć pasażerów razem z bagażem, aby nie przekroczyć dopuszczalnego obciążenia samolotu. Gdy spytałem, dlaczego pasażerowie w hali odlotów milczą, odparł:

– To z powodu ogromnej liczby różnych języków, którymi mówią. W Nowej Gwinei używa się ich ponad sześciuset. Zanim w kraju wykształcił

się jakiś sposób komunikacji, istniały tysiące odseparowanych od siebie wspólnot, które mówiły własnymi językami.

– Iloma ty mówisz, Mako?

– Kilkoma, ale najczęściej używam motu, lokalnego języka Hanuabady, jak określa się Port Moresby.

Lotniska były dużo gorsze, niż sobie wyobrażałem. Większość pasów startowych wykuto w stokach gór, a niektóre, jak te w Fane, miały bardzo duże nachylenie. Przez kilka tygodni ten sympatyczny pilot o ciemnej skórze uczył mnie cierpliwie wszystkich technik i sztuczek potrzebnych przy lądowaniu na krótkich pochyłych zboczach. Ja z kolei pokazałem mu, jak stosować technikę *hoveringu*, której nauczyłem się od Miguela. Pewnego razu, gdy wzięliśmy zaopatrzenie dla misjonarzy ze zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusa, musieliśmy lądować na bardzo krótkim pochyłym pasie. Przypomniałem sobie, co mówił Curtis na temat lotniska w Maimafu. Ponieważ Mako nie obsługiwał tej trasy, spytałem, czy moglibyśmy tam polecieć. Uśmiechnął się. Stwierdził, że wszyscy piloci pytają o Maimafu, ale żaden go nie prosił, by tam lecieć. Maimafu leżało niedaleko Goroki, w niedostępnych dolinach prowincji Tierras Altas. Powiedział, że w porze deszczowej intensywnie padało i można się w te okolice dostać tylko samolotem. Zgodził się mnie tam zabrać. Dwa dni później spytał:

– Gotowy na specjalne lądowanie?

Natychmiast zdałem sobie sprawę, dokąd lecimy.

– Dzięki, Mako. Nie wiem, czy odważę się tam lądować, ale bardzo chcę poznać to miejsce.

Gdy byliśmy już blisko, mimo imponującego piękna krajobrazu nie mogłem oderwać oczu od mikroskopijnego pasa startowego, który widać było wyraźnie u stóp zbocza. Zrozumiałem wtedy, dlaczego zyskał sławę najbardziej stromego na świecie.

Mako uśmiechał się szeroko, widząc moje zdumienie, pokazując mi równocześnie punkty orientacyjne, które wykorzystywał, aby sterować maszyną. Wyjaśniał wszystko w całkowicie naturalny sposób. Pilotował samolot z taką precyzją i zręcznością, że natychmiast przestałem być dumny z tego, iż

jestem specjalistą od krótkich pasów startowych. W Amazonas i na lotniskach w Kolumbii zebrałem zupełnie inne doświadczenia. Świadomy tego mruknąłem:

– Myślę, że nigdy tu nie wyląduję.

– Oczywiście, że wylądujesz, Remy. Wszystko da się zrobić. Jeśli ja mogę, to ty też. Zwracaj uwagę na wiatr i kontroluj prędkość. To klucz do sukcesu. Wyobraź sobie, że jedziesz górską kolejką i czeka cię właśnie odcinek w kształcie litery U.

Samolot, pilotowany zrećnie przez Mako, zniżył lot i osiadł łagodnie na pasie. Dzięki ostremu kątowni nachylenia zbrocza zatrzymał się już po kilku metrach. Moje zdumienie wzrosło, gdy na końcu pasa zobaczyłem niedźwiadka stojącego na tylnych łapach i patrzącego w naszym kierunku. Mako wyjaśnił:

– To siporo, gatunek torbacza. Jest ich tu mnóstwo.

Mako zawiadomił miejscowych, że przybędziemy, więc na nas czekano – gromada dzieci i przewodnik. Pokazali nam pobliskie wodospady. Przygotowali tam lunch i skorzystaliśmy z okazji, by odświeżyć się w rzece. Gdy wracaliśmy, Mako wskazywał mi lecznicze rośliny, których używają tubylcy. Przewodnik wycinał maczetą przejście.

– Roślinność wszystko zarasta – powiedział Mako. – W ciągu tygodnia ta ścieżka by zniknęła. Jeśli samolot spadnie gdzieś w dżungli, staramy się szybko go zlokalizować, bo po kilku dniach już go nie znajdziemy.

W ciągu kolejnych dni Mako szkolił mnie na podobnych pasach, lecz o mniejszym nachyleniu, abym zapoznał się z różnymi technikami lądowania. Wykorzystywaliśmy do tego celu samoloty spółki o różnym ciężarze i parametrach. Chciał, żebym dobrze to opanował. Był dumny, że wybrałem go na nauczyciela.

Aż wreszcie nadszedł ten dzień. Pewnej soboty wystartowaliśmy rano z Goroki w kierunku Maimafu. Nie leciałem już jako drugi pilot, siedziałem za sterami. Podczas lotu Mako nie zamęczał mnie instrukcjami. Wszystko zostało już ustalone. Nie chciał wydawać mi dodatkowych poleceń. Powiedział tylko:

– Niech instynkt ci podpowie, kiedy będzie odpowiedni moment.

Za drugim podejściem zdołałem posadzić maszynę na pasie w Maimafu. Zwieńczyło to kolejny etap mojego szkolenia.

Mako mi pogratulował. W drodze powrotnej stwierdził, że samo lądowanie w Maimafu nie było najważniejsze. Jego zdaniem to tylko kwestia wprawy. Naprawdę istotny jest aspekt psychologiczny. Podsumował to, pytając:

– Prawda, że teraz odważyłbyś się startować i lądować w dowolnym miejscu na świecie? Czyż nie tak? Do tego doszedłeś, Remy.

Dzięki Mako opanowałem nie tylko techniki lądowania w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. Dał mi też wielką lekcję pokory. Tydzień później pożegnałem się ze wszystkimi, a z Mako szczególnie serdecznie. Tak dużo mnie nauczył.

Kiedy wracałem do Kalifornii, siedząc wygodnie w rejsowym samolocie linii Quantas i wpatrując się w błękit morza, przypomniałem sobie, co odpowiedział mi Mako, gdy spytałem go, czy chciałby pilotować dużą maszynę.

– Nigdy – stwierdził stanowczo. – Sprawia mi przyjemność docieranie tam, gdzie duże samoloty nie ośmielają się i nie są w stanie dolecieć.

Nie mogłem wtedy wiedzieć, że w przyszłości moje życie będzie zależało od tego, czego się od niego nauczyłem...

20.

Spędziwszy ponad miesiąc w Nowej Gwinei, wróciłem do Kalifornii. Miałem w głowie mnóstwo wiadomości i zaleceń. Podczas długiej podróży skoncentrowałem się na sporządzeniu listy priorytetów. Kolejnym krokiem miał być kurs, który pozwoli mi zdobyć licencję na hydroplany oraz zapoznać się ze wszystkim, co ma związek z transportem powietrznym do Stanów Zjednoczonych.

Wielu pilotów przekraczało lądowe i morskie granice tego kraju, przemycając różne towary. Zatrzymywano ich setki i gnili potem w więzieniach federalnych. Inni rozbijali się w ciemnościach, pozbawieni odpowiedniej nawigacji, gdy próbowali lądować na nielegalnych lotniskach, mając niewiele paliwa i jeszcze mniej doświadczenia. Niektórych zestrzelowano, a wielu znikало bez śladu.

Postanowiłem zbadać ten problem pod różnymi kątami. Sprawdziłem, jakie są najczęstsze techniczne przyczyny katastrof i przechwytywania samolotów przez władze i jaką rolę odgrywa w tym czynnik ludzki. Po zapoznaniu się z licznymi raportami Amerykańskiej Federacji Lotnictwa na temat wypadków lotniczych doszedłem do wniosku, że przede wszystkim należy udoskonalić sposób i możliwości tankowania paliwa. Z wielu raportów wynikało, że jego brak mógł być często przyczyną katastrofy. Gdy je czytałem, wyobrażałem sobie początkujących pilotów skuszonych perspektywą wzbogacenia się w krótkim czasie, którzy po wielogodzinnym locie nie mogli

znaleźć lotniska, zostawali bez paliwa i musieli lądować gdziekolwiek. Nie chciałem być jednym z nich.



Istotne było także pytanie, dlaczego tak wiele lotów wykrywano. Aby uzyskać jak najwięcej informacji na ten temat, przestudiowałem błędy, jakie popełniali handlarze narkotyków. W bibliotece wydziału prawa w Los Angeles czytałem oświadczenia i zeznania z federalnych procesów dotyczących przemytu narkotyków, w które zamieszani byli prywatni piloci. Uczestniczyłem w kilku rozprawach. W Los Angeles każdy może brać w nich udział. Zeznania zatrzymanych pilotów kontrastowały z zeznaniami osób, które dokonywały aresztowań. Wyciągnąłem z tego własne wnioski.

Między szkoleniem a podróżami do Los Angeles spędzałem dni i tygodnie, chłonąc jak gąbka wszystko, co mnie interesowało. Na podstawie tego, co usłyszałem i przeczytałem w raportach i zeznaniach, doszedłem do wniosku, że aby osiągnąć zamierzone cele, trzeba ograniczyć do minimum liczbę pośredników i osób, które wiedzą o prowadzonych operacjach. Co do ich strony technicznej, przeanalizowałem wszystko, czego się nauczyłem na temat kontrolowania przestrzeni powietrznej. Zdobyłem też informacje na temat różnych systemów radarów, stosowanych w Stanach Zjednoczonych. Im więcej o nich wiedziałem, tym większe były szanse, że je przechytrzę. Pilotowanie samolotów w Ameryce Południowej, między osadami górniczymi, w amazońskiej dżungli czy nad plantacjami Kolumbii to niezupełnie to samo, co latanie w kontrolowanej przestrzeni powietrznej nad Stanami Zjednoczonymi.

W miarę pogłębiania wiedzy tworzyłem w głowie mapę, którą starałem się zapamiętać. Miałem coraz lepsze pojęcie, jak przedostać się w amerykańską przestrzeń powietrzną i nie dać się złapać.



Don Jaime upoważnił mnie, bym latał, dokąd chcę, i kupował, czego potrzebuję, nie przejmując się kosztami. Pozwolił mi nabyć małą starą awionetkę Piper Cub w bardzo dobrym stanie. Służyła mi do ćwiczeń: latałem

nią od lotniska do lotniska. Zbierałem informacje i gromadziłem w pamięci wszystkie użyteczne szczegóły. Przez siedem miesięcy poświęcałem wszystkie weekendy i cały wolny czas, żeby poznać główne lotniska i wiele drugorzędnych w Nevadzie, Arizonie, Nowym Meksyku, Teksasie, Arkansas, Luizjanie i na Florydzie. Potem zacząłem latać do Meksyku, lądując najpierw na półwyspie Baja California, a później docierając do Mazatlán, Puerto Vallarty i Guadalajary. Te loty stały się rutynowe. Zawsze starałem się zabierać jakąś dziewczynę, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Znalezienie towarzystwa było prostą sprawą. Młodzi wiedzieli, że wielu pilotów wykorzystuje w weekendy swoje prywatne awionetki, by lecieć dla rozrywki do Las Vegas, San Diego albo Baja California, dlatego kafejki aeroklubów w Kalifornii wypełniały się pod koniec tygodnia chłopakami i dziewczynami szukającymi gratisowego lotu.

W przestrzeni powietrznej Stanów Zjednoczonych latało się bez przeszkód. Skomplikowany był powrót z zagranicy, szczególnie z Ameryki Południowej. Jedną z opcji stanowił przelot przez Meksyk, z międzyładowaniem w którymś z krajów Ameryki Środkowej, ale większa odległość stwarzała dodatkowe problemy logistyczne. Musiałem znaleźć inne rozwiązanie.

Szlak meksykański, choć dłuższy, pociągał mnie. Przygotowałem się, by pojechać do Meksyku w poszukiwaniu odpowiednich miejsc do tankowania paliwa. Kupiłem w San Diego kampera marki El Dorado. Załadowawszy do niego konserwy, aparaty fotograficzne i magnetowid, przekroczyłem granicę w Tijuanie. Miałem wizytówki, na których figurowałem jako Remy, fotograf spółki filmowej z Hollywood szukający plenerów. Zakreśliłem na mapach strefy, gdzie należałoby stworzyć punkty zaopatrzenia. Tam się skierowałem.

Zadanie, które wydawało się skomplikowane, okazało się prostsze, niż sobie wyobrażałem. Meksykanie mieszkający w głębi kraju, z dala od zgiełku wielkich miast, są uprzejmi, gościnni i szczerzy, zawsze gotowi dzielić się tym, co mają. Cieszyli się, że odwiedza ich ktoś z Hollywood i fotografuje ich ziemię.

Przez kilka tygodni, pokonując setki kilometrów, znajdowałem odpowiednie miejsca i zaznaczałem je na mapie. W głębi Meksyku było to łatwe,

odkryłem ich mnóstwo. Trudniej było znaleźć coś wzdłuż wybrzeża, zwłaszcza na półwyspie Jukatan, stanowiącym newralgiczny punkt przerzutowy towarów z Meksyku do Stanów Zjednoczonych. W tamtych czasach większość pilotów wylatujących z Kolumbii kierowała się do wybrzeży Florydy przez Bahamy. Ja miałem alergię na tę trasę. Wszyscy tamtędy latali i więzienia federalne na Florydzie wypełniały się pilotami, którzy – spragnieni łatwych pieniędzy – kierowali swoje awionetki w wir huraganu. Floryda stawała się największym światowym centrum handlu kokainą.

Przypadkiem znalazłem rozwiązanie problemu logistycznego, który mnie niepokoił. Było to podczas wizyty w Palenque, w dobrze zachowanych ruinach miasta, które swego czasu stanowiło główny ośrodek kultury Majów. Zaparkowałem kampera na pobliskim kempingu i po zwiedzeniu pałacu wspiałem się na szczyt Świątyni Inskrypcji, w której wewnątrz w 1952 roku odkryto grobowiec kapłana Majów z VIII wieku, otoczonego drogocennymi przedmiotami z jadeitu. Przysiadłem zmęczony na schodach, podobnie jak inni turyści. Nagle usłyszeliśmy odgłos nadlatującego helikoptera. Po kilku sekundach pojawił się pomalowany na zielono bell z logo spółki Pemex. Wylądował na niewielkim placu niecałe dwieście metrów od miejsca, gdzie siedziałem. Przewodnik towarzyszący turystom nawymyślał pilotowi, że ląduje tak blisko ruin. Rozumiałem jego złość: wibracje śmigieł powodowały drżenie murów budowli.

Podczas gdy zwiedzający wysiadali z helikoptera, ja zszedłem po schodach do podstawy świątyni. Pilot został obok maszyny. Podeszedłem do niego, przywitałem się i nawiązałem rozmowę. Przedstawiłem się jako Remy. Zdziwił się nieco, gdy mu powiedziałem, że jestem pilotem i że kilka razy latałem helikopterami. Miał na imię Manuel. Spytał, trochę z niedowierzaniem, jakie samoloty pilotuję. Wyjaśniłem mu, że mam komercyjną licencję na turbodrutowce, hydroplany i samoloty średniej wielkości i czekam na końcowy egzamin, żeby móc pilotować lekkie odrzutowce.

Manuel miał około trzydziestu pięciu lat, był szczupłym mężczyzną o typowej dla Meksykanów ciemnej skórze, ale anglosaskich rysach. Słuchał mnie uważnie. Skorzystałem z okazji, by go spytać:

– Pracujesz jako PR-owiec dla Pemexu i przewozisz VIP-ów czy robisz coś innego?

Roześmiał się i odparł z wyraźnym północnym akcentem:

– W Pemexie? Chyba żartujesz! Tu nie mamy takich funkcji. Lecimy tam, dokąd nas wysyłają, i robimy to, co każą. Latam od wybrzeży Tabasco do Campeche aż do platform naftowych w zatoce. Przewożę personel, robię za pogotowie ratunkowe, zapewniam awaryjne zaopatrzenie, dokonujemy inspekcji szybów... wszystko po trochu. Wolałbym latać między platformami niż być pomocnikiem przewodnika.

Rozmawialiśmy przez półtorej godziny, a turyści zwiedzali w tym czasie ruiny. Opowiedziałem mu, że latałem prawie przez rok do osad górniczych w Amazonas, wykonując podobne zadania jak on. Szybko doszliśmy do porozumienia.

Na pożegnanie dał mi swój numer telefonu. Umówiliśmy się na spotkanie w następny weekend w Villa Hermosa w stanie Tabasco, żeby pogadać i wypić parę kieliszków.

Przybywszy tam kilka dni później, wysłałem mu wiadomość i przyjechał po mnie na kemping. Zaprosił mnie do swojego domu i przedstawił rodzinę: piękną żonę i dwóch synów, którzy bez przerwy się koło nas bawili. Ubolewał, że nie może poświęcać im więcej czasu, ale praca zmusza go do przebywania kilka dni w tygodniu poza domem. Spędziłem tydzień w jego towarzystwie, zdobył dla mnie kartę wstępu na platformy naftowe i odwiedziłem wiele z nich. Swoją ulubioną, będącą równocześnie bazą morską, nazywał pieszczotliwie „Benito Juárez”. Była to nazwa miasteczka, z którego pochodził i w którym mieszkała jego rodzina oraz krewni wielu osób zatrudnionych na platformie. Pracował na niej jeden z jego braci i kuzyn. Pierwszy na stanowisku dyrektora operacyjnego, a drugi jako główny kucharz.

Nigdy przedtem nie byłem na platformie wiertniczej i nie miałem najmniejszego pojęcia, jak funkcjonuje. Manuel odpowiadał cierpliwie na moje pytania. Skosztowawszy wyśmienitego homara, którego przyrządził specjalnie dla nas jego kuzyn, wyszliśmy na zewnątrz. Patrząc z heliportu na spokojną taflę morza, wyznałem:

– Prawdę mówiąc, inaczej wyobrażałem sobie to miejsce. Myślałem, że platformy są jak samotne budynki na oceanie, w które ciągle uderzają rozwścieczone fale. No wiesz, tak jak to pokazują w filmach dokumentalnych z Morza Północnego. Tu prawie nie ma fal, jak w basenie.

– Nie daj się zwieść. Morze jest jak kobieta. Wydaje się spokojna albo uśpiona, gdy się na niej kładziesz, a po chwili budzi się nagle i zamyka cię w uścisku. Są okresy, gdy morze jest nieruchome, czasem jednak fale są tak wysokie i uderzają z taką siłą, że trzeba szykować się do ewakuacji, bo huraganowy wiatr grozi zatopieniem platformy.

– Zapamiętam to porównanie morza z kobietą. Powiedz mi, jak się żyje na takiej platformie?

– Żeby to zrozumieć, musisz najpierw wiedzieć, czym taka platforma jest. Pamiętać, że została skonstruowana na morzu przy użyciu specjalnych technik i materiałów. Ta na przykład wspiera się na podwodnym fundamencie, przytwierdzonym do dna kotwicami na głębokości dziewięćdziesięciu metrów. Na powierzchni ma cztery poziomy. Tam znajdują się maszyny, separatory i kompresory.

– Wszystkie platformy są mniej więcej takie same?

– Niektóre są podobne, ale każda ma inne przeznaczenie i charakter. Istnieją cztery typy platform: wiertnicze, produkcyjne, łącznikowe i mieszkalne. Ta jest wiertnicza.

– Jak wysoko nad poziomem wody jesteśmy?

– Ta platforma została zbudowana zgodnie z nowymi przepisami, które wymagają, by miała co najmniej trzydzieści pięć stóp, czyli około dziesięciu i pół metra. Niemal wszystkie pozostałe są nieco niższe. Nie zapominaj, że są różne rodzaje konstrukcji. Niektóre małe, instalowane na stałe, inne zanurzone do połowy, z kolumnami wspornikowymi, które unoszą się na wodzie i mogą być przemieszczane z jednego miejsca w drugie. Są także platformy zaprojektowane na duże głębokości, używane do produkcji, które po zainstalowaniu mogą funkcjonować samodzielnie. Obecnie w całej Zatoce Meksykańskiej jest ponad tysiąc platform.

– Ile ropy jest pod tą, Manuelu?

– Geolodzy i eksperci twierdzą, że trzydzieści pięć bilionów baryłek. To

wyjątkowo duże złoża, bo, jak mówią, powstały na skutek uderzenia w Ziemię meteorytu Chicxulub, które spowodowało wielkie przesunięcie pokładów kredy w tak zwanym okresie kredowym, pod koniec drugorzędu.

– Mówisz jak przewodnik turystyczny.

– Tyle razy to słyszę, że w końcu zostaje w pamięci. Zresztą często muszę służyć za przewodnika, kiedy oprowadzam VIP-ów.

– Ciekawi mnie jedna sprawa. Co miałeś na myśli, mówiąc, że każda platforma jest inna?

Milczał przez chwilę, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią, i wyczułem w jego głosie lekkie rozgoryczenie, gdy rzekł:

– Charakter platformy zależy od ludzi, którzy na niej pracują. Część platform, tak jak ta, ma nazwę, choć oficjalnie oznaczane są tylko numerami kodowymi. Niektóre mają lepszy klimat pracy niż inne. Tutaj się przyjaźnimy, prawie wszyscy się znamy i staramy się, by nowi pracownicy szybko się adaptowali. Ale nie wszędzie tak jest. Wiele platform wynajmuje się zagranicznym spółkom za dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów dziennie, czyli jakieś trzy miliony miesięcznie. Wszystko podlega kontraktowaniu. Zagraniczny personel jest również opłacany przez Pemex, a Meksykanów zatrudnia się jako mechaników, elektryków, spawaczy, sprzętaczy i robotników, ale nie czują się ze sobą związani.

– Przypuszczam, że Pemex ma zaufanych ludzi, którzy wszystko nadzorują.

– Pemex kontrolują pieprzeni Amerykanie. Najwyższy w hierarchii jest dyrektor szybu, po nim inspektor techniczny i kierownik odwiertów. Na wszystkich platformach są tłumacze angielskiego i hiszpańskiego, którzy pilnują, by Meksykanie nie uszkodzili „ich urządzeń”, i z byle powodu udzielają im napomnień.

– Zachowują się, jakby to oni byli właścicielami platform.

– Bo nimi są. Jesteśmy od nich tak uzależnieni, że jeśli meksykański technik chce dokonać jakiejś operacji, która im się nie podoba, nie zezwalają na to. Możesz mi nie wierzyć, ale na niektóre platformy Meksykanie mają zakaz wstępu. Niewiarygodne, ale prawdziwe. Wszędzie obowiązuje dublowanie funkcji. Podczas gdy meksykański technik zarabia dwadzieścia tysięcy

pesos, jego amerykański odpowiednik dostaje miesięcznie dwadzieścia tysięcy dolarów. Obaj pracują na tej samej platformie, na takim samym stanowisku. Jak widzisz, obecność Meksykanina maskuje prywatyzację Pemexu.

– A kto zajmuje się logistyką?

– Kontraktuje się statki, samoloty i helikoptery. Na platformę dostarcza się wszystko statkami, płacąc za kurs stałą kwotę, nawet gdy chodzi o przewiezienie tylko paru butelek tequili albo jednego technika. A rejs trwa od jednego do trzech dni. W tym czasie, jeśli platforma musi zawiesić działalność, Pemex i tak płaci milion pesos dziennie. Nie wyobrażasz sobie, ile razy musiałem latać nocą i przy złej pogodzie tylko po to, by zaspokoić kaprys jakiegoś *gringo*, który za dużo wypił. Wszędzie panuje korupcja, złodziejstwo, kupczenie wpływami i tak dalej.

– Ale tutaj wszyscy dobrze się sprawują.

– Oczywiście, przyjacielu. To przecież pieprzona platforma „Benito Juárez”!



W przeddzień naszego pożegnania odważyłem się spytać:

– Manuelu, odpowiedz mi na takie pytanie: gdybym przyleciał z południa hydroplanem i chciał wylądować nocą na platformie „Benito Juárez”, żeby zostawić ci „prezent”, ile osób by się o tym dowiedziało?

Rzucił mi szelmowskie spojrzenie i odparł z szerokim uśmiechem:

– Niewiele, tylko ochrona. Jak z pewnością zauważyłeś, pokoje i zamknięte pomieszczenia są dźwiękoszczelne. Ale gdybyś naprawdę chciał dostarczyć coś tak, by nikt tego nie zauważył, możesz wrzucić to do wody z boją radiolokacyjną. Tylko ja bym o tym wiedział. – Potem, wyraźnie zainteresowany, dodał: – No powiedz, co masz na myśli.

– Chyba już zgadłeś. Mówię o towarze z Kolumbii. Mój problem polega na tym, że jeśli przylatuję z południa, muszę zatankować paliwo w jakimś bezpiecznym miejscu na wybrzeżu Jukatenu. Nie mając takiego miejsca, powinienem zostawić gdzieś „prezenty”, żeby napełnić baki na jakimś lotnisku. Prawdę mówiąc, wcale mi się to nie uśmiecha.

– Jaką objętość mają te „prezenty”? Powiedz mi dokładnie, czego byś chciał.

– Towar waży tylko pięćdziesiąt kilo, ale potrzebuję około stu pięćdziesięciu galonów paliwa, żeby kontynuować lot. Byłbym zadowolony, gdybym je zdobył, trzymając się z dala od lotnisk. Czy przy spokojnym morzu można by tu zatankować hydroplan?

– Mamy paliwo i z tankowaniem nie byłoby problemu. Ale potrzeba do tego co najmniej dwóch osób i spokojnego morza. Jak często musiałbyś to robić?

– Dwa razy w miesiącu. Chodzi o duże pieniądze, Manuelu.

– Jakie są inne możliwości?

– Plan B zakłada znalezienie jakiegoś miejsca na wybrzeżu, gdzie mógłbym tankować bez ryzyka.

– W ciągu dnia czy w nocy?

– Przylatywałbym o świcie.

Manuel zamyślił się, po czym powiedział z błyskiem w oku:

– Nie wracaj jeszcze. Zostań kilka dni. Jutro coś sprawdzę. Spotkamy się pojutrze, o dziewiątej, w heliporcie spółki w Ciudad del Carmen. Pójdziemy na piwo. Zgoda?

– Zgoda, będę na ciebie czekał.



Dotrzymując obietnicy, dwa dni później Manuel przybył na spotkanie. Przyleciał białym bell rangerem 206. Poszedł na chwilę do biura, po czym wystartowaliśmy.

– Dokąd lecimy, Manuelu?

– Chcę ci pokazać Puerto Bravo. To cudowne miejsce.

Przyzwyczajony do korzystania z map, wziąłem do ręki tę, która leżała obok niego, i zauważyłem:

– Przy tej prędkości to jakieś dwie godziny lotu.

– Tak, ale zatrzymamy się w Lázaro Cárdenas na tankowanie.

– Co chcesz mi pokazać?

– Zobaczysz, gdy dolecimy.

Uśmiechał się szelmowsko, ciesząc się, że czeka mnie niespodzianka. W ciągu półtoragodzinnego lotu pokazywał mi różne punkty orientacyjne. Po postoju w Lázaro Cárdenas, gdzie zatankowaliśmy i wypiliśmy kilka piw, przez dziesięć minut lecieliśmy w kierunku wybrzeża. Potem zaczął lecieć nad drogą prowadzącą w głąb pustynnego obszaru, zupełnie płaskiego i prawie pozbawionego roślinności. W oddali widać było w różnych miejscach niewielkie platformy wiertnicze. Po chwili zobaczyliśmy gigantyczną bramę. Manuel wylądował obok niej. Zdążyłem przeczytać napis: ZAKAZ WSTĘPU. WŁASNOŚĆ PETRÓLEOS MEXICANOS. TYLKO UPOWAŻNIENY PERSONEL. Potem podniósł maszynę i poleciliśmy dalej na niewielkiej wysokości. Byliśmy na terenie należącym do spółki naftowej. Prosta jak strzała droga niknęła gdzieś na horyzoncie.

– Wiesz, jak nazywa się ta droga? – zapytał Manuel.

Wiedziałem, co chce mi zademonstrować. Odparłem ze śmiechem:

– Jasne. Nazywa się plan B.

– Właśnie, to jest pieprzony plan B. Zobacz, jaka ta droga jest szeroka i prosta. Bez problemów mógłbyś tu wylądować boeingiem siedemset siedem. To prywatna droga i nie ma tutaj żadnego ruchu. Należy do Pemexu, a na bramie jest kłódka. Nikt tędy nie jeździ, chyba że zepsuje się któreś z wiertel albo konserwatorzy robią kwartalny przegląd szybów. A co najlepsze: to obszar zamknięty, nie latają tutaj nawet cholerne ptaki. Możemy tu latać helikopterem cały cholerny dzień i nikt tego nie zauważy.

Byłem zdumiony. To przerastało moje oczekiwania.

– To idealne miejsce, Manuelu. Jedno tankowanie tutaj, a drugie gdzieś w rejonie Sierra Madre, i mamy nowy szlak.

– Nie przekazałem ci jeszcze dobrej wiadomości...

– Jeszcze jednej? – spytałem z niedowierzaniem.

– Są dziesiątki takich dróg. Za każdym razem możesz lądować na innej. Wszystkie są dokładnie zaznaczone na mapach Pemexu. Jako pilot dysponuję tymi mapami, listą współrzędnych każdej z dróg i helikopterem z firmowymi oznaczeniami. Mogę latać nad tymi obszarami, nie zwracając niczyjej

uwagi. Mogę dostarczyć dzień wcześniej paliwo w kanistrach i ukryć je gdzieś przy wybranej drodze. Można nawet umieścić przy nich radionadajnik, żebyś łatwiej je zlokalizował. Byłbym na miejscu na wypadek, gdybyś przyleciał nocą, żeby oświetlić ci drogę reflektorami helikoptera albo ciężarówki.

Kończył mi wszystko wyjaśniać, lądując w zaplanowanym miejscu na drodze. Oprócz wyjątkowo wysokiego kaktusa nie było tam żadnych punktów orientacyjnych. Manuel wysiadł, podszedł do kaktusa i wziął ukrytą za nim torbę. Otrzeptał ją z piasku i otworzył. Patrzyłem z niedowierzaniem, jak wyciąga z niej butelkę tequili Cuervo i dwie małe szklaneczki.

- Widzisz, jak łatwo znaleźć to miejsce? Trzeba to oblać, przyjacielu.
- Jestem zachwycony.
- Więc dobrze, wypijmy za to i za naszą przyjaźń.
- Wypijmy...



Wróciliśmy podekscytowani do Ciudad del Carmen. Coraz lepiej się rozumieliśmy. Manuel nie potrafił ukryć radości, że bierze udział w tak szalonym przedsięwzięciu.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, jak bardzo ryzykujemy? – spytałem go.
- Wiem. I właśnie to mi się podoba. Wiesz, ile razy dziennie narażam życie, latając między tymi platformami? Często, jak wspominałem, muszę robić to nocą, żeby spełnić kaprys „Wielkiego Bossa” i przywieźć coś, co mógłby sobie kupić następnego dnia. Nie jestem pracownikiem Pemexu, tylko ich niewolnikiem. Dość tego wyzysku. Teraz mam swoją szansę.

Przez następne dwa tygodnie oglądaliśmy różne miejsca i drogi.

Dokonywaliśmy prób i kalkulacji. Obliczaliśmy kąty podchodzenia do lądowania na drogach, aby móc wykorzystać je jako pasy startowe. Zmierzywszy odległości na mapie, doszedłem do wniosku, że drogi, które pokazał mi Manuel, są najlepszym miejscem do tankowania. Platforma „Benito Juarez” była opcją na sytuacje awaryjne. Później uzupełniałbym paliwo gdzieś w rejonie gór Sierra Madre. Manuel oznajmił, że jego rodzina pochodzi ze stanu Durango i że bardzo dobrze zna tamte okolice.

– Mój ojciec i siostra mieszkają w pobliżu Sombrerete. Jest tam duży płaskowyż i wiele miejsc, gdzie można tankować. Firmy przemysłu drzewnego używają wielkich maszyn i ciężarówek przy wyrębie lasów, tworząc rozległe przesieki. Z pewnością znajdziemy tam odpowiednie miejsca. Mogę ich poszukać, a ty zajmij się pozostałymi sprawami.

– Znajdź je i bierzmy się do roboty.

Nadeszła wreszcie pora, by się rozstać. Wszystko ustaliliśmy. Miałem wrócić po dwóch lub trzech tygodniach, aby odbyć próbny lot. Gdy uściskaliśmy się na pożegnanie, Manuel spytał:

– Wrócisz, przyjacielu?

– Nie martw się, Manuelu... Ja zawsze wracam.



Znów wsiadłem do kampera i ruszyłem w długą drogę powrotną do Stanów. Wykorzystałem ją, by uporządkować i udoskonalić pomysły. Nocowałem w Veracruz, a potem w Aguascalientes. W końcu dotarłem do stanu Durango, w okolicy Sombrerete.

Masyw Sierra Madre jest przedłużeniem Gór Skalistych, które ciągną się z północy na południe i po drugiej stronie granicy zmieniają nazwę. Dzieli Meksyk na pół, przebiegając niemal przez całe jego terytorium. Dzięki temu, jeśli opuścimy południowe równiny i wykorzystamy jako osłonę górski łańcuch, można, trzymając się na małej wysokości, przelecieć w poprzek cały kraj i nie zostać wykrytym. Góry w stanie Durango porośnięte są wielkimi połaciami sosnowych i dębowych lasów. W niektórych strefach występują one nawet na wysokości ponad trzech tysięcy metrów. Znalezienie odpowiednich miejsc do tankowania nie stanowi większego problemu. Trudność polega na zlokalizowaniu ich w nocy, podczas burzy albo w niesprzyjających warunkach atmosferycznych. W przeciwieństwie do dróg, które znaleźliśmy na nizinach półwyspu Jukatan i które były łatwe do odnalezienia, lądowanie w górach Sierra Madre stanowiłoby nie lada wyczyn i graniczyło z szaleństwem.

Okolice były przepiękne. Zatrzymywałem się w wielu miejscach, żeby zrobić zdjęcia skał o dziwnych kształtach. W przyszłości miały mi posłużyć

jako punkty orientacyjne do nawigacji. Poruszałem się bocznymi drogami, aby dotrzeć do wiosek i miasteczek, które utrzymują się w większości z rolnictwa, górnictwa i pracy w przemyśle drzewnym. Manuel wskazał mi dobry kierunek. Napotkałem wiele miejsc, które spełniały podstawowe warunki: były trudno dostępne drogą lądową, miały odpowiednie nachylenie i wystarczającą szerokość do lądowania oraz odpowiednią długość do startu. Zaznaczając je na mapie, starałem się zapamiętać szczegóły ukształtowania terenu, które w przyszłości miały mi ułatwić ich zlokalizowanie.

Spośród wszystkich miejsc, które odwiedziłem, żadne nie zafascynowało mnie tak jak Zona del Silencio*, położona w tak zwanym Vértice de Trino**, na styku granic stanów Coahuila, Durango i Chihuahua. Wrażenie pustki i odosobnienia jest na tej meksykańskiej pustyni tak przemożne, że nawet ptaki nie odważają się tam latać. Występuje za to w tym rejonie potężna energia elektromagnetyczna, przyciągająca ciała niebieskie.

* Zona del Silencio (hiszp.) – Strefa Ciszy.

** Vértice de Trino (hiszp.) – Martwy Trójkąt.

Nocowałem tam na dachu kampera, przykrywszy się kocami. To było niezwykle doświadczenie. Widok gwiazd przypomniawszy mi noc, gdy chciałem odebrać sobie życie. Przekonałem się, jak silne pola magnetyczne działają w tym dziwnym miejscu, bo igła kompasu obracała się w kółko i nie działało żadne radio. Panowała absolutna cisza.

Było to idealne miejsce na uzupełnianie paliwa. Nikt nie lubił tamtędy jeździć, samoloty unikały przelatywania nad tym obszarem. Obserwując z powietrza dziesiątki kilometrów dróg, mogłem potwierdzić, że nie ma tam pojazdów. Ta okolica nadawała się doskonale.

Tydzień później przekroczyłem granicę Stanów Zjednoczonych w Nogales. Przejechałem przez Tucson i Phoenix do celu podróży: Las Vegas. Zamierzałem w przyszłości wodować na jeziorze Mead, pół godziny drogi od miasta. Robiło to wiele hydroplanów, nie zwracając niczyjej uwagi. Aby nie rzucać się w oczy, powinienem wynająć dom nad brzegiem jeziora. Sporo z nich miało niewielkie moło i były przystosowane do przyjmowania hydroplanów. To miał być kres mojej podróży. Był tylko jeden problem: według

moich obliczeń, przylatywałbym nocą.

Ponad pięć tysięcy kilometrów, trzy odcinki trasy. Wylatywałbym z Riohachy w Kolumbii i przed dotarciem tutaj miałbym między lądowania na Jukatanie i w Durango. To był pomysł szaleńca. Pozostawało tylko zdecydować, jakim mam latać samolotem...

21.

Siedząc przy stoliku obok wielkich okien w kafejce dla pilotów i personelu pokładowego na lotnisku w Los Angeles, mogłem obserwować ruch samolotów. W oczekiwaniu na przybycie Curtisa, z którym miałem lecieć do Santa Paola, przyglądałem się, jak za boeingiem 727 linii lotniczych Northwest schodzi do lądowania mała jednosilnikowa awionetka. Kontrastowała wyraźnie wielkością z powietrznym gigantem, ale moją uwagę zwróciło to, jak wolno leciała. Wydawała się zawieszona w powietrzu nad numerami pasa startowego. Wylądowała na odcinku zaledwie kilku metrów i zjechała z płyty na pierwszy boczny pas, jaki napotkała, od razu się zatrzymując.

Przywykły do lądowania na bardzo krótkich dystansach, po treningu u Miguela, uważałem w swojej próżności, że jestem dobrze wyszkolony. Byłem pewny, że w moim wieku mam już kwalifikacje, by lądować w każdym miejscu i w dowolny sposób. Jednak to, co zobaczyłem, mnie zadziwiło.

Dokładnie w tym momencie zjawił się Curtis. Usiadł i zamówił u kelnerki kawę. Nie tracąc czasu, powiedziałem mu o tym, co zaobserwowałem, i pokazałem awionetkę. Przypominała nieco cessnę, ale różniła się od niej wydłużonymi klapami. Curtis spojrział i powiedział:

– Nie widziałeś takiej maszyny? To helio, oryginalny model. Zapewne courier albo super courier. Z pewnością pilotowi się oberwie, że tak wolno lądował.

Poprosiłem, żeby wyjaśnił, co ma na myśli. Nie rozumiałem, dlaczego kontrolerowi lotów miałyby przeszkadzać zbyt wolne lądowanie. Curtis wytłumaczył mi to cierpliwie, jak dobry profesor:

– Nie ma formalnego obowiązku, ale na każdym dużym lotnisku, takim jak to, pilot powinien lądować z prędkością większą niż czterdzieści mil na godzinę. Inaczej radar może go nie wychwycić.

– Dlaczego?

– Z dwóch prostych powodów, o których się nie mówi. Po pierwsze, kiedy wynaleziono radar, nikt nie rozważał możliwości, że samolot może latać z prędkością poniżej czterdziestu mil na godzinę. Uważano, że to niezgodne z zasadami aerodynamiki i dlatego radary są przystosowane do wykrywania obiektów latających poruszających się szybciej. – Upiwszy łyk kawy, kontynuował: – Po drugie, chociaż dziś istnieją już samoloty zdolne latać i lądować wolniej, większość radarów, szczególnie tych wykrywających nadlatujące maszyny, nadal jest ustawiona na prędkości powyżej czterdziestu mil na godzinę. W przeciwnym razie mogłyby się pojawiać na ich ekranach wszystkie pojazdy transportowe poruszające się w pobliżu pasów startowych. Jest ich dużo i w przypadku sytuacji awaryjnej kontroler lotów nie mógłby odróżnić na ekranie samolotu od pojazdów służby naziemnej.

– Latałem cessnami z bardzo małą prędkością w stanie Amazonas, ale nigdy nie widziałem takiego modelu ani tym bardziej takiego lądowania.

– Chociaż na oko wydają się podobne, awionetka Helio będzie cię kosztowała dwa razy tyle, co cessna z tego samego rocznika i z tą samą liczbą przelatanych godzin. Nie daj się zwieść pozorom: są bardzo trwałe i dość drogie.

– Aż tak?

– Istnieją różne wersje maszyn zaprojektowanych do startu i lądowania na krótkich dystansach, ale helio wciąż jest najlepsza. Lecz ty nieczęsto będziesz ją widywał – stwierdził z uśmiechem. – Będziesz pilotował odrzutowce na wysokości trzydziestu tysięcy stóp...

Wracając do Santa Paola, rozmyślałem o moim nowym odkryciu. Awionetka Helio była dla mnie idealną maszyną. Wszystko wskazywało na to, że

znalazłem ostatni brakujący element mojego planu. Byłem w euforii. Curtis to zauważył.

- Jesteś dziś w doskonałym humorze.
- Owszem. Uwielbiam latanie. Jest pełne niespodzianek...



W ciągu następnych dni zbierałem informacje na temat awionetki Helio i kontaktowałem się z pilotami, którzy nią latali. Odkryłem, że uwielbiają ją ci, którzy lubią przygody. Produkowano tych maszyn sporo i korzystano z nich w różnych krajach. Zostały zaprojektowane do wykonywania trudnych zadań, w samym sercu dżungli. Helio była niezawodna. Dzięki dużym skrzydłom i aerodynamicznej budowie nie traciła stateczności ani nie wpadała w korkociąg. Miała szeroko rozstawione koła i solidną, bardzo odporną konstrukcję rurkowego kadłuba, ale najcenniejsze było to, że mogła lądować pod pełną kontrolą z prędkością trzydziestu pięciu mil na godzinę. Tak zredukowana prędkość maszyny sprawiała, że nie groziło jej uszkodzenie nawet przy bardzo twardym lądowaniu. Ta awionetka pasowała dokładnie do mojego planu. Była prosta i ryzykowna w eksploatacji, ale może dlatego mi się spodobała. Łączyła pomysłowość z wielką dozą brawury. Moje obliczenia wskazywały, że się nada. Należało tylko ją wypróbować.

Udałem się wprost do Las Vegas, które stawało się powoli moją bazą operacyjną. Sprawdziłem parę rzeczy i zadzwoniłem do don Jaime.

- Chyba znalazłem rozwiązanie problemu.
- Nie mów mi, nie chcę nic wiedzieć – przerwał mi. – Nikogo nie powinienes wtajemniczać. Czego potrzebujesz?
- Około stu tysięcy dolarów.
- W porządku. Na kiedy? – spytał, o nic więcej nie pytając.
- Jak najszybciej.
- Gdzie jesteś?
- Dotarłem do Las Vegas. Jeśli nie zrobi to panu różnicy, wolałbym zaczekać tutaj.

– Wydam polecenie, żeby dostarczono ci pieniądze. Będę tam za kilka dni. Do zobaczenia i uważaj na siebie.

Don Jaime nie ufał połączeniom telefonicznym. Zawsze, gdy mógł wybierać, wolał kontakt radiowy na zmiennych częstotliwościach.



Zadzwońłem do niego, ponieważ dowiedziałem się z ogłoszenia, że ktoś z Tucson sprzedaje awionetkę Helio 295, mającą mniej niż dziewięćset wylatanych godzin i zaopatrzoną w dodatkowe zbiorniki paliwa, które wydłużały czas przelotu bez tankowania o ponad osiem godzin.

Jej właścicielem był emerytowany pilot linii Pan American. Umówiłem się z nim przez telefon, by zobaczyć maszynę i odbyć próbny lot. Powiedziałem, że przylecę rejsowym samolotem z Las Vegas. Zaproponował, że będzie na mnie czekał na lotnisku i przedstawił się jako pan Wilson.

– Tak będzie lepiej – powiedział. – Helio jest na lotnisku, więc zaoszczędzimy czas. Będę w niebieskiej kurtce, żebyś mógł mnie rozpoznać.

Dotarłszy na miejsce, czekałem na pana Wilsona, ale nikt nie podchodził. Kiedy prawie wszyscy pasażerowie się rozeszli, zobaczyłem opalonego siwego mężczyznę w podeszłym wieku. Pasował do mojego wyobrażenia człowieka, z którym się umówiłem. Miał na sobie niebieską kurtkę, więc spytałem:

– Przepraszam, czy pan Wilson?

Był zdziwiony, ale uśmiechnął się szeroko i przywitawszy się ze mną, powiedział przepraszająco:

– Wybacz, spodziewałem się kogoś starszego.

– Proszę się nie przejmować. Ciągle mi się to przydarza. Przykro mi, że stracił pan czas.

– Nie martw się, to bez znaczenia. Ale, szczerze mówiąc, chciałbym, z czystej ciekawości, zadać ci trzy pytania: po pierwsze, ile masz lat? Po drugie, czy starczy ci pieniędzy, żeby kupić tak drogi samolot? I po trzecie, choć może zabrzmie to głupio... czy umiesz pilotować?

Jego pytania były całkiem naturalne, a słowem towarzyszył uśmiech lekkiego niedowierzania. Odparłem równie żartobliwie:

– Dobrze, panie Wilson, odpowiem na pańskie pytania. Mam dziewiętnaście lat i wystarczająco dużo pieniędzy, a jeśli chodzi o umiejętność pilotowania, powiem panu, że... przeczytałem kiedyś książkę...

Rozbawiłem go, ale nie rozwiązałem do końca jego wątpliwości. Mimo wszystko zaproponował, żebym obejrzał samolot.

Gdy szliśmy przez terminal do strefy lotnictwa cywilnego, opowiadał o swojej maszynie, która, jak twierdził, jest jego „rozpieszczanym dzieckiem”.

Kiedy dotarliśmy do awionetki, zrozumiałem, co miał na myśli. Pan Wilson był jednym z tych pilotów, którzy żyją dla swojego samolotu. Samolot lśnił. Był pomalowany na beżowo i granatowo, a w środku na niebiesko. Gdy weszliśmy do kabiny, zauważyłem, że cała konsola została wymieniona. Większość urządzeń komunikacji i nawigacji była najlepszych marek. Uzasadniało to wysoką cenę maszyny. Starłem się ukryć zadowolenie, by wynegocjować zniżkę. Udzieliwszy mi paru wyjaśnień na temat zmian w wyposażeniu, pan Wilson spytał:

– Przelecimy się?

– Tak. Chciałbym zobaczyć ją w powietrzu.

Skontaktował się z wieżą kontrolną i poprosił o zezwolenie na próbny lot. Zapalił silnik. Satysfakcja na jego twarzy i staranność ruchów wskazywały, że uwielbia latać. Domyślałem się, że trudno mu będzie się rozstać z ulubioną zabawką.

Wieża dała nam zielone światło i w ciągu kilku minut wznieśliśmy się w górę z dużą prędkością. Silnik pracował bez zarzutu.

Na pułapie tysiąc pięćset pan Wilson zapytał:

– Chcesz popilotować?

– Tak, dziękuję. – Widząc jego zatroskaną minę, powiedziałem: – Proszę się nie obawiać, przeczytałem więcej niż jedną książkę...

Przejąłem stery helio i wykonałem kilka manewrów. Sprawdziłem działanie przyrządów i przekonałem się, że samolot jest w doskonałym stanie.

– Doskonale się spisuje. Pozwoli pan, że wrócę nim na lotnisko?

– Proszę bardzo.

Stosując się do poleceń, które przekazywał nam przez słuchawki kontroler z wieży, zredukowałem moc silnika i zniżyłem lot.

– Wylądujemy prawie na numerach pasa startowego.

Zauważyłem, że jest zdenerwowany. Najwyraźniej nie przywykł, by ktoś siedział za sterami jego awionetki, a tym bardziej ktoś tak młody. Zachował jednak milczenie. Lekki wiatr od czoła pomógł mi posadzić maszynę i zatrzymać ją po kilku metrach. Parę sekund po wylądowaniu zjechaliśmy na najbliższy boczny pas. Było w tym manewrze trochę młodzieńczej arogancji, zwłaszcza że miałem do dyspozycji ponad dwa i pół tysiąca metrów pasa.

Pan Wilson był pod wrażeniem. Przeprósł mnie za to, że miał wątpliwości.

– Nie wiem, gdzie cię nauczyli tak lądować, ale zapewniam, że to najkrótsze lądowanie, jakie widziałem w życiu. Mam nadzieję, że nie czujesz się urażony.

Jego szczerłość mnie ujęła, więc odparłem:

– A ja przepraszam za tę arogancką demonstrację.

– Mogę spytać, gdzie nauczyłeś się tak latać?

– W najlepszym aeroklubie świata w Caracas w Wenezueli i na lotniskach w dżungli w stanie Amazonas. A czy teraz ja mogę zadać panu pytanie?

– Pytaj, o co chcesz.

– Zgodzi się pan na sześćdziesiąt tysięcy? Zostawiłbym teraz pięć tysięcy zaliczki, a resztę zapłacę po podpisaniu umowy.

Zastanawiał się przez parę sekund, po czym uściśnął mi dłoń.

– Teraz wiem, że oddaję maszynę w dobre ręce. Umowa stoi.



Niemal z żalem kazałem wymienić wygodne fotele na nieco mniej luksusowe. Przystosowanie samolotu do długodystansowych lotów nie jest łatwym zadaniem. Trzeba pozbyć się wszystkiego, co zbędne. Udało mi się uzyskać miejsce na zapas paliwa i ładunek.

Wyposażyłem samolot w dodatkowe zbiorniki, pomocniczy zestaw do

nawigacji, dwa nadajniki radiowe, automatycznego pilota i precyzyjny radar z wysokościomierzem. Poprosiłem również specjalistyczną firmę o wymianę tradycyjnego podwozia na pływaki. W krótkim czasie samolot był przerobiony, homologowany i gotowy do przeglądu. Na koniec, rzekomo dla profesjonalnych potrzeb, zainstalowałem sprzęt do fotografii lotniczej. Inspektorzy, którzy dokonywali przeglądu, nie uznali przeróbek za coś niezwykłego, choć jeden z nich stwierdził:

– Wyposażenie tego samolotu ma większą wartość niż on sam. Co zamierzasz fotografować?

– Wszystko, od nieruchomości dla kartografów po migracje kaczek dla „National Geographic”. – Powiedziałem to żartem, ale usłyszałem zdumiony, jak inspektor mówi do swego towarzysza: – Wiedziałem, że może pracować dla „National Geographic”.

Sprawdziło się to, co już dawno zauważyłem: w naszych ocenach kierujemy się pozorami. Wystarczył sprzęt fotograficzny, by wywnioskować, kim jestem.



Szukałem odpowiedniego domu w okolicach jeziora Mead. Podczas przelotu naliczyłem cztery hydroplany unoszące się na wodzie obok małych prywatnych pomostów. Były to trzy maszyny typu Lake L4 i jedna cessna. Znalazłem drewniany dom, trochę stary i w niezbyt dobrym stanie, ale dla mnie idealny. Stał za wzniesieniem i nie był widoczny z szosy. W pobliżu biegła dość szeroka boczna droga, z której mogłem skorzystać w awaryjnej sytuacji. Spisałem dane z ogłoszenia na bramie i odwiedziłem agenta z biura nieruchomości. Spytał mnie bez skrępowania, czy wolę kontrakt oficjalny, czy prywatny. Odparłem, że wystarczy mi prywatny, jeśli dostanę zniżkę. Szybko się dogadaliśmy. Wynająłem dom, płacąc gotówką, co zadowoliło agenta. Byłem pewny, że właściciel nieruchomości nigdy nie dowie się o tym kontrakcie. Odpowiadało mi to. Nie pozostawiałem śladów swojej obecności. Kiedy awionetka była już gotowa, zapisałem się do klubu Lake Flyers, do którego należeli właściciele hydroplanów i instruktorzy. Poznałem

tam doświadczonego weterana, który nauczył mnie różnych technik i sztuczek lądowania na jeziorze bez zbędnego ryzyka. Wielokrotnie razem wodowaliśmy, często nocą.

Mały piper, który tak dobrze mi służył, nadal stał na lotnisku w Las Vegas. Poleciałem nim do Kalifornii, aby zobaczyć się z Curtisem i zabrać trochę rzeczy. Nikt nie powinien wiedzieć, że jestem właścicielem helio.



Kontaktowałem się z Manuelem dwa razy w tygodniu. Wymienialiśmy informacje, ustalaliśmy procedury i szczegóły operacji. Opowiedziałem mu o swojej wyprawie do Durango w celu obejrzenia „pejzaży”. Wskazałem, które powinien zobaczyć. Oznajmił, że poprosił o dwutygodniowy urlop, aby zająć się wyłącznie zadaniami, które miał do wykonania, i że zdobył duplikaty kluczy do większości bram wjazdowych na drogach Pemexu w interesującej nas strefie. Paliwo zamierzał dostarczać helikopterem, ale na wszelki wypadek chciał mieć też możliwość dotarcia na miejsce drogą lądową. Dzięki duplikatom kluczy nie musieliśmy niszczyć zamków i zostawiać śladów naszej wizyty. Zawiadomiłem Manuela, że przygotowuję próbny lot i zamierzam odwiedzić zbiorniki wodne w Angosturze i Álvaro Obregón. Wybraliśmy z góry zaporę Lázaro Cárdenas, w pobliżu Durango i Zona del Silencio, jako ewentualne miejsce tankowania, ale chciałem obejrzeć z powietrza wszystkie te akweny i sfotografować je moim drogim sprzętem. Zakamarki zbiorników retencyjnych nadawały się idealnie do ukrywania kanistrów z paliwem. Łatwo jest wodować na spokojnej tafli jeziora i szybko uzupełnić paliwo. Byłoby to zawsze najlepsze miejsce, ale tylko w ciągu dnia. Nocą jeziora i zbiorniki wodne są pogrążone w mroku i nic nie widać.

Na koniec skontaktowałem się przez radio z don Jaime i niczego mu nie wyjaśniając, oznajmiłem, że w przyszłym tygodniu go odwiedzę. Wszystko było gotowe.



Mój plan lotu uwzględniał możliwość przedostania się na obszar Stanów Zjednoczonych przez jedną ze stref zmilitaryzowanych w pobliżu granicy z

Meksykiem. Liczyłem, że kontrolerom radarów nie przyjdzie do głowy, iż jakkolwiek pilot może być na tyle zuchwały, by przelatywać im niemal przed nosem nad zakazanym terytorium.

Byłem świadomy, że to tylko przypuszczenia, które nie mają wartości bez weryfikacji w praktyce. Uznałem, że dla potwierdzenia mojej teorii muszę naruszyć przestrzeń powietrzną w strefie operacji wojskowych i przelecieć nad obszarem zmilitaryzowanym.

Jak na ironię, pomysł ten podsunął mi sztubacki wyczyn pewnego młodego pilota sił powietrznych, gdy któregoś dnia jechałem drogą na południu Arizony. Przeleciał nad moim małym fordem myśliwcem F-14 tak nisko, że samochód zatrzęsł się od turbulencji. Sądziłem, że wyląduje tuż przede mną. Parę kilometrów dalej, gdy zatrzymałem się, by zatankować, wspomniałem o tym incydencie właścicielowi stacji, a ten, machnąwszy z irytacją ręką, wyjaśnił:

– To dzieciaki z bazy lotniczej w Turtle. Mają swój poligon, ale lubią latać poza jego granice i ćwiczyć na samochodach jadących drogą. Traktują je jak ruchome cele. Może mi pan wierzyć, że pańskie auto było na celowniku tego F-czternaście i pilot wyobrażał sobie na pewno, że je zniszczył.

– Mam wrażenie, że nie bardzo ich pan lubi.

– Nienawidzę ich. Latają na tak małej wysokości, że powodują drżenie szyb i straszą klientów. Kilkakrotnie składałem na nich skargi, ale nikt się tym nie przejmuje. Mówią, że stacja jest na granicy strefy ćwiczeń, ale moim zdaniem to brak odpowiedzialności pozwalać tym młodym pilotować samoloty bojowe, jakby to były zabawki. Powinni okazywać więcej szacunku, zamiast bawić się w kotka i myszkę. Tak właśnie uważam. – Potem rzucił okiem na mój samochód, przyjrzał mi się uważniej i spytał: – Czym się zajmujesz, synu?

Wahałem się przez chwilę. Kusilo mnie, by powiedzieć, że też latam, by zobaczyć jego minę, ale powstrzymałem się i odparłem:

– Jestem fotografem.

Teraz, gdy przeanalizowałem wszystkie etapy mojego planu, musiałem już tylko przelecieć nad zakazaną strefą. Przygotowałem piper cuba, instalując w nim niesprawny wskaźnik kierunku lotu. Gdyby moja próba się nie

powiodła, próbowałbym zrzucić winę na awarię aparatury. Zadbawszy o wszystko, w czwartek po południu poleciałem do San Diego, aby skorzystać z lotniska Gillespie. Stamtąd następnego dnia miałem wystartować.

Po zatankowaniu paliwa i sprawdzeniu maszyny wynająłem samochód i pojechałem przenocować w mieście. W piątek o świcie wyruszyłem drogą numer 67 w kierunku lotniska, które w 1942 roku służyło jako baza spadochroniarzy piechoty morskiej. Nadano mu imię bohaterskiego komandosa.

Dotarwszy do celu, zostawiłem samochód na parkingu, oddałem kluczyki na stanowisku firmy Budget i poszedłem do kafejki. Pijąc kawę, powtarzałem w myślach plan lotu.

O świcie niebo było zachmurzone i mgliste. Poprosiłem o prognozę pogody na lot do Las Vegas. Poinformowano mnie, że nad Gillespie są rozproszone cumulusy, a widoczność wynosi piętnaście mil.

Siedząc już w piper cubie, wykonałem rutynowe czynności i nastawiłem radio na częstotliwość wieży, sto dwadzieścia i siedem. Poprosiłem o zezwolenie na lot VFR do Las Vegas i śledzenie trasy mojego przelotu. W ciągu kilku minut dostałem zgodę na start.

Wyleciałem o jedenastej pięć i wzniósłem się na wysokość dziewięciu i pół tysiąca stóp. Przy lekkim wietrze leciałem nad pobliskimi górami. Widziałem przed sobą pustynię. Patrząc na północ, mogłem dostrzec we mgle Palm Springs, a po lewej brzegi nikańcego w delikatnej mgielce Jeziora Słonego. Pięćset stóp nade mną niebo było zachmurzone. Przypomniałem sobie, jak latałem nad tą pustynią przy widoczności na co najmniej dwadzieścia mil. Gdy minąłem zbocze góry Termal, obejrzałem się przez ramię i spostrzegłem, że jezioro zniknęło. Celowo zniżyłem lot do dziewięciu tysięcy dwustu stóp. Byłem pewny, że kontroler to odnotował i uzna, iż jestem nowicjuszem, który zalicza godziny lotu nad pustynią. Zakładałem, że jeśli zatrzymają mnie w zakazanej strefie, sprawdzą z pewnością przebieg lotu i dowiedzą się od kontrolera, iż już od początku zacząłem tracić wysokość i lecieć zygzakiem, jak to robią zwykle początkujący piloci.

Gdy znalazłem się nad pustynią Mojave, przez dwadzieścia minut w radiu panowała dziwna cisza. Zanim dotarłem do Twenty Nine Palms, moje

rozmyślania przerwał głos kontrolera. Usłyszałem, że ostrzega o mojej obecności lecący w pobliżu inny samolot:

– Cessna, cztery-osiem-cztery Lima, tu centrum w Los Angeles, masz na czternastej piper cuba, trzy mile na północ, na wysokości dziewięciu tysięcy dwustu stóp.

Piper cub... To ja. Nadszedł właściwy moment, by wcielić w życie mój plan.

– Centrum w Los Angeles, tu piper zero-pięć Tango. Proszę o zezwolenie zejścia na siedem i pół tysiąca stóp.

– Zero-Pięć-Tango, zezwalam. Schodź według uznania.

Nadeszła długo oczekiwana chwila. Znajdowałem się w odpowiednim miejscu, by wypróbować moją teorię. Miałem świadomość, że jeśli się mylę, mogę stracić licencję, wolność, a nawet życie. Jednak pchając drążek w dół, by zniżyć lot, czułem wielki skok adrenaliny. Strzałka wskaźnika kierunku lotu pokazywała teraz dwadzieścia pięć stopni i zacząłem lecieć zygzakiem nad pustynią.

Wiedziałem, że przy tej wysokości kontroler automatycznie przestanie mi pomagać, i natychmiast usłyszałem przez radio jego głos:

– Zero-Pięć Tango, nie widzę cię na pułapie siedmiu i pół tysiąca stóp. Obsługa radarowa zakończona. Koniec śledzenia trasy przelotu. Kod VFR-tysiąc dwieście. Miłego dnia.

– Potwierdzam, Los Angeles, dziękuję za pomoc – odpowiedziałem, wyrównując lot. Teraz sam kontrolowałem maszynę i za wszystko, co robiłem od tej chwili, ponosiłem pełną odpowiedzialność. Spojrzałem na konsolę, sprawdziłem kurs, wysokość i prędkość. Odczyty kompasu i wskaźnika kierunku były zgodne, wszystko szło zgodnie z planem i leciałem już bardzo nisko. Odszukałem mapę pokazującą dokładnie zakazany rejon R-2501-E. Była to strefa Bazy Piechoty Morskiej z Twenty Nine Palms, położona w pobliżu Bouillon Mountain. Z mapy i wskazań przyrządów wynikało, że wlecę za chwilę w korytarz „Bristol”, między obszarem operacji wojskowych „Turtle” i terenem działań komandosów. Kilka minut przed granicą

tego terytorium zniżyłem lot do pułapu stu stóp, a potem, ustawivszy odpowiednio klapy, zacząłem lecieć mniej niż sześćdziesiąt stóp nad pustynią. Na tej wysokości wleciałem w zakazaną strefę R-2501-E.

Po mojej lewej stronie ciągnął się łańcuch gór. Byłem pewny, że przechwyci mnie jakiś myśliwiec albo wojskowy helikopter, gdy zostaną dostrzeżony na ekranie radaru.

Ale nic się nie wydarzyło. Leciałem już ponad czterdzieści minut w zakazanej strefie i nikt nie wyruszył mi na spotkanie. W miarę upływu czasu nabierałem coraz większej pewności siebie. Zacząłem poruszać się zygżakiem jak pijak, a potem wykonałem skręt o dziewięćdziesiąt stopni i poleciałem w kierunku Las Vegas. Gdy minęło ponad dwadzieścia minut, na horyzoncie pojawiły się zarysy gór, od których wzięła nazwę rzeka: Colorado.

W ciągu następnych dni powtarzałem wypadki do tej i innych stref zmilitaryzowanych. Byłem zaskoczony, że ich przestrzeń powietrzna jest tak słabo strzeżona, i potwierdziło się to, co zakładałem: że zachowując niski pułap i nie zbliżając się do baz, mogę bezkarnie przelatywać nad tymi obszarami.

Nadszedł czas, by zapoznać don Jaime z moimi planami. Skorzystałem z wizyty podczas świąt Bożego Narodzenia, by pomówić z nim na ten temat.

– Mam gotowy plan, jak dostarczać towar do Las Vegas, omijając Honduras.

– Słucham cię – odrzekł, gdy spacerowaliśmy po ogrodach jego posiadłości w Medellín.

Don Jaime zawsze miał zwyczaj milknąć nagle w trakcie rozmowy. Początkowo mnie to denerwowało, ale w końcu przywykłem. Wysłuchał cierpliwie, jaką wymyśliłem strategię, by utworzyć nowy szlak przerzutu towaru do Stanów Zjednoczonych. Przez kilka minut się nie odzywał. Wyjął z kieszeni fajkę, napełnił ją tytoniem i zapalił. Po raz pierwszy widziałem, jak pali fajkę.

- Skąd pan ją ma?
- Dostałem przed laty od Fidela Castro.
- Nie wiedziałem, że był pan na Kubie.

Spojrzał na mnie z szelmowskim uśmiechem, puścił oko i odparł:

- Nie powiedziałem, że byłem na Kubie, tylko że dał mi ją Fidel.
- Rozumiem.

Potem otoczył mnie ramieniem i powiedział:

– To dobry plan, ale ryzykowny. Wymaga wielu godzin lotu. Wolałbym, żebyś nie latał sam. Tylko ty wiesz, czy można go zrealizować. Jeśli jesteś pewny, że uda się ominąć Honduras, zrób to. Trzeba się postarać, by nie uzupełniać paliwa w tym kraju, to ważne.

– Proszę wybaczyć, don Jaime, ale ma pan obsesję na punkcie Hondurasu. Wiele razy mówił pan o nim z niechęcią.

– Nie da się ukryć. Mógłbym opowiadać ci godzinami historię tego kraju. Mieszkałem tam przez trzy lata. Zainwestowałem w fabryki mebli i nadal prowadzę tam interesy, ale pokonały mnie korupcja i przemoc. Straciłem przyjaciela i miałem dość przyglądania się, jak znikają ludzie. Postanowiłem wyjechać. Utrzymuję z nimi kontakty, odwiedzam ich i mamy dobre relacje, ale wolę nie wchodzić im w drogę.

- Będę omijał Honduras, obiecuję. Mam pańską zgodę?
- Oczywiście.

22.

Późnym czerwcowym popołudniem, niecałe sto kilometrów od Riohacha, na północy Kolumbii, awionetka Helio Super Courier, zamieniona w wielki zbiornik paliwa, stała załadowana i gotowa do startu.

Całego obwodu nielegalnego lotniska strzegli uzbrojeni Indianie Guajiros Arawak. Don Jaime siedział ze mną w landroverze i udzielał mi ostatnich rad, gdy czekaliśmy, aż się ściemni i wiatr się uspokoi. W odległości kilku metrów stał drugi identyczny landrover. Do jego zderzaków i metalowych prętów przymocowano reflektory o dużej mocy i zasięgu. Miały oświetlić pas startowy.

Wokół nas był tylko piasek, kaktusy i toczone przez wiatr kłęby wyschniętych krzaków. Indianie mieli kamienne twarze, czujni na najmniejszy ruch. Don Jaime zawołał jednego z nich:

– Taguayo, podejdź tu!

Zanim się do nas zbliżył, dowiedziałem się, że jego córeczkę ukąsił wąż. Indianin pozdrowił don Jaime z szacunkiem, a ten spytał:

– Jak się czuje twoja córka, Taguayo? Lepiej?

– Tak, proszę pana. Biega po całym domu.

– Teraz będziesz pamiętał, żeby od czasu do czasu polować na węże.

– To był pechowy przypadek, don Jaime. Nie ma ich tu zbyt dużo. – Spojrzał na jałową pustynię i się zamyślił. – Jest tak sucho, że nic tutaj nie rośnie, nawet węże.

– Cóż, Taguayo, myślę, że z czasem, jeśli będziesz dla nas pracował i

nie wydasz tego, co zarobisz, na hulanki i dziwki, zaoszczędzisz, żeby kupić dom w innym miejscu.

– Don Jaime – odparł Indianin z udawaną urazą – pan wie, że nie odszedłbym stąd, choćbym miał wszystkie pieniądze świata. Moi przodkowie byli Indianami Guajiro: myśliwymi, zbieraczami, rybakami, rzemieślnikami i handlarzami solą, od gór Macuira do Bocas de San Juan. Nasze życie się zmieniło. Teraz została nam tylko ta ziemia. Ale to nasza ziemia. Całe szczęście, że zjawili się Niemcy – dodał z szelmowskim uśmiechem.

– Niemcy? – spytałem z ciekawioną.

– Tak, proszę pana. Miasteczko Riohacha założył pewien Niemiec, a inny dokonał syntezy koki. Dzięki nim tu jesteśmy. Wie pan, że dostał za to Nagrodę Nobla?

Don Jaime wybuchnął śmiechem, po czym wyjaśnił:

– Taguayo uważa, że skoro temu Niemcowi dali Nobla za syntezę kokainy, handlowanie nią to nic złego.



Zapadał zmierzch. Niebo przesłaniały szare cumulusy na średnich wysokościach. Wsiedliśmy do helio, by dostroić radio do częstotliwości fal lotniska Santa Marta i wysłuchać komunikatu meteo w oczekiwaniu na odpowiedni moment do startu. Don Jaime, zamyślony, położył ręce na sterach. Był spięty. Pogoda się nie poprawiała. Próbowałem go uspokoić.

– Proszę się nie martwić, don Jaime, lada chwila się przejaśni.

– Synu, zapomnij o samolocie i ładunku. Martwię się o twoje bezpieczeństwo. Nie podoba mi się ta pogoda. Nie chcę, żebyś czuł się w obowiązku lecieć. Możemy poczekać do jutra. To zbyt długi lot, żebyś startował w takich warunkach.

Chcąc rozwiać jego obawy, odparłem:

– Chmury są wysoko i szybko się przesuwają. Myślę, że w ciągu paru godzin będą wystarczająco daleko.

– Mimo wszystko uważam, że zbyt długo będziesz w powietrzu, nie mając nikogo do pomocy.

– Nie tak długo, jak się wydaje. Kilka lat temu pilot Max Conrad przeleciał awionetką Piper Comanche bez międzylądowania z Nowego Jorku na

Sycylię, pokonując dystans czterech tysięcy czterystu mil w trzydzieści dwie godziny i pięćdziesiąt trzy minuty. Od tamtej pory zajmuje się dostarczaniem samolotów do Europy. Wykonał już ponad dwadzieścia zleceń. Moje przeloty będą krótsze.

Don Jaime omówił ze mną szczegóły lotu. Nalegał, żebym tylko w razie potrzeby lądował w Hondurasie. Wręczył mi pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce na opłacenie wszelkich „podatków” na wypadek, gdybym był zmuszony lądować na innym lotnisku.

Jego niepokój był uzasadniony: don Jaime po raz pierwszy nie uczestniczył bezpośrednio w opracowaniu planu lotu i nie znał wszystkich szczegółów. Jego udział ograniczał się do przygotowania listy towarów i czekania na telefon ode mnie, potwierdzający, że dotarłem do Stanów. Nikt nie znał mojej trasy, miejsc uzupełniania paliwa ani czasu przelotu.

– Rozumiem twoją ostrożność i pochwalam ją, ale martwię się, bo jeśli coś ci się stanie, nie będziemy wiedzieli, gdzie cię szukać.

– Mój drogi don Jaime, proszę się o to nie martwić. Jeśli coś mi się stanie, nie trzeba będzie mnie szukać. Zostanę z rybami w głębinach Morza Karaibskiego.

22.10

Służba meteorologiczna lotniska poinformowała wreszcie o przejaśnieniach i nie czekając ani minuty dłużej – uściskawszy don Jaime, który życzył mi powodzenia – wystartowałem. Helio, nie sprawiając mi zawodu, wzbiła się łagodnie w powietrze o wiele szybciej, niż przewidywałem. Po kilku minutach leciałem nad Morzem Karaibskim, pozostawiając za sobą wybrzeża Kolumbii.

Przedemną rozpościerał się Ocean Atlantycki – milion dziewięćset tysięcy kilometrów kwadratowych wody. Miałem przebyć ponad tysiąc sześćset kilometrów i dotrzeć do półwyspu Jukatan. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, Manuel będzie tam czekał z paliwem. Przelot miał trwać około dziesięciu godzin, może dłużej, zależnie od pogody. Wzniosłem się na osiem tysięcy stóp, wyrównałem lot, zredukowałem obroty silnika i ustawiłem poziom zużycia paliwa zalecany przy prędkości stu trzydziestu węzłów. Bez międzylądowania czekała mnie długa podróż.

Awionetka Helio Super Courier, którą nazywałem w myślach KJ1 (Księżniczka Jazmín), leciała spokojnie w ciemnościach. Otaczała mnie wieczność. Ogluszający hałas silnika zmienił się wkrótce w niezauważalny szum. Kiedy się z nim oswoiłem, miałem wrażenie, że lecę w absolutnej ciszy. Uwielbiam taką ciszę. Zachęca do przyjemnych rozmyślań.

22.40

Po półgodzinnym locie zniknęły wszystkie światła, jakby pochłonęła je morska głębina. Od czasu do czasu dostrzegałem w dole jakiś statek, który płynął, nieświadomy mojej obecności. Leciałem bez świateł nawigacyjnych. Widziałem innych, ale oni nie widzieli mnie, choć mogli słyszeć warkot silnika. Wystarczyło mi nikłe oświetlenie konsoli. Spodziewałem się, że gdy wylecę ze strefy chmur, zobaczę gwiazdy.

00.20

Byłem w powietrzu od ponad dwóch godzin i uznałem, że mogę już rozwinąć dwudziestometrową antenę dalekiego zasięgu. Umożliwiła mi słuchanie komunikatów z odległych miejsc i porozumiewanie się. Znajdowałem się na wschód od archipelagu San Andrés y Providencia, który, choć jest terytorium kolumbijskim, leży w pobliżu wybrzeży Nikaragui. Zamierzałem przelecieć między Cayo Roncador i Cayo Serrana, a potem skrócić lekko na wschód, omijając radary w Panamie i Kostaryce, a także radar dalekiego zasięgu w Puerto Cabezas w Nikaragui. Taka podróż była dłuższa, ale bezpieczniejsza. Do tego punktu doprowadził mnie splot okoliczności, ale była to moja decyzja. Czujęm lekki zawrót głowy i wewnętrzny spokój. Wszystko wydawało się takie odległe. Byłem zawieszony na krawędzi otchłani możliwości... Pragnąłem być sam. To była samotność z wyboru.

02.30

Według moich obliczeń przebyłem połowę trasy. Znajdowałem się na zachód od przylądka Gracia de Dios. Zbliżyłem się na mniej niż dwieście kilometrów do wybrzeży Ameryki Środkowej. O dziwo, strzałka skanera radia zatrzymała się na częstotliwości sto dziewiętnaście i dziesięć. Usłyszałem w słuchawkach głos nocnego kontrolera lotów. Wieża wymieniała informacje z jednym z pilotów. Byłem zdziwiony, że choć nie zbliżyłem się do Wybrzeża

Moskitów w Nikaragui, radar dalekiego zasięgu w Hondurasie już mnie wykrył i podawano moją pozycję i kierunek lotu.

– Kogut Trzy, tu Kogut Jeden – odezwał się kontroler – mam niezidentyfikowany samolot, kierunek trzy-jeden-zero. – Następnie określił jego współrzędne.

Wcisnąłem opcję pamięci w radiu, aby wszystkie aktywne częstotliwości zostały odnotowane i zidentyfikowane. Zdałem sobie sprawę, na podstawie współrzędnych, które podawał kontroler, że najprawdopodobniej chodzi o mnie. Nie zastanawiając się długo, wcieliłem w życie bardzo prosty plan ucieczki: zmieniam kierunek, biorę kurs na Jamajkę, i czekam, czy kontroler poinformuje o tej zmianie. Potem opadnę szybko na bardzo małą wysokość i licząc, że połknęli haczyk, wrócę na pierwotny kurs. Zarówno zmiana kierunku, jak i lot na niskim pułapie oznaczały większe zużycie paliwa i wydłużenie czasu podróży. Ale tym się nie przejmowałem. Wylczyłem precyzyjnie, ile potrzebuję paliwa, i miałem go wystarczająco dużo, aby pozostawać w powietrzu przez ponad dwadzieścia godzin.

02.50

Strzałka skanera znów się zatrzymała. Tym razem na częstotliwości Puerto Cabezas w Nikaragui.

Święty Boże! Wszyscy się nagle obudzili. Następowало jedno połączenie za drugim. Działo się coś niezwykłego. Niemożliwe, by powodem tego zamieszania była moja obecność.

Zaciekawiony nastawiłem radio na częstotliwość sto dwadzieścia jeden i pięć megaherców, zarezerwowaną dla nagłych wypadków, i usłyszałem sygnał radiopławy. Zdałem sobie sprawę, że to nie mnie szukają, tylko samolotu, który musiał lądować awaryjnie gdzieś w pobliżu. Z pewnością zdołał utrzymać się jakiś czas na wodzie, a przy uderzeniu włączyła się jego radiopława, co spowodowało wszczęcie akcji ratunkowej. Byłem bardzo blisko strefy poszukiwań, więc postanowiłem nieco się oddalić.

03.40

Pięć i pół godziny lotu. Przyrządy zaczęły wykrywać obecność silnych zakłóceń magnetycznych. Wskazywało to wyraźnie, że zbliżam się do strefy

potężnej burzy. Nastawiłem częstotliwość fal na prognozę pogody. W paśmie międzynarodowym usłyszałem głos kontrolera, który próbował się ze mną skontaktować.

– Samolot na kursie zero-dwa-pięć, jeśli mnie pan słyszy, proszę się odezwać.

Ponieważ milczałem, kontroler, zdobywając się na szlachetny gest, oznajmił:

– Jeśli mnie pan słyszy, informuję, że leci pan wprost w burzę trzeciego stopnia, która przesuwana się w kierunku dwa-siedem-zero z prędkością dwudziestu pięciu węzłów i przybiera na sile. Proponuję przestawić radio na częstotliwość sto dwadzieścia trzy i dziewięć i posłuchać komunikatu meteo. Radzę uważnie się rozglądać. W pobliżu miejsca, gdzie się pan ostatnio znajdował, wodował awaryjnie samolot.

Chciałem mu odpowiedzieć i podziękować. Najwyraźniej wyczuł, że zamierzam przelecieć niepostrzeżenie, a mimo wszystko próbował ostrzec mnie przed zagrożeniem.

Leciałem na bardzo małej wysokości, słuchając wymiany komunikatów na temat maszyny, która spadła do morza, i drugiego samolotu, kierującego się na Jamajkę, czyli prawdopodobnie mojego, niewidocznego na ekranie radaru.

04.20

Błyski zapowiadanej przez kontrolera burzy były coraz bliżej. Zacząłem się niepokoić. Ekran detektora burz pokazywał obszar intensywnej aktywności elektromagnetycznej. Nie miało to sensu. Doszedłem do wniosku, że są tylko dwa możliwe wyjaśnienia: zboczyłem z kursu albo burza zmieniła kierunek. Lekkie turbulencje stanowiły ostrzeżenie, że wiatr wieje mocniej i z innej strony. Skupiłem się na wykorzystaniu jego bocznych uderzeń, żeby skorygować kurs maszyny. Starłem się oddalić od centrum burzy.

Sprawdziłem na mapie, jakie są najbliższe lotniska, choć znałem ich listę na pamięć. Trujillo, Punta Patuca, San Pedro Sula, La Ceiba – wszystkie w Hondurasie. Przypomniałem sobie przestrogi don Jaime.

04.30

Skaner wychwycił informację, że samolot, który spadł do morza, został odnaleziony i jego załoga trafiła bezpiecznie na pokład kutra patrolowego marynarki nikaraguańskiej.

Kontroler, który przestrzegał mnie przed burzą, znów próbował się ze mną skontaktować, nie ustając w szlachetnych wysiłkach, by przyjść mi z pomocą.

– Wzywam niezidentyfikowany samolot. Jeśli ma pan problemy z tą częstotliwością, proszę spróbować połączyć się na dwieście czterdzieści trzy megaherce. Jeśli potrzebuje pan pomocy, proszę przejść na sto dwadzieścia jeden i pięć. – Zaskoczył mnie, oznajmiając: – Wiem, że pan tam jest...

Zachowywał się jak pokerzysta, który próbuje przejrzeć karty przeciwnika. Mógł się tylko domyślać mojej obecności, bo nie byłem widoczny na ekranie jego radaru. Dobrze zagrywał, więc postanowiłem mu odpowiedzieć.

– Dzięki za troskę. – Tą anonimową ripostą dałem mu jasno do zrozumienia, że nie mam zamiaru podawać danych mojej maszyny, jej pozycji ani kursu. Na Karaibach lata nad międzynarodowymi wodami wiele samolotów. Dopóki przestrzegałem dozwolonych pułapów lotu, unikałem zakazanych stref i nie naruszałem przestrzeni powietrznej żadnego kraju, nie miałem obowiązku nikomu się meldować. Kontroler był tego świadomy i odparł:

– Cieszę się, że wszystko w porządku. Od tej chwili przydzielam panu kryptonim Delta, żebyśmy mogli utrzymywać kontakt.

– Dziękuję. Skoro już nadał mi pan imię, mogę zapytać, jak brzmi pańskie?

– Może pan mówić do mnie Izer. A teraz, Delta, pozwolę sobie poinformować, że burza znajduje się na obszarze o współrzędnych dziewiętnaście stopni szerokości północnej i osiemdziesiąt jeden i czterdzieści długości zachodniej. W tym momencie jest między punktami NALRO i MATIS. Przemieszcza się na południowy wschód wzdłuż Rowu Kajmańskiego. Przejdzie na południe od Wysp Łabędzich, choć istnieje możliwość, że zmieni kierunek w punkcie SEKTN, w pobliżu ławicy Misteriosa. Przybrała na sile, ma u podstawy ponad osiemdziesiąt mil, przy wietrze przekraczającym pięćdziesiąt mil na godzinę. Sięga na wysokość dwudziestu dwóch

tysięcy stóp. Gdyby znalazł się pan w rejonie podanych współrzędnych, proponuję natychmiastową zmianę kursu i znalezienie alternatywnego lotniska.

– Izer, może mi pan powiedzieć, jaka jest wysokość podstawy burzy?

– Radar wskazuje pułap trzystu stóp. – Po chwili, jakby czytając w moich myślach, ostrzegł: – Ale nawet, gdyby był dzień i widziałbyś, gdzie kończą się chmury, nie zdołałbyś pod nimi przemknąć. Nikomu nie udało się dotąd przelecieć pod nawałnicą o tej sile i przeżyć.

– Nie będę próbował, Izer. Słyszę, że już mówisz mi na ty. Chyba zawieramy coraz bliższą znajomość.

– Nie podniecaj się, Delta. To poufalość, z jaką traktuje się chorego, który ma umrzeć. Powiedz mi, co wskazuje twój detektor burz?

– Dobra zagrywka, Izer. Jeśli ci to powiem, będziesz mógł ustalić moją pozycję. Dzięki.

– To prawda, jesteś niewidoczny na ekranie radaru, ale... namierzyłem cię w mojej głowie. Mam nadzieję, że poszukasz jakiegoś lotniska. Nie zdołasz przelecieć nad cieśniną, wiatr przybiera na sile, a okrążenie jej z którejkolwiek strony jest niemożliwe. Proponuję, żebyś wylądował, gdzie się da, wypił parę piw i zaczekał na poprawę pogody.

– Dzięki za dobre rady, Izer. Powiedz, skąd się wziął twój przydomek?

– To nie przydomek. Tu wszyscy tak na mnie mówią. To skrót od słowa *localizer*, wykrywacz. Stanowię niedościgły wzór dla kontrolerów radarowych w Salwadorze. Jestem tak dobry, że potrafię zlokalizować nawet samoloty pilotowane przez kosmitów takich jak ty, które nie pojawiają się na ekranie, bo lecą na bardzo małej wysokości, żeby uniknąć wykrycia przez radar.

– Powiedziałaś: w Salwadorze? Tamtejsze radary nie mają takiego zasięgu i działają na innej częstotliwości.

– Uczestniczę w programie współpracy sił powietrznych Salwadoru i Hondurasu. Tylko przez parę dni.

– A dlaczego wybrałaś dla mnie kryptonim Delta? – zainteresowałem się.

– Chyba nie chcesz tego wiedzieć.

- Daj spokój! Możesz mi powiedzieć, nie obrażę się.
 - Wybrałem Deltę jako synonim katastrofy.
 - Sądzisz, że tak ze mną kiepsko? Nie przesadzasz trochę?
 - Przesadzam? Wybacz, Delta, to nie ja latam po nocy tuż nad powierzchnią morza, mając przez sobą tropikalną burzę.
 - Myślisz, że posłużę za pokarm rybom?
 - Powiedzmy, że jeśli od razu nie wylądujesz, nasza znajomość będzie bardzo krótka. Tak niskie poziomy ciśnienia notowano tylko, gdy rodził się huragan „Camila”.
 - O której kończysz dyżur?
 - O ósmej rano. Mam zmiany dwa razy po dwie godziny, ale gdy dzieje się coś poważnego, tak jak teraz, zostaję. Dlaczego pytasz? Chcesz zaprosić mnie na kawę?
 - Dziś nie, ale może któregoś dnia...
 - Mam nadzieję, że tak będzie, że wszystko dobrze się skończy. Nie pocieszaj się, że minął już sezon huraganów. Ta burza ma nie mniejszą od nich siłę.
 - W ciągu najbliższych minut będę bardzo zajęty. Dzięki za wszystko, Izer.
 - Będę cię informował o zmianach na tej częstotliwości.
- Izer miał rację. Sezon zamknął się saldem ośmiu burz tropikalnych. Huragan „Camila” był najbardziej niszczycielski.
- Zamilkłem, bo nie było czasu na banalne pogaduszki. Wiatr bardzo utrudniał pilotowanie awionetki.

05.05

Siedem godzin lotu. Izer potwierdził, że burza jest na południe od Kajmanów i zmierza w kierunku Wysp Łabędzich.

Będąc tak blisko niej, stwierdziłem, że zamiast lęku odczuwam podniecenie. Kiedy leci się samolotem na wysokości ponad pięciu tysięcy stóp, istnieje kilkunastominutowy margines bezpieczeństwa i w razie awarii ma się czas na podjęcie decyzji. Im wyższy pułap, tym więcej możliwości skorygowania lotu. Natomiast latanie kilka metrów nad powierzchnią morza jest bardzo niebezpieczne. Utrzymywanie się przez wiele godzin nad falami to

straszna głupota, wymaga ogromnej koncentracji, żelaznych nerwów i gotowości na to, by drugim pilotem była śmierć. Gdy leci się nad morzem na wysokości poniżej dziesięciu metrów i samolot zawiedzie, w ciągu kilku sekund uderza się w wodę. Wszystko dzieje się tak szybko, że wystarcza tylko czasu, by umrzeć.

Burza była coraz bliżej i nadeszła pora, by zapomnieć o radarach i szybko zwiększyć wysokość. Helio 295 mogła się wznieść maksymalnie na dwadzieścia tysięcy pięćset stóp. Pomyślałem, że wystarczy piętnaście tysięcy, bym mógł stawić czoło burzy bez konieczności używania tlenu. Osiągnąłem tę wysokość w ciągu trzynastu sekund. Ciemne chmury, rozświetlane z coraz większą częstotliwością przez błyskawice, nie napawały optymizmem.

Muszę dolecieć, mówiłem sobie. Jeśli mi się nie uda, Manuelowi przez kilka godzin będzie doskwierać moja nieobecność, potem wróci rozgoryczony do domu albo do baru w poszukiwaniu tequili, następnego dnia zwymiotuje wspomnienia o mnie w brudnej toalecie i będzie żył dalej, jakby nic się nie stało.



Przez kilka minut helio utrzymywała niemal idealnie poziomy lot, popychana z boku przez lekki wiatr. Była jak łyżwiarz ślizgający się po lodzie. Przypomniałem sobie popularne określenie: „cisza przez burzą”. I potwierdziło się... Nagle poczułem się jak bokser, który przez dłuższy czas unikał ciosów przeciwnika, ale teraz widzi jego pięść i ma świadomość, że już nie zdąży się uchylić.

Burza szarpała awionetką tak, że nie widziałem dokładnie wskaźników. Wyładowania atmosferyczne następowały jedno po drugim i zniekształcały odczyty aparatury nawigacyjnej. Wskutek gwałtownego podmuchu wiatru w epicentrum kilka sekund później zacząłem się szybko wznosić. Pozwoliłem, by samolot przez chwilę piał się w górę, przygotowując go na to, co miało nastąpić: gwałtowną utratę wysokości. Poddałem się jej. Nie redukowałem prędkości opadania na wypadek, gdybym musiał kontrolować lot, kiedy wysokościomierz wskaże dwanaście tysięcy stóp. Wykorzystałem osiągniętą prędkość, aby unieść dziób samolotu, gdy pilotowałem go ręcznie, i próbowałem wyrównać lot. Instynktownie pochylałem głowę. Deszcz padał tak

intensywnie, że zagłuszał odgłos silnika. Czytałem, że piorun może stopić ruchome części samolotu, dlatego sprawdzałem na bieżąco działanie przyrządów. Zwiększyłem nieco obroty, by wzrosła temperatura silnika, bo w każdej chwili mogłem potrzebować dodatkowej mocy. Kiedy skończy się burza, będzie przegrzany, ale miałem nadzieję, że wytrzyma.

Znów pochwyił mnie wstępujący prąd powietrza i tym razem skierowałem dziób maszyny ku dołowi, by nie wznieść się za wysoko. W efekcie znalazłem się pięćset stóp powyżej planowanego pułapu lotu. Czulem się jak na górskiej kolejce. Gwałtowne turbulencje były coraz rzadsze. Utrzymałem samolot na wysokości trzynastu tysięcy stóp. Nadeszła pora, żeby złapać oddech i sprawdzić stopień oblodzenia maszyny, by uniknąć niespodzianek.

Wystarczył rzut oka na wskaźnik zewnętrznej temperatury, by się przekonać, że lecę w strefie zamarzania. Zdrapałem szron z wewnętrznej powierzchni szyby i zobaczyłem, że przednia krawędź jednego ze skrzydeł jest oblodzona. To wyjaśniało nierówny lot maszyny i ciągłe wibracje kadłuba.

Mrok nocy i strugi deszczu sprawiały, że widoczność była zerowa. Pioruny uderzały bez przerwy. Zwiększyłem natężenie światła w kabinie, by nie oślepiła mnie błyskawica, jednak po kilku minutach je przyciemniłem. Chciałem wypatrzeć jakieś punkty orientacyjne, ale na próżno. Burza była bardzo gwałtowna. Wykonałem czynności przewidziane na wypadek nawałnicy: obniżyć fotel, włączyć światła, nastawić automatycznego pilota na odpowiednią wysokość i kurs.

Odpowiedziałem Izerowi, który od pewnego czasu próbował się ze mną skontaktować. Teraz już widział mnie na ekranie. Sądziłem, że chce, abym słuchał komunikatów radiolatarni albo prosił o pomoc, ale on chciał tylko wiedzieć, czy utrzymuję się na wysokości trzynastu tysięcy stóp. Jego głos zanikał. Odpowiedziałem, że nie wyostałem się jeszcze z rejonu burzy i że samolot leci tam, dokąd niesie go wiatr.

Jakieś sześć minut później burza zaczęła tracić impet. Skorzystałem z okazji, by zebrać mapy i inne dokumenty, które leżały na podłodze. Włożyłem je wszystkie do toreb nawigacyjnych. Wiatr powoli się uspokajał, błyskawice coraz rzadziej przecinały niebo, a lód na skrzydłach topniał.

Helio udowodniła, że zasługuje na swoją reputację. Teraz musiałem odlecieć jak najszybciej na północny wschód.

06.11

Byłem szczęśliwy, gdy dostrzegłem wysepki Banco Chinchorro, zwiastujące bliskość wybrzeży Meksyku. Nie mam pojęcia, jak zdołałem przeżyć.

06.40

Bez trudu odnalazłem drogę w zamkniętej strefie półwyspu, gdzie czekał na mnie Manuel. Zobaczyłem go z daleka obok helikoptera Pemexu, na środku szosy biegnącej przez pustkowie. Powitał mnie wylewnie. Kiedy wylądowałem, obszedł wokół samolot, nie kryjąc zdumienia. Nie wierzył własnym oczom. Ja także. Burza zebrała swoje żniwo: rozbite światła pozycyjne, połamane łopatki wentylatora chłodnicy, zniszczony filtr powietrza, farba ze skrzydeł zniknęła.

Uściskawszy mnie mocno, uradowany Manuel oznajmił:

– Nie zapomnij mi powiedzieć, kto jest twoim aniołem stróżem. Doskonale się spisał.



Podczas gdy Manuel pomagał mi zatankować paliwo, nastawiłem radio na częstotliwość Izera. Przekazałem mu wiadomość, że Delta dotarł szczęśliwie do celu. Dopiero po latach miałem okazję poznać go osobiście...



Mimo kiepskiego wyglądu, helio mogła kontynuować lot. Po uzupełnieniu paliwa i naprawieniu łopatek wentylatora chłodnicy wyruszyłem w drogę. Manuel próbował mnie przekonać, żebym zaczekał, aż dostarczy nowy filtr powietrza.

– Nie podoba mi się to – mówił. – Za bardzo ryzykujesz. Nie wiesz, co zostało uszkodzone. Pamiętaj, że masz przed sobą góry Sierra Madre. Jeśli coś zepsuje się w powietrzu, rozwalisz się jak pijaczyna.

– Przestań! Bądź optymistą! Filtr powietrza jeszcze działa i myślę, że najlepiej jest lecieć dalej. Życz mi powodzenia.

Będziemy w kontakcie przez radio.

– Cholera! Jesteś stuknięty. Więc leć, ale uważaj na siebie. Nie chciałbym szukać twoich kości w górach. I pamiętaj : trzymaj się z daleka od Zona del Silencio, spróbuj okrążyć ją od południa. Przygotowałem ci śniadanie, masz je na fotelu. Tortille dodają animuszu. Niech Bóg będzie z tobą.

– Nie martw się. Ja zawsze wracam...

Ta zuchwała formułka stała się moją mantrą. Byłem świadomy, że to może głupie słowa, ale dawały mi poczucie bezpieczeństwa.

08.20

Przy doskonałej pogodzie wystartowałem w kierunku Durango. Po burzy nastąpiła cisza i delectowałem się lotem pod bezchmurnym niebem. Przeciąłem półwysep Jukatan w kierunku na północny zachód i znalazłem się nad Zatoką Meksykańską, na wysokości Campeche, niemal w prostej linii z Tampico, przelatując nad Cayos Arcas i pobliskimi platformami wiertniczymi.

Przez kilka godzin leciałem nad morzem, a potem znów nad terytorium Meksyku. Minąłem masyw Sierra Madre Oriental na wysokości Ciudad Mante. Niebo było czyste i mogłem podziwiać krajobrazy.

Przygotowaliśmy z Manuelem dwa miejsca na tankowanie paliwa. Mnie udało się znaleźć jeszcze dwa, o których on nie wiedział. Jedno znajdowało się na mało uczęszczanej drodze w strefie wyrębu drzew i miało siedem stopni nachylenia. Było idealne do moich celów. Nikt by się nie domyślił, że można tam lądować. Kiedy je wybrałem, przypomniałem sobie, jak Mako mówił w Nowej Gwinei o „przyjemności docierania tam, gdzie inni nie mogą”. Drugim miejscem, do którego właśnie zmierzałem, była Zona del Silencio, choć Manuel przestrzegał mnie, bym się nawet tam nie zbliżał.

15.35

Wylądowałem w wyznaczonym wcześniej punkcie. Zauważyłem, że jest dziwnie zimno. Potrzebowałem trochę czasu, żeby podejść na skraj drogi i odnaleźć kanistry, które tam ukryłem. Musiałem je przywlec, umieścić pod skrzydłami samolotu i podłączyć pompę elektryczną, by przetoczyć paliwo do zbiorników. Potem trzeba było je schować i zatrzeć wszelkie ślady.

Dzięki wiatrowi, który niósł od gór powiew chłodnego i czystego powietrza, odzyskałem energię. Uzupełniając paliwo, skorzystałem z okazji, by opróżnić pęcherz. W tym pustynnym krajobrazie przypomniały mi się słowa pewnego Indianina z wioski Las Lilas, któremu wyznałem, że uwielbiam ciszę takich miejsc. Powiedział: „Czas się tutaj zatrzymał i chcemy, by tak zostało na zawsze”.

Otoczony tą nienaturalną ciszą rozmyślałem o wszystkim, co opowiadano mi o tym miejscu. Musiałem przyznać, że działo się tam coś, co umykało prawom fizyki. Kilka miesięcy później potwierdzono istnienie w tym rejonie dziwnych zjawisk, gdy rakieta Athena V123D amerykańskich sił powietrznych, wystrzelona ze stacji orbitalnej Green River, która powinna spaść na poligonie w White Sands w Nowym Meksyku, zboczyła kilkaset kilometrów z kursu i z nieznanых powodów wylądowała w Zona del Silencio. Mimo wysiłków Amerykanów radary nie potrafiły jej wykryć. Nawet poszukiwania z powietrza okazały się bezowocne. Kiedy raketę w końcu zlokalizowano, poprowadzono linię kolejową z Carrillo, by ją przetransportować. Wywieziono także wiele ton piasku pod pretekstem, że został skażony. Towarzyrzyły temu zastrzone środki bezpieczeństwa, co tylko dodało całej sprawie tajemniczości.



Wystartowałem na północny wschód i poleciałem nad jeziorem Santiaguillo w kierunku zapory Lázaro Cárdenas, klucząc między górami Sierra Madre. Krajobraz był niezwykle: na zachodzie ukształtowanie terenu szybko się zmieniało, i w miarę jak zbliżałem się do błękitnego morza, zanikała intensywna zieleń. Z drugiej strony rozciągała się pustynia.

Dwieście kilometrów przed granicą nastawiłem częstotliwość Tucson. Ta część lotu dłużyła mi się w nieskończoność z powodu dziwnego hałasu w dolnej części kadłuba. O zmierzchu dotarłem do zapory Angostura, na południe od granicy. Spędziłem noc na wodzie, daleko od tamy. Nie mogłem ryzykować dalszego lotu, nie wiedząc, co się dzieje. Na szczęście był to drobiazg: do podwozia przyczepiła się gałąź. W ciągu kilku minut zasnąłem i spałem bardzo głęboko.

06.20

Kiedy się obudziłem? wschodziło słońce. Po niespełna godzinie przekroczyłem granicę Stanów Zjednoczonych w miejscu, które wybrałem, w strefie zmilitaryzowanej R-2303 w Arizonie, powyżej Coronado National Memorial Park. Skierowałem się na północny zachód, lecąc nad Stanowym Parkiem Historii Indian w Tubac oraz rezerwatami Tohono O'odham, Pápagos i Gila.

Kilka godzin później, korzystając z pomocy radiolatarni w Las Vegas na częstotliwości sto szesnaście i dziewięć, dostrzegłem jezioro Mead. Wodowałem na jego spokojnej tafli wyczerpany, ale szczęśliwy.

11.00

Moja radość była nieopisana. Udowodniłem, że można przelecieć z Kolumbii do Kalifornii, nie ponosząc kosztów i nie dając się wykryć. Cieszyłem się z góry na chwilę, gdy przekażę tę wiadomość don Jaime i Manuelowi, musiałem jednak zaczekać jeszcze kilka godzin.

Po wyładowaniu w domu bagażu i dokładnym wyczyszczeniu samolotu poleciałem na lotnisko na północy Las Vegas. Byłem zmęczony, choć lot trwał tylko dziesięć minut. Helio nie mogła jednak zostać na jeziorze, narażona na niedyskretne spojrzenia. Zamierzałem przy okazji oddać ją do przeglądu. W drodze na lotnisko, pozbywszy się obciążenia, rozkoszowałem się normalnym lotem na zalecanej wysokości i z pomocą wieży kontrolnej. Pas startowy w Las Vegas wydał mi się dłuższy i szerszy niż kiedykolwiek.

Podpisałem zlecenie naprawy i przeglądu helio i poprosiłem o wezwanie taksówki. Po kilku minutach byłem na bulwarze w Las Vegas przed budką telefoniczną, otoczony kasynami i ludźmi z całego świata. Zadzwoniłem najpierw do Manuela, powiedziałem mu, że wszystko w porządku, i zaprosiłem go, by wpadł do mnie na parę dni. Potem zatelefonowałem do don Jaime, który musiał się już niepokoić.

– Jak się masz, synu?

– Bardzo dobrze. Jestem w Las Vegas. Zaraz po przylocie wygrałem pięćdziesiąt dolarów na automacie w kasynie.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę. Korzystaj z życia, synu, i baw się dobrze. Zasłużyłeś na to.

- A jak pan się czuje?
- Lepiej, ale jutro rano idę do lekarza. Powodzenia. Dzięki za telefon i gratuluję szczęścia. Nie wydaj wszystkich pieniędzy.
- Proszę się nie obawiać, te pięćdziesiąt dolarów zachowam na pamiątkę. Niech pan o siebie dba.

Dawałem mu w ten sposób do zrozumienia, że towar jest w bezpiecznym miejscu, a on mnie informował, że przyleci do mnie pierwszym samolotem.

Wszystkie przygotowania, strategia don Jaime i pomoc z jego strony wydały owoce. Minęło dużo czasu, odkąd wysłał mnie na kurs do Kalifornii. Trzeba było wielu godzin szkolenia i bezwzględного zaufania, aby sprostać temu zadaniu. Udało nam się. Na początku lat siedemdziesiątych kilogram kokainy sprzedawano w hurcie za trzydzieści pięć tysięcy dolarów. My sprowadziliśmy pięćdziesiąt kilogramów, co oznaczało ponad półtora miliona dolarów.

W ciągu czterdziestu ośmiu godzin don Jaime przybył do Las Vegas w towarzystwie trzech osób. Oficjalnie byli to dwaj zawodnicy drużyny futbolowej i trener. Zaczynała się druga część gry...

23.

– Już nie obstawiamy, proszę państwa! Nie obstawiamy!

Uprzejmy, ale stanowczy głos krupiera, wypowiadającego tę klasyczną formułę, przeniósł mnie w przeszłość. Do czasów, gdy moim domem było kino, w którym odpoczywałem, zaspokajałem głód popcornem i nasycalem wyobraźnię gangsterskimi filmami z udziałem Humphreya Bogarta i Jamesa Cagneya. Może mówił to któryś z nich. Może obaj.

Ten fikcyjny świat był już tylko wspomnieniem. Teraz wszystko działo się naprawdę. Otoczony ludźmi z całego globu, siedziałem w hotelu Caesars Palace przy zielonym stole z ruletką.

Żadne miasto świata nie gromadzi na tak małej przestrzeni tylu sławnych osób i tylu przybyszów z różnych stron, którym przyświeca jeden cel: pograć się w morzu światła, spróbować szczęścia i się zabawić. Las Vegas, miasto, gdzie wszystko jest dozwolone. Dla nikogo nie ma znaczenia kolor skóry turysty ani język, którym mówi. Liczy się tylko suma pieniędzy, które jest gotowy zostawić w kasynie.

Mimo wszystkich wad tego miasta przyznaję, że od razu się w nim zakochałem. Można by rzec, że była to miłość od pierwszego wejrzenia. Dlatego wybrałem je na bazę operacyjną. Stanowiło idealne miejsce, by nie rzucać się w oczy. Gdziekolwiek indziej człowiek dźwigający we wtorek dwie walizki niewątpliwie zwracałby uwagę. W Las Vegas mogłem usiąść z nimi

przed wejściem do komisariatu i nikt by się mną nie zainteresował. Byłem jak niewidzialny, a w tym miałem doświadczenie.

Czułem się bardzo pewnie. Nikt nie wiedział o istnieniu domu nad jeziorem Mead i miejscu ukrycia towaru. Nawet don Jaime. Nie chciał tego wiedzieć. „Tak jest bezpieczniej”, stwierdził.

Don Jaimemu towarzyszyli trzej mężczyźni: Gabino, Jairo i Carlos. Dwaj ostatni nie mieli jeszcze dwudziestu pięciu lat. Byli bardzo do siebie podobni, mogli uchodzić za studentów na wakacjach. Potem dowiedziałem się, że są braćmi. Trzeci mężczyzna, Gabino – biały, krzepkiej budowy, o miłej twarzy i manierach – emanował spokojem, ale zauważyłem, że jest najbardziej niebezpieczny.

Don Jaime objaśnił szczegółowo plan przekazania towaru i zakres przydzielonych każdemu zadań.

– Dokonamy wymiany walizek. Oni wręczą nam najpierw kwit na walizkę z pieniędzmi, która jest w przechowalni hotelu. My, po odebraniu jej i sprawdzeniu, czy suma się zgadza, prześlemy im kwit na walizki z towarem. Gdy wy otrzymacie pieniądze, ja będę w jednym z hotelowych barów jako gwarant naszej uczciwości.

– Kto z panem zostanie? – spytałem.

– Carlos będzie w pobliżu baru, żeby w razie potrzeby przyjść mi z pomocą. Gabino ma odebrać pieniądze, a Jairo będzie na niego czekał w samochodzie przed wejściem. Potem, po mniej więcej dwóch kilometrach, przetrzucią pieniądze do twojego auta i zabezpieczą twoją ucieczkę. Muszą się upewnić, czy nikt za tobą nie jedzie.

– A broń?

– Broń już tu jest. Dotarła dziś rano z Nowego Orleanu. Jestem prawie pewny, że nie będzie potrzebna. W tym momencie liczy się dane słowo. Ale ponieważ to pierwsza transakcja, byłoby lekkomyślnością zaniedbać środki bezpieczeństwa.

– Można zaufać tym ludziom?

– W tym biznesie obowiązuje zasada, o której nie wolno zapominać: nie ufaj nikomu! Wszystko jest uzgodnione i nie sądzę, żeby chcieli zarząnąć

kurę, która znosi złote jajka, ale nigdy nie wiadomo. Jeszcze jakieś pytania? Nie? No to do roboty. Carlos weźmie broń, a panowie zajmiecie się samochodami i sprawdzeniem trasy. Ja tymczasem przejdę się po kasynie.



Jeśli istnieje idealne miejsce, by pozostać niezauważonym w tłumie ludzi, to jest nim hotel Caesars Palace w Las Vegas. Dlatego postanowiliśmy właśnie tam dokonać wymiany kwitów. Z tysiącami pokoi i apartamentów rozmieszczonych w pięciu wieżach, kasynami, restauracjami, sklepami i galeriami, gdzie nie ma znaczenia, czy jest dzień, czy noc, słońce czy chmury, przypomina żyjące własnym życiem miasto w mieście.

Zaprojektowany w stylu rzymskiego neoklasycyzmu, z ogromnymi łukami, filarami i fontannami, jest odpowiednim miejscem nie tylko do uprawiania hazardu, ale także do robienia interesów.

Zamieszkaliśmy w dwóch sąsiednich hotelach, Mirage i Bellagio.

Następnego dnia, dziesięć minut przed jedenastą, byliśmy w pełni przygotowani na swoich stanowiskach. Don Jaime czekał na przybycie wysłannika, Jairo, Carlos i Gabino zajęli strategiczne pozycje. Wrzucali monety do automatów, czujnie obserwując, co dzieje się przy stoliku don Jaime. Ja udawałem, że popijam kawę przy barze. Na dany sygnał miałem wyjść i wsiąść do samochodu.

Zaczynałem nowy etap życia. Przygotowywałem się do udziału w spotkaniu zorganizowanym przez ludzi, którzy zarządzali „grą”. Siedząc z berretą 9 i dwoma magazynkami pod koszulą, zrozumiałem nagle, że jestem uzależniony od adrenaliny, najgorszego z narkotyków.

Inaczej wyobrażałem sobie tę scenę. Mroczne miejsce, kilku elegancko ubranych małowównych mężczyzn o podejrzanym wyglądzie i ponurych spojrzeniach. Ale tak nie było. Do don Jaime podeszła pulchna śniada dziewczyna, pozdrowiła go i wręczyła mu z uśmiechem kwit z recepcji Caesars Palace. Na dany znak Gabino odebrał od niego kwit i poszedł po walizkę. Jairo i ja wyszliśmy z kasyna na parking, każdy po swój samochód. Gabino wsiadł z walizką do auta i wyjechał z parkingu, a my tuż za nim. Nikt go nie śledził.

Kluczyliśmy przez dwadzieścia minut, po czym zatrzymaliśmy się na parkingu kasyna Stardust i przerzuciliśmy walizkę do bagażnika mojego samochodu. Przełożyłem jej zawartość do innej walizki i odjechałem szybko w kierunku domu nad jeziorem Mead. Gabino i Jairo pilnowali, by nikt mnie nie śledził. W połowie drogi stanąłem, zadzwoniłem do Caesars Palace i połączywszy się z barem, poprosiłem barmana, by zapytał na głos, czy jest na sali pan Reedy. Słyszałem, jak to robi. Powiedział, że nikogo takiego nie ma. Podziękowałem mu. W ten sposób zawiadomiłem don Jaime, że wszystko gra i że może oddać kwit na dwie walizki z towarem.

Ja miałem zostać z pieniędzmi i odczekawszy godzinę, zadzwonić do pokoju don Jaime. Będąc już w domu nad jeziorem, wysypałem zawartość walizki na łóżko. Nigdy nie widziałem tyłu banknotów naraz. Ten obraz wrył mi się w pamięć na zawsze.



Plan został zrealizowany zgodnie z przewidywaniami. Towar doskonałej jakości zwrócił uwagę nabywców i chcieli nawiązać z nami bliższy kontakt. Jeszcze tego samego popołudnia zaprosili don Jaime na prywatne spotkanie, by uczcić udaną transakcję w jednym z apartamentów Caesars Palace. Zanim tam poszliśmy, poinstruował mnie:

– Będziesz mi towarzyszył jako siostrzeniec. Cokolwiek będzie się działo, nie mów, że jesteś pilotem. Ponieważ masz twarz dziecka, nie domyślą się tego i będziesz mógł wszystko obserwować. Pamiętaj, że znamy nową trasę przerzutową, której nie znają oni i która musi pozostać tajemnicą. Na pewno zadają sobie pytanie, jak towar dotarł tu z pominięciem zwyczajowych miejsc lądowań. Stąd ich zainteresowanie i zaproszenie na przyjęcie. To nasza karta atutowa. Kontrolujmy sytuację i zachowajmy naszą kartę do czasu, aż zdecydujemy, jak nią zagrać.

Don Jaime traktowano z wszelkimi honorami. Tego wieczoru do apartamentu zaprowadził nas dyrektor hotelu do spraw kontaktów z klientami z Ameryki Łacińskiej. Towarzyszył nam do wind „Torre Romana”. Z uśmiechem zrobił wymówkę don Jaime:

– To niewybaczalne, że nie zatrzymał się pan u nas. Wie pan, że zawsze

jest tu do pana dyspozycji apartament.

– Dzięki, Armando. Nie martw się, dokonałem już rezerwacji na termin następnej walki Cassiusa Claya.

– Zanotuję to. Będziemy do pańskich usług.

Apartament był imponujący, zachwycał elegancją.

Antonio Vazquez, Alberto Sicilia Falcón i José Egozi Bejar przywitali nas uśmiechami i poklepywaniem po plecach.

– Przedstawiam panom Remy'ego, mojego siostrzeńca – powiedział don Jaime.

Uścisnąłem dłoń Vázquezowi, który miał twarz boksera i zapadnięte policzki. Uśmiechał się, choć świdrował mnie wzrokiem. Po jakimś czasie odkryłem, że zachowywał się tak zawsze, bez względu na to, czy był zadowolony, czy zirytowany. José sam się przedstawił. Zrobił na mnie wrażenie człowieka bezpretensjonalnego. Miał na sobie luźną koszulę i ciemne spodnie. Alberto był młodym mężczyzną w wieku dwudziestu sześciu, dwudziestu siedmiu lat, sympatycznym, o dobrej prezencji i manierach. W przeciwieństwie do José nosił nieskazitelną błękitną marynarkę i złoty jedwabny krawat. Przejął rolę gospodarza.

– Panowie, może się rozgościmy i wzniesiemy toast? – zaproponował.

Nie czekając na odpowiedź, potrząsnął znajdującym się w pobliżu dzwoneczkiem. Sommelier, ze złotym kluczykiem na szyi, i majordomus zbliżyli się, aby nalać nam szampana. Wykonali swoje zadanie błyskawicznie. Tymczasem Vázquez i José zapalili cygara.

Alberto uniósł kieliszek i wszyscy wstaliśmy.

– Za don Jaime i za powodzenie naszych działań.



Na dany przez Vázqueza znak pracownicy hotelu się oddalili. Wtedy przeszedł do rzeczy:

– Będę z panem szczerzy, don Jaime. Przed kilkoma dniami, a dokładniej dwudziestego pierwszego czerwca, Federalne Biuro Zwalczania Narkotyków aresztowało w różnych miastach kraju sto pięćdziesiąt osób. Prokurator generalny ogłosił, że operacja „Orzeł” doprowadziła do rozbicia największej

działającej u nas sieci dystrybutorów narkotyków. Około siedemdziesięciu procent zatrzymanych było członkami jednostek wojskowych przygotowywanych przez CIA do inwazji w Zatoce Świń. Amerykanów zaalarmowały doniesienia na temat Kubańczyków. Wśród aresztowanych znajduje się dawny kongresmen i członek grupy operacja „Czterdzieści”, która miała przejąć kontrolę na Kubie po inwazji. Musimy zreorganizować nasze działania, a pan dysponuje, zdaje się, bezpiecznym szlakiem zaopatrzenia. Myślę, że możemy robić razem interesy. Moglibyśmy nawet korzystać razem ze wszystkiego, co niezbędne: broni, okrętów, samolotów.

– To bardzo hojna oferta – przyznał don Jaime. – Mamy jednak własną infrastrukturę i nie zamierzamy jej zmieniać, zwłaszcza w tak trudnym momencie.

Don Jaime przyszedł dobrze przygotowany. Uzasadnił swoją decyzję, dodając:

– Krążą pogłoski, że niektórzy z zatrzymanych zaczęli udzielać informacji w zamian za ochronę.

Tak dobra orientacja w jego słabych punktach zaskoczyła Vázquezę, ale odpowiedział jak gdyby nigdy nic:

– Jesteśmy tego świadomi i rozwiążemy ten problem. Oni nie znają wszystkich naszych powiązań. Mamy wielu żołnierzy gotowych i chętnych do pracy. Może pan na nich liczyć. Nasi ludzie byli szkoleni w obozach CIA do udziału w misjach wysokiego ryzyka. Mówię o takich, którzy uczestniczyli w dziesiątkach misji na Kubie i przenikali tam przez najlepiej strzeżone wybrzeża świata. Mamy też pilotów, którzy potrafią przechytryć radary.

Don Jaime był bardzo pewny siebie. Powtórzył stanowczo:

– To bardzo hojna oferta. Będę miał ją na uwadze, gdybym potrzebował pomocy. Na razie, jeśli sobie życzysz, możemy nadal robić interesy tak jak dzisiaj.

– Oczywiście. Jak pan uważa. Chcę tylko, żeby pan wiedział, że jesteśmy do usług.

– Dziękuję, będę o tym pamiętał.

Gdy Vázquez składał swoją propozycję, Alberto Sicilia Falcón milczał, uważnie obserwując don Jaime. Potem skupił uwagę na mnie. Spytał, gdzie

się uczyć i czy pierwszy raz jestem w Stanach.

Powiedziałem, że tak. Zaproponował, żebym go odwiedził, jeśli będę kiedyś w Kalifornii albo w Tijuanie. Pomyślałem, że chyba jest najbardziej inteligentny z nich wszystkich. José Egozi popijał tequilę i niewiele mówił, choć po kiepskim żarcie na temat rekinów rozwiązał mu się język. Dobrze się bawiłem, słuchając dowcipów tych nieznanomych, którzy mieli stać się z konieczności moimi kompanami.

Była już druga w nocy i mieliśmy wracać do swoich hoteli, gdy dyrektor, który zszedł tymczasem do kasyna, by przywitać się z klientami, wpadł do apartamentu z zafrasowaną miną. Spojrzał na Vázqueza i oznajmił:

– FBI jest na dole. Pytają o ciebie. Nie ma się czym przejmować, ale będzie lepiej, jeśli przeniesiecie się do innego apartamentu. Mamy ponad trzysta wolnych pokoi. Jesteście tu bezpieczniejsi niż gdziekolwiek. Żaden sędzia nie wyda nakazu rewizji apartamentu w Caesars Palace.

– Nie chciałbym tutaj utknąć – odrzekł Vázquez. – Podejrzewam, że wśród klientów będzie wielu agentów w cywilu, ale wcześniej czy później musimy stąd wyjść. Co pan proponuje, don Jaime?

– Myślę, że lepiej wyjść. Nasza misja została zakończona. Ustaliliśmy najważniejsze rzeczy. Na pewno jeszcze się spotkamy.



Alberto spokojnie wziął sprawy w swoje ręce.

– Nie ma pośpiechu. Jesteśmy przygotowani na nieprzewidziane sytuacje. José, skontaktuj się z Allenem, niech jedzie na lotnisko. Natychmiast tam ruszamy. Armando, czy możesz załatwić nam samolot? – zwrócił się do dyrektora hotelu.

– Już dzwonię.

Po chwili, używając jednej z trzech bezpośrednich linii telefonicznych w apartamencie, Armando dzwonił na lotnisko i wykorzystał swoje wpływy, aby przygotowano do lotu samolot Alberta, a José na drugiej linii kończył rozmawiać z Allenem.

Odłożywszy słuchawkę, usiadł i oznajmił:

– Alberto, mamy problem. Allen jest zalany w pestkę. Nie może być twoim drugim pilotem.

– No dobrze... Skoro nie ma innego wyjścia, pojedziemy samochodami.

Gdy Vázquez kończył dzwonić, Alberto powiedział przepraszająco:

– Don Jaime, bardzo mi przykro. Federalni zepsuli nam wieczór, a głupi Allen się upił.

– Nie przejmuj się, Alberto, to cienie tej profesji. Ale jeśli brakuje ci pilota, mam swojego. Mogę mu polecić, żeby czekał na nas na lotnisku.

Kolejny raz podziwiałem spryt starego. Jeszcze nie odkrył atutowej karty, a już wprowadził ją do gry. Proponując Albertowi pilota, osiągał podwójny cel: zaczynał współpracę od wyświadczenia im przysługi, co w tych kręgach było bardzo ważne, i subtelnie zasugerował, że ma wyszkolony personel.

Vázquez nie był jednak zachwycony tą propozycją. Starał się pokazać, że jego ludzie są profesjonalistami, a okazywało się, że nie mają w pogotowiu pilota, by załatwić tak podstawową sprawę, jak ewakuacja. Oferta don Jaime zawierała w podtekście przesłanie: niech twoi podwładni się nie upijają, kiedy powinni być na posterunku. Vázquez oznajmił, że woli zostać w Las Vegas.

Propozycja don Jaime oznaczała konieczność ujawnienia, kim jestem, ale byłem pewny, że dobrze to skalkulował.

Alberto, najwyraźniej przejęty tym, że ich człowiek zawiódł, był skłonny przyjąć ofertę i spytał:

– Czy on potrafi pilotować learjeta?

– Z pewnością. To najlepszy pilot, jakiego znam.

Spojrzeni po sobie, po czym José Egozi stwierdził:

– Byłoby lepiej wydostać się z Las Vegas samolotem. To miasto jest wyspą pośród morza piasku.

Widząc, że uśmiecham się na ten komentarz, spytał:

– Mówię poważnie. Wiesz, że Las Vegas zbudowano na wielu warstwach szkieletów krewetek, pozostałości z czasów, gdy ten obszar znajdował się pod wodą?

– Nie wiedziałem tego.

– Tak właśnie było, synu. Wychyl się przez okno z tyłu hotelu, a zobaczysz, że pustynia przylega do ściany. Jesteśmy nad pokładami milionów krewetek.

Było oczywiste, że José nie lubi pustyni i chce jak najszybciej opuścić to miejsce.

– A więc zgoda – oznajmił Alberto. – Proszę zadzwonić do swojego człowieka i spytać, czy może dotrzeć na lotnisko McCarran, żeby pilotować learjeta.

Don Jaime odparł, że ze względów bezpieczeństwa woli skorzystać z budki na parterze. Wstał i skierował się do drzwi.

– Za chwilę wracam.

– Jak się czujesz, Remy? – spytał Alberto i zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodał: – Nie przejmuj się, tak czasem bywa. Jeśli wasz pilot jest do dyspozycji i zna się na learjetach, możemy przed świtem być w moim domu w San Diego.

José mruknął:

– To właśnie uwielbiam w życiu: niespodzianki.

Vázquez, wyraźnie niezadowolony z obrotu spraw, bąknął pod nosem:

– A ja za nimi nie przepadam.

Don Jaime wrócił po kilku minutach i oznajmił:

– Będzie na nas czekał na lotnisku. Pytał o oznakowanie samolotu.

– N-trzynaście-SN – odparł Alberto.

– Proszę powiedzieć swojemu pilotowi, żeby zapytał o Harry'ego. Będzie tam.

Pomyślałem, że nie po raz pierwszy dyspozycje w sprawie lotów pochodzą z Caesars Palace. Z pewnością samolot należał do Alberta – dyrektora od public relations.

– W porządku, pojedziemy pierwsi i zaczekamy na lotnisku.

– Ruszajmy – powiedział José.

Gdy pożegnaliśmy się z Vázquezem, Antonio skierował się razem z Albertem i José do dźwigu towarowego, a don Jaime i ja zjechaliśmy główną windą. W drodze na dół przeprosił, że nie zapytał mnie wcześniej o zdanie.

– Będę musiał się pospieszyć i wypełnić plan lotu. Mam nadzieję, że nie będą robili trudności.

– Ponieważ do zarządu lotniska zwrócił się z prośbą o współpracę sam dyrektor Caesars Palace do spraw public relations, z pewnością nie będzie

problemów. To zwyczajowa procedura powiadamiania ich, że samolot, o którym mowa, przewozi milionerów albo znane osobistości, którym należy się pierwszeństwo i szczególnie uprzejme traktowanie.

Umówiliśmy się w terminalu cywilnego lotniska. Była druga w nocy, ale w Las Vegas czas nie ma znaczenia. Samoloty startują i lądują bez przerwy. Skierowałem się bezpośrednio do Działu Operacyjnego, położyłem na ladzie moją licencję pilota i oznajmiłem, że przychodzę podpisać plan lotu learjeta N-13-SN. Dyżurny nawet nie spojrzął na licencję, popatrzył tylko na mnie, w ogóle nie zwracając uwagi na mój wiek, i uśmiechnął się grzecznie. Potem rozłożył plan lotu do San Diego, żebym go sprawdził. Był już wypełniony. Zrobiłem parę adnotacji i podpisałem go.

Z pewnością telefon od dyrektora public relations z Caesars Palace z prośbą o pomoc miał przynieść dyżurnemu hojną gratyfikację. Wróciłem do don Jaime.

Gdy już myśleliśmy, że coś się stało, zjawili się José i Alberto. Ten ostatni na mój widok stwierdził z uśmiechem:

– Sądziłem, że zostaniesz w Las Vegas, Remy.

Wskazałem don Jaime i odparłem:

– Beze mnie nigdzie się nie rusza.

– Przybył pański pilot? – spytał Alberto don Jaimego.

– Już tu jest. Potwierdza plan lotu. Prosił, żebyśmy zaczekali na niego w samolocie.

Alberto zauważył podstępny uśmiech don Jaime i powiedział:

– Coś pan przede mną ukrywa. Liczę, że wszystko mi pan powie. Wracam za minutę, idę po klucze do samolotu. Mamy zwyczaj zostawiać je w sejfie. Wie pan... na wszelki wypadek.

José nie chciał czekać i zaproponował, żebyśmy podeszli do stanowisk odprawy, gdzie powitał nas uprzejmie jeden ze strażników. Wyszliśmy na dwór. W odległości około stu metrów, na południowym krańcu lotniska, naprzeciwko prywatnych hangarów stał samolot. Wyglądał imponująco. Gdy czekaliśmy, obszedłem go, dokonując szybkich oględzin. Wszystko było w najlepszym porządku.

Po kilku minutach wrócił Alberto z kluczami i dokumentacją.

Gdy przekreślił dźwignię zamka, wysunęły się schodki i weszliśmy na

pokład. Eleganckie wnętrze samolotu mogło pomieścić sześć osób, nie licząc pilotów. Było starannie wykończony, a fotele pachniały przyjemnie nową skórą.

José poprosił don Jaime, by zajął miejsce, sam też usiadł i spytał z ciekawością:

- Czy pański pilot jest dobry, don Jaime?
- Zasluguje na pełne zaufanie. Myślę, że przypadnie ci do gustu.

Alberto, który wsiadł przede mną, pokazywał mi na migi, żebym zajął miejsce z tyłu. Zamiast to zrobić, spytałem, czy mogę usiąść na chwilę w fotelu pilota. Zaczął podejrzewać, że dzieje się coś dziwnego, ale nie wy czuł, o co chodzi. Przywołał mnie gestem ręki.

Stojąc w drzwiach kabiny, przyglądał się, jak sprawdzam przyrządy, i zobaczył ze zdumieniem, że zakładam słuchawki, włączam światła, aparaturę nawigacyjną i radio, sprawdzam prognozę pogody i nastawiam głośnik, aby słyszeli rozmowę z wieżą.

- Wieża kontrolna MacCarran, tu learjet jeden-trzy Sierra-Noviembre.
- Słyszę cię.
- Proszę o zgodę na kołowanie na lewy pas zero-siedem.
- Learjet jeden-trzy Sierra-Noviembre, lewy pas zero-siedem, zezwalam.

Albertowi opadła szczęka... Drzwi samolotu nadal były otwarte, a schodki opuszczone. Wskazałem ostrzegawcze czerwone światelka na konsoli i poprosiłem go uprzejmie:

- Lepiej zamknij drzwi i siadaj. Startujemy.
- Ty jesteś pilotem?

Spojrzał na don Jaime, który – bardzo zadowolony – skinął głową.

– Teraz rozumiem, co pana tak bawiło – powiedział Alberto i zamykając drzwi, rzucił do José: – Zapnij pasy, lecimy.

José zdał sobie sprawę, że to nie żarty, i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Cholera! Myślałem, że tylko ja jestem stuknięty.

Alberto zajął miejsce drugiego pilota i przed startem przeczytał listę czynności kontrolnych. Ja tymczasem uruchamiałem silniki.

- Czy poza tym, że jesteś ochroniarzem i pilotem don Jaime, zajmujesz

się potajemnie czymś jeszcze? – spytał z drwiącym uśmiechem.

– Konkretnie dzisiaj? Zlecono mi dostarczyć was całych i zdrowych do domu – odparłem z nutą ironii, udając, że mam problemy z obsługą przyrządów.

José słyszał, jak spytałem Alberta:

– Wiesz, jak się zwalnia hamulec?

Zdumienie na jego twarzy wywołało śmiech don Jaime, który puścił do niego oko, by zdał sobie sprawę, że żartuję. José zareagował natychmiast, mamrocząc:

– Matko Boska! Mogę wysiąść?

Alberto, nie wiedząc, co o tym sądzić, ale dobrze się bawiąc, spytał:

– To bez znaczenia, ale czy znasz ten typ samolotu, czy lecisz dziś takim pierwszy raz?

Zwalniając hamulce i kołując na początek pasa startowego, odpowiedziałem:

– Nie masz się czym martwić, Alberto. Czytałem kiedyś książkę na temat tych samolotów...



Kiedy wróciliśmy do Las Vegas, w domu nad jeziorem Mead wręczyłem don Jaime walizkę z pieniędzmi. Odliczył sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów i wskazując pliki banknotów, powiedział:

– Są twoje, synu, zarobiłeś je.

– Nie chcę tylu pieniędzy, don Jaime. Zainwestował pan sporo w moje szkolenie i zakup dwóch samolotów. Mam więcej, niż potrzebuję. Prawdę mówiąc, nie wiedziałbym, co zrobić z taką sumą.

– Synu, pozwól, że coś ci poradzę. Poszukaj jakiegoś banku w odległym zakątku świata, otwórz rachunek oszczędnościowy i pamiętaj o jego istnieniu tylko w takie dni jak dzisiejszy. Kiedy nie będziesz wiedział, co robić z pieniędzmi, przelewaj je na konto. Nikomu o nim nie wspominaj, nawet najbliższemu. Będzie twoim źródłem dochodów, kiedy zmęczony zechcesz zaszyć się na jakimś odludziu, z dala od bagna, które nas otacza. Może dziś ta rada wydaje ci się dziwna, ale jestem pewny, że kiedyś będziesz mi za nią wdzięczny. Zarabiamy teraz mnóstwo pieniędzy, ale nie wiemy, jak długo

będzie dopisywało nam szczęście.

Potem kontynuował dzielenie banknotów. Odłożył pięćdziesiąt tysięcy dla Manuela i kolejnych sto tysięcy na konto, które miał w Stanach Zjednoczonych, na pokrycie kosztów przyszłych podróży. Do pieniędzy, które teraz dostałem, dochodziło pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które wozilem ze sobą na „opłacanie podatków”, gdybym musiał lądować na wrogim terytorium. Resztę pieniędzy, ponad milion dolarów, don Jaime schował do walizki, którą miałem dostarczyć do Kolumbii podczas kolejnej podróży. Jego chłopcy woleli otrzymywać to, co im się należy, w tym kraju.

Skończywszy rozliczenia, usiedliśmy na tarasie domu. Słońce próbowało nagrzać powietrze, ale czuło się jeszcze chłód. Delektowaliśmy się spokojem jeziora i pomyślnym zakończeniem operacji. Właśnie wtedy don Jaime zaskoczył mnie pytaniem:

– I co dalej, synu? Osiągnąłeś z powodzeniem cel, który sobie wyznaczyłeś. Co chcesz teraz robić?

– Nie wiem, don Jaime. Prawdę mówiąc, trochę mnie pan zaskakuje. Sądziłem, że to dopiero początek.

– Możliwe. Jesteś w najważniejszym momencie życia. Możesz wybrać drogę. Jeśli uważałeś, że masz wobec mnie dług, spłaciłeś go z nawiązką.

– Co pan sugeruje, don Jaime?

– Mówię tylko, że wykonałeś zadanie, wytyczając trasę lotów. Teraz, skoro już wiemy, jak to robić, ktoś może cię zastąpić. Możesz zostać w tym kraju, uczyć się i pracować. Nie chciałbym, żebyś nadal się narażał. Nie warto.

– Nie warto, don Jaime?

– Nie aż tak, żebyś nadal ryzykował życie.

– Pan też to robi... Ryzykuje pan tak samo jak ja.

– Jestem stary i nie oczekuję już niczego od życia. Nadejdzie dzień, gdy wszystko, co robimy, będzie należało do przeszłości. Narkotyków nie trzeba będzie przemycać. Pewnego dnia zaczną traktować je tak samo jak papierosy i alkohol. Zrozumiemy, że można zarobić więcej, legalizując kokainę, niż zwalczając jej produkcję. Obłożą ją podatkiem i będzie dostępna na rynku. My będziemy wtedy jedynie zapomnianymi pionkami w grze, która straciła

na atrakcyjności.

– Dlaczego?

– Bo przestała być nielegalna. Ludzie lubią przekraczać granice prawa. Czują się wtedy niezależni. Kiedy kokaina stanie się legalna, przestanie być atrakcyjna i zmniejszy się na nią zapotrzebowanie.

– Wtedy zamienimy się w dinozaury.

– Właśnie. Zastanów się i powiedz: kto dziś wstydzi się przyznać, że palił kiedyś marihuanę albo haszysz? Nawet prezydenci mówią o tym z szelmowskim uśmiechem. Natomiast ich ojcowie prawdopodobnie rozdzielali szaty, gdy posądzano ich o taką „niegodziwość”.

Podniósł się nagle z fotela i zaproponował:

– Chodźmy się przejść.

Szliśmy brzegiem jeziora. Biegąca tamtędy ścieżka pozwalała je podziwiać, a jego spokojna tafla zachęcała do zwierzeń. Don Jaime spytał:

– Czego oczekujesz od życia, Remy?

Musiałem się przez chwilę zastanowić.

– Nie wiem, czy powinienem czegoś oczekiwać, czy też mam dług wobec życia. Nie będę pana okłamywał: nie jestem pewny, czego chcę. Na razie wystarcza mi to, że mam swoją tożsamość. Spełnił pan moje marzenie i chcę z panem zostać.

Idąc, wsparł się na moim ramieniu i powiedział:

– Patrz zawsze przed siebie, synu, i pamiętaj tylko piękne chwile z przeszłości. O wszystkim innym zapomnij...

Nadarzała się okazja, bym zaspokoił ciekawość. Podzieliłem się moimi wątpliwościami, które nie opuszczały mnie, odkąd opuściliśmy San Diego.

– Don Jaime, chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o naszych nowych współnikach. Żaden nie wydawał się zbyt przejęty, gdy dyrektor oznajmił, że zjawilo się FBI. Wszyscy czuli się bardzo pewnie.

– Cieszę się, że zadajesz pytania. To znaczy, że jesteś świadomy, iż rozpoczynamy nowy etap. Ci ludzie są przyzwyczajeni do działania na wielką skalę. Może się nienawidzą, ale potrafią pracować w zespole. Przez to, co się wydarzyło, stworzyli sobie być może nieco przesadzony obraz naszej

struktury logistycznej, ale wiedzą, że dysponujemy bezpiecznym szlakiem, i rzecz jasna, chcą go wykorzystać.

– Który z nich jest szefem?

– Wszyscy, Remy. Każdy na swoim terenie.

– Spytam tylko przez ciekawość: dlaczego postanowił pan wejść w spółkę z Kubańczykami, zamiast działać samodzielnie?

– Żeby przetrwać na tym świecie, trzeba znać swoje ograniczenia. Produkuje więcej kokainy, niż eksportujemy, co zmusza nas do poszerzenia rynku. Obecnie, z powodu wojny w Wietnamie, istnieje duży popyt na heroinę, ale jak wszystkie wojny, ta też się kiedyś skończy i kiedy to nastąpi, heroinę zastąpi kokaina. Dlaczego? Bo łatwiej się ją wytwarza, a Kolumbia – miejsce, skąd pochodzi – jest o wiele bliżej niż Laos czy Tajlandia. Vázquez zaopatruje Nowy Jork i New Jersey. Jest bardzo inteligentny, wie to, o czym mówię, i chce uprzedzić bieg wydarzeń. Dlatego zawarł spółkę z Albertem Sicilia Falcómem, który kontroluje znaczną część rynku marihuany i kokainy w Meksyku. Mają powiązania z CIA. Jeśli rozszerzymy działalność, a nie wątpię, że nas na to stać, jak sądzisz, ile czasu potrwa, zanim się do nas dobiorą?

– Co im przeszkadza zrobić to samo w Kolumbii?

– Nie jesteśmy na liście ich priorytetów. Działają na wielu frontach i nie są zainteresowani wznicianiem konfliktów, których nie mogą kontrolować. Za dziesięć czy piętnaście lat będzie inaczej. Z pewnością spróbują przejąć kontrolę nad Kolumbią i w razie potrzeby sami sprowokują konflikt, by uzasadnić interwencję wojskową.

– Jaką rolę odgrywa Egozi?

– Jest kubańskim milionerem. Nie ma nic wspólnego z uchodźcami z Miami. Jego rodzina odgrywała ważną rolę na Kubie, a teraz liczy się na emigracji. On i jego brat Luis są właścicielami sieci tanich sklepów z obuwiem. Luisa nie będziesz miał okazji poznać. Zajmuje się rodzinnymi interesami, jest bardzo inteligentny i ma umysł przedsiębiorcy. José utrzymuje ścisłe kontakty z CIA, przeszedł szkolenie, by wziąć udział w inwazji na Kubę, i dziesięć lat temu wylądował w Zatoce Świń, uczestnicząc w operacji „Czterdzieści”.

– Co znaczyła liczba czterdzieści?

– Odnosiła się do czterdziestu osób, które teoretycznie miały przejąć władzę na Kubie zaraz po inwazji w Zatoce Świń. Rząd Stanów Zjednoczonych zawsze obsesyjnie chciał pozbyć się Fidela i wypłenić komunizm na wyspie, położonej niecałe sto mil od wybrzeży Florydy. Ale jak wiesz, inwazja zakończyła się totalną klęską. José dwa lata siedział w więzieniu na Kubie, a odkąd został zwolniony, kontynuuje walkę o obalenie Fidela. Ma kontakty z kubańską mafią w Miami, zwłaszcza z jednym z ich najsympatyczniejszych agentów CIA, Félixem Rodríguezem. To człowiek, który koordynował w Boliwii pojmanie twojego bohaterskiego Che Guevary.

W jego słowach nie było ironii. Najwyżej przestroga. Chciał, żebym o tym wiedział. Kiedyś wspomniałem mu, że podziwiam Che. Teraz mnie ostrzegał.

– A Alberto?

– Alberto to szczególny przypadek. Jest bardzo bystry. Polityką interesuje się tylko, by osiągać korzyści. Podobnie jak José ma silne powiązania z uchodźcami.

– Proszę wybaczyć, don Jaime, ale muszą podlegać jakiemuś głównemu szefowi. Zawsze tak jest.

– Ich szefami są agenci CIA, którzy prowadzili szkolenie przed inwazją: Walker, Shackley i Jenkins, że wymienię tylko najbardziej znanych. Walker został powołany przez dyrektora operacji specjalnych CIA do rekrutacji ludzi i koordynowania wszystkiego, co wiązało się z okupacją Kuby. Stworzyli bardzo silną jednostkę. Zyskali wielu przyjaciół wśród kubańskich uchodźców, którzy uczestniczyli w desancie i którzy od tamtej pory byli im wierni. Teraz jednak FBI i CIA są uwikłane w wewnętrzną wojnę, ponieważ popełniły największy błąd, jaki mogą popełnić siły zbrojne dokonujące inwazji.

– Jaki?

– Poniosły porażkę.

– Nie rozumiem tej rywalizacji. Przecież pracują dla tego samego rządu.

– Jesteś jeszcze młody. Z czasem zdasz sobie sprawę, że w tym kraju istnieje więcej niż jeden rząd. CIA i FBI uważają, że sprawują suwerenną

władzę. Realizują własną politykę i są w ciągłej konfrontacji. CIA jest instytucją szpiegowską, powołaną do zdobywania informacji i przeprowadzania operacji w innych krajach, ale rości sobie pretensje do zajmowania się wewnętrznymi sprawami Stanów Zjednoczonych. Z prawnego punktu widzenia to nielegalne. Działalność FBI ogranicza się do terytorium kraju, ale agencja próbuje pociągać za sznurki na arenie międzynarodowej.

– Sporo tu intryg.

– Za dużo. Inwazja była tego przykładem. Nie powiodła się z powodu „przecieku informacji” do rządu kubańskiego. Kubańczycy się jej spodziewali. Wszyscy są przekonani, że przeciek pochodził z FBI.

– Co FBI na tym zyskało?

– Przeciwnicy Castro i mafia kubańska, która wspierała inwazję, mogli oskarżyć Kennedy'ego o zdradę. John Edgar Hoover, dyrektor FBI, nienawidził prezydenta. Nie zgadzał się z jego polityką wolności obywatelskich. Wykorzystał niepowodzenie inwazji, by osłabić rząd. Kennedy pogorszył jeszcze sytuację, gdyż popełnił błąd, zwalniając dyrektora CIA, Allena Dullesa, jego zastępcę Cabella i szefa tajnych operacji.

– Nie rozumiem tego. Mój dziadek mówił, że Kennedy był bardzo inteligentny, ale tu się nie wykazał.

– To prawda. Przecież otaczali go sami wrogowie. CIA, FBI, przeciwnicy Castro, Fidel, Rosjanie i członkowie mafii – wszyscy byli przeciwko niemu. Żaden prezydent nie utrzyma się przy władzy, mając tylu wrogów.

– Sądzi pan, że któryś z nich brał udział w przygotowaniu zamachu na niego?

– Jestem o tym przekonany. Gdybym był prezydentem i miał takich wrogów, spałbym w kamizelce kuloodpornej.

– Ale zabijać prezydenta? Czy nie posunęli się za daleko?

– Gdyby był nim kto inny, nie zrobiliby tego. Zaczekaliby. Ale Kennedy był młody, inteligentny, zjednał sobie czarnych swoją polityką antyrasistowską, reaktywował gospodarkę, przyciągając wielu projektem „New Frontier”, imponował elegancją, miał atrakcyjną żonę. Amerykanie wierzyli jeszcze w bajki o wrózkach. Chcieli mieć w Białym Domu taką piękną parę.

Republikanie byli Juárez świadomi, że w takiej sytuacji Kennedy ma zapewnioną reelekcję. Co im pozostało?

– Wyeliminować go.

– To był jedyny sposób, by zniszczyć jego wizerunek. Nie mogli pozwolić sobie na luksus, by dokończył kadencję i został ponownie wybrany.

– Wyobrażam sobie, jaki byłby zamęt.

– Powołano komisję, która podobno wszystkich przesłuchała, zwłaszcza urzędników CIA odpowiedzialnych za „Operację Czterdzieści”: Walkera, Shackleya, Jenkinsa i Rodrigueza. Badano też powiązania z mafią i innymi organizacjami, ale niczego pewnego nie ustalono.

– Co stało się z tymi, którzy kierowali inwazją?

– Wszyscy żyją i rządzą twardą ręką. Shackley, Clines i Jenkins kontrolują operacje CIA w Wietnamie i Laosie. Shackley wykorzystywał kontyngent Kubańczyków i infrastrukturę CIA, by wspomagać swojego najlepszego sojusznika w Laosie, generała Vanga Pao, przywódcę sił antykomunistycznych i barona narkotykowego. Nadzoruje produkcję i dystrybucję heroiny w Azji Południowo-Wschodniej. Pomogli mu pozbyć się konkurentów, wysyłając Kubańczyków, którzy niszczyli ich siatki i skontaktowali go z *capo* Santo Trafficante, by pośredniczył w rozprowadzaniu narkotyków w Ameryce.

– A Walker, czym się teraz zajmuje?

– George Herbert Walker Bush zgłosił właśnie swą kandydaturę do Senatu. Jego przyjaciele z czasów Wietnamu finansują jego kampanię wyborczą. Nawet jeśli nie wygra, może zostać kolejnym dyrektorem CIA, a potem, kto wie? Być może kiedyś zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych...



Następnego dnia don Jaime i jego ludzie wrócili do Kolumbii i znów zostałem sam. Odkryłem, że nic bardziej nie pogłębia poczucia samotności niż brak ukochanej osoby, z którą można dzielić radość spełnionego marzenia lub osiągniętego celu. Jak na ironię teraz, gdy dysponowałem pieniędzmi i mogłem wydawać je do woli, nie miałem z kim tego robić. Włóczyłem się

po kasynach i luksusowych sklepach i kupowałem prezenty dla Marfi, Graciel i Pecasa.

W drodze do domu przechodziłem obok salonu ze sportowymi autami. Za każdym razem, gdy go mijałem, rzucał mi się w oczy porsche 911 targa. Podobał mi się ten samochód i zawsze myślałem to samo: że w dniu, gdy będę miał pieniądze, wejdę tam i go kupię. Teraz jednak, wiedząc, że mogę to zrobić w każdej chwili, straciłem na niego ochotę. Zamiast wejść do salonu, zatrzymałem się przy budce telefonicznej i zadzwoniłem do Pecasa.

Powiedziałem mu, że poszczęściło mi się w kasynie, że wygrałem dużo pieniędzy i wysyłam mu część, żeby nie musiał pracować i mógł zająć się nauką.

Z właściwą sobie szczerością spytał:

– I co czujesz, mając tyle forsy, Remy? Jesteś szczęśliwy?

Nie brzmiało to złośliwie, najwyżej naiwnie.

– Prawdę mówiąc, Pecas, jeszcze nie...

24.

Po pierwszym przelocie zrozumiałem, że moja ograniczona infrastruktura logistyczna wymaga wzmocnienia. Manuel służył mi niezastąpioną pomocą na południu Meksyku, ale potrzebowiałem stałego lądowiska na północy, żeby móc uzupełniać paliwo, odpoczywać i mieć zabezpieczenie na sytuacje awaryjne. Rozmawiałem z don Jaime, przedstawiłem mu swoje potrzeby i poprosiłem o zgodę na przygotowanie pasa startowego. Przystał na to chętnie i powiedział, żebym nie przejmował się kosztami, bo najważniejsze, żebym był zadowolony.

Za radą Manuela pojechałem do Durango, by zobaczyć się z jego ojcem. Spodobał mu się mój plan. Powiedział, że zna idealne miejsce: teren o powierzchni około osiemdziesięciu hektarów u ujścia rzeki Tronador. Zaproponował, nie stawiając żadnych warunków, że możemy zacząć, kiedy zechcemy, i powiedział, że zna jeszcze jednego człowieka, na którego można liczyć: niejakiego Mustafę, „starego wojownika”, któremu ufał, nawykłego do ciężkiej pracy i znającego doskonale okoliczne góry.

Brakowało mi tylko jednej zaufanej osoby, która nadzorowałaby prace. Nie zastanawiając się długo, zadzwoniłem, do kogo trzeba.

– Cześć, Pecas, jesteś gotowy do podróży?



Pecas zdołał dostać paszport na moje nazwisko i kilka dni później wsiadł do samolotu lecącego do Meksyku. Poleciałem z Las Vegas do miasta Meksyk,

żeby go powitać. Na lotnisku rozpoznałem go w tłumie pasażerów, którzy wychodzili po odebraniu bagażu. Myślałem, że może podrósł albo bardzo się zmienił, ale wyglądał jak dawniej. Był w dresie, a cały jego bagaż stanowił przerzucony przez ramię plecak. Uśmiechnął się na mój widok. Uściskaliśmy się mocno. Był wyraźnie wzruszony. Po raz pierwszy widziałem w jego oczach łzy.

– Ależ urosłeś, Remy! Wyglądasz przy mnie jak żyrafa! – wykrzyknął.

– A ty, Pecas, nadal jesteś karłem – odrzekłem.

– Wiem. Pozostałem karłem, żebyś nie tęsknił za Tikim...

– Miałeś jakiś problem, posługując się przy wyjeździe moim nazwiskiem? Martwiłem się.

– Zrobiłem tak, jak mi kazałeś. Zadzwoiłem do señory Gracieli i powiedziała, żebym się nie przejmował, że nikt mnie nie zatrzyma. Kazała cię pozdrowić.

Pecas był w euforii. Dotrzymując obietnicy, od razu zabrałem go do restauracji. Gdy usiedliśmy przy stoliku, przywołałem kelnera, zamówiłem kilka przystawek i poleciłem, by przyniósł nam po jednej ze wszystkich potraw wymienionych w menu jako specjalności lokalu. Kelner uśmiechnął się, myśląc, że żartuję, ale spojrzawszy na niego, powtórzyłem zamówienie.

– Co ty wyprawiasz, Remy? – spytał Pecas, śmiejąc się.

– Zemścimy się. Tego właśnie chcę. Nie pamiętasz? To ty powiedziałeś: „Wejdziemy do restauracji, zamówimy wszystko, co mają w karcie, i zemścimy się za naszą nędzę, jedząc, aż spuchniemy”.

Kilka minut później kelnerzy zsunęli sąsiednie stoliki i zaczęli przynosić mnóstwo potraw, których ze śmiechem próbowaliśmy. Przestaliśmy być niewidzialni...

Tego samego wieczoru w hotelowym barze zapoznałem go z sytuacją.

– Pecas, muszę szybko przygotować i zamaskować lądowisko w niewielkiej dolinie w górach w rejonie Tronador, na północy. Potrzebuję kogoś zaufanego, kto pomoże mi nadzorować jego budowę. Tobie ufam najbardziej. Będę tam tankował paliwo. Podczas budowy pasa trzeba mieszkać w pobliżu, a potem dbać o to, by zdejmować i zakładać płachty maskujące oraz

włączać generator oświetlenia lądowiska. Trzeba będzie zbudować podziemny magazyn do składowania towaru i barak w lesie, by było gdzie nocować. To trudne i niebezpieczne zadanie. Nie mogę go powierzyć byle komu. Potrwa to parę miesięcy.

– Kto będzie ze mną pracował? Nie boję się pracy, ale wiesz, że nie znam się na takich rzeczach.

– Nie masz się czym przejmować. Pomogą ci dwaj weterani. Jeśli się zgodzisz, znajdą ci dom w miasteczku, w którym mieszkają. Kiedy zbudujemy lądowisko, będziesz je tylko nadzorował i pomagał mi, gdy zawiadomię cię przez radio. Co ty na to?

Pecas nawet się nie zastanawiał.

– W porządku. Kiedy ruszamy?



Pecas wypełnił swoje obowiązki z poświęceniem i powagą. Bardzo szybko zdobył zaufanie ojca Manuela i Mustafy, który widząc, jak gorliwie pracuje, zaczął nazywać go po kilku dniach Małym Tuaregiem.

Budowa lądowiska sprawiała nam przyjemność. Rzeka Tronador płynęła w odległości niecałych dwustu metrów, a naszym punktem orientacyjnym był piękny wodospad. Celowo zbudowaliśmy pas startowy na stromym zboczu o nachyleniu dziewięciu stopni. Z powietrza wyglądał jak kawałek lasu wykarczowany pod uprawy. Nikt by nie przypuszczał, że komuś przyszłoby do głowy lądować tam samolotem.

Nadszedł czas, bym dokonał pierwszej próby. Wszyscy czekali z niepokojem przy końcu pasa, czy uda mi się posadzić maszynę na tak ograniczonej przestrzeni. Ale nie było niespodzianek. Lądowanie helio zakończyło się pełnym sukcesem. Uzgodniliśmy, że trzeba wydłużyć pas, by mógł na nim wylądować większy samolot, i lepiej go zamaskować, aby był niewidoczny. Mieliśmy jeszcze dużo do zrobienia.

Podczas moich następnych podróży Pecas okazał się niezawodny i skrupulatny. Kiedy wracałem za dnia, zanim wylądowałem, przelatywałem kilka razy nad rzeką Tronador, by sprawdzić, czy wszystko gra. Jeśli zmierzchało, zawiadaniałem go przez radio o swoim przylocie i wtedy włączał generator, by oświetlić pas.

Czasami, gdy pogoda nie sprzyjała, zostawałem na noc w baraku. Były to dni pełne napięcia. Od czasu do czasu patrolował okolicę samolot policji federalnej i musieliśmy być przygotowani na nieprzewidziane sytuacje. Pecas i Mustafa pasjonowali się bronią, więc z każdej podróży przywoziłem im jakąś nową sztukę wraz z amunicją, by ćwiczyli strzelanie. Pecasowi dostarczałem też książki, bo chciałem, żeby nauczył się angielskiego.

Obsługiwałem szlak, lądując czasem nad rzeką Tronador. Nigdy nie wiedzieli, kiedy przybędę. Czerwone światełko informowało mnie, gdy przelatywałem nad pasem, że wszystko jest w porządku, zielone mieli zapalić, jeśli coś się wydarzy, gdyby zostali zatrzymali i zmuszeni do włączenia sygnalizacji. Policjanci byliby przekonani, że to sygnał do lądowania, ale ja wiedziałbym, że mam jak najszybciej się stamtąd oddalić.

Niejeden raz, gdy nad okolicą krążyły policyjne helikoptery, uzupełniałem paliwo bez wyłączania silników, a Pecas z Mustafą opowiadali niewybredne dowcipy. Śmiałyśmy się z nich, by pozbyć się strachu, że za chwilę wszystko wyleci w powietrze z powodu jednej iskry. Pecas, którego też zacząłem nazywać Małym Tuaregiem, z coraz większą pasją wypełniał swoje obowiązki. Był podobny do mnie. Podczas każdej podróży, naśladowując akcent Meksykanów, zadawał pytanie:

– No jak, szefuniu? Kiedy zabierze mnie pan ze sobą? Pomógłbym panu tam w górze.

Odpowiadałem mu takim samym żartobliwym tonem, powtarzając zawsze:

– Mały Tuaregu, spójrz na siebie, zobacz, do czego doszedłeś. Zawsze się wie, skąd się wyrusza, ale nigdy nie wiadomo, dokąd się zmierza.

Pewnego dnia, podczas kolejnej tury, powiedział nieco poważniej :

– Remy, chcę być pilotem, tak jak ty.
– Po co? W górze czyha wiele niebezpieczeństw. Wierz mi.
– Kiedy patrzę, jak startujesz, marzę o innych miejscach. Takich, które widywałem tylko na filmach i w czasopiśmie. O miastach, których pewnie nigdy nie zobaczę.

– Masz rację, Pecas, nigdy ich nie zobaczysz, bo nie polecisz tam ze

mną, dopóki nie nauczysz się na pamięć tych wszystkich książek, które ci przywiozłem. Musisz być przygotowany, a to wymaga wiedzy.

Uśmiechnął się.

– Jeśli masz na myśli angielski, to umrę tutaj, bo nie wchodzi mi do głowy – mruknął.

– Nie umrzesz, Pecas. Nauczysz się angielskiego, poznasz wiele miejsc, będziesz podróżował i zakochasz się w pięknej dziewczynie. Ale zrobisz to inaczej niż ja, bez narażania życia. Zrobisz to jak należy. Nie ryzykując.

– Dlaczego więc ty ryzykujesz?

To pytanie skłoniło mnie do refleksji. Od dawna nikt nie zadawał mi pytań tak osobistej natury.

– Wiesz to lepiej niż ktokolwiek. Chyba uciekam od samego siebie, uciekam od przeszłości... Od prześladowających mnie widm.

– Nie boisz się być sam podczas tych lotów?

– Wprost przeciwnie, Pecas. Tylko tam znajduję odrobinę spokoju. Chyba nie ma lepszego miejsca na świecie na refleksję i zapomnienie. To loty w ciszy. W górze cisza staje się sprzymierzeńcem myśli, a chmury strażnikami wspomnień. Tam najlepiej się czuję.

Podniósł się z pnia drzewa, na którym siedział, i stanąwszy przede mną, spytał, patrząc mi w oczy:

– Chcesz umrzeć?

– Nie, Pecas, nie.

– Obserwowałem cię, Remy. Za każdym razem, zanim wsiądziesz przed startem do samolotu, patrzysz w niebo i wypowiadasz jakieś słowa. Nie za dobrze je rozumiem, ale mają coś wspólnego z dniem śmierci... Myślę, że w głębi duszy pragniesz umrzeć – stwierdził z przekonaniem.

Roześmiałem się i odparłem, wstając:

– Nie, Pecas, nie pragnę śmierci. To słowa z pewnego filmu. Wypowiadał je podczas drugiej wojny światowej pilot, który przed walką, podczas gdy inni modlili się, by wrócić cało, po prostu spoglądał w niebo i mówił: „Dziś jest piękny dzień, żeby umrzeć”.

– I co się z nim stało? Zginął?

- Nie. Przeżył sto czterdzieści pięć lotów bojowych. Umarł ze starości...
- Teraz cię rozumiem – powiedział Pecos z uśmiechem.

Tego popołudnia, wyciągając kliny spod kół samolotu i pokazując palcami znak „V”, zawołał do mnie ku zdumieniu Mustafy:

- Powodzenia! Dziś jest piękny dzień, żeby umrzeć!

Słyszac to, Mustafa spytał go, skąd to dziwne pożegnanie. Pecos powtórzył historię, którą mu opowiedziałem, na co Mustafa odparł:

– Remy nie umiera, bo nie zależy mu na życiu. Jest dziesiątym człowiekiem.

- Co masz na myśli, Mustafu?

– Ktoś powiedział, że spośród dziesięciu ludzi, których wybierzesz, trzech umrze, aby żyć, trzech będzie żyło, aby umrzeć, a trzech będzie żyło tak, jakby byli martwi. Tylko dziesiąty człowiek będzie żył długo, bo nie trzyma się kurczowo życia ani nie ucieka przed śmiercią.

- Dlatego nazywasz go dziesiątym człowiekiem?
- A znałeś kogoś, kto bardziej gardzi śmiercią?

25.

Było mi coraz trudniej zachować spokój przy takim trybie życia. Miałem świadomość, że w każdej chwili moje przygody mogą się skończyć. Wystarczy awaria silnika na środku Morza Karaibskiego, żebym wylądował na dnie jako pokarm dla ryb albo rozbił się i zginął w płomieniach na samotnym pasie startowym. Nie męczyły mnie długie godziny lotu, były najbardziej relaksujące. Tak naprawdę wykańczały mnie dni poprzedzające loty, kiedy musiałem być w ciągłym ruchu, żeby wszystko przygotować. Mimo protestów don Jaime latałem sam. Zaczynałem odczuwać zmęczenie, potrzebowałem pilota, który by mnie zastąpił, i don Jaime, zmartwiony tym, co było już oczywiste, zaproponował:

– Znalazłem zaufanego pilota, który ci pomoże. Ma na imię Martín. Pracował długo na własny rachunek w Luizjanie. Latał między platformami naftowymi firmy Exxon w Zatoce Meksykańskiej. Jest bardzo odpowiedzialny. Zadzwoń do ciebie, żeby umówić się na spotkanie.

– Dlaczego chce zmienić Luizjanę na Las Vegas?

– Wpływowy przywódca związkowy z Baton Rouge uznał go za *persona non grata*, kiedy uwiódł jego ulubioną „chrześniaczkę”.

Skorzystałem z tego, by zaproponować mu współpracę z nami.

– Powinienem jeszcze coś o nim wiedzieć?

– Powiedziałem mu, że będziesz jego zwierzchnikiem i że twoje decyzje nie podlegają dyskusji.

– Zna go Alberto albo José?

- To bez znaczenia. Istotne jest to, że martwię się o ciebie.
- W porządku, proszę się nie martwić, nie ugryzę go. A jak pan się czuje?
- Dobrze. Jutro wyjeżdżam do Manizales. Muszę załagodzić sytuację.

Yolanda znalazła w mojej kieszeni kartkę z życzeniami urodzinowymi od Susany. Wściekła się i zaproponowała jej, żeby przyszła złożyć mi je osobiście. Susana jest wkurzona jak diabli.

– Cholera! Jak mógł pan zostawić kartkę w kieszeni? Jest pan zawsze taki ostrożny...

– Dałem się ponieść emocjom. Pamiętaj, żebyś tego unikał. Ponieważ wiem, że Susana nie lubi pisać, jej kartka mnie zaskoczyła i zamiast gdzieś ją schować albo podrzeć, włożyłem do kieszeni.

– Don Jaime, umrze pan, galopując między udami jakiejś pięknej dziewczyny.

Zaśmiał się, a po chwili odparł:

– Znasz lepszą śmierć? A teraz posłuchaj, synu. Potrzebuję przysługi. Chciałbym, żebyś w drodze powrotnej z Kolumbii, kiedy lecisz bez towaru, wylądował w Salwadorze. Jest tam pewna bardzo mi droga rodzina. Pomagali mi, gdy przebywałem w ich kraju. Teraz oni potrzebują pomocy. Chcę, żebyś kupił dla nich parę rzeczy i zawiózł im pieniądze. Wręcz im je osobiście i przekazaj moje uściski. Prześlę ci faksem informację, co chciałbym im podarować. Resztę zostawiam w twoich rękach.

– Zrobię to z przyjemnością, don Jaime. Proszę mi tylko podać adres, ich dane i sumę pieniędzy, którą mam im przekazać, a złożę im wizytę.

– Uważaj na siebie i spróbuj trochę odpocząć. Relaksuj się, jak możesz, i korzystaj z życia.

– Postaram się. Ale pan też niech na siebie uważa, bo wojna między Yolanda i Susaną...

– Będę uważał. Ściskam cię, synu.



Moje życie było jednym wielkim kłamstwem. Przed światem udawałem wzorowego chłopaka, znakomicie odgrywałem rolę młodego człowieka oddanego pracy i nauce latania, właściciela małej awionetki Piper Cub, członka

Cywilnego Patrolu Powietrznego, stowarzyszenia pilotów, które współpracuje przy zapobieganiu pożarom lasów. Jeździłem fordem bronco po ulicach i drogach Kalifornii i Nevady, przestrzegając przepisów. Byłem młodzieńcem, którego każda matka chciałaby mieć za narzeczonego dla swojej córki. Ale miałem drugie oblicze: raz lub dwa razy w miesiącu znikalem na kilka dni, aby pokonać samolotem ponad dziesięć tysięcy kilometrów. Wracałem potajemnie z towarem do Stanów Zjednoczonych, tak by nie wykryły mnie radary. Leciałem nad morzami, pustyniami, granicami i obszarami wojskowymi, uzupełniając paliwo na opuszczonych drogach albo wśród samotnych szczytów gór, mając do towarzystwa tylko wspomnienia i dzień po dniu pogrążając się w szaleństwie.

Nabrałem przekonania, że mogę żyć i kursować między dwoma światami, wyciągając z tego maksymalne korzyści. Samotność była moim najlepszym sojusznikiem.



Czasy prosperity sprawiły, że stanąłem wobec konieczności wyjaśnienia źródła moich dochodów, ale na szczęście mieszkałem w Las Vegas, gdzie nie zadawano pytań i stosowano elastyczne reguły.

Przeprowadziłem się z mojej małej kawalerki przy ulicy Freemont, usytuowanej kilka kroków od centrum miasta, gdzie znajdują się najstarsze kasyna, takie jak Golden Nugget, El California i Horse Shoe, do dzielnicy wyższej klasy średniej w północnej strefie przedmieść *stripu*. Kupiłem dwupiętrowy dom, typowo amerykański, z zadbanym trawnikiem i garażem na dwa samochody, a także niewielką halę fabryczną, położoną na samym krańcu oddanej niedawno do użytku strefy przemysłowej. Za ogrodzeniem widać było pustynię. Hala miała trzydzieści na pięćdziesiąt metrów i dwie bramy: małą dla ludzi i dużą dla wielkich pojazdów.

Sąsiednia hala była większa. Należała do młodego inżyniera imieniem Frank, Niemca z pochodzenia, sympatycznego ekstrawertyka. Las Vegas, podobnie jak większość miast, które żyją z hazardu, pełne jest pechowców, nałogowych hazardzistów, którzy widzą sens życia w tym, by usiąść przy stoliku i zagrać. Ale istnieje też niewielkie grono ludzi, którym przypadkiem dopisało szczęście i wygrali wystarczająco dużo, by założyć własną firmę.

Frank był jednym z nich. Zgarnawszy sporą sumę, zrezygnował z państwowej posady inżyniera budowlanego i założył własne przedsiębiorstwo, zajmujące się konserwacją i modernizacją umeblowania kasyn.

Pewnego dnia zaprosiłem go na piwo do mojej hali, a on, i zobaczywszy, że jest pusta, wykrzyknął z uśmiechem:

– Boże, jaki spokój... i ile wolnej przestrzeni! W porównaniu z moją halą, zawaloną różnymi rupieciami, tu jest jak w raju.

– Frank, o tym właśnie chciałem z tobą pogadać. Przed laty widziałem w telewizji serial, w którym bohater wjeżdżał samochodem do domu. Warto wspomnieć, że kiedy wysiadał, był już w salonie. Z samochodu widać było stoły, kuchnię, kanapy, wszystko w jednym miejscu. Zawsze chciałem mieć coś takiego. Chciałbym skorzystać z twojego doświadczenia i zlecić ci zaprojektowanie wnętrza tej hali. Tak, żeby było wyjątkowe. Co ty na to? Pojmiesz się tego?

Nie odpowiedziawszy, wstał z krzesła i zaczął przechadzać się po hali. Patrzył i rozmyślał. Miałem wrażenie, że słyszę trybiki obracające się w jego głowie. Nagle jakby się ocknął i oznajmił:

– Podoba mi się ten pomysł. Będziesz musiał sporządzić listę rzeczy, które są ci niezbędne. Ja zajmę się resztą.

– Chciałbym mieć tu coś w rodzaju wiejskiej rezydencji, żeby robić wrażenie na gościach. Możesz zaprojektować łazienkę, gabinet i sypialnię. Z resztą przestrzeni rób, co chcesz, byle było oryginalnie.

– Powiedz tylko, kiedy mam zacząć i ile mam czasu.

– Nie będzie mnie przez dwa tygodnie od najbliższego poniedziałku.

– To mi wystarczy aż nadto. Większość rzeczy, które potrzebuję, mam pod ręką. Pamiętaj tylko, żeby zanotować wszystkie szczegóły, które chciałbyś dodać. Cokolwiek. Po prostu mi to zapisz.

– Mam zostawić ci pieniądze?

– Żartujesz? Oczywiście, że nie. Wystawię ci rachunek, gdy skończę.

Pożegnałem się z nim w poniedziałek. Wręczyłem mu klucze do hali i samochodów i kopertę z instrukcjami. Na pożegnanie powiedziałem:

– Do zobaczenia za dwa tygodnie. Zaskocz mnie!



Kilka dni później wylądowałem w Salwadorze. Poczyniwszy niezbędne przygotowania, by uzupełnić paliwo, wynająłem samochód i zawiozłem prezenty i pieniądze rodzinie, którą wskazał mi don Jaime. Przyjęli mnie z ogromną radością i ugościli, jak mogli. Raz jeszcze przekonałem się, jaką wiele osób darzy staruszka sympatią.

Po powrocie na lotnisko skorzystałem z okazji, by odszukać nieznanego, wobec którego miałem dług wdzięczności. Udałem się do wieży kontrolnej i zadałem pytanie młodemu człowiekowi, który notował coś w dużym zeszycie.

– Przepraszam, zna pan kontrolera o przydomku Izer?

– Ma dyżur, ale kończy zmianę za dziesięć minut. Będzie tędy schodził. Może pan tu na niego zaczekać. Na górę nie wolno wchodzić.

– Dziękuję. Zaczekam, ale ponieważ nie znam go osobiście, mógłby mi pan go pokazać, gdy się pojawi?

– Przedstawię go panu, proszę się nie martwić.

Czekając, zauważyłem, jak młodzieniec podnosi słuchawkę i z kimś rozmawia. Z pewnością zawiadamiał Izera o mojej obecności. Nie myliłem się. Kilka minut później pojawił się na schodach młody, mniej więcej dwudziestopięcioletni biały mężczyzna o wydatnej szczęce, krzaczastych brwiach i żywym spojrzeniu. Zobaczywszy mnie, spytał:

– To ty mnie szukasz? Jestem Izer.

– Izer? Zdrobniale od *localizer*? Niedostępnego wzór dla wszystkich kontrolerów lotów, potrafiący zlokalizować kosmitów, którzy lecą tuż nad powierzchnią morza, aby ich nie wykryto? Jeśli jesteś tym Izerem, masz u mnie kawę. Jestem Delta, synonim katastrofy.

– Delta? Najświętsza Panienko! – wykrzyknął z radością.

Wyciągnął rękę na powitanie, ale zaraz się zreflektował i podszedł, by mnie uściskać.

– Nie masz pojęcia, ile razy wspominałem cię od tamtej nocy. Jak się miewasz, Izer?

– Dobrze. Boże! To niewiarygodne. Miło mi cię poznać. Sądziłem, że jesteś starszy. Ile masz lat?

– Skończę dwadzieścia dwa.

Zamyślił się na chwilę, po czym spytał:

– Więc mając zaledwie dwadzieścia, leciałeś w tej burzy?

– Aha.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Ty też jesteś bardzo młody jak na niedościgniony wzór dla kontrolerów – zażartowałem.

– Nie spytam cię, jak się nazywasz ani co tu robisz. Sam mi powiesz, jeśli zechcesz. Nadal będę mówił na ciebie Delta. Chodźmy teraz uczcić to spotkanie...

Przez dwie godziny prowadziliśmy ożywioną rozmowę w kafejce lotniska. Powiedziałem mu, że na imię mi Remy i mam niewielu krewnych. On opowiedział mi trochę o swojej rodzinie, pracy, narzeczonej, która właśnie go porzuciła, i problemach związanych z życiem w Salwadorze.

Izer był człowiekiem nieufnym i obdarzonym intuicją. Nie musiałem mu wiele wyjaśniać. Od razu wiedział, że tamtej nocy unikałem radaru, ponieważ przewoziłem nielegalny ładunek. Zadał mi parę pytań i szczerze na nie odpowiedziałem. Wyznałem mu, co robię i że na tym polega moje życie. Wysłuchał mnie uważnie i zaskoczył swoją propozycją.

– Dziwne to wszystko. Spadasz mi z nieba. Może moglibyśmy sobie pomóc, Remy.

– Mów bez ogródek. Wiesz już, czym się zajmuję.

– Znam ludzi, którzy muszą dokonać w Houston pewnych płatności w walucie amerykańskiej. W Salwadorze jest teraz ścisła kontrola dewiz. Gdybyś pomógł im znaleźć dobry sposób na przekazanie tych pieniędzy, postarałbym się ich przekonać, żeby dostarczali ci dokładne informacje, byś w razie sytuacji awaryjnej znalazł tu, w Salwadorze, bezpieczne miejsce na wylądowanie bez konieczności poddawania się kontroli. Wierz mi, to bardzo poważni ludzie.

Pożegnaliśmy się, ustalając, że zobaczymy się za parę tygodni. Skorzystałem z okazji, by powiedzieć:

- Dzięki, Izer.
- Za co?
- Za pomoc tamtej nocy. Prawdę mówiąc, czułem się tam w górze bardzo samotny.
- Nie ma o czym mówić, to była przyjemność... Uwielbiam kosmitów.



Wróciłem do Las Vegas w sobotę. Frank czekał na mnie niecierpliwie, chcąc mi pokazać, co zrobił z halą.

– Wydajesz się zafrasowany. Coś się stało? – spytałem, zobaczywszy go.

– Nic, tylko nie jestem pewny, czy spodoba ci się to, co zrobiłem.

– Nie martw się, Frank, nie może być gorzej, niż było.

Zamierzałem wysiąść z samochodu, gdy powiedział:

– Nie! Nie wysiadaj. Wjedź do środka. – Mówiąc to, otworzył pilotem drzwi.

Choćbym nie wiem jak wyteżył wyobraźnię, taki projekt nie przyszedłby mi do głowy. Byłem oszołomiony.

Kiedy wjechałem, zapaliły się światła. Hala, którą pamiętałem, już nie istniała. Pierwszą rzeczą robiącą wrażenie był efekt głębi. Pomalowany na czarno trzymetrowej szerokości korytarz przypominał pas startowy. Po obu jego stronach małe niebieskie światełka, linie i numery identyfikacyjne wskazywały w oryginalny i widoczny sposób strefę parkowania.

Wysiadłem z samochodu i ruszyłem przed siebie, a za mną Frank, który obserwował uważnie moją reakcję. Najbliżej znajdowała się kuchnia z posadzką z zielonych płytek i kontuarem w kształcie litery L. Przestrzeni hali nie dzieliły ściany. Każda strefa miała inne oświetlenie. Czerwony dywan stanowił granicę salonu, w którym stała gigantyczna trzyosobowa kanapa i dwie mniejsze. Naprzeciwko znajdował się telewizor z panoramicznym ekranem i sprzęt hi-fi. Obok był kącik „Las Vegas”: stolik do blackjacka nakryty zielonym sukniem ze złotym tasowaczem do kart i różnej wartości

zetonami w odpowiednich kolorach. Nieco dalej pod zwisającą z sufitu lampą stał stół bilardowy. Tam podłoga znów się zmieniała: złota obwódka wyznaczała parkiet do tańca. Dzięki możliwości przyciemnienia światła koniec pasa startowego niknął w mroku.

Szczęśliwy i zaskoczony przechadzałem się po mojej nowej rajskiej oazie, obserwowany dyskretnie przez uśmiechniętego i zadowolonego Franka. Na samym końcu umieścił majestatyczny mahoniowy barek z szybami we wzory. Podświetlony czerwony napis głosił: KONIEC PASA.

Nad gabinetem zaprojektował sypialnię bez ścian, z ogromnym małżeńskim łóżem, telewizorem, sprzętem muzycznym, minibarem i łazienką, która uzupełniała tę najbardziej intymną część mieszkania. Wchodziło się tam po pięknych spiralnych schodach. Stojąc lub siedząc przy balustradzie na górze, miało się widok na całą halę.

– Nie musisz przejmować się kurzem – oznajmił z dumą Frank. – Zainstalowałem kurtyny powietrzne i wszystkie otwory są izolowane. Masz też trzy gigantyczne oczyszczalniki i system wentylacji, który wypycha powietrze na zewnątrz, wyrównując ciśnienie, kiedy otwiera się główne drzwi. Gdy się je zamyka, całe pomieszczenie jest uszczelnione. Stąd nie wymknie się żaden sekret...

Przyjrzałem się Frankowi i stwierdziłem:

– Zamieniłeś tę halę w najbardziej niezwykle i intymne mieszkanie, jakie widziałem w życiu. – Uściskałem go, wszedłem za bar i powiedziałem: – Teraz mamy już do załatwienia tylko dwie ważne sprawy.

– Jakie? – spytał z uśmiechem.

– Po pierwsze, ponieważ trzeba zainaugurować barek, czego się napisz?

– Tequili, jeśli można. A ta druga sprawa?

– Porozmawiajmy, ile ci jestem winien.

Pokręcił z powątpiewaniem głową i zaskoczył mnie swoją odpowiedzią:

– Może dojdziemy do porozumienia, Remy. Potrzebuję przysługi.

– Mów, Frank.

– Chcę przywieźć kogoś z Aruby. Nie ma paszportu, więc nie dostanie wizy wjazdowej do Stanów. Próbowałem załatwić dokumenty, ale to może trwać miesiącami. Pomyślałem, że mógłbyś mi pomóc i przewieźć ją samolotem.

Dziwnie było słuchać własnego głosu, gdy odpowiadałem:

– Mogę stracić licencję, a ty możesz narobić sobie poważnych kłopotów, jeśli nas złapią na próbie przemycenia kogoś nielegalnie przez granicę, Frank. O kogo chodzi?

Przez chwilę wyobrażałem sobie, że jakiś przyjaciel Franka próbuje uciec przed wymiarem sprawiedliwości na wyspie, byłem więc zdumiony, gdy odparł:

– Chodzi o moją czteroletnią córkę, Remy...

Przez kolejną godzinę Frank opowiadał mi bardzo skomplikowaną historię. Zakochał się w dziewczynie z Aruby, mieli krótki romans i urodziła im się córeczka. Utrzymywał ją, ale przed kilkoma miesiącami jej matka zmarła i teraz chciał sprowadzić dziewczynkę do siebie. Pojechał po nią na Arubę, ale władze nie zgodziły się, by ją zabrał. Minie dużo czasu, zanim zostanie uregulowana sprawa jego ojcostwa. Nie zastanawiając się długo, spytałem:

– Mogą cię oskarżyć o porwanie. Jesteś tego świadomy?

– Nikt się o nią nie upomni, Remy. Rodzina, u której jest, bardziej niż ktokolwiek pragnie, żeby zamieszkała w Stanach.

– Skoro tak, nie widzę większych problemów. Dam ci znać, kiedy polecimy.

– Dzięki, Remy, jestem twoim dłużnikiem...



W dniu, gdy Martín przybył do Las Vegas, zabrałem go do mojej rezydencji. Był niskiego wzrostu, miał starannie ostrzyżone kasztanowe włosy i ciemnobrązowe oczy. Poruszał się zwinnie jak kot. Jego twarz, lekko opalona, wydawała się sympatyczna. Podczas jazdy rozmawialiśmy o różnych sprawach. Gdy dotarliśmy na miejsce, spytał:

- Jak rozpoznałeś mnie na lotnisku? Wyglądam na pilota?
- Tak, tylko ty miałeś podróżną walizeczkę zamiast aktówki. Poza tym przypominasz raczej sprzedawcę żaluzji – odparłem żartobliwie.
- Sprzedawcę żaluzji... – Spodobało mu się to określenie i pomogło przełamać lody, ale wszelki dystans między nami zniknął, gdy rozejrzał się zdumiony po hali.
- Boże święty! Co to jest?! – wykrzyknął.
- To moja baza operacyjna. „Witaj w Las Vegas...”.



W powietrzu przekonałem się, że Martín jest doskonałym pilotem, a w mojej kryjówce stwierdziłem, że choć potrafi docenić dobrą dwunastoletnią whisky, w razie potrzeby umie się powstrzymać, nie pić i zachować umiar. Unikał alkoholu w przeddzień podróży, choć przyznał się, że w pewnych sytuacjach łyk koniaku podczas lotu pomaga oprzytomnieć. Zaproponowałem mu, by został parę dni w hali, ale wołał zatrzymać się w moim domu w mieście, gdzie przebywał, dopóki nie znalazł sobie mieszkania.

Nabieraliśmy do siebie zaufania i coraz lepiej nam się współpracowało. Po dwóch tygodniach, podczas których zapoznałem go z moimi metodami pracy, byliśmy gotowi do pierwszego wspólnego lotu. Od tamtej pory Martín stał się moim drugim pilotem, a z czasem również przyjacielem.

26.

Nie wystarczyło żyć. Potrzebowałem jeszcze powodu do życia. Stała się nim Raiza, pojawiając się nagle jak przeznaczenie.

Poznałem ją pewnego wieczoru, gdy zaprosiłem Martína na występ Franka Sinatry do Caesars Palace. Czekając, aż wpuszczą nas na widownię, usiadłem przy jednym z automatów do gry. Wrzucając monety, zobaczyłem dziewczynę, która też czekała na recital. Przyglądała mi się z uśmiechem. Była śliczna. Miała orientalne rysy, niewiarygodne zielone oczy i długie do pasa czarne włosy. Kształt jej bioder podkreślały obcisłe dżinsy, a zielony sweter z golfem pasował kolorem do jej oczu. Odwzajemniłem uśmiech, mówiąc:

- Dlaczego mam wrażenie, że się ze mnie śmiejesz?
- Śmieję się, bo... jesteś głupi.
- Boże! To aż tak widać?
- Tracisz pieniądze.

Gdy spojrzałem na nią zdziwiony, wyjaśniła:

- W automacie, do którego wrzucasz monety, w jednej z kolumn brakuje siódemki. Nigdy nie zgarniesz puli.
- Skąd o tym wiesz?
- Tajemnica zawodowa.
- I przychodzisz tu mówić ludziom, że są głupi i wyjawiać im tajemnice?
- Tylko tym, którzy przypadną mi do gustu. A więc nie zapomnisz, że nazwałam cię głupcem?

– Wierz mi, to nie było konieczne, i tak bym cię nie zapomniał. Ale dzięki za informację. Mam na imię Remy. – Wyciągnąłem do niej rękę. – Miło mi cię poznać.

– Jestem Raiza. Idziesz zobaczyć Sinatrę?

– Miałem zamiar... Ale teraz będę już patrzył tylko na ciebie. Co powiesz na to, żebyśmy posłuchali go razem? Dzięki temu nie stracę koncertu, szukając cię wzrokiem między stolikami.

– A twój przyjaciel?

– On nie lubi Sinatry. Wyświadczysz mu wielką przysługę, jeśli go zastąpisz.

Martín słyszał, co mówię, i olśniony urodą Raizy ośmielił się żartobliwym tonem zaprzeczyć moim słowom. Od tamtej pory często tak robił: cokolwiek powiedziałem, udawał, że ma inne zdanie.

– Jestem Martín... I to nieprawda, że nie lubię Sinatry – powiedział. – Uwielbiam go... Ale pójdę sobie. Nie zniósłbym wieczoru u twojego boku. Stopniałbym jak wosk. Mogę ci zadać pytanie?

– Jasne.

Zbliżył się, by zajrzeć jej głęboko w oczy.

– Masz najpiękniejsze i najbardziej zielone oczy, jakie widziałem w życiu. To ich prawdziwy kolor? Wiem, że w dzisiejszych czasach można go zmieniać za pomocą soczewek.

– Prawdziwy. To wina moich rodziców...

– Boże! Nigdy nie widziałem takich oczu. Jak ci się udaje przechodzić niepostrzeżenie obok kogokolwiek?

Wyjaśniła nam rozbawiona, że po matce, pochodzącej z Hawajów, odziedziczyła czarne włosy i orientalne rysy, a po ojcu zielone oczy.

Żywiołowość Raizy i jej poczucie humoru kontrastowały z moją małomównością. Opowiedziała mi, że pracuje jako krupierka w kasynie Stardust i zna dużo sztuczek z salonów gry. Gdy spytała, czym się zajmuję, a ja odpowiedziałem, że jestem pilotem, spytała wprost:

– Uprawiałeś seks w samolocie?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem i nie uszło to jej uwagi.

– Przyłapałam cię. Twoje milczenie cię zdradza...

- Dlaczego to zawsze kobiety zadają takie pytania?
- Może dlatego, że mamy bujniejszą wyobraźnię.



Romantyczny nastrój piosenek Sinatry sprzyjał uwodzeniu. Naprawdę czuliśmy się jak *Nieznajomi nocą*. Gdy wyszliśmy, spytałem:

- Dokąd chciałybyś teraz pójść?
- W jakieś spokojne miejsce, gdzie mogłabym skoncentrować się na słuchaniu twojego głosu.

Wzięła mnie pod rękę i oparła lekko głowę na moim ramieniu. Ruszyliśmy powoli, bez słowa, do mojego samochodu. Gdy do niego wsiedliśmy, spytałem:

- Lepiej?
- Tak... Podobało mi się twoje milczenie. Nagłe zmiany sprawiają mi przyjemność. Po słodkim ma się ochotę na coś słonego. Dokąd mnie zabierasz?

- Do miejsca pełnego ciszy i sprzeczności...

Kwadrans później dotarliśmy do strefy przemysłowej. O tej porze ulice były prawie puste, a hale i magazyny zamknięte. Zatrzymałem samochód przed budynkiem i po chwili otworzyłem pilotem bramę. Uśmiechnąłem się, zauważwszy jej zaskoczenie. Zapaliły się światła i wjechaliśmy do środka. Raiza nie kryła zdumienia. Wsiadłem z auta i otworzyłem jej drzwiczki, mówiąc:

- Witaj w mojej przystani.
- Święty Boże! Co to jest? Co za cudowne miejsce!

Położyłem rękę na jej biodrze i pchnąłem delikatnie w kierunku otwartej przestrzeni.

- To moje lotnisko i ulubiony bar... zawsze otwarty.

Była zachwycona. Jej oczy błyszczały ze zdumienia. Przez chwilę wyglądała jak dziewczynka, która odkryła Disneyland. Przechadzała się pod-ekscytowana, oglądając każdy mebel i każdy szczegół wyposażenia wnętrza. Przystanęła w kuchni i zapytała:

- To fascynujące, że nie ma tu ścian. Gotujesz?
- Tylko dla pięknych dziewczyn.

- Ile ich już tutaj sprowadzałeś?
- Uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział, że jesteś pierwsza?

Podeszła do mnie, pocałowała mnie i powiedziała:

– Nie, ale chciałabym w to wierzyć. To bardzo oryginalne miejsce. Teraz wiem, dlaczego zatrzymałeś się przed bramą, zanim wjechałeś. Żeby zaskoczyć mnie zmianą. Wywołać sprzeczne odczucia... Cofam to, co powiedziałam na temat braku wyobraźni u mężczyzn.

- Cieszę się, że ci się podoba.

Zwróciła uwagę na podświetlony napis obok baru.

- „Koniec pasa”? – zdziwiła się.

– Wymyślił to mój przyjaciel. Mnie odpowiadałoby bardziej hasło: „Żadnych tajemnic”. Bo wszystko tu jest widoczne. Niczego nie ukrywam...



Nastawiłem płytę z piosenkami Charles'a Aznavoura. Raiza dokładnie wszystko oglądała. Pytania, komentarze i śmiech stanowiły subtelne zaloty, pełne aluzji, przypadkowych dotknięć.

Odkorkowałem butelkę Moët & Chandon i zaproponowałem toast:

– Za pierwszą i najpiękniejszą dziewczynę, która gości w tym mieszkaniu.

Gdy wypila, spytała:

- Naprawdę jestem pierwszą kobietą, którą tu przyprowadziłeś?

– Owszem. – Przyciągnąłem ją do siebie i pogładziłem jej włosy. – Chciałem, żeby to była wyjątkowa dziewczyna.

- Warto było czekać?

- Zobaczywszy cię, wiedziałem, że to będziesz ty.

- Zatańcz ze mną.

Nie odmówiłem. Gdy tańczyliśmy, pozwoliła, bym pieścił jej plecy i całował szyję. W końcu poddaliśmy się gorączce zmysłów. Pozwoliła mi poprowadzić się po spiralnych schodach do sypialni bez ścian. Tam oparła się o drewnianą balustradę i spojrzała w dół, wpatrując się w coś.

- O co chodzi? – szepnąłem jej do ucha.

- Ta piosenka... jest cudowna...

– Nie ruszaj się... pozwól mi...

Rozbierałem ją powoli, aż jej plecy okrywała tylko kaskada długich czarnych włosów. Podeszedłem do niej od tyłu, nasze ciała dopasowały się do siebie i moja rozpalona namiętność znalazła schronienie między jej pięknymi udami. Oplotłem jej ciało pieścotami. Podniecały ją musnięcia moich palców. Trzymając się balustrady, z żarliwą uległością pozwoliła mi w siebie wejść. Zrobiłem to najpierw delikatnie, a potem, wśród jęków rozkoszy, napałem na nią całą siłą... Pogrążyłem się w niej, straciłem poczucie rzeczywistości. Pamiętam tylko jak przez mgłę, że oprócz namiętnych okrzyków Raizy słyszałem głos Charles'a Aznavoura, który śpiewał *Umrzeć z miłości...*



Miło było mieć Raizę przy sobie i wiedzieć, że na mnie czeka, kiedy wracam. Zabrałem ją na wycieczkę małą awionetką Piper i bardzo spodobało jej się latanie. Po miesiącu przedstawiłem ją Albertowi i José. Don Jaime poznała później, kiedy przyjechał z wizytą. Wszystkich ujmowała urodą i szczerością. Kochałem jej żywiołowość i radość życia, ale przede wszystkim uwielbiałem w niej jedno: nie zadawała żadnych pytań.

Dzięki niej odkryłem, że każda miłość jest inna i pozostawia własny ślad. Jazmín odcisnęła piętno w moim sercu, Graciela w zmysłach, a teraz Raiza przerwała moją samotność. Jej zaraźliwy śmiech sprawiał, że przypominała mi księżniczkę Jazmín. Nie obawiałem się uchybić jej pamięci, bo wiedziałem, że Raiza jej nie zastąpi. Czas potwierdził słusność jej słów: „Śmierć jest sojuszniczką miłości. Gdybym umarła, kochałbyś mnie zawsze...”.

27.

Lotnisko Tronador, które obsługiwał Pecas, już działało. Martín nie wiedział o jego istnieniu. Łączyło nas specyficzne poczucie humoru, ale wyjawiałem mu tylko to, co było absolutnie niezbędne. Strzegłem zazdrośnie wszelkich informacji na temat nazwisk, współrzędnych, tras, lotnisk i kontaktów.

Latanie z Martínem stanowiło przyjemną odmianę. Ciągłe mruczał i gderał i bawiło go negowanie wszystkiego, co mówiłem. Odkąd zaczął ze mną latać, ostrzegał: „Remy, po tej podróży rezygnuję”. Nigdy tego nie zrobił. W tygodniu, gdy go poznałem, musiałem lecieć do Paryża i zaproponowałem, by mi towarzyszył. Będąc tam, poszliśmy na kolację do słynnej restauracji Jules Verne, gdzie uczciliśmy naszą przyjaźń, suto zakrapiając posiłek koniakiem Remy Martín. Spojrzawszy na etykietę na butelce, Martín się roześmiał. „Mamy nawet swój firmowy koniak”. Pokropiliśmy się wzajemnie tym doskonałym trunkiem i wyszliśmy odetchnąć świeżym powietrzem na Polach Elizejskich. Przypieczętowaliśmy naszą przyjaźń, sikając z mostu Inwalidów.



Dwa miesiące później lecieliśmy nad Sierra de los Huicholes w stanie Nayarit, gdy usłyszałem ostrzeżenie, że około dwustu kilometrów na północ od naszej trasy zbiera się burza. Nadciągała z Nowego Meksyku w kierunku południowo-zachodnim i miała przeciąć nasz kurs. Przygotowywaliśmy się do okrążenia góry Candelaria na wschód od Sierra Madre Occidental.

Martín, który nie lubił pikantnych potraw, dyskutował na temat zdrowia meksykańskich Indian, od wieków przyprawiających swoje posiłki papryką i innymi ostrymi dodatkami. Nie mógł zrozumieć, jak mogą mi smakować surowe papryczki.

– Są bardzo zdrowe, Martínie. Wśród meksykańskich Indian występuje najniższy współczynnik śmiertelności z powodu chorób układu krążenia.

– Jesteś wkurzający, Remy. Ty i wszyscy Meksykanie. Może nie umrą na serce, ale na pewno będą przed śmiercią drapali się w tyłek.

– Przestań gadać, rozwiń długą antenę i poszukaj jakiejś stacji z silnym sygnałem. I sprawdź działanie wysokościomierza.

W tym momencie poruszyły się równocześnie strzałki detektora burz i radionamiernika. Po chwili wróciły do poprzedniego położenia i znieruchomiły. Ich drgnięcie nie uszło naszej uwagi. Spojrzeliśmy na siebie, jeden czekał na reakcję drugiego. Ograniczyliśmy się do słuchania ostrzeżeń przez radio, bo wiedzieliśmy, że nie możemy prosić o prognozę pogody, nie podając planu lotu, pozycji, kierunku i wysokości. Jeśli ktoś unika radarów, musi zrezygnować z takiej pomocy.

Martín postukał w szybką wskaźnika, jakby chciał uwolnić strzałkę od koszmaru, który zwiastowała.

– Kiepsko to wygląda. To cholerstwo nigdy się nie porusza, a teraz tańczy jak Fred Astaire. – Potem zaczął rozwijać piętnastometrowy kabel anteny. Kazałem ją zainstalować podczas ostatniego lotu. Służyła do komunikacji dalekiego zasięgu.

– Poszukaj w moim zeszycie częstotliwości Los Marías. Poproszę ich o informacje.

– Los Marías?

Nie powiedziałem mu, że to częstotliwość przyjaciół Izera. Wyjaśniłem tylko krótko:

– To prywatni eksperci: meteorolog, były kontroler lotów i specjalista od komunikacji. Nie polecają tras, wektorów ani lotnisk. Ograniczają się do zbierania i przekazywania informacji na temat warunków meteorologicznych. Mogą nam zaproponować inne możliwości.

Martín nastawił właściwą częstotliwość i słuchał zaskoczony, gdy zacząłem nadawać:

– Anioł z Nieba... Anioł z Nieba, tu Tango siedemnaście, odbiór.

Po dwóch próbach usłyszałem odpowiedź:

– Mów, Tango siedemnaście, tu Anioł z Nieba.

– Potrzebujemy prognozy pogody na kierunku północ-południe, kwadranty dwadzieścia siedem-dwadzieścia osiem.

– Zrozumiałem, Tango siedemnaście. Chwileczkę.

Podczas gdy Los Marías gromadzili niezbędne informacje, Martín i ja szacowaliśmy stan paliwa i możliwości. Kilka minut później usłyszeliśmy komunikat:

– Tango siedemnaście, są problemy. Kilka stacji meteorologicznych na trasie przestrzega przed nadciągającym z północy frontem niskiego ciśnienia, który szybko się przesuwa i tworzy silne turbulencje.

– Aniele z Nieba, macie jakieś informacje na temat lotnisk?

– Tango siedemnaście. Lotnisko Nogales jest zamknięte, Hermosillo i Ciudad Obregón również. Zalecamy zmienić częstotliwość na sto dziewiętnaście i jeśli pozwala na to zasięg, słuchać bezpośrednio Nogales. Mają tam jakiś poważny problem.

– Bardzo dziękuję, Aniele z Nieba. Postaramy się skorzystać z rady. Będziemy równolegle na nasłuchu, gdyby były jakieś nowe informacje.

Nastawiliśmy częstotliwość radia na Nogales, oceniając nasze możliwości. Zdrowy rozsądek nakazywał nie lecieć dalej. Należało natychmiast poszukać lotniska. Przechwycona przez nas rozmowa kontrolera z pilotem, który miał kłopoty, wskazywała na fatalną pogodę. Usłyszeliśmy:

– Wieża kontrolna Nogales, tu Noviembre pięć-zero-Bravo, prosimy o precyzyjne naprowadzenie na pas.

– Noviembre pięć-zero-Bravo, lotnisko jest zamknięte.

– Nogales, tu pięć-zero-Bravo, kończy nam się paliwo, musimy lądować.

– Noviembre pięć-zero-Bravo, może pan lądować tylko awaryjnie. Ostrzegam, że z powodu mgły widoczność jest poniżej stu stóp. Pan decyduje.

– Nogales, lądujemy – odparł bez wahania pilot.

Martín, nie podnosząc wzroku znad swoich obliczeń, mruknął:

– Ten naprawdę ma przerąbane. Chcesz słuchać dalej?

– Jasne. Posłuchajmy tej historii do końca.

– Noviembre pięć-zero-Bravo, niech pan wprowadzi do transpondera awaryjny kod siedem-siedem-zero-zero i skręci na kurs dwa-jeden-zero.

– Skręcam na dwa-jeden-zero – odparł natychmiast pilot.

– Noviembre pięć-zero-Bravo, zostały panu cztery mile.

Zgoda na lądowanie na pasie dwudziestym pierwszym z prawej strony.

Potem kontroler poinformował go o kierunku lotu, prędkości wiatru i przekazał mu dane potrzebne przy podchodzeniu do lądowania.

– Nogales, przechyciliśmy sygnał dla pasa dwudziestego pierwszego, ale wciąż go nie widzę.

W miarę jak kontroler informował pilota o jego pozycji, ten dokonywał niezbędnych korekt lotu. Widoczność była zerowa.

– Noviembre pięć-zero-Bravo, leci pan bardzo dobrze. Trzy mile na ścieżce lotu szybowego... jedna mila.

– Nogales, nadal nie mam kontaktu wzrokowego.

– Noviembre pięć-zero-Bravo, przeleciał pan nad początkiem pasa, proszę kontynuować.

Minęło kilka sekund i w końcu pilot odparł:

– Nogales, mam kontakt wzrokowy. Ależ macie tu piękne światła!

– Noviembre pięć-zero-Bravo. Witamy w Nogales.

– Nogales, dzięki za pomoc. Zaslugujecie na medal.



Martín spojrział na detektor burz. Jego wskazania nie pozostawiały wątpliwości...

– Lecimy do Tronador. Poszukaj w książce częstotliwości TRN.

– TRN?

– To oznacza Tronador. Jest na środku strony, na liście lądowisk awaryjnych.

– Co mam powiedzieć?
– Zostaw to mnie. – Zacząłem wysyłać w eter wiadomość, która brzmiała niemal jak modlitwa: – Mały Tuareg... Mały Tuareg...

– Tronador? Nie wspomniałeś mi o tym lądowisku. Od dawna go nie używałeś? I kim jest ten Mały Tuareg?

– To przyjaciel. Strzeże lądowiska razem z Mustafą, starym Arabem. Zbudowaliśmy je razem, zanim zacząłeś ze mną pracować. Byłem tam niedawno.

– Skąd wiesz, czy go nie zagroździł albo nie zbombardowali federalni? Słyszałem, że w zeszłym tygodniu zniszczyli kilka pasów.

– Wierz mi, Martínie, że bym o tym wiedział.

– Gdzie się znajduje? Jakie jest?

Pomyślałem o Pecasie i pasie startowym wśród gór. Dla niedoświadczonych pilotów tego rodzaju lądowisko było koszmarem. Co innego lądować przy braku widoczności na lotnisku dysponującym nowoczesnym wyposażeniem, a co innego w takim miejscu. Martín był dobrym pilotem, ale mimo wszystko nie chciałem denerwować go szczegółowym opisem pasa w Tronador.

Ograniczyłem się do żartobliwego stwierdzenia:

– To nietypowe lądowisko... Właśnie tak bym je określił: nietypowe. A ściślej mówiąc: zdumiewające. Ma lekkie nachylenie.

– Lekkie nachylenie? O czym ty mówisz? Ile stopni?

– Dziewięć.

– Dziewięć stopni? Zamierzasz lądować na pasie o nachyleniu dziewięciu stopni podczas burzy? Oszalałeś, Remy?!

– Daj spokój, na razie nie wlecieliśmy w żadną burzę. Dostrzeż pozytywne strony tej sytuacji: wylądujemy w otoczeniu pięknych zielonych sosen.

– Cholera! Pogrzebią nas tam. Wkrótce się ściemni. Jest tam oświetlenie?

– Mają generator, ale ponieważ się nas nie spodziewają, zapewne będziemy lądowali bez światła. Nie sądzę jednak, byśmy go potrzebowali. Jesteśmy blisko.

Gdy zmierzaliśmy w kierunku nowego celu, usłyszeliśmy nagle przez radio na włączonej wciąż średniej częstotliwości stację Los Marias:

- Tango-siedemnaście... Tango-siedemnaście.
- Tu Tango-siedemnaście, słyszę cię.
- Tango-siedemnaście. Front przesuwają się z prędkością ponad czterdziestu węzłów. Burza przybiera na sile. Radzę jak najszybciej wylądować.
- Tu Tango-siedemnaście. Przyjąłem i dziękuję. Tak zrobimy.

Martín, z typowym dla niego spokojem, spojrzawszy w czarny horyzont i stwierdził:

- Zaraz spadnie nam na głowę.

W plastikowe okna kabiny zaczęły uderzać ciężkie krople deszczu. Kołysało nami coraz bardziej.

– Zmieniamy kurs o piętnaście stopni na jeden-osiem-siedem. Zaraz będziemy na miejscu.

Martín pomógł mi wykonać skręt i po kilku minutach lotu nowym kursem mruknął:

- Nie widzę żadnego pasa, Remy... Jesteś pewny współrzędnych?
- Ustaw radiowysokościomierz na pięć tysięcy dwieście, zanim zaryjemy podwoziem w szczyt góry.

– Gdzie jest lądowisko? Nie widzę go, Remy. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, do cholery. Znosi się na huragan.

– Spokojnie. Widzisz te dwa wierzchołki gór, które wyglądają jak cycyki? Lądowisko jest tuż za nimi. Polecimy w ich kierunku, zredukujemy prędkość do minimum i muśniemy szczyt z maksymalnie opuszczonymi klapami. Ześlizgniemy się po zboczach jak po torze saneczkowym. Odkąd to nie lubisz jazdy kolejką górską?

– Chwileczkę... Nie wiem, czy dobrze cię zrozumiałem. Chcesz lądować w dół zbocza na pasie o nachyleniu dziewięciu stopni, nie wiedząc, czy jest czynny?

- Uspokój się, to będzie łatwe.

– Łatwe? A jak się, do cholery, zatrzymamy? Czy samolot ma w tyłku jakiś spadochron? Zwariowałaś! Zabijemy się. Jasna cholera! Jesteś stuknięty. Umrzemy w tej pieprzonej dżungli koło Durango nad rzeką Tronador... I

nie wkurzaj mnie gadaniem, że „dzisiaj jest piękny dzień, żeby umrzeć”. To koszmarny dzień... i nie chcę umierać!

– Bez obaw. Zastosujemy technikę *hoveringu*, żeby wykorzystać silny wiatr od czoła.

Nadal próbowałem połączyć się z Pecasem i Mustafą. Istniała niewielka szansa, że mnie usłyszą.

– Mały Tuareg... Mały Tuareg – powtarzałem.

Martín bez przerwy kłął, kontrolując przyrządy. Wiatr przybierał na sile. Z każdą chwilą coraz trudniej było utrzymywać właściwy kurs i prędkość. Zobaczyłem, że Martín się przeżegnał.

– Cokolwiek mamy przed sobą, Remy, jest ogromne i przesuwa się bardzo szybko – wykrztusił.

– Co ty robisz? – spytałem.

– O czym mówisz?

– Dobrze wiesz, nie udawaj. Przeżegnałeś się. Widziałem.

– Tak, tak, przeżegnałem się, i co z tego? A co ma zrobić pilot, którego samolot ma się za chwilę rozbić? Co w tym dziwnego?

– Sądziłem, że zerwałeś z Bogiem i nie chcesz już z nim rozmawiać.

Redukując moc silnika i zmniejszając prędkość lotu, przeżegnał się ponownie.

– To prawda. Od dawna ze sobą nie rozmawiamy, ale od czasu do czasu wysyłam mu sygnał, by nie czuł się samotny. Myślisz, że twój Mały Tuareg nas usłyszał?

– Dowiemy się za parę minut. Wyłącz awaryjny lokalizator. Nie chcę, żeby zaczął działać, jeśli będziemy mieli twarde lądowanie. Ściągniemy sobie na głowę lotnictwo i służby ratownicze.

– Genialnie... Więc jeśli się rozbijemy i nie będzie twoich Arabów, umrzemy anonimowo.

– Blaski profesji... Poza tym... jest piękny dzień, żeby umrzeć... Lądujemy...



Pecas wracał z targu do domu Mustafy. Kolor nieba i silny wiatr zwiastowały burzę, która nadciągała w towarzystwie tornad zmiatających

wszystko na swej drodze. Pecas miał dziwne przeczucie. Należało sprawdzić napinacze siatki maskującej, którą zainstalowali na lądowisku w taki sposób, by można ją było szybko zdjąć.

Dotarliśmy do domu, zrobił to, co zwykle: włączył radio. Wśród zakłóceń spowodowanych przez burzę usłyszał nagle słowa „Mały Tuareg...” Znieruchomiał. Natychmiast zrozumiał, co się dzieje: Remy musi lądować i chce się upewnić, czy będą gotowi go przyjąć. Powiedział o tym Mustafie, wziął kluczyki od landrovera i sprzęt ratunkowy i poprosił Araba, żeby nasłuchiwał komunikatów przez radio.

– Jesteś pewny, że to Remy? Może lądować podczas takiej burzy? – spytał zatroskany Mustafa.

– Mustafo, tylko on nazywa mnie Małym Tuaregiem. Wiem, że jest tam w górze.

Pecas wyruszył pospiesznie w kierunku szczytu. Niebo ciemniało coraz bardziej. Prowadząc samochód, rozmyślał, co powinien zrobić, gdy dojedzie na lądowisko. Przede wszystkim musiał zdjąć siatkę. Lądowanie na niej zakończyłoby się tragedią. Samolot zaplątałby się w nią kołami, przekoziółkował i runął na pas. Napinacze siatki ściągało się dość łatwo, ale potrzebował na to paru minut.

Zanim dotarł na miejsce, podjął decyzję: nie będzie tracił czasu, by iść do baraku i włączyć generator. Najpierw zdejmie siatkę. Światła na nic się nie przydadzą, jeśli samolot się w nią zaplącze. Odbezpieczył kolejno ściągające ją automatycznie urządzenia, poczynając od dołu zbrocza. Przypuszczał, że samolot nadleci jak zwykle od południa. Gdy zdjął ostatni napinacz, wsiadł do terenowego samochodu. W tym momencie usłyszał charakterystyczny odgłos silników samolotu.



– Opuść podwozie, już czas.

Za każdym razem, gdy lądowałem na tym pasie, zastanawiałem się, jak bym to zrobił w przeciwnym kierunku. Zadawałem sobie pytanie, czy można wylądować na zbroczu o takim nachyleniu. Używałem silników do hamowania, miałem jednak wątpliwości, czy samolot wytrzyma aerodynamiczne

obciążenie. To było szaleństwo, ale brakowało czasu na kolejne okrążenie. Wiatr wiał z dużą siłą w przeciwnym kierunku. Martín, który traktował słowa jak zawór bezpieczeństwa, nie przestawał mówić.

– Chcę, żebyś wiedział, że moim zdaniem twój nedorzeczny plan wynika z aroganckiej chęci wykazania się przecenianą umiejętnością lądowania w dowolnym miejscu. Nie musisz stosować takich gównianych metod, żeby zrobić na mnie wrażenie.

Zaskoczenie było obopólne: Pecas czekał w landroverze obok lądowiska, skierowawszy w dół pasa cztery potężne reflektory Cibie. Nigdy nie przypuszczał, że możemy nadlecieć z tego kierunku. Przeraził się, gdy zobaczył helio za sobą. Maszyna niemal otarła się o szczyt, gotowa do lądowania. Usłyszawszy odgłos silników za plecami, Pecas włączył światła landrovera i mające po sto pięćdziesiąt watów halogenowe reflektory samochodu oświetliły pas dokładnie w chwili, gdy awionetka zaczęła zniżać lot pod samobójczym kątem tak powoli, jakby lada chwila miała runąć na ziemię. Nie wiedząc, co czynić, Pecas zrobił jedyną rzecz, jaka mu przyszła do głowy: pojechał za samolotem, aby zapewnić nam od tyłu maksymalne oświetlenie. Pas wydawał się nieskończenie długi.

Przez cały ten czas Martín podawał mi prędkość i przybliżoną odległość, jaka pozostała do końca pasa. Pecas ścigał nas z zapalonymi światłami, wzniecając chmurę kurzu, jak kowboj na koniu, próbujący złapać na łąso krowę. Helio zatrzymała się niecałe piętnaście metrów przed końcem pasa, najwyraźniej bez szwanku. Tragikomicznym akcentem zakończyła się jazda Pecasa, który – pędząc tuż za nami – stracił kontrolę nad kierownicą i minąwszy prawe skrzydło awionetki, zjechał z pasa i ugrzązł w piachu.

Nie było czasu na gratulacje. Martín zeskoczył na ziemię i pobiegł sprawdzić, czy Pecasowi nic się nie stało. Ten zdziwił się na widok nieznanego, który ścisnął go, mówiąc:

– Jesteś bardziej szalony niż Remy, ale zasługujesz na medal.

Pecas, uściskawszy mnie na powitanie, powiedział z uśmiechem:

– Jest piękny dzień, żeby umrzeć, Remy.

– Jasne, Pecas... jasne. Ale będziemy musieli pomówić o tym, jak prowadzisz samochód – zażartowałem. – A teraz pomóż mi zabezpieczyć samolot, zanim porwie go wiatr.

Przez ponad godzinę przykrywaliśmy mające jedenaście i pół metra rozpiętości skrzydła awionetki. Musieliśmy użyć siatki maskującej. Przez cały ten czas Martín nie przestawał mówić.

– Wiesz, co mnie w tym wszystkim smuci? – spytał.

– Co?

– Że lądowanie, które właśnie zaliczyliśmy, jest technicznie niemożliwe. Chciałbym mieć to nagrane. Nikt nam nie uwierzy. A bylibyśmy sławni.

– Dobry pilot uwierzy. Wszyscy mają na koncie jakieś niewiarygodne lądowania. Nieważne, czy inni w to uwierzą, czy nie, istotne, żebyś ty wiedział, iż dokonałeś czegoś wyjątkowego. Wtedy nabiera to szczególnego znaczenia.

W końcu samolot został zabezpieczony i przykryty.

– Zrobiliśmy, co się dało.

Gdy schroniliśmy się przed deszczem i wiatrem w ziemiance, powiedziałem:

– Dzięki, Pecas. Proś, o co chcesz, a to dostaniesz.

Spojrzał na mnie rozbawiony. Rozbłysły mu oczy, gdy odparł:

– Chcę lecieć z tobą, tylko tyle...

Pomyślałem, że na to zasłużył.

– W porządku, Pecas. Jeśli przeżyjemy burzę, jutro polecisz z nami zwiedzać Las Vegas...

28.

Raiza pytała mnie czasem o moją rodzinę i dzieciństwo, lecz zawsze udzielałem jej wymijających odpowiedzi. Jednakże pewnego dnia pomyślałem, że jestem jej winien wyjaśnienia, że nie mogę unikać dłużej tego tematu. Ponieważ miałem poza tym ochotę zobaczyć Marię, zaproponowałem:

– Muszę lecieć do Wenezueli. Chciałabyś mi towarzyszyć? To będzie krótka podróż, dwu- albo trzydniowa. Poznasz kogoś z mojej rodziny i miejsc, gdzie się urodziłem.

– Tak, byłoby dobrze – mruknęła, nie podnosząc wzroku znad bonsai, któremu poświęcała całą uwagę. Zdumiał mnie jej brak zainteresowania moją propozycją. Sądziłem, że zaproszenie ją uszczęśliwi i podskoczy z radości.

– „Byłoby dobrze”? Tylko tyle? Od dwóch lat mówisz bez przerwy, że chcesz poznać wyspę, a teraz, gdy zbieram się na odwagę i cię tam zapraszam, odpowiadasz po prostu „byłoby dobrze”?

Nagle, nie bacząc na moją powagę, wybuchnęła śmiechem. Położyła na stole nożyczki do podcinania gałązek, podeszła i mnie uściskała.

– Zaskoczyłam cię? Oczywiście, że będę zachwycona. Poznam kogoś z twojej rodziny poza Marią?

– Nie sądzę. Ale tak będzie lepiej. Moja rodzina jest jak kolonia terminów: atakują i pożerają powoli wszystko, co napotkają na drodze. Zanim

zdasz sobie sprawę, zostawiają wokół pustkę. Nie chcę, żeby cię zarazili, nie zniósłbym tego.

– Kiedy polecimy?

– W ten weekend. Możemy wziąć cherokee i lecieć w piątek. Spędzimy trzy dni na wyspie i wrócimy w poniedziałek albo wtorek.

– Będzie twój dziadek?

– Raczej nie. Co roku o tej porze liczy byłdo na swojej hacjendzie.



Podczas lotu Raiza była drugim pilotem. Zanim dotarliśmy na wyspę, zrobiliśmy kilka postojów. Po wylądowaniu wynajęliśmy samochód. Po drodze pokazywałem Raizie ciekawe miejsca. Od mojej ostatniej wizyty niewiele się zmieniło, ale dla niej wszystko było nowe. W niecałe pół godziny znaleźliśmy się u bram Vista Hermosa. María, która się nas nie spodziewała, uściskała mnie i płakała z radości. Gdy przedstawiłem jej Raizę, wyściskała ją tak, jakby była jej córką, której od dawna nie widziała.

– Jesteś śliczna – powiedziała, biorąc ją pod ramię i wprowadzając do domu.

Po ponadgodzinnej rozmowie María postanowiła przygotować nam coś do jedzenia, poszliśmy więc za nią do kuchni, ponieważ nie chciała tracić mnie z oczu. Podczas posiłku rozmawialiśmy ogólnie o rodzinie, miasteczku i o nas. Wyjaśniła, jakby nigdy nic, że dziadek jest w podróży, i ubolewała, że nie pozna Raizy. Zgodnie ze starym rodzinnym zwyczajem przydzieliła jej pokój gościnny, mówiąc z przewrotnym uśmiechem:

– Vista Hermosa to bardzo duży dom. Jeśli dokuczy ci samotność, jego pokój jest trzeci po prawej...

Dziwnie się czułem w moim dawnym pokoju, zwłaszcza że byłem teraz z Raizą, która nie przestawała zadawać mi pytań na temat przedmiotów, które się w nim znajdowały.

Podczas trzech dni naszej wizyty María jakby odmłodziła. Towarzyszyła nam podczas długich spacerów. Rozkoszowaliśmy się plażą i jej doskonałą kuchnią. Pewnego razu Raiza poszła się przejść, żebym mógł porozmawiać z

María. Skorzystałem z okazji, by zapytać ją o zdrowie.

– Ja czuję się dobrze, ale twój dziadek jest bardzo chory. Stracił dużo na wadze. Miał zapalenie płuc, które prawie go zabiło. Wyzdrowiał, ale nie jest już tym samym człowiekiem. Kilka tygodni temu przyholowali jego łódź, bo dryfowała na morzu. On na niej był. Stracił przytomność i majaczył. Od tamtej pory już nie wypływa na ryby. Wezwał notariusza i sporządził testament. Wszystko zostawia tobie.

– Wiesz coś na temat mojego ojca?

– Nie. Bywał tutaj tylko twój wuj Pedro, ale kiedy dowiedział się o testamencie, więcej się nie pokazał. Sprzedał dom i wyjechał do stolicy. Myślę, że dobrze się stało. Jestem przekonana, że to on ci opowiedział, co stało się z twoją matką. Mylę się?

– Nie, Marío, ale to już bez znaczenia...

– Mam numer telefonu twojej matki, gdybyś go potrzebował. Zawsze, gdy dzwoni, chce rozmawiać z tobą. Dlaczego do niej nie zadzwonisz? Twoje rodzeństwo już skończyło studia.

– Dziękuję, Marío, ale pewne sprawy lepiej pozostawić tak, jak są. Po co miałbym do niej dzwonić? Co mogłaby mi powiedzieć? Że jest jej przykro? Myślę, że na to już za późno... Zapomnij o nich i pozwól mi cieszyć się twoim towarzystwem. Przyjechałem do ciebie.

– Dobrze, synu.



Drugiego dnia, zakładając okulary słoneczne, zaproponowałem Raizie:

– Chodź ze mną, chcę, żebyś poznała mojego starego przyjaciela.

Gdy tylko wyszliśmy z domu, wzięła mnie pod ramię. Minąwszy kilka przecznic, dotarliśmy do drzwi starego domu. Były otwarte, choć wydawało się, że nikogo nie ma. Pod ścianą izby stało krzesło z drewna i skóry, a ucięty równo pień drzewa służył za stolik. Na jego blacie czekały na gospodarza niewielki nóż i cynowy kubek. Zawołałem od drzwi:

– Hej! Jest tu ktoś?!

Po kilku sekundach pojawił się Calisto.

– Słucham.

– Przepraszam, czy to tutaj mieszka staruszek, który gotuje i zjada dzieci?

Podszedł do nas zaciekawiony, marszcząc brwi. Gdy był w odległości kilku kroków, spytał:

– Co pan powiedział?

Zdjąłem okulary, spojrzałem mu w oczy i powtórzyłem z uśmiechem pytanie.

Gdy mnie rozpoznał, wyraz jego twarzy natychmiast się zmienił, a oczy rozbliły z radości.

– Co za bzdury! A choćbym nawet kilkoro zjadł... Najwyraźniej jakieś się uratowały...

Chwycił mnie w ramiona i uściskaliśmy się serdecznie. Potem przedstawiłem mu Raizę.

– Calisto, przedstawiam panu moją narzeczoną. Przyprowadziłem ją, żeby poznała najlepszego rzemieślnika na wyspie.

– Witaj w moim domu, córko. Wejdz, proszę. Mimo tej propagandy zapewniam, że nikt cię tutaj nie zje...



Po południu zabrałem Raizę na spacer po plaży, żeby pokazać jej miejsca, gdzie się bawiłem. Morze było spokojne, a fale zostawiały na brzegu ślady białej piany. Raiza powiedziała z pięknym uśmiechem:

– Uwielbiasz morze, widać to w twoich oczach.

– Jak można go nie uwielbiać? To ucieleśnienie harmonii. Przypomina nas dwoje: zgodny ruch przeciwstawnych nurtów albo... rozkoszne rytmiczne falowanie twoich bioder – zażartowałem.



Towarzystwo Raizy złagodziło moje spotkanie z przeszłością. Skoncentrowałem się na miłych wspomnieniach. Czas mijał szybko i w pewnym momencie mieliśmy ochotę zostać dłużej, ale zaczął się sezon huraganów i na najbliższe dni zapowiadano burze.

Postanowiliśmy więc wracać.

María żegnała nas ze łzami w oczach.

– Dzięki, że dodaliście starej kobiecie otuchy. Chcesz zostawić jakąś wiadomość dla dziadka?

– Przekaż mu tylko, że było nam tu bardzo dobrze...

29.

Zadzwoił telefon. Była czwarta rano czternastego sierpnia 1971 roku. Otworzyłem oczy i usiadłem na łóżku. Raiza spała głęboko. Jej włosy spływały po poduszce. Mruczając „słucham” do słuchawki, spostrzegłem, że oświetlone akwarium w kącie sypialni stało się podwodnym grobowcem. Ostatnia złota rybka unosiła się nieruchomo na powierzchni wody, zwiastując zły dzień. Rozpoznałem w słuchawce głos José Egoziego, który spytał:

- Nie śpisz?
- José, to najbardziej idiotyczne pytanie, jakim można budzić człowieka o tej porze. Co się dzieje? Ktoś umarł?
- Potrzebujemy cię za dwadzieścia minut na lotnisku.
- Niemożliwe. Mam koło siebie piękną kobietę, która bardzo się zezłości, jeśli obudzi się sama. Poza tym – dodałem, patrząc na martwą rybę w akwarium – muszę wziąć udział w pogrzebie drogiej mi osoby.
- Kto umarł?
- Złota rybka Raizy.
- Bardzo zabawne. Wyrazy współczucia. Powiedz Raizie, że mamy awaryjną sytuację.

Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości: chodziło o coś ważnego. Przestałem żartować i spytałem:

- To długa podróż? Strój polowy czy galowy?
- Lecisz bardzo daleko. Zabierz wszystko, czego potrzebujesz na tydzień w terenie.

– W porządku, wychodzę za parę minut.

Raiza, którą obudziła nasza rozmowa, wstała i mnie pocałowała.

– Zrobię ci kawę.

Wziąłem zimny prysznic, który pomógł mi zebrać myśli. Curtis miał tego dnia urodziny i byliśmy zaproszeni na przyjęcie, lecz los zmusił mnie do zmiany planów. Kiedy wyszedłem z łazienki, Raiza podała mi filiżankę kawy i wskazała swoją ulubioną rybkę.

– Pojadę z tobą na lotnisko – oznajmiła.

Nie zamierzałem jej od tego odwozić. Miło było mieć kogoś, kto się o mnie troszczył, a poza tym chciałem skorzystać z okazji, by się usprawiedliwić, że zostawiam ją samą. Dopiero przed paroma tygodniami kupiliśmy mieszkanie w San Diego, na wybrzeżu. Raiza je urządzała. To była druga noc, którą tam spędzaliśmy, i nie mieliśmy jeszcze okazji się nim nacieszyć ani pospacerować po plaży.

Podszedłem do szafy, gdzie trzymałem walizkę, wrzuciłem do niej parę rzeczy, zabrałem pistolet Sig Sauer 9 milimetrów i po kilku minutach jechaliśmy na lotnisko. Raiza prowadziła, a ja nastawiłem radio na częstotliwość wieży kontrolnej. Przejąłem ten zwyczaj od Curtisa. Jechała bez słowa, od czasu do czasu się do mnie uśmiechając. Zdawała sobie sprawę, że wiele moich podróży wiąże się z ryzykiem, ale wołała nie pytać.

– Bardzo mi przykro, że zostawiam cię samą.

– Kiedy wrócisz?

– Nie wiem. Najpóźniej za tydzień.

Dotarliśmy na cywilny terminal. Zanim wysiadłem, uściskała mnie i przypomniawszy sobie coś, powiedziała:

– Zaczekaj. – Wyjęła z kieszeni łańcuszek z małym kluczykiem i zawiesiła mi go na szyi. – Twój amulet. – A potem szepnęła mi do ucha: – Obiecuj mi, że wrócisz.

Pocałowałem ją.

– Nie martw się... ja zawsze wracam...



Alberto i José czekali już na mnie na lotnisku. Alberto był jak zawsze opanowany i elegancki, José, zwyczajowo w ciemnych okularach, stał

zdeenerwowany w drzwiach. Posłałem całusa Raizie i weszliśmy na teren terminalu.

– José, widziałeś się w lustrze? Masz potargane włosy.

– To z powodu gonitwy myśli – wtrącił żartem Alberto.

– I co? Jesteś gotowy? – spytał José.

– Ja tak, ale ty wyglądasz z tymi podwiniętymi rękawami, jakbyś szykował się do zmywania z siebie win. A w tych ciemnych okularach o czwartej rano nie przejdiesz niezauważony.

– I kto to mówi? Przyjeżdżasz tu z dziewczyną o tak pięknych szmaragdowych oczach, że wszyscy się za nią oglądają, mężczyźni się ślinią, a kobiety umierają z zazdrości. Każ jej nosić ciemne okulary, żeby nie zwracano na was uwagi, zanim zaczniesz robić mi wymówki.

– Czepiaj się swojego patrona, a nie mojego anioła stróża. Dokąd lecimy?

– Na Wschodnie Wybrzeże. Musimy zabrać kogoś z Miami, a potem lecimy do La Paz w Boliwii.

– Plan lotu?

– Już zatwierdzony. Prognoza pogody przewiduje bezchmurne niebo i tylny wiatr przez połowę drogi. Możemy natychmiast startować.

– Mamy wszystko, czego potrzebujemy, José?

Alberto, który wiedział, co mam na myśli, odparł żartem:

– Nie wiem. Chyba zapomnieliśmy o cytrynach...

– Cholera! José, ile razy mam ci mówić, że muszę wiedzieć o tych sprawach z wyprzedzeniem? Zapomniałeś o cytrynach? – zrugalem go z uśmiechem.

Te przekomarzania stanowiły część jednego z naszych wielu rytuałów. Podczas drugiego wspólnego lotu José uparł się, że nie wystartuje, bo nie ma cytryn do tequili. Musieliśmy czekać, aż przekona właściciela kafejki na lotnisku, by mu kilka sprzedał. Nasz samolot miał już zgodę na start i kontroler skarcił mnie za opóźnienie. Tymczasem learjet z włączonymi silnikami spalał bezcenne paliwo. Kiedy wreszcie odlecieliśmy, powiedziałem: „Te cytryny kosztowały nas czterysta dolarów”.

Od tamtej pory zawsze przed startem przypominaliśmy mu o cytrynach.

Alberto wskazał z uśmiechem walizeczkę należącą do José.

– Ten cwaniak na pewno wszystko tam ma: cytryny, dwie butelki tequili Cuervo, orzeszki ziemne i chipsy na lunch.

– Jasne, że jestem przygotowany. Mamy nawet wodę – potwierdził poważnie José.

Nauczyłem się już, że jeśli chcę współpracować z Albertem, muszę to robić z wyczuciem. Był nieprzewidywalny. Nie istniała recepta, która pozwoliłaby domyślić się, co zrobi. Jego kluczem do sukcesu była improwizacja, inteligencja i talent.

– Mam ze sobą siga – przyznałem się.

– José go przemyci. My idziemy do działu operacyjnego.

Po załatwieniu ostatnich formalności i dokonaniu przeglądu learjeta wsiedliśmy na jego pokład. W ciągu paru minut byliśmy gotowi. Po upływie trzech kwadransów od telefonu José dostaliśmy zezwolenie na start.

Gdy nabieraliśmy wysokości, przez chwilę mieliśmy przed oczami oświetlone San Diego. Zdolność osiągnięcia w krótkim czasie wysokich pułapów stanowiła jedną z zalet learjeta. Niebawem lecieliśmy na wschód, w kierunku Nowego Orleanu, z prędkością ponad pięciuset mil na godzinę. Tylko tam mieliśmy lądować po drodze, aby uzupełnić paliwo i zjeść śniadanie, zanim dotrzemy do Miami po naszego tajemniczego pasażera.

Podczas lotu José wyjaśnił mi, na czym polega nasze zadanie:

– Zabierzemy do domu syna wysokiego rangą boliwijskiego wojskowego.

– Jaka jest sytuacja w Boliwii?

– Krytyczna. Generał Juan José Torres, dowódca sił zbrojnych, niecały rok temu został prezydentem kraju. Miał poparcie części wojska i szerokich kręgów społeczeństwa.

– Chwileczkę, José, przyznaję się do ignorancji w kwestii życia politycznego Boliwii i nie mogę analizować tego, co mi opowiadasz. Włączyłem automatycznego pilota, więc teraz zamieniam się w słuch.

– Chcesz wersję oficjalną, skróconą czy osobistą?

– Każdej po trochu.

– Zacznijmy od tego, że w kraju panuje chaos. Zamachy stanu, dokonywane przez siły oscylujące między populistycznym nacjonalizmem a wojskowym autorytaryzmem, następują jeden po drugim. W zeszłym roku grupa

pod przywództwem generała Ovando znacjonalizowała ropę i platformy w Zatoce. Zainstalowali pierwsze państwowe piece do wytopu cyny i przedstawili nowy plan wewnętrznego rozwoju kraju.

– I dlatego Wuj Sam się martwi? Z pewnością nie życzy sobie, żeby zarażyły się tymi pomysłami sąsiednie państwa.

– Założenia wojskowych nie były złe. Ich strategia przewidywała po raz pierwszy, że kraj powinien się rozwijać o własnych siłach, a współpraca z zagranicą miała pełnić tylko funkcję uzupełniającą. Równocześnie wojskowi zdali sobie sprawę, że zasoby naturalne Boliwii są wysysane przez międzynarodowe spółki. Chcieli udowodnić, że kraj nie może się rozwijać pod rządami boliwijskich przedsiębiorców manipulowanych przez obcy kapitał i że wzrost gospodarczy zapewni jedynie patriotyczny ruch, gotowy do dokonania transformacji kraju i zaprowadzenia sprawiedliwości społecznej.

– Naiwne mrzonki – mruknął Alberto.

– Wielu myśli podobnie jak ty, ale to wcale nie taki niedorzeczny pomysł, jeśli weźmiemy pod uwagę, jak dużo jest na świecie rządów i ruchów opartych na patriotycznych ideach. Juan Velasco Alvarado w Peru, Salvador Allende w Chile, nie zapominając o Castro, Wietnamie i Algierii. Rozumiesz, dlaczego Waszyngton chce szybko stłumić tę rebelię?

– A jak zamierzają to zrobić? Bagnetami?

– Oligarchowie z Santa Cruz przyłączyli się do właścicieli kopalń planujących zamach stanu. Chcą zapobiec nacjonalizacji.

– Nie sądzę, żeby lewica czekała z założonymi rękami.

– Lewicowcy z zagranicy popełnili błąd, zwalczając Ovanda. Armia Wyzwolenia Narodowego utworzyła oddziały partyzanckie, zamierzające zniszczyć siły zbrojne, przez co wojskowi przeszli na drugą stronę. Komunistyczna Partia Chin zajęła ziemie w imię maoistowskiej rewolucji, a stanowiska moskiewskich komunistów są niepewne i sprzeczne. Torres próbował powstrzymać atak Pentagonu. Informacje, które do nas docierają, mówią o chaosie i starciach na ulicach. Kontrolowane są prasa, drogi i lotniska. Sytuacja jest nie do zniesienia.

– A jaką my odgrywamy w tym wszystkim rolę?

- Bardzo znaczącą. Młody człowiek, którego zabierzemy z Miami, to syn jednego z wojskowych, kandydata na prezydenta Boliwii.
- To bardzo interesujące, ale jeśli dobrze zrozumiałem, mamy zabrać tego chłopaka do Boliwii. Skoro panuje tam chaos i lotniska są w rękach władz, gdzie, do diabła, wylądujemy? Nie sądzę, żeby przyjęli nas z otwartymi rękami i rozłożyli czerwony dywan.
- Nie wylądujemy na lotnisku El Alto de La Paz ani w Santa Cruz, tylko w San Javier, dwieście czterdzieści kilometrów od Santa Cruz de la Sierra.
- Jesteś pewny, że nas tam przyjmą?
- *No problem*, wszystko jest załatwione.



Po przybyciu na lotnisko w Miami poprosiłem o uzupełnienie paliwa. Alberto zajął się samolotem, a ja skierowałem się do stanowiska działu operacyjnego, żeby potwierdzić lot do Panamy, co oznaczało przelot nad Kubą. Musiałem wypełnić szczegółowy plan lotu i wysłać go faksem do Hawany. Kubańscy kontrolerzy lotów są bardzo uczynni i dysponują nowocześniejszym systemem radarów niż Amerykanie. Nad Kubą istnieją trzy korytarze powietrzne: Girón, który przebiega bezpośrednio nad Zatoką Świń i wziął swą nazwę od plaży Girón; Maya, korytarz centralny, oraz Nuevas, nad miastem Nueva Gerona. Nad Kubą wolno przelatywać tylko tymi trasami. Opuszczenie ich bez zezwolenia uznaje się za naruszenie przestrzeni powietrznej kraju. Samolot jest zmuszany do lądowania i przeszukiwany, a pilotowi grożą poważne sankcje. Przewidując długą podróż, po złożeniu wszystkich podań postanowiłem pójść do toalety, napić się kawy oraz kupić kilka tabliczek czekolady i butelkę tequili Cuervo dla José.

Gdy wróciłem, napełniono już z samochodu cysterny zbiorniki paliwa. Skorzystałem z okazji, by przed kontynuowaniem lotu dokonać przeglądu maszyny z zewnątrz. Wszedłszy po schodkach do kabiny, zobaczyłem szczupłego młodzieńca w wieku około siedemnastu lat. Mój widok najwyraźniej go zdziwił. José, który z nim rozmawiał, przerwał w pół zdania i oznajmił nieco pompatycznie:

– Przedstawiam ci naszego kapitana.

Alberto i José zawsze doskonale się bawili, widząc miny osób, którym przedstawiali mnie jako kapitana samolotu. Nie przepuszczali żadnej okazji, by zakpić z mojego wieku.

Przywitałem chłopaka z uśmiechem.

– Cześć, witaj na pokładzie. Mam nadzieję, że jest ci wygodnie.

– Witam. Naprawdę jest pan pilotem?

– Tak mówią.

– Ile godzin w powietrzu?

– Lot potrwa jakieś sześć i pół godziny. Zrobimy dwa postoje po czterdzieści minut. W sumie około ośmiu godzin.

– Nie to miałem na myśli, tylko ile godzin wylatał pan jako pilot.

Najwyraźniej ten młody człowiek podchodził nieufnie do perspektywy ośmiogodzinnej lotu w towarzystwie obcych ludzi i zbyt młodego pilota za sterami odrzutowca. José, z typowym dla niego czarnym poczuciem humoru, stwierdził:

– To, mój przyjacielu, poufna informacja, ale możesz być spokojny, w ciągu ostatnich trzech miesięcy miał tylko trzy wypadki.

Alberto, który stał w drzwiach, podpisując kwity za paliwo, przerwał mu:

– Dość tych głupich żartów. Lepiej zapnijcie pasy. Jesteśmy gotowi.



Gdy odczytywaliśmy listę procedur kontrolnych, spojrzałem na naszego pasażera i uśmiechnąłem się do niego. Starłem się wzbudzić w nim zaufanie. W ciągu kilku minut wieża lotniska ustawiła nas w kolejce na pasie, za boeingiem 707 linii American Airlines. Po dwudziestu minutach dostaliśmy zezwolenie na start. Osiemnaście minut później osiągnęliśmy pułap lotu. José wstał i szepnął mi na ucho:

– Może pozwolimy chłopakowi być przez chwilę drugim pilotem, żeby się odprężył?

– Dobry pomysł. – Zakomunikowałem to przez słuchawki Albertowi, a ten skinął głową.

– Chciałbyś mnie na chwilę zastąpić? – spytał Alberto, wstając z fotela.
– No nie wiem – odparł nieśmiało chłopak. – Ale chętnie zobaczyłbym z bliska kabinę.

– Chodź tu i zajmij moje miejsce – powiedział.

Chłopak usiadł, założył słuchawki i stwierdził z entuzjazmem:

– Sporo tu przyrządów. To robi wrażenie. Ile jest przycisków?

– W sumie ponad sto. Ale nie ma czego podziwiać. Wiele jest zdublowanych. Podstawowe przyrządy się powtarzają.

– Dużo ich. Jak można to wszystko zapamiętać i się nie pomylić?

– Łatwiej, niż sobie wyobrażasz. Przyciski dzielą się na sektory: silniki, nawigacja, łączność, podwozie i tak dalej.

– Mam wrażenie, że stoimy w miejscu. Który wskaźnik pokazuje poziom paliwa?

– Jesteśmy na wysokości ponad trzydziestu jeden tysięcy stóp. Lecimy bardzo wysoko, nad chmurami, dlatego prawie nie odczuwa się prędkości. Wskaźnik paliwa to trzeci w grupie tych mniejszych, po twojej lewej. Widzisz te pojemniki przytwierdzone do końców skrzydeł? To tak zwane *tip tanks*. Dodatkowe zbiorniki paliwa o pojemności trzystu sześćdziesięciu czterech galonów, dzięki którym można dolecieć dalej bez międzylądowania.

– Rozpraszam pana pytaniami?

– Nie, ale zawrzyjmy układ, dobrze? Po każdej mojej odpowiedzi zadam ci jedno pytanie na twój temat.

– O co chce pan najpierw spytać?

– Pierwsze pytanie jest proste: jak się nazywasz? Nie znam nawet twojego imienia. Ktoś zapomniał nas sobie przedstawić.

– Mam na imię Alex. Miło mi pana poznać. Teraz moja kolej. Jak opracowuje się plan lotu?

– Przed startem zapoznaje się z nim wieża kontrolna. Jest tam wyszczególnione wszystko: numery samolotu, nazwiska załogi i pasażerów, ładunek. Określamy miejsce docelowe, trasę przelotu, prędkość, alternatywne lotniska oraz datę i przybliżoną godzinę startu. Informacje te docierają do kontrolera lotów poprzez ekran systemu zwanego Siecią Telekomunikacyjną Ruchu

Powietrznego. Pierwszymi ruchami samolotu kierują naziemni kontrolerzy lotniska, kontaktujący się ze stojącymi na pasie maszynami na specjalnie wyznaczonej częstotliwości. Wskazują nam, z którego bocznego pasa mamy korzystać, informują, gdzie kołować, i udzielają zezwolenia na start. Potem przekazują nas kontrolerowi, który nadzoruje manewr wznoszenia się maszyny, patrząc na ekran radaru. A teraz ty odpowiedz: od jak dawna nie mieszkasz w Boliwii?

– Nigdy tam nie mieszkałem, ale bywałem w tym kraju. Moja matka pochodzi z Austin w Teksasie i prawie zawsze mieszkałem z nią. Teraz studiuję nauki polityczne i społeczne w Waszyngtonie.

– Sądziłem, że jesteś Boliwijczykiem.

– Ze strony ojca, ale urodziłem się w Teksasie. Moi rodzice poznali się, gdy ojciec studiował w Szkole Wojsk Pancernych w Fort Hood.

– Masz rodzeństwo?

– Wiem, że mam dwóch braci i dwie siostry, ale ich nie znam. Zdaje się, że ojciec dlatego mnie wezwał. Chce przedstawić mi rodzeństwo. Chyba boi się, że umrze albo go zabiją, nim zdąży to zrobić. Jakie informacje pojawiają się na ekranie kontrolera?

– Typ samolotu, jego numery identyfikacyjne, kierunek lotu, wysokość i prędkość. To podstawowe dane. Szerokie pasmo wykazuje także miejsce wylotu i lotnisko docelowe. Na przykład my widzimy teraz na ekranie jako learjet lecący z prędkością pięciuset trzydziestu siedmiu węzłów, na określonej wysokości, w kierunku Panamy. Przelatując nad Kubą, przestawimy radio na częstotliwość kontrolerów kubańskich, a potem na CENAMER, Centrum Kontroli Powietrznej Ameryki Środkowej w Hondurasie. Będą nas mieli pod kontrolą, aż zaczniemy zniżać lot, zbliżając się do celu. Masz ochotę na spotkanie z ojcem?

– Tak. Jest pułkownikiem i przygotowuje zamach stanu czy coś w tym rodzaju...

Wskazał konsolę i spytał:

– Które przyrządy są najważniejsze? Tyle ich jest...

– Najważniejsze są dokładnie przed tobą. Dostarczają czterech rodzajów danych: na temat silników, sprzętu pokładowego, nawigacji i łączności.

Przez następne pół godziny kontynuowałem tę dziwną wymianę informacji z Alexem. Przerwała nam tylko rozmowa z kontrolerem kubańskim i późniejsza zmiana częstotliwości na centrum CENAMER.

Niestrudzenie zadawał mi pytania, ale w pewnym momencie podniósł wzrok i zobaczywszy, że w oddali coś błyszczy, przerwał moje wyjaśnienia:

– Co to jest?

Spojrzałem w kierunku, który wskazywał Alex. Zdziwiony, natychmiast z skontaktowałem się kontrolerem.

– Wieża, tu lear jeden-trzy-Sierra. Macie dla nas informacje o jakiejś maszynie w pobliżu?

Jednym z zadań centrów kontroli jest informowanie pilotów o znajdujących się w pobliżu samolotach, a nie otrzymaliśmy na ten temat żadnego komunikatu.

– Jeden-trzy-Sierra, odpowiedź negatywna. Widzę w pobliżu was na ekranie tylko samolot Braniff L-dziesięć-jedenaście, ale jest z tyłu, na godzinie szóstej, w odległości trzydziestu mil. Na dwunastej macie amerykański DC-dziewięć, odległość sześćdziesiąt mil. Proszę zostać na nasłuchu. Rzucę okiem na szerokie pasmo. Odbiór.

– Wieża, mam samolot na godzinie drugiej, nieco nad sobą i chyba niża lot. Odbiór.

Choć się starałem, nie udało mi się zidentyfikować tej maszyny. Alberto i José, którzy słuchali ze swoich miejsc mojej rozmowy z wieżą, podeszli bliżej i spoglądali w niebo. Alex zdał sobie sprawę, że dzieje się coś niezwykłego, i ustąpił miejsca Albertowi.

– Lear jeden-trzy-Sierra, przyjąłem. Widzę teraz obiekt w pobliżu waszej pozycji. Proszę zaczekać, sprawdzę przestrzeń pod wami.

– Wieża, obiekt nie jest pod nami. Znajduje się teraz na godzinie pierwszej, niemal dokładnie na wprost i obniża wysokość.

– Lear jeden-trzy-Sierra, mógłby pan określić, co to za samolot?

– Nie. Nie widzę wyraźnie sylwetki.

– Lear jeden-trzy-Sierra. Zmniejsz prędkość do trzy-pięć-zero i zejdź na pułap dwadzieścia dziewięć.

- Schodzę na dwadzieścia dziewięć tysięcy. Samolot nadal się zbliża. Wygląda, jakby miał zapalone światła lądowania. Leci wprost na nas!
- Lear jeden-trzy-Sierra, zmień kurs na dwa-dwa-zero. Natychmiast!



Wydawało się, że kolizja jest nieunikniona. Sekundę przed wykonaniem skrętu zobaczyłem wyraźnie nos miga 21, który prześlizgnął się tuż obok nas. Przeleciał tak blisko, że gdyby pilot nie był w masce, ujrzałbym zapewne jego twarz.

Nagle dał się słyszeć głos pilota innej maszyny:

– Wieża, tu Braniff trzy-pięć-pięć, mamy przed sobą w polu widzenia obiekt lecący w dół, prawdopodobnie poniżej pułapu dwadzieścia siedem. Chwileczkę... już zniknął.

- Braniff trzy-pięć-pięć możecie zidentyfikować tę maszynę?
- Nie. Nie była dość blisko.
- Lear jeden-trzy-Sierra. Czy chcecie zgłosić ten incydent?

Alberto i ja spojrzeliśmy na siebie porozumiewawczo. Samolot przeleciał bardzo blisko. Mieliśmy obaj pojęcie, o co chodzi, ale nie było to miejsce ani pora, żeby informować wieżę o kubańskim UFO.

- Nie, nie chcemy.
- Braniff trzy-pięć-pięć, mam zarejestrować, co się wydarzyło?
- Nie, my też nie zamierzamy niczego zgłaszać.
- Lear jeden-trzy-Sierra, czy chcecie złożyć jakikolwiek raport?
- Nie. Prawdę mówiąc, nie wiedziałbym, co powiedzieć – odparłem. –

Proszę o zezwolenie na powrót na pułap trzydziestu jeden tysięcy.

– Lear jeden-trzy-Sierra, my też byśmy nie wiedzieli. Postaramy się doprowadzić was bezpiecznie do celu. Zezwalam na powrót na trzydzieści jeden tysięcy. Pomyślnego lotu.

- Wieża, dziękujemy za pomoc.

Alberto odwrócił głowę i zobaczył, że José i Alex stoją w drzwiach kabiny. José nie mógł się powstrzymać i spytał:

- Co to było, do cholery?
- Nie mam pojęcia. Chyba zwiadowczy mig. Ustal pozycję i zanotuj ją w książce lotu.

– Jesteśmy sto dziesięć mil morskich od wyspy Caimán Brac i przelatujemy nad Waypoint Putul. To mogła być maszyna ze strefy ograniczonych lotów R-dwadzieścia jeden na Kubie, w prowincji Camagüey. To jedyny zakazany obszar, nad którym przelecieliśmy.

– Zrób zapis w książce i wynośmy się stąd.

Incydent pobudził wyobraźnię Alexa, który spytał:

– To byli kosmici z Trójkąta Bermudzkiego?

Spojrzeliliśmy na siebie i zaczęliśmy się śmiać.

– Synu, nie zauważyłeś, że to my jesteśmy kosmitami? – spytał poważnie José.

José i Alberto bawili się kosztem Alexa, dlatego próbowałem wyjaśnić mu, co się stało.

– Alex, jak pewnie się zorientowałeś z mojej rozmowy z kontrolerem CENAMER, samolot, który nad nami przeleciał, oficjalnie się nie ujawnił. Moim zdaniem to był kubański mig. Przelatywaliśmy nad Kubą, a ponieważ ich radary kontrolują dokładnie przestrzeń powietrzną, nic dziwnego, że wysłali jedną ze swoich maszyn, żeby napędzić nam strachu. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Mają bazę danych z numerami amerykańskich samolotów. Pamiętaj, że wystartowaliśmy z Miami, a tam są dziesiątki szpiegów, którzy zajmują się wyłącznie śledzeniem wszelkich dziwnych działań. Znają nasz plan lotu i wiedzą, że lecimy do Boliwii. Krótko mówiąc, spełniamy wszystkie niezbędne warunki, by wzbudzić ich ciekawość, dlatego wysłali miga, żeby zrobił nam zdjęcie.



Postój w Panamie trwał bardzo krótko. Samoloty ze Stanów cieszyły się pewnymi przywilejami, między innymi korzystały z pierwszeństwa obsługi. Generał Omar Torrijos, który rok wcześniej przejął władzę, rozumiał znaczenie amerykańskiej pomocy. Jednym z jego pierwszych posunięć było mianowanie Manuela Antonia Noriega szefem tajnych służb, przez co zaczął budzić postrach w całym kraju. José Egozi miał na ten temat sprecyzowane zdanie. Dużo później przypomniałem sobie jego słowa: „To nie Torrijos rządzi silną ręką, tylko Noriega, neurotyk, zdolny zabić własną matkę,

gdyby to otwierało mu drogę do władzy”.

Napełniwszy zbiorniki paliwa, wystartowaliśmy z Panamy w kierunku Rio Branco w Brazylii. Pokonanie dwóch tysięcy czterystu trzydziestu kilometrów miało nam zająć około trzech godzin. Gdy tylko osiągnęliśmy pułap lotu, Alberto, mrugnawszy do mnie porozumiewawczo, zaproponował Alexowi, by zajął jego miejsce.

Nasza rozmowa wróciła na poprzednie tory. Było jasne, że CIA i amerykański rząd interesują się tym młodzieńcem, więc chcieliśmy dowiedzieć się jak najwięcej na jego temat.

– Tam w dole jest mnóstwo wysp – zauważył z zaciekawionym. – Nad jakimi przelatujemy teraz?

– To archipelag Las Perlas. Składa się z trzydziestu dziewięciu dużych wysp, ponad sześćdziesięciu mniejszych i wielu wysepek. Ich mieszkańcy zajmują się hodowlą pereł. Po mojej stronie widać prowincję Darién i jej stolicę La Palm.

Alex nie mógł tego zobaczyć ze swojego fotela, chyba że zmieniłbym kurs albo przechylił maszynę. Tak jak się spodziewałem, spytał:

– Nie mam szans spojrzeć na tamtą stronę?

Rzuciłem okiem na José, który ze szklanką w ręku prowadził ożywioną rozmowę z Albertem, i ostrzegłem głośno:

– Przechył!

Alex popatrzył na mnie zdumiony, nic nie rozumiejąc. Usłyszałem protest José:

– Cholera!

Natychmiast przechyliłem samolot w lewo. Lear, mając moc silników myśliwca, mógł wykonywać szybkie manewry. Wszystko, co nie było przymocowane, zsunęło się na lewą stronę. Spytałem Alexa, czy widzi miasto.

– Teraz tak. A co to za góry?

– Należą do masywu Darién. Ciągną się aż do granicy z Kolumbią. Najwyższy szczyt to Tacaracuna. Ma ponad dwa tysiące metrów wysokości.

Gdy wyrównywałem lot, José protestował, a Albert się śmiał.

– Bardzo zabawne. O mało nie wylałem na siebie tequili. Nie rób więcej takich gównianych sztuczek!

– Bzdura – stwierdził Alberto. – Zanim zdążyłeś krzyknąć „przechył!”, już wszystko wypił.

– Alex, teraz ty mi odpowiedz na pytanie. Wierzysz, że twój ojciec zrobi coś, żeby zmienić sytuację w kraju?

Chłopak milczał przez chwilę. Nie wiem, czy zastanawiał się nad odpowiedzią, czy rozmyślał o ojcu, ale w końcu odparł:

– On... chce być Boliwią albo sprawić, żeby Boliwia była nim.

– Chyba nie bardzo się z nim zgadzasz. Czego od niego oczekujesz?

– Dokładnie nie wiem. Może wolałbym, żeby nie był reakcjonistą, żeby walczył o dobro narodu, jak Che.

– Wyjaśnij mi to.

– Chciałbym, żeby tak jak Che zrezygnował ze wszystkich stanowisk i przywilejów i prowadził walkę o radykalne zmiany społeczne.

– Znasz dobrze historię Che?

Znów zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział:

– Wie pan, dlaczego w ciągu stu pięćdziesięciu sześciu lat dziejów Republiki Boliwii było sto osiemdziesiąt sześć zamachów stanu?

– Bo wszyscy chcą kontrolować jej bogactwa naturalne. Sądzisz, że Che zdołałby cokolwiek zmienić? – nie dawałem za wygraną.

– Moim zdaniem Che był przekonany, że Boliwia jest tym krajem Ameryki Południowej, w którym istnieją najlepsze warunki do przeprowadzenia socjalistycznej rewolucji, by za pośrednictwem partyzantki rozprzestrzeniła się na cały kontynent. Najbardziej imponuje mi niezłomność jego poglądów. Gdyby Komunistyczna Partia Boliwii mu pomogła, wszystko potoczyłoby się inaczej, nie sądzi pan?

Przez chwilę nie byłem w stanie nic powiedzieć. José i Alberto, siedzący niecałe dwa metry ode mnie, znali moją sympatię dla Che. Wiele razy dyskutowaliśmy na jego temat. Nasze punkty widzenia były odmienne. Oni, jako kubańscy uchodźcy, zajmowali stanowiska typowe dla przedstawicieli klasy panującej, podczas gdy ja, jak wielu młodych, podziwiałem Che za to, z jaką siłą bronił swoich rewolucyjnych idei. W learjecie, którego pilotowałem

na wysokości ponad trzydziestu tysięcy stóp, siedzieli ludzie o skrajnie różnych poglądach. Zanim odpowiedziałem, zastanowiłem się chwilę. Co pomyślałby Alex, gdyby wiedział, że towarzyszący mu w samolocie José Egosi jest przyjacielem Félixa Rodrígueza, agenta CIA kubańskiego pochodzenia, który organizował zasadzkę na Che, doprowadzając do jego zranienia i pojmania? Rozważywszy to, odparłem:

– Historia jest pełna sprzeczności, Alex. Twój ojciec zamierza zostać nowym prezydentem Boliwii, a ty podziwiasz Che. Ja też szanuję jego i jego idee, ale pomagam ci dotrzeć do ojca, przez co pośrednio staję się jego współnikiem. Nie zrozum mnie źle, ale sądzę, choć przyznaję to ze smutkiem, że prawdziwi bohaterowie, tacy jak Che, powinni ginąć w akcji, a nie umierać w łóżku ze starości albo z powodu choroby. Urodzili się, by być idolami, i są niewygodni dla każdego systemu. Dokądkolwiek pójda, będą zbuntowanymi czarnymi owcami, gotowymi budzić świadomość stada. Są postrachem rządów. Nie z powodu posiadanej broni czy rewolucyjnych idei, lecz dlatego, że potrafią poruszyć masy. Che zawsze będzie przykładem człowieka, który pozostał wierny swym ideałom i zginął, broniąc zasad społecznej równości.

Usłyszawszy moje słowa, José zaskoczył mnie, włączając się do rozmowy. Powiedział coś, o czym nigdy nie wspomniał podczas naszych dyskusji.

– Wiesz, jakie były ostatnie słowa Che, wypowiedziane do szefa ludzi, którzy go pojмали? „Dzięki... Ubolewałbym, gdyby nie spotkała mnie tak piękna śmierć...”.

Gdy wracaliśmy, spytałem José, czy Che rzeczywiście tak powiedział, czy sam to wymyślił. Nie usłyszałem odpowiedzi.

Jego milczenie przekonało mnie, że wspomniał mu o tym jedyny człowiek, który mógł słyszeć te słowa: Félix Rodríguez.



– Polecimy bezpośrednio do San Javier. Chciałbym, żebyś opowiedział mi o tym mieście.

– San Javier to inaczej Misje Jezuickie. Hiszpańscy jezuici w czasach kolonialnych prowadzili tam ewangelizację. Mój ojciec urodził się w

Concepción, w pobliżu San Javier. Zbudowano tam piękne kościoły. W Wielkim Tygodniu przybywają do nich tłumy.

Przez większą część trzygodzinnego lotu do Rio Branco rozmawialiśmy o poglądach Alexa na to, co działo się w kraju. Mimo młodego wieku był świadomy, iż rzeczywistość nigdy nie dostosowuje się do marzeń, lecz marzenia dopasowują się do rzeczywistości.

W Rio Branco zatankowaliśmy i rozprostowaliśmy nogi, podczas gdy José potwierdzał, że na którymś lotnisku wylądujemy. Dwie godziny później wystartowaliśmy w kierunku Santa Cruz de la Sierra. Po drodze napięcie rosło w miarę, jak słuchaliśmy przez radio wiadomości o panującym w kraju chaosie. Jednak gdy byliśmy dwadzieścia minut przed Santa Cruz, dotarł do nas oczekiwany komunikat: kazano nam obrać kurs na lotnisko San Javier.

Brakowało jeszcze paru minut do lądowania, ale pożegnaliśmy się z wczesną z naszym pasażerem. Mieliśmy instrukcje, by po wylądowaniu podjechać do końca pasa i czekać, aż wojskowy patrol odbierze chłopca.

- Dziękuję, że mnie pan przywiózł i pozwolił siedzieć obok siebie.
- Dzięki, że byłeś moim drugim pilotem. Pilnuj się.

Podczas lądowania zauważyłem, że na poboczu przy końcu pasa czekają dwa wojskowe pojazdy. Otrzymałszy potwierdzenie przez radio, zatrzymałyśmy samolot bardzo blisko nich i otworzyliśmy drzwi. Stało tam kilku żołnierzy z oficerem oraz Amerykanin, który przywitał wylewnie José. Przedstawił się jako Hugo. Dowiedziałem się potem, że był szefem CIA w Boliwii.

Nie wiem, co działo się potem z Alexem.

Trzy dni później generał Hugo Bánzer Suárez wrócił potajemnie do kraju z wygnania w Argentynie. Z Santa Cruz przewieziono go samolotem do La Paz, do koszar karabinierów, którzy natychmiast podburzyli do buntu jego zwolenników i sympatyków, co dwudziestego pierwszego dnia zakończyło się przejęciem rządów przez juntę wojskową i mianowaniem Suáreza nowym prezydentem republiki.

Alberto i José uzyskali „specjalne” zezwolenie na eksport do Stanów Zjednoczonych pewnych towarów. Cztery dni później wracaliśmy ze stu pięćdziesięcioma kilogramami dodatkowego bagażu...

Hugo Bánzer Suárez rządził żelazną ręką przez siedem lat. Byłem świadkiem początku nowej dyktatury i nieświadomie przywiozłem Alexa na spotkanie ze śmiercią. Jakiś czas potem José przekazał mi wiadomość:

– Wiesz, kto nie żyje? Alex...

30.

– Co, do cholery, mamy robić w Menomonie, w stanie Wisconsin? – spytał Martín.

– Jedziemy do słynnego hodowcy psów Leerburga Kennelsa. Mamy odebrać Rexa, szczeniaka, którego Albert chce podarować Raizie jako rekompensatę za to, że wyciągnął mnie z łóżka, żebym leciał do Boliwii. Prosił, bym ja jej go dał, bo nie chce, żeby wiedziała, od kogo ten prezent. Myślę, że to niezły pomysł. Dotrzyma Raizie towarzystwa i na pewno wszędzie będzie go ze sobą zabierała.

– Rex? Tak go nazwałeś? Nie mogę uwierzyć, że zabrakło ci wyobraźni – stwierdził z sarkazmem Martín. – Zupełnie się zamerykanizowałeś. Cholera! Zrobili ci pranie mózgu. Połowa psów w Ameryce wabi się Rex. Wychyl się z okna w którejkolwiek dzielnicy i krzyknij „Rex!”, a zobaczysz, że przybiegnie z pięć psów...

– To nie pies, tylko szczeniak, i nie ja tak go nazwałem, lecz hodowca, od którego mamy go odebrać. A ponieważ jesteś niepoprawnym materialistą, powiem ci, żebyś się zamknął, iż ten pies kosztuje dziesięć tysięcy dolarów, więc przestań zrzędzić i przywyknij do myśli, że Rex poleci z nami do San Diego.

– Dziesięć tysięcy dolarów? Co on robi? Mówi? Śpiewa? Gotuje? Nie wierzę ci. Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę.

– To owczarek niemiecki z rodowodem. Hodują je i trenują w tej samej szkole, w której mają psy prezydentów i ministrów. Dają ci szczeniaka, żeby

przebywał trzy, cztery miesiące z osobą, która ma być jego właścicielem, a potem musi wrócić do szkoły, żeby go wytresowali.

– To zrozumiałe, jeśli jest prezentem od Alberta. On nie może podarować normalnego psa. Musi mieć błękitną krew i książęce wychowanie.

– To tylko szczegół.

– Pytałeś Raizę, czy lubi psy?

– Lubi bardzo. Zawsze chciała mieć psa. Ale popełniłem błąd, opowiadając jej, że w dzieciństwie musiałem porzucić Tikiego, mojego szczeniaka, i wołała nie budzić we mnie przykrych wspomnień.

– Nie myślałeś, żeby się z nią ożenić? To dobra dziewczyna, ładna, inteligentna i bardzo cię kocha. Chyba potrafiłaby zrobić z ciebie przyzwoitego człowieka – powiedział drwiąco.

Przeszyłem go wzrokiem, na co odparł, unosząc brwi:

– Cóż... nie patrz tak na mnie. To tylko jedna z opcji...



Rex przypominał mi mojego wiernego Tikiego. Odebrawszy go, dotarliśmy po długiej podróży na lotnisko w San Diego. Podpisałem zlecenie, by uzupełniono paliwo na wypadek nieprzewidzianego lotu, i rozdzieliliśmy się z Martínem, umawiając się na następny dzień, żeby pojechać samochodem do Tijuany na spotkanie z Albertem.

Było parę minut przed ósmą rano, gdy wszedłem cicho do naszego mieszkania, dźwigając w wielkim koszu śpiącego szczeniaka. Wsunąłem głowę do sypialni i zobaczyłem, że Raiza jeszcze się nie obudziła. Zostawiłem kosz w łazience obok kuchni, przygotowałem stół i położyłem na blacie pudełko z pokarmem dla psów. Narobiłem trochę hałasu i po chwili zobaczyłem, że Raiza zagląda do kuchni.

– Boże! Ale mnie przestraszyłeś. – Pocałowała mnie na powitanie i spostrzegła, co zamierzam wysypać na talerz. – Co ty robisz? Zwariowałeś? To pokarm dla psów.

– Więc będziesz musiała dać go psu, który jest w łazience...



Poranek w Tijuanie, nawet bardzo wczesny, był upalny. Czekając, aż jeden z ludzi Alberta przyniesie nam gazety, siedzieliśmy w cieniu kilka kroków od basenu w jego domu na przedmieściu. Na stoliku, obok dwóch butelek tequili Sunrise, leżały rozłożone mapy i plany lotu do Tajlandii przez Hawaje, z postojami na Wyspach Marshalla, w Sydney, Manili i Hongkongu. Zamierzaliśmy wracać przez Bahrajn, Paryż i Nowy Jork. Miała to być niemal podróż dookoła świata.

José podszedł do nas swobodnym krokiem z egzemplarzem „New York Timesa” i rzucił go na stół, o mało nie przewracając szklanek. Gazeta była otwarta na jednej ze środkowych stron. Alberto spojrział na niego zdziwiony, a potem skupił uwagę na gazecie. Nosila datę trzeciego lipca 1972 roku. Podczas gdy Alberto czytał tekst, José, wyraźnie wzburzony, wybuchnął:

– Mówiłem ci! Ostrzegałem, że nie powinniśmy ufać tym sukinsynom!

Krótką notatką informowała, że agenci FBI aresztowali w Teksasie i Luizjanie siedem osób oskarżonych o nielegalny przewóz broni, amunicji i ładunków wybuchowych do Meksyku. Przechwycono na lotnisku w Shreveport samolot DC-4, wynajęty przez Florida Aircraft Leasing, na którego pokładzie było siedem ton materiału wybuchowego C-4, tysiące metrów kabli i dwa tysiące sześćset detonatorów. Ujawniono nazwiska zatrzymanych, w tym pilota, Adlera Barrymana Seala. Prokurator generalny stanu Luizjana oświadczył, że ładunek przeznaczony był dla grupy kubańskich uchodźców, którzy przygotowywali w Meksyku akcje mające na celu obalenie Fidela Castro.

Alberto, przeczytawszy notatkę, krzyknął z wściekłością:

– Sukinsyny! Brakuje tylko naszych nazwisk.

Podczas gdy José złorzeczył na wszystko i wszystkich, wziąłem gazetę i uważnie przeczytałem wiadomość. Dużo słyszałem o Barrym. Nie znałem go, ale wiedziałem, że pilotował boeingi 707 i 747 linii TWA i pracował równocześnie dla CIA, która starała się niestrudzenie obalić Castro. Widząc pozostałe nagłówki, próbowałem uspokoić José i Alberta:

– Trzeba podziękować Richardowi Nixonowi.

– Co? – prychnął José.

– Uważam, że powinniśmy być wdzięczni Nixonowi. Odkąd dwa tygodnie temu wybuchła afera Watergate, cała prasa o nim pisze. Przed piętnastoma dniami ta wiadomość znalazłaby się na pierwszej stronie.

– Cholerni imbecyle – utyskiwał José. – Spieprzyli operację.

– Nie oszukujmy się – odezwał się Alberto. – Wiemy, co się wydarzyło i w jakich okolicznościach. Nie mamy jednak pewności, kto zawinił.

José, nie owijając w bawełnę, wyraził swoją opinię:

– Ostrzegalem cię, że powinniśmy mówić jak najmniej tym ludziom z Nowego Jorku. Słyną z tego, że za dużo gadają. Proponuję postawić sprawę jasno i przekazać im informacje, które mamy.

– Nie są wiarygodne. To tylko pogłoski. Jeśli się mylimy, możemy ich urazić i ryzykujemy konfrontację z rodziną Gambino.

José, zacisnąwszy usta, przełknął jakos odrzucenie propozycji, którą zgłosił, ale zacięty wyraz jego twarzy sygnalizował niebezpieczeństwo.

– Boisz się ich? O to chodzi?

Alberto odparował:

– Skoro jesteś przekonany, że informacja wyszła od nich, może sam im to powiesz?

– Jasne, że powiem. Zaczekaj, to się przekonasz.

Alberto szybko odzyskał panowanie nad sytuacją, przywołał Mike'a, swojego nowego ochroniarza, i polecił mu:

– Masz tutaj klucze. Idź do mojego pokoju i przynieś notes, który jest w neseserze.

Potem zwrócił się do José:

– Przede wszystkim musimy się upewnić, co się wydarzyło. Mam kod kontrolera Barry'ego z Langley. Spróbuję ustalić, co się dzieje.

Kiedy Mike się oddalił, skorzystałem z okazji, by zwrócić uwagę Albertowi, że darzy swojego nowego ochroniarza zbyt dużym zaufaniem. Mike Decker był weteranem SEAL, sił specjalnych marynarki. Alberto starał się mnie uspokoić. Powiedział, że Mike ma doskonałe referencje.

Kontroler Barry'ego z CIA rozwiał nasze wątpliwości. Barry został oskarżony o pogwałcenie prawa z 1954 roku, które wyraźnie zabraniało

eksportu broni bez zezwolenia Departamentu Stanu. Kontroler uspokoił jednak Alberta, że wkrótce wyjdzie na wolność.

Pięć dni później lecieliśmy do Tajlandii w towarzystwie dwóch przyjaciół Alberta. Po spędzeniu dwóch dni w Sydney dotarliśmy do Bangkoku. Tam dowiedzieliśmy się, że CIA użyła swoich wpływów i Barry został wypuszczony.



Mimo że wiedziałem tak dużo o losach Barry'ego, z różnych powodów nie zdążyłem go poznać. Choć korzystaliśmy z tych samych lotnisk, nigdy się nie spotkaliśmy. Don Jaime wpoił mi niezłomną zasadę, że należy zawsze pozostawać niezauważonym, i może z tego powodu nie podobała mi się jego sława. Budziła we mnie nieufność i dlatego go unikałem. Jednak któregoś popołudnia Alberto zatrzymał niespodziewanie samochód przed luksusowym hotelem w stolicy Meksyku, aby kogoś podwieźć. Tym kimś był Adler Barryman Seal.

Alberto nie musiał nas sobie przedstawiać. Znałem go już ze zdjęć i on też mnie znał. Gdy tylko rozsiadł się na tylnym siedzeniu, poklepał mnie na powitanie po plecach, mówiąc:

– Nareszcie się poznaliśmy! Nie do wiary. – Po czym zwrócił się do Alberta, który uruchamiając właśnie silnik samochodu: – Wiesz, ile razy się z tym dzieciakiem rozmijałem?

– Wiele razy – wtrąciłem. – Pan startował, a ja lądowałem, albo odwrotnie. Nawet pozdrawialiśmy się przez radio.

Nagle spoważniał i powiedział ostro:

– Nigdy więcej nie mów do mnie „pan”. Nigdy!

– W porządku.

Barry był przystojny i emanował pewnością siebie, ale nie budził zaufania. Trudno było go rozgryźć.

Po drodze spytał mnie o don Jaime i Raizę. Powiedział, że słyszał o niej od José, który był zakochany w jej zielonych oczach. Zauważyłem, że Alberto odwzajemnia szacunek, jakim darzył go Barry. Kiedy dotarliśmy do domu w kolonii Chapultepec i spytałem, co sądzi o Albercie, odparł:

– Cieszę się, że mam w nim przyjaciela. Ma bardzo złożoną osobowość, ale to dobry człowiek. I ma liczne kontakty...

Ich rozmowa dotyczyła początkowo problemów Barry'ego z FBI i jego zatrzymania, aresztowania Millera w Shreveport i tego, kto był za to wszystko odpowiedzialny. Potem omawiali najbliższe podróże do Hongkongu i Tajlandii w celu zorganizowania transferów pieniędzy między nowymi filiami banków w południowo-wschodniej Azji.

To wtedy właśnie poznałem szczegóły pewnej historii, w którą nigdy bym nie uwierzył, gdybym pośrednio w niej nie uczestniczył. Otwarty niedawno Nugan Hand Bank założyli Richard Secord, Jack Singlaub, Richard Armitage, Ted Shackley i Tomas Clines. Zasady finansowe dyktowała CIA, a mózgiem przedsięwzięcia był George Walker Bush. Barry wyjaśnił, że Nugan Hand Bank to najbezpieczniejszy bank na świecie. Wszystkie przeprowadzane tam operacje były poza kontrolą jakiegokolwiek urzędu skarbowego. W całym przedsięwzięciu brał udział Ted Shackley, ówczesny regionalny szef CIA, który, z ważnych strategicznych powodów, zawarł sojusz z generałem Vang Pao, będącym nie tylko dowódcą sił zbrojnych Laosu, ale także jednym z głównych producentów opium w południowo-wschodniej Azji.

Umowa przewidywała, że samoloty północnoamerykańskich sił powietrznych zbombardują plantacje dwóch głównych konkurentów Vang Pao. Generał chciał mieć pełną kontrolę nad produkcją opium. W zamian obiecał wyposażyć w sprzęt i wyszkolić Laotańczyków, by przecięli przebiegający przez stolicę kraju szlak zaopatrzenia Wietkongu. Z chłopakami Busha miał dzielić się częścią zysków. Tak sprecyzowano zakres szczególnego rodzaju wymiany usług.

Narkotykowy biznes zapuścił korzenie w południowo-wschodniej Azji. Ogromne sumy pieniędzy przechodziły z rąk do rąk. Z tego powodu stworzono Nugan Hand Bank. Félix Rodríguez utrzymywał bezpośredni kontakt z José Egozim i Albertem Sicilia. Ten ostatni miał poważny problem z księgowością i dlatego postanowili sobie wzajemnie pomóc. Alberto miał wpłacać część swoich dochodów na konto w filii Nugan Hand Bank, gdzie byłyby

chronione przed zazdrosnymi spojrzeniami inspektorów skarbowych z IRS. W zamian wykonywałyby specjalne zadania dla grupy w Ameryce. Krąg się zamknął.

Kiedy Alberto spytał Barry'ego, czy to solidny i poważny bank, ten, aby go uspokoić, wyjął z portfela listę nazwisk członków zarządu, który tworzyli byli agenci, współpracownicy i przedstawiciele firm, realizujący większość tajnych kontraktów dla centrali wywiadu.

Barry przekonał Alberta, że wszystko jest pod kontrolą. Zrozumiałem wówczas, dlaczego Barry przyciągał ludzi jak magnes: dawał poczucie bezpieczeństwa. Kiedy skończył z wyjaśnieniami, zmienił temat i skupił uwagę na mnie. Wiedział, że pilotuję learjeta Alberta i oznajmił z uśmiechem:

- José twierdzi, że jesteś najlepszym pilotem, jakiego zna.
- Nie sądzę, żebym był najlepszy. Robi na nim wrażenie mój wiek.
- Co ty na to, Alberto? Odważny i skromny... To mi się podoba.
- Musisz się z tym pogodzić, Barry: dzieciak don Jaime odebrał ci pierwsze miejsce – odparł ze śmiechem Alberto.
- Jakie pierwsze miejsce? – spytałem zaciekawiony.
- Barry był najmłodszym pilotem, który uzyskał licencję na pilotowanie turboodrzutowców. Miał wtedy dwadzieścia jeden lat. A ty dwa lata mniej.
- Chciałbym mieć jego doświadczenie – westchnąłem.
- Zdobędziesz je z czasem, Remy – pocieszył mnie Barry. – A latasz tyle, że nastąpi to bardzo szybko.

Alberto, który nie przestawał żartować, wtrącił:

- Może przestaniemy sobie kadzić i wzniesiemy toast za zdrowie rodziny?

Wypiłem więc „za rodzinę”, zastanawiając się jednak w duchu, kogo mieli na myśli.

Don Jaime ostrzegł mnie przed Barrym. „To dobry człowiek i najlepszy pilot TWA. Jego problem polega na tym, że to mu nie wystarcza. Chce być przemysłowcem, przedsiębiorcą i szpiegiem. Ma zbyt duże ambicje, a kiedy człowiek próbuje za dużo osiągnąć...”.

31.

Lecieliśmy do Meksyku z Wielkiego Kajmana. Niebo było bezchmurne i za nieco więcej niż pół godziny spodziewaliśmy się dotrzeć do wybrzeży Meksyku, do półwyspu Jukatan. José, trochę podchmielony, siedział wygodnie w kabinie, podczas gdy Carlos, grecki wspólnik Alberta, odpoczywał w głębi samolotu.

Wieźliśmy specjalny ładunek: z tyłu maszyny stała klatka z jaguarem, a za mną znajdował się przywiązany za łapę do jednego z przednich foteli Skipper, należący do Alberta wielki duńczyk z biało-czarnymi plamami, z powodu których przypominał gigantycznego dalmatyńczyka. Pomysł Alberta nie był zbyt fortunny. Podczas pierwszych minut lotu pies szczekał bez przerwy na jaguara, co było nie do wytrzymania.

Był dwudziesty drugi grudnia i wpatrując się w morze, rozmyślałem, że gdy dolecę do Las Vegas, będę musiał zadbać, by wszystkie świąteczne prezenty dotarły do adresatów. Poza Raizą, dla której miałem w kieszeni cieniutki łańcuszek ze szmaragdem w kształcie serca, na mojej liście figurowali jak zwykle: María, Arévalo, Roberto, Miguel, Graciela, don Jaime, jego żona i jeszcze parę osób. Nienawidziłem Bożego Narodzenia, bo wciąż powracały wspomnienia. Nagle Martín, który najwyraźniej usłyszał coś w słuchawkach, wykrzyknął:

- Zjedli ich! Święty Boże! Zjedli ich.
- O czym ty mówisz, do cholery? – spytałem.

Zamiast rozmawiać ze mną przez intercom, zsunął słuchawki na szyję,

spojrzał na mnie zaszokowany i wyjaśnił:

– Pamiętasz, jak przed kilkoma miesiącami zaginął w Andach DC-trzy z urugwajską drużyną rugby?

– Jasne, że pamiętam.

– Właśnie ich znaleźli. Wygląda na to, że aby przeżyć, zjadali swoich martwych towarzyszy. Co ty na to?

Zastanawiałem się przez chwilę, po czym odparłem:

– Jeśli po śmierci moje ciało mogłoby posłużyć do uratowania życia innym ludziom, nie widzę powodu, by nie mogli go zjeść. Poza tym nawet nie zdawałbym sobie z tego sprawy.

– Bardzo zabawne. Nie wiem, czy odważyłbym się zjeść czyjeś pośladki. Wydaje mi się to odrażające.

Martín nie przestawał mówić. Może starał się odwrócić uwagę od szczekania Skippera. Żeby zmienić temat, powiedziałem:

– Słyszałem, jak dyskutowałeś z Grekiem na temat czystości koki.

– Nie dyskutowałem, Remy. Chciałem tylko, żeby mi wyjaśnił, jak sprawdzić w prosty sposób, ile czystej substancji zawiera. Pobieranie próbek za pomocą noża i badanie konsystencji jest dobre, ale nie pozwala określić stopnia czystości proszku.

– Chcesz mi wmówić, że wozisz to gówno od lat i jeszcze nie wiesz, jak sprawdzić, czy jest czyste?

– Nie wiem. Sam powiedziałaś: ja tylko przewożę towar. Nigdy nie zażywałem koki, zresztą próbowanie jej to sprawa nabywcy. Ale przed kilkoma dniami ktoś mnie zapytał o prostą metodę sprawdzania jej jakości. Problem polega na tym, że nie ma prostych metod.

– Istnieje wiele sposobów, żeby to sprawdzić, Martínie. Jest już nawet na rynku specjalny zestaw do przeprowadzania testu. Ale jeśli chcesz, podam ci bardzo prostą metodę, o której powiedział mi przyjaciel. Wlewasz do próbówki pół litra wody i gotujesz ją przez kwadrans na małym ogniu. Odważasz dokładnie dziesięć gramów kokainy i wysypujesz ją do wody z dziesięcioma gramami dwuwęglanu sodu. Mieszasz powoli roztwór plastikową szpatułką, aż zmieni się w zwartą masę. Zajmuje to około pięciu minut. Wyjmujesz ją, suszysz wentylatorem i ważysz na precyzyjnej wadze. Wynik,

jaki uzyskasz, oznacza stopień czystości proszku. Reasumując, jeśli z dziesięciu gramów otrzymujesz grudkę o wadze dziewięć i dwa, jest to dobra kokaina, tak zwanego pierwszego stopnia, czyli powyżej dziewięćdziesięciu procent czystości. Jeśli grudka waży mniej niż dziewięć gramów, na przykład osiem przecinek siedem, oznacza to stopień czystości osiemdziesiąt siedem procent. To tak zwana „osiemdziesiątka”. Bardzo rzadko uzyskuje się czystość powyżej dziewięćdziesięciu sześciu procent.

– A co z kolorem?

– Kokaina najwyższej jakości prawie zawsze jest żółtawa, z błękitnym odcieniem, bardzo jasna i lśniąca. Kiedy pobierasz nożem próbkę, pojawiają się cieniutkie łuski. W zależności od użytych substancji chemicznych może mieć intensywny zapach, przenikliwy i lepki. Kiedy umieścisz ją na czubku języka, powoduje jego odrętwienie. Ale nie powinieneś kierować się wyłącznie tym. Istnieją także inne substancje, które wywołują ten sam efekt. Lepiej zaufać wynikowi testu z próbką. Jesteś usatysfakcjonowany?

– Bardzo, dziękuję. Uzupełniłeś znacząco moją wiedzę. Odtąd za każdym razem...

Suchy metaliczny dźwięk rozbrzmiał jak uderzenie dzwonu. Wibracja, która potem nastąpiła, trwała zaledwie kilka sekund i zniknęła bez śladu. Silniki samolotu działały, ale sygnał niebezpieczeństwa był wyraźny. Martín, który robił notatki na temat tego, co mu wyjaśniałem, natychmiast podniósł wzrok na konsolę. Przyrządy nie wykazywały żadnych odchyłeń. Strzałka wskaźnika ciśnienia silników znajdowała się na zielonym polu, wszystko inne było w normie. Lataliśmy na tej trasie już ponad sześć miesięcy bez żadnych awarii.

– Jak sądzisz, co to było?

Nie odpowiedziałem od razu. Czekałem, czy wyczuję kolejną wibrację albo usłyszę jakiś niepokojący hałas. W końcu odparłem:

– Nie podoba mi się to... ani trochę. Chyba odpadł jakiś sworzeń albo coś takiego.

Nasz niepokój był uzasadniony. Nawet laik mógł się domyślić, że tego rodzaju metaliczny dźwięk oznacza, iż coś się urwało. Może nie było to nic poważnego, ale lecieliśmy nad Karaibami i nie mieliśmy czasu na wątpliwości.

– Pierwszy wstrząs prawie zawsze obwieszcza trzęsienie ziemi. Bierz się do roboty, Martín! Zrób jeszcze raz obliczenia. Zapomnij o długiej trasie. Podaj mi namiary na najkrótszą. Natychmiast! Pecas! – krzyknąłem.

Podczas gdy Martín robił pospieszne kalkulacje, Pecas pojawił się w drzwiach kabiny. Rozkazałem mu:

– Obudź José i powiedz Grekowi, żeby przywiązał psa i usiadł jak najdalej z tyłu. Zaciągnij mocno rzemienie.

– I... – wtrącił Martín, nie podnosząc wzroku znad map – przynieś mi butelkę Remy Martín. Chyba będziemy musieli sobie łyknąć.

Nagle prawy silnik przestał pracować i samolot zaczął tracić stateczność. Włączył się alarm, Pecas wykrzykiwał *inshallah*, a do tego doszło jeszcze ujadanie psa. Słyszałem gderanie José domagającego się tequila. Tylko Martín oznajmił spokojnie:

– Straciliśmy silnik numer jeden, Remy. Nie ma ognia.

– Utrzymujemy optymalną prędkość – rozkazałem, przechylając samolot trzy stopnie w kierunku działającego silnika.

– Dopalacze włączone.

– Dodawaj powoli gazu i spróbuj go uruchomić.

Nie musiałem przekazywać mu żadnych instrukcji, bo Martín był doskonałym pilotem. Skupiłem się na utrzymywaniu kierunku i wysokości lotu i zanim skończyłem mówić, włączył pompę i próbował uruchomić silnik.

– Nic z tego, płaski encefalogram.

– Utrzymajmy minimalne parametry. Zrób obliczenia i podaj mi wyniki.

Kilka sekund później José wsunął głowę do kabiny i położywszy ręce na oparciach naszych foteli, oznajmił głosem zmienionym przez tequile:

– Panowie, widziałem przez okienko, że prawy silnik stanął!

Byliśmy tak zajęci, że nie zwracaliśmy na niego uwagi, kontynuował więc ironicznym tonem:

– Silnik stanął! Jest *kaput*... Nie działa. Śmigło się nie obraca! Remy! Martín! Co się dzieje? Czy nie potrzebujemy dwóch silników, żeby lecieć?

– Zaczekaj chwilę, José – przerwałem mu, patrząc na Martína. – Martínie, podaj mi namiary.

Ignorując José, Martín kontynuował obliczenia:

– Za jedenaście minut będzie wyspa Francuza, za siedemnaście platforma naftowa „Benito Juárez”, a za dwadzieścia cztery Cozumel. Podwozie działa, ale mamy poważne nadciśnienie. Za dwanaście minut przekroczymy margines bezpieczeństwa, o ile nie spróbujemy zwiększyć wysokości. Tu decyduj.

José, który słuchał, nic nie rozumiejąc, zaprotestował:

– Cholera, chłopcze! Nie mów po łacinie.

– Wyjaśnij mi to, Martín, przekaz mu pełną wersję – poprosiłem, próbując wznieść samolot nieco wyżej. Kątem oka dostrzegłem nad ramieniem José głowę Pecasa.

– Nic takiego, José. Po prostu niedługo zjedzą nas rekiny.

– Nie wkurzaj mnie głupimi dowcipami, Martín. Powiedz, co się dzieje – domagał się José.

– Skoro nalegasz, to ci wyjaśnię: straciliśmy jeden silnik i może być uszkodzony system hydrauliczny. Drugi silnik pracuje na zwiększonych obrotach i zużywa więcej paliwa, niż powinien, dlatego musimy szybko gdzieś wylądować. Możemy próbować na wyspie Francuza, ale mamy na pokładzie specjalny ładunek i załogę jak z cyrku: psa, który wygląda jak gigantyczny dalmatyńczyk i waży pięćdziesiąt kilo, osiemnastomiesięcznego jaguara w klatce, pod którą jest ukrytych sześćdziesiąt kilogramów kokainy, Greka ze szwedzkim paszportem, chłopaka, który mówi jak Arab, drugiego pilota z paszportem północnoamerykańskim i wenezuelskiego pilota z amerykańską licencją. Jeżeli Francuza nie będzie na wyspie, przyjmą nas władze kreolskie i ryzykujemy, że nas zatrzymają i skonfiskują samolot. Z pewnością zarekwirują narkotyki, sprzedadzą jaguara i może nawet zjedzą psa, popijając Château Lafite Greka po czterysta dolarów za butelkę. Drugą opcją jest platforma „Benito Juárez”, siedemnaście minut stąd. Nie ma tam pasa startowego, musielibyśmy wodować i przy odrobinie szczęścia ktoś wyciągnie nas z wody i zabierze na pokład helikoptera. Ostatnia możliwość to Cozumel, dwadzieścia cztery minuty lotu. Trochę bardziej ryzykujemy, eksploatując nadmiernie jedyny sprawny silnik. Jest tylko trzydzieści procent prawdopodobieństwa, że nam się uda, co oznacza ewentualną przymusową kąpiel na obszarze zamieszkanym przez uśmiechnięte i czułe rekiny tygrysie. Wystarczy, czy chcesz więcej szczegółów?

José natychmiast wytrzeźwiał.

– Cholera! Dzięki, nie mów nic więcej. Lepiej włożę kamizelkę ratunkową. – Wrócił na swoje miejsce.

Podczas gdy pies szczekał jak wściekły, Pecas oznajmił:

– Grek przywiązał już psa i siedzi z tyłu, paląc cygaro, ale Skipper jest bardzo zdenerwowany.

– Jak się zachowuje jaguar?

– Spokojnie. Patrzy tylko na psa, jakby to był hamburger. Jest świadomy swojej wyższości.

– Świadomy swojej wyższości! – powtórzył Martín. – Cholera, Remy! Posłuchaj, jak mówi ten *gazte sutsua*. Przemawia jak ty.

– Jak go nazwałeś? *Gazte sutsua*? Co to znaczy?

– To, mój drogi przyjacielu, w języku Basków oznacza *euskera*, „zuchwałego młodzieńca”. Ktoś nazwał mnie tak w dniu, gdy uciekałem w Pampelunie przed bykami.

Pecas przyglądał się aparaturze i uśmiechał się, słysząc komentarz Martín.

Otworzywszy butelkę Remy Martín, podsunął mu ją.

– Mówisz teraz w moim języku, synu... Rokujesz nadzieje na przyszłość.

– Pecas, słyszałeś już, co się dzieje. Jaką podjąłbyś decyzję?

– Jest piękny dzień, żeby umrzeć, *inshallah* – odparł Pecas spokojnie.

Martín, nie odrywając wzroku od przyrządów, mruknął:

– *Inshallah*? Co to znaczy, do cholery?

– Jeśli Bóg zechce. Pecas uczy się arabskiego od starego Mustafy na lądowisku Tronador.

Martín wymamrotał z typowym dla niego czarnym humorem:

– Jasne, zgadzam się z nim. Powinniśmy oddać się pod opiekę Allaha. – Po chwili dodał: – Oby silnik, który nam pozostał, wykazał dobrą wolę. O to się modłę.

– Mamy za dużo paliwa. Trzeba odciążyć samolot. Zrzuc sto galonów.

– Pecas, pozbądź się wszelkiego balastu. Skrzyń... wszystkiego.

– Wina?

– Także. Poproś Greka, żeby ci pomógł wyrzucić ładunek do morza.

Bądź ostrożny. Zapnij pas bezpieczeństwa przy drzwiach.

Pecas wrócił po sekundzie.

– Pan Kiriakides mówi, że zamiast wina woli wyrzucić do morza psa.

– Pecas, proszę, rób, co ci mówię. Dopilnuj, żeby Grek włożył kamizelkę ratunkową. Wyrzuć skrzynki do morza, a jeśli pan Kiriakides chce wyrzucić psa, wypchnij jego razem z winem, a psa zostaw.

Pecas, niewzruszony, zrozumiał przesłanie.

– *Sí, señor!* Do wody! To brzmi dobrze – stwierdził rozbawiony.

– Stawiam na Cozumel. Myślę, że silnik wytrzyma – powiedziałem do Martína, który ze sztucznym uśmiechem i bez mrugnięcia okiem odparł, naśladując Pecasa:

– Przy tych wibracjach? *Inshallah*.

Pecas znów wszedł do kabiny i obwieścił:

– Myślę, że powinieneś pomówić z José. Jest bardzo zdenerwowany i bawi się niebezpiecznie rzemieniami łodzi ratunkowej.

– Cholera, Remy! Pogadaj z nim, zanim nas wszystkich zabije! – wrzasnął Martín.

– Pecas, powiedz José, żeby tu przyszedł.

Pecas odwrócił się i go zawołał. Po chwili José zjawił się w kabinie.

– Jak sobie radzimy? – spytał.

– Dobrze, José, ale wyświadcz mi przysługę i przestań majstrować przy łodzi ratunkowej. Jeśli przypadkiem napełni się powietrzem wewnątrz kabiny, pozabijasz nas. Pecas się wszystkim zajmie. A ty usiądź.

– Dolecimy na jednym silniku?

– Myślę, że tak, ale zapnij pasy.

José trochę się uspokoił. Martín kontynuował obliczenia, nie spuszczać wzroku z przyrządów.

– Możesz mi powiedzieć, co my tu robimy? No wiesz... – mruknął przez zaciśnięte zęby. – Powinniśmy pracować dla jakiejś przyzwoitej firmy, w normalnych godzinach... Coś w tym rodzaju...

– Jasne. Jeszcze ci opowiem, co tu robimy. Kiedy dostaniemy wypłatę, z pewnością zapomnisz o tym pytaniu...



Kiedy dostrzeżliśmy Cozumel, ocieraliśmy się już niemal podwoziem o grzbiety fal. Okrzyki José przywróciły optymizm w kabinie:

– Panowie, Jukatan na jedenastej! Cozumel w polu widzenia!

Martín, usłyszawszy José, poprosił:

– Błagam, ucisz tego Rodriga z Triany, zanim obudzi Indian.

– Pozwól mu się odprężyć. Chyba już czas nawiązać kontakt z wieżą.

Jedną z zalet, które najbardziej cenilem u Martína jako drugiego pilota, była umiejętność natychmiastowej zmiany tonu z żartobliwego na poważny, gdy wymagała tego sytuacja, i unikania dzięki temu nieporozumień.

– Nastawiam częstotliwość wieży.

– Wieża kontrolna Cozumel, tu Noviembre dwa-cztery-pięć-cztery.

– Słyszę cię, dwa-cztery-pięć-cztery.

– Cozumel, Noviembre dwa-cztery-pięć-cztery, lot z Wielkiego Kajmana, prosimy o zezwolenie na bezpośrednie podejście. Odbiór.

– Noviembre dwa-cztery-pięć-cztery. Nie mamy cię na ekranie.

Podajcie swoją wysokość, włączcie transponder i Ident tysiąc dwieście.

– Cozumel, Noviembre dwa-cztery-pięć-cztery. Transponder włączony. Lecimy nisko z powodu przegrzania silnika. Powinniście już mieć nas na ekranie.

– Noviembre dwa-cztery-pięć-cztery. Teraz cię widzę. Chcecie zgłosić awaryjne lądowanie?

– Nie, Cozumel. Możemy wylądować bez problemu, ale chcielibyśmy, jeśli to możliwe, skontaktować się na lotnisku z weterynarzem. Wieziemy zwierzę, które potrzebuje natychmiastowej pomocy.

– Noviembre dwa-cztery-pięć-cztery, co to za zwierzę?

– Cozumel, chodzi o jaguara z Amazonas przeznaczonego dla ogrodu zoologicznego Alfonso Herrery w stolicy Meksyku.

– Noviembre dwa-cztery-pięć-cztery, zezwalam na lądowanie na pasie L-siedem, po prawej stronie. Wiatr sześć węzłów, z północnego wschodu... Wyślemy wam weterynarza. Przepisy wymagają, żeby was poinformować, że w takich przypadkach poddaje się zwierzę prewencyjnej kwarantannie, chyba że kontynuuje lot do celu podróży. Kołujcie po dodatkowym pasie osiem-D do hangaru urzędu celnego. Tam będą na was czekali... Witajcie w Meksyku.

– Zrozumiałem, Cozumel. Dziękuję.



Po sześciu minutach wylądowaliśmy na jednym silniku, ale bez komplikacji. Weterynarz czekał już w hangarze celników. Obawialiśmy się, że nakaże kwarantannę. Na szczęście, zbadawszy pobieżnie zwierzę, oznajmił, że jaguar cierpi prawdopodobnie na dezorientację przestrzenną z powodu lotu.

– To minie, ale zalecam obserwację. Dam panom zaświadczenie, żebyście mogli go tu zostawić, opuścić lotnisko i odpocząć. To mu dobrze zrobi. Myślę, że panom także.

– Doskonale. Dziękujemy.

Udało nam się. Oficjalnie mieliśmy postój z powodu złego stanu jaguara. Podczas gdy odpoczywaliśmy, mechanik, którego poprosiliśmy o rutynowy przegląd samolotu, oświadczył:

– Wiecie panowie, że mieliście dużo szczęścia? Odpadł jeden ze sworzni u podstawy silnika i w obudowie jest niewielkie pęknięcie.

– Coś takiego! – udałem zaskoczenie. – Niczego nie zauważyliśmy. Mamy fart!

Przymusowa wizyta w Cozumel pozwoliła nam się zrelaksować. Naprawa samolotu trwała trzy dni. Towar wciąż był ukryty. Carlos poleciał do stolicy Meksyku i wrócił z pułkownikiem Sebastianem Navarro, który towarzyszył nam na lotnisko w Toluca. Tam odebrano od nas nasz bardzo interesujący ładunek...

32.

Gdy jedliśmy śniadanie, widziałem pod szklanym blatem stolika, na tle podłogi z błękitnego marmuru, drobne i zadbane bosc stopy Raizy. Miała na sobie krótką japońską tunikę ze szmaragdowego jedwabiu. Jej włosy, trochę w nieładzie, zdawały się buntować przeciwko uporządkowanej orientalnej estetyce, której zawsze przestrzegała, nakrywając do stołu. W jadalni unosił się przyjemny, mocny aromat kawy, pobudzając moje zmysły. Dotarłem do domu o świcie i wślizgnąłem się do łóżka obok Raizy. Kiedy się obudziłem, była już w jadalni. Podeszedłem do niej, objąłem ją od tyłu i pocałowałem na dzień dobry. Nie odwzajemniła pocałunku, tylko powiedziała z wyrzutem:

– Okłamałeś mnie. Przez lata sądziłam, że masz urodziny w maju i nawet je z tobą obchodziłam. Teraz się dowiaduję, że urodziłeś się w styczniu – oznajmiła z lekką pretensją.

– Kto ci to powiedział?

– Wczoraj wieczorem dzwoniła Maria. Rozmawialiśmy ponad pół godziny. To słodka kobieta. Chce cię przekonać, żebyś zadzwonił do matki.

Maria była jedyną osobą z mojej rodziny, którą znała Raiza. Jedyną, która mogła jej opowiedzieć o moim dzieciństwie. Raiza wciąż zadawała mi to samo pytanie: „Opowiesz mi kiedyś o swojej rodzinie i dzieciństwie?”. Odpowiadałem zawsze: „Tak, kiedyś”. I milczałem...

– Jak ona się miewa? – spytałem, nie zwracając uwagi na wyrzuty Raizy.

– Mówi, że dobrze, ale miała zmęczony głos. Powiedziała, że chce wysłać ci na urodziny specjalny prezent, a ponieważ jest styczeń, byłam zaskoczona. Udałam, że o tym zapomniałam, i spytałam, ile jeszcze zostało dni. W ten sposób dowiedziałam się, że masz urodziny dwudziestego dziewiątego stycznia.

– Oszukałaś ją, żeby poznać tę datę.

Raiza, z filiżanką kawy w ręku, podniosła wzrok i spojrzawszy mi w oczy, stwierdziła z lodowatym spokojem:

– Jak śmiesz mi coś takiego mówić, skoro to ty jesteś tutaj jedyną osobą, która idzie przez życie z fałszywą tożsamością, ukrywając swoją przeszłość.

– Nie oszukałem cię. Zawsze wiedziałaś, kim jestem. Jakie to ma znaczenie, czy obchodzę urodziny w maju, czy w styczniu? Przecież to wszystko jedno.

– Nie wszystko jedno. Nie rozumiem cię. Dlaczego nie zadzwonisz do matki? Na pewno cię kocha i wiem, że ty też ją kochasz. To, co się wydarzyło, należy do przeszłości. Dlaczego z nią nie porozmawiasz? Dlaczego to dla ciebie takie trudne? Myślę, że dobrze by ci to zrobiło!

– Raizo, dzięki, że starasz się mi pomóc, ale dla mnie ta część życia jest martwa i chcę, żeby tak zostało.

– Nie jestem twoją gejszą, Remy, ani nie towarzyszę ci tylko dla rozrywki. Jesteśmy ze sobą od dawna. Jestem twoją partnerką, a przez swoje milczenie nawet współniczką. Kocham cię i mam prawo martwić się, co cię dręczy. Myślę, że jesteś zbyt twardy i niesprawiedliwy wobec matki i samego siebie. Cokolwiek się wydarzyło, gdy byłeś dzieckiem, powinieneś o tym zapomnieć.

– Zapomnieć? Co ty o tym wiesz?

– No właśnie, nie wiem nic. Dlatego powinieneś wszystko mi opowiedzieć, zrzucić to z siebie, a potem zapomnieć. Aż tak ci trudno się tym ze mną podzielić?

– Wierz mi, nie powinnaś tego usłyszeć...

– Proszę cię, Remy! Nie mów mi, co powinnam usłyszeć, a czego nie.

Jeśli będziesz szczery, nie sędzę, by było coś, czego nie można wybaczyć i zapomnieć – powiedziała smutno.

Wstała i zaczęła zbierać talerze ze stołu.

– Raizo, naprawdę sądzisz, że potrafię zapomnieć? Codziennie próbowałem to zrobić. Naprawdę chcesz wszystko wiedzieć? Dobrze, więc ci powiem. Dzień przed moimi trzynastymi urodzinami ojciec chciał popełnić samobójstwo, gdy odkrył, że moja matka go zdradzała. Cudzołóstwo było wówczas bardzo poważnym występkiem, ale matka okazała się wyjątkowo niemoralna, gdyż utrzymywała stosunki z moim dziadkiem. Potrafisz zrozumieć powagę sytuacji? Jeśli trudno ci to pojąć, powiem ci jeszcze, że ja jestem owocem tej zdrady. Skoro już wszystko wiesz, postaw się na moim miejscu. Co być zrobiła?

Raiza usiadła, wyciągnęła rękę przez stół i mocno uściśnęła moją dłoń. Siła tego uścisku odzwierciedlała jej zdumienie. Otworzywszy raz śluzę tamy, którą zbudowałem, by ukryć moje tajemnice, kontynuowałem wynurzenia:

– Możesz sobie wyobrazić, jak to przeżywałem? Potrafisz sobie wyobrazić, co czuł mój ojciec, gdy dowiedział się, że nie jestem jego synem? Że w istocie jestem jego przyrodnim bratem? Wyobrażasz sobie jego wstyd? Poczucie hańby? Kiedy dorosłem, zrozumiałem, dlaczego chciał się zabić. Wiele razy myślałem, że nigdy mi nie wybaczył, iż ocalałem go tamtej nocy. Ja też kilkakrotnie próbowałem mu wybaczyć, że chciał mnie zostawić. Czulem się w pewnym sensie winny, ale za każdym razem powracały wspomnienia tej ostatniej nocy, gdy przyszedł do mojego pokoju się pożegnać. Znałem już wtedy prawdę. Przeczuwałem, że zamierza odejść, i powiedziałem mu: „Teraz kocham cię jeszcze bardziej”. Dla mnie nie miało znaczenia to, co się stało. Te słowa były błaganiem, by nie odchodził, by mnie nie opuszczał, ale nie posłuchał. Odszedł. Przez tysiąc nocy rozmyślałem i zadawałem sobie pytania, lecz nie znalazłem odpowiedzi, która by mnie uspokoiła. Skoro dziadek był moim ojcem... człowiek, którego nazywałem ojcem, był moim bratem... Skoro dziadek był moim ojcem, jakie miejsce zajmowali moi bracia, wujowie czy kuzyni? Miałem mnóstwo wątpliwości.

Czy ktoś jeszcze o tym wiedział? Jak na mnie patrzyli? Zostałem sam, opuszczony przez wszystkich.

– Rozmawiałeś kiedyś na ten temat z matką?

– Nigdy. Pewnej nocy odeszła bez słowa. Zabrała moich braci i mnie zostawiła.

– Musiała to być dla niej trudna decyzja.

– Z pewnością, ale mnie zostawiła. Postanowiła mnie opuścić z obawy przed skandalem. Długo na nią czekałem, wiesz? Jako dziecko pisałem do niej potajemnie listy, na które nigdy nie odpowiadała. Zapewniałem, że kocham ją mimo tego, co o niej mówią. Napisałem po raz ostatni, gdy wyjechałem do Nowej Gwinei. Chciałem tylko wiedzieć, dlaczego to wszystko się wydarzyło. Ale ona wolała zachować tajemnicę. I wiesz co? Kochałem ją tak bardzo, że przyjąłbym jakiegokolwiek, nawet absurdalne usprawiedliwienie, byle ją odzyskać.

– Jak się o wszystkim dowiedziałeś?

– Za pośrednictwem bardzo okrutnego człowieka. Są tacy w każdej rodzinie. Udają, że chcą ci pomóc, i wylewają z siebie żółć, nie przejmując się szkodami, jakie wyrządzają. Początkowo nie rozumiałem powagi sytuacji, ale stopniowo zacząłem pojmować oczywistą prawdę: nikt nie chciał mnie mieć przy sobie. Ani matka, ani ojciec, a być może, kto wie, nawet mój dziadek. Każdy z innych powodów. Dla matki byłem owocem jej grzechu, dla dziadka świadectwem hańby, a dla ojca wstydu...

– Współczuję ci. Nie wyobrażałam sobie, że masz tak przykre i bolesne wspomnienia.

– Nie przejmuj się. Nikt nie umiałby sobie tego wyobrazić...

33.

Następnego lata Curtis zaprosił nas, abyśmy towarzyszyli mu podczas rocznego spotkania Towarzystwa Eksperymentalnych Samolotów w Oshkosh w stanie Wisconsin. Namówił nas do wzięcia udziału w największym na świecie festiwalu lotniczym.

Był początek lata i ściągali tam instruktorzy lotów ze swoimi maszynami z całej Kalifornii. Raiza przyjęła z entuzjazmem ten pomysł i postanowiliśmy polecieć starym piper cubem. Curtis ostrzegł nas, że musimy być przygotowani na nocowanie w samolocie. Wyjaśnił, że z roku na rok jest coraz więcej uczestników i setki pilotów przylatują z różnych stron własnymi maszynami, a setki tysięcy przybywają innymi środkami transportu. Nie było szans na zdobycie miejsca w hotelu. Okolice lotniska zmieniały się w gigantyczny kemping. Jego zdaniem była to największa atrakcja festiwalu.

Idąc za jego radą, wymontowaliśmy z awionetki tylne siedzenia, aby mieć miejsce na nasze rzeczy i w razie potrzeby móc tam przenocować. Poprosiliśmy znajomego, by zaopiekował się Rexem, i poleciliśmy do Wisconsin.

Już w powietrzu zaskoczyła nas skala tej imprezy. Słyszeliśmy w radiu, nastawionym na częstotliwość wieży kontrolnej lotniska w Oshkosh, jak zapracowani kontrolerzy udzielają instrukcji dziesiątkom samolotów czekających na swoją kolej. To było emocjonujące. Z lotu ptaka podziwialiśmy setki maszyn ustawionych w szeregu na obszarze przylegającym do lotniska. Przypominało to wielki kopiec skrzydlatych mrówek, które wyroily się z ziemi.

Zrozumiałem, dlaczego samoloty leciały w grupach: dzięki temu stały na lotnisku obok siebie i piloci nie musieli tracić czasu na bieganie i szukanie znajomych. Wielu przyjaciół, którzy nie widują się w ciągu roku, spotyka się tutaj w atmosferze wielkiego rodzinnego święta. Odbywa się parada nowości: pokazywane są repliki samolotów, modele domowej roboty, odrestaurowane maszyny, stare samoloty wojskowe zwane War Birds i nowe, zarówno wojskowe, jak i cywilne.

Było to wyjątkowe doświadczenie, dzięki któremu mogłem spotkać ponownie dawnych kolegów z Akademii Santa Paula i zobaczyć, jak głęboko zakorzeniona jest w Ameryce tradycja aeronautyki. Przez tydzień żyliśmy wśród samolotów, pilotów, inżynierów, techników, adeptów i miłośników lotnictwa. Zwiedzaliśmy pawilony wystawowe i stanowiska sprzedaży, oglądaliśmy pokazy akrobatyczne. Raiza jak zawsze przyciągała uwagę. Jako mężczyzna odczuwałem dumę, że jestem jej partnerem, ale było to nieco męczące. Nie mogliśmy przejść niezauważeni.

Starając się uniknąć natężonego ruchu w powietrzu podczas ostatnich dwóch dni festiwalu, odlecieliśmy wcześniej. Zainteresowanie Raizy lotnictwem wyraźnie wzrosło. Gdy tylko wystartowaliśmy z Oshkosh, wyznała mi:

– Chciałabym poćwiczyć pilotowanie. Połknęłam bakcyła.

Jej ubiór pilota był bardzo atrakcyjny. Włosy związane i na wpół ukryte pod czapką, czarny podkoszulek z napisem EAA (Experimental Aviation Association) Oshkosh i dżinsowe szorty, które umożliwiały mi głaskanie jej pięknych nóg. Zacząłem puszczać wodze fantazji.

– W porządku, jeśli tego chcesz, zacznijmy od razu – powiedziałem. – Od tej chwili przejmujesz stery. Utrzymuj kurs i obserwuj wszystkie przyrządy, szczególnie wysokość.

– Mam całkowitą kontrolę? – spytała rozbawiona, kładąc ręce na sterze.

– Tak... Jesteś kapitanem samolotu i panią mojego życia.

– Musisz wykonywać wszystkie moje rozkazy?

– Wszystkie.

– Dobrze to robię? – spytała przejęta.

Nie odpowiedziawszy, nastawiłem w słuchawkach częstotliwość radiową.

– Wieża kontrolna Sioux City, tu Piper zero-pięć-Tango.
– Słucham cię, zero-pięć-Tango.
– Wieża Sioux City, lecimy nad Hilro, sto piętnaście węzłów nad promieniem trzy-dziewięć-dwa Sterling, w kierunku Denver. Proszę o informacje na temat ruchu w tym obszarze i nadzór nad lotem.

– Piper zero-pięć-Tango, widzę cię na ekranie. Macie czyste niebo, bez ruchu w powietrzu. Zaczynamy nadzór nad lotem.

– Dzięki, Sioux City. Piper zero-pięć-Tango, wyłączam się.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała Raiza, gdy tylko skończyłem rozmawiać z kontrolerem.

– Uwolnić się. Według Freuda latanie we śnie symbolizuje pożądanie seksualne. Uprawianie miłości w powietrzu będzie stanowiło dopełnienie mentalnych pragnień – oznajmiłem, rozpinając pas i przechodząc na tył samolotu.

– Nie wierzę ci.

– Powiedziałaś, że chcesz poćwiczyć...

Odsunąłem na bok nasze torby podróżne i rozłożyłem na środku śpiwórkę, żebym miał na oku przyrządy i mógł na nie zerkać.

Odkręciłem zawór jednej z butli z tlenem: im czystszy tlen, tym większa odporność fizyczna. Pozwoliłem, by gaz rozszedł się po kabinie. Podszedłem do Raizy z boku i pocałowałem ją w szyję.

– Zostaw stery i chodź tutaj. Będzie nam bardzo wygodnie.

– Oszalałeś, zabijemy się!

– Wyobrażasz sobie pięknniejszą śmierć? Chodź, posłuchaj mnie. Mamy około czterdziestu minut... Włącz automatycznego pilota i dotrzyмай mi towarzystwa...

– Nic się nie stanie?

– Absolutnie nic... chcę tylko, żebyśmy polatali razem...

– Naprawdę tego pragniesz, czy to tylko zachcianka?

– Z tobą to czysta fantazja. Nic się nie stanie, obiecuję. Samolot będzie leciał swoim kursem, bez względu na to, czy siedzisz za sterami, czy nie. Jeśli zbliży się do nas inna maszyna, kontroler automatycznie ją oddali. Dlatego prosiłem o nadzorowanie lotu.

Patrzyła na mnie niepewnie. Skinąłem zapraszająco głową. Nie kazała się długo prosić...

Podczas gdy awionetka leciała na automatycznym pilocie, z włączonym alarmem radiowysokościomierza, Raiza przeskoczyła między fotelami, rozebrała się, wślizgnęła zdenerwowana na posłanie i przylgnęła do mnie całym ciałem.

– Zaczekaj.

Odsunąłem jeszcze trochę jedną z toreb i poprosiłem, żeby zmieniła pozycję i położyła się pode mną. Chciałem, żeby czuła wibracje.

– Wygodniej ci teraz?

– Czuję całym ciałem wibracje samolotu.

Jej oczy płonęły pożądaniem. Dotyk jej skóry sprawiał, że pragnąłem tylko jednego: złączyć się z nią.

– Jestem przerażona. Serce wali mi chyba tysiąc razy na minutę.

Zachłannie sięgnęła ręką w dół i pieszcząc mnie, mruknęła:

– Umrę przez ciebie...

Smakowałem jej pocałunki, gryzłem wargi. Delektowałem się smakiem jej skóry i zapachem ciała. Namiętnie wzdychając, przyciągnęła mnie zachłannie i wchłonęła w siebie. Otoczyła nogami moje biodra i rytmicznymi ruchami pomogła mi w siebie wnikać. Obejmowaliśmy się tak mocno, że przestrzeń między nami zniknęła. Zamknąłem Raizę w uścisku. W pewnym momencie położyła się na brzuchu, uległa, lekko rozchylając ramiona, pozbawiona zahamowań. Emanowała zmysłowością, włosy opadły jej na bok, odsłaniając plecy. Uniosła lekko biodra. To było zaproszenie...

– Nie przestawaj... Chcę jeszcze... – Przylgnąłem do jej bioder i wchodziłem w nią bez skrpułów, na przemian delikatnie i z brutalną siłą, oduńczony jej czarem i jękami. Tysiąc razy umieraliśmy z rozkoszy. Przez długie chwile, które wydawały nam się wiecznością, kochaliśmy się namiętnie, tracąc poczucie czasu i kontakt ze światem.

– Już nie wytrzymuję... nie mogę dłużej... – wyszeptała błagalnie, z trudem oddychając.

– Zaczekaj... Jeszcze nie...

Poprosiłem, żeby się odwróciła. Chciałem widzieć jej twarz, gdy nadejdzie ta chwila, delektować się jej rozchyłonymi wargami i patrzeć jej w oczy. Utonąłem w jej wnętrzu, aż urywane jęki i paznokcie wbijające mi się w plecy obwieściły, że osiągnęła szczyt swoich fantazji, pociągając mnie za sobą. Znieruchomiała, a jej twarz rozjaśniał uśmiech ekstazy...

Kiedy odzyskała oddech, powiedziała z figlarną miną:

- Nigdy nie wzniosłam się tak wysoko...
- Z przykrością muszę ci coś przypomnieć – powiedziałem bardzo poważnie.

- Co takiego?

- Że wciąż jesteśmy w powietrzu...



Porozumiewawcze spojrzenia, śmiech i poczucie wielkiej satysfakcji zbliżyły nas bardziej niż kiedykolwiek. Połączyliśmy nie tylko nasze ciała, ale także uczucia i fantazje.

Wciąż będąc w ekstazie, zapomniałem skontaktować się z kontrolerem lotów. Nagle usłyszeliśmy w słuchawkach jego głos:

- Piper zero-pięć-Tango, tu wieża kontrolna Sioux City...
- Wieża Sioux City, tu Piper zero-pięć-Tango, odbiór.
- Piper zero-pięć-Tango, mamy zgłoszenie lekkich turbulencji w twoim rejonie. Radzimy skontaktować się z centrum meteorologicznym na trasie i zachować czujność...

Raiza, która słyszała komunikat kontrolera, nie mogła pohamować śmiechu. Kontroler usłyszał ją i dodał żartobliwie:

- Chyba że wy to spowodowaliście... – Potem kontynuował już profesjonalnym tonem: – Piper zero-pięć-Tango, kończę nadzór nad lotem. Zmieńcie częstotliwość na sto dziewięć, osiemnaście Sterling. Szczęśliwej podróży.

- Dzięki, Sioux City, skorzystamy z rady...

34.

Czytałem gdzieś, że mózg potrzebuje około czterdziestu sekund, by zarejestrować, że zostałeś postrzelony. Jeśli to czujesz, znaczy, że jeszcze żyjesz. O dziwo, właśnie to pomyślałem, usłyszawszy pierwszy strzał i poczuwszy piekący ból w nodze, z powodu którego upadłem na chodnik przy wejściu do jednego z hoteli przy avenida Insurgentes w stolicy Meksyku.

Drugi strzał trafił prosto w głowę mężczyźnie, który wychodził za mną, odrzucając go do tyłu na szklane drzwi. Zobaczywszy go na ziemi, miałem pewność, że nic nie da się dla niego zrobić. Jakaś kobieta, która właśnie wysiadła z taksówki, na odgłos strzałów zaczęła histerycznie krzyczeć, podczas gdy taksówkarz, zorientowawszy się, co się dzieje, ruszył z piskiem opon.

Słyszałem niewyraźnie krzyki przechodniów i głos odzwierne go, który, skulony za drzwiami, wołał, by ktoś wezwał policję, a mnie radził pochylić głowę. Podczołgałem się za kwietnik, wyciągnąłem beretę, odbezpieczyłem ją i czekałem. Ktokolwiek to był, nie mógł pozostać długo w pobliżu. Podniosłem głowę i zdołałem zobaczyć kobietę z taksówki, która oddalała się szybkim krokiem z jednym butem w ręku, podczas gdy niektórzy przechodnie, nieświadomi niebezpieczeństwa, za to chorobliwie ciekawi, zatrzymywali się, by zobaczyć zastrzelonego mężczyznę. Nadeszła pora, by stamtąd zniknąć. W każdej chwili mogła się zjawić policja, zadając pytania, na które nie miałem ochoty odpowiadać.

Mój mózg zarejestrował pierwszy sygnał bólu dokładnie w chwili, gdy zamierzałem się podnieść. Właśnie wtedy rzuciłem okiem na swoje spodnie i

zobaczyłem na nodze powiększającą się plamę krwi. Znów spróbowałem wstać. W oddali słychać było już syreny radiowozów. W tym momencie podbiegł do mnie z przerażoną miną młody boy hotelowy.

– Niech pan się nie rusza! Zaraz przyjedzie karetka – powiedział, przestraszony widokiem krwi na moich spodniach i pistoletu w moim ręku.

– Nie chcę karetki. Chcę stąd uciec – wysapałem.

– Krwawi pan. Proszę zaczekać. Oni już jadą.

Chłopak nie zrozumiał, o co mi chodzi, dopóki nie przemówiłem do niego ostro:

– Posłuchaj! Muszę stąd zniknąć, zanim przyjedzie policja! Rozumiesz? Pomóż mi!

Przyglądał mi się przez chwilę, po czym chwycił mnie pod ramię, żeby pomóc mi się podnieść.

– Proszę się o mnie oprzeć! Zabiorę pana stąd!

Nikt specjalnie się nami nie interesował. Wszyscy patrzyli na człowieka, który leżał w kałuży krwi. Stolica Meksyku jest jednym z najgęściej zaludnionych i najbardziej niebezpiecznych miast świata. Jego mieszkańcy często są świadkami burd i słyszą strzały na ulicach, a przede wszystkim przywykli do tego, by, gdy coś się dzieje, udawać, że niczego nie widzą. Gdy dotarliśmy do rogu i skręciliśmy w następną ulicę, chłopak spytał:

– Ma pan samochód?

– Tak, ale nie sądzę, żebym mógł prowadzić. Poza tym jest ustawiony w przeciwnym kierunku niż idziemy.

– Proszę się nie martwić, mam tutaj swój. Nie jest to ferrari, ale nas stąd zabierze.

Gdy dotarliśmy na miejsce, chłopak otworzył drzwiczki volkswagena taksówki i pomógł mi wsiąść.

– To moja taksówka – wyjaśnił. – Jeżdżę nią nocami. Musimy poszukać lekarza, żeby obejrzał tę ranę. Traci pan dużo krwi.

Przyłożył do rany chusteczkę i przewiązał ją sznurkiem. Z niezrozumiałych powodów czułem, że moje ciało chwilami drętwieje.

– Dokąd pana zawieźć?

– Masz ołówek? Zanotuj telefon, który ci podam. Jeśli stracę przytomność,

zostaw mnie w jakimś dyskretnym miejscu, zadzwoń pod ten numer i powiedz temu, kto odbierze, gdzie mnie zostawiłeś. Przyjadą po mnie.

Zanotowawszy numer, uruchomił silnik i o nic nie pytając, włączył się do ruchu. Spojrzał we wsteczne lusterko i oznajmił stanowczo:

– Niech się pan postara odpocząć. Nie zostawię pana byle gdzie. Zabiorę pana do siebie. Mieszkam w niebezpiecznej dzielnicy, ale nic tam panu nie grozi i będzie pan mógł poczekać, aż ktoś po pana przyjedzie.

– Jak się nazywasz? – spytałem bardziej po to, by go uspokoić, niż z ciekawości.

– Nazywam się César Salas – odparł, skoncentrowany na piekielnym ruchu w stolicy Meksyku.

Bez przerwy spoglądał we wsteczne lusterko, by się upewnić, że nic mi nie jest. Nagle dodał:

– César Salas. Tak jak sałatka, szefie.

Ta absurdalna uwaga mnie zaskoczyła. Pomyślałem, że się przesłyszałem albo że bredzi.

– Co powiedziałeś?

– Że nazywam się César Salas. Amerykanie śmieją się za każdym razem, gdy im się przedstawiam. Kiedy zacząłem pracować w hotelu i powiedziałem do jednego z nich: „Nazywam się César Salas”, wybuchnął śmiechem. Cholera! Nie rozumiałem, dlaczego ten pieprzony jankes śmieje mi się prosto w twarz. Potem ktoś mi wyjaśnił, że Amerykanie mają sałatkę o nazwie Cesar Salad. Brzmi bardzo podobnie do mojego nazwiska. Z tego się śmiał.

– Mnie to nie bawi – mruknąłem, próbując nie myśleć o bólu.

– Nie chcę pana rozweselać, szefie. Chcę, żeby był pan przytomny. Żeby pan nie zasnął. Żeby mi pan tu nie umarł.

– Teraz zaczynasz mnie rozśmieszać...



Alberto odebrał telefon i, zawsze nieufny, początkowo sądził, że to jakaś zasadzka. Dopiero gdy włączył radio i usłyszał, że w istocie przy wejściu do hotelu, o którym wspomniał boy, miała miejsce strzelanina, nabrał najgorszych przeczuc.

Nie tracił ani chwili. Nie wiedząc, co się dokładnie dzieje, zawiadomił José, zorganizował grupę uzbrojonych ludzi i wraz z zaprzyjaźnionym lekarzem pojechali czterema samochodami do niebezpiecznej dzielnicy Lazarillo, by mnie odszukać. Zanim przybyli, straciłem przytomność. Mój meksykański anioł stróż zapoznał ich z sytuacją.

Pocisk, który utkwił w nodze, zawierał jakąś nieznaną truciznę. Wydobyli go, ale trucizna zaatakowała wątrobę. Próbowali ustalić, co to za substancja, podczas gdy ja, mając drgawki i majacząc, byłem na granicy śmierci.

José zobowiązał się powiadomić Raizę. Czasami, gdy miał świadomość, że sprawił jej czymś przykrość, żeby się nie gniewała, nazywał ją pieszczotliwie Chinezką, z powodu jej orientalnych rysów. Słyszając to, powtarzała zawsze: „Skoro tak do mnie mówisz, to znaczy, że przychodzisz za coś przeprosić”.

– Chinezko, Remy jest ranny.

José opowiadał mi później, że spodziewał się innej reakcji, ale Raiza zachowała milczenie i odparła po prostu, jakby była to wiadomość przerażająca, ale oczekiwana:

– Natychmiast tam jadę.

Don Jaime, gdy go zawiadomiono, wsiadł do pierwszego samolotu z Medellín. Zabrał ze sobą niewielki oddział. José relacjonował mi potem, że nigdy nie widział go tak wściekłego i że posprzeczał się ostro z Albertem. Zbeształ go, przypominając mu, że Meksyk to jego terytorium i dlatego powinien był zapewnić mi ochronę.

Alberto, patrząc na leżące na stole gazety, które opisywały to, co się stało, próbował uspokoić don Jaime:

– Ten incydent nie dotyczył Remy'ego ani naszej grupy – zapewniał. – Nie miał nic wspólnego z naszymi działaniami. Po prostu Remy znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Zatroskany don Jaime nalegał, by zabrać mnie do Los Angeles pod opiekę specjalistów. Gdy odzyskałem przytomność i usłyszałem tę dyskusję, spostrzegłem, że w jego relacjach z Albertem i José pojawiła się rysa, i przeczuwałem już, że dni współpracy z nimi są policzone.

José, bardziej impulsywny, upierał się, by pokazać ludziom z Jalisco, których uważał za sprawców napadu, że nie można bezkarnie atakować żadnego z nas.

Odpowiedź była druzgocąca. Podczas gdy ja wracałem do zdrowia w klinice w Kalifornii, Alberto i jego towarzysze, wspierani przez ludzi Jaime, zaatakowali zbiorniki i magazyny grupy z Jalisco i zniszczyli dwie spośród ich awionetek stacjonujących na nielegalnych lądowiskach. Zaczęła się wojna...

35.

Silne więzi łączące niektórych ludzi prawie nigdy nie mają nic wspólnego z pokrewieństwem ani genealogią. Wprost przeciwnie, czerpią siłę z bólu dzielonego z kimś, kto jak my nie ma rodziny. Zrozumiałem to w Boże Narodzenie 1974 roku, bez wątpienia najmilsze w tamtych latach.

Zdołałem przypadkiem zgromadzić w moim domu w Las Vegas wszystkich, którzy w tamtym czasie znaczyli coś w moim życiu. Wystarczył jeden strzał, bym znalazł się na granicy śmierci i równocześnie zdał sobie sprawę, że nie jestem sam. Było jednak Boże Narodzenie i choć na naszych twarzach zakwitały uśmiechy, wyczuwałem, że nie tylko mnie kogoś brakuje, i mimo że każdy z nas starał się to ukryć, wszystkie nasze tęsknoty wysyłały sygnały na tej samej częstotliwości.

Z muzyką Beach Boys w tle Alberto, José i don Jaime, siedzący na taboretach przy barze, śmiali się z dowcipów Martina, który pełnił obowiązki barmana. Po drugiej stronie sali Izer, Manuel i Pecas dyskutowali o tym, czy Muhammad Ali jest rzeczywiście najlepszym bokserem wszech czasów, czy też jest nim Foreman, podczas gdy Rex, rozciągnięty na podłodze, gryzł jeden z moich sandałów.

Raiza, siedząc obok mnie, zaczynała jaśnieć w moim sercu własnym światłem.

W tamtych dniach, gdy byłem na granicy śmierci, czuwała nad moim snem i majakami, a kiedy się ocknąłem, obdarowała mnie uśmiechem zroszonym łzami wzruszenia. Nie wspomniała ani słowem o tym, co się stało, i

nie pozwalała, by mówiono na ten temat w jej obecności. Jakby znową milczenia chciała puścić to w niepamięć. Rozumiałem ją, bo tak samo postępowałem wobec księżniczki Jazmín.

Rana na nodze goiła się i szybko wracałem do zdrowia pod troskliwą opieką Raizy. Zdałem sobie wtedy sprawę, jak bardzo mnie kocha i jakiego przysparzam jej cierpienia za każdym razem, gdy wyruszam w drogę.

Siedząc przy mnie, gładziła mnie czule po ramieniu.

– Promieniejesz – zauważyłem.

– Jestem szczęśliwa, Remy, że wreszcie znalazłeś siódemkę – odrzekła, wskazując głową wszystkich moich przyjaciół.

– Siódemkę?

– Pamiętasz, w dniu, gdy się poznaliśmy, powiedziałam ci, że jesteś głupcem, bo w automacie do gry brakuje siódemki? Teraz masz tutaj siedem osób, które cię kochają i martwią się o ciebie. Znalazłeś siódemkę. To dobra liczba, niepodzielna...

– A ty? Jakim numerem jesteś, Raizo?

– A jaki mi przydzielił?

– Nie masz żadnego. Jesteś panią nas wszystkich...

Podszedł do nas Alberto. Widząc Raizę obok mnie, puścił do niej oko i powiedział żartobliwie:

– Czego nie robi ten twój pilot, żeby zwrócić na siebie uwagę... Nawet przestrzelił sobie nogę!

Raiza zrobiła zabawną minę, udając niedowierzanie.

– Jak się czujesz, Remy? – spytał Alberto.

Wskazałem wszystkich obecnych i odparłem:

– A jak myślisz? Są tu wszyscy moi przyjaciele, najpiękniejsza kobieta, jaką znam, twierdzi, że nie może beze mnie żyć, a jej pies obgryza mi stopę. Grzeszyłbym, gdybym narzekał.

– Pamiętasz, jak lecieliśmy razem do Cancúnu? Spytałem cię wtedy, kim chciałbyś być, gdybyś nie był pilotem. Pamiętasz? Odpowiedziałeś, że być może reporterem „National Geographic” albo pisarzem.

– Pamiętam.

– Zapytałem cię, jakie historie byś opisywał. Przypominasz sobie, co odpowiedziałeś?

- Tak. Powiedziałem, że pisałbym o tym, jakie piękne jest życie tam, w górze, i jak straszne są rozczarowania, gdy stawiam stopę na ziemi.
- Jesteś dzisiaj rozczarowany? – spytała Raiza.
- Wprost przeciwnie, jestem szczęśliwy.
- Więc to powinieneś opisać.
- A ty? Co chciałbyś naprawdę robić? Sądzisz, że któregoś dnia przejdziesz na emeryturę? – spytałem Alberta.

Zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział:

– W dzieciństwie marzyłem, żeby pracować w latarni morskiej. Wyobrażałem sobie, że jestem na wysokiej wieży z potężną lampą, która nocą wskazuje drogę statkom i samolotom, by pomóc im trafić do domu. Uwierz mi, czułem wielki zawód, gdy się dowiedziałem, że światło latarni obraca się samodzielnie, jak kula ziemiska, i nie potrzebuje niczyjej pomocy. Od tamtej pory zdałem się na przeznaczenie. Nie sądzę, byśmy przy naszym trybie życia mogli myśleć o emeryturze. Jeśli nadejdzie taki dzień, chyba schronię się w jakiejś górskiej chacie albo kupię sobie latarnię morską na jakiejś wyspie i będę drwił z całego świata.

Raiza się zaśmiała, po czym stwierdziła:

– Proszę cię, Alberto! Nie potrafiłbyś żyć z dala od światła, od kosmopolitycznego zgiełku. Nowy Jork odcisnął na tobie piętno...



Wiele wody upłynęło pod Mostem Brooklyńskim w Nowym Jorku, odkąd Alberto mieszkał na skrzyżowaniu Broadwayu i Osiemdziesiątej Czwartej Alei. Dzięki eleganckiej postawie, wytwornym manierom i wyrafinowanemu gustowi przekroczył Río Grande i zaczął obracać się w Meksyku w wyższych sferach, docierając aż do kręgów związanych z prezydentem republiki. Jego wygląd, mogący z pewnością budzić zazdrość wielu aktorów z Hollywood, zniewalał kobiety z meksykańskich elit. Aktorki i modelki z telewizji starały się o jego względy. W krótkim czasie zdołał skupić na sobie uwagę polityków, wojskowych i przedsiębiorców.

Alberto miał niesamowite wyczucie koniunktury i potrafił wykorzystać moment, gdy Nixon wypowiedział wojnę potężnemu Francuskiemu Łącznikowi,

organizacji jednoczącej głównie korsykańskich handlarzy heroiną. Dzięki inteligencji oraz pomocy CIA i José Alberto zdołał przeniknąć do świata tajnych szwajcarskich kont oraz rachunków Nugan Hand Bank.

Historia się powtarzała. George Bush i jego przyjaciele z CIA przygotowali operację na wielką skalę przeciwko Korsykanom, korzystając z tych samych metod, jakie stosowali, aby kontrolować handel heroiną w południowo-wschodniej Azji. Tym razem mieli na tym skorzystać przede wszystkim wyszkoleni przez CIA Kubańczycy.

W tamtym czasie ogromne sumy pieniędzy, pochodzące z rynku heroiny i z południowo-wschodniej Azji, służyły do finansowania kariery politycznej Busha. Przepracowawszy rok jako ambasador Narodów Zjednoczonych, a potem przewodniczący Narodowego Komitetu Republikanów, zdołał pozostać blisko swoich „chłopców”, gdyż mianowano go oficjalnie attaché w Pekinie, aby zajął się przywróceniem stosunków dyplomatycznych z Chinami. Rok później awansował na dyrektora CIA.



W tamto Boże Narodzenie wszystko układało się idealnie. Nauczyłem się jednak dostrzegać na horyzoncie zwiastuny burzy. To, co wydarzyło się w Meksyku, stanowiło dowód, jak ulotne może być nasze życie, i martwiłem się o Alberta. Byłem przekonany, że na niego polują. Niektórzy przedstawiciele meksykańskiej elity żywili do niego urazę, bo nie mogli znieść, że ten kubański przedsiębiorca o „gładkim obliczu” kradnie im popularność w ich własnych kręgach. Trudno im było z nim rywalizować.

Gdy mu to powiedziałem, odparł:

- Nie szukam rozgłosu, Remy. Jestem biznesmenem. Tylko tyle.
- Czego oczekujesz, Alberto? Wydajesz fortunę na ekstrawaganckie życie: samoloty, jachty, rolls-royce'a i ferrari, apartamenty w Fontainebleau w Miami, w Waldorf Astorii w Nowym Jorku i w Ritzu w Paryżu i chcesz, żeby nie zwracano na ciebie uwagi?
- Nie podróżuję sam, Remy, i dobrze o tym wiesz. Staram się, żeby wszyscy na tym korzystali.

– Tak, ale będąc hojnym dla ludzi ze swojego otoczenia, nie rozwiązujesz problemu. Wprost przeciwnie, Alberto, pogarszasz sytuację, bo każdego dnia przybywa osób, które czują się ignorowane. A to wzbudza zawiść i przysparza wrogów. Jesteś zbyt szczodry i może dlatego niektórzy czują do ciebie niechęć.

– Zawsze istnieją bezinteresowni wrogowie, Remy.

Pomyślałem, że nadeszła pora, by wyjaśnić wątpliwości, i spytałem:

– Co stało się w Meksyku, Alberto? Przekonałeś don Jaime i wszystkich pozostałych, że to był przypadek. Że po prostu znalazłem się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Ale myślę, że chodziło im o ciebie. Nikomu o tym nie wspomniałem, ale jestem przekonany, że ty byłeś ich celem.

– Dlaczego tak sądzisz, Remy?

– Nikt mi nic nie powiedział, ale leżąc w łóżku, poczytałem sobie trochę na temat tego, co się wydarzyło. Manuel zebrał przed przyjazdem wszystkie gazety, które o tym pisały. Są zgodne w opiniach. Człowiek, który zginął, nie miał wrogów. Był bardzo szanowanym przedsiębiorcą z Monterrey. Poza tym zatruty pocisk? To typowe dla Jalisco, Alberto. Smarują pociski trucizną. Ktoś chciał mieć pewność, że jeśli nie zginiesz od razu, umrzesz w męczarniach. Sporo w tym nienawiści. Nie sądzę, żebym miał takich wrogów. Gdyby to był ktoś z konkurencji, nie staraliby się aż tak, dobrze o tym wiesz. Sprzątnęliby nas, i tyle. Wszystko pasuje, Alberto: postrzelili mnie przy wejściu do znanego hotelu, gdzie mieliśmy zwyczaj razem jadać. Kiedy wyszedłem pierwszy, unieszkodliwili mnie strzałem w nogę, a człowiekowi, który siedł za mną, bardzo przypominającemu ciebie wzrostem, fizjonomią i ubiorem, strzelili w głowę. Pozostaje pytanie: kto wiedział, że będę w restauracji w tym hotelu? Tylko ty, Alberto, nikt więcej. Jeśli zatem moja teoria jest słuszna, musiałeś komuś wspomnieć, że zamierzasz się ze mną spotkać. Pamiętasz, komu o tym powiedziałaś?

Nagle poważna twarz Alberta spochmurniała. Nie musiał nic mówić. Wiedziałem, że się nie myliłem i...



Don Jaime także martwił się o Alberta. Poczucie bezpieczeństwa, jakie dawały mu pieniądze, i błędne mniemanie, że przyjaźń z krewnymi żony meksykańskiego prezydenta Luisa Echeverrii zapewnia mu nietykalność, stanowiły jego słaby punkt. Don Jaime i ja mieliśmy też podobne zdanie na temat Mike'a Deckera, weterana z oddziałów SEAL, który towarzyszył Albertowi. Było w jego zachowaniu coś, co nie wzbudzało zaufania. Podczas gdy większość ludzi okazywała Albertowi i José ogromny szacunek, Decker wyróżniał się służalczością. Kiedy zwróciłem na to uwagę don Jaime, zaskoczyła mnie jego odpowiedź:

– On mi się nie podoba. To niebezpieczny człowiek. Nie chodzi mu o pieniądze.

– Kto go polecił? – spytałem.

– Na tym polega problem. José twierdzi, że ma zbyt dobre referencje. Zapamiętaj: kiedy coś wydaje się za dobre, bądź ostrożny. Nigdy nie pozwól, by pochlebstwa ludzi z twojego otoczenia pozbawiły cię obiektywizmu...

– Proszę mi wyjawić, don Jaime, jakie ma pan przeczucia.

– Najpierw ty mi powiedz, co, twoim zdaniem, może się zdarzyć w obecnej sytuacji?

– Myślę, że wcześniej czy później dobiorą się do Alberta i José. Sporo osiągnęli, a to wzbudza zawiść. Ale nie wiem, skąd mogą paść strzały, nie mam pewności. Może ze strony meksykańskich władz, zazdrosnych o swoje wpływy, albo, kto wie, ich własnych rodaków żyjących na emigracji. A co pan sądzi?

– Myślę, że nie docenili Alberta. Nikt nie przypuszczał, że może zająć tak wysoko, i przeczuwam, iż sami ludzie z CIA będą próbowali go utrać. Zajmuje wysoką pozycję, a zważywszy na to, że chłopcy Busha przywykli kierować dużymi operacjami w handlu narkotykami, nie sądzę, by oparli się pokusie kontrolowania tego, czym rządzi Alberto. Dlatego wycofujemy się, a dla dobra Alberta i José życzę im z całego serca, bym się mylił.



Miesiąc po tej rozmowie don Jaime postanowił zrezygnować ze spółki pod pretekstem problemów z produkcją. Odbył spotkanie z Albertem, José i Vázquezem, oznajmiając im, że się wycofuje. Produkcja przechodziła w ręce

innej grupy. W kategoriach handlowych: jego infrastrukturę przejmowała nowa firma.

Wiadomość ta ich nie dotknęła, gdyż byli na szczycie. Pieniądze spływały ze wszystkich stron, nie byliśmy więc im niezbędni. Jednak José, bardzo strapiony, chciał wiedzieć, co się dzieje. Byłem z nim szczerzy:

– José, prawdę mówiąc, nie podoba nam się to wszystko. Myślę, że angażujecie w sprawę zbyt wielu ludzi i przestaliście być ostrożni. Martwi nas to.

José, z właściwą sobie szczerością, nie zdejmując nieodłącznych słonecznych okularów marki Ray Ban, odparł:

– Wiem. Zawsze istnieje możliwość, że w każdej chwili wszystko wymknie nam się z rąk, ale dobrze mnie znasz i wiesz, iż nie muszę tutaj być. Mojej rodzinie udało się rozwinąć na dużą skalę firmę obuwniczą. Sprzedajemy więcej butów niż ktokolwiek na wschodnim wybrzeżu Stanów, ale nie mógłbym już wrócić do tego świata. Pewne zdarzenia pozostawiają piętno na całe życie. Byliśmy zmuszeni opuścić Kubę i kiedy nie powiodła się inwazja, spędziłem dwa lata w więzieniu. Podoba mi się życie, jakie teraz prowadzę, i lubię, gdy coś się dzieje. Wiem, że nie będę żył wiecznie, ale póki tu jestem, nie przestanę walczyć za Kubę.

– Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć. Że w razie potrzeby ci pomogę, gdziekolwiek będę. Wiesz o tym, правда?

Uściskał mnie i powiedział:

– Wiem. Jeśli komuś ufam, to właśnie tobie, dlatego powiem ci coś w sekrecie: cieszę się, że się wycofujesz. Jesteś młody, masz śliczną dziewczynę, która cię uwielbia, i jeszcze nie jest za późno, żebyś zrezygnował. Dbaj o nią i o starego.

– Postaram się. A ty dbaj o Alberta. Potrzebuje cię teraz bardziej niż kiedykolwiek...



Minął tydzień. Don Jaime musiał udać się z wizytą kontrolną do Tegucigalpa bo jedna z firm należących do spółki miała ujemny bilans. Jej dyrektor zniknął i nadeszła pora, by sprawdzić, co się dzieje. Towarzyszyłem mu w

tej rutynowej podróży. Don Jaime nie życzył sobie, by ci ludzie mnie poznali, i poprosił, żebym zaczekał na niego w La Ceibie, mieście na wybrzeżu. Miał tam do nas dołączyć Barry. Dowiedział się, że zrezygnowaliśmy ze współpracy z Albertem, i przekazał mi zmartwiony, co dotarło do jego uszu:

– Trzymaj się w najbliższych miesiącach z daleka od Meksyku. DEA* szykuje przeciwko nim coś bardzo paskudnego. Nie mogłem stwierdzić, o co chodzi, ale to nic dobrego.

* DEA – Drug Enforcement Administration – Rządowa Agencja do walki z Narkotykami.

– Cholera! Zawiadomiłeś ich?

– Jasne, ale Alberto uważa, że mam przywidzenia.

– Możemy do tego nie dopuścić?

– Nie. Skoro oni nie chcą przyjąć do wiadomości, że są w niebezpieczeństwie, nic nie zdziałamy. Możemy tylko trzymać się z daleka.

Kiedy przybył don Jaime, przekazałem mu nowiny i spytałem, czy zdołał pomówić z Albertem.

– Jest takie stare porzekadło: „Nie ma gorszego ślepcy niż ten, który nie chce widzieć”. Mimo wszystko zobaczę się jutro z człowiekiem, który może zdoła nam pomóc.

– Kto to taki?

– Juan Ramón Matta Ballesteros...

36.

W Hondurasie nazwisko Juan Ramón Matta Ballesteros było synonimem władzy. Dzięki sojuszom zdołał pozawierać układy z politykami i wojskowymi, uzyskał poparcie służb wywiadowczych różnych krajów i organizował pomoc dla ubogich. Potrafił utrzymać delikatną równowagę sił, za co podziwiałem go nie tylko ja, lecz także don Jaime.

Obdarzony niezwykłą inteligencją, niespożytą energią i wielkim talentem dyplomatycznym, uważany był za handlarza kokainą dużo wcześniej, niż pojawiły się na scenie inne postacie, które przyciągnęły uwagę prasy. Mówiono, że zna najważniejszych producentów narkotyków w Ameryce Południowej. Znał Alberta i miał na niego pewien wpływ. Jeśli ktokolwiek mógł sprawić, by Alberto się opamiętał, to tylko on.

Don Jaime umówił się na spotkanie z Mattą na przedmieściach Tegucigalpy. Towarzyszył nam Barry. Matta podjechał po nas swoim jeepem. W niewielkiej odległości za nami jechały dwa samochody, które na pewnym odcinku drogi, na dany przez niego znak, zniknęły. Podczas jazdy Matta prowadził ożywioną rozmowę z don Jaime, który siedział obok niego. Barry i ja tylko słuchaliśmy. Od czasu do czasu padał jakiś komentarz, który dawał Barry'emu okazję włączenia się do rozmowy. Tylko ja byłem obcy, dlatego zachowałem milczenie.

Pokonawszy wiele zakrętów, dotarliśmy do domu Matty. Otworzyła się zdalnie sterowana brama, pozwalając nam wjechać. Żwirowany podjazd

proceedził do majestatycznej rezydencji w hiszpańskim kolonialnym stylu, pomalowanej na biało, z wielkimi łukami i oknami wychodzącymi na frontową galerię, ozdobioną donicami z kwiatami. Zanim weszliśmy, Matta pokazał nam przeróbki, których dokonał na zewnątrz budynku. Potem zaprosił nas do środka i widząc, że dom wywarł na nas duże wrażenie, wyjaśnił, że był on kiedyś, przed reformą rolną, częścią jednej z największych hacjend w kraju.

Tylko z zewnątrz wyglądał na historyczną rezydencję. Wewnątrz miał elegancki wystrój. Główny salon był ogromny, z dwoma złotymi świetlikami w dachu, które zapewniały światło słoneczne i potęgowały wrażenie przestrzeni. Z boku zachęcały do wypoczynku skórzane kanapy. Z drugiej strony stał ogromny drewniany stół z palisandru, udekorowany kwiatową kompozycją. Przez ogromne francuskie drzwi widać było wewnętrzne ogrody i wielki basen. Widać było, że o dom bardzo dbano.

W pewnym momencie Matta spytał don Jaime:

– Chce pan zobaczyć, gdzie umieściłem pański mebel?

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do dwuskrzydłowych drzwi i je otworzył. Naszym oczom ukazał się pokój, większy niż poprzedni, z wielkim kominkiem. Wyglądał jak w muzeum. Był wspaniały. Na ścianach wisiało mnóstwo fotografii i bogata kolekcja floretów, sztyletów, szpad i szabli. Na wytwornych meblach stały trofea szermierza. Była też szafa z mahoniem z przeszklonymi drzwiami, mieszcząca ekspozycję pistoletów i starej broni palnej.

Podczas gdy Matta prowadził z don Jaime i Barrym ożywioną rozmowę na temat mebli, generała Paz Garcíi i jego koni wyścigowych, podszedłem do ściany, gdzie wisiała szabla oraz szpady: jedna z gardą, druga z okrągłą rękojeścią i trzecia klasyczna. Nie mogłem oprzeć się pokusie, by dotknąć palcami zimnego metalu jednej z nich. Matta dostrzegł mój gest, podszedł bliżej i z satysfakcją kolekcjonera powiedział:

– Widzę, że przyciągnęły twoją uwagę.

– Zawsze podobały mi się szpady i szermierka – wyznałem. – Nigdy jej nie uprawiałem, ale pociąga mnie jako sport.

– Masz dobry gust. Można powiedzieć, że ta kolekcja broni jest historyczna. Na ostrzach wielu z tych szpad była krew. Niestety, dziś nie docenia się już pojedynków i szlachetnego sportu, jakim jest szermierka. Dziś honoru broni się w inny sposób, mniej elegancki i o wiele bardziej brutalny. Ludzie się zmienili, pojedynki zniknęły, a bez nich sztuka fechtunku nie ma już racji bytu.

– Miejmy nadzieję, że ten sam los nie czeka honoru – ośmieliłem się stwierdzić.

– Dla niektórych honor to wartość, która towarzyszy nam przez całe życie. Dla innych jest tylko kwestią reputacji, a nie zasad. Zachowuję te szpady w hołdzie dla honoru.

– Podoba mi się pański dom – powiedziałem szczerze. – Pobudza wyobraźnię.

– Nie każ mi się czuć staro. Mów do mnie J.R. Niewiele osób zna ten dom. Przyjeżdżam tu tylko na wypoczynek, nie znają go nawet moi najbliżsi. Don Jaime stanowi wyjątek. Tylko on wie, gdzie są wszystkie moje rezydencje.

– Każda jest tak piękna jak ta?

Barry, który trzymał się z boku, wtrącił:

– Najbardziej podoba mi się ta w górach. Widok wulkanu jest imponujący.

– Dla mnie domy to coś więcej niż miejsce zamieszkania. Dam ci radę, którą słyszałeś już może od don Jaime: poszukaj domu na uboczu, którego lokalizację będziesz znał tylko ty, uczyni go miejscem, gdzie odnajdziesz siebie i będziesz szczęśliwy. Nikomu o nim nie mów, niech służy tylko tobie, do wypoczynku i rozmyślań.

– Zapamiętam to.

Zainteresowanie bronią zbliżyło nas do siebie. Od tamtej chwili przestałem być osobą towarzyszącą i Matta zaczął zwracać na mnie uwagę. Po drinkach nadeszła pora, by pomówić o interesach i o tym, co dzieje się z Albertem. Don Jaime wyraził swój niepokój, także Barry zabrał głos.

– Niewiele mogę zrobić, don Jaime. Alberto to mój dobry przyjaciel, ale jest bardzo niezależny. Wie, że na niego polują, ale jest przekonany, że nic

mu się nie stanie.

Matta wstał i zaczął się przechadzać, nie przestając mówić. Zadzwoił telefon, ale ktoś odebrał go w innej części domu. Nie okazując zainteresowania tym, kto dzwoni, mówił:

– Prowadzimy takie życie, jakie nam się podoba. Nikt nas do tego nie zmusza. Robimy interesy z politykami, wojskowymi i osobami powiązanymi z tym czy innym rządem. Uśmiechają się do nas, gdy są zainteresowani współpracą. Ale musimy zawsze mieć na uwadze, że nasz kraj jest okupowany i nie jesteśmy niezastąpieni. Żaden z nas. Amerykanie mogą uznać w każdej chwili, że już nas nie potrzebują, i wtedy przestaniemy być użyteczni. Zapominając o tym, ryzykujemy, że pewnego ranka spotka nas przykra niespodzianka. Liczę się z tym ryzykiem i robię interesy nie tylko dla pieniędzy, jak wielu sądzi. Robię je, ponieważ w ten sposób pomagam moim rodakom i bez względu na to, co mówią, dzięki temu lepiej śpiam.

Po spędzeniu kilku godzin w jego domu pożegnałem się z nim serdecznie. Niewątpliwie był to człowiek, który miał jasne poglądy na temat mechanizmów rządzących polityką w Hondurasie i Ameryce Środkowej. Podczas tego spotkania poznałem Mattę pełnego pasji, dynamicznego, prowadzącego rozmowę z werwą i błyskotliwością. Odnosiło się wrażenie, że zawsze jest gotów energicznie za coś obstawać, ale równocześnie był uprzejmy i życzliwy.

Gdy wracaliśmy, Barry spytał:

- Co o nim sądzisz?
- Podoba mi się. Jest inteligentny i ma bardzo dobry gust.

Don Jaime stwierdził:

– To niezwykle człowiek, bez względu na to, co mówią. Niewiele znam osób, które mają taki zmysł do interesów. Troszczy się o swoich ludzi, pomaga i daje pracę setkom rodzin. Amerykański rząd się go boi. Wiedzą, że jest jednym z tych, którzy mogą wzniecić bunt. Może być śmiertelnym wrogiem, ale jeśli masz w nim przyjaciela, nigdy cię nie zdradzi, a to w dzisiejszym świecie jest najważniejsze.

37.

Lecąc z Martínem nad Belize (dawnym Hondurasem Brytyjskim) do Kolumbii, opowiedziałem mu o swojej wizycie w przepięknym domu w pobliżu Rio Hondo, między San Román i Kaledonią, bardzo blisko granicy z Meksykiem. Była to rezydencja jakby wyjęta z planu filmu *Bonanza*. Należała do legendarnej osobistości, człowieka, który pracował przez wiele lat dla NSA (Krajowej Agencji Bezpieczeństwa), a potem dla CIA. Zaszły się na rancho i zbudował tam pas, na którym mogły lądować wygodnie dwusilnikowe maszyny oraz małe i średnie odrzutowce. Wyjaśniłem Martínowi, że poznałem tam Benny'ego, właściciela lokalu Happy Shark, niewielkiego zrujnowanego baru na skraju plaży w rybackiej osadzie San Pedro, złożonej ze starych drewnianych domów.

Na plaży obok wioski piasek był bardzo zbity, więc zapamiętałem ją jako ewentualne miejsce do lądowania w sytuacji awaryjnej. Od kilku miesięcy tamtędy nie latałem, a ponieważ nie wieźliśmy żadnego ładunku, spytałem z głupia frant:

- Może przelecimy nad plażą, rzucimy na nią okiem, a jeśli będzie dobrze widoczna, wysiądziemy, żeby wypić kilka piw?
- Chyba oszalałeś. Co chcesz zrobić? Wylądować na plaży?
- Dlaczego nie? Znam ją, piasek jest zbity i twardy.
- Jak chcesz. Jedno piwo nie zaszkodzi – mruknął z niedowierzaniem.

Potem przyznał się, że początkowo sądził, iż żartuję. Nawet gdy już lecieliśmy nad plażą, nie wierzył, że naprawdę wyląduję, i dlatego przystał na moją propozycję.

To, co nastąpiło potem, przypominało cyrkowe przedstawienie. Podczas pierwszego podejścia lecieliśmy tak nisko, że połowa mieszkańców wioski wyszła z domów, by zobaczyć, co się dzieje. Benny, który obsługiwał klientów w barze, usłyszał warkot samolotu i wybiegł na zewnątrz. Znał mnie i natychmiast pomyślał, że próbuję wylądować z powodu jakiejś awarii. Bardzo się zdenerwował i ostrzegł ludzi, by zeszli z plaży, bo samolot zaraz zawróci i będzie lądował. Kiedy zatoczyłem krąg, zmniejszyłem do minimum moc silnika i Martín zobaczył, że wyciągam rękę, by ustawić klapy, zdał sobie sprawę, że naprawdę zamierzam posadzić maszynę na ziemi, i wrzasnął, zapinając podwójne pasy bezpieczeństwa:

– Cholera! Oszalałeś!

Po kilku sekundach na oczach grupy zaskoczonych wieśniaków i turystów zniżyliśmy bardzo powoli lot i wylądowaliśmy bez problemów na niezwykle krótkim odcinku. Benny podbiegł do samolotu z przerażoną miną, dźwigając gaśnicę. Pomógł otworzyć drzwi od strony Martína i wykrzyknął:

– Nie do wiary! Nic wam się nie stało? Mogę w czymś pomóc?

Przywitałem się z nim, zdejmując pasy i przygotowując się do wyjścia.

– Cześć, Benny – rzuciłem spokojnie. – Miło cię widzieć. Bardzo nam pomożesz, jeśli zaprosisz nas na zimne piwo.

– Co się dzieje z samolotem? – spytał zdezorientowany.

– Nic się nie dzieje. Wpadliśmy, żeby się z tobą przywitać i wypić kilka piw.

W ciągu paru sekund otoczyły nas zaciekawione śniade twarze dzieci i dorosłych, którzy chcieli zobaczyć samolot. Benny starał się ich odsunąć. Przekonywał, że nic się nie stało, że to tylko drobna usterka. Zeskoczywszy na piasek, Martín oznajmił głośno z typowym dla siebie czarnym humorem:

– Odejdźcie! Silnik jest przegrzany i może eksplodować.

Wiele osób natychmiast się oddaliło, stając w bezpiecznej odległości. Benny, który prawie płakał ze śmiechu, stwierdził:

– *You are fucking crazy*. Ale dzięki, że wpadliście. Pewnego dnia będą śpiewali piosenki o waszym szaleństwie, ale tymczasem napijmy się czegoś.

Zostawiliśmy samolot pod czujnym okiem chłopców Benny'ego i poszliśmy do baru Happy Shark w towarzystwie sporego tłumu ludzi, którzy

chcieli się dowiedzieć, jaki mamy problem. Za naszymi plecami ktoś mówił z przekonaniem:

– Na pewno zabrakło im paliwa.

Nasza wizyta w Happy Shark trwała krótko, ponieważ telegrafista powiadomił władze, sądząc, że zdarzył się wypadek, i kwadrans później ktoś zadzwonił do Benny'ego i ostrzegł go, że do wioski zmierza wojskowy patrol. Za kilka minut mieli być na miejscu. Benny poinformował nas zmartwiony:

– Przyjaciele, w ciągu niecałych dziesięciu minut musicie wystartować. Wojsko jest w drodze.

Dopiłem pospiesznie piwo i uspokoiłem go:

– Nie przejmuj się. Kiedy tu dotrą, będziemy już w powietrzu.

Pobiegliśmy do samolotu i zapaliliśmy silnik. Gdy osiągnął wysokie obroty i mieliśmy startować, Benny przybiegł z torbą piw, które Martín pospiesznie odebrał. Połowa wioski zgromadziła się, żeby zobaczyć, jak się wznosimy. Gdy zwiększałem moc silnika, by wystartować, Martín zęgnął się ze wszystkimi, śmiejąc się jak szalony. Kiedy zwolniłem hamulec i samolot zaczął kołować, usłyszałem przez słuchawki, jak mówi:

– Zapamiętają nas, Remy. Zapewniam cię, że zapamiętają nas na całe życie.

Samolot wzbił się w górę bez problemów i kontynuowaliśmy naszą podróż do Kolumbii.



Cztery miesiące później wróciłem do baru Happy Shark za kierownicą mustanga rocznik 69, którego zaparkowałem na tylnej ulicy. Bar miał bardzo malownicze wejście: widniała na nim namalowana paszcza wielkiego uśmiechniętego rekina. Benny stał za barem, serwując drinki jakimś dziewczynom. Gdy mnie zobaczył, podszedł, by mnie uściskać. Poprosił, bym usiadł koło dziewczyn, i przedstawił mnie jako swojego brata. Słuchały uważnie naszej rozmowy i były zdziwione, gdy powiedział żartobliwie:

– Cieszę się, że wszedłeś od strony ulicy.

Jedna z dziewczyn ściągnęła brwi, zaskoczona tą uwagą, i widząc jej zmieszanie, Benny wyjaśnił:

– Czasem przychodzi z plaży. Ostatnim razem przyleciał samolotem. – Ponieważ jego słowa najwyraźniej jeszcze bardziej zbiły dziewczyny z tropu, przeprosił je na chwilę, poszedł do narożnika lustrzanego baru i przyniósł zdjęcia, kładąc je z dumą na kontuarze. – W ten sposób zjawił się tu poprzednio.

Na serii zdjęć uchwycono lądowanie samolotu. Dziewczyny przyjrzały im się i jedna z nich wykrzyknęła:

– To szaleństwo! To było na tej plaży?

Benny wyszedł z baru i powiedział:

– Chodźcie, chcę wam coś pokazać.

Skierował się do drzwi prowadzących na plażę. Na dworze ustawiono stoły, gdzie klienci, w większości Anglicy, napawali się słońcem, popijając piwo. Kilka metrów dalej stały dwie tablice z napisem po angielsku, bez wątplenia niezrozumiałym dla turystów: ZAKAZ PARKOWANIA – Z WYJĄTKIEM SAMOLOTÓW.

Uściskałem Benny'ego i spytałem:

– Kto zrobił te zdjęcia? To nie mogłeś być ty.

– Zrobił je turysta, który był przekonany, że się rozbijecie. Kiedy się zorientowałem, zaproponowałem mu, że odkupię całą rolkę filmu, ale odmówił. Poprosiłem więc jednego z chłopaków z plaży, żeby ukradł mu aparat. Nie wiedziałem, czy na zdjęciach nie widać przypadkiem numerów samolotu, bo wtedy moglibyście mieć problemy.

Wróciliśmy do baru, gdzie – przy piwie i w towarzystwie dziewczyn – opowiedział nam, że niektórzy robili zakłady, czy rozbijemy się na końcu plaży, próbując wystartować, i że w ciągu paru sekund nad wodą zebrał się tłum jak podczas pokazów akrobatycznych, a jakby nie dość było tego cyrku, po chwili przybył wojskowy patrol i zaczął zadawać pytania. A on martwił się, czy ktoś przypadkiem nie zanotował numerów maszyny. Na koniec powiedział:

– Mam odbitki tych zdjęć dla ciebie i dla Martína. Pomyślałem, że chcielibyście je mieć na pamiątkę tego szaleństwa.

– Dziękuję, Benny. Dam je Martínowi. Na pewno będzie zachwycony...

38.

Wyszliśmy z Raizą z kina po obejrzeniu *Szczęk*, przeboju sezonu, i wracaliśmy do domu, gdy zabrzączał mój pager. Na ekraniku przeczytałem krótką wiadomość: ARESZTOWALI W MEKSYKU ALBERTA I JOSÉ.

Wiadomość przysłał Martín. Zatrzymałem samochód i zadzwoniłem do niego z budki telefonicznej. Powiedziałem lakonicznie, że zobaczymy się w mojej kwaterze w hali. Siedząc w samochodzie, próbowałem ogarnąć powagę sytuacji. Nasze drogi rozeszły się już przed paroma miesiącami, ale więzi przyjaźni pozostały silne. Pierwsze, co pomyślałem, to że wpadli w ręce meksykańskiej policji, znanej ze stosowania tortur.

José, który przysięgał, że nigdy więcej nie da się wsadzić do więzienia, znowu był w celi. Dawno temu, w jednej z tych rozmów, jakie prowadzi się podczas długich podróży, zwierzył mi się ze swoich obaw: „Wolę umrzeć, niż znowu trafić za kratki. Nie zniósłbym tego jeszcze raz”.

Gdy dotarliśmy na miejsce, Martín powiedział nam, co wie. Zadzwonił ich wspólny łącznik i powiadomił, że Alberto, José i inni zostali zatrzymani i oddani do dyspozycji prokuratury generalnej republiki. Operację zorganizowali Amerykanie z DEA przy współpracy władz z Tijuany. Ogarnęła mnie wściekłość, gdy dowiedziałem się, że wydał ich Mike Decker, słynny ochroniarz Alberta, dostarczając informacji niezbędnych do wszczęcia dochodzenia przez Departament Sprawiedliwości i aresztowania całej grupy.

Tej samej nocy skontaktowałem się z Robertem, adwokatem Alberta w Los Angeles, i poprosiłem, by spróbował się dowiedzieć za pośrednictwem

rządu meksykańskiego, jaka jest sytuacja prawna zatrzymanych i jak poważne ciążą na nich zarzuty. Zadzwoiłem do don Jaime, którego również ta wiadomość nie zaskoczyła. Zalecił, żebym trzymał się od tej sprawy z daleka i zachowywał dużą ostrożność, dopóki nie poznam wszystkich szczegółów.

A te powoli wychodziły na jaw. Alberto płacił za to, że był zbyt pewny siebie. Nazar Haro, najbardziej wpływowy człowiek w Meksyku, ze swego bastionu w Federalnej Dyrekcji Bezpieczeństwa, będącej połączeniem meksykańskich odpowiedników FBI i CIA, dawał Albertowi złudne poczucie nietykalności. Haro odgrywał wiodącą rolę w walce z ruchami lewicowymi i jego strategiczna pozycja przyciągała ludzi z zagranicy. Stał się kluczową postacią dla Alberta, dla kubańskich uchodźców, którzy chcieli obalić Fidela Castro, i dla CIA, która ich wspierała. Alberto i José uważali, że dzięki jego protekcji są bezpieczni. Jednak teraz siedzieli w więzieniu Lecumberri, najgorszym w Meksyku.

Grupa wpadła w fatalnym momencie. Walka między FBI, DEA i CIA osiągnęła apogeum. Areszt przedłużał się w oczekiwaniu na różne decyzje sądowe, między innymi na rozpatrzenie żądania ekstradycji pochodzącego z Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych.

Po upływie dwóch miesięcy, widząc, że sprawa nie posuwa się naprzód, postanowiłem złożyć im wizytę. Sporo ryzykowałem. Do meksykańskiego więzienia niebezpiecznie było wchodzić, nawet gdy było się odwiedzającym. Ale istniał tylko jeden sposób, by poznać dokładnie sytuację: porozmawiać bezpośrednio z nimi.

Więzienie Lecumberri było najstarsze w stolicy Meksyku. Działo tak, jak wszystkie inne w tym kraju: soboty i niedziele były dniami odwiedzin. Wszyscy osadzeni wychodzili na dziedzińce i spotykali się z setkami odwiedzających, którzy pojawiali się od wczesnego rana i mogli zostać na terenie zakładu do szesnastej. Nikogo nie faworyzowano.

Niektórzy więźniowie ustawiali przy ścianach krzesła, ławy i stoły i tworzyli niewielkie „strefy odwiedzin”, wynajmując je lepiej sytuowanym towarzyszom. Inni zajmowali się sprzedażą napojów chłodzących, przekąsek i pamiątek, by „zarobić na życie”... Strażnicy rzadko pojawiali się na

dziedzińcach, a nieliczni, którzy to robili, należeli do grona najbardziej szanowanych. Zachowałem wszelkie środki ostrożności i wszedłem tam z fałszywym paszportem, nie zawiadamiając ich o moich odwiedzinach. Stojąc w kolejce do bramy, usłyszałem, jak kobieta przede mną podaje nazwisko swojego syna, Raúla Acosty. Kiedy nadeszła moja kolej, podałem to samo nazwisko. Mogłem równie dobrze powiedzieć, że przychodzę odwiedzić Richarda Nixona albo dalajlamę, bo strażnik nagryzmolił coś tylko w książce wizyt. Pewnie wiedział, że wszyscy kłamią.

Kilka kroków od wejścia różni osadzeni oferowali swoje usługi jako „heroldowie”, pomagający odszukać konkretnego więźnia. Gdy podałem jednemu z nich to samo nazwisko, co strażnikowi przy bramie, zaczął iść przede mną, wykrzykując je na głos. Po kilku minutach napotkałem kobietę, którą widziałem w kolejce. Była w towarzystwie swojego syna. Siedzieli pod gzymsem jednego z budynków. Dałem kilka pesos „heroldowi” i podszedłem do nich. Młody człowiek wstał natychmiast, czujny i zaciekawiony.

Wyciągnąłem rękę na powitanie i powiedziałem:

– Wykorzystałem twoje nazwisko, żeby się tu dostać. Chcę, żebyś zaprowadził mnie do Alberta Sicilii i José Egoziego. Odwdzięczę ci się za pomoc.

Uśmiechnął się porozumiewawczo, odwrócił do matki i poprosił, żeby zaczekała parę minut.

– Proszę ze mną.

Przeprowadził mnie przez dziedzińce między odwiedzającymi. Niewielkie stragany z żywnością nadawały temu miejscu wygląd niedzielnego targowiska. Wreszcie dotarliśmy do celu. José zauważył mnie pierwszy. Stał oparty o ścianę i rozmawiał z jakąś dziewczyną. Wyglądał, jakby miał dostać zawału. Odsunął dziewczynę, podszedł i objął mnie. Twarz Alberta rozjaśniła się na mój widok. Zbliżywszy się, zaczął poklepywać mnie po plecach, czekając, aż José przestanie mnie ścisnąć, by też móc to zrobić.

José odsunął się nagle i spytał zaniepokojony:

– Jesteś tu jako więzień czy odwiedzający?

– Niech cię diabli! – odparłem z uśmiechem. – Jako odwiedzający.

Alberto uściskał mnie i powiedział, wskazując José:

– Jesteś bardziej szalony niż on.

Dałem kilka banknotów Raúlowi, który wydawał się bardzo zadowolony. Ta strefa była przeznaczona wyłącznie dla więziennych VIP-ów i sam fakt przebywania w pobliżu Alberta i José umacniał jego status wśród więźniów.

Podczas spędzonych z nimi godzin dowiedziałem się, co się stało, kto im pomagał i kto odwracał wzrok, a przede wszystkim: kto ich zdradził. Mike Decker. Opowiedzieli mi, że policyjni inspektorzy wiedzieli dokładnie, gdzie trzymali dokumenty, książeczki i wyciągi z kont bankowych w szwajcarskim Union Bank i Credit Suisse. Było tam około stu siedemdziesięciu pięciu milionów dolarów należących do grupy. Alberto skorzystał z okazji, by poprosić mnie o przysługę. Chciał, żebym odzyskał trzy miliony dolarów ukryte w miejscu, do którego nie dotarła policja, oraz cenną stojącą na lotnisku w Sinaloa.

Po czterech godzinach opuszczałem Lecumberri z tysiącem myśli w głowie. Podczas lotu powrotnego do Kalifornii mój umysł nie przestawał pracować. Co powinienem zrobić? Jak daleko się posunąć, by im pomóc? Jakie są granice przyjaźni?

Gdy wróciłem do domu, byłem milczący i w nocy Raiza wyznała zmartwiona:

– Boję się, kiedy tak milkniesz. Wiem, że planujesz wtedy coś na dużą skalę. Nie chcę wiedzieć, o co chodzi, ale obiecaj mi, że cokolwiek to jest, nie będziesz się niepotrzebnie narażał. Umarłabym, gdyby coś ci się stało...

Mogłem nic nie odpowiedzieć i uniknąć trudnych do spełnienia przyrzeczeń, ale wzruszył mnie ton jej głosu, jej miłość.

– Obiecuję ci to – odparłem.

Pojechałem do Kolumbii, by omówić sytuację z don Jaime.

Przedstawiłem mu wszystkie informacje, jakimi dysponowałem, i czekałem, co powie. Zamiast tego spytał:

– A jak twoim zdaniem powinniśmy w tym przypadku postąpić, Remy?

Przeczuwałem, że moja odpowiedź mu się nie spodoba.

– Uważam, że powinniśmy pomóc im, na ile potrafimy. Byliśmy współnikami, pracowaliśmy razem i łączy nas przyjaźń.

– Wiem, że to, co powiem, może zabrzmieć brutalnie, ale nic im nie jesteś winien, Remy. Wybrali własną drogę, tak jak my. Nie powinieneś zapominać, że są na swoim terytorium i że to ich ludzie powinni w razie potrzeby przyjść im z pomocą. Nie powiem ci, co powinieneś zrobić, aby im pomóc. Chcę tylko, żebyś zadał sobie pytanie, czy oni zrobiliby to samo dla ciebie.

– Chcę im pomóc, don Jaime. Robię to dla siebie. Czuję, że to mój obowiązek.

– A więc nie ma o czym mówić. Powiedz, czego potrzebujesz...



Wróciwszy do Las Vegas, zadzwoniłem do Franka i zaprosiłem go na spotkanie w moim apartamencie w hali.

Zjawił się punktualnie, bardzo zaciekawiony. Poczęstowawszy go drinkiem, przeszedłem od razu do rzeczy. Musiałem wyjawić mu coś, co wymagało dyskrecji...



W ciągu następnych pięciu miesięcy odwiedzałem regularnie Lecumberri. Podczas ostatniej, szczególnie emocjonującej wizyty, oznajmiłem Albertowi i José:

– Odwiedzam was po raz ostatni. Nie mogę już więcej przychodzić, to by tylko zaszkodziło. Ale cokolwiek się zdarzy, pamiętajcie, że będę czekał, aż wyjdziecie.

José pożegnał się ze mną ostatni i odprowadził mnie do bramy. Miałem wrażenie, że chce mi coś powiedzieć. Może podzielić się swoją rozpaczą. Nic jednak nie powiedział, ale wyczuwałem, co mu leży na sercu.

– Bądź spokojny – zapewniłem go. – Będę na ciebie czekał. Z butelką tequili Cuervo. I nie martw się, nie zapomnę o cytrynach.

Wróciłem zadowolony do Las Vegas. W ciągu następnych miesięcy często latałem do Meksyku. Byłem bardzo zapracowany. Minęło Boże Narodzenie i zacząłem nowy rok od rozwiązywania poważnych problemów...



Dwudziestego szóstego kwietnia 1976 roku nagłówki wszystkich gazet obwieszczały, że z więzienia w Lecumberri uciekli: Alberto Sicilia Falcón, José Egozi Bejar, Luis Antonio Zuccoli Bravo i Alberto Hernández Rubí. Wiadomość zaskoczyła meksykańskie władze.

Do ucieczki, najbardziej spektakularnej w historii meksykańskiego więziennictwa, wykorzystano tunel wykopany z zewnątrz i biegnący pod ulicami i domami do celi Alberta, przez którą wszyscy się wydostali. W domu, gdzie tunel się zaczynał, policja znalazła w pokojach tony ziemi, narzędzia służące do kopania, kable, system do usuwania gazów, a tuż przy wejściu do tunelu, na stole, kieliszki do szampana, butelkę Moët & Chandon oraz tequila Cuervo.



Mimo moich apeli o zachowanie rozsądku Alberto i José zostali w Meksyku. Wierzyli, że wszystko się uspokoi i że będą tam bezpieczniejsi niż gdzie indziej. Popełnili błąd. Sześć tygodni później znów ich aresztowano. Tym razem zostali przeniesieni do nowego Wschodniego Więzienia, gdzie mieli odsiadywać długi wyrok.

José, tak jak zapowiadał, nie wytrzymał pobytu za kratkami. Odebrał sobie życie w celi więzienia Santa Marta Acatitla. Powiesił się dziewiętnastego grudnia.

Byłem we Włoszech, gdy nasz wspólny przyjaciel przekazał mi wiadomość: „Alberto mówi, że dałby sobie uciąć mały palec, żeby porozmawiać z tobą przez dwadzieścia minut”. Poczułem, że powinienem się z nim zobaczyć. Wróciwszy, poszedłem go odwiedzić, ale tym razem już tam na mnie czekali. O mało nie zostałem zatrzymany. Generał Antolini i pułkownik Navarro, dyrektorzy więzienia, przesłuchiwali mnie przez kilka godzin i nie pozwolili mi porozmawiać z Albertem. Zrozumiałem, że na razie nie będzie to możliwe. Musiałem czekać...

39.

Inwestowałem moje dochody, kupując nieruchomości w stolicy Meksyku, Puebli, Guadalajarze i Acapulco. Pecas stał się moim wiernym pomocnikiem, Martín stałym drugim pilotem, a Manuel dawał dowody przyjaźni. Mieliśmy kilka samolotów, dwa comanche i jednego cherokee na meksykańskich numerach. Należały też do nas awionetki Navajo, Cub i Piper Dakota w Kalifornii, gdzie utworzyliśmy niewielką spółkę. Ku czci Izera, który podczas mojego pierwszego lotu ochrzcił mnie kryptonimem „Delta”, co oznaczało katastrofę, nazwałem firmę Delta Sierra. Zajmowaliśmy się powietrznym i morskim transportem specjalnych towarów: materiałów wybuchowych potrzebnych na Alasce do budowy naftociągów i podobnych rzeczy. Helio nadal była w Las Vegas. Dostarczaliśmy też samoloty w dowolne miejsce na świecie. W Kalifornii, choć wszystko szło dobrze i przeżywalismy z Raizą najlepsze chwile naszego życia, czułem się jak statek, który dryfuje na morzu.

Kilka razy w roku odwiedzałem Marię i utrzymywałem z nią kontakt za pośrednictwem mieszkającego na wyspie człowieka, którego zatrudnił don Jaime. Graciela, już spokojniejsza, pracowała w sądzie i wyszła za mąż za znanego przedsiębiorcę. Wydawało się, że wszystko funkcjonuje normalnie. Ten względny spokój został jednak zmacony w dniu, gdy znalazłem lekarstwa, które don Jaime zostawił przypadkiem w moim domu podczas swej ostatniej podróży. Zauważyłem, że ma uporcezywą chrypkę, a gdy zapytałem,

co mu jest, odparł, że to przejściowe. Był jednak bardzo osłabiony. Spytałem Ernesta, zaprzyjaźnionego lekarza z Sinaloa, o lekarstwa, które znalazłem. Odparł z pewnym niepokojem:

– Kto je bierze?

Ernesto nie znał don Jaime, więc powiedziałem tylko:

– Znajomy.

– Zatem twój znajomy cierpi na raka tarczycy. Ten lek przepisuje się pacjentom leczonym radioaktywnym jodem. Na pewno chodzi o znajomego?

– Na pewno. Wolałbym, żeby chodziło o mnie – odparłem smutno.

Gdy spytałem don Jaime, co mu dolega, próbował mnie przekonać, że jego choroba nie jest poważna. Powiedział, że pewnego ranka, patrząc w lustro, zauważył niewielką wypukłość na szyi, a ponieważ wkrótce zaczął odczuwać bóle w szczęcie i uchu, postanowił pójść do lekarza. Stwierdzono u niego raka tarczycy, ale zapewniał mnie, że nic mu nie grozi, bo chorobę wykryto w początkowej fazie i jest w trakcie leczenia. Nalegał, bym się nie martwił. Wyczuwałem jednak, że kłamie.



Weekend spędzałem z Raizą w Acapulco. Zabrałem ją do piramid w Teotihuacán, a także do Taxco i Cuernavaki. Po powrocie odczuwałem dziwny niepokój.

Złe wiadomości spadły na nas jak wykołejone wagony rozpędzonego pociągu. Gdy Raiza przygotowywała coś do picia, a ja rozpakowywałem walizki, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i po chwili oznajmiła:

– Dzwoni Pecas. Mówi, że to pilne.

Wziąłem od niej słuchawkę.

– Dostałem wiadomość od Yolandy. Don Jaime jest w szpitalu – powiedział Pecas.

Poczułem się, jakby mnie ktoś uderzył.

– Gdzie teraz jesteś?

– Opuszczam zaraz Veracruz, już skończyłem.

– Dobrze, jedź do Puebli i przygotuj comanche do startu. Będę za trzy godziny.

Pecas bardzo wydorósł. Nie zdziwiłem się, gdy odpart:

- Natychmiast tam wyruszam. Coś jeszcze?
- Zlokalizuj Martína i powiedz mu, że go potrzebuję. Tylko tyle.
- Dobrze, do zobaczenia.

Widząc zaniepokojony wzrok Raizy, wyjaśniłem jej, co się dzieje, kończąc rozpakowywać walizkę i wkładając do niej czyste ubrania. Przeprosiłem ją, że będzie musiała wracać sama do Las Vegas. Powiedziała, żebym się tym nie przejmował, że następnego dnia wsiądzie do samolotu. Kilka minut później, gdy szykowałem się do wyjścia, znów zadzwonił telefon. To był Martín.

- Przed chwilą dzwonił do mnie Pecas. Jestem gotowy. Dokąd lecimy?
- Lecę sam. Muszę zobaczyć się ze starym. Dostałem wiadomość, że jest w szpitalu.

– Nie możesz lecieć sam, nie zaplanowawszy lotu. On też by ci to powiedział. Dlaczego nie wsiądziesz do rejsowego samolotu?

– To by zbyt długo trwało. Nie martw się, nic mi się nie stanie. To prywatna podróż, nie w interesach.

– Tym bardziej. Pozwól mi lecieć z tobą, to nie będziesz musiał zostawiać samolotu bez opieki. Zostanę, żeby go przypilnować.

– Zgoda, nie będziemy się kłócili. Przygotuj wszystko. Lecimy do Jericó. Zawiadom Manuela, żeby pomógł nam uzupełnić paliwo w Ciudad del Carmen, jeśli przylecimy późno. Zadzwon też do Izera i zapoznaj go z sytuacją, żeby był na nasłuchu, gdybyśmy go potrzebowali.

Jericó było miasteczkiem położonym niecałe sześćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Medellín. Mieliśmy zamiar skorzystać z pobliskiego lądowiska u ujścia rzek San Juan i Cauca. Dolatywało się tam od strony Pacyfiku, przez Serranía del Baudó w departamencie Chocó, w kierunku Farallones de Citará. Jeśli chcieliśmy uniknąć lotniska Olaya Herrera w Medellín, było to najbliżej usytuowane miejsce.

Martín obliczył odległość i przypomniał mi pośpiesznie:

- Cherokee ma nadal zainstalowany dodatkowy zbiornik. Może powinniśmy skorzystać z tej maszyny?

– Dobry pomysł, przygotuj ją. Spotkamy się na lotnisku.

Gdy Raiza zegnała się ze mną, nie mogła powstrzymać łez. Ona także przywiązała się do staruszka. Rozumiała, że jest dla mnie jak ojciec.

Trzy godziny później byłem w Puebli. Wsiadłem razem z Martínem do niewielkiej awionetki i pożegnałem się z Pecasem.

Uruchamiając silnik, powiedziałem:

– Słucham cię, Martínie, podaj mi namiary.

– Polecimy nisko, przemkniemy przez strefę ograniczonych lotów R-sto dwa do Orizaby, potem wzniesiemy się na sześć tysięcy stóp w pobliżu miejsca zaopatrzenia w Palenque. Później będziemy lecieli tuż nad ziemią aż do Providencii, a stamtąd trasą numer dwanaście do Jericó. Manuel będzie na nas czekał. Nieważne, o której przylecimy.



Podczas podróży byłem pogrążony w myślach. Martín to rozumiał i przez większą część lotu trzymał stery. Dwie godziny później znaleźliśmy się w zasięgu radia Izera. Martwił się o starego. Prowadził nas, doradzając najszybszą trasę, i czuwał nad nami przez całą drogę.

Przez ponad dziesięć lat don Jaime był moim opiekunem i lojalnym przyjacielem. Otworzył przede mną drzwi do nowego etapu życia, pełnego wyzwań, celów i marzeń. Dużo się od niego nauczyłem. Przytłaczał mnie smutek. Wiedziałem, że będę musiał udawać przed nim spokój, choć nie byłem spokojny. Znałem go dobrze. Ukrywał przed nami, że cierpi, jak długo mógł. „Złe wieści nie stają się lepsze przez to, że rozgłaszamy je na wszystkie strony”, powtarzał zawsze. Był szlachetny do końca.

Obawiałem się, że nie zdążę na czas, by powiedzieć mu raz jeszcze, jak bardzo go kocham. Podobnie jak to było w przypadku Jazmín, don Jaime wyznaczał pewien etap mojego życia. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że może go zabraknąć.

Gdy dowiedział się o śmierci José, wyczuł, że jestem przygnębiony i przybył, by dodać mi otuchy. Zjawił się niespodziewanie w Las Vegas. Zdumiałem się na jego widok. Uśmiechając się, powiedział przepaszająco: „Jestem tu przejazdem i postanowiłem do ciebie wpaść. Potrzebuję drinka”.

Piliśmy do rana, wznosząc toasty za José i za przyjaźń. Co miałem teraz powiedzieć, by dodać mu otuchy? Co mogłem powiedzieć komuś, kto tyle mi dał?



Piętnaście godzin i dwadzieścia pięć minut później wchodziłem do kliniki Antiochia w Medellín. Yolanda rozplakała się na mój widok. Objąłem ją i próbowałem uspokoić.

– Jak on się czuje? Co mówią lekarze?

– Mówią, że w każdej chwili musimy spodziewać się najgorszego. Nie wiedzą, jakim cudem jeszcze żyje.

– Dlaczego nie zawiadomiłaś mnie wcześniej?

– Zabronił mi. Nie chciał, żebyś się zamartwiał czymś, na co nie ma lekarstwa, ale ucieszy się, że tu jesteś.

Wszedłem cicho do pokoju. Przez okno wpadało trochę słońca. Josefina, siostra don Jaime, siedziała obok łóżka wpatrzona w różaniec, którego paciorki przesuwiała między palcami, modląc się. Na mój widok wstała i podeszła, by mnie uściskać. Powiedziawszy „dzięki Bogu”, wyszła z pokoju. Zostałem z nim sam.

Ponad godzinę siedziałem przy jego łóżku. Głosy na korytarzu brzmiały tak dziwnie. Kiedy się obudził i mnie zobaczył, jego twarz pojaśniała.

– Wiedziałem, że przyjedziesz, synu. – Uśmiechnął się z dumą. – Wolałbym, żebyś mnie nie widział w takim stanie, ale cieszę się, że tu jesteś. Muszę ci powiedzieć dużo rzeczy.

Na twarzach ludzi, którzy wiedzą, że zbliża się ich koniec, widać to doskonale. Dopiero po śmierci drogiej nam osoby zdajemy sobie sprawę, że odczuwała intuicyjnie smutek i tęsknotę za przyszłością, która już nie nadejdzie. To właśnie widziałem tamtego dnia w oczach don Jaime.

Podziwiałem jego niezłomność. Wiedział, że zostało mu niewiele czasu. Oczy miał zmęczone, ale zarazem bardzo żywe. Był po sześćdziesiątce, lecz w sercu miał wiosnę. Gdy go spytałem, czy w szklance na stoliku obok łóżka jest wódka, odparł:

– To kamfora na moje serce.

Przez następną godzinę mówił z przerwami, wyraźnie wyczerpany. Przekazał mi instrukcje i zalecenia, jakie ojciec zachowuje dla syna. Po chwili milczenia, gdy wydawało się, że rozmyśla nad swoim życiem, spojrział na mnie z melancholijnym uśmiechem.

Oczy rozbłyły mu jeszcze bardziej, kiedy powiedział:

– A teraz przynieś mi niebieską fiołkę...



Niebieska fiołka... Od dawna nie słyszałem tego określenia. Przed wielu laty towarzyszyłem mu w podróży do Cartageny. Odwiedzał swojego przyjaciela, który umierał na raka. Leżał w łóżku, świadomy nieuchronnego końca, jednak trzymał się kurczowo życia, jak my wszyscy. Może sił dodawał mu instynkt przetrwania, w każdym razie wciąż żył, walcząc o jeszcze kilka minut istnienia. Pożegnawszy się z nim i opuściwszy jego dom, don Jaime był bardzo poruszony. Usiadłem za kierownicą samochodu, podczas gdy on, siedząc obok, trwał pogrążony w myślach. Nie zapalałem silnika. Dobrze go znałem i wiedziałem, że chce mi coś powiedzieć. Nie zdziwiło mnie to, co usłyszałem, bo w obecności tamtego człowieka miałem podobne odczucia.

– Nie chcę umierać w ten sposób. Nie wiem, jak umrę, ale nie chcę targać się we własnym gównie. Boże! Po co pozwalać na takie upokorzenie? Po co ta bezcelowa walka? Dlaczego mamy odmawiać sobie prawa do godnej śmierci?

Milczał przez kilka chwil, po czym podjął:

– Widziałeś tę niebieską fiołkę na stoliku? To morfina na uśmierzenie bólu. Zaaplikowałbym ją sobie bez wahania, żeby położyć kres cierpieniu moich bliskich. To wspinały człowiek i bardzo go kocham, ale dziś, widząc go w takim stanie, straciłem dla niego szacunek. Nikt nie powinien tak umierać. Rozumiesz mnie?

– Rozumiem – odparłem. Wiedziałem, o czym mówi.

– Chcę, żebyś mi przyrzekł, że jeśli kiedyś znajdę się w podobnej sytuacji i lekarze stwierdzą, że nic już nie można dla mnie zrobić, a ja poproszę cię o niebieską fiołkę, żeby godnie umrzeć, dasz mi ją.

– Rozumiem pana, don Jaime, ale nie wiem, czy się na to zdobędę – odparłem szczerze. – Nie wiem, czy byłbym zdolny odebrać panu życie, nawet

gdyby pan tego pragnął.

Milczał, wpatrując się w drzewa. Po chwili powiedział:

– Ja bym to dla ciebie zrobił, gdybyś mnie o to poprosił w obliczu nieuchronnej śmierci. Położyłbym kres twoim cierpieniom, choć czułbym ból. Byłby to najlepszy dowód szacunku i miłości, jaki mógłbym ci ofiarować...

♦♦t

Z powodu wizyty lekarza musiałem wyjść na kilka minut. Chodząc po korytarzu, przypominałem sobie dni, gdy czekałem, aż księżniczka Jazmín się obudzi. Nasunęło mi się pytanie, czy w podobnej sytuacji zdobyłbym się na odwagę, by położyć kres jej cierpieniom? By podać niebieską fiołkę mojej księżniczce.

Lekarz wyszedł po paru minutach. Podszedłem do niego szybko.

– Proszę mi powiedzieć, doktorze, czy istnieje choć minimalna szansa, że on wyzdrowieje?

Spojrzał na mnie i odparł ze smutkiem:

– Nie sądzę. Przykro mi...

Wróciłem do don Jaime i wziąłem go za rękę.

– Dobrze się spisaliśmy, synu. Udało nam się przeżyć.

– Bardzo dobrze. To pan doskonale się spisał. Dzięki za opiekę – powiedziałem łamiącym się głosem.

Wziął z nocnej szafki niewielkie pudełko, objął je dłońmi i pokazał mi, co zawiera. Były tam stare skrzydła ze srebra.

– Pamiętasz je? Nie smuć się z mojego powodu. Jest mi dobrze. – Wyjął skrzydła z pudełka. – „Noszę je w sercu”.

Kilka godzin później don Jaime umierał w obecności Yolandy i najbliższych mu osób. Choć znał tylu ludzi i miał tak wielu przyjaciół, pragnął, by w ostatnich chwilach życia towarzyszyli mu tylko ci, których najbardziej kochał. Ja do nich należałem...

40.

Legendy mówią o potajemnej kryjówce, w której wojownik znajduje schronienie, aby odpoczywać, leczyć rany i opłakiwać swoich zmarłych. W tej historii też istniało takie miejsce. Zbudowany na szczycie potężnej skały w meksykańskich górach Sierra Madre Oriental niewielki dom o spadzistym czerwonym dachu wyglądał jak mała forteca, strzegąca głębokiej doliny u swoich stóp. Była to moja kryjówka i tam szukałem ukojenia. Oprócz Raizy wiedziała o jej istnieniu tylko garstka ludzi, z którymi łączyły mnie silne więzi przyjaźni i lojalności. Po śmierci don Jaime znów stanąłem w obliczu samotności.

Raiza, zmartwiona moją nieobecnością, przekonała Martína i Pecasa, by ją do mnie zawieźli. Chciała się upewnić, czy dobrze się czuję. Przeczuwając, w jakim jestem nastroju, zamierzała dodać mi otuchy. Przywiozła ze sobą Rexa.

Byłem na tarasie, gdy usłyszałem, że przyjechali. Kilka sekund później Rex, machając ogonem, rzucił się na mnie, by się przywitać. Ucieszyłem się, widząc ich wszystkich. Raiza, pocałowawszy mnie, usiadła obok na małym tarasie i bez słowa splótła swoje palce z moimi. Dobrze mnie znała. W jej spojrzeniu były miłość i empatia.

Nie mogłem oprzeć się przelotnej refleksji, że życie jest wieczną powtórką zdarzeń. Kochamy i pozwalamy się kochać mimo podejrzeń, że miłość ma swoją datę ważności. Moja kryjówka na szczycie góry nie była niczym

innym, jak kolejną Stacją 3. Historia się powtarzała. Tyle że teraz zamiast księżniczki Jazmín wspinała się tam Raiza, by się upewnić, że nic mi nie jest.

Pecas podszedł do mnie, uściśnął mi dłoń i widząc moją minę, uśmiechnął się niewinnie i wykrzyknął:

– Nie patrz tak na mnie! To był pomysł Raizy, żeby tu przyjechać. Ja jej tylko towarzyszę.

Raiza uszczypnęła mnie, mówiąc:

– Boże! Jacy mężczyźni są próżni! Myślałeś, że przyjechaliśmy, bo się o ciebie martwimy? Nic z tych rzeczy! Mamy zamiar świętować urodziny Rexa i chcemy, żeby sobie trochę pobiegał. Jest strasznie gruby. Zobacz! Wygląda jak krowa.

Martín zjawił się na tarasie później niż Pecas, z pomarańczą w ręku. Przywitawszy się i rzuciwszy okiem na krajobraz, wykrzyknął:

– Boże! To miejsce jest niesamowite. Nigdy mi nie mówiłeś, jak je znalazłeś.

– Odkryłem je przypadkiem, gdy wracałem z Sinaloa. Pilotując awionetkę Piper Navajo, leciałem nad tą doliną, by uniknąć radaru. mZrobiły się mnie wrażenie jej strome ściany i rzeka na samym dnie. U jej wylotu zobaczyłem nagle ten dom. Nie wiem dlaczego, już wtedy przeczuwałem, że stanie się moją kryjówką. I cóż... oto tu jesteśmy...



Tamtego ranka Martín skorzystał z chwili, gdy byliśmy sami, i spytał mnie, patrząc na Raizę, która kilka kroków dalej żartowała z Pecasem:

– Szczęściarz z ciebie. Ta dziewczyna cię ubóstwia. Myślałeś, żeby się z nią ożenić?

– Zaproponowałem jej to dwa lata temu. Spytała wtedy, czy jestem gotowy zrezygnować z tego, co robię. Odparłem szczerze, że jeszcze nie. Odpowiedziała, że na razie za mnie nie wyjdzie.

– A dlaczego się nie wycofasz, Remy? Spółka Delta Sierra dobrze funkcjonuje. Kiedy skończy się kontrakt na przewóz materiałów wybuchowych na Alaskę, zaczniemy transportować plazmę do Kanady. Poza tym dostarczamy

za granicę piętnaście procent więcej samolotów niż w ubiegłym roku. Wkrótce będziemy musieli zatrudnić nowych pilotów. Myślę, że to dobry moment, byś się ustatkował.

Przyglądałem mu się przez chwilę i spytałem:

– Chcesz zrezygnować z pracy?

– Nie wkurzaj mnie, Remy! Wiesz, że nie mówię o sobie. Gdybym chciał się wycofać, powiedziałbym to otwarcie.

– To nie takie proste, Martinie. Nikt nie chce, żebyśmy się wycofali. Potrzebują nas, ale nie zapominaj, że nie jesteśmy niezastąpieni. Poza tym to nie najlepszy moment. Wyświadczam pewne przysługi...

Usłyszeliśmy głos Pecasa, który wołał Martina. Ten spojrział na mnie i oznajmił z uśmiechem:

– Idę. Przyjechaliśmy na grilla i właśnie tym zamierzam się zająć.

Uznał rozmowę za zakończoną i oddalił się, jednak jego pytania skłoniły mnie do refleksji na temat wydarzeń z ostatnich lat...

Choć wojna w Wietnamie się skończyła, chłopcy Busha nadal działali. Handel heroiną w południowo-wschodniej Azji i sprzedaż nadwyżek broni napełniały skarbiec Nugan Hand Bank w Australii. Ogromne sumy pieniędzy były przekazywane do Ameryki Północnej za pośrednictwem różnych banków na Kajmanach, a także przez Castle Bank na Bahamach należący do CIA. Paul Helliwell, weteran służb wywiadu, kierował operacjami finansowymi i był jednym z dyrektorów do spraw inwestycji. Jedną z nich, najważniejszą, było finansowanie kampanii republikanów na rzecz wyboru na prezydenta USA Ronalda Reagana, gubernatora Kalifornii i dość kiepskiego byłego aktora, a na wiceprezydenta – dyrektora CIA, George'a Walkera Busha.

Ale stan Floryda, bastion Busha, był w niebezpieczeństwie. Spotkanie przywódców organizacji MAS (Śmierć Porywaczom), do której należeli ludzie z karteli z Cali i Medellín oraz członkowie kolumbijskiej armii, doprowadziło do podziału terytoriów. Pablo Escobar przejął kontrolę nad Miami i stanem Floryda, a kartel z Cali nad Kalifornią i Zachodnim Wybrzeżem. Z drugiej strony dziennikarze zaczęli demaskować działania Castle Bank i publikować w gazetach informacje o jego interesach i praniu brudnych

pieniędzy, pochodzących z Azji Południowo-Wschodniej, ze spółek należących do CIA w Miami.

Bush wezwał swoich wiernych służących, Teda Shackleya, Tomasa Clinesa, Félixą Rodrigueza i Rafaela „Chichi” Quintera, by zaprowadzili porządek na Florydzie, i chcąc ułatwić im zadanie, pod pretekstem walki z przemytem narkotyków do swojego stanu stworzył Jednostkę Operacyjną Południowej Florydy, która za państwowe pieniądze i z pomocą władz federalnych miała zwalczać handel narkotykami, ale zamiast tego zajmowała się atakowaniem członków kartelu z Medellín, by odzyskać kontrolę nad rynkiem kokainy.

W tym świecie nie było tajemnic, a szczególnie dla nas, ludzi, którzy przewozili „towar” i przekazywali pieniądze w gotówce na konta w takich bankach, jak Great American Bank, Second Bank de Homestead czy filie na Wielkim Kajmanie i Bahamach.

Odbywałem co najmniej dwa loty w miesiącu na Wielki Kajman, jedno z najpiękniejszych miejsc na Karaibach, które wraz z mniejszymi wysepkami, Cayman Brac i Małym Kajmanem, stanowi eldorado dla miłośników podwodnych połowów. Stolica wyspy, George Town, to raj podatkowy dla wielu spółek i siedziba ogromnej liczby instytucji finansowych, dysponujących czasem tylko skrytką pocztową albo biurem, gdzie dokonuje się codziennie milionowych transferów. Podczas podróży na wyspę nocowałem w Holiday Inn, najlepszym wówczas hotelu. W jego salonach i barach kręcili się turyści, bankierzy, adwokaci, notariusze, agenci handlowi i piloci. Tam spotkałem Enrique, zaufanego pilota Barry'ego, który zapoznał mnie z sytuacją.

Był to złoty wiek dla Carlosa Lehdera. Swoje małe imperium zbudował na Norman Cay, niewielkiej wysepce, położonej sześćdziesiąt kilometrów na południe od Nassau. Kupił ją od Anglika o nazwisku Charles Beckwit, który sprzedał mu w istocie hotel, działkę ziemi i aerodrom, gdzie mogły uzupełniać paliwo dziesiątki samolotów przylatujących z Kolumbii. Carlos doskonale wszystko stamtąd kontrolował, ale coraz częściej krążyły pogłoski o wielkiej ofensywie Busha przeciwko ludziom takim jak on. Aby uniknąć aresztowania, postanowił rozsądnie i przeniósł się do Kolumbii.



- Ocknij się! Jesteś w innej części świata – powiedział Martín, przerywając moje rozmyślenia. – Co? Zastanawiasz się, czy nie zrezygnować?
- Jeszcze na to nie pora, Martínie. Jeszcze nie pora.



Dziesiątego grudnia 1979 roku, gdy wracałem do Kalifornii, by nadzorować działalność firmy, dotarła do mnie wiadomość, że Barry został zatrzymany po wylądowaniu na lotnisku w La Ceiba w Hondurasie. Odkąd aresztowano go po raz pierwszy w Shreveport, minęło siedem lat.

Leciał z Kolumbii z czterdziestoma kilogramami kokainy. Wydawało mi się to niezrozumiałe. Barry pracował na własny rachunek, ale miał w tym kraju bardzo dobre kontakty i często tam lądował, by zatankować paliwo, gdy leciał z południa na północ. Zatrzymanie go oznaczało, że coś jest nie w porządku. Przypomniałem sobie przestrożę don Jaime: „Jedynę, czego możesz być pewnym w Hondurasie, to że wcześniej czy później ktoś cię zdradzi”.

Krótko przed aresztowaniem Barry'ego w kraju miał miejsce zamach stanu, w wyniku którego obalony został prezydent Juan Alberto Melgar. Z pomocą CIA przejął władzę generał Paz García. Za jego rządów służby wywiadu pod kierownictwem Leonidasa Torresa Ariasa zaczęły otrzymywać ogromne sumy od wdzięcznych handlarzy narkotyków i wielu innych osób, które, za cichym przyzwoleniem wojskowych, po zapłaceniu łapówki uzyskiwały ochronę dla swoich działań. Mimo że inni generałowie próbowali się temu przeciwstawić, Paz García rządził żelazną ręką. Barry utrzymywał z nim dobre kontakty.

Dowiedziałem się później od Stephena, starego pilota związanego z CIA, że Barry zapłacił haracz niewłaściwym wojskowym z powodu nieporozumienia wynikłego z niespodziewanej zmiany warty. Mauricio, który podróżował z Barrym i zdołał uciec, zrelacjonował mi szczegółowo, co się wydarzyło. Opowiedział, że gdy znaleźli się w przestrzeni powietrznej Hondurasu, Barry próbował bezskutecznie skontaktować się przez radio z zaprzyjaźnionym wojskowym, który miał na nich czekać, aby przyspieszyć zatankowanie

paliwa. Mauricio miał złe przeczucia i zasugerował Barry'emu i Steve'owi, Amerykaninowi, który pracował z nim w Baton Rouge Aviation, aby zamiast lądować bezpośrednio w La Ceibie, polecieć na którąś z wysp w Zatoce, gdzie zaczekaliby z towarem, aż po nich wróci. Barry'emu się ten pomysł nie spodobał. Twierdził uparcie, że nie ma powodów do obaw, ale zgodził się w końcu zostawić ich na wyspie Utila, najmniejszej w archipelagu, gdzie był niewielki pas startowy, praktycznie nieużywany. Wysadził ich tam z dwiema wojskowymi torbami zawierającymi czterdzieści kilogramów kokainy.

Barry zapomniał wyjąć z samolotu karabin, a gdy wylądował na lotnisku w La Ceibie, okazało się, że maszynę mają skontrolować nieznani mu ludzie. Jeden z nich znalazł nabój, który przypadkiem wypadł Barry'emu, co spowodowało dokładniejsze przeszukanie. Gdy natrafili na karabin, Barry próbował załatwić sprawę, płacąc łapówkę, lecz nie wiedział, że ci wojskowi podlegają rozkazom innego generała. Natychmiast skonfiskowali samolot i aresztowali Barry'ego. Przez cały czas zamartwiał się, że Steve i Mauricio czekają na niego na wyspie Utila z torbami pełnymi kokainy.

Ponieważ nieszczęścia chodzą parami, kilka godzin przed zatrzymaniem Barry'ego w La Ceibie aresztowano inną grupę przemytników. Był wśród nich stary przyjaciel don Jaime, Syryjczyk Ali Yacub, który leciał z pilotem pochodzącym z Luizjany i który w więzieniu zaprzyjaźnił się z Barrym. Władze, w poszukiwaniu współników, przeczesały wyspy i odnalazły Steve'a, który włóczył się z dwiema wojskowymi torbami. Widział, jak nadjeżdża wojskowy patrol, ale sądził, co było naturalne, że to przyjaciele, którzy mają go zabrać, dlatego nie próbował pozbyć się trefnego bagażu. Mauricio, który był na plaży i czekał na Barry'ego, zauważył, że dzieje się coś dziwnego i się schował. Siedział w kryjówce do następnego dnia, kiedy to uciekł z wyspy na niewielkiej łodzi.

Barry spędził w więzieniu dziewięć miesięcy. Gdy wreszcie wyszedł, miał ze sobą całe portfolio nowych kontaktów i sojuszników, których włączył do współpracy z CIA.

Dzięki tym powiązaniom „chłopcy” Busha zdobyli nowe źródło dostaw, a równocześnie umocnili w Ameryce Środkowej strategiczny punkt dostaw kokainy do Stanów Zjednoczonych. Pozostawało tylko wyeliminować konkurencję: kartel z Medellín.

Pablo Escobar, rodzina Ochoa i Carlos Lehder stali się najbardziej poszukiwanymi ludźmi...

41.

Nie widziałem Barry'ego, odkąd wyszedł z więzienia w Hondurasie. Od przyjaciół i wspólnych znajomych dowiedziałem się, że jakoś się pozbierał i że podobno nieźle mu się powodzi. Przekazał mi wiadomość przez Flavia, zaprzyjaźnionego pilota. Prosił, bym szybko się z nim skontaktował, bo chce ze mną porozmawiać. Minęły dwa tygodnie, a nam nie udało się spotkać.

Moja firma, Delta Sierra Inc. z Kalifornii, której nadałem ironiczną nazwę Podróże w Zaświaty, Spółka z o.o., specjalizowała się teraz w transportowaniu samolotów i otrzymała zlecenie na dostawę awionetki z San Francisco do Anglii. Martín był w podróży, postanowiłem więc dostarczyć cenną 337 osobiście. Pecas przygotował już maszynę, napełnił baki i załadował kilka butli tlenu, maski i żywność. Pożegnałem się z nim, wsiadłem do samolotu i położyłem torbę z zestawem ratunkowym obok wielkiego zbiornika paliwa. Awionetka Skymaster, bo i tak ją nazywano, była gotowa do kołowania.

Mając zatwierdzony plan lotu i wszystko przygotowane, włączyłem radio. Wysłuchawszy prognozy pogody, nastawiłem częstotliwość wieży kontrolnej. Kontroler wydawał ostatnie instrukcje pilotowi, który właśnie lądował. Rozpoznałem głos Barry'ego i postanowiłem na niego zaczekać.

Posadził delikatnie na pasie awionetkę Beechcraft King Air 200, dwusilnikowy odrzutowiec z kabiną ciśnieniową, mieszczący do dziewięciu osób. To чудо miało zasięg ponad tysiąca ośmiuset mil i mogło lecieć z prędkością powyżej trzystu trzydziestu mil na godzinę. Kilka minut później, stanąwszy

na asfalcie, Barry mnie zobaczył. Uśmiechnął się i podszedł wolnym krokiem, jak robią to piloci, którzy siedzieli wiele godzin w kabinie. Był w koszuli w czerwono-czarną kratę, pasującej bardziej hodowcy bydła, a przez ramię przewiesił brązową skórzaną kurtkę.

– Cholera! Trudno cię znaleźć. – Uściskał mnie. Pachniał kawą.

– Dobrze wyglądasz, ale pachniesz, jakbyś wyszedł z kafejki...

– Wiem. Oblałem się kawą podczas turbulencji. Powiedz, co u ciebie? I dokąd się wybierasz tym rowerem?

– U mnie wszystko w porządku. I nie naśmiewaj się z mojego samolotu, bo on cię słyszy... Lecę do Shannon. Muszę go tam dostarczyć.

– Do Anglii? Chyba zwariowałeś. Lecieć czymś takim nad Górami Skalistymi na wysokości ponad szesnastu tysięcy stóp to szaleństwo. Ile twoja firma na tym zarobi?

– Cztery tysiące dwieście plus koszty.

Barry wiedział, że po śmierci don Jaime rezygnowałem powoli z robienia interesów, ale jego oferta mnie nie zaskoczyła:

– Chcę pomówić z tobą o pieniądzach. Mam przyjaciół, którzy potrzebują dobrych pilotów, niebojących się nisko latać. Dużo im o tobie opowiadałem i chcą cię poznać.

– Barry, wiesz, że się wycofałem. Nie chcę ryzykować.

– Nie chcesz ryzykować? I mówisz mi to, mając zamiar przelecieć nad całą Ameryką i Atlantykiem, zupełnie jak Lindbergh? Remy, nie wierzysz we własne słowa. Pamiętasz, jak wznosiliśmy w Meksyku toast: „Za zdrowie najlepszych!”? A zaraz potem dodawaliśmy ze śmiechem: „Czyli za nas”. Jesteśmy najlepsi i dlatego nas potrzebują. Pracuj ze mną.

Wyjął z portfela wizytówkę, na której coś zanotował.

– Zostawiam ci numery z Batona i Meny. Przyjedź do mnie. Spodoba ci się i zarobisz dziesięć razy więcej niż w swojej firmie. Wiem, że zatrudniłeś Mike'a. Dobrze wszystkim zarządza, więc możesz zostawić mu firmę i pracować ze mną. Prowadzę legalną działalność. Szukam tylko odpowiedzialnych ludzi.

– A ten zaawansowany sprzęt? – spytałem, wpatrując się w jego samolot. – Widzę pod kadłubem jakieś dziwne anteny. To ich maszyna czy twoja?

- Dostałem ją właśnie z Hinson, od firmy Flightcraft z Portland. Należy do spółki. Jeśli się zgodzisz, zapewne będziesz czymś takim latał.
 - Dokąd teraz jedziesz?
 - Na rancho Hope spotkać się z Eugeniem. Zadzwońisz?
- Wiedziałem, że to jedna z tych rozmów, które mogą zmienić całe życie. Zrezygnowałem z tego typu działalności i nie byłem pewny, czy chcę do niej wracać. Postanowiłem to przemyśleć.
- Pozwolisz, że się zastanowię, lecąc tym gruchotem na drugą stronę Atlantyku? Wrócę za tydzień.
 - Jasne, chłopie, nie ma pośpiechu. Uważaj na siebie, dobrze?
 - Oczywiście.



Zająłem miejsce w samolocie i poprosiłem o zezwolenie na kołowanie. Nie pierwszy raz leciałem cessną 337, a jednak moją uwagę zwrócił szczególnie odgłos, jaki wydawała. Jej silniki marki Continental musiały osiągnąć dwa tysiące osiemset obrotów, aby uzyskać maksymalną moc przy starcie, przez co samolot był bardzo głośny. Zdecydowanie nie nadawał się do tego, by przemknąć niepostrzeżenie. Kilka minut później leciałem już w kierunku Wschodniego Wybrzeża. Miałem przelecieć nad Stanami Zjednoczonymi i Oceanem Atlantyckim.

Piętnaście lat to dużo czasu. Sto osiemdziesiąt miesięcy, siedemset dwadzieścia tygodni, pięć tysięcy czterdzieści dni. Tyle czasu minęło, odkąd po raz pierwszy usiadłem za sterami samolotu. Od tamtej pory zaliczyłem osiem tysięcy osiemset pięćdziesiąt godzin lotu. Lista maszyn, które pilotałem, była bardzo długa: samoloty jedno- i dwusilnikowe, turboodrzutowe, lekkie i średnie odrzutowce, C-47, DC-4, 6 i 8, C-123. We wszystkich czułem się wygodnie, z wyjątkiem tej awionetki Skymaster, którą miałem dostarczyć za ocean.

Od pierwszej chwili czułem, że zachowuje się tak, jakby miała osobowość. Przyrządy wskazywały, że tylny silnik jest nieco przegrzany, ale sądziłem, że to z powodu zbyt długiego oczekiwania w kolejce do startu. Próbowałem wnieść maszynę w powietrze po rozpędzeniu jej i osiągnięciu

zalecanej prędkości osiemdziesięciu pięciu węzłów, ale odmówiła posłuszeństwa. Uniosła się kilka centymetrów i wróciła na pas, co zmusiło mnie do zwiększenia prędkości. Sprawiała wrażenie, że chce być samochodem, a nie samolotem. Przy drugiej próbie powoli wzbiła się w górę.

Lot do Denver przebiegł bez niespodzianek, ale tam, po krótkim postoju, zacząłem mieć dziwne przeczucie. Jestem pewny, że większości pilotów czasami się to zdarza. Wyczuwamy, że nastąpi coś nieoczekiwanego. Staramy się tym nie przejmować, ale dręczy nas niepokój. Zwracamy wtedy na wszystko baczniejszą uwagę, robimy dokładniejszy przegląd maszyny, sprawdzamy, czy w turbinie albo silniku nie śpi jakiś ptak, upewniamy się, czy w zbiornikach paliwa nie ma wody, która może unieruchomić silnik podczas lotu albo oglądamy kadłub w poszukiwaniu nitu, któremu odpadła główka i przez który my możemy stracić głowę, gdy odpadnie przymocowana nim część.

Miałem niejasne przeczucie, że coś się stanie. A jednak popełniłem błąd i kontynuowałem lot. Po krótkim postoju w Denver wzbiłem się w niebo w kierunku Des Moines.



Wszystko stało się tak, jak w przypadku większości tragedii: bez ostrzeżenia. Model cessny, który pilotowałem, miał trzy zbiorniki paliwa: dwa na skrzydłach i jeden na środku. Dostęp do każdego z nich uzyskiwało się za pomocą przełącznika. Z nieznanego powodu krótko po przestawieniu zasilania z jednego zbiornika na drugi silniki zatrzymały się niemal równocześnie na wysokości sześciu tysięcy stóp.

Mając tylko kilka minut, by znaleźć jakieś lotnisko albo odpowiednie miejsce na awaryjne lądowanie, rzuciłem okiem na mapę nawigacyjną. Wystarczyło parę sekund, by potwierdzić to, co już wiedziałem: w pobliżu nie było żadnego lądowiska. Najbliższe znajdowało się w odległości około trzydziestu pięciu mil. Na szczęście przede mną rozciągały się ogromne obszary pól stanu Iowa, a nie góry.

Wszelkie próby uruchomienia silników były bezskuteczne. Przed nosem awionetki widziałem wąską, ale prostą wiejską drogę. Jechał nią, w tym

samym kierunku, w którym leciałem, samotny pojazd wyglądający jak mrówka. Przypomniałem sobie zalecenia Miguela, mojego pierwszego instruktora, i postanowiłem natychmiast lądować. Potrzebowałem sporo przestrzeni i nie miałem innych możliwości ani czasu. Z wiatrem z tyłu lądowanie trwało bez końca.

Koła uderzyły w asfalt drogi dość mocno, jakieś sto pięćdziesiąt metrów przed jadącą furgonetką. Pozwoliłem, by samolot potoczył się dalej siłą rozpędu. Udało mi się zatrzymać przy wjeździe w prywatną boczną drogę z wielką bramą.

Nie zdążyłem jeszcze rozpiąć pasów, gdy furgonetka zatrzymała się w pobliżu i podeszła do mnie para zafrasowanych i zaciekawionych starszków. Spytaли równocześnie:

– Nic się panu nie stało?

– Nie, dziękuję za troskę – odparłem. – Przepraszam, że państwa przestraszyłem. Przestały pracować silniki i musiałem lądować awaryjnie.

– Zorientowaliśmy się, bo samolot nie robił hałasu. Możemy w czymś pomóc?

– Dziękuję. Będę musiał przestawić go jeszcze trochę na bok i zgłosić incydent do najbliższej wieży. Jeśli zrobi to ktoś inny, mogą wlepić mi karę. Poza tym muszę znaleźć jakieś miejsce, gdzie mógłbym zostawić samolot, zanim przyjadą go naprawić.

– Jestem Larry, a to moja żona Sofia. Mieszkamy jakieś dwie mile stąd. Ta działka należy do naszego sąsiada. To dobry człowiek. Jeśli pan chce, możemy go poprosić, żeby pozwolił panu zostawić tu samolot.

– Byłoby znakomicie. Jeśli usunę go z drogi, nikomu nie będzie przeszkadzał.

Starszek zwrócił się do żony:

– Jedź do domu, zadzwoń do Stanforda i powiedz mu, co się dzieje, i że jesteśmy przy wjeździe do jego posiadłości. Spytaj, czy może nam pomóc. Ja zostanę z tym młodym człowiekiem.

Rozemocjonowana niezwykłym zdarzeniem, które urozmaiciło nudny dzień, kobieta pożegnała się i odjechała furgonetką, znikając na pustej drodze. Jej mąż, niezwykle serdeczny, powiedział mi o pobliskich lądowiskach.

Opowiedział nawet o mieszkającym w mieście mechaniku, który naprawia cenny. Nie wiedziałem, czy anulować mój plan lotu i zawiadomić o całym incydencie FAA, co było moim obowiązkiem. Nie zgłosiłem awarii i formalnie kontynuowałem podróż. Powiedziałem to Larry'emu. Staruszek spytał z uśmiechem:

– Co się stanie, jeśli zgłosisz ten incydent?

– Będę musiał sporządzić raport do najbliższej jednostki FAA i być może zechcą przysłać tu kogoś, by zbadał przyczyny awarii. Nie będę mógł lecieć dalej, dopóki mi nie zezwolą.

– Zaczekałbym chwilę z tym telefonem. Stanford już jedzie.

Po prywatnej drodze posiadłości zbliżała się do nas w chmurze pyłu furgonetka. Gdy dojechała do bramy, z tyłu wysiedli dwaj chłopcy w wieku czternastu, piętnastu lat, a z kabiny pięćdziesięcioletni mężczyzna. Otworzył bramę i pozdrowił najpierw Larry'ego, a potem mnie. Larry zapoznał go szybko z sytuacją i moimi wątpliwościami, czy powinienem informować o awarii. Mężczyzna odparł rozbawiony:

– Jesteśmy ponad sto mil od Des Moines. Wiesz, ile potrwa, zanim przyślą tu inspektora, by zbadał sprawę? Poza tym nie widzę tu żadnego zepsutego samolotu... Jeżeli przepchniemy go na teren posiadłości, będzie wyglądało na to, że przyleciało do mnie w odwiedziny kilku przyjaciół. Możemy zadzwonić do Jimmy'ego, żeby przyjechał go naprawić. – Potem, nie czekając na moją odpowiedź, polecił swoim synom z szelmowskim uśmiechem: – Otwórzcie bramę! Wepchnijmy ten rower do środka. Skrzydła są wysoko, przejdą nad ogrodzeniem. Ściągnijmy go z drogi.

W ciągu paru minut udało nam się przetoczyć samolot za bramę. Natychmiast poprosiłem przez radio, co wszyscy słyszeli, o anulowanie mojego planu lotu.

Prosta droga biegnąca przez posiadłość ginęła wśród drzew w odległości około pół mili. Stanford zaproponował, by wziąć samolot na hol i zaciągnąć go bliżej domu.

Jego synowie jechali z tyłu, doskonale się bawiąc. Było to dla nich niezwykle wydarzenie i zdałem sobie sprawę z jego doniosłości, zobaczywszy komitet powitalny, który czekał na nas w domu. Wyglądało na to, że zesła

się cała wieś. Zaprosili mnie na obiad i musiałem powtarzać wiele razy anegdotę o moim lądowaniu. Trzy godziny później wieść rozeszła się już po całym okręgu i zjawił się nawet zaciekawiony szeryf, proponując pomoc.

Następnego ranka przyjechał specjalnie mechanik od cessny i po krótkim przeglądzie maszyny oznajmił, że silniki przestały pracować, ponieważ w zbiornikach paliwa zatkał się jeden z zaworów przełącznika. Ostrzegł, że na zapasową część trzeba będzie poczekać dwa dni. Wykorzystałem ten czas na przymusowy odpoczynek w Des Moines. Reszta podróży do Anglii i powrót do Las Vegas stanowiły spokojne preludium do gwałtownej burzy...

42.

Nigdy nie bałem się śmierci. Codziennie z nią obcowałem i tyle razy czułem ją obok siebie, że nie zwracałem na nią uwagi. Jednak było coś, co wzbudzało we mnie potworny strach. Jestem przekonany, że każdy człowiek, podobnie jak ja, skrywa w najgłębszych zakamarkach umysłu i serca ogromny lęk, irracjonalny, często bezpodstawny, silniejszy od innych, które mu towarzyszą, ale odmienny. Strach, który w połączeniu z samotnością przeradza się w upiorne przeczucia, a w niektóre noce w senne koszmary. Ja bałem się obsesyjnie, że wróciwszy pewnego dnia, stwierdzę, iż Raiza mnie opuściła. Niejeden raz podczas długiego samotnego lotu ogarniał mnie lęk z tego powodu. Rozumiałem, że jego korzenie tkwią głęboko w moim dzieciństwie, ale mimo wszystko odczuwałem go bardzo intensywnie.

Raiza prosiła, bym porzucił dotychczasowe życie. Wiele razy groziła, że mnie zostawi. Ostrzegła, że jeśli tego nie zrobię, nie będzie już na mnie czekała, kiedy wrócę. Ale zawsze była.

Po powrocie z Anglii napotkałem jeszcze poważniejsze kłopoty niż te, które miałem podczas lotu. Raiza pakowała walizki. Zamierzała odejść.

– Co robisz? – spytałem, próbując ją objąć.

Odepchnęła mnie, bez gniewu, ale nie patrząc mi w oczy.

– Jadę na Hawaje. Dłużej tego nie zniosę. Wiem, że o mało się nie rozbiłeś, a kiedy zadzwoniłeś, nic mi nie powiedziałeś. Czego ty szukasz? Czego chcesz od życia? Najwyraźniej chodzi o coś, czego nie mogę ci dać. Masz

więcej, niż ktokolwiek mógłby pragnąć, ale zdaje się, że tobie to nie wystarcza. Niepotrzebnie narażasz życie, nie doceniając tego, co masz, i nie przejmując się mną – mówiła, pakując rzeczy. – Wszystko, co robisz, musi wiązać się z ryzykiem. Nie możesz pilotować jednego z tych twoich przeklętych samolotów, zabierając pasażerów na normalne wycieczki do Wielkiego Kaniyonu w Kolorado albo w jakieś inne miejsce? Nie, to nie ty. Ty musisz zajmować się transportem materiałów wybuchowych na Alaskę albo dostarczać samoloty na koniec świata, gdzie poleciałby tylko szaleniec. Mam już dość, Remy. Dłużej nie wytrzymam.

– Co cię ugryzło? Spójrz mi w oczy i powiedz, o co naprawdę chodzi – poprosiłem. – Nigdy cię nie okłamałem. Wiedziałaś, kim jestem i czym się zajmuję. W każdym zawodzie jest jakieś ryzyko. Wybrałem ten i liczę się z konsekwencjami. To jedyne, co potrafię robić i co lubię. Nie wspominałem ci o awaryjnym lądowaniu, bo to było bez znaczenia.

– Właśnie o to chodzi, Remy. Nie widzisz tego? Próbujesz mnie przekonać, że awaryjne lądowanie to drobnostka. Myślę, że podświadomie pragniesz umrzeć, a ja nie chcę przez całe życie czekać z lękiem, aż to się stanie. Przeżyłam z tobą kilka lat, ale za każdym razem, gdy mi się wydaje, że się do ciebie zbliżam, ty się ode mnie oddalasz. Jakbyś szukał śmierci. Sądzę, że coś ci jest. Przypominasz psa, który goni własny ogon. Zapomnij o przeszłości i przestań uciekać. Rex nie będzie nigdy Tikim ani ja twoją księżniczką Jazmín...

– Czego ode mnie chcesz, Raizo? Dzielę się z tobą wszystkim. Powiedz, co cię uszczęśliwi?

Była już przy drzwiach. Wyczuwałem, że choć jest gotowa odejść, waha się przed zrobieniem tego ostatecznego kroku.

Spojrzała na mnie i powiedziała ze smutkiem:

– Dzieliliśmy piękne przeżycia w wielu miejscach, ale żadne z nich nie jest naszym domem. Przykro mi, Remy, ale nie wierzę, żebyś był gotowy dać mi to, czego pragnę. Chcę czuć się bezpieczna i zasypiać spokojnie, wiedząc, że nic ci nie grozi. Nie mam już dwudziestu lat. Chcę mieć rodzinę i patrzeć, jak rosną moje dzieci. Kocham cię z całej duszy, ale nie mogę dłużej z tobą żyć.

Zachowałem się jak tchórz, nie nalegałem. Nie miałem odwagi jej zatrzymać. Byłem pewny, że pragnęła, bym ją przekonał, żeby została, ale milczałem. W głębi duszy wiedziałem, że ma rację.

Zanim wyszła, zadała mi ostatni cios:

– Zabieram Rexa. Dzięki temu nie będziesz musiał zostawiać go przywiązanego do ławki, gdy postanowisz się z nim rozstać... Żegnaj.



Rankiem następnego dnia zadzwoniłem do Barry'ego i przyjąłem jego propozycję.

43.

Wylądowałem na lotnisku w Menie, nie wiedząc dokładnie, czego Barry ode mnie oczekuje. Jego propozycja miała tajemniczy podtekst. Podczas lunchu rozmawialiśmy o Albercie i wspominaliśmy José i don Jaime. Zdałem sobie sprawę, że Barry nie jest już tym samym człowiekiem, że się zmienił. Wydawał się teraz poważniejszy, bardziej stonowany. Opowiadał mi o swoim pobycie w więzieniu, o wszystkim, co musiał zrobić, by stamtąd wyjść i by Dębie w najtrudniejszych chwilach nie widziała, że jest załamany. Uwielbiał swoją żonę.

Siedząc w jego gabinecie, wyczuwałem, że coś go trapi. Nie przechodził do sedna sprawy. Czekałem, co mi zaproponuje, tymczasem on patrzył w okno, odwrócony do mnie tyłem. Sądziłem, że zaczniemy rozmawiać na temat logistyki, transportu, tras i dostaw, ale tak nie było. Nie patrząc na mnie, spytał:

– Czym jest dla ciebie życie, Remy?

Wydawało mi się, że słyszę w jego głosie sarkazm.

– Spróbuję ci odpowiedzieć, chociaż nie sędzę, byś kazał mi odbyć podróż przez pół kraju, żeby poznać moje poglądy na życie. Dla mnie, Barry, żyć to znaczy przywyknąć do zimna, jakie panuje na wysokości piętnastu tysięcy stóp, cenić uśmiechy i miłe wspomnienia, zadawać sobie codziennie pytanie, po co jestem tam w górze i dokąd zmierzam. Żyć to zachowywać w pamięci zachody słońca na wysokości trzydziestu tysięcy stóp, gdy jestem

zupełnie sam i mam świat u stóp. Takie bezcenne chwile pozwalają mi odebrać się od nikczemności powszednich dni... Życie to znaczy także przebywać z jednym z moich przyjaciół w Arkansas i musieć się domyślać, czym tak naprawdę się zamartwia. Co się dzieje, Barry?

Odwrócił się i uśmiechnął.

– Piękna definicja życia – powiedział. – Powinieneś napisać książkę, Remy. I masz rację, martwię się czymś, ale nie ma to nic wspólnego z pracą. Chodzi o politykę.

– Próbujesz mi powiedzieć, że Barry, przedsiębiorca, pilot i szpieg, chce teraz wylądować w polityce? I do tego są ci potrzebne wszystkie te samoloty z tyloma antenami i sprzętem pod kadłubami?

Barry zmienił ton. Mówił teraz jak profesjonalista.

– Zlecono mi przygotowanie operacji „Czarny Orzeł”. Muszę zwerbować pilotów i wyszkolić ich, aby dostarczyć jednostki specjalne i zaawansowane uzbrojenie oddziałom Contras w Ameryce Środkowej. Trzeba będzie zorganizować transport stąd albo z baz powietrznych na Florydzie do Hondurasu, Salwadoru, Kostaryki i Panamy.

– Wygląda to na duże przedsięwzięcie – zauważyłem.

– To wspólna operacja NSC, czyli Narodowej Rady Bezpieczeństwa, CIA, NSA i DIA, Agencji Wywiadu Ministerstwa Obrony. Dwie pierwsze organizacje zajmują się, za pośrednictwem Argentyńczyków, kierowaniem akcją i koordynowaniem pomocy dla Contras, a NSA oczekuje, że będziemy monitorowali łączność radiową sandinistów z grupami lewicowymi, które wspierają w Salwadorze i Hondurasie.

– Jakie samoloty chcesz wykorzystać?

– Nasze i wszystkie, które nam dadzą. NSA dostarczy maszyny typu Beechcraft. Dostałem już jedną z Summit. To ta, którą pilotowałem w dniu, gdy się spotkaliśmy. Formalnie należą do firmy Continental Desert Properties. Czekam na jeszcze dwie. Równoległe przeprowadzana jest druga operacja, „Stado Słoni”, w ramach której mają wysłać samoloty C-sto trzydzieści-K Provider i cessny.

– Kilka operacji równocześnie?

– Nie będziemy sami, Remy. Generał Richard Stilwell dysponuje niezależną jednostką operacyjną zwaną ISA, Grupą Wsparcia Wywiadu. Dowodzi

nią młody i arogancki pułkownik, Jerry King. Będzie też Singlaub ze swoją kampanią antykomunistyczną.

Każdy z nich ma swoich ludzi, sprzęt i samoloty. My również.

– Co zyskamy, angażując w to nasze samoloty?
– Sprawy nie wyglądają już tak jak dawniej, Remy, i wiesz to lepiej niż ktokolwiek. Teraz jest dokładniejszy nadzór, więcej radarów, więcej donosicieli i trwa otwarta wojna o kontrolę nad handlem narkotykami. Chłopcy Busha nie mogą pozwolić, by kolumbijscy handlarze codziennie zarabiali miliony dolarów. Chcą kontrolować przemysł narkotyków i czerpać z tego zyski, aby móc przeprowadzać tajne operacje nieaprobowane przez Kongres. Układ jest korzystny dla wszystkich. Dajemy im do dyspozycji nasze samoloty, a w ramach „łupów wojennych” dostajemy pozwolenie, by w drodze powrotnej przewozić towar z Kolumbii i Panamy. Oni wykorzystują nas, my ich i wszyscy są zadowoleni. Oczywiście „pacyfikatorzy” dostają najwięcej, ale w końcu to oni ponoszą odpowiedzialność, zapewniają samoloty, paliwo, sprzęt, infrastrukturę, bazy wojskowe... Czego chcesz więcej? Będziemy mieli najlepszą ochronę, na jaką można liczyć: zapewni nam ją rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Skończył, jakby czekając na oklaski.

– Przekonali cię do tego, kiedy byłeś w więzieniu w Hondurasie? To była cena odzyskania wolności?

– Częściowo, ale musiałem wyłożyć sporo z własnej kieszeni.

– Kto kieruje tą operacją?

– Jest w czym wybierać, dowódców nie brakuje. Wiązą się z tym duże wpływy i pieniądze. Wszyscy chcą brać udział w operacji. Sieć ma wiele rozgałęzień, poczynając od wiceprezydenta George'a Busha i Williama Caseya w Waszyngtonie, poprzez Duane'a „Deweya” Clarridge'a, odpowiedzialnego za CIA w Ameryce Środkowej, ambasadora Johna Negroponte w Hondurasie, przedstawiciela Departamentu Stanu, podpułkownika Olivera Northa z NSC i Jacka Singlauba z WACL, a kończąc na przywódcach sił kontrrewolucyjnych, którzy też uważają się za szefów. Ci są najgorsi.

– Do czego mnie potrzebujesz?

– Zarówno loty w celu nasłuchu elektronicznego, jak i te z dostawami są niebezpieczne. Lądowiska znajdują się w strefach niemal niedostępnych z honduraskiej Mosquitii i z północy Kostaryki. Chciałbym, żebyś pracował ze mną i pomógł mi szkolić pilotów. Jesteś najlepszy.

– Pieprzysz, Barry. Pochlebstwami niczego nie osiągniesz. Obaj dobrze wiemy, że w tamtych rejonach są dziesiątki dobrych pilotów, którzy znają te kraje lepiej niż ja.

– Z pewnością. Ale mówimy o czym innym. Nie chodzi o loty na normalne lotniska czy aerodromy. Trzeba przewozić sprzęt i towary, lądując na krótkich pasach, w odległych zakątkach najbardziej dzikiej i gęstej dżungli na tej półkuli. Wilgotność przekracza tam dziewięćdziesiąt procent, a deszcz pada ponad dwieście dni w roku.

Wyciągnął kartkę i rozłożył ją na stole.

– Ukształtowanie terenu nie jest płaskie – oznajmił i zgniótł papier. – Wygląda tak. Szkoliłeś się w Nowej Gwinei. Wiesz, o czym mówię. Poza tym innych pilotów nie znam tak dobrze jak ciebie. Ufam ci. Wiem, że zawsze wracasz.

– To tylko taki żart, Barry.

– Pamiętasz ten dzień, gdy siedzieliśmy z Albertem w kafejce dla pilotów na lotnisku w Fort Lauderdale, tuż przed twoim odlotem do Saint Thomas?

– Chyba tak.

– Ja pamiętam to dokładnie, bo zrobiła na mnie wrażenie twoja pewność siebie, gdy powiedziałeś: „Nie martwcie się, ja zawsze wracam”.

– Do diabła, Barry, miałem wtedy dwadzieścia trzy lata. To była arogancja młodości... Teraz mam trzydzieści jeden i zastanowiłbym się dwa razy, zanim wyruszyłbym w taką podróż.

– Ale wróciłeś. Zawsze wracasz. Ufam ci i możesz uważać to za największy komplement, bo nie ufam prawie nikomu. Nadajesz się idealnie do tej pracy. Chcę, żebyś przekazał im swoje umiejętności i sprawił, by uwierzyli w siebie. Niech poczują, że potrafią wylądować w każdym miejscu. Naucz ich lądować na Maimafu.

Mówił jak polityk, który stara się zdobyć zwolenników.

– Ilu pilotów zwerbowałeś tą przemową?

Wybuchnął śmiechem.

– Trudno cię przekonać, Remy. Jest Tomasino, Frank, Marco, Emily, Willy, Stephen, Karzeł i inni, których nie znasz. Sądziłem, że zdołasz przekonać Martína.

– Dobrze, ale wyjaśnij mi najpierw, na czym polega ta operacja.

– Wykorzystamy jako bazę lotnisko Ilopango w Salwadorze, ale będziemy mieli do dyspozycji także lotniska Palmerola, Trujillo i El Aguacate w Hondurasie. Stamtąd będziemy zaopatrywali Contras.

– Ilopango ma być naszą bazą?

– Centrum koordynacji. Dlaczego pytasz? Znasz tam kogoś?

– Mam przyjaciela, który pracuje w bazie jako kontroler lotów. Ucieszy się, gdy mnie zobaczy.

– Miło mi to słyszeć. Nigdy nie zaszkodzi mieć tam znajomych.

– Jakiej dokładnie grupie mamy pomagać?

– Pracuje tam mnóstwo ludzi. CIA stara się organizować ich współpracę w cieniu jednej tylko organizacji: FDN. Kieruje nią pułkownik Enrique Bermúdez, dawny attaché wojskowy Somozy w Waszyngtonie, pod kontrolą wojskowych z Argentyny. CIA przekazała im dowództwo, a koordynuje wszystko ambasador Argentyny Osorio Arana.

– Pogubiłem się. Co mają wspólnego z tą operacją Argentyńczycy?

– Kiedy sandiniści obalili prezydenta Somozę, wielu jego oficerów uciekło do Gwatemali i pod dowództwem Ricarda Laua, „Chińczyka”, utworzyli radykalny oddział antykomunistyczny, który nazwali Legionem Piętnastego Września. Szkolili się w hacjendzie La-sto jeden na przedmieściach Esquipulas. Początkowo atakowali cywilne linie lotnicze Nikaragui, aby zdestabilizować rząd sandinistów. Utrzymywali się jednak głównie z porwań, wymuszeń i zabójstw na zamówienie. Bermúdez, który został dowódcą legionu, szukał wsparcia i dotacji dla sprawy Contras.

Odwiedzali różne kraje, wśród nich Argentynę. Argentyńczycy, mający jeden z najbrutalniejszych reżimów na świecie, złożyli im propozycję. Jedna

ze stacji radiowych w Kostaryce przysparzała im wielu problemów, gdyż bez przerwy transmitowała wypowiedzi emigracyjnych opozycjonistów, oskarżających rząd o wymordowanie tysięcy przeciwników. Poproszono Legion, by w zamian za wsparcie, w geście dobrej woli, zajął się zlikwidowaniem tej stacji. Akcja się nie powiodła, ale Argentyńcy i tak zaczęli wspierać Contrás, aby zdobyć sobie sympatię Waszyngtonu.

– A teraz?

– Na podstawie specjalnego układu między Argentyną a prezydentem Reaganem zabójcy i najemnicy z Legionu stali się Bojownikami o Wolność. Otaczają ich opieką i szkołą Argentyńcy, którzy założyli bazę w Hondurasie, chcąc obalić rząd sandinistów i powstrzymać dostawy broni dla rewolucjonistów walczących w Salwadorze.

– Słyszałem dużo o Negro Chamorro. Po czyjej jest stronie?

– Fernando Chamorro to nieprzewidywalny alkoholik. Zerwał z sandinistami i razem ze swoim starszym bratem Edmundem, również byłym sandinistą, mianowali się przywódcami UDN-FARN. Znają wielu Kubańczyków i prowadzą operacje z Miami. Część grupy została w Hondurasie w niewielkiej bazie wojskowej w hacjendzie El Pescado, strzeżonej przez tamtejszą armię. Stworzyli własny oddział, ale CIA zmusiła ich, by przyłączyli się do Bermúdeza. Jak ci już mówiłem, tworzą teraz jedną organizację: FDN. Wszystko musi być pod kontrolą Argentyńczyków. Przygotowuje się największą i najlepiej wyszkoloną armię Contrás, aby pokonać sandinistów, ale Amerykanie, jak zwykle, chcą mieć pewność, że w razie niepowodzenia nie wyjdzie na jaw ich udział w próbie obalenia reżimu.

– Skoro pracuje tam tylu ludzi, skąd będziemy wiedzieli, kto może do nas strzelać?

– Będziemy mieli skuteczną ochronę. W Palmeroli jest już ponad trzystu doradców wojskowych. Służą radą armii Hondurasu, Argentyńczykom i Contrás. I co powiesz? Będziesz ze mną pracował?

– Kto nam płaci?

– Shamrock, za pośrednictwem BCCI z Wielkiego Kajmana i Gulf Bank

z Bahamów. Dostaniemy sześć dolarów za funt ładunku bez względu na to, czy go wykorzystają.

– Kto przewozi ciężkie ładunki?

– Wiele osób. My bezpośrednio stąd. Chłopcy Stephen'a z Gwatemali, a inni z Miami i Fort Lauderdale.

– Będę potrzebował czegoś specjalnego?

– Jeśli się zgadzasz, przejdę od razu do sedna. Mam zgodę Teda. Pomówię z Duane'em Clarridge'em, szefem strefy. Będziesz musiał polecieć ze mną do Gwatemali, do ambasady amerykańskiej. Wydadzą ci tam paszport. Będzie ci łatwiej podróżować po Ameryce Środkowej z amerykańskimi dokumentami i przydadzą ci się bardzo, żebyś w drodze powrotnej miał dostęp, bez zwracania niczyjej uwagi, do amerykańskich baz powietrznych. Załatwimy ci nową licencję FAA*. Staniesz się nowym człowiekiem. Zgoda?

– Zgoda. Lecimy do Ameryki Środkowej...

* FAA – Federal Aviation Administration – federalny zarząd lotnictwa cywilnego.



Gwatemala to piękny kraj. Wiele razy leciałem z Meksyku do jego stolicy, mojego ulubionego miasta Antigua, aby odpocząć tam w weekend. Znałem dobrze lotniska Huehuetenango, Cobán i Puerto Barrios. Tyle że tym razem podróż w towarzystwie Barry'ego miała zupełnie inny cel. Nasza wizyta w Gwatemali trwała bardzo krótko, wszystko było przygotowane. Urzędnik CIA, członek ekipy Clarridge'a, powitał nas w ambasadzie. Najwyraźniej Barry często tam bywał, bo pozdrawiali go różni funkcjonariusze i jeden cywil, który – jak mi powiedział – był attaché wojskowym. Trzy godziny później wyszedłem z ambasady z nowym paszportem.

Stałem się obywatelem amerykańskim nazywającym się Orlando Arellano, choć Barry nadal mówił do mnie Remy. Wróciwszy do Stanów, otrzymałem po kilku dniach sporządzoną jak należy licencję FAA *múltiple ratings*. Byłem gotowy do rozpoczęcia pracy.



Wojny, jako konsekwencja całego łańcucha niezrozumiałych często zdarzeń, zaczynają się dla każdego z nas w chwili, gdy stają się częścią naszego

doświadczenia. Podczas gdy dla niektórych wojna przeciwko sandinistom rozpoczęła się w dniu, kiedy utworzono Sandinistyczny Front Wyzwolenia Narodowego, czyli w 1963 roku, dla innych stało się to wówczas, gdy Negro Chamorro wystrzelił z hotelu Intercontinental pociski w kierunku bunkra prezydenta Anastasia Somozy w 1974 roku. Dla mnie zaczęła się ona w marcu 1982 roku, gdy znalazłem się w towarzystwie Barry'ego w bazie powietrznej Ilopango w Salwadorze. Jeszcze przed wylądowaniem sylwetka uśpionego wulkanu Ilopango przypominała mi, że za chwilę znajdę się w jednym z najbardziej niespokojnych krajów świata. Nie byłem przygotowany na to, co tam zastanę.

Po obu stronach pasów startowych nadal widać było szczątki spalonych samolotów, skutek brutalnego ataku FMLN, który zniszczył prawie połowę maszyn sił powietrznych Salwadoru. Robotnicy, przy użyciu ciężkiego sprzętu i pod ochroną dużej liczby żołnierzy, odbudowywali pospiesznie lotnisko.

Barry wyjaśnił mi, jak profesjonalny przewodnik, że choć atak spowodował duże straty, rząd wykorzystał okazję, by z pomocą Stanów Zjednoczonych przeprowadzić modernizację sił powietrznych. Natychmiast rozpoczęto negocjacje w sprawie zakupu kilku taktycznych bombowców A-37 oraz uzbrojonych w działka samolotów zwiadowczych H-0, które mogły służyć do koordynowania ataków powietrznych, jeśli pełniły funkcję zaawansowanych kontrolerów lotów, a także helikopterów UH-1H wielorakiego użytku, wyposażonych w system łączności, który pozwalał na utrzymywanie kontaktu z kilkoma jednostkami równocześnie, szczególnie tymi należącymi do armii.

Baza powietrzna, w porównaniu z bazami, które znajdowały się w innych krajach satelitarnych Stanów Zjednoczonych, była niewielka. Stare hangary sąsiadowały z nowymi budynkami. Barry oprowadził mnie po lotnisku. Pokazywał mi różne strefy, jakby to była jego posiadłość. Po drodze pozdrowił oficerów i cywilów.

– Chodźmy do centrum operacyjnego. Przedstawię cię osobom, które powinieneś znać.

Z powodu ataku FMLN wzmocniono środki bezpieczeństwa. Pierwszym zadaniem było zdobycie identyfikatora, który pozwoliłby mi poruszać się po całym lotnisku, szczególnie w strefie ograniczonego dostępu, gdzie znajdowały się specjalne hangary dla Amerykanów. Stały z boku, z dala od niedyskretnych spojrzeń.

Gdy zostałem przedstawiony nielicznym członkom grupy, którzy byli na ziemi, zajrzeliśmy do biura, gdzie wydano mi tymczasowy identyfikator.



Skorzystałem z tego, że Barry miał spotkanie z salvadorskimi oficerami, i poszedłem poszukać Izera. Zawiadomiłem go już wcześniej, że przyjeżdżam. Uśmiechnął się na mój widok, uściskał mnie i powiedział:

– Tam i tutaj. Znowu razem. A później ktoś będzie nam wmawiał, że nie ma czegoś takiego jak przeznaczenie...

Dzięki Izerowi mogłem poznać wszystkie zakamarki bazy, był też moim przewodnikiem po San Salvador. Pomógł mi wynająć niewielkie mieszkanie w budynku w centrum miasta, nad apteką, z małym balkonem, który bardzo mi się podobał. Widziałem stamtąd antyrządowe manifestacje. Pokazywały mi drugą twarz kraju, wstrząsanego zabójstwami dokonywanymi codziennie przez Szwadrony Śmierci. To było przeciwieństwo samotności, którą odczuwałem podczas lotu. Naród był poruszony z powodu niedawnej masakry w wiosce El Mozote, gdzie zginęły setki chłopów podejrzewanych o sprzyjanie powstańcom.

Widząc tych ludzi, maszerujących ulicami i domagających się sprawiedliwości, spytałem Izera, co się tam wydarzyło.

– To narodowa hańba. El Mozote to osada, gdzie w grudniu ubiegłego roku doszło do rzezi. Jednostki należące do batalionu „Atlatcatl” uwięziły wszystkich jej mieszkańców. Mężczyzn zabrano, przesłuchiowano, torturowano, a potem zamordowano. Następnego ranka dokonano w sposób systematyczny egzekucji pozostałych mieszkańców w ich domach. Było ponad dwustu zabitych.

– Co na to rząd?

– Uznano, że była to akcja przeciwko partyzantom. Że zaatakowali żołnierzy. Ale wszyscy wiedzą, że wojskowa junta Duarte dostaje rozkazy z Waszyngtonu. Chcą za wszelką cenę wyeliminować wszelkie potencjalne ogniska oporu. Wcześniej czy później nastąpi wybuch...



Zawsze podziwiałem ludzi, którzy – niekoniecznie z powodu przekonań politycznych – decydowali się pewnego dnia porzucić wygody i bezpieczeństwo domowych pieleszy, by osiąść w jakiejś mrocznej, oddalonej od świata wiosce w kraju, gdzie nieznane są prawa człowieka, i zajmują się udzielaniem pomocy i moralnego wsparcia chłopom lub najbardziej potrzebującym. Dlatego gdy spotkałem Almudenę i zorientowałem się, co robi, poczułem do niej sympatię.

Poznałem ją na targowisku w porcie La Libertad, kilka kilometrów od San Salvador, gdy starałem się zorientować, co chce mi sprzedać do jedzenia mała Indianka. Jakaś dziewczyna w dżinsach, z wielką torbą na ramieniu, rozbawiona moją ciekawością, wyjaśniła:

– To nugaty zrobione z mąki, orzechów i miodu. Radzę ci ich spróbować z chilate.

Almudena była drobna i zgrabna. Miała twarz upstrzoną piegami, ogromne miodowego oczy, zadarty nos i szczery uśmiech.

– Chilate?

– To napój z chili, prażonej kukurydzy i kakao.

– Widzę, że jesteś specjalistką od tutejszej kuchni. Co jeszcze mi polecisz do jedzenia?

– Mogę ci polecić cocido madrileño z winem Rioja, ale chyba będziesz musiał zadowolić się plackami papusas nafaszerowanymi skwarkami.

– Bardzo interesujące. A więc jesteś Hiszpanką. I czym się zajmujesz oprócz pełnienia funkcji najładniejszej przewodniczki po lokalnej gastronomii?

– Pracuję w Gwatemali dla misji, dokumentuję działalność wolontariuszy, aby napisać o nich książkę. Przyjechałam z siostrami z Towarzystwa

Jezusowego, żeby zdobyć lekarstwa dla wspólnoty z Petén. Łatwiej o nie tutaj niż w Gwatemali. A ty czym się zajmujesz?

– Jestem pilotem. Mam na imię Remy.

– A ja Almudena. Miło cię poznać. Jesteś wojskowym?

– Nie, ale moja firma pracuje dla rządu.

– Jesteś jednym z tych pilotów najemników, którzy dostarczają broń dla Contras?

– Jestem tylko pilotem, nie wrogiem – odparłem. Staralem się nie zepsuć miłej atmosfery.

– Wybacz, nie chciałam cię urazić.

– Nie udałoby ci się. Z takim uśmiechem...

Rozmawialiśmy ponad pół godziny. Zachwycała mnie pasja, z jaką Almudena mówiła o swojej pracy na misjach. Była sympatyczna, spontaniczna, a zarazem wprawiała mnie w zakłopotanie. Szukała leków, by ratować ludziom życie, a ja przywoziłem szybkostrzelne karabiny, materiały wybuchowe i sprzęt, który służył do zabijania. Kiedy spotykamy takie osoby, nasze przekonania wystawiane są na próbę. Nie mogłem się z nią rozstać. Zostawiłem jej numer telefonu bazy lotniczej i poprosiłem, by do mnie zadzwoniła, gdy znowu będzie w El Salvador albo gdybym mógł jej w czymś pomóc.

– Uważaj na siebie – powiedziała.

– Ty też. I pamiętaj, gdybyś czegoś potrzebowała, dzwoń. Czegokolwiek: nugatów, chilate... – zażartowałem.



Drugi kwartał 1982 roku przyniósł nasilenie działań mających na celu osłabienie sił sandinistów. Casey, Clark i Biały Dom pogodzili się z utratą Nikaragui i starali się przede wszystkim nie dopuścić, by sandiniści eksportowali swoją rewolucję do krajów ościennych, w szczególności do Salwadoru. Jak powiedział mi Barry, prowadzono równocześnie kilka operacji i dostarczano codziennie tony sprzętu. Operacja „Stado Słoni” miała na celu przekierowanie do Ameryki Środkowej samolotów należących do Gwardii Narodowej i Służb Leśnych Stanów Zjednoczonych, natomiast operacja

„Morska Bryza” zmobilizowała potajemnie siły antyterrorystyczne mające jechać do Kostaryki, Hondurasu i Salwadoru.

Lewicowa opozycja próbowała zakłócić wybory w Salwadorze, podczas gdy my zajmowaliśmy się szpiegostwem elektronicznym za pomocą maszyn Beechcraft King Air, które przydzielono Barry'emu. Lataliśmy nad granicami Salwadoru, Hondurasu i Nikaragui, mieliśmy na podsłuchu ich łączność radiową i szkoliliśmy pilotów Contras, by mogli odbywać loty zaopatrzeniowe i rozpoznawcze. Jak na ironię, wśród samolotów wykorzystywanych do operacji zwiadowczych było kilka dostarczonych przez Summit Aviation maszyn Cessna 337 w wersji wojskowej, wyposażonych w działka. Pilotując cywilną wersję tej właśnie awionetki, będącej teraz jednym z naszych narzędzi pracy, lądowałem awaryjnie podczas podróży do Anglii, co wpłynęło na to, że znalazłem się w Ameryce Środkowej.

Lear 23, na którym wylatałem tyle godzin z Albertem i José, był teraz w posiadaniu Barry'ego i robiliśmy nim wypadki do Panamy po towar, który przewoziliśmy innymi samolotami do amerykańskich baz powietrznych. Escobar i Rodríguez Gacha otrzymywali wszechstronną pomoc od Noriegi, nierzadko więc spotykaliśmy na panamskich lotniskach jego samoloty. Dzięki temu natknąłem się na Roberta, pilota Pabla Escobara, jednego z najlepszych, jakich znałem. Pilotował razem z Flaviem learjeta 25. Wyglądał na zdenerwowanego, więc zaproponowałem żartobliwie:

– Chcesz kawę albo walmium? Widzę, że się denerwujesz. Co się dzieje?

– Nie lubię tego miejsca, tego lotniska i tego kraju. Nie ufam Noriedze. Przy każdym lądowaniu tutaj mam wątpliwości, czy wystartuję.

– Powiedziałeś to szefowi?

– Jasne. Też nie do końca mu ufa, ale wierzy, że nie odważy się nas zdradzić.

Gdy pożegnaliśmy się tego popołudnia, zastanawiałem się podczas lotu do Homestead nad jego słowami. Roberto miał intuicję i był dobrym analitykiem. Jeśli wyczuwał, że coś jest nie w porządku, należało mu wierzyć. Musiałem być czujny.



Pewnego ranka, gdy zamierzałem lecieć do Palmeroli, zobaczyłem, że w moją stronę idzie Izer. Mieliśmy skoordynować lot na ten dzień, ale powaga malująca się na jego twarzy świadczyła o tym, że dzieje się coś niezwykle go. Oznajmił bez zbędnych wstępów:

– Podejdz do działu operacyjnego. Dostałeś pilną wiadomość przez radio. Idę do kafejki, zaraz do ciebie dołączę.

W sali był Marco, jeden z naszych pilotów. Zobaczywszy mnie, spytał:

– Znasz jakąś Almudenę z Gwatemali?

– Tak. Co się dzieje?

– Odebraliśmy dla ciebie wiadomość, Remy, ze stacji Loyola w Gwatemali. Zdaje się, że kobieta o imieniu Almudena jest w poważnych tarapatach i potrzebuje pomocy. Powiedziała, że zamordowano wielu chłopów i że musiała uciekać. Ścigają ją i nie może się stamtąd wydostać.

– Podała, gdzie się znajduje?

– W pobliżu Flores. Będzie się starała połączyć ponownie o dziesiątej, czyli za pół godziny.

– Mamy w tej strefie kogoś z naszych? – spytałem.

– Wczoraj ktoś leciał do Flores z personelem. Dziś nie mamy tam nikogo. Kim jest ta dziewczyna?

– To moja dobra znajoma. Współpracuje z hiszpańską misją. Trzeba znaleźć sposób, żeby ją stamtąd wyciągnąć.

– Nie sądzę, żeby zezwolono nam na przeprowadzenie akcji na terenie Gwatemali.

– Nie będę o to prosił...

Podniosłem słuchawkę i skontaktowałem się z Lupitą, by anulowała lot.

– Na czym polega problem, Remy?

– Nie mogę lecieć. Znajoma z Gwatemali ma kłopoty i muszę ją stamtąd zabrać.

– Masz kogoś na zastępstwo?

– Poproszę Tomasina, żeby poleciał za mnie.

– Zgoda, daj mi znać, kiedy będziesz miał potwierdzenie. Teraz posłuchaj, Remy, dostaję reklamacje, że nie wszystkie towary, które przewozisz, docierają na miejsce. Brakuje środków czystości i palet z żywnością. Powiedz swoim chłopcom, żeby uważali.

– Dobrze. Dzięki, Lupita. Jesteś aniołem.



Pozostałem w sali łączności radiowej. Czekałem z niecierpliwością na informacje, czy Almudena jest cała i zdrowa i gdzie dokładnie się znajduje. Przyszedł Tomasino i zgodził się mnie zastąpić. Wezwałem Izera, by prosić go o pomoc.

Izer wszedł do sali w chwili, gdy Marco dawał mi znaki, by zwrócić uwagę, że w radiu odezwał się nieco zniekształcony kobiecy głos.

– Ilopango, tu Loyola, chcę rozmawiać z Remy.

– Mów, Loyola, tu Remy, słabo cię słyszę.

– Remy, tu Almudena. Pamiętasz mnie?

– Przypomnę sobie, gdy polecisz mi coś do jedzenia...

Pamiętałem dokładnie jej twarz i głos, ale radio go zniekształcało.

– Polecam ci cocido madrileño z winem Rioja. A ty, co mi proponujesz?

– Mogę ci zaproponować jedynie nugaty i chilate, ślicznotko. Już mi przekazano twoją wiadomość. Powiedz tylko, jak mam ci pomóc – poprosiłem, podczas gdy chłopcy spoglądali na siebie, zdziwieni i zaciekawieni.

– Mógłbyś zaprosić na obiad mnie i jeszcze dwóch przyjaciół?

– Pewnie, podaj mi tylko w przybliżeniu swoją pozycję, to wpadnę po ciebie za parę godzin.

– Jesteśmy w pobliżu Poptún, na drodze w kierunku Flores.

– Nie mów nic więcej, nie ma potrzeby. Podasz mi dokładną pozycję, kiedy będę blisko. Za dwie godziny nawiążę z tobą kontakt na tej samej częstotliwości. Spokojnie, ślicznotko, lecę po ciebie.

– Lecę po ciebie? – prychnął Frank. – Ona musi być wyjątkowa.

– To tylko przyjaciółka. Bardzo szlachetna osoba – odrzekłem.

– Szlachetna czy nie, jeśli ją ścigają, to znaczy, że podpadła rządowi, a w takim przypadku nie sądzę, by powstrzymali się od strzelania, gdy zobaczą,

jak łądujesz, żeby ją stamtąd zabrać. Na pewno chcesz lecieć? Generał Ríos Montt nie lubi Kościoła. Ten sukinsyn jest protestantem i nikomu nie wybacza.

– Chcę lecieć.

Willy, kolega Marca, który słuchał nas uważnie, wtrącił:

– Mamy jeszcze jeden problem. Agent DEA fotografuje przez teledyktowy nasze samoloty. Ludzie Olly'ego go zidentyfikowali: nazywa się Thomas Zepeda i kieruje biurem DEA w Tegucigalpie.

– Tylko tego nam brakowało! – wykrzyknął Frank zirytowany. – Ktoś ma pojęcie, po co ten facet tu węszy? Jest bardzo daleko od domu.

– Chyba łatwo to wyjaśnić. Jednym z samolotów spółki przylecieli wczoraj Calero, Bermúdez i Rivas. Z pewnością chcą rozmawiać z Aristidensem, a ten typ depcze im po piętach, żeby się czegoś dowiedzieć.

– Zapomnijmy na chwilę o DEA i Aristidencie. Izer, możesz zdobyć dla mnie informacje, jak wygląda sytuacja w Petén? – spytałem.

– Daj mi dziesięć minut.

– Czym polecisz do Gwatemali? – chciał wiedzieć Frank.

– Cessna. Chyba dwudziestkadwójka jest gotowa.

Izer wrócił po chwili z notatkami.

– Nie spotkasz żadnych samolotów, dopóki nie przetniesz korytarza powietrznego do Puerto Barrios. Po drugiej stronie gór Mayas to już inna historia, bo między Santa Elena i Flores są manewry. Przygotowałem plan lotu na wypadek, gdyby ktoś cię pytał, dokąd lecisz. Nie zgłoszę go, dopóki mnie nie poprosisz. Aby kontaktować się z nami, korzystaj z częstotliwości Pango.

– Dzięki, Izer. Dzięki, Frank. Do zobaczenia za parę godzin.



Wystartowałem w kierunku Gwatemali, myśląc o Almudenie. Prawie jej nie znałem, ale skoro ośmieliła się prosić mnie o pomoc, z pewnością była w niebezpieczeństwie. Leciałem trasą zalecaną przez Izera. Półtorej godziny później usłyszałem głos Almudeny na wskazanej częstotliwości. Przewidziała,

kiedy przylecę, i czekali przy jednym z bocznych traktów.

– Podaj mi swoją pozycję, ślicznotko.

– Jestem o godzinę drogi od mostu na Rio Dulce. Na trzysta czterdziestym piątym kilometrze jest niewielka polna droga, która skręca na zachód.

– Zaczekaj chwilę.

Sprawdziłem swoje położenie i zobaczyłem, że jestem bardzo blisko.

– Dolecę za niecałe dziesięć minut. Przygotuj się i zrób coś, żebyś mnie zauważył.

– Nie martw się. Jestem pewna, że mnie zobaczysz.

Leciałem nad mało uczęszczaną szosą w kierunku Poptún. Zwracałem uwagę na wszystkie dochodzące do niej boczne drogi. W końcu ich dostrzegłem. Rzucali się w oczy, dając znaki żółto-czerwoną chustą. Zawróciłem, zniżyłem lot i wylądowałem bez żadnych problemów w chmurze pyłu. Zobaczyłem, że biegną w moim kierunku. Wtedy zdałem sobie sprawę, że dają mi sygnały, machając hiszpańską flagą.

Wsiadli szybko do samolotu. Zawróciłem i wziąłem kurs w przeciwnym kierunku. Almudena i jej towarzysze byli uszczęśliwieni. Dziewczyna, zanim zapięła pas bezpieczeństwa, pochyliła się i pocałowała mnie w policzek.

– Dokąd chcesz lecieć? Do Belize, Hondurasu, Salvadora? Może do Madrytu? – spytałem.

– Musimy wrócić do miasta Gwatemala, wszystko jedno którądy.

– Teraz nie mogę was tam zabrać. Ukradłem ten samolot, żeby po was przylecieć. Może wylądujemy w Salvadorze? Odpoczniecie trochę, zbierzecie myśli i postanowicie, co dalej. Mam niewielkie mieszkanie w centrum San Salvador. Możecie tam zostać, jak długo chcecie.

Almudena nie odpowiedziała. Skoncentrowany na starcie i nabieraniu wysokości nie przejmowałem się jej milczeniem. Myślałem, że podziwia krajobraz, ale spojrzawszy na nią zobaczyłem, że cicho szlocha.

Jeden z młodych ludzi, który siedział na fotelu z tyłu, odpowiedział za nią:

– To fantastycznie, dzięki.

Nastawiłem radio na częstotliwość ustaloną z Izerem.

- Wszystko w porządku? – spytał zatroskany.
- Jak najbardziej. Odebrałem przesyłkę. Wracam.
- Cieszę się. Coś jeszcze?
- Tak. Chcę wylądować w innym miejscu. Możesz nas odebrać w Cuscatlán?
- Będę tam.



Podczas lotu Almudena uspokoiła się i opowiedziała mi, co się stało.

– Byliśmy w wiosce Tres Erres, gdy zjawiała się grupa kontrewolucjonistów, Kaibilów. Wywlekli wszystkich mężczyzn i chłopców, przesłuchiwali ich i bili, a potem wrzucili do studni. Gdy studnia była pełna, przysypali ciała ziemią. Potem zebrali na placu kobiety i dzieci. Dziewczynki zgwałcili, a następnie wszystkich zamordowali. My się ukryliśmy, ale w kościele został plecak z pustym futerałem od aparatu fotograficznego. Kiedy go znaleźli, wypytywali bez przerwy, gdzie jesteśmy. Ktoś musiał powiedzieć, że nas widział, bo szukali wszędzie. Szliśmy dzień i noc. W Poptún jeden z misjonarzy pozwolił nam skorzystać z radia, żebyśmy mogła się z tobą skontaktować, i podarował nam przenośny odbiornik. Powiedział, że nam się przyda. Wiedział, że nas ścigają, ponieważ sądzą, że mamy zdjęcia tego, co zrobili.

– Macie je?

Wyjęła z kieszeni plastikową torebkę z dwiema rolkami filmu.

– Wiesz, kto jest odpowiedzialny za tę masakrę?

– Mówią, że komendant posterunku z wioski Las Cruces. Ten sam, który w lipcu rozkazał zabić misjonarza Ángela Martíneza.

– Znałaś go?

– Nie. Wiem tylko, że nazywał się Ángel Martínez Rodrigo i że wszyscy go kochali. Był jezuitą. Dwa lata temu zamordowano w Quiche misjonarza ze zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusa. Jego także wielbili i szanowali Indianie i chłopci. Milczała przez chwilę, pogrążona w myślach, po czym spytała:

– Czy ktokolwiek będzie o nich pamiętał?

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Odpowiedziała sobie sama:

– Naszym obowiązkiem jest zrobić, co tylko się da, aby ich nazwiska nie zostały zapomniane.



Napięta sytuacja polityczna w Gwatemali nie sprzyjała temu, by Almudena i jej towarzysze tam wracali. Przekonałem ich, by trochę zaczekali. Podczas tych dni, które spędzaliśmy wspólnie w Salwadorze, widziałem, jak bardzo emocjonowali się za każdym razem, gdy dyskutowali o możliwości powrotu do Gwatemali. Zagrozało to poważnie ich bezpieczeństwu i życiu. Usłyszawszy ze zdumieniem, co zamierzają zrobić, zagadnąłem któregoś popołudnia Almudenę, korzystając z okazji, że wyszła na balkon zaczerpnąć powietrza:

– Dlaczego ty i twoi koledzy myślicie tylko o powrocie do Gwatemali? Nie zdajecie sobie sprawy, że jeśli was zatrzymają, zginiecie?

Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się, po czym wzniosła oczy do nieba i odparła z westchnieniem:

– Wierzysz w przeznaczenie, Remy?

– Czasem myślę, że tak, a czasem, że nie. Chwilami trudno mi uwierzyć, że istnieje we wszechświecie jakaś istota tak nieludzka i pozbawiona litości, że pozwala na niegodziwości, z którymi codziennie się stykamy. A ty? Wierzysz w przeznaczenie?

– Wierzę, Remy, że uważając się za kowali własnego losu, dajemy jedynie dowód naszej pychy. Jeśli negujesz istnienie przeznaczenia, życie staje się całą serią niewykorzystanych okazji, ciągłym ubolewaniem nad tym, co mogło się udać, lecz się nie udało, albo wyrzutami sumienia, że czegoś nie zrobiłeś, choć mogłeś, i marnujesz teraźniejszość, zamieniając ją w kolejną straconą szansę. Rzeczywistość jest tym, Remy, czego nie da się powstrzymać...



Dwa tygodnie później zabrałem ich do Gwatemali. Zatrzymali się w domu na przedmieściach Antigui, starej stolicy kraju. Gdy się żegnaliśmy, Almudena powiedziała:

– Mam nadzieję, że znów cię zobaczę, Remy. Ale cokolwiek się stanie, nigdy cię nie zapomnę. A jeśli napiszę kiedyś książkę, pojawisz się w niej. – Miała łzy w oczach.

– Ja też cię nie zapomnę. Obiecuję. Wątpię, żebym napisał książkę, ale cię nie zapomnę...

44.

Siedząc obok Tomasina w kafejce w bazie Ilopango, zobaczyłem, że do naszego stolika zbliża się Jerry. Widać było, że stara się ukryć ekscytację.

– Byłeś kiedyś w bazie El Aguacate w Hondurasie? – spytał mnie.

– Tak, ale przed wielu laty. Chyba w siedemdziesiątym piątym. Wtedy był to aerodrom.

– A ty, Tomasino?

Tomasino spojrział na filiżankę z kawą i nie podnosząc wzroku, odparł z uśmiechem:

– Nie, ale mam przeczucie, że właśnie zamierzasz nas tam zaprosić.

– Cieszę się, że masz dar jasnowidzenia, Tomasino, może nam się przydać. – Jerry się uśmiechnął. – Ambasador musi wysłać tam natychmiast kilka osób. Chce wiedzieć, czy ktoś może je zawieźć. Poprosił o to Northa, a ten z kolei twojego szefa, który oświadczył, że podejmie się tego pod warunkiem, że wy się zgodzicie. Powiedziałem, że was spytam. To może być dobra okazja, żeby poprawić z nim stosunki.

– Cuchnie mi to padliną – mruknąłem. – North ma do dyspozycji ponad trzydzieści samolotów i dwa razy tylu pilotów. Pamiętasz, co ten sukinsyn powiedział o nas wczoraj? Że jesteśmy bandą napuszonych i nieposłusznych najemników, nad którymi nie da się zapanować. Dlaczego chcą zatrudnić takich pilotów, aby dostarczyć kogoś do tej bazy? Nie podoba mi się to. O kogo chodzi?

– To argentyński pułkownik Osvaldo Ribeiro Watson, z batalionu trzy-szesnaście. Chyba posprzeczał się z Supermanem.

– Z Oliverem Northem? – zdziwił się Tomasino. – A to dobre... Myśla-łem, że tego człowieka ze stali wszyscy uwielbiają.

– Problem polega na tym, że Argentyńczyk nie chce lecieć z pilotami Olly'ego. Oddaję panom głos.

Tomasino spojrział na mnie pytająco. Wolął nie podejmować decyzji i zo-stawić to innym.

– Nie patrz tak na mnie – obruszyłem się. – Jeśli zestrzelą nas sandini-ści, będziesz protestował nawet po śmierci. Powiesz, że nie chciałeś lecieć i zrobiłeś to tylko po to, by mi towarzyszyć. Mów wyraźnie, czego chcesz.

– No cóż... umieramy tu z nudów...

– Zgoda. Zabierzemy go, ale jednym z naszych samolotów.

– Którym?

– Polecimy skymasterem, ale powiedz mu tuż przed startem.

– Jesteś nieufny?

– Przezorny.



Stara i sfatygowana łódź płynęła w dół rzeki niesiona spokojnym nurtem, aż osiadła na mieliźnie przy brzegu. Tuż przed świtem kolumna partyzan-tów, złożona z ponad stu ludzi, w grupach po dwudziestu przekraczała w niej rzekę.

Komendant Pablo miał jasno sprecyzowane cele. Kruczata, wspierana przez Kubę i zapoczątkowana w Nikaragui, nie przewidywała natychmia-stowego powrotu, a w przypadku gdyby zmuszono ich do wycofania się, nie szliby tą samą trasą. Wiedział doskonale, że każąc pozbyć się łodzi, odcinał im drogę ucieczki w razie konieczności pospiesznego odwrotu. Zdawał sobie też jednak sprawę, jakie wzbudziłaby podejrzenia, gdyby wojsko znalazło ją ukrytą wśród drzew. Wybrana przez nich droga prowadziła między Yomali i El Chilamate, terytorium kontrolowanym przez kontrrewolucjonistów. Byli po wielu miesiącach planowania, szkolenia i przygotowań w Pinar del Río

na Kubie. Szlak, którym mieli ruszyć za parę minut, był bardzo wyboisty. Musieli przedzierać się przez tę dżunglę. Czekał ich powolny i trudny marsz.

Komendant ostrzegł ich przed tym w swojej przemowie, zanim opuścili obóz w Nikaragui:

– Towarzysze, wróg nie może zauważyć naszych ruchów! Inicjatywa, dyskrecja i ostrożność będą naszą główną bronią. Sprzyja nam czynnik zaskoczenia. Honduraska armia jest zadufana, uważają się za niepokonanych, bo wspierają ich siły imperialistyczne. Nigdy nie przyjdzie im do głowy, że ktoś może wpaść na tak szalony pomysł, by wtargnąć na ich terytorium pełne wojska. Nosimy takie same mundury jak oni, a oddział zwiadowczy uzbrojony jest w karabiny FAL, których też używają. Jeśli zostaniemy zdemaskowani, możemy mieć nadzieję, że wezmą nas za swoich ludzi. Tak więc niech nikt, powtarzam, nikt, nie otwiera ognia. Oddział zwiadowczy Héctora wyruszy natychmiast, my podążymy za nimi, a komendanci Zapata i Serapio będą szli na końcu, zapewniali tylną straż i zacierali ślady naszego przemarszu. Jeśli ktoś zmienił zdanie i nie chce iść, niech teraz to powie. Gdyby ktoś chciał się wypowiedzieć, ojciec Mario go wysłucha. Jakies pytania? – Zapadła cisza, więc komendant dokończył: – A więc naprzód. Za ojczyznę i wolność!

Po przepłynięciu łodzią rzeki komendant chwilę odpoczywał. Ostatnie godziny i przeprawa całego oddziału były wyczerpujące. Miał wrzód żołądka i kwasy sprawiały, że czuł się jeszcze gorzej. Zadawał sobie pytanie, czy starczy mu sił, aby dowodzić do końca tymi ludźmi, którzy wdzierali się do samego serca Hondurasu.

- Już wszyscy przepłynęli – zameldował podwładny.
- Odepchnijcie łódź, żeby porwał ją nurt rzeki.



Ojciec Mari poprawił okulary. Trzymając rękę na drewnianym krzyżu, który miał na szyi, został na brzegu, by zaczekać na Estebana, a ten, brnąc po pas w wodzie, spychał łódź na środek rzeki. Przez kilka sekund stała w miejscu, po czym popłynęła z nurtem. Esteban wyszedł z wody z pomocą

księdza i szybko zebrał swój ekwipunek.

– Zgubiłeś łańcuszek? – spytał ksiądz.

Esteban sięgnął do szyi i stwierdziwszy, że nie ma łańcuszka, mruknął strapiiony:

– Cholera! Miałem go, zanim przepłynęliśmy przez rzekę. Musiałem go zgubić przed chwilą. – Spojrzał bez przekonania w błoto pod stopami, po czym dodał przygnębiony: – To zła wróżba, ojcze...

– Nie martw się. Wizerunek miał ci ją tylko przypominać. Nie straciłeś jej. Nosisz ją w sercu. Nadal będzie cię strzegła.

– Oby Bóg cię wysłuchał, ojcze. Na wszystko masz odpowiedź.

Esteban ugiął się pod ciężarem gigantycznego zielonego worka, z którego wystawał jak antena trzonek łopaty. Wyglądało na to, że zaraz go przygniecie.

– Daruj sobie pochlebstwa, bo nie doprowadzą cię do nieba, i ruszaj, zanim utkniesz tu na zawsze – rzucił ksiądz.

Esteban się uśmiechnął. Kochał tego człowieka. Chociaż z niego żartował, darzył go wielkim podziwem i szacunkiem. Z własnej inicjatywy postanowił się nim opiekować. Pewnego dnia, gdy przygotowywali się do akcji, zauważył, że ksiądz ma trudności z rozłożeniem kałasznikowa, którego chciał wyczyścić, i powiedział żartobliwym tonem:

– Wybacz, ojcze, ale szewc powinien robić buty...

Ksiądz, przyzwyczajony już do powiedzonek Estebana i jego specyficznego języka, odparł:

– Dlatego wam towarzyszę.

– Nie wiem, dlaczego ojciec tu jest, ale lepiej pokażę ojcu, jak to się robi. Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie ojciec musiał udzielić komuś ostatniego namaszczenia.

W ciągu następnych dni uczył go składać i rozkładać kałasznikowa. Trzeciego dnia, widząc, że ksiądz jest przygnębiony tym, iż brak mu umiejętności strzeleckich, powiedział:

– Proszę się nie przejmować, ojcze. Gdyby sprawy przybrały zły obrót, niech ojciec chwyci karabin za lufę i grzmotnie każdego, kto stanie ojcu na drodze. Trzeba przypierdolić mu bez namysłu. Należy robić to, co wszyscy

gracze w baseball: biec, ojciec, biec tak szybko, jakby ścigał ojca sam diabeł.

– A ty zapamiętaj: kiedy diabeł depte ci po piętach, nie uciekaj, tylko staw mu czoło. Pokaż, że się go nie boisz.



Ojciec Mario szanował tego dziwnego wojownika, który w przemokniętym zielonym mundurze, obładowany jak muł brnął przez błoto na brzegu rzeki. Gdy zadanie zostało wykonane, zachęcił go z uśmiechem:

– Gotowe, synu. W drogę.

– Idź przodem, ojciec. Wiesz, że podjąłem się boskiej misji utrzymania cię przy życiu. Rafael zajmie się zmywaniem naczyń.

Rafael, idący w niewielkiej odległości za nimi, zacierał ślady na brzegu rzeki. Jego zadanie polegało na zamaskowaniu ścieżki, która pozostała po ich przemarszu.

Kolumna posuwała się powoli naprzód przez góry i musieli torować sobie drogę w gęstwinie. Na czele szli czterej zwiadowcy i przewodnik. Badali, utworzywszy formację w kształcie grota strzały, teren, przez który mieli przechodzić. Szukali śladów obecności oddziałów wojska albo Contras. Nie wykluczali, że mogą się na nie niespodziewanie natknąć, że zostaną zauważeni i zaatakowani.

Dotarli do pierwszego miejsca spotkania i komendant Pablo zarządził odpoczynek. Nie minęło nawet pięć minut i zaczęło padać. Każdy próbował czymś się okryć. Niektórzy wyciągnęli peleryny i założyli je sobie na głowy. Inni, wyczerpani, pozwalali, by deszcz spływał im po moro, przynosił ulgę w upale i łagodził trochę ukąszenia moskitów, które atakowały ich bezlitośnie przez całą drogę.

Oparty o drzewo Esteban obserwował ojca Maria, który zamiast odpoczywać, podchodził do ludzi, by dodać im otuchy.

Gdy znalazł się przy nim, Esteban skarcił go:

– Ojciec, dlaczego nie próbuje ojciec schronić się pod największymi liśćmi i trochę odpocząć, ciesząc się deszczem i tym pięknym miejscem? To dziewiczy obszar, zapewne jesteście pierwszymi ludzkimi istotami, które tu dotarły...

- Przestań mówić i postaraj się zdrzemnąć – odparł serdecznie ksiądz.
- Jak chcesz, ojcze, ale zapamiętaj, że zgasiłeś moje poetyckie natchnienie i może nie wrócić przez wiele lat.

W końcu ksiądz usiadł, by odpocząć parę minut. Może z powodu wody, która przesiąkała przez ubranie i przenikała go wilgocią aż do kości, a może wskutek zmęczenia, miał przeczucie, że spotka ich coś strasznego. Próbował ukryć swój niepokój o ludzi, którzy poszli na zwiady i długo nie wracali. Jeden z nich był jego ministrantem. Ksiądz Mario odczuwał mieszaninę goryczy i obojętnej satysfakcji, bo wiedział, że cokolwiek się stanie, jego przeznaczenie się wypełniało. Był świadomy tego, że jego słowa i wiara są jedyną bronią, którą może walczyć z bardzo niebezpiecznym wrogiem. Wrogiem, który wygnał go z Hondurasu. Teraz on, w akcie odwagi, wkroczył do tego kraju z oddziałem ludzi, którzy chcieli pokazać, że walka o wolność nie ma granic.

Podszedł do niego komendant Pablo i spytał:

- Co powiesz, ojcze? Jak morale ludzi?
- W porządku. Są wyczerpani, ale nastawieni bojowo. Zdążyliśmy przekroczyć granicę przed dziewiętnastym lipca, jak zaplanowaliśmy, więc są zadowoleni. Najbardziej dokucza im deszcz.
- A ty, ojcze? Jak się czujesz, znów stąpając po ukochanej ziemi?
- Dobrze. Ziemia, jak widzisz, jest taka sama. Bóg nie wytyczał granic. A jak twoja forma?

Komendant usiadł obok niego. Poprawił folię, która chroniła przed wodą lufę jego broni, i odparł:

- Już lepiej. Mięśnie się przyzwyczajają. Zbyt wiele lat przesiedzianych na Kubie zrobiło swoje, ale przeżyję. Siły zbrojne narodu dotrą do celu.

Kilka kroków dalej artylerzysta Freddy Betancourt i porucznik Ana Guadalupe, osłonięci pelerynami, słuchali instrukcji dowódcy. Komendant Adolfo (Arturo Báez Cruz) rozkazał im umieścić w koronie drzewa radio Yae-su. Wszyscy byli zaniepokojeni, że zwiadowcy się spóźniają...



Po ośmiu dniach nieprzerwanego marszu kolumna dotarła do drugiego miejsca spotkania. Komendant Pablo, zaniepokojony zniknięciem trzech zwiadowców, przyspieszył tempo, mając nadzieję ich spotkać. Z tylnej straży nadeszła wiadomość, że grupa komendanta Serapia zlikwidowała żołnierza Contrás, który najwyraźniej ich śledził.

Jakieś siedemdziesiąt metrów przed nimi dowódca drużyny Héctor Ávila wspiął się na niewielkie zbocze z grupą zwiadowców. Javier, jeden z jego najlepszych ludzi, który właśnie przekazywał rozkazy pozostałym, dostrzegł w dole, w odległości około stu metrów, poruszającą się wśród drzew postać. Zareagowali natychmiast tak, jak ich szkolono. Ávila, unosząc zaciśniętą pięść, nakazał im się zatrzymać i zachować ciszę. Potem rozstawił ludzi na flankach, wskazując każdemu kierunek. W ciągu kilku sekund wślizgnęli się między chaszczę na stoku. Szum deszczu był ich sprzymierzeńcem. Wkrótce dotarli na skraj wąwozu, przez który przechodził kontrrewolucjonista, ubrany po cywilnemu i uzbrojony w chiński karabin AK.

Javier, snajper grupy, jako jedyny miał inny karabin niż pozostali, Remingtona 700 PPS z teleskopowym celownikiem Leupold Vari x II, 3-9 x 40 milimetrów. Był jego własnością i powodem do dumy. Pozwolono mu go zabrać, gdyż była to broń taktyczna. Natychmiast zlokalizował cel i namierzył go lunetą. Czekał na rozkaz, by strzelić. Widział wyraźnie mokrą od deszczu twarz. Wiedział, co nastąpi. Jego dowódca upewni się, czy żołnierz jest sam, wyda rozkaz i ułamek sekundy później mężczyzna osunie się między skały na skraju wąwozu. Ku jego zdumieniu Ávila, zamiast wydać oczekiwany rozkaz, zszedł po zboczu z karabinem przewieszonym przez ramię i zawołał do żołnierza. Zbliżył się do niego, podał mu rękę i – obserwowany czujnie przez towarzyszy – zaczął z nim przyjacielską rozmowę.

Javier, z palcem na spuście, zobaczył, że mężczyzna wyjął coś z torby i podał dowódcy, po czym, pożegnawszy się, ruszył w dalszą drogę.

Gdy Ávila wrócił ze swoimi ludźmi, Javier zwrócił się do niego ze śmiałością, na jaką pozwalala ich zażyłość:

– Héctorze, oszalałeś?

Héctor Ávila odparł rozbawiony:

– Dlaczego? To bardzo mili ludzie. Podał mi wszystkie informacje, których potrzebujemy, i nawet podarował papierosy. – Wyjął z kieszeni paczkę i poczęstował go. – Palisz?



Jakieś dwieście metrów dalej na wschód Esteban szedł w otwartym szyku z ojcem Mariem po swej prawej stronie. Nie podobał mu się ten bagnisty teren. Miał złe przeczucia i dlatego zwolnił trochę tempo marszu. Nagle zatrzymał się i pochylił, wpatrując się w błoto.

– Ktoś niedawno tędy przechodził – oznajmił.

Zauważywszy, że ksiądz idzie po pniu nad mokradłami, ostrzegł go:

– Tupnij, ojcze.

Gdy ksiądz to zrobił, wąż zwisający leniwie z gałęzi rozprostował się, spadł do wody i odpłynął. Ojciec Mario odwrócił się i spojrzał z wdzięcznością na Estebana, mówiąc:

– Odtąd w razie najmniejszych wątpliwości będę tupał.

– Nie jest jadowity, ale jego ukąszenie boli.

Dotarli do krzaków wyglądających jak wielkie grzyby. Kilka szarych papug zaczęło krzyczeć na ich widok. W pobliżu, na polanie wśród mokradeł, widać było szałas. Postanowili zaczekać tam na resztę ludzi. José Ricardo skarżył się na hałas, jaki robiły zwierzęta.

– Wrzaski tych stworzeń są nie do zniesienia.

Esteban, który był kilka kroków dalej, powiedział, by go uspokoić:

– To dlatego, że ich nie rozróżniasz.

– Jak to?

– Reagujesz tak, bo nie nauczyłeś się jeszcze ich rozróżniać. Każde z tych stworzeń, jak je nazywasz, wydaje specyficzne dźwięki. Nauczyłem się rozróżniać odgłosy dzięciołów, papug kakadu, lor i małp. Potrafię rozpoznać też głosy zwierząt, które się ukrywają. Posłuchaj... – Z bardzo bliska dobiegało kwilenie jakiegoś ptaka. – To, na przykład, jest przepiórka, która nas usłyszała i jest przestraszona. Nauczysz się odróżniać śpiew *chompipe* i skrzeczenie leśnego indyka. Brzmią zupełnie inaczej. Również te niebieskie motyle, które krążą wokół paproci, wydają dźwięki. Nie słyszymy ich, ale to nie znaczy, że ich nie ma.

– Daj mi lepiej znać, gdy usłyszysz żołnierzy albo Contras. Tylko ich chciałbym umieć rozpoznać – odparł José Ricardo, urażony, że wytknięto mu brak wiedzy na temat dżungli.

– Jak sobie życzysz – skwitował Esteban.

Kilka chwil później zza drzewa wyszło zwierzę podobne do świni. Zniechęciło się na moment, po czym rzuciło się do ucieczki.

– Co to było, do cholery? – spytał Ricardo.

– Pekari... Ma pyszne mięso.

– I z jakiego gównianego powodu nie dałeś mi znać, że jest za mną?

– Dopiero co mi powiedziałeś, że mam cię zawiadomić tylko wtedy, gdy usłyszę wroga. A to pekari... no cóż... było nieuzbrojone.

Ich towarzysze i sam José Ricardo zaczęli się śmiać.

– Niech cię szlag! Po to, żeby ze mnie zakpić, pozwoliłeś uciec świni.

– Uspokój się, to nie był chodzący kotlet. Pekari mają bardzo gęstą sierść, twardą skórę i gruczoły, które wydzielają cuchnącą oleistą ciecz, gdy zwierzę się przestraszy. Wierz mi, sam ten zapach zepsuły ci apetyt.



Oswaldo Castro, Armando Moneada i Alfredo Duarte zbyt późno spostrzegli, że idą w niewłaściwym kierunku. Chcąc wrócić tą samą drogą, zgubili się. Zmęczeni i głodni nie wykazali należytej czujności i nagle zostali otoczeni przez żołnierzy, którzy krzyczeli:

– *Mayo! Mayo!*

Armando zorientował się natychmiast, że to hasło, na które powinni odpowiedzieć. Zrozumiał, że już po nich. Obie strony były zaskoczone, ale po kilku sekundach ciszy rozległy się krzyki:

– Spokojnie! Ani kroku, kanalie, bo was zabijemy!

Mimo ostrzeżenia Armando próbował wycelować karabin, ale dostał cios w plecy. Jego towarzyszy pobito kolbami, aż skulili się z bólu. Jeden z żołnierzy przyduśił Oswalda prawym butem, złapał go za włosy, niemal mu je wyrrywając, i spytał:

– Co tu robisz? Gdzie są twoi ludzie? Ilu ich jest?

Oswaldo milczał, a gdy żołnierz zamierzał znów go kopnąć, sierżant go powstrzymał.

– Zaczekaj chwilę. – Znalazł w kieszeni Alfreda mapę i nie otwierając jej, zauważył, w którym miejscu jest złożona. Niczego tam nie zaznaczono, ale nie trzeba było kartografa, by się domyślić, gdzie są usytuowane bazy Contras. Zwrócił się do drugiego żołnierza, który niósł radio:

– Daj mi to.

– Kobra jeden, tu Kobra szesnaście.

– Mów, Kobra szesnaście.

– Kobra jeden, złapaliśmy trzech uzbrojonych ludzi w naszych mundurach. Nie mają żadnych identyfikatorów, posiadają mapy terenu i wyglądają na zwiadowców. Znajdujemy się w przybliżeniu trzysta metrów od punktu Echo. Proszę o instrukcje i wsparcie.

Odpowiedź nadeszła po kilku minutach. Najwyraźniej centralne dowództwo było zaskoczone i analizowało dokładnie otrzymaną informację. Instrukcje brzmiały następująco:

– Kobra szesnaście, przejdź natychmiast, zachowując najwyższą ostrożność, do punktu Echo, i zabezpiecz teren. Wysyłamy wsparcie i ekipę, która przejmie zatrzymanych.

Dowódca grupy, przekonany, że ci ludzie są zwiadowcami jakiegoś większego oddziału, po otrzymaniu instrukcji poczuł się lepiej. Ruszyli szybkim marszem, zdawając czujność, do miejsca zbiórki, skąd miał ich zabrać helikopter. Po drodze sierżant zrozumiał, jak ważni są zatrzymani partyzanci. Z pewnością było ich w okolicy dużo więcej. Należało dotrzeć jak najszybciej w umówione miejsce. Będzie spokojniejszy, gdy jego niewielka grupa otrzyma wsparcie.



Po przybyciu na miejsce zwane Echem i zabezpieczeniu terenu sierżant próbował wydobyć więcej informacji z zatrzymanych, którzy mimo brutalnego traktowania zachowywali milczenie. Miał zamiar znowu ich pobić, gdy usłyszał warkot nadlatujących helikopterów. Nie wiedział, jak ważni są zatrzymani mężczyźni, i zdziwił się, widząc, jak z kilku maszyn Black Hawk wyskakują dziesiątki żołnierzy. Podeszła do niego grupa komandosów i ludzi z batalionu 3-16. Zadawszy mu kilka pytań, wsadzili zatrzymanych do jednego z helikopterów i natychmiast odlecieli. Dowodzenie przejął bardzo

młody porucznik i zaczął rozstawiać swoich żołnierzy. Tymczasem w okolicy pojawiały się kolejne jednostki powietrzne. Zaczęło się polowanie...

Gdy dotarli do bazy w El Aguacate, natychmiast rozpoczęto przesłuchanie. Dwóch oficerów torturowało więźniów, z których jeden przeraźliwie krzyczał. Siedział na żelaznym krześle, z umieszczonymi na jądrach miedzianymi szczypcami, przez które przepuszczano prąd. Nie mógł tego wytrzymać i zaczął mówić.

Oficer prowadzący przesłuchanie rozkazał:

– Zwołać natychmiast wszystkich dowódców na odprawę dziś wieczorem. Zawiadomić pułkownika Ribeiro i dowództwo armii. To poważna sprawa.

– Pułkownik Ribeiro jest w Salwadorze na rozmowach z D'Aubuissonem i pułkownikiem Lauem. Musiałby poczekać do jutra, aż wyślemy po niego jeden z naszych samolotów. Teraz wszystkie są zajęte.

– Zapoznajcie go z sytuacją. Nie możemy czekać. Niech jedzie do bazy Ilopango i wsiądzie do jakiegokolwiek samolotu. W razie potrzeby porozmawiam z Negroponte, żeby udostępnił mi jakąś maszynę.



Pułkownik Jorge Osvaldo Ribeiro Watson przybył w towarzystwie cywila, który przedstawił się jako Raúl Martínez. Miał za pasem pistolet i uważnie się wszystkiemu przyglądał. Jego nieco spiczaste uszy i powaga na twarzy sprawiały, że wyglądał trochę jak Spock ze *Star Treka*. Było oczywiste, że jest ochroniarzem i bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki. Tomasino spojrzał na mnie rozbawiony, podczas gdy pułkownik, nie pytając o zgodę, usiadł na miejscu drugiego pilota. W ciągu kilku minut dostaliśmy zielone światło i wystartowaliśmy w kierunku Hondurasu.

Po drodze pułkownik zażyczył sobie, bym mówił do niego Osvaldo, i podzielił się ze mną swoimi obawami. Dziwnie było słuchać, jak wysoki rangą oficer wyraża się krytycznie o Amerykanach, zwłaszcza że leciał do strategicznego centrum zjednoczonego dowództwa. Skorzystałem z jego rozgoryczenia, by pomówić o zadaniach, które nam zlecono. Z moich komentarzy wynikało, że też jestem niezadowolony.

– Wykonujemy brudną robotę, synu. Zlecają nam realizację tego

wszystkiego, czego sobie życzą, a czego nie mają odwagi zrobić sami.

– Nie chcę być wścibski, Osvaldo, ale do jakiej jednostki został pan przydzielony?

– Jestem doradcą Batalionu Wywiadu trzy-szesnaście. Mamy za zadanie zdobywać wszelkie możliwe informacje na temat partyzantów. Ta jednostka, choć oficjalnie nie istnieje, odpowiada również dodatkowo za wspieranie batalionu sił specjalnych i kobr.

– Skoro już pan tu jest i stwierdził pan właśnie, że nas wykorzystują, chciałbym usłyszeć, do czego jesteśmy im potrzebni.

– Kilka kilometrów od miasta Mocerón zatrzymali trzech partyzantów, zwiadowców oddziału powstańczego sandinistów. Ich wtargnięcie na ten obszar dowodzi, że Hawana i Managua mają zamiar paktować w sprawie wspólnej strategii z partyzantką w Hondurasie.

– Jak to możliwe, że zaszli tak daleko i nikt tego nie zauważył?

– Niczego nie wiemy na pewno. Polecono mi to wyjaśnić. Mamy wolną rękę, musimy za wszelką cenę zdobyć informacje.

– Co jest teraz najważniejsze?

– Sprawdzenie i potwierdzenie wszystkiego. Mamy protokół przesłuchania. Przesłuchiwałeś kiedyś kogoś?

– Nie, i gdybym miał przed sobą kogoś z tych sandinistów, prawdę mówiąc, nie wiedziałbym nawet, o co go pytać.

Pułkownik Ribeiro uśmiechnął się i nie patrząc na mnie, rozkazał swojemu towarzyszowi przez interkom:

– Raúl, opisz naszemu pilotowi, co nas interesuje, gdy przesłuchujemy partyzantów.

Ochroniarz zaczął recytować monotonnym, pozbawionym emocji głosem:

– Nazwisko, pseudonim, ranga i miejsce pochodzenia każdego członka oddziału, a także ewentualnych dezertarów. Dokładna liczba partyzantów i wszelkie informacje o ich działaniach. Dane demograficzne. Morale ludzi. Miejsce pobytu partyzantów, którzy nadal są w szeregach. Typ szkolenia, które przeszli. Ilość broni, sprzętu, zaopatrzenia i żywności, jaką dysponują. Usytuowanie i zawartość składów broni. Inwentarz skonfiskowanego sprzętu,

dokumentów, nagrań i broni.

Po chwili milczenia pułkownik mu podziękował. Tomasino, który dotąd się nie odzywał, ale nie lubił owijać w bawełnę, zadał pytanie:

– Czy którykolwiek więzień potrafi wytrzymać przesłuchanie i nic nie powiedzieć?

– Żaden. Każdy ma granice wytrzymałości.

Choć temat był nieprzyjemny i nie w moim guście, intrygowało mnie, jakich metod używają podczas przesłuchań. Niektóre mogłem sobie wyobrazić, ale skoro miałem obok siebie specjalistę w tej dziedzinie, który w dodatku najwyraźniej lubił swoją pracę, nadarzała się wyjątkowa okazja, by poznać prawdę, dlatego spytałem:

– Gdzie najlepiej prowadzić przesłuchanie?

Spojrzał na mnie drwiąco. Przeczuwałem, że usłyszę coś odkrywczego. Rozluźnił mięśnie twarzy i uśmiechnął się dziwnie.

– Siedzisz w najodpowiedniejszym do tego miejscu.

– Nie rozumiem.

– Najlepiej zadawać pytania w samolocie. Bierzesz dwóch partyzantów na pokład samolotu albo helikoptera. Wybierasz mniej ważnego, umieszczasz go obok otwartych drzwi na wysokości tysiąca metrów i zadajesz mu pytanie, wiedząc z góry, że nie potrafi na nie odpowiedzieć. Wówczas bez skrępułów go wyrzucasz. Jak sądzisz, jakie zrobi to wrażenie na drugim partyzancie? To metoda zwana „nawarstwianiem lęków”. Drugi partyzant z pewnością odpowie na wszystkie twoje pytania. Powie ci, co wie, bo oprócz tego, że nie ma wyboru, nie jest pod presją obecności towarzysza. Może mówić bez świadków. Jednym słowem, łatwiej mu się wypowiedzieć.

Tomasino, który słuchał uważnie tych wyjaśnień, spytał nieco prowokująco:

– Czy to nie jest pogwałcenie Konwencji Genewskiej?

– Konwencja Genewska broni praw więźniów wojennych. My, choć wielu osobom wydaje się to okrutne, bronimy praw i życia tysięcy ludzi. Informacje, które uzyskujemy, pomagają ocalić szczególnie wojskowych, którzy ośmielają się nas krytykować. Jest w tym sporo hipokryzji. Wysocy dowódcy domagają się informacji od służb wywiadu, a potem umywają ręce.

Twarda odpowiedź pułkownika ujawniała wyraźnie jego przekonania.

– A kiedy uzyskacie informacje, co dalej? Nie sądzę, żeby wypuszczał pan na wolność człowieka, który widział, jak wyrzuca pan kogoś z samolotu – rzekł Tomasino.

Pułkownik spojrzął przez okienko, udając, że zachwyca się krajobrazem, po czym spytał:

– Wiedziałaś, że na wybrzeżach Ameryki Środkowej na kilometr kwadratowy przypada więcej rekinów niż na australijskiej Wielkiej Rafie?

Usłyszawszy to, zarówno Tomasino, jak i ja zachowaliśmy milczenie. Nie było już o czym mówić, wszystko zostało powiedziane. Pułkownik wyjął z teczki jakieś dokumenty i ku mojemu zadowoleniu pogrążył się w lekturze.



Gdy wylądowaliśmy, pułkownik Ribeiro poprosił, byśmy zostali tej nocy w bazie, bo zamierzał wrócić następnego dnia do Ilopango. Prośba była uprzejma, ale wyrażona wojskowym tonem, który nie pozwalał na odmowę.

– Obiecuję, że nie będziecie się nudzili, i może to być bardzo pouczające.

Nie widziałem wyrazu twarzy Tomasina, który siedział za mną, ale byłem pewny, że perspektywa spędzenia nocy w towarzystwie tych dwóch ludzi nie bardzo go nęciła. Mnie również.

Kiedy zatrzymałem samolot i wyłączyłem silniki, pojawił się landrover w kolorze ciemnej oliwki i wysiadło z niego dwóch żołnierzy, którzy stanęli obok maszyny. Tomasino nie przeoczył tego dziwnego powitania. To nie-normalne, by na terenie bazy pełnej żołnierzy trzeba było zapewnić dodatkową ochronę argentyńskiemu pułkownikowi, chyba że potencjalni wrogowie nie znajdowali się na zewnątrz, lecz w samej bazie. Gdy wysiedliśmy, czekał na nas argentyński oficer, który zaszalutował pułkownikowi. Przedstawiono nam go później – nazywał się Alfredo Mingolla. Był tam również cywil, który przywitał się z nami wszystkimi serdecznym uściskiem dłoni.

– Dzień dobry, jestem Lenny, witajcie.

Lenny Sánchez Reisse. Słyszałem o nim od pilota, który pracował z nim

w Gwatemali. Był łącznikiem między CIA i armią argentyńską, zajmował się księgowością i logistyką. Traktował nas bardzo uprzejmie, jakby był dyrektorem pięciogwiazdkowego hotelu i właśnie wyszedł powitać dostojnych gości. Zauważywszy, że przyglądam się ze zdumieniem, ilu jest wokół żołnierzy, uprzedził moje pytanie i rzekł:

– Wiem, że to robi wrażenie. Jakby odbywał się tu kongres. Wszyscy zostali zaproszeni.

– Chińczyk się zjawił? – chciał wiedzieć pułkownik.

– O świcie. Przesłuchiwał zatrzymanych. Wiemy już prawie wszystko.

Słyszac te słowa, poczułem, jak przechodzi mnie dreszcz.



Pułkownik i jego ekipa, rozkazawszy, by udzielono nam pomocy przy tankowaniu paliwa, poszli do baraku. Tomasino powiedział przez zaciśnięte zęby:

– Co my tu, cholera, robimy? Niech to szlag! Zaraz może wybuchnąć trzecia wojna światowa, a my, zamiast szybko stąd zmykać, przechadzamy się z psychopatą i Spockiem. Co on sugerował tam w górze? Żeby rzucać więźniów na żer rekinom?

– Czy nie skarżyłeś się, palancie, że nudzisz się w Ilopango? Zobacz, kto idzie.

Zbliżał się do nas szybkim krokiem Jack „Chudzielec”, jeden z ludzi odpowiedzialnych w Ilopango za zaopatrywanie Contras. Miał inny punkt widzenia na tę operację, co powodowało utarczki z Oliverem Northem. Zobaczywszy mnie, spytał:

– Remy, co tu robisz?

– Cześć, Jack. O to samo mógłbym spytać ciebie. Właśnie przyleciałem, więc się nie wściekaj. Twój ludzie mnie poprosili, żebym przywiózł Ribeira. Widziałem, że się z nim nie przywitałeś. Sprawy muszą się bardzo źle układać, skoro dowódcy nawet sobie nie salutują.

– Przyjechałem tu po zaopatrzenie – odparł Jack z powagą. – A co do salutowania temu typowi, on nie jest wojskowym. Żołnierz musi mieć przede wszystkim trochę honoru i godności. On i jego ludzie to rzeźnicy, którzy

przynoszą nam hańbę. Hieny. Trzymają tylko ze sobą, nikt ich nie szanuje. Miej się na baczności, są podstępni. Kiedy wracasz?

- Najszybciej, jak będę mógł. Ribeiro chce, żebym na niego zaczekał.
- Nic dziwnego. Wszystkich się boi. Uważaj na siebie i trzymaj się od nich z daleka.
- Dzięki za radę, Jack, będę pamiętał.



W zaimprovizowanej sali konferencyjnej nie brakowało już nikogo. Atmosfera była napięta. Generał Álvarez Martínez kurtuazyjnie oddał głos majorowi Leonelowi Luque Portillovi, dowodzącemu z ramienia honduraskich Sił Specjalnych operacją o kryptonimie „Patuca”. Obok niego aspirujący do stopnia pułkownika Alexander Hernández i tłumacz wyspecjalizowany w technicznym wojskowym języku dzielili stół z dowódcami 5, batalionu piechoty, 9, wojsk inżynieryjnych i sto piętnastej brygady, a także z komendantami i oficerami z amerykańskich jednostek 101 Dywizji Powietrzno-Desantowej, z Fort Campbell, z oddziałów Rangers, z Fort Lewis oraz z lotniskowców USS Ranger i USS Coral Sea. Byli również obecni porucznik Blank z wywiadu, Kelvi i Jack Teller. Major Leonel przedstawił sytuację:

– Panowie, jak wszyscy wiemy, schwytano kilku osobników należących do grupy zwiadowczej oddziału partyzanckiego, który zdołał wtargnąć na nasz teren i przekroczyć rzekę Coco. Zamierzają wzniecić powstanie przeciw rządowi Hondurasu. Nie wiemy na razie, gdzie się znajdują. Podczas przesłuchań ustalono, że oddział składa się ze stu piętnastu ludzi, łącznie z oficerami, doradcami i technikami. W tym momencie nie wykluczamy możliwości, że w innych miejscach weszło na teren kraju więcej takich grup. Zostali wyszkoleni na Kubie i dowodzi nimi doktor José María Reyes Matta, używający pseudonimu Komendant Pablo. Dowódcą jednego z plutonów jest komendant Zapata. Prawdopodobnie w tej chwili kierują się na północ. Drugi pluton, nazywany Frontem Wschodnim, zmierza w kierunku departamentu Olancho, a trzeci, określane mianem Frontu Centralnego i dowodzony przez komendanta Fidela, maszeruje do Mocerón. Manewry sił kontrrewolucyjnych, które ochrzciliśmy kryptonimem „Operacja Patuca”, będą miały na

celu stawienie czoła temu zagrożeniu. Zanim przedstawię panom opracowany przez nas strategiczny plan, oddaję głos oficerowi wywiadu, aby zapoznał nas z ogólną sytuacją.

Jeden z mężczyzn, ubrany po cywilnemu i dotychczas nierzucający się w oczy, wstał, podszedł do ekranu, na którym wyświetlano mapy, i z wielką powagą zaczął mówić.

– Witam panów. Omówię pokrótce sytuację. Przed dwoma miesiącami otrzymaliśmy potwierdzenie informacji, że sandiniści czekają na myśliwce MIG dwadzieścia jeden. Piloci są szkoleni na Kubie i wkrótce mają przybyć. Dowiedzieliśmy się również, że modernizują systemy radarów i konstruują nowe, przy zastosowaniu nowej technologii, w Toro Blanco i Esteli. Kiedy zaczną je wykorzystywać, będą mogli wykryć każdy samolot przelatujący w tej przestrzeni powietrznej.

Zakreślił na mapie okrąg obejmujący obszar Hondurasu, Salwadoru i części Kostaryki. Milczał przez chwilę. Najwyraźniej chciał, by wszyscy zrozumieli wagę jego słów. Usatysfakcjonowany reakcją słuchaczy, kontynuował:

– Wiecie panowie, jakie stanowi to zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju i naszych interesów. Sandiniści są bez wątpienia zaniepokojeni, zwłaszcza po inwazji na Granadę, i dlatego zaczęli tworzyć pierwszy system wczesnego wykrywania i przechwytywania GCI * w Masayi, a także system kontroli powietrznej obszaru Atlantyku w Bluff. To oczywiste, że zamierzają stworzyć ośrodek działań na naszym terytorium. Z powodu wielkich szkód, jakie wyrządzamy ich infrastrukturze, z pewnością głównym celem partyzantów będą cywilne i wojskowe lotniska, z których startują nasze samoloty. Mamy powody przypuszczać, że ich plutony będą korzystać ze szlaków w dziewiczej gęstej dżungli. Major Portillo przedstawi zaraz szczegóły operacji. Zanim skończę, chcę zakomunikować, abyście podjęli panowie stosowne kroki, że wśród partyzantów jest dwóch ludzi, którzy, gdyby zostali zatrzymani, ze względów bezpieczeństwa muszą trafić do nas na przesłuchanie. Krótko mówiąc, potrzebujemy ich żywych. Jeden z nich to David Arturo Báez Cruz, Nikaraguańczyk z amerykańskim obywatelstwem, który towarzyszy jak cień Komendantowi Pablowi. Był dowódcą jednostki Boinas Verdes kwaterującej

w Fort Gulick w Panamie. Dwa lata temu poprosił oficjalnie o zwolnienie, wstąpił do Ludowej Armii Sandinistów, gdzie najpierw szkolił oddziały specjalne Pedra Altamirana, a potem został oficerem wywiadu i członkiem złożonego z pięciu ludzi szwadronu widma, który działa na przygranicznej ziemi niczyjej. Drugi człowiek, nie mniej ważny, to komendant Mario, a właściwie James Francis Carney, znany również jako ojciec Guadalupe. Jest moralnym przywódcą grupy. Został wygnany z kraju za działalność wywrotową. Był osobistym przyjacielem monsignora Oscara Arnulfa Romera. Jak powiedziałem, należy złapać tych ludzi żywych.

* GCI – Ground Control Intercept.

Następnie zabrał głos amerykański doradca wojskowy. Doskonale mówił po hiszpańsku i nie musiał owijać w bawełnę, by wyjaśnić proponowaną strategię.

– Panowie, nie dajcie się zwieść. Historia udowadnia, że rebelia, której nie zdusi się w zarodku, rozplenia się jak chwasty. Kubańscy partyzanci, którzy wtargnęli do naszego kraju, nie zrobili tego przez pomyłkę ani z desperacji: realizują przemyślany wojskowy plan. Mogę panów zapewnić, że jeśli ich teraz nie powstrzymamy, wkrótce będziemy tu mieli drugi Wietnam.

Przerwał i wydał polecenie, by zgaszono światła i zaczęto wyświetlać mapy. Mówił, wskazując miejsca na ekranie.

– Naszym głównym zadaniem będzie przecięcie im drogi, by nie dotarli do celu. Piąty Batalion Piechoty obsadzi dolny odcinek rzeki Patuca. Należy uniemożliwić im ucieczkę w rejon Mosquitii.

Przerwał mu pułkownik armii argentyńskiej:

– To trudno dostępny teren. Nie byłoby lepiej posłać tam *misquitos*? W końcu znają ten obszar lepiej niż ktokolwiek inny.

W sali natychmiast wzrosło napięcie. Wszyscy wiedzieli o rywalizacji między CIA i Argentyńczykami. Stany Zjednoczone zaczynały słono płacić za swoje skłonności do popierania Wielkiej Brytanii w konflikcie o Falklandy i dostarczanie Brytyjczykom zdjęć satelitarnych. Nie było już oficjalnej współpracy. Dochodziło do częstych sprzeczek co do sposobów postępowania. Amerykanie domagali się zdecydowanych, szybkich działań, podczas

gdy Argentyńczycy woleli podejmować tajne operacje, aby wyeliminować wszystkich wywrotowców. Ingerencja pułkownika była bezczelna i niegrzeczna. Amerykański oficer zachował jednak spokój i odparł:

– Nie ma problemu. Oddziały Piątego Batalionu zostaną przewiezione helikopterami sto pierwszej Dywizji z Fort Campbell na północny wschód i podzielią się na jednostki wzdłuż rzeki. Jest tutaj oficer łącznikowy tej dywizji, który może panom potwierdzić, że są w stanie przetransportować nawet cztery tysiące żołnierzy sto pięćdziesiąt kilometrów za linie wroga. Los Pumas, jednostka do zwalczania sił reakcyjnych, zostanie przerzucona w rejon Wampusirpe, natomiast Szesnasty Batalion, z jego oddziałem TESON, wyspecjalizowanym w operacjach w dżungli i w warunkach nocnych, umieścimy na południowym wschodzie. Będą miały dwojakie zadanie: przeciąć partyzantom dopływ zaopatrzenia i zablokować ewentualny odwrót. Obszary Rus-Rus, Lemus, Auasbila, Auka i Shi zostaną obstawione przez Pumas, przy wsparciu Rangersów. Będą mieli bazę w Durzampie. Jednostka amfibii zajmie port Lempira. Dzięki temu planowi będziemy kontrolowali całe terytorium i otoczmy każdy wrogi oddział, który się tam pojawi. Nie zdołają uciec. Czy są jakieś pytania?

Gdy skończył przemowę, argentyńscy wojskowi znów wyrazili swoje wątpliwości. Tym razem mówił pułkownik O'Higgins:

– Wybaczą panowie, ale uważam, że powinniśmy być realistami. Strefę, w której znajdują się przypuszczalnie bandyci, bardzo trudno jest kontrolować. Na brzegach rzek nie ma plaż, przeprawiają się przez nie nocami i po wyjściu z wody w ciągu niecałych pięciu sekund mogą ukryć się w dżungli. Proszę wychylić głowę z baraku i zobaczyć, jak leje. Do wiadomości tych, którzy są nowi w tym teatrze działań, powiem, że deszcz pada tutaj niemal codziennie z równą intensywnością. Nasze samoloty rozpoznawcze trzysta trzydzieści siedem, wykonujące fotografie lotnicze, mogą przy takiej pogodzie przelatywać bezpośrednio nad partyzantami i nie wykryć ich obecności. Nawet na zdjęciach satelitarnych, które tak pomogły Anglikom podczas wojny o Falklandy, nie da się odróżnić partyzanta od krokodyla w wodzie albo od tapira w dżungli. Jedyne sposoby, by uniemożliwić im przejście, to poznać szlaki, którymi się poruszają, i miejsca, gdzie się one krzyżują.

Powinniśmy przerzucić tam Batalion trzy-szesnaście i pozwolić, by zajęli się tym, do czego zostali wyszkoleni: zdobywaniem informacji. Jeśli sądzicie, panowie, że nasze oddziały natrafiana partyzantów przypadkiem, idąc przez dżunglę, świadczy to o naiwności inspirowanej filmami z Hollywood.

Argentyński pułkownik mówił powoli, co sprawiało, że krytyka amerykańskiego planu brzmiała jeszcze bardziej obelżywie. Tłumacz, zanim przystąpił do pracy, ściągnął brwi. Amerykańscy oficerowie, którzy nie rozumieli, co powiedział Argentyńczyk, wyczuli napięcie w jego głosie i czekali niecierpliwie na tłumaczenie. Tłumacz, doradca wojskowy, wyraźnie wzburzony, stracił panowanie nad sobą i odparował:

– Nietrudno mi zrozumieć, pułkowniku, że nasz plan operacyjny wydaje się panu naiwny, ale chyba lepiej, że czerpie inspirację z Hollywood, a nie z *Nocy i mgły* Hitlera. Nie powinien pan mylić naiwności z niewinnością. Proszę nie zapominać, pułkowniku, że w starożytnym Rzymie nazywano niewinnym człowieka, który rodził się wolny i nie tracił tego przywileju.

Generał Álvarez zauważył, że dyskusja zmierza w niebezpiecznym kierunku, i widząc, iż kolejny doradca należący do grupy oficerów wywiadu podnosi rękę, by poprosić o głos, wtrącił, wskazując na niego palcem:

– Wysłuchajmy wszystkich.

– Wybaczcie, panowie... – odezwał się nieznajomy, czekając, aż wszyscy skupiana nim uwagę. – Myślę, że istnieje pewniejszy sposób, byśmy zapewnili sobie kontrolę nad przełęczami w górach i potencjalnymi miejscami przepraw przez rzeki... Moim zdaniem powinniśmy zastosować bomby kasetowe i napalm.



W sztabie armii w Tegucigalpie panował gorączkowy ruch. W gabinecie generała Álvareza wyczuwało się napięcie. Siedząc za wielkim mahoniowym biurkiem, ze zdjęciami prezydenta Suaza Córdovy i byłego prezydenta, Policarpa Paz Garcí, oraz flagą Hondurasu i sztandarem armii za plecami, generał nie podniósł nawet wzroku znad raportów, które miał przed sobą, ani nie odpowiedział na pozdrowienie majora Portilla. Spytał go tylko:

– Jak przebiega operacja, majorze?

Niecierpliwy ton generała nie pozostawiał wątpliwości, że oczekuje rezultatów. Od miesiąca nie poczyniono żadnych postępów. Major wiedział, że ważą się losy jego kariery. Nigdy nie awansuje, jeśli operacja nie zakończy się powodzeniem, dlatego starał się zachować optymizm:

– Wprowadziliśmy do akcji wszystkie nasze siły, panie generale. Piąty Batalion Piechoty przeczesuje obszar stu pięćdziesięciu kilometrów, a Los Pumas robią to samo od strony Mocerón. Żołnierze oddziału Tesón zaminali strategiczne przeprawy na rzekach Coco i Patuca oraz niektórych ich dopływach. Wrogowie są okrążeni. Złapanie ich jest tylko kwestią czasu.

– Majorze, właśnie czasu nam brakuje. Od miesiąca całe nasze wojsko znajduje się w stanie najwyższej gotowości. Czy mam rozumieć, że ani pan, ani pańscy żołnierze nie macie bladego pojęcia, gdzie, do cholery, są ci ludzie?

– Proszę wybaczyć, generale, ale próbujemy ogarnąć ponad pięćdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych dziewiczej dżungli...

– Widzi pan, majorze? – przerwał mu generał. – Teraz jest pan bardziej szczerzy. Nareszcie wiem, co naprawdę chce mi pan powiedzieć: że choć ma pan pięć batalionów, trzy jednostki specjalne, wsparcie trzech tysięcy żołnierzy amerykańskich oraz najskuteczniejszej na świecie brygady powietrzno-desantowej, ta grupa partyzantów mogłaby w każdej chwili otoczyć naszą komendanturę, rozbić obóz w górach otaczających stolicę albo zająć kretki w Puerto Lempira przed zaatakowaniem nas. I nie zdawalibyśmy sobie z tego sprawy, dopóki nie wsadziliby nam w tyłek bomby, która wybuchnie i zbryzga głównym ścianą.

– Z całym szacunkiem, panie generale, można by uzyskać szybsze wyniki, jeśli wyrazi pan zgodę na wykorzystanie wszelkich środków, jakie nam oferują.

– Proszę to wyjaśnić.

– Doradcy amerykańscy zaproponowali, by zrzucić bomby kasetonowe CBU-dwadzieścia sześć na konkretne pozycje nad brzegami niektórych rzek. Z powietrza można by również w ciągu paru godzin zaminować kilkaset kilometrów szlaków przy użyciu ładunków CBU-dwadzieścia osiem.

– Czemu tego nie zrobiono? – spytał opryskliwie generał, zdziwiony, że

nie zastosowano wszelkich dostępnych środków.

– Sprzeciwił się temu pułkownik Marquez. Uważa, że zrzucanie bomb kasetowych wywołuje niepożądane efekty. Twierdzi, że wiele z nich, prawie trzydzieści procent, nie wybucha i leżą tam, gdzie spadły, wskutek czego rejon ten jest od dziesięcioleci bezużyteczny. Poza tym powodują wiele ofiar wśród ludzi, którzy poruszają się po tym obszarze.

– Chwileczkę – powiedział generał, podnosząc słuchawkę telefonu i prosząc, by połączono go z pułkownikiem Márquezem.

Położył słuchawkę na stole i wcisnął guzik, aby było słycać rozmowę. Po kilku sekundach rozległ się ochryply głos pułkownika.

Generał spytał go bez wstępów, dlaczego nie zastosowano strategii amerykańskich doradców i nie zrzucono bomb CBU.

– Panie generale, problem ze zrzucaniem setek tysięcy tych min na naszym własnym terytorium polega na tym, że gdy zakończy się konflikt, koszt ich usunięcia będzie ogromny, nie wspominając o liczbie cywilów, którzy zginą, wchodząc na nie. Jak pan wie, te miny są żółte, co przyciąga dzieci.

– Pułkowniku, dzieci chodzą do szkoły, grają w baseball albo w piłkę, a nie spacerują po dżungli pełnej moskitów, bawiąc się w partyzantów i żołnierzy. Demokracja ma swoją cenę. – Zamilkł na kilka sekund, po czym dokończył: – Proszę wydać rozkaz, by natychmiast zrzucono miny.

Pułkownik zdał sobie sprawę, że przegrał potyczkę i ośmielił się spytać:

– Podpisze pan ten rozkaz?

Generał, przed którym stał major, starał się mówić spokojnie:

– Gdy tylko położy go pan na moim biurku. – Odłożył słuchawkę i nie mogąc się pohamować, mruknął: – Przeklęty sukinyś. Okazuje się, że mamy pułkownika humanistę.

Major, który czuł się odpowiedzialny za tę awanturę, nie wiedział, co powiedzieć, ale generał jeszcze z nim nie skończył:

– Majorze, dostał pan już wszystko, o co mnie pan prosił. Chcę powiedzieć, zanim pan stąd wyjdzie, że to, co pan tu widzi – wskazał kilka teczek – to raporty Batalionu Wywiadu trzy-szesnaście, zawierające nazwiska wszystkich członków tego oddziału. Poniżej jest jeszcze raport, który dostałem od doradców z ambasady amerykańskiej. Jestem pewny, że je pan czytał,

gdyż osobiście poleciłem kilka dni temu, by przekazano panu kopie. Batalion trzy-szesnaście zobowiązał się zdobyć dla nas te informacje i wykonał zadanie, ambasador obiecał nam pomoc i dotrzymał słowa. Pańską misją, majorze, jest wykorzystać to wszystko, aby zatrzymać tych ludzi. Niech pan wykorzysta wszelkie niezbędne zasoby i personel, żeby zlokalizować i wyeliminować ten oddział partyzancki. Wykonać. Czy wyrażam się jasno?

– Jak najbardziej, señor...



Marco, jeden z młodych cywilnych lotników należących do organizacji wspierającej potajemnie Contras, stał z wyciągniętą ręką w drzwiach swojego helikoptera, nie chcąc dopuścić, by załadowano mu na pokład pociski do ciężkich karabinów maszynowych, które miał zainstalowane we wnętrzu maszyny, bo niecałą dobę wcześniej jeden z karabinów zaciął się w krytycznym momencie:

– Nie będę używał tego szajsu! – protestował. – Nie chcę go w moim helikopterze!

– Ale mamy tylko to – tłumaczył oficer.

– Nie wkurwiał mnie! Pofatygowaleś się sprawdzić płaszcze tych pocisków?

– W porządku, przyznaję, że niektóre mogły ulec uszkodzeniu z powodu wilgotności powietrza, ale z pewnością tylko kilka.

– Wilgotności? – prychnął Marco. – Te pociski są z lat sześćdziesiątych, z początków wojny w Wietnamie. Cholera! Nie do wiary, że nadal istnieje amunicja produkowana do walki z Wietkongiem, ale jeszcze trudniej uwierzyć, że chcą, byśmy ładowali to gówno do naszych karabinów maszynowych. Mamy już z nimi dość problemów, żeby jeszcze zwiększać ryzyko, używając starych pocisków. Niech ktoś mi wytłumaczy, jak można w ten sposób wygrać wojnę?

Podeszło do nich kilku pilotów. Marco był moim dobrym kolegą, więc milczałem. Chciałem zobaczyć, jak to się skończy. Oficer, z którym się sprzeczał, widząc, że protest Marca może za chwilę zamienić się w małą rewoltę, mówił teraz bardziej stanowczo.

Spojrząwszy na tych, którzy stali w pobliżu, odparł szorstko:

– Obudź się, Marco. To nie jest konwencjonalna wojna. Mam ci to wyjaśnić? Zrozum: nie jesteśmy tu, żeby wygrywać wojny, lecz żeby wykorzystywać wewnętrzne konflikty wroga i zapewnić sobie kontrolę nad miejscową ludnością. Jesteśmy tu, żeby zagwarantować, że ta pieprzona bananowa republika nadal nią będzie, bo jest to interes o niewyobrażalnych rozmiarach. Codziennie wstaję i wykonuję moją pracę. Nie podoba mi się to, co każą mi robić, ale spełniam swój obowiązek. Powtarzam ci: nie jesteśmy tu, żeby wygrać wojnę, tylko żeby zarabiać pieniądze. Sprzedajemy stare samoloty, zużyte black hawki, skorodowane bomby kasetowe, które nie zawsze wybuchają, ale to jest biznes. Uzbrajamy kontrrewolucjonistów w izraelskie karabiny Galil, M-szesnaście i kałasznikowy pozostałe po innych wojnach. Na tym polega moja praca. A tym masz je zrzucić z nieba tam, gdzie ci każą. Ocknij się, do cholery! Jeśli masz dość, wycofaj się i przekaz robotę komu innemu.

– Rezygnuję. Niech kto inny zabije się przez to gównem.

Gdy jakiś czas potem Marco podszedł do mojego stolika, skorzystałem z okazji, by zadać mu pytanie.

– Marco, co się stało z helikopterem? W czym problem?

– Problem? Już ci mówię. W UH-sześćdziesiąt black hawk zainstalowano eksperymentalnie karabiny maszynowe GAU-dziewiętnaście, żeby je zmodernizować i sprzedawać drożej republikom bananowym. Przeróbki zaprojektowali inżynierowie z General Dynamics, a zatwierdziła je firma Sikorsky Aircraft, która produkuje helikoptery. Ale są gównem warte.

– Dlaczego?

– Tym geniuszom przyszedł do głowy błyskotliwy pomysł, żeby zainstalować dwa różne karabiny, co zakłóca rozkład obciążenia. Z jednej strony jest GAU-siedemnaście-A kalibru siedem i sześćdziesiąt dwa milimetra na prąd stały, a z drugiej GAU-dziewiętnaście kalibru dwanaście i siedem milimetra na prąd zmienny. Dlatego bezpieczniki karabinów często się przepalają. Co to oznacza? Że mamy na pokładzie dwieście dwadzieścia kilo złomu. Wiesz, po co zainstalowano te ślicznotki? Żeby sprzedać więcej amunicji.

Karabiny GAU mogą wystrzelić do czterech tysięcy pocisków na minutę. Kraje, które je zamawiają, muszą kupować miliony tych pocisków. Niektóre mogą kosztować ponad trzy dolary za sztukę. W dodatku zastąpili dystrybutor pomp M-pięćdziesiąt sześć nowym, eksperymentalnym, o nazwie Wulkan. Miną pewnie lata, zanim zostanie udoskonolony, a tymczasem wypróbowują go tutaj. A my jesteśmy królikami doświadczalnymi. Najgorsze jest to, że chociaż wiedzą, jakie poważne problemy ze stabilnością helikoptera powodują te karabiny, sprzedali trzydzieści cztery GAU-dziewiętnaście rządowi Hondurasu. Pieprzony biznes!



Po spotkaniu z żołnierzem Contras Javier wysunął się przed grupę, aż dotarł na skraj mokradeł. Patrząc przez teleskopowy celownik karabinu, penetrował powoli teren, od zarośli, w których się ukrywał, po drugi kraniec bagien. Nad spienionym bajorem i łodygami pnączy widać było wyraźnie chmurę moskitów. W odległości dwudziestu metrów zobaczył pień drzewa. Rozważał przez chwilę, czy tam nie podejść. Znajdowałby się kilka minut na otwartej przestrzeni, ale warto spróbować. Gdy zamierzał opuścić plastikową osłonę, która chroni celownik, dostrzegł oczy – wydawało się, że patrzą wprost na niego. Poczul się nieswojo. Oczy osadzone w owalnej twarzy, pokrytej zielonymi plamami, przyglądały mu się wyzywająco, jakby ten człowiek chciał mu dać do zrozumienia, że widzi go równie wyraźnie. Javier przetarł prawe oko wierzchem dłoni i znów spojrzął w celownik, ale na próżno: tajemniczy człowiek rozplynał się w powietrzu.

Javier starał się ocenić sytuację. Na środku mokradeł unosiły się na wodzie szałas. Wyglądały jak grzyby. Z jednego z nich unosiła się smużka dymu, jedyna widoczna oznaka życia. Javier nie potrafił zrozumieć, jak ci ludzie mogą żyć w takim miejscu, wśród milionów moskitów, taplając się w stęchłej wodzie. Prymitywne szałas były połączone wąskimi groblami z pni. Spojrzął na mapę i obliczył odległość do rzeki: około dwustu metrów. Grupa musiała tam dotrzeć i przeprowić się na drugi brzeg. Wróciwszy, przedstawił sytuację komendantowi, który dogonił już zwiadowców.

– Między nami i rzeką są rozległe mokradła. Da się przez nie przebrnąć, ale będziemy wtedy na otwartej przestrzeni. Możemy je okrążyć, na co stracimy

godzinę, albo przejść w poprzek i zabezpieczyć teren przed nadejściem reszty oddziału.

– Są jakieś wieści od porucznik Any?

– Nie. Jeszcze nie zeszli z góry.

– Musimy się rozdzielić. Nie możemy zostać wszyscy w jednym miejscu. Zawiadom komendanta Fidela, żeby czekał na Anę, a komendant Adolfo niech ulokuje swoich ludzi na zachód od mokradeł. My, jeśli okrążymy szalaśy od wschodu, zdołamy pójść naprzód.



Indiańskie dziecko bawiło się kijem, chcąc sprawić, by ogromna iguana otworzyła pysk, a pod jego stopami maszerowała niewzruszenie kolumna mrówek. Kilka kroków dalej matka chłopca, z jego małym braciszkiem na plecach, przygotowywała chłodzący napój z wody i pokruszonych suszonych migdałów. Była szczęśliwa, bo jej mąż znalazł porzuconą łódź. Nie mieli żadnej i wydawało im się to błogosławieństwem. Mężczyzna skończył wylewać z niej wodę i krzyknął zadowolony:

– *Mahka balbia wis!*

Krzyk spłoszył małpę, która przeskoczyła z jednej gałęzi na drugą na pobliskim drzewie.

José Ricardo, idący na czele grupy Komendanta Pabla w stronę rzeki, usłyszał niezrozumiały okrzyk, spojrzał w miejsce, z którego dochodził, i się zdziwił. W niewielkiej odległości zobaczył łódź z Indianinem. Pomyślał natychmiast, że posłuży im do przeprawy przez rzekę. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Dokładnie w tej samej chwili jego rozmyślania przerwał odległy, ale dający się nieomylnie rozpoznać łoskot helikoptera.



Porucznik Ana Guadalupe była silna, zręczna, znała się na łączności i doskonale strzelała. Dołączyła do grupy w ostatniej chwili. Przybyła z polecenia komendanta Adolfa, który natychmiast przyjął ją do oddziału. Szwadrony Śmierci zamordowały w Salwadorze jej ostatniego towarzysza. Od wczesnej młodości należała do Partii Komunistycznej. Tam poznała i pomagała

Salvadorowi Cayetanowi Carpiowi, znanemu jako komendant Marcial. Brała udział w strajkach, ulicznych manifestacjach oraz w zajmowaniu kościołów i ambasad podczas zamieszek, które poprzedziły niespokojne lata w kraju. Warunki, jakie wtedy zaistniały, sprzyjały zjednoczeniu organizacji demokratycznych i rewolucyjnych (ERP, RN, PRT i PC) we Front Wyzwolenia Narodowego Farabundo Martí. Ale jedność trwała krótko. Zacięta walka ideologiczna powodowała ostre starcia między różnymi opcjami.

Teraz, pięć miesięcy po śmierci Marciała, nie potrafiąc zdradzić swoich ideałów, wspinała się z Freddyem po górskim zboczach w poszukiwaniu lepszego zasięgu dla radia, aby skontaktować się z bazą, przekazać informacje i otrzymać instrukcje. By łatwiej im było się wspinać, większość sprzętu zostawili u podnóża góry. Wspinaczka była powolna i trudna, ale w końcu dotarli na szczyt. Widzieli stamtąd wierzchołki innych gór, a także mokradła przy rzece, skąd wyruszyli, i gdzie znajdowali się ich towarzysze. W ciągu kilku minut zainstalowali sprzęt. Jednak, choć powtarzali hasło wywoławcze na dwóch wyznaczonych częstotliwościach, w odpowiedzi słyszeli tylko trzaski. Ana Guadalupe nie była przesądna, ale cisza w eterze wydała jej się złą wróżbą.

Freddy podał jej manierkę i gdy czekali na odpowiedź na radiowy komunikat, spytał:

– Wierysz, że ta walka doprowadzi nas do zwycięstwa?

– Nie wiem, czy zwyciężymy, ale mogę cię zapewnić, że jeśli zginę, umrę usatysfakcjonowana, ponieważ walczyłam uczciwie i zdecydowanie. Wszystko inne... wszystko inne to tylko retoryka.

– Ja nie boję się walki – wyznał Freddy. – Ale wyznam ci, że boję się zdrady kogoś, kto wykorzysta nasze spory. Myślę, że to jest nasza pięta Achillesa.

Ana Guadalupe wpatrywała się w radio. Miała nadzieję, że się odezwie.

– Spory to normalna rzecz, Freddy. Ważne, żeby umieć odróżnić te, które są naturalne w każdej organizacji, od tych, które dotyczą poglądów. Te ostatnie stanowią zagrożenie, bo wywołują reakcję z powodu ataków przeciwko dyscyplinie w rewolucyjnej organizacji i jej przywódcom. Próbuja podważyć

ich autorytet i zaufanie szeregowych bojowników. Nie wiem, czy to nas doprowadzi do zwycięstwa, ale to jedyny sposób, jaki znam, by przeciwstawić się reakcji i imperializmowi.

Freddy, nie kryjąc podziwu dla niej, powiedział:

- Powinnaś dowodzić ludźmi zamiast walczyć. Podniosłaś moje morale.
- Chodźmy z radiem w inne miejsce, może coś złapiemy.

Właśnie w tym momencie usłyszeli z daleka warkot helikopterów. Błyskawicznie wymienili spojrzenia. Ana pobiegła wyłączyć radio, a Freddy ściągnął z drzewa antenę. W niecałą minutę zdemontowali i ukryli sprzęt pod gałęziami paproci, po czym schowali się w zaroślach. Spodziewali się, że maszyny nadlecą od strony wschodniego zbocza. Hałas był ogłuszający. Sekundę później pojawił się przed ich oczami, w odległości niecałych stu metrów, helikopter Black Hawk. Niedaleko za nim zobaczyli drugą maszynę. Widzieli wyraźnie hełm strzelca pokładowego siedzącego za karabinem maszynowym. Sądzieli, że ich zauważono. Ana Guadalupe wywnioskowała, że to ich szukają, postanowiła więc oddalić się od reszty oddziału, który był bardzo blisko. Podeszła do Freddy'ego i krzyknęła:

– Weź radio! Ja zabiorę akumulator. Zejdziemy południowym zboczem. Musimy odciągnąć ich od grupy. Szybko!

Ana Guadalupe nauczyła się podczas szkolenia w wojsku, że nigdy nie opuszcza się pozycji na wzniesieniu terenu. Musiała jednak zapobiec temu, by jej towarzysze zostali dostrzeżeni, zanim zdążą przejść przez rzekę.

Z akumulatorem i radiem na plecach ześlizgnęli się po zboczu z drugiej strony, przekonani, że helikoptery polecą za nimi. Tak się jednak nie stało. Pozostały w tym samym miejscu, jakby czekały na coś ważniejszego. Ana Guadalupe nie mogła wiedzieć, że jej szlachetny gest na nic się zdał, gdyż honduraska armia znała już pozycję jej grupy i wszystkie szczegóły dotyczące ich trasy przemarszu.



Pilot honduraskich sił powietrznych obserwował z kabiny swej rozpoznawczej cessny gęstą dżunglę, nad którą przelatywał. Koncentrował się na brzegach rzek, wypatrując jakiegokolwiek ruchu. W pewnym momencie

dostrzegł wśród drzew umundurowaną postać, która po chwili zniknęła w zaroślach. Mógł to być żołnierz 16 Batalionu Piechoty, ale mając wątpliwości, skorzystał najpierw z laserowego systemu oznaczania i poszukiwania celów. Potem poprosił centrum operacyjne o weryfikację.

– Trujillo Jeden, tu Dodger Jeden. Proszę o potwierdzenie, czy ludzie w mundurach w kwadrancie dwa-dwa-trzy to wrogowie czy przyjaciele. Wykryłem ruch w strefie przy rzece i mam w polu widzenia łódź. Odbiór.

Po kilku sekundach z centrum operacyjnego odpowiedziano:

– Dodger Jeden, nie mamy nikogo na tej pozycji. Strefa na zachód od rzeki jest zaminowana.

– Trujillo Jeden, jakieś instrukcje?

– Dodger Jeden, czekaj i podawaj pozycję. Siły wsparcia powietrznego są w drodze.

Po dziewięciu minutach pojawiły się na horyzoncie helikoptery Black Hawk.

– Dodger Jeden, tu Dodger Trzy, podaj parametry celu i wznieś się na trzy tysiące metrów.

– Dodger Trzy, przekazuję współrzędne: trzy-dwa-jeden.

W ciągu kilku sekund dokładne współrzędne celu zostały przekazane do systemu uzbrojenia helikopterów Black Hawk, które zawisły niemal nieruchomo w powietrzu. Porucznik nie słyszał rozmowy pilotów. Zdziwił go ten bezruch, dopóki nie dostrzegł w oddali myśliwca, który nadleciał z północy i skręciwszy, skierował się wprost na cel. Helikoptery wzbiły się nieco wyżej, osłaniając flanki. Myśliwiec zniżył lot i zrzucił dwie bomby kasetowe...



Przez moment wydawało się, że czas stanął w miejscu... Ale tylko przez moment... Bomby kasetowe eksplodowały w powietrzu kilka metrów nad ziemią, wyrzucając z ogromną prędkością we wszystkich kierunkach setki tysięcy odłamków metalu i niszcząc wszystko, co żywe. Nad całym obszarem unosił się zapach krwi i błota. Szałasy zostały zniszczone. Komendant Pablo i ojciec Mario, będąc daleko od tego miejsca, usłyszeli samolot i zobaczyli ogromną gęstą chmurę ziemi, gałęzi i pary unoszącą się nad brzegiem rzeki. Wszystko drżało. Porucznik Ana Guadalupe i Freddy również słyszeli

eksplozje, gdy schodzili do podnóża zbocza. Javier leżał ogłuszony na ziemi, czując ostry ból żołądka i coś ciepłego i wilgotnego na brzuchu. Pomyślał przerażony, że to mogą być jego wnętrzności. Przez kilka sekund trwał z zamkniętymi oczami, po czym uniósł głowę, żeby na siebie spojrzeć. Krzyknął, gdy zobaczył na swoim brzuchu zakrwawioną głowę w zielone plamy, z otwartymi oczami. Czując mdłości, zepchnął ją na ziemię i spróbował wstać...

José Ricardo, Indianie i jedna trzecia grupy rewolucjonistów, którzy szli w stronę rzeki wokół mokradel, zginęli, nie wiedząc, co się stało. Estebana fala uderzeniowa wyrzuciła w powietrze, wprost na pień drzewa. Leżał nieprzytomny obok szczątków iguany.

W odległości około dwudziestu metrów Javier widział kilku swoich towarzyszy, którzy uciekali znad rzeki. Helikoptery ostrzeliwały teraz teren ogniem karabinów maszynowych, by dokończyć zadanie. Odgłos ich strzałów pozwolił Javierowi wrócić do rzeczywistości. Wiedząc, co się dzieje, sięgnął po karabin, który leżał w odległości kilku kroków od niego. Nie mógł dostrzec strzelca pokładowego, który dokonywał rzezi, ale widział wyraźnie kabinę najbliższego helikoptera. Wycelował precyzyjnie w pilota i nacisnął spust. Zdołał oddać dwa strzały, zanim rozerwała go seria pocisków.



Porucznik Ana Guadalupe i Freddy zdali sobie sprawę, że helikoptery ich nie ścigają. Słyszając odgłosy wystrzałów z drugiej strony góry, zrozumieli, że zaatakowano oddział. Zaczęli okrążać szczyt, aby przyjść z pomocą swoim towarzyszom. Kanonada się nasilała. Freddy biegł za Aną. Próbując utrzymać szybkie tempo, natknęli się na Justa Martíneza, jednego z ludzi z oddziału, który zrelacjonował im, co wiedział:

– Zrzucili bomby kasetowe, a teraz sieje spustoszenie eskadra UH-śześćdziesiąt. Któremuś z naszych udało się zestrzelić helikopter. Widziałem, jak spadał.

- Widziałeś komendanta Adolfa? – spytała Ana.
- Idzie z grupą komendanta Pabla.

Kolejne eksplozje i odgłosy śmigieł mlójących powietrze potwierdziły konieczność wycofania się do punktu zbornego, przewidzianego na wypadek takich sytuacji.

- Musimy się przegrupować.
- Nie możemy opuścić tych, którzy walczą – zaprotestowała Ana.
- Słysząc tylko strzały wroga. Wierz mi, żaden z naszych nie ocalał.
- Freddy, a co ty sądzisz?
- Myślę, że musimy trzymać się ustalonego planu i iść na miejsce zbiórki.



W ciągu niecałej godziny na ziemi znalazło się dwustu spadochroniarzy wspieranych przez Rangersów, a cztery godziny później przeczesywał teren kontyngent w liczbie ponad tysiąca ludzi.

Freddy przeczuwał, że nie ujdzie z życiem i nie mylił się.

Operacja „Wielka Sosna II” (Ahuas Taras II) i operacja „Patuca” spełniły swoje zadanie. W niecałe czterdzieści osiem godzin od pierwszej potyczki osiemdziesiąt procent członków oddziału, którzy przeżyli pierwszy atak, i większość ludzi z pozostałych plutonów osaczono w punkcie zbiórki. Zostali schwytani i rozstrzelani na miejscu. Kiedy niemal wszyscy żołnierze się wycofali, ocalał tylko jeden człowiek i włóczył się bez celu po dżungli.



Esteban, brnąc po szyję w wodzie z karabinem w jednej ręce i taśmą pocisków w drugiej, próbował przepłynąć się przez niewielką rzekę. Prąd nie był silny, ale woda uderzała w jego ciężki plecak i tracił równowagę. Z ogromnym wysiłkiem dotarł na drugi brzeg, ukrył się w gąszczu i usiadł na chwilę, by odetchnąć. Był sam, bez kompasu i radia. Zrozumiał, że jest zgubiony. Przemoknięty, mamrotał przekleństwa i modlił się o cud. Miał przed oczami to, co wydarzyło się w ostatnich godzinach. Widział z daleka, jak strzelano do jego towarzyszy, a innych wsadzano do helikopterów. Patrzył z bezsilną rozpaczą, jak wepchnięto do jednego z nich ojca Carneya.

To, że udało mu się uciec w górę rzeki, było cudem. Pomyślawszy o tym,

poszperał w kieszeni i wyjął mały nieprzemakalny portfel z fotografią swojej matki. Wpatrywał się w nią przez chwilę, jakby chciał, by dodała mu sił. Nie wiedział, dlaczego to robi. Może instynktownie przypominamy sobie o naszych matkach, gdy mamy problemy. Odwrócił fotografię i zobaczył obrazek z wizerunkiem swojego patrona. Matka wybrała mu go i włożyła do portfela po długim namyśle. Chciała, by jej synowi towarzyszył jakiś święty. Wybór nie był łatwy. Stała przed ołtarzykiem w kuchni, aby zdecydować, który najlepiej będzie strzegł jej syna, bo wiedziała, że nie wszyscy święci są tacy sami. Nie było tajemnicą, że jej syn jest wrogiem armii, wykluczyła więc natychmiast świętego Jerzego, patrona żołnierzy, związanego z juntą wojskową. Wzgardziła też świętym Eliaszem, opiekunem ludzi gór, ponieważ podejrzewała, że sprzyja kontrrewolucjonistom.

Kiedy zobaczyła w rogu na wpół ukrytego za świętym Juda Tadeuszem świętego Fanuria, opiekuna zaginionych ludzi i zgubionych rzeczy, od razu wiedziała, że on będzie najodpowiedniejszym towarzyszem dla jej syna. Do niego zamierzała kierować modlitwy i jemu palić świece. Zanim owinęła obrazek razem z fotografią w plastik, przyjrzała mu się jeszcze raz. Święty nie wyglądał jakoś niezwykle, ale miał miłe oblicze. Ucałowawszy nabożnie jego wizerunek, poprosiła go z żarliwością, na jaką stać tylko matkę: „Pozwól mu do mnie wrócić, święty Fanurio. Wskaż mu drogę do domu...”.

Esteban patrzył na mokry obrazek i modlił się w duchu: „Pomóż mi znaleźć drogę”. Wiedział, że prosi o cud. Wpadł w zasadzkę.

Pierwsza bomba kasetowa o mało go nie zabiła. Odłamki zmiotły wszystko w promieniu ponad stu metrów. Potem, gdy nastąpiły wtórne wybuchy, zdał sobie sprawę, że brzeg rzeki jest zaminowany.

Były to niewielkie miny, które aktywowały się po zrzuceniu na ziemię i eksplodowały, gdy ktoś na nie nadepnął. Helikopter za jednym przelotem mógł ich zrzucić ponad sześćset. Zaminowali brzegi rzek. Wiele min pozostało ukrytych w błocie i zaroślach.

Marsz w nocy był niebezpieczny, prawie niemożliwy. Estebana dręczyło, że musi czekać ponad trzysta godzin, aby zobaczyć światło dnia. Nocą

bzyczenie owadów, skrzeczenie ptaków i skowyt małp stawały się głośniejsze i czuwanie zamieniało się w koszmar. Próbował zasnąć, ale uniemożliwiały to piski małp na gałęziach, a także gorąco i moskity, które bez przerwy go atakowały. Pragnął, by ogarnęło go takie zmęczenie, by zapadł w błogosławiony sen.

Wreszcie między gałęziami drzew zobaczył światło. Słońce przesłaniała poranna mgła. Był szczęśliwy, bo moskity zaczęły znikać. Musiał znaleźć odpowiednie miejsce, aby przepłynąć przez rzekę. Gdyby szedł tym samym brzegiem, natknąłby się w końcu na minę i wyleciał w powietrze. Z powodu deszczu podniósł się poziom wody, dlatego Esteban skoncentrował się na szukaniu pnia, na którym mógłby przepłynąć na drugą stronę. Oceniał, że nurt rzeki może go znieść kilkaset metrów z powrotem i zobaczą go żołnierze, ale nie miał innego wyjścia, musiał zaryzykować. Znalazł odpowiedni pień niedaleko brzegu. Był idealny, bo miał jeszcze gałęzie, za którymi mógł w razie potrzeby ukryć głowę. Zawiesił na szyi karabin i buty. Musiał mieć swobodne stopy, aby odpychać się nogami od wody. Zmówił modlitwę i skoczył do rzeki. W pewnym momencie zaczął żałować, że nie wybrał mniejszego pnia, którym łatwiej kierować. Prąd znosił go w dół rzeki i miał szansę dotrzeć na drugi brzeg tylko na jakimś zakręcie. Modlił się w duchu, by trafił na właściwą stronę. Wydawało mu się, że minęła cała wieczność, gdy nurt rzeki wypchnął go delikatnie w pobliże brzegu. Zaczął machać energicznie nogami, by do niego dopłynąć. Ten wysiłek zupełnie go wyczerpał. Zamknął oczy, a gdy je otworzył, zobaczył Indian, którzy przyglądali mu się z ciekawością. Może z powodu jego przerażonej twarzy, jego wycieńczenia albo zrozpaczonego spojrzenia zlitowali się nad nim. Pomogli mu, udzielili schronienia, a dwie noce później wsadzili go do łodzi, którą dopłynął do odległej przystani. Udało mu się uciec. Miał teraz tylko jeden cel: opowiedzieć o tym, co się stało.

45.

Zorientowałem się, że dzieje się coś bardzo poważnego, gdy wleciałem w przestrzeń powietrzną Hondurasu i usłyszałem stanowczy głos kontrolera lotów na częstotliwości lotniska Palmerola, który żądał, bym podał mu kierunek, wysokość, prędkość i lotnisko docelowe. Gdy odpowiedziałem, że kieruję się do bazy powietrznej Ilopango w Salwadorze, poprosił o mój kod i kazał mi wprowadzić do transpondera samolotu liczby, dzięki którym będzie mógł mnie zidentyfikować na ekranie radaru. Gdy wykonałem jego polecenia, w eterze zaległa długa cisza. Było oczywiste, że potwierdzał mój kod, i przyszła mi w tym momencie na myśl Lupita Vega. Pracowała w Ilopango z Izerem, zajmując o wiele wyższe i ważniejsze stanowisko w bazie i poza nią. Amerykanie przyznali jej status najwyższego poziomu bezpieczeństwa i to ona ustalała kody łączności dla lotów spółki „Enterprise” Olivera Northa. Pod maską osoby spokojnej i wykształconej kryła się kobieta o silnym charakterze, oddana pracy i, zdaniem Izera, zakochana platonicznie w Norcie.

Na szczęście kody, które mi przydzieliła, były aktualne i pozwolono mi kontynuować lot.

Drugiego września 1983 roku o siedemnastej dwadzieścia pięć wylądowałem w Ilopango. Gdy znalazłem się na pasie, zauważyłem wokół mnóstwo różnych samolotów i krzątanie wojskowego personelu. Zatrzymawszy samolot, zobaczyłem w pobliżu piątego hangaru komendanta amerykańskiego oddziału bazy, Jacka Terrella, Gary'ego Betznera i pilota Jorge Moralesa.

Postanowiłem porozmawiać z Barrym później. Musiałem dowiedzieć się najpierw, co się dzieje. Po wykonaniu rutynowych czynności wyłączyłem silniki i poszedłem do niewielkiego biura, gdzie zwykle zlecałem tankowanie. Ku mojemu zdziwieniu nikogo tam nie było. Usłyszałem głosy w sąsiednim pomieszczeniu i telewizor. Podniosłem ruchomą część kontuaru, która służyła jako wejście, i ostrożnie zajrzałem do środka. Przy telewizorze zgromadzili się trzej salwadorscy wojskowi i dwaj cywilni pracownicy. Spiker podawał szczegóły wiadomości. Gdy jeden z mężczyzn się odwrócił, spytałem go, co się dzieje. Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Jeszcze nie słyszałeś, Remy? Rosyjski myśliwiec zestrzelił boeinga siedem-cztery-siedem południowokoreańskich linii KAL, gdy przelatywał w przestrzeni powietrznej nad Sachalinem. Zginęli wszyscy pasażerowie i załoga, w sumie dwieście sześćdziesiąt dziewięć osób. Wszyscy o tym mówią.

– Dopiero wylądowałem i przyszedłem podpisać zlecenie na paliwo – usprawiedliwiłem się.

– Drużki są na ladzie. Wypełnij jeden i podpisz. Samolot będzie gotowy za godzinę, ale nie sadzę, byś mógł odlecieć. Zatrzymują wszystkich.

– Dzięki. Przygotuj go na wszelki wypadek.

– *No problem.*

Wyszedłem pozornie spokojny, jak reporter, który uodpornił się na najbardziej nawet tragiczne doniesienia. Było jednak inaczej. Udałem się do kafejki w poszukiwaniu Barry'ego, z którym miałem się spotkać tego popołudnia. Pomyślałem, że jeśli to, co mi powiedziano, jest prawdą, świat zapomnieta bez wątpienia rok 1983 jako feralny.

Rozglądałem się za Izerem i zobaczyłem, że siedzi z Martínem i Tomasiem. Ujrzawszy mnie, zaczął dawać mi znaki, żebym podeszedł do ich stolika. Przywitawszy się z nimi, zapytałem:

– Co się dzieje, Izer? Na płycie jest mnóstwo dziwnych samolotów. Wygląda to jak wojskowy salon lotniczy. Dowiedziałem się właśnie o siedem-cztery-siedem. Jak wygląda sytuacja?

– Cześć, Remy. Zrobiło się gorąco. Nie mogło być gorzej. Nadchodzą sprzeczne informacje. Departament Stanu wydał komunikat, że samolot

zboczył z kursu i zmuszono go do lądowania na półwyspie Kamczatka, ale pasażerom i załodze nic się nie stało. Teraz mówią, że zestrzelił go rosyjski myśliwiec.

– Żaden boeing siedem-cztery-siedem nie zbacza z kursu. To niemożliwe. Nie dopuszcza do tego inercyjny system nawigacji. Wszystko jest zaprogramowane w komputerze pokładowym.

– Możliwe czy nie, jest faktem, że siły powietrzne i morskie są w stanie najwyższej gotowości. My także.

Tomasino, który nie przepuścił okazji, by mieć inne zdanie, spojrzął na mnie i powiedział z przekonaniem:

– Stary, nas to nie dotyczy.

– Jasne, że dotyczy. Ale czy nie tego chciałeś? Poznawać świat, zwiedzać niesamowite miejsca i brać udział w walce? Na co narzekasz? Teraz spotkał cię ten zaszczyt i będziesz miał co opowiadać wnukom.

– Mylisz się, nie wybieram się na żadną wojnę. Możemy opuścić tę bazę, kiedy tylko zechcemy, a wiesz dlaczego? Z bardzo prostego powodu: ponieważ nie istniejemy. Pilotujemy samoloty, których nie ma. Dlatego ten pieprzony rozkaz nas nie dotyczy.

– Bardzo inteligentnie, Tom. Zanim rozwiążesz swoje problemy egzystencjalne, mógłbyś mi powiedzieć, czy widziałeś Barry'ego?

– Usiądź i napij się czegoś. Zaraz się zjawi, powiedział, że idzie zjeść pupusas.

– Pupusas?

– Owszem, choć trudno w to uwierzyć. Twój subtelny przyjaciel czekał na ciebie przez jakiś czas, ale stwierdził, że jest głodny, i poszedł zjeść tacos przy bramie lotniska. Sprzedaje je tam starsza kobieta. Są dwie opcje: albo Barry zmienił gastronomiczne upodobania, albo sprzedawczyni jest jedną z jego agentek. Na pewno informuje go, kto wchodzi do bazy i kto wychodzi. Znasz go przecież. Ale zapomnij na chwilę o Barrym. Chcę pomówić z tobą o czymś ważnym.

– Przerażasz mnie, Tom. Nigdy nie rozmawiasz o ważnych sprawach.

– Mówię poważnie. Krążą pogłoski, że ludzie z Batalionu Wywiadu trzy-szesnaście przewożą jeńców do tajnych więzień.

- Tajnych więzień? Gdzie?
- Podobno jest ich kilka w Hondurasie i tu, w Salwadorze. Wygląda na to, że przewożą tam zatrzymanych po przesłuchaniach.
- Jak się o tym dowiedziałeś?
- Spotkałem dziś rano Malcovicha. Wiedział, że lecieliśmy do El Aguacate z tym pułkownikiem oprawcą. Poradził mi, żebym trzymał się z daleka od Argentyńczyków. Krążą o nich paskudne pogłoski. Powiedział mi o tajnych więzieniach i wspomniął, że są jeszcze gorsze rzeczy. Jak myślisz, co się dzieje?
- Nie mam pojęcia, ale znasz powiedzenie: „W każdej plotce...”.
- To nie koniec. Zagadnąłem sierżanta Véleza z logistyki, tego, który zawsze wszystko wie. Spojrzał na mnie tak, jakbym pytał go o diabła. Wiesz, co mi powiedział? „Te sukinsyny to barbarzyńcy i jeśli ich stąd nie wyrzucą, pewnego dnia wszyscy za to zapłacimy”.
- Nie wyjaśnił, co miał na myśli?
- Nie chciał powiedzieć nic więcej. Sprawa wynikła w trakcie rozmowy z kimś z ekipy Pegasa. Mówię ci to, żebyś miał oczy szeroko otwarte. Byłoby dobrze dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi.
- Popytam i dam ci znać, gdy będę coś wiedział. Uważaj na siebie, *ciao* – rzuciłem, ruszając w kierunku bramy, do której zbliżał się Barry. Dawał mi znaki, żebym do niego podszedł.
- Chciał, żebyśmy się przeszli. Zaniepokojony nowinami, spytałem go:
 - Co stało się z tym jumbo, Barry?
 - Nie wiem. To nie powinno się nigdy zdarzyć. Koszmarna historia.
- Z wyrazu jego twarzy wywnioskowałem, że wie więcej. Powiedziałem, co myślę:
 - Barry, pilotuję od ponad roku istniejące samoloty, realizuję specjalne operacje powietrzne, które przyprawiłyby o ciarki każdego, kto by się o nich dowiedział. To prawda, że zarabiamy dużo pieniędzy, ale chciałbym się wreszcie dowiedzieć, co się właściwie dzieje. Przeczuję, że ty to wiesz. Jesteś najbardziej doświadczonym pilotem siedem-cztery-siedem, jakiego znam, i latałeś na tej trasie wiele razy. Obaj dobrze wiemy, że ten samolot nie mógł przypadkiem zboczyć z kursu o setki kilometrów. Kapitan musiałby zdawać sobie z tego sprawę.

Barry zamyślił się, a potem powiedział ze złością:

– Od miesiący krążyły pogłoski, że ruscy budują w Krasnojarsku nową sieć radarów. W lipcu nadeszło potwierdzenie, że radary działają. Gdyby okazało się, że tak jest, byłby to sporny punkt w rozmowach na temat ograniczenia broni strategicznej. Oznaczałoby to, że Rosjanie pogwałcili traktat SALT-jeden.

– Dlaczego zainstalowanie tych radarów tak bardzo niepokoi Waszyngton?

– Są powody. Jeśli mają wykrywać interkontynentalne pociski balistyczne, stanowią pogwałcenie traktatu, który wyraźnie zakazuje ich budowy, ale gdyby nawet było inaczej, mogą naruszać porozumienia, jeżeli da się udowodnić, że to radary wczesnego wykrywania. Problem polega na tym, że nie wiadomo na pewno, do czego służą. Musiano sprawdzić, czy działają i czy stanowią zagrożenie.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś wpadł na pomysł, żeby jumbo zboczył z kursu w radzieckiej przestrzeni powietrznej i wypróbował ich system radarów?

– Teoretycznie to był doskonały plan. Musieli znaleźć samolot nadający się do przeprowadzenia takiej próby. Przede wszystkim należało wywołać elektroniczne interferencje, które uniemożliwiłyby nadbrzeżnym radarom dokładne namierzenie naruszającego przestrzeń samolotu. Chcąc go zidentyfikować, Rosjanie nie mieli innego wyjścia, jak wykorzystać radary w głębi lądu, odporne na blokadę elektroniczną. Gdy kolejne radary napotykały te same trudności z wytropieniem go, musieli wydać rozkazy, by do poszukiwań włączył się cały system obrony. Być może z powodu indolencji rosyjskiej biurokracji intruz zdążył dolecieć tymczasem nad Kameczatkę i nad obiekty o strategicznym znaczeniu, takie jak bazy lotnicze i bazy okrętów podwodnych. W tym momencie Rosjanie z pewnością dostawali szał, widząc, jak samolot wślizguje się w głąb ich terytorium, i uruchomili wszystkie stacje radarów. Także te w Krasnojarsku.

– Ale wcześniej czy później musieli ten samolot wykryć, i co wtedy?

– Właśnie dlatego najlepsza była maszyna linii cywilnych. Gdyby przechwycili i zmusili do lądowania samolot wojskowy, cała operacja zakończyłaby

się niepowodzeniem. Gdyby pilot nie zastosował się do poleceń i został zestrzelony, skandal byłby jeszcze większy. Dlatego postanowiono wysłać samolot pasażerski. To było idealne rozwiązanie. Uznano za oczywiste, że jeśli zostanie przechwycony przez Rosjan, nikomu nie przyjdzie do głowy, by go zestrzelić. Jeżeli zmuszą go do lądowania, pasażerom nic się nie stanie. Przeszukają samolot i pozwolą im lecieć dalej, jak zrobili to już w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku z inną maszyną KAL, która znalazła się nad Murmańskiem. Pilot powiedziała by po prostu, że zmylił kurs.

- Zadaję sobie pytanie, czy kapitan wiedział, że go wykorzystują.
- Nie tylko wiedział, ale pomagał przeprogramować komputer siedem-cztery-siedem. Był ekspertem od przebiegającego przez ten obszar szlaku „Romeo-dwadzieścia”. Sam zachęcał do przeprowadzenia tej operacji.
- Może to głupie pytanie, ale co zawiodło?
- Nie przewidzieli reakcji Rosjan. Nikt nie sądził, że będą zdolni zestrzelić samolot pasażerski.
- Znałeś kapitana tego boeinga?
- Komendant Chun. Chyba najbardziej doświadczony i szanowany pilot Korean Airlines. Dobry człowiek.



Przypomniałem sobie to, co słyszałem podczas spotkania w bazie El Aguacate w Hondurasie, i mruknąłem:

- Nic dziwnego, że byli tak zaniepokojeni...
- Kto? Czym?
- Dokładnie miesiąc temu słyszałem rozmowę na temat tych nowych radarów. Było to podczas zwołanego w trybie pilnym zebrania w bazie El Aguacate. Chłopcy z Departamentu Obrony poprosili mnie, żebym poleciał tam z argentyńskim pułkownikiem. Musiał wziąć udział w briefingu. Byli tam wszyscy.
- To znaczy kto?
- Generał Álvarez z całym honduraskim sztabem generalnym, stratedzy i doradcy wojskowi z Waszyngtonu oraz oficerowie łącznikowi z lotniskowców „Coral Sea” i „Ranger”. Oficer wywiadu wspominał o budowanych

przez sandinistów nowych radarach wczesnego wykrywania i o możliwych dostawach do Nikaragui samolotów MIG-dwadzieścia jeden. Nie przyszłoby mi do głowy, że istnieje jakikolwiek związek między KAL-zero-zero-siedem a Nikaragwą.

– W polityce wszystko jest ze sobą powiązane.

– Kto wpadł na tak genialny pomysł? CIA, DIA, NSA?

– William Casey przy wsparciu Clarka.

– Jak myślisz, co teraz będzie?

– Nie wiem. Gdy usłyszałem tę wiadomość, w pierwszym odruchu chciałem zadzwonić do Debie i powiedzieć jej: „Bardzo cię Kocham”.

– Jest aż tak źle? – spytałem zaskoczony.

– To, co ci powiem, jest poufne: wszystkie okręty floty atlantyckiej wypłynęły w morze. Flota karaibska, odbywająca rzekomo manewry, przygotowuje się do inwazji na Granadę, a w ciągu kilku godzin zostanie przeprowadzony zmasowany atak z powietrza, ziemi i morza przeciwko sandinistom w porcie Corintos. Zamierzają wykorzystać wszystkie siły, by zadać im potężny cios.

– A my co? Nas też zaangażują?

– Postaram się, żebyśmy pozostali na uboczu, ale będzie to trudne. Ty, cokolwiek będzie się działo, nie opuścisz Ilopango. Choćby nawet prosił cię o to sam Reagan.

– Jak to uzasadnię?

– Powiedz, że jesteś chory, masz rozwolnienie albo boli cię nerka... Mów, co ci przyjdzie do głowy, ale nie startuj bez konsultacji ze mną.

– Barry, jest rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty trzeci, mam trzydzieści trzy lata i znam cię od ponad dziesięciu. Przeżyliśmy razem zbyt dużo, żebyś teraz coś przede mną ukrywał. Chyba mam prawo wiedzieć, co się dzieje. Nie mogę zadbać o siebie ani o ciebie, jeśli nie wiem, co nam grozi. Nie cierpię tych pieprzonych sekretów. Wyjaśnij mi więc, co się dzieje albo co może się zdarzyć.

Barry wziął mnie pod ramię i poprowadził na skraj ogrodów, mówiąc:

– Naprawdę nie wiem. Mogę ci tylko powiedzieć, że William Casey razem z Clarkiem opanowali Biały Dom. Przejęli kontrolę nad wszystkimi

tajnymi operacjami, podczas gdy Reagan przebywa na ranczo w Santa Barbara. Ośmiuset agentów, zwolnionych za rządów Cartera, znów zostało zatrudnionych. Casey to fanatyk operacji specjalnych i to on odpowiada za tragedię KAL-zero-zero-siedem.

– Krążą paskudne pogłoski.

– Wiem. Sandiniści oczekują dostawy samolotów MIG-dwadzieścia jeden. Flota Stanów Zjednoczonych ma w pogotowiu lotniskowce USS „Coral Sea” i USS „Ranger”. Blokują wybrzeża Nikaragui, co spowodowało mobilizację wojska na wielką skalę. Pozwolili ci tu wylądować, ale nie sędzę, żebyś mógł wystartować w najbliższych dniach. Sprawy się komplikują. Trzymaj się od tego z daleka.

– Jeszcze jedno, Barry. Nie jestem zorientowany, jaką rolę odgrywają tu, w Salwadorze i w Hondurasie, Argentyńczycy. Powiedziano mi, że dopuszczają się zbrodni i mają tajne więzienia. Trochę się w tym gubię. Sądziłem, że CIA już ich wyklęła. Jakim cudem wciąż tu są?

– CIA zerwała z nimi kontrakt, ale nadal działają. Zostali w Hondurasie, bo generał Álvarez Martínez jest z nimi wszystkimi zaprzyjaźniony. Odbywał studia wojskowe w Argentynie. Dlatego, chociaż nie są już oficjalnie w nic zaangażowani, z pewnością tu pozostaną, dopóki on jest u władzy. Wystarczy?

– Chyba tak...

– Uważaj na siebie.

– Będę się starał...

46.

Nie wiedząc o tym, że w jego życiu zajdzie tego ranka wielka zmiana, Izer wysiadł z samochodu i skierował się do wieży kontroli lotów w bazie powietrznej Ilopango w Salwadorze.

W przeciwieństwie do niektórych swoich kolegów, dla których praca na wieży była czasem wyczerpująca, Izer czuł się tam, w otoczeniu samolotów, lepiej niż w domu, dlatego często przychodził przed czasem. Tego dnia wszedł po schodach prowadzących na oszklony taras obserwacyjny i przywitał się z kolegami siedzącymi przed ekranami radarów, w oczekiwaniu na swoją zmianę zajął się obserwowaniem panoramy lotniska. Wydawało mu się, że dostrzegł ptaka lecącego przy końcu pasa. Przyłożył do oczu lornetkę, świadomy zagrożenia, jakie stanowi on dla każdego samolotu. Nie zobaczywszy go, pomyślał, że coś mu się przywidziało. Mimo wszystko skierował lornetkę w stronę hangarów, ponieważ ptaki siadywały czasami na dachach, jakby zastanawiały się, dokąd lecieć.

Nastawiwszy ostrość na hangar numer cztery, zobaczył pilota, który najwyraźniej dokonywał rutynowego przeglądu maszyny przed lotem. Zwróciło jednak jego uwagę to, że z hangaru wyszli dwaj ludzie eskortujący dwóch mężczyzn w kajdankach. Wyczuł, że coś tu nie gra. Jeden z eskortowanych mężczyzn miał opuszczoną głowę, a drugi siedł wyprostowany, dzięki czemu Izer zobaczył wyraźnie jego zmęczoną twarz o anglosaskich rysach, siwą brodę i duże okulary. Ta twarz wydała mu się znajoma. Na próżno próbował

sobie przypomnieć, skąd ją zna. Patrzył zaintrygowany, jak wsadzono mężczyznę do samolotu i zamknięto drzwiczki.

Zapamiętał numer maszyny: N-4503 K. Litera „N” oznaczała, że pochodzi ze Stanów.

Wiedział, że z hangarów czwartego i piątego startowały codziennie maszyny odbywające misje specjalne, ale nie widywało się, by do samolotu wsiadali więźniowie. Salwador ma z północy na południe zaledwie sto czterdzieści dwa kilometry długości, a ze wschodu na zachód dwieście sześćdziesiąt dwa i łądem można dotrzeć w ciągu paru godzin w dowolne miejsce na jego obszarze.

Kilka minut po uruchomieniu silników samolotu usłyszał, jak jego kolega wydaje polecenie, by maszyna kołowała na początek pasa startowego. Chwilę później zezwolił na start i samolot wzbił się w powietrze, lecąc w kierunku Oceanu Spokojnego.

Izer zastąpił kolegę przed ekranem. Skoncentrował się na wskazaniach dotyczących jego sektora i na samolotach, które miał obsługiwać. Natychmiast zlokalizował maszynę Navajo, która właśnie wystartowała na wschód, obserwując równocześnie sygnały transponderów lotu TACA na Kostarykę i SETCO.

Wskazując na ekranie sygnał navajo, spytał:

- Masz pojęcie, dokąd leci Noviembre zero-trzy-Kilo?
- Nie. Nie przedstawił planu lotu. To lot VFR, ale sądząc z kierunku, jaki obrał nad morzem, powiedziałbym, że zmierza do Kostaryki.
- Nie powinien tam lecieć bez planu lotu.
- Ma specjalny identyfikator. Rozumiesz...

W ciągu następnych dwudziestu pięciu minut Izer skupiał się na pracy, nie zapominając jednak o navajo i jego tajemniczych pasażerach. Zakładał, że była to jedna z wielu tajnych operacji, które przeprowadzano w tym czasie i o których zdrowy rozsądek nakazywał zapomnieć. Kraj pogrążony był w chaosie i działo się sporo dziwnych rzeczy.

Nieoczekiwanie na częstotliwości podchodzenia do lądowania odezwał się beznamienny głos pilota:

- Ilopango, tu Navajo Noviembre zero-trzy-Kilo.
- Mów, zero-trzy-Kilo.

– Ilopango, proszę o zezwolenie na zejście na dwa i pół tysiąca stóp i powrót do bazy. Mamy problemy z jednym z silników.

Izer dał koledze znak, że wszystkim się zajmie, i skoncentrował uwagę na wracającym samolocie. W tym momencie przypomniał sobie twarz, która wydawała mu się znajoma.

– Navajo zero-trzy-Kilo, zrozumiałem. Chcecie zgłosić awaryjne lądowanie?

– Nie, Ilopango. Myślę, że dotrzemy bez problemów.

– Navajo zero-trzy-Kilo, kod transpondera tysiiąc dwieście.

Sygnal wysłany przez samolot pojawił się automatycznie na ekranie radaru, potwierdzając jego parametry lotu.

– Navajo zero-trzy-Kilo, mam cię na radarze. Pozostań na tej częstotliwości, zniż pułap i utrzymuj wysokość dwa pięćset. Informuj mnie.

Kiedy samolot zaczął się zniżać, Izer skontaktował się z Freddy, dwudziestotrzylatkiem, który miał dyżur w Centrum Sytuacji Awaryjnych.

– Freddy, wyląduje zaraz awionetka Piper Navajo, która ma podobno problemy z silnikiem. Nie chcieli zgłosić awarii. Chcę, żebyś zwrócił na nich uwagę. Przewożą dwóch więźniów.

– Jak to?

– Nie przesłyszałeś się. Przewożą dwóch więźniów.

– Rozumiem. Będę czujny.



Pracując w Centrum Sytuacji Awaryjnych, Freddy, oprócz kierowania operacjami, miał obowiązek filmować niezwykle zdarzenia. Robiono to, by mieć wizualny zapis, który służył do analiz i w razie potrzeby do wyjaśniania przyczyn wypadków i zapobiegania im. Zawiadomiwszy ekipę ratunkową, Freddy wziął kamerę, wszedł do przydzielonego mu żółtego jeepa i skierował się w rejon końca pasa startowego.

– Ilopango, tu Navajo zero-trzy-Kilo na wysokości dwa pięćset.

– Navajo zero-trzy-Kilo, zezwalam na podejście do lądowania, pas dwudziesty drugi. Wiatr trzy-jeden-zero, dziesięć węzłów. Temperatura dwadzieścia siedem stopni, wysokościomierz jeden-zero-dwa-pięć.

– Zrozumiałem, Ilopango. Dziękuję.

Izer kontynuował monitoring samolotu zbliżającego się do pasa, ale wstał z krzesła, by wyrzucić przez okno, nie bacząc na to, że naciąga kabel słuchawek. Zdołał zobaczyć, jak maszyna ląduje idealnie, co zwiększyło jego ciekawość. Poprosił kolegę, by patrzył na jego ekran, wziął do ręki lornetkę i obserwował, jak awionetka kołuje w okolicy hangaru numer cztery, gdzie wyłączono silniki.

Wysiedli z niej ci sami dwaj mężczyźni, którzy wcześniej eskortowali więźniów, a za nimi pilot. Poznał go po krótko przystrzyżonych włosach. Wszyscy trzej weszli do hangaru, zostawiając otwarte drzwi samolotu.

Izer czekał przez wiele minut, aż załoga wróci na pokład. Drzwi pozostały otwarte, ale więźniowie nie wysiedli. Przypuszczał, że po naprawieniu silnika spróbują znowu wystartować.

Freddy podjechał z powrotem do hangaru Centrum Sytuacji Awaryjnych nieco rozczarowany, gdyż spodziewał się sfilmować lądowanie awionetki Navajo z niesprawnym silnikiem. W tym momencie rozległ się w radiu głos Izera.

– Słucham cię, Izer.

– Wygląda na to, że silnik navajo zaczął działać. Podjedź do nich, proszę, i powiedz im, że ponieważ informowali o usterce, muszą przedstawić plan lotu, jeśli chcą znowu wystartować.

– Jasne, przekażę im to.

Izer obserwował przez lornetkę, jak Freddy podjeżdża jeepem do awionetki, wysiada i wchodzi po schodkach na jej pokład. Po chwili wrócił do samochodu i wziął do ręki mikrofon radionadajnika. Powiedział coś, czego Izer nie spodziewał się usłyszeć:

– Tutaj nie ma nikogo. Samolot jest pusty.

– Co powiedziałeś? Powtórz.

– Mówię, że w samolocie nikogo nie ma. Wszyscy musieli wysiąść. Chcesz, żebym ich poszukał?

Izera ogarnęło przerażenie, ale zdołał zachować zimną krew i krzyknął:

– Nie, natychmiast stamtąd uciekaj!

47.

Wiadomość, którą dostałem od Izera, była jednoznaczna, udałem się więc do centrum operacyjnego, by się z nim zobaczyć. Siedział w „cichym kącie” niedużej sali za szklanym przepierzeniem, która służyła jako miejsce odpoczynku. W jednym z rogów stał stolik z elektrycznym dzbankiem do kawy i niewielką mikrofalówką do podgrzewania potraw. Izer miał poważną twarz i wzrok utkwiony w filiżance kawy. Podeszedłem do niego, poklepałem go po ramieniu i usiadłem.

- Co ci jest, Izer? Źle wyglądasz.
- Zacznijmy od tego, że wypytuje o mnie kilku facetów.
- Kto?
- Pułkownik Ribeiro i jego ludzie. Przylecieli z Hondurasu i od razu zaczęli mnie szukać.
- Opowiedz mi, co się dzieje. Dlaczego cię szukają?
- Kilka dni temu wspomniałem koledze, że widziałem, jak wsadzano do samolotu przed hangarem numer cztery ojca Carneya. Samolot wystartował z nim i jeszcze jednym więźniem na pokładzie i wkrótce wrócił, podobno z powodu problemów z silnikiem. Kiedy wylądował, więźniów już w nim nie było.
- Dokąd ich zabrali?
- W tym problem. Nie zdążyliby dotrzeć w żadne miejsce. Samolot poleciał nad zatokę Fonseca i zaraz wrócił. Nigdzie nie wylądowali. To oczywiste, że wyrzucili więźniów do morza.
- Cholera! Czyj to był samolot?

– Miał amerykańskie numery. Odkryłem, że wcześniej już tu lądował i zostawiano go na noc na lotnisku. Pilotował go chilijski doradca. Przewoził Argentyńczyków. Dowiedziałem się, że gdy przybył tu po raz pierwszy, towarzyszył mu lockheed z armii argentyńskiej.

– Jesteś tego pewny?

– Przeprowadziłem dochodzenie. Za pierwszym razem miał w planie lotu trasę Buenos Aires-Tucumán-Lima-Guayaquil-Panama. Zanim polecieci dalej do Hondurasu, zostawili tutaj ośmiu wojskowych.

– Nie mów, że sporządziłeś raport oskarżający wojskowych z Argentyny o wyrzucenie do morza więźniów!

– Rozpoznałem jednego z nich. To był ojciec Carney.

– Słyszałem, jak mówiono o nim kilka dni temu podczas zebrania w bazie El Aguacate. Nie wiedziałem, że został już zatrzymany. Skąd go znasz?

Izer się rozejrzył, był zdenerwowany i przestraszony. Powiedział mi łamiącym się głosem, co wie:

– Ojciec Carney to Amerykanin, który przyjął obywatelstwo Hondurasu. Był tam postacią publiczną przez ponad dwadzieścia lat, bardzo dobrze znaną w Salwadorze. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku otrzymał święcenia kapłańskie i jezuici przydzielili mu misję w Hondurasie, gdzie miał przydomek „ojciec Guadalupe”. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku junta wojskowa wydała go z kraju, uważając, że jest niebezpieczny z powodu swoich poglądów na temat sprawiedliwości społecznej i działalności wśród chłopów. Pozbawiono go obywatelstwa i mimo próśb hierarchii kościelnej i zebrania dwudziestu pięciu tysięcy podpisów osób, które domagały się jego powrotu, pozostał na wygnaniu. W tamtym czasie pracował w parafii San Juan de Limay w prowincji Esteli w Nikaragui.

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, skąd go znasz.

– Chwileczkę. Muszę wyjaśnić ci wszystko, bo inaczej nie zrozumiesz. W lipcu ubiegłego roku ojciec Carney odszedł z Towarzystwa Jezusowego i postanowił towarzyszyć jako kapelan grupce partyzantów wspieranych przez Kubę i Rewolucyjną Partię Robotników Ameryki Środkowej. Dowodził nią doktor José María Reyes Matta. Kilka dni temu hondurascy żołnierze,

członkowie Batalionu Wywiadu Wojskowego trzy-szesnaście, osaczyli oddział partyzantów podczas operacji o kryptonimie „Patuca”. Niektórych zastrzelili na miejscu, innych zabrali do bazy El Aguacate na przesłuchanie. Na wyraźny rozkaz ambasadora Negropontego przewieziono Carneya z Hondurasu tutaj, aby przesłuchali go ludzie D'Aubuissona. Gdy to zrobili, jego i jeszcze jednego człowieka wrzucono do morza. Podobno rozkaz wydał sam pułkownik Lau. Udało mi się ustalić nazwisko pilota samolotu, do którego ich wsadzono. To Raúl Enrique Martínez, tajny agent z Argentyny.

– Skąd dowiedziałeś się tak szybko, że złapali ojca Carneya?

– Jeden z partyzantów z tego oddziału, Esteban, zdołał uciec. Kilka dni przedzierał się przez dżunglę, aż dotarł w bezpieczne miejsce i wszystko opowiedział.

– Wybacz, Izer, ale coś przede mną ukrywasz. Skąd masz te informacje?

– Moja siostra była w tym oddziale.

Zaniemówiłem z wrażenia.

– Twoja siostra?

– Sądzimy, że ją zatrzymali i przewieźli do Batalionu trzy-szesnaście razem z ojcem Carneyem. Mam informacje, że stamtąd Argentyńczycy zabrali ją do tajnego więzienia. Szukamy jej.

– Kto?

– Ludzie w Hondurasie, którzy z nami współpracują.

– Z nami? Kogo masz na myśli?

– Front FMLN. Od lat jestem z nimi związany.

– Ty?

Nagle wydało mi się, że mam przed sobą obcego człowieka.

– Mój ojciec należał od lat trzydziestych do Partii Komunistycznej w tym kraju. Był przekonany, że walka to jedyny sposób, by osiągnąć ideały sprawiedliwości społecznej i samostanowienie narodu salwadorskiego. Zamordowano go, gdy protestował przeciw masakrze nad rzeką Sumpul, dokonanej przez pierwszy oddział Gwardii Narodowej. Nie potrafił pozostać bierny wobec represji, korupcji i zabójstw. Partia była jedyną lewicową organizacją, która walczyła o jego ideały.

– Od kiedy należysz do FMLN?

– Praktycznie od czasu, gdy pojawiłeś się na moim radarze.

– I przez wszystkie te lata z nimi współpracowałeś? Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej, Izer? Cholera! Teraz rozumiem wiele spraw... Domyślałem się, że to była ta wielka tajemnica twoich przyjaciół i wszystkich pieniędzy, które przelewali na konto. Ale jaką rolę odgrywała twoja siostra?

– Była bardzo zaprzyjaźniona z monsignore Arnulfem Romerem. Gdy zginął, wstąpiła do Rewolucyjnej Partii Robotników Ameryki Środkowej. Wszyscy rozumieli tam potrzebę zjednoczenia rewolucyjnej lewicy, zwłaszcza po upadku Somozy.

– Co wydarzyło się nad rzeką Sumpul? – spytałem, próbując uporządkować myśli.

– Żołnierze ścigali prawie trzystu cywilów, którzy próbowali uciec do Hondurasu przez wioskę Las Aradas. Zaatakowano ich przy użyciu artylerii i helikopterów. Uciekinierzy rzucili się do rzeki, żeby przekroczyć granicę, ale zostali zabici. Udzielałem wsparcia Frontowi stąd. Przekazuję im informacje na temat ruchu samolotów sił powietrznych. To ja zawiadomiłem o ataku na bazę, dlatego nie było mnie tutaj, kiedy do niego doszło. To nie był szczęśliwy przypadek. Znaczyłem dla nich zbyt dużo i rozkazali mi, bym tego dnia stąd zniknął.

Potrwało chwilę, zanim wszystko do mnie dotarło.

– I co teraz zrobimy? Znamy się ponad dziesięć lat, jesteśmy przyjaciółmi, ale okazuje się, że ukrywaliśmy przed sobą parę drobiazków, nic ważnego. Tylko tyle, że ty należysz do FMLN, frontu rewolucyjnego, a ja pracuję dla ludzi, którzy z nim walczą. Co teraz? Wyciągniemy pistolety i strzelimy do siebie?

– Pomóż mi uwolnić moją siostrę, Remy.

– A co z Argentyńczykami, którzy cię szukają?

– Myślę, że na razie wypytują o mnie tylko z powodu uwag na ich temat, które rzuciłem w rozmowie z kolegą. Nie sądzę, by kojarzyli mnie z siostrą. Gdyby mieli jakieś podejrzenia, już bym został zatrzymany. Muszę działać szybko. Pomożesz mi?

– Jasne. Ale zmienię ci kryptonim. Teraz to ty powinieneś nazywać się Delta...

48.

Potajemne spotkanie odbyło się przy drewnianym stole z zakurzonymi krzesłami, w niewielkim biurze w głębi opuszczonego hangaru. Wentylacja od dawna nie działała, a jedyne światło sączyło się przez usytuowane wysoko okna. Powietrze było stęchłe i ciężkie. Na pudłach wypełnionych papierami leżał pożółkły kalendarz wskazujący styczeń 1980 roku. Prawdopodobnie właśnie wtedy miejsce to przestało być używane jako centrum operacyjne firmy taksówek powietrznych.

Zwołałem pięciu ludzi. Był tam Martín, dwaj zaufani piloci, Tomasino i Marco, oraz dwóch lojalnych przyjaciół z personelu naziemnego: Malcovich, specjalista od broni i materiałów wybuchowych, i sierżant Vêlez, szef logistyki w bazie. Rozmawiałem z każdym z nich osobno, a teraz nadeszła pora, by się zebrać, posłuchać Izera i ocenić możliwości.

– Zaczynaj, Izer, wyjaśnij nam sytuację.

Izer, który stał obok drzwi, zrobił dwa kroki do przodu. W nikłym świetle widać było jego zmęczoną twarz. Włożył rękę do górnej kieszeni koszuli, wyjął z niej zdjęcie i pokazał je nam. Była to fotografia osiemnastoletniej dziewczyny, dość atrakcyjnej. Niewielki pieprzyk koło ust dodawał jej wdzięku.

– To moja siostra. Dwa lata po zrobieniu tego zdjęcia została aresztowana przez honduraski wywiad i oskarżona o działalność wywrotową.

– Co robiła w Hondurasie? – spytał Tomasino.

– Była przyjaciółką siostr Encé de Jesús i Sarai del Carmen Arce Romero, które pracowały w zespole monsignore Romera w Salwadorze. Kiedy został zamordowany z powodu swoich ciągłych wystąpień przeciwko D'Aubuissonowi i jego Szwadronom Śmierci, musiały uciekać z Hondurasu, żeby uniknąć represji. Moja siostra wyjechała z nimi. Zatrzymały się u rodziny Barillas w kolonii Miramontes w Tegucigalpie. Następnego dnia wszystkich aresztowano. Pułkownik Amilcar Zelaya na prośbę władz salwadorskich przez kilka dni przetrzymywał moją siostrę w tajnym więzieniu w Amarataca. Zanim ją wypuszczono, wszyscy pozostali gdzieś zniknęli. Pułkownik Zelaya przekazał ich ludziom D'Aubuissona, członkom G-dwa, i pułkownikowi Ricardowi Lauowi z Legionu Piętnastego Września, którzy przylecieli po nich do Hondurasu. Potem przepadli jak kamień w wodę.

– A jak to się stało, że teraz ją zatrzymano? – spytał Vêlez.

– Kilka miesięcy po tym wszystkim wstąpiła do Ludowych Sił Rewolucyjnych Lorenza Zelayi, grupy, która powstała przed trzema laty i która jest teraz powiązana z Partią Komunistyczną, FMLN i Rewolucyjną Partią Robotników Ameryki Środkowej. Kilka dni temu złapano oddział partyzancki pochodzący z Nikaragui. Dowodzili nim doktor Reyes Matta, Arturo Báez Cruz, były żołnierz „zielonych беретów”, wyszkolony w Fort Gulick, i ojciec James Francis Carney. Zamierzali dotrzeć do Olancho. Moja siostra była z nimi. Zastrzelili na miejscu przywódców grupy, ale niektórych ludzi, między innymi moją siostrę, przewieźli do Batalionu Wywiadu trzy-szesnaście. Przesłuchano ich i zabrano do tajnego więzienia.

– Skoro zastrzelili przywódców, dlaczego jej także nie zabili?

– Zdaje się, że mieli rozkazy, by pozostawić przy życiu kilkoro ludzi, których zamierzano poddać specjalnemu przesłuchaniu. Wiele osób interesuje się nimi z różnych powodów. Chińczyk Lau chce wydobyć z nich informacje na temat miejsca pobytu pozostałych członków grupy monsignore Romera. Zdaje się, że mają jakieś materiały kompromitujące jego i D'Aubuissona. Ojca Carneya, czyli ojca Guadalupe, chcieli dopaść *gringos*, G-dwa z Hondurasu, Bermúdez i Argentyńczycy. Jego obecność w tej grupie była dla nich hańbą.

– Dużo wiedział? – spytał Malcovich.

– Nie mam pojęcia, ile wiedział, ale nie jest to dobra reklama dla Reagana, gdy ksiądz jezuita, urodzony w Chicago, który przez ponad dziesięć lat głosił słowo Boże i walczył o prawa człowieka w Ameryce Środkowej, przechodzi na stronę rewolucjonistów i wstępuje do oddziału partyzanckiego, wspieranego przez Kubę. Z tego samego powodu zależy im na złapaniu byłego komandosa, Báeza Cruza. Wyobraź sobie, co pisałaby prasa, gdyby wyszło na jaw, iż żołnierz elitarniej jednostki z Fort Gulick w Panamie poprosił o zwolnienie ze służby, aby przejść na stronę partyzantów.

– Cholerny wstyd... – mruknął Tomasino.

– Wybacz, że spytam brutalnie: skąd wiesz, czy jej nie zabili?

– Nie wiem. Dlatego próbuję zlokalizować tajne więzienia Argentyńczyków. Mam powody sądzić, że siostra jest w jednym z nich. Muszę ją stamtąd wyciągnąć.

– A kim jest ten Chińczyk Lau? Słyszałem już o nim – spytał Marco.

– Nazywa się Ricardo Lau. Urodził się w Esteli, w Nikaragui. Mówią o nim Chińczyk, bo ma skośne oczy. Jest synem Benjamina Laua pochodzącego z Chin. Dorobił się stopnia podpułkownika Gwardii Narodowej, szkolił się w Fort Gulick. Chyba tam poznał Báeza i dlatego tak go nienawidzi. Opuścił Nikaraguę po upadku Somozy i z innymi oficerami wyjechał do Gwatemali, gdzie założył Legion Piętnastego Września. Na zlecenie Ernesta D'Aubuissona zamordował monsignora Romera. Wszyscy ci ludzie podlegają teraz argentyńskiej juncie.

– Nie wiem, w jaki sposób możemy pomóc, skoro nie wiadomo, w którym tajnym więzieniu jest twoja siostra – odezwał się Malcovich.

Tomasino, szczerzy jak zawsze, spytał:

– Czy dobrze rozumiem? Mówimy o tym, żeby polecieć do Hondurasu, odszukać tajne więzienie, a jeśli je znajdziemy, przypuścić atak, aby uratować damę, której grozi niebezpieczeństwo? O to chodzi? Podoba mi się, brzmi bardzo romantycznie i ma więcej sensu niż to, co robię teraz.

– Mniej więcej się zgadza – odparłem, posyłając mu karcące spojrzenie za niewybredny komentarz.

– To więzienie może być gdziekolwiek. Musielibyśmy znać dokładnie

jego położenie, aby móc zacząć mówić o tej sprawie – zauważył Marco.

– Spróbuję ustalić, dokąd lecą ich samoloty po wystartowaniu z Palmeroli i z bazy El Aguacate – odrzekł Izer.

Potrzebował wsparcia, więc zasugerowałem:

– Myślę, że wspólnie możemy już ustalić, czym dysponujemy. Malcovich mógłby dostarczyć potrzebną broń, Vêlez – wszelki niezbędny sprzęt, Marco – helikopter, a Martín i ja zajmiemy się samolotami.

– To logistyka. A jaki jest plan? – nalegał Marco.

– Przede wszystkim należy się dowiedzieć, gdzie to więzienie jest, i sprawdzić, czy ją tam trzymają. Potem moglibyśmy tam polecieć i udając, że mamy rozkaz przewiezienia jej w inne miejsce, zażądać, by nam ją wydano. Ostatnia opcja to wdrzeć się do więzienia siłą i ją wydostać.

– Bezpośredni atak? – spytał Martín.

– Batalion trzy-szesnaście ma wielu żołnierzy, ale nie sądzę, by tajne więzienie Argentyńczyków było dobrze strzeżone.

– Jakich użylibyśmy samolotów? – chciał wiedzieć Vêlez.

– Będziemy potrzebowali helikoptera i dwóch innych maszyn. Możemy wykorzystać którąś z naszych albo trzy-trzy-siedem. Oni takimi latają, więc łatwiej będzie ich zmylić.

– Uzbrojenie?

– Tym zająłby się Malcovich. Czym dysponujemy?

– Wszystkim – odparł Malcovich. – Martwię się tylko, że jest nas niewiele. Brakuje jeszcze kilku ludzi, żeby zaatakować, gdyby zaszła potrzeba. Oczywiście pod warunkiem, że uda nam się zlokalizować to miejsce. Mają jedno więzienie czy kilka?

– Nie wiemy tego na pewno, ale mam powody sądzić, że jest tylko jedno.

– Co to za powody?

– Śledziłem kurs maszyny De Havilland DHC-sześć Twin Otter, z której korzystali Argentyńczycy. Zaprzyjaźniony kontroler lotów powiedział mi, że ten samolot latał jedenaście razy do Juticalpy i Puerto Lempira. Zdaje się, że mają w tej strefie jakiś tajny obiekt.

– Wybacz moją ciekawość, ale czy miałeś ostatnio jakieś wiadomości od siostry? – spytał Marco.

– Nie. Dowiedzieliśmy się tylko, że żyje.

– Opowiedz im to, co mówiłeś mnie. Powinni wiedzieć – poprosiłem Izera.

– Kilka dni temu przed hangarem numer cztery stała przez noc awionetka Navajo. Następnego ranka odleciała w kierunku zatoki Fonseca z dwoma więźniami na pokładzie. Wkrótce zawróciła, zgłaszając drobną awarię. Kiedy wylądowała, więźniów w niej nie było. Jedyne wytłumaczenie jest takie, że wrzucono ich do morza.

– Można kogoś wyrzucić z navajo? – spytał Vêlez.

– Oczywiście, że można.

Potem Izer opisał szczegółowo, co zdarzyło się tamtego ranka. Przekonywał, że ani na chwilę nie stracił tego samolotu z oczu.

– A więc nie masz pewności, że twoja siostra żyje. Mogli postąpić z nią tak samo...

– Nie, nie mam pewności, ale muszę spróbować ją znaleźć.

– Jakie mamy opcje? – spytał Vêlez.

Marco, który nie cierpiał Argentyńczyków, zasugerował:

– Mamy samoloty, helikopter, broń i logistykę. Proponuję, żebyśmy porwali jednego z tych sukinsynów i przycisnęli go, żeby nam powiedział, gdzie jest to pieprzone więzienie. Wszyscy wiedzą, że Argentyńczycy wynajęli całe piętro hotelu Maya w Tegucigalpie. Uważają się za władców Hondurasu.

– Wyobraźmy sobie przez chwilę, że udało nam się zlokalizować to miejsce i trafić tam – wtrącił Malcovich. – Co zrobimy, jeśli będzie więcej więźniów?

– Tym się martwisz? – prychnął Marco. – Świat się kończy, Rosjanie zestrzelili samolot pasażerski, ponad dziesięć tysięcy żołnierzy jest gotowych do inwazji na Nikaraguę, CIA udaje, że posprzeczała się z Argentyńczykami, ale nadal ich wykorzystuje. Wszystko schodzi na psy. Zapewniam cię, że nikt nie będzie płakał, jeśli ktoś ukradnie im więźnia albo nawet wszystkich. Co więcej, nie sędzę, żeby Argentyńczycy zrobili z tego aferę. Nie jest im to na rękę.

– Coś jeszcze?

Nadeszła pora, bym podzielił się informacjami, które zebrałem. Nie przekazałem ich dotąd Izerowi.

– Mam informacje na temat ruchu samolotów Argentyńczyków z El Aguacate, Palmeroli i Catacamas. Odlatują często w kierunku lotniska Juan Manuel Gálvez w Roatán, które znajduje się kilkanaście minut od La Ceiby. Do lądowania potrzebna jest identyfikacja, ale wiemy na pewno, że niektóre z tych lotów kończyły się w Utili, Roatán i Guanajá. Co jednak najważniejsze, jednaście samolotów zniknęło gdzieś na trasie z Puerto Lempira do Iriony. Początkowo myślałem, że leciały w kierunku Wysp Łabędzich albo Wielkiego Kajmana, ale potem udało mi się potwierdzić, że lądują gdzieś po drodze.

Vélez przerwał rozgorączkowany:

– Zaczekaj! Chyba już wiem, gdzie jest to więzienie. Kilka miesięcy temu poleciałem do Puerto Lempira po materiały, które musiały dotrzeć do Salwadoru. Szefowi bardzo zależało, żebym je dostarczył. Kiedy tam dotarliśmy, musieliśmy czekać w barze La Perla, wiesz, tym, w którym przesiadują ochroniarze z FUSEP pilnujący magazynów Contrás. Jeden z nich mówił, że Argentyńczycy mają więzienie w pobliżu przylądka Camarón. Gdybyś o tym nie wspomniał, nie skojarzyłybym tego. Ale teraz wszystko jasne. Tam jest tajne więzienie. Ten facet z FUSEP powiedział nawet, że dawniej, zanim przekazano ten obiekt Argentyńczykom, korzystały z niego siły specjalne marynarki z pobliskiej bazy w Puerto Cortez.

– Musimy się dowiedzieć, co się tam znajduje, ilu mają ludzi, jakie są drogi ucieczki i tak dalej.

– Jutro po południu lecę na Wielki Kajman. Zrobię międzylądowanie na lotnisku w Barra de Patuca i zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć – zaproponował Tomasino.

– Malcovich, przygotuj sprzęt, którego możemy potrzebować. Marco, załatw helikopter o dalekim zasięgu i upewnij się, czy ma sprawny karabin GAU. Vélez, postaraj się zdobyć jakieś dodatkowe informacje. Ja spróbuję tymczasem znaleźć jeszcze kogoś, kto zechce nam towarzyszyć.

– Chciałbym też polecieć – powiedział Izer. – Chodzi o moją siostrę. Powinienem brać udział w akcji.

– Zapomnij o tym. Potrzebujemy cię na wieży kontrolnej, żebyś zapewnił nam osłonę, dostarczył kody i informował na bieżąco o sytuacji. Skoncentruj się na tym, żeby skłonić do współpracy któregoś z twoich hondurskich kolegów. Bardzo by nam się to przydało. Są jakieś pytania?

– Jak sądzisz, kiedy polecimy? – spytał Malcovich.

– Gdy tylko otrzymamy potwierdzenie, że to to miejsce. Spotkamy się tutaj jutro o szesnastej. Powodzenia.



– Pani porucznik Harris!

Kobieta, która szła, czytając jakieś dokumenty, odwróciła się, dotarłszy do końca korytarza. Na mój widok uśmiechnęła się, czekając, aż do niej podejść. Kobiety w mundurach mają w sobie coś szczególnego. Zawsze próbujemy wyobrazić sobie kształty, które ukrywają pod uniformem. Lubiemy przeczuwać kobiecy wdzięk pod szorstkim ubraniem. Jednakże w przypadku porucznik Harris nie trzeba było wielkiej wyobraźni. Pasek w talii podkreślał wyraźnie jej sylwetkę, pod kieszonkami koszuli widziałem dorodne piersi, a szerokie ramiona nadawały się idealnie na epolety i oficerskie stopnie. Gdy do niej podeszedłem, natychmiast zostałem skarcony:

– Nie mów do mnie „porucznik Harris”. Nazywam się Haría. To hiszpańskie nazwisko, gdybyś nie wiedział. Pochodzi z Lanzarote, z Wysp Kanaryjskich.

– Dlaczego więc się zatrzymałaś, kiedy cię zawołałem?

– Bo rozpoznałam twój głos. Tylko ty tak głupio mnie nazywasz. Czego chcesz? Bo na pewno masz jakiś interes.

– Oprócz twojego uroczego towarzystwa, którego wielokrotnie mi odmawiałaś, potrzebuję informacji.

– Jakich?

– Na temat Argentyńczyków. Chcę wiedzieć, czy mają w Hondurasie tajną bazę. Może się znajdować między Patuca a Irioną.

– A skąd ja mam to wiedzieć? Gdybym wiedziała, nie byłaby tajna – odparła Haría z uśmiechem.

– Bardzo bystre spostrzeżenie. Ale mówię poważnie, potrzebuję tej

informacji. Możesz zapytać Janice Elmore albo Lupita. One wiedzą wszystko.

– Masz nie po kolei w głowie. Janice jest oficerem politycznym CIA w ambasadzie amerykańskiej, a Lupita koordynatorką lotów specjalnych. Wszelkie informacje, jakie posiadają, są poufne. Nie wiem, dlaczego miałyby mi cokolwiek powiedzieć.

– Ponieważ jesteś ich przyjaciółką. Potrzebuję tych informacji, aby ocalić komuś życie.

– Przerażasz mnie. W co się wpakowałeś?

– Na razie w nic. Pomożesz mi?

– Zrobię, co będę mogła. Poszukaj mnie późnym popołudniem. Spróbuję z nimi porozmawiać. Janice jest teraz z Jackiem w czwartym hangarze.

– Dzięki, pani porucznik Harris.



W bazie powietrznej Ilopango był duży ruch. Startowało wiele samolotów, zaopatrujących Contras, działających z obszaru Kostaryki. Było oczywiste, że niedługo rozpocznie się operacja na wielką skalę. Postanowiłem skontaktować się z Ivánem, moim rodakiem z Wenezueli, który zajmował się logistyką i służył za łącznika między CIA a Rewolucyjnym Sojuszem Patriotycznym ARDE w Kostaryce. Kilka miesięcy wcześniej, gdy jechał z Quesada do Los Chiles przy granicy z Nikaraguą, zaatakowali ich sandiniści. Iván, który prowadził jeden z dwóch samochodów, jako jedyny wyszedł z tego bez szwanku. Ukryty za pojazdem, osłaniał dwóch rannych towarzyszy i trzymał w szachu napastników, aż przejeżdżający tamtędy wojskowy patrol przyszedł mu w sukurs.

Iván nie wspomniał nikomu o swojej roli w tym starciu, ale jeden z ocalonych zrelacjonował wszystko pilotowi Contras, który rozpowszechnił opowieść o jego bohaterskim czynie. Gdy do niego zadzwoniłem, przeszedłem od razu do rzeczy i spytałem, co się kroi.

– ARDE szykuje szturm. Lotnisko Tobías Bolaños przypomina gniazdo os gotowych zaatakować.

– Możesz mi powiedzieć, kiedy zaczną się fajerwerki?

– Zaatakujemy ósmego września. – Potem, bawiąc się w grę słów, dodał: – To właśnie *arde**.

* *Arde* (hiszp.) – pali się, płonie.

– Myślisz, że Ilopango weźmie w tym udział?

– Udzieli pomocy logistycznej. Zaangażowani będą twoi koledzy z El Aguacate i Palmeroli.

– Dzięki, Ivánie. Uważaj na siebie.

– Ty też. Zadzwoń, gdy przylecisz, to się czegoś napijemy.

– Chętnie.



Teraz pozostawało mi tylko zadzwonić do jednego z najlepiej poinformowanych ludzi w Hondurasie. Po dwóch próbach zdołałem się z nim skontaktować. Powiedział, że może mnie przyjąć tylko następnego dnia rano. Oznaczało to, że muszę lecieć do Tegucigalpa by się z nim zobaczyć, ale byłem pewny, że mi pomoże.

49.

Juana Ramóna Matte Ballesterosa bardzo trudno było znaleźć. Stworzono fałszywy wizerunek jego osoby, gdyż naprawdę troszczył się o swoich ludzi. Dwa, trzy razy w tygodniu koordynował wysiłki, by pomóc potrzebującym w ubogich dzielnicach czy osadach. Krążyły pogłoski, że część pomocy humanitarnej, która powinna trafić do Contrás walczących z sandinistami, docierała do biedoty, dzięki czemu mógł liczyć na lojalność i wdzięczność wielu chłopów. Odpowiedział niezwłocznie na jedną z moich wiadomości, w której prosiłem o rozmowę.

CIA zerwała z Argentyńczykami i zorganizowała nową strukturę przywództwa Contrás. Matta znał siatkę pilotów i dostawców broni w Ameryce Środkowej. Do przewozu personelu, broni, mundurów i FDN wybrali firmę lotniczą SETCO. Otrzymywał fundusze od podpułkownika Olivera Northa, aby zaopatrywać Contrás. Równocześnie zarabiał pieniądze, dostarczając pomoc humanitarną z Departamentu Stanu. Jeśli ktokolwiek przewoził ludzi lub sprzęt w Hondurasie, Matta musiał o tym wiedzieć.

Umówił się ze mną w tym samym domu, w którym byłem po raz pierwszy z don Jaime. Powiedział, że postanowił mnie tam zaprosić, bo pamiętał, jak bardzo mi się podobał salon z białą bronią. Widywaliśmy się potem wiele razy, ale nigdy w cztery oczy. Chciał wiedzieć, co mnie dręczy.

– Juanie, muszę zlokalizować kilka osób, które zostały zatrzymane przez wojskowych z Batalionu trzy-szesnaście. Podobno przewieziono je z

bazy El Aguacate do tajnego więzienia gdzieś w rejonie Entre Ríos.

– Dlaczego się nimi interesujesz? – spytał poważnie.

– Jedna z osób należących do tej grupy to siostra przyjaciela, który ocalał mi życie. Prosił, żebym pomógł mu ją odnaleźć. Należała do oddziału partyzanckiego dowodzonego przez doktora Reyesa Matte, który przybył z Nikaragui i został zatrzymany w pobliżu rzeki Patuca. Podobno są w rękach Argentyńczyków. Czy doktor Matta nie jest przypadkiem twoim krewnym?

– Nie, ale masz pojęcie, jakiego rodzaju ludźmi są ci Argentyńczycy i Chilijczycy?

– Niestety tak. Przed kilkoma tygodniami musiałem przewieźć z Ilopango do El Aguacate pułkownika Ribeira. Żaden z pilotów Olly'ego nie chciał się tego podjąć. Po drodze udzielał mnie i Tomasinowi wskazówek, jak przesłuchiwać więźniów.

– Usiądź, Remy, i pozwól wyjaśnić sobie coś, czego chyba nie rozumiesz.

Ramón odwrócił się do mnie plecami i podszedł do szklanych drzwi, przez które widać było trawnik otaczający basen, i wskazał na mężczyznę, który go czyścił.

– Widzisz tego człowieka? Ma na imię Felipe. Pochodzi z osady przy granicy z Salwadorem. Ocalałem go od śmierci. Jako jedyny przeżył masakrę, której dokonali żołnierze wyszkoleni przez Argentyńczyków. Stracił żonę, dzieci i rodziców. Zginęli z rąk ludzi, którzy powinni ich bronić. O mało nie popełnił samobójstwa. Teraz czuje się lepiej. Jeśli go spytasz, czego najbardziej pragnie, powie ci, że chce zemścić się na Argentyńczykach, przegonić ich z Hondurasu. To źli ludzie. Wielu z nas jest tutaj, bo lubimy pieniądze i władzę, ale są i tacy, którzy lubią tortury i zabijanie. Argentyńscy wojskowi to najgorsze szumowiny. Musisz być bardzo ostrożny. Przez długi czas mieli tu, w Hondurasie, wsparcie wysokich oficerów armii. Utrzymuj kontakty z wieloma spośród nich i możesz mi wierzyć, że nawet oni nie przepadają za Argentyńczykami.

– Dlaczego więc ich akceptują?

– Bo nie mają innego wyjścia. Protektorem i mentorem Argentyńczyków, Chilijczyków i całej tej sfory morderców i oprawców jest amerykański

ambasador John Negroponte.

– Nie wiedziałem, że ma aż takie wpływy.

– Negroponte? To uosobienie zła... Wszystkie interesy prowadzone z Departamentem Stanu wymagają jego aprobaty. Odkąd jest tu ambasadorem, pomoc finansowa dla tego kraju wzrosła z czterech do siedemdziesięciu siedmiu milionów dolarów.

– Więc kraj wiele mu zawdzięcza.

– Bynajmniej. Pieniądze pochodzą bezpośrednio z Waszyngtonu, ale ich wykorzystaniem i logistyką zajmuje się w ambasadzie Negroponte.

– Cofam to, co powiedziałem. Zdaje się, że nie budzi twojej sympatii.

– Sympatii? Pozwól, że zadam ci pytanie. Co robisz, kiedy chcesz się rozerwać? Kiedy nie latasz i masz parę wolnych dni. Czym się wtedy zajmujesz?

– Jeśli jestem w Meksyku, wracam do domu, odpoczywam albo umawiam się z jakąś dziewczyną. Jeżeli jestem tutaj, idę zagrać w tenisa z którymś z twoich ludzi. Bo co?

– Ja robię to samo. Lubię miłe towarzystwo, jazdę konną, piękne kobiety, których nie brakuje na tej ziemi błogosławionej przez Boga. Robimy to, co każdy normalny człowiek. A wiesz, jak zabawia się Negroponte, gdy ma wolne? Ten sukinsyn leci samolotem do Palmeroli i stamtąd każe się wieźć helikopterem do kwatery Batalionu Wywiadu trzy-szesnaście. Sprawia mu przyjemność przyglądanie się, jak torturują i przesłuchują więźniów, by wydobyć z nich informacje. Czasem podciąga rękawy koszuli i osobiście pomaga w przesłuchaniu. Wiesz, kto tam z nim jest? Kto mu towarzyszy? Ambasador Osorio z Argentyny, Jorge O'Higgins, Ribeiro i argentyńscy eksperci od tortur. Negroponte jest oprawcą namaszczonego przez Busha. Był w Wietnamie jako protegowany Kissingera i brał tam udział w makabrycznej operacji „Feniks”, podczas której zniknęło bez śladu ponad trzydzieści tysięcy ludzi podejrzewanych o sympatyzowanie z komunistami. Zostali porwani i zamordowani. Współpracował również z Pinochetem przy operacji „Kondor”, gdzie zrobiono to samo. Ma imponujące doświadczenie w działalności antywywrotowej oraz w technikach tortur.

– Doskonale referencje – mruknąłem.

- I ty chcesz odnaleźć jedno z jego tajnych więzień? Wtargnąć do jego centrum rozrywki? Oszalałeś!
- Już ci mówiłem, że jestem winien komuś przysługę.
- Nie wiem, czy potrafię ci pomóc. Podobno zabierają więźniów w różne miejsca. Wiem, że używali do tego celu bazy w Lepaterique, a także w Quilalí, po stronie nikaraguańskiej. Dzielią również bazę przylegającą do terenów Industrias Militares, INDUMIL, drugą w dzielnicy Manchen i jeszcze jedną w Trujillo, na obszarze Regionalnego Centrum Szkolenia Wojskowego. Ale to znane obiekty. Aby dowiedzieć się, gdzie są tajne więzienia, trzeba spytać pułkownika Luque Portilla albo pułkownika Andina z Batalionu trzy-szesnaście.
- Znasz kogoś, kto mógłby nam udzielić informacji?
- W tej chwili trudno znaleźć kogoś, kto chciałby o tym mówić. Consuelo Murillo Schwaderer, matka Inés, zaginionej bohaterskiej dziewczyny oskarżanej o przynależność do zbrojnej grupy Lorenza Zelayi, wywołała skandal, by odnaleźć córkę. Ta kobieta pracuje w ONZ. W kręgu wtajemniczonych mówi się, że za zniknięcie dziewczyny odpowiadają niejaki Florencio Caballero i Flores Murillo. Są jak wściekłe psy. Nikt nie śmie wystąpić przeciwko nim.
- Masz jakieś pojęcie, gdzie należy zacząć poszukiwania?
- A co byś zrobił, gdybyś to wiedział? Chcieć ocalić dziewczynę to bardzo romantyczne. Powiedzmy, że zdobędziesz tę informację i tam dotrzesz. Co potem? Zapukasz do drzwi i powiesz: „Wydajcie mi zatrzymanych, bo to moi przyjaciele”? Wiesz, że zabijano dziennikarzy tylko za to, że zadawali pytania na temat tych tajnych więzień i tego, co się w nich dzieje?
- Wiem, dlatego pytam ciebie.
- Nie jest tajemnicą, że odnoszę się wrogo do Argentyńczyków i że to odwzajemniają. Teraz SETCO dostało kontrakty, które dawniej mieli oni. Wiemy, że spodziewając się utraty wpływów, zagarnęli i ukryli dużo broni, ale nie wiemy gdzie.
- Mógłbyś mi jednak pomóc, gdybyś się czegoś dowiedział. Po tym, co stało się z pułkownikiem Azuetą, nikt teraz nie wie, gdzie są te więzienia. Pomożesz mi? Będę też potrzebował specjalistów, którzy mnie wesprą, gdy

je znajdziemy.

– Postaram się. Masz już jakiś plan?

– Jeszcze nie. Chcę najpierw zdobyć jakieś informacje. Po to do ciebie przyjechałem. Sądziłem, że możesz coś wiedzieć.

– Niczego nie wiem na pewno, ale od kilku miesięcy krążą paskudne pogłoski... Zaczekaj.

Poszedł do biblioteki i wyjął z szuflady trzy nieduże brązowe teczki. Położył je na stole w zasięgu mojej ręki, wyjaśniając:

– Jeden z moich ludzi był świadkiem, jak w Comayagua zastrzelono Argentyńczyka. Obok niego leżał nesesor, który mój człowiek zabrał. W środku było to. Instrukcje Kubarka. Przeczytaj je spokojnie... Muszę zadzwonić do paru osób. Nie spiesz się.

Matta wyszedł, a ja wziąłem do ręki największą broszurę. Miała wydrukowany na okładce tytuł i kod: INSTRUKCJA WYKORZYSTANIA ZASOBÓW LUDZKICH HRT-83.

Było to liczące trzydzieści osiem stron kompendium wiedzy na temat fizycznych i psychicznych tortur stosowanych podczas przesłuchań przez CIA. Zawierało rozdziały z konkretnymi radami dotyczącymi wykorzystywania „grózb i lęku” oraz „ból i słabości”. Informowało, w jaki sposób manipulować otoczeniem zatrzymanego, aby stwarzać nieprzyjemne lub niezdrowe dla niego sytuacje, poprzez zmianę postrzegania czasu, przestrzeni i zmysłowego odczuwania. Opisywało szczegółowo takie techniki, jak nakładanie więźniom kaptura na głowę i pozbawianie ich snu, aby byli zdezorientowani. Inne tortury polegały na seksualnym upokorzeniu zatrzymanych bądź zmuszaniu ich, by stali przez wiele godzin z rozpostartymi ramionami, przez co czuli się odpowiedzialni za sprawianie sobie bólu i w końcu poddawali się władzy przesłuchującego.

Druga broszura dotyczyła tego samego ze szczególnym uwzględnieniem tortur fizycznych. W trzeciej, najbardziej zaskakującej, na pierwszej stronie widniał tytuł: INSTRUKCJA ROZPORZĄDZANIA ZASOBAMI LUDZKIMI.

Szok, w jaki wprawiała mnie lektura pierwszych linijek tekstu, wkrótce ustąpił miejsca odrazie. Kolejne akapity zawierały metodyczne instrukcje

wyrzucania więźniów z samolotów do morza.

Po taktycznym wstępie tekst określał sposoby postępowania i zalecenia dotyczące tego odrażającego procederu. Więźniów należało wyrzucać żywych, lekko zamroczonych, w miarę możliwości z przekłutym brzuchem, żeby łatwiej tonęli. Była tam też mowa o tempie rozkładania się ciał w zależności od temperatur panujących w określonych strefach geograficznych, gęstości i stopnia zasolenia wody. Wyjaśniano, dlaczego w słodkiej wodzie zwłoki szybciej toną i dlaczego należy usuwać ubrania z nylonu lub poliestru, które mają tendencje do unoszenia się na wodzie. Zwracano uwagę, że odzież z wełny i bawełny, chroniąca przed zimnem, wchłania wodę. Niektóre z tych rzeczy mają w dodatku przestrzenie wypełnione powietrzem i gdy nasiąkną wilgocią, toną pod własnym ciężarem jak żelazo. Tekst kończyło ponure i złowrogie zalecenie, by wyrzucać więźniów tam, gdzie grasują stada rekinów.

Wróciwszy, Marta zapytał:

– I jak ci się podobało?

– Straszne. Trudno uwierzyć, że ktoś naprawdę korzysta z tego plugaństwa.

– Nie tylko korzystają, ale rozpowszechniają to w innych krajach Ameryki Środkowej. Podobna broszura trafiła do centrum szkolenia żołnierzy w Gwatemali.

– Kto wie o istnieniu tych instrukcji?

– Prawie nikt. Zwłaszcza tych, które dotyczą wyrzucania ludzi do morza. Szukają broszury, którą ktoś ukradł z Fort Gulick. Zdaje się, że wyniósł ją po kryjomu komandos Zielonych Beretów. Boją się, że gdy dotrze do prasy, wybuchnie skandal.

– Ciekawe, że o tym wspominasz. Byłem obecny na zebraniu w El Aguacate i oficerowie wywiadu, którzy je prowadzili, podkreślali konieczność złapania dwóch członków oddziału partyzanckiego. Jednym z nich był ojciec James Francis Carney, a drugim Arturo Báez Cruz, były komandos Zielonych Beretów z Fort Gulick.

– Jaki ten świat mały. Postaram się zdobyć jakieś informacje na temat tego tajnego więzienia. Na razie mogę ci tylko powiedzieć, że muszą coś

mieć na wybrzeżu w pobliżu Barra de Patuca. Jeden z moich chłopców poinformował mnie, że jego piper aztec leciał w tamtej strefie na bardzo małej wysokości i wyglądało na to, że zamierza lądować. Myślę, że realizują tam jakąś tajną misję. Nie zwrócił na to uwagi, bo nie był tym zainteresowany, ale skoro ta sprawa cię niepokoi, dowiem się więcej. Tymczasem uważaj na siebie i nie zadawaj zbyt wielu pytań. Zobaczą, czy uda mi się coś potwierdzić u szefa sił specjalnych, Jerry'ego Grunera, albo szefa CIA w Tegucigalpie.

– Dzięki, Juanie Ramónie. Ty też na siebie uważaj. Pływasz wśród rekinów.

50.

Porucznik Harris zdobyła informację jeszcze tego samego popołudnia, a Matta po naszym spotkaniu potwierdził ją telefonicznie. Argentyńczycy mieli tajny obiekt w Barra de Patuca na wybrzeżu Hondurasu. Podobno wywozili tam więźniów. Frank, jeden z pilotów Matty, podał nam dokładne współrzędne, a Tomasino, który znajdował się właśnie w tej strefie, wrócił z La Ceiby. Zatoczył koło w kierunku Puerto Lempira, aby przelecieć nad okolicą i zrobić zdjęcia. Rolki filmu z 337, które dał mu Vélez, posłużyły do wykonania dwudziestu dwóch fotografii tego obszaru. Vélez zajął się osobiście ich wywołaniem.

Rankiem szóstego września przekazałem Martínowi najnowsze wiadomości. Po południu znów wszyscy się spotkaliśmy.

– Koledzy, oto, jak wygląda sytuacja. Udało nam się ustalić dość precyzyjnie miejsce, gdzie znajduje się więzienie. Potwierdziły to trzy niezależne źródła. Współrzędne zgadzają się z naszymi przypuszczeniami.

Dałem znak Vélezowi, który rozłożył zdjęcia lotnicze na stole. Wszyscy podeszliśmy i przyjrzelśmy się im uważnie. Tomasino zwrócił się do grupy:

– Przeleciałem tamtędy na bardzo małej wysokości, jak widać po szczegółach. Na wszelki wypadek zakołysałem skrzydłami, by ich pozdrowić. Miejsce jest odosobnione, ma bramę i własną drogę, znajduje się nad morzem. W pobliżu nie ma żadnych domów. – Wskazał jakiś szczegół na mapie i wyjaśnił: – Tu jest nabrzeże. Nie widać dużych statków, tylko te dwa małe. Spod tej plandeki wystaje coś, co wygląda na dziób zodiaka.

Tomasino wskazał dwa pojazdy transportowe. Zauważył, że gdy wracał, jednego z nich, tego większego, już nie było. Dom, który pojawiał się na zdjęciu, miał dwie kondygnacje i kilka anten na dachu. Widać było wyraźnie okna i drzwi. Teren otaczało wysokie ogrodzenie, a wewnątrz stał heliport. Dwieście metrów dalej, obok drogi, znajdował się pas startowy z ubitej ziemi.

Tomasino wyjaśnił:

– To niewielkie wzgórze zasłania pas startowy. Najwyraźniej często z niego korzystają. Ta linia to skrót między budynkiem a pasem. Mogą usłyszeć lądujące samoloty, ale nie będą wiedzieli, do kogo należą.

– Skoro widziałeś to miejsce na własne oczy, jak radzisz nam tam dotrzeć?

– Moglibyśmy wylądować na drodze. Trzysta metrów dalej jest zakręt, zza którego zapewne nie będzie nas widać. Problemem będzie hałas. Możemy tylko liczyć, że zagłuszy go szum morza. Wybrzeże jest urwiste i podczas przyływu fale głośno uderzają o skały. To wszystko.

Vêlez, który uważnie go słuchał, wtrącił:

– Dowiedziałem się, że jeden lub dwaj Argentyńcy wychodzą każdego popołudnia przed zmierzchem na patrol do pobliskiej wioski i korzystają z okazji, by przynieść coś ciepłego do jedzenia.

– Marco, czym dysponujemy?

– Mamy UH-sześćdziesiąt, który jutro idzie do przeglądu. To jedna z najlepszych maszyn. Myślę, że możemy na nią liczyć. Ma wszystko, czego potrzebujemy. Możemy też wykorzystać starego hueya z honduraskich sił powietrznych, który ma dwa niezawodne karabiny maszynowe. Vêlez go zna.

– Malcovich, a co ty nam przynosisz?

– Zdobyłem broń. Przygotowałem osobiście zestawy M-szesnaście z wyrzutnią granatów, standardową amunicję pięć i pięćdziesiąt sześć milimetra, pistolety Beretta M-dziewięć, półautomaty dziewiątki z trzynastoma pociskami. Poza tym trzy karabiny Sniper M-dwadzieścia cztery z tłumikiem i pociskami siedem i sześćdziesiąt dwa, dwie kamery i noktowizory HAN-PVS z nowymi bateriami. Przy świetle gwiazd będą mieli widoczność na

pięćdziesiąt metrów. Przy księżycu w nowiu albo w pełni około stu pięćdziesięciu metrów. Gdyby nie chcieli niczego za sobą zostawić, zestawy zawierają również granaty i materiały wybuchowe.

– Vêlez?

– W magazynach mamy wszystko. Niech mi tylko powiedzą, czego potrzebują. Dysponujemy tonami sprzętu. Przygotowałem już na wszelki wypadek podstawowe wyposażenie medyczne.

Nadeszła pora, by przedyskutować przygotowany przez nas naprędce plan.

– Panowie, na podstawie posiadanych informacji wnioskuję, że pojutrze ARDE rozpocznie wielką ofensywę z północy Kostaryki, wspierana z Palmeroli przez drugą falę ataków skierowanych w rejon Puerto Cabezas, gdzie zostaną skoncentrowane siły powietrzne. Na szczęście to obszar w pobliżu bazy Argentyńczyków, nikogo więc nie zdziwi, że tam jesteśmy i bierzemy udział w operacji, zwłaszcza że także stamtąd będzie prowadzony atak. Vêlez, jako oficer od logistyki, może nam przydzielić misje zaopatrzenia w tej strefie. Izer załatwi nam specjalne kody identyfikacyjne, żebyśmy mogli lecieć poza wyznaczonym szlakiem. W tym kwadrancie będzie sporo samolotów. Proponuję wylądować helikopterem bezpośrednio na dziedzińcu więzienia. Nie domyślą się, że to atak. Tomasino poleci maszyną Piper Aztec. Zabierzemy trzech ludzi z jednostek specjalnych i wysadzimy ich na pobliskim pasie. Zajmą strategiczne pozycje wokół budynku, a zwłaszcza w rejonie, gdzie potem wylądujemy. Będą nas osłaniali, gdybyśmy musieli szybko się wycofywać. Mówimy o obszarze w pobliżu ujścia rzeki Patuca. Przelot tamtędy to rutynowa sprawa. Wkroczyliśmy do akcji możliwie najpóźniej, by wykorzystać zmierzch. Musimy działać precyzyjnie: wylądować, przejąć kontrolę, uwolnić nasz obiekt i zniknąć. Będziemy uważnie obserwowali przebieg operacji wojskowych. Izer będzie z nami w stałym kontakcie radiowym i powiadomi nas, gdyby działo się coś podejrzanego. Nie możemy zapominać, że w okolicy jest lotniskowiec z dużą liczbą samolotów na pokładzie.

Malcovich poruszył kwestie, które wszystkich interesowały.

– Mam jeszcze trzy pytania. Co zrobimy, jeśli będzie tam więcej więźniów? Co zrobimy z Argentyńczykami, zanim się wycofamy? Mamy plan B?

– Naszym głównym celem jest uwolnienie siostry Izera. Nie jest to dla mnie sprawa polityczna, tylko osobista. Izer poprosił mnie o przysługę, a ja proszę was. Dla niektórych jesteście bandą najemników, którzy biorą udział w walce tylko dla pieniędzy, ale w tej operacji nie ma łupów. Nikt nie zarobi. Decyzję, co zrobić z Argentyńczykami, podejmiemy na miejscu. Będzie to zależało od rozwoju wydarzeń. Plan B przedstawię, zanim wyruszymy, brak mi jeszcze pewnych informacji. Chyba odpowiedziałem z grubsza na pytania. Zobaczymy, czy uwolnimy innych więźniów. Izer i Martín nie będą na pierwszej linii, więc nie wezmą udziału w akcji. Pozostali będą decydowali.

Marco odpowiedział natychmiast:

– Jeśli zwerbujemy strzelca do karabinu maszynowego, będzie nas tylko trzech. Zarówno huey, jak i UH-jeden pomieszczą jeszcze osiem osób. Myślę, że powrót pustym helikopterem oznaczałoby marnotrawstwo. Takie jest moje zdanie.

Malcovich, bardzo pewny siebie, stwierdził:

– Nikt nie będzie płakał z powodu mojej jednodniowej nieobecności. Zgłaszam się na ochotnika do obsługi karabinu maszynowego. Proponuję uwolnić tylu więźniów, ilu się da. Choć raz w życiu poczuć się jak bohater. A naszym łupem mogą być Argentyńczycy.

– Tomasino, co ty sądzisz?

Przyglądał mi się przez parę sekund, po czym odrzekł z ironią:

– Żartujesz? Nienawidzę tych sukinsynów. Kilka tygodni temu przypadł nam obu zaszczyt przewiezienia dwóch z nich do bazy El Aguacate. Podczas lotu udzielali nam lekcji, jak należy przesłuchiwać więźniów. Myślę, że poza uwolnieniem wszystkich zatrzymanych powinniśmy skorzystać z okazji, żeby złapać któregoś z Argentyńczyków i zaaplikować mu taką kurację, jaką sami stosują. Co więcej, należałoby zainstalować w samolocie bomby i zrzucić im z nieba prezent, zanim się wycofamy, żeby zmieść to więzienie z powierzchni ziemi.

– W porządku. Zgadza się. Wychodzimy z założenia, że będzie to operacja poszukiwawcza, ratunkowa i niszczyielska. Po uwolnieniu więźniów przewieziemy ich do miejsca, gdzie będzie czekał Martín, na lądowisko

na wschód od Sierra de Agalta, niecałe dwadzieścia minut drogi od Brus. Mój samolot będzie tam stał gotowy do startu, by zabrać naszą zdobycz do Meksyku. My wrócimy do swoich misji, jakby nic się nie zdarzyło. Plan B, powtarzam, przygotowujemy z marszu, poznavszy rozkazy ataku, które zostaną wydane jutro. Tak czy inaczej, Martín będzie pełnił funkcję wabika i ściągał na siebie uwagę. To da nam kilka minut przewagi, żebyśmy zdążyli uciec, gdyby coś się nie udało. Jakież wątpliwości?

Tomasino, jak uczeń w klasie, podniósł rękę i powiedział:

– Nie chcę być natrętny, ale... jesteś pewny, że możemy liczyć na tych trzech specjalistów, o których wspomniałeś?

– Nie martw się. Człowiek, który obiecał ich przysłać, nigdy nie zawodzi. Jeśli mówi, że się zjawia, to tak będzie. Dziś w nocy omówię z nim szczegóły.



Była dwudziesta trzecia, gdy odebrałem oczekiwany telefon od Juana Ramóna.

– Remy, udało mi się zmienić termin twojej misji na jutro. Masz lot do El Aguacate i Puerto Lempira. Kiedy wylądujesz, zabierzesz trzech ludzi z elitarnych honduraskich Sił Specjalnych, którzy się do ciebie zgłoszą. Na hasło „pampas” masz odpowiedzieć „srebro”. Są najlepsi. Nie przejmuj się ich mundurami. Gwarantuję ich lojalność. Od tego momentu przejmujesz dowodzenie operacją. Objaśnij im plan, a oni zajmą się resztą. Zanotuj częstotliwość fal kontakt radiowego. Nie chcę znać szczegółów. To tylko na wypadek, gdybyś miał problemy. Powodzenia.

Zapamiętałem częstotliwość fal i pożegnałem się z nim.

– Dzięki, J.R.

Kilka minut później zadzwonił do mnie niespodziewanie Izer. Prosił, bym skontaktował się pilnie z Raizą.

– Słyszała o zestrzeleniu samolotu w Managui i chce ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Jest przerażona, Remy. Zadzwon do niej.

Zapewniwszy go, że to zrobię, odłożyłem słuchawkę i próbowałem przez chwilę odgadnąć, co mogło się stać. Odkąd odeszła, rozmawialiśmy tylko

dwa razy. Za każdym razem nalegała, bym opuścił Salvador i wrócił. Staralem się wtedy ukryć, jak bardzo za nią tęsknię.

Podniosłem słuchawkę i wystukałem jej numer na Hawajach. Odpowiedział mi głos łamiący się od płaczu, stanowiło to złą wróżbę, bo Raiza była bardzo silna. Spytałem łagodnie:

– Co się dzieje, moja śliczna? Dlaczego płaczesz?

Odparła urywanym głosem:

– Wybacz, źle się czuję. Dzwoniła do mnie Maria. Chce, żebyś jak najszybciej do niej przyjechał.

– Jest chora? – spytałem zaniepokojony.

Zwlekła chwilę z odpowiedzią, jakby zbierała siły.

– Nie chodzi o nią, Remy, tylko o twoją matkę. Maria mówi, że jest ciężkim stanie. Lekarze twierdzą, że może umrzeć w każdej chwili. Strasznie mi przykro.

Milczałem przez moment, przyswajając tę wiadomość.

– Co jej jest?

– Zdaniem lekarzy cierpi na nieuleczalną chorobę systemu nerwowego, która szybko się rozwija.

Od dwudziestu lat przygotowywałem się na ten dzień, ale nie na taką wiadomość.

– Matka cię teraz potrzebuje, Remy. Wiem, że ją kochasz. Pojedziesz do niej? Ja wyjeżdżam jeszcze dzisiaj, żeby dotrzymać towarzystwa Marii. Biedaczka musi mieć kogoś przy sobie. Jest zdruzgotana.

– Nie mogę się teraz stąd ruszyć, Raizo, ale powiedz Marii, że przyjadę najszybciej, jak się da.

– Co tam robisz, Remy? Wracaj, proszę. Chcę usłyszeć to, co zwykle mi mówiłeś: „Ja zawsze wracam”. Obiecuj, że wrócisz.

Te słowa zabrzmiały jak echo przeszłości.

– Wrócę, Raizo, obiecuję ci to, ale najpierw muszę coś dokończyć. Wkrótce będę z wami. Nie martw się. Ja zawsze wracam...



Była szósta czterdzieści pięć rano, w bazie wrzało. Izer czekał na mnie zaniepokojony przy stoliku. Zobaczywszy wyraz mojej twarzy, zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku.

– Co się stało?

– Moja matka jest w ciężkim stanie i Raiza chce, żebym do niej przyjechał. Zakończmy więc to szybko. Jaka jest sytuacja, Izer?

– Wydano już rozkazy lotów. Jutro o świcie rozpoczną się ataki z lotniska Tobías Bolaños w Kostaryce, skąd wystartuje kilka maszyn T-dwadzieścia osiem w głąb Nikaragui. Będą miały na pokładzie dwustupięćdziesięciokilowe bomby. Ich główne cele to lotnisko Augusto Sandino w Managui i dom jednego z ministrów. Zostaną również przeprowadzone ataki z Palmeroli na obiekty na Karaibach, aby zmusić sandinistów do przerzucenia sił w tamten rejon. Prawdziwym celem będzie port Corintos. Samoloty do tego ataku wystartują stąd.

– Masz kody identyfikacyjne?

– Skoordynowałem już z Vélezem wyloty na dzisiejsze popołudnie. – Wręczył mi listę, na której widniały, oprócz naszych lotów, kody, numery identyfikacyjne i specjalne częstotliwości, które miały zostać użyte.

– Dzięki, Izer.

– To ja ci dziękuję. Powodzenia, będę z wami w kontakcie radiowym z wieży.



W oczekiwaniu na atak w bazie panowała napięta atmosfera. Piloci i technicy sprawdzali dokładnie sprzęt, podczas gdy samoloty zaopatrzeniowe i rozpoznawcze Cessny H-0, stanowiące pierwszą linię natarcia, startowały jedna po drugiej. Wystartował z nimi również Tomasino.

Powtórzyliśmy plan. Marco, Malcovich i ja mieliśmy wylądować w El Aguacate, na wschód od Catacamas, aby uzupełnić paliwo, zanim skierujemy się do Dulce Nombre del Culmí, w drodze do Laguna de Brus. Zabierzemy trzech specjalistów i wykorzystamy góry Sierra de Agalta, żeby zniknąć z ekranu radaru i spotkać się z Martínem. Tomasino poleci tymczasem awionetką Aztec, którą zdobędziemy w ostatniej chwili, w kierunku Barra de Patuca. W odpowiedniej chwili przeleci nad obiektem i jeśli nie zauważy

tam żadnych dziwnych ruchów, da nam przez radio zielone światło. Nadleciemy z zachodu i po wysadzeniu specjalistów zaczekamy kilka minut, aż zajmą pozycje. Potem wylądujemy bezpośrednio w heliporcie. Gdyby było wielu więźniów, Tomasino wylądaje na pobliskim pasie i pomoże w ich ewakuacji.

Kontroler lotów z Palmeroli, przyjaciel Izera, potwierdził to, co już wiedzieliśmy: w ciągu ostatnich sześciu miesięcy Argentyńscy ponad trzydzieści razy startowali z Catacamas w kierunku wybrzeży Karaibów i znikali z ekranu radaru między Irioną a Laguna de Brus. Zapewniał, że w co najmniej ośmiu przypadkach transportowano tymi samolotami więźniów z Batalionu Wywiadu 3-16. Inny człowiek, były oficer z bazy morskiej w pobliżu Puerto Cortez, potwierdził, że interesujący nas obiekt służył w przeszłości jako miejsce szkolenia sił specjalnych honduraskiej marynarki i że znajdują się tam gigantyczne wielopoziomowe piwnice.

Było oczywiste, że stacjonujące w Hondurasie argentyńskie oddziały mimo zerwania współpracy z CIA otrzymywały pomoc honduraskich wojskowych. Łatwo to było zrozumieć, zważywszy na wyjaśnienia, jakich udzielił mi Barry. Wielu spośród ich generałów studiowało w Argentynie i wyszkolili się w tego samego typu walce, jaką teraz prowadzili w tym kraju.



Czekałem na Marca po drugiej stronie głównego pasa w Ilopango. Powiedział, że zabierze Malcovicha, zrobią próbę karabinu nad pobliskim jeziorem i wrócą po mnie. W tym momencie zobaczyłem Barry'ego. Zmierzał w moją stronę szybkim, zdecydowanym krokiem. Znalazłszy się koło mnie, zatrzymał się, oparł ręce na biodrach, pochylił głowę, jakby szukał czegoś na ziemi, i zacerpnąwszy powietrza, wyrzucił z siebie:

- Właśnie się dowiedziałem. Dokąd ty się wybierasz?
- Kto ci powiedział, Barry? Mnie też szpiegujesz?
- Dlaczego mówisz do mnie w ten sposób? Jakie to ma znaczenie, do cholery, skąd się dowiedziałem? Nie sądziłem, że jesteś taki naiwny. W tej bazie roi się od agentów wywiadu. Myślisz, że możesz tu zbierać informacje i zadawać dziwne pytania, nie zwracając niczyjej uwagi? Najbardziej mnie boli, że nie przyszedłeś do mnie. Niech cię szlag! Jestem twoim przyjacielem. Zawsze nim byłem.

– Jesteś też moim szefem, Barry. I, niestety, trzymasz z niewłaściwymi ludźmi. Co miałem ci powiedzieć? „Wybacz, Barry, musisz mi pomóc uwolnić pewną dziewczynę z tajnego więzienia Argentyńczyków, którym bezpośrednio pomagamy?”.

– Powinieneś był mi zaufać! Od samego początku... Cholera! Zawsze cię kryłem. Zawsze. Myślisz, że nie wiem, że wszystkie te materiały, które zniknęły przez ostatnich dziesięć miesięcy, wywoziłeś ze swoimi chłopakami do Gwatemali, żeby twoja przyjaciółka mogła pomóc Indianom z Petén?

Nie potrafiłem ukryć zdziwienia.

– Od kiedy to wiesz?

– Łatwo cię przejrzeć, Remy. Wiedziałem o tym już od twojej drugiej podróży. Powinieneś zadbać, żeby zniknęła także broń i amunicja. To byłoby bardziej wiarygodne. Ginęęły tylko palety ze środkami sanitarnymi i żywnością.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś, Barry?

– Może dlatego, że w głębi duszy podziwiałem trochę twój idealizm. Sądziłeś, że niczego nie zauważyłem? Znamy się od dawna, Remy. Gdy tylko zacząłeś ze mną pracować, zdałem sobie sprawę, że mnie oszukujesz. Nie zjawiałeś się tutaj w poszukiwaniu pieniędzy, bo już je miałeś. Szukałeś sposobu, by uwolnić się od poczucia winy, i poznałeś tu młodą Hiszpankę, która dała ci ku temu okazję.

– I co teraz? Spróbujesz mnie powstrzymać?

– Dobrze wiesz, że nie. Ale powiedz mi, czy naprawdę wierzysz, że to, co zamierzasz zrobić, cokolwiek zmieni? Proszę cię... Nie miej złudzeń. Wszystkie sztandary są zbrukane krwią i błotem. Zwariowałaś, Remy. Myślisz, że ty i jeszcze czterech szaleńców możecie stawić czoło Argentyńczykom? Co planujecie? Cholera! Osiągniesz tylko tyle, że cię zabiją.

– Być może to nic nie da, Barry, ale nie chcę mieć wyrzutów sumienia, że mogłem coś zrobić, a nie zrobiłem. Dużo mnie kosztowało pogodzenie się z tym, że nie mogę naprawić błędów z przeszłości, lecz nie chcę tracić okazji, by teraz zrobić coś dobrego. A jeśli osiągnę tylko tyle, że mnie zabiją, wiesz, co zawsze powtarzam: „Jest piękny dzień, żeby umrzeć”.

Charakterystyczny łoskot nadlatującego helikoptera Huey oznajmił finał naszej rozmowy. Barry zaczął się oddalać, ale zatrzymał się nagle, odwrócił i krzyknął zirytowany:

– Jesteś uparty jak osioł! Wiesz o tym? Żaden dzień nie jest piękny, żeby umrzeć!



Jego głos utonął w łoskocie helikoptera. Marco siedział za sterami starego huey a UH-1P, wersji wyposażonej w najsilniejsze uzbrojenie. Łatwo ją rozpoznać po karabinach maszynowych GAU-2B kalibru 7,62 milimetra, wyrzutniach pocisków LAU-59 zamontowanych po obu stronach i dwóch antenach UHF. Gdy wylądował, zauważyłem, że helikopter ma jeszcze emblemat Specjalnej Eskadry 20-SOS, legendarnych Zielonych Szerszeni.

– Skąd go wytrzasnąłeś?

– Nie pytaj. Czyż nie jest piękny? Mamy ponad sześć tysięcy sztuk amunicji i dość pocisków, by wysadzić w powietrze koszary. Ma opancerzone fotele, by chronić nam tyłki, a karabiny maszynowe da się umocować z przodu i może obsługiwać je pilot. Można też strzelać nimi przez drzwiczki. Czego więcej चाहिए?

– Sądziłem, że wszystkie modele „P” już wycofano.

– Nie w naszych krajach. Tutaj mamy tylko złom, aczkolwiek ten model jest najlepszy ze wszystkich.

Malcovich dał mi znak, żebym wsiadł do samolotu. Natychmiast wznieśliśmy się w powietrze.

– Mamy dość paliwa?

– Czteryście dziesięć galonów. Wystarczy na trzysta dziewięćdziesiąt mil.

– No to lećmy...



Usłyszeliśmy przez radio głos Izera:

– Właśnie wystartował w tym kierunku argentyński Beechcraft BE-dwieście.

– Przewidywany czas przybycia?

– Jeżeli nie zmienią kursu, około czterdziestu minut. Jeśli tam zmierzają, z pewnością wylądują na lotnisku, które mają w pobliżu.

– Wiem. W porządku, czekamy na wiadomości od ciebie.

Skontaktowałem się natychmiast z Tomasinem.

– Tom, gdzie jesteś?

– Lecę nad Playitą, Belén, Raistą, Cocobil, a teraz Kuri.

– Kuri? Tam roi się od krokodyli. Chcę, żebyś przeleciał nad celem i zawiadomił mnie, gdybyś zauważył jakikolwiek ruch. Izer poinformował nas, że właściciele są w drodze do domu. Postaramy się dotrzeć tam wcześniej i przygotować im powitanie.

– Już się tym zajmuję.

Zatrzymaliśmy się w El Aguacate na bardzo krótko. Gdy uzupełnialiśmy paliwo, zauważyłem z satysfakcją, że przybyli trzej wojskowi z połowym sprzętem. Zameldowawszy się, bez zbędnych słów wsadzili swój ciężki ekwipunek do helikoptera i parę chwil później zezwolono nam na start.

Podczas lotu trzej specjaliści wysłuchali uważnie, jaki mamy plan, i zajęli się analizowaniem dostarczonych przez nas zdjęć. Wspomniałem ponownie o Kuri i krokodylach i wyjaśniłem dokładnie, czego od nich oczekuję. Spytałem naiwnie, czy któryś z nich zna te okolice, co wywołało ich uśmiechy. Dowódca grupy, który przedstawił się jako sierżant Morán, był uprzejmy wytłumaczyć mi powód takiej reakcji.

– Ci panowie to Rus i Kando. Oficjalnie należą do Jednostki TESON Piątego Batalionu z Durzamy. Jak zdradzają ich imiona, są z plemienia Misquito. Śmiali się, bo urodzili się i wychowali w Cocobil, w pobliżu Kuri. Rozbawił ich pan, mówiąc, że w Kuri jest pełno krokodyli. Jako dzieci hodowali je i znają ten rejon lepiej niż ktokolwiek, dlatego Matta poprosił ich o udział w akcji. Poza tym Rus ma przydzielony kryptonim Krokodyl Dwa, a Kando – Krokodyl Trzy.

– Rozumiem. Jesteśmy wśród krokodyli. A jaka była pana ulubiona zabawka w dzieciństwie?

– Karabin Remington mojego ojca. Nie bawiłem się z krokodylami, tylko na nie polowałem. Jestem snajperem z Jednostki PUMA.

– Bardzo się cieszę. Będziemy potrzebowali osłony podczas uwalniania

z więzienia pewnej osoby. Zostawimy panów w pobliżu lądowiska. W miarę możliwości należy złapać jakiegoś Argentyńczyka, by powiedział nam, jaka jest naprawdę sytuacja wewnątrz obiektu. Mogę w czymś pomóc?

– Proszę zostawić nas tylko na lądowisku i odlecieć. Przekażemy informacje przez radio.

– Coś jeszcze?

– Tylko tyle, że oczekuję precyzyjnych rozkazów. Gdyby trzeba było wyeliminować jakiś cel, proszę wyraźnie to powiedzieć. Będziemy słyszeli wszystko, co pan mówi. Niech pan tylko wskaże cel i jeśli będzie w naszym zasięgu, zdejmujemy go.



Siedem minut później otrzymaliśmy od Tomasina zielone światło.

– Delta Jeden, tu Delta Dwa, droga wolna. Powtarzam, droga wolna.

– Zrozumiałem, Delta Dwa, jesteście pięć minut od celu. Wycofaj się na pozycję drugą i czekaj.

Natychmiast usłyszałem w słuchawkach głos Izera. Wyczuwałem jego niepokój, gdy nas ostrzegał:

– Delta Jeden, goście wracają do domu. Powtarzam, goście wracają do domu. Przewidywany czas: dwadzieścia siedem minut.

– Spokojnie, Mistrzu Jeden, już dolatujemy.

Pas startowy w pobliżu więzienia, widziany z powietrza, raczej nie zasługiwał na to miano, bo było to po prostu czterysta metrów ubitej ziemi. Marco zniżył lot równoległe do pasa, za bardzo się do niego nie zbliżając.

– Wyląduję pięćdziesiąt metrów z boku, bo inaczej wzbijemy chmurę kurzu i potrwa zbyt długo, nim opadnie.

Gdy byliśmy mniej niż metr nad ziemią, komandosi wyskoczyli z maszyny i pobiegli ukryć się za pobliskimi krzakami. My wznieśliśmy się w górę i poleciliśmy dalej. Tak jak przewidywaliśmy, sytuacja zmieniła się wraz z przybyciem beechcrafta z Argentyńczykami. Próbowałem zdobyć dodatkowe informacje.

– Mistrz Jeden, czy wiadomo, ilu jest pasażerów?

– Nie, Delta Jeden.

Domyślając się kursu, jaki obrał samolot, udaliśmy się w przeciwnym kierunku. Zakładaliśmy, że są dwie opcje: po wylądowaniu samolotu ktoś przy nim zostanie, by go pilnować, a reszta załogi pójdzie pieszo do pobliskich koszar bądź też przyślą po nich samochód.

Komandosi posługujący się przez radio kryptonimami Krokodyl 1, 2 i 3, dzięki przejęciu błyskawicznie kontroli nad pasem startowym i samolotem, spowodowali radykalną zmianę planów.

Usłyszałem głos sierżanta:

- Delta Jeden, tu Krokodyl Jeden.
- Słyszę cię.
- Delta Jeden, ptak i okolice zabezpieczone.

Marco, Malcovich i ja spojrzeliśmy po sobie. Malcovich uniósł ze zdziwieniem brwi.

- Krokodyl Jeden, osłaniajcie nadal teren. Będziemy za cztery minuty.

Marco nie czekał na potwierdzenie, tylko natychmiast wykonał skręt i skierował maszynę na lądowisko. Malcovich zapiął pas bezpieczeństwa i przygotował karabin maszynowy. W ciągu paru minut mieliśmy w polu widzenia stojący na ziemi samolot Beechcraft. W pobliżu nie było nikogo. Kiedy nasi ludzie usłyszeli łoskot śmigieł, jeden z nich wyszedł z ukrycia. Dawał nam znaki, że wszystko jest pod kontrolą. Marco utrzymywał obroty silnika na niskim poziomie, ja tymczasem wysiadłem i zwróciłem się do sierżanta Morána:

- Co się dzieje?

– Jest ich dwóch, są w samolocie. Przeszukaliśmy ich. Pilot niczego nie ma, nawet identyfikatora. Przy drugim znaleźliśmy tylko kartkę z jakimiś numerami – to chyba niepełne współrzędne – i nazwą Kobex. Mówią, że rozkazano im czekać na pojazd, który jedzie z Kuri i ma się lada chwila pojawić.

– Kobex to punkt orientacyjny dla samolotów na południe od Puerto Príncipe. Przesłuchałeś ich?

– Podobno nie wiedzą dokładnie, ilu ludzi jest w środku, ale twierdzą, że nie więcej niż ośmiu.

- Pytałeś ich o więźniów?

– Nic na ten temat nie wiedzą, ale bardzo się tym pytaniem zdenerwowali. Chcę, żebyś zajrzał do beechcrafta i zobaczył, co ci *gauchos* przewożą.

Dałem znak Marcowi, by zachował czujność, i wszedłem do samolotu. W środku siedzieli dwaj członkowie załogi ze związanymi rękami. Młodszy z nich był przerażony. Drugi nie okazywał strachu.

– Kim panowie jesteście i czego chcecie? – spytał.

Nie odpowiedziałem. Gestem dałem mu do zrozumienia, że ma milczeć. Morán poszedł na tył kadłuba i wskazał leżące tam skrzynie. Jedna z nich była otwarta i zawierała coś, co wyglądało na przenośny pocisk ziemia-powietrze. Wielokrotnie widywałem takie i transportowałem, ale ten był jakiś dziwny. Wydawał się dłuższy i miał przyspawane jakieś elementy, których nie rozpoznawałem.

– Co to takiego?

– Pociski SAM albo coś w tym rodzaju – odparł Morán.

– Kogo macie zamiar tym atakować?

– My zajmujemy się tylko transportem. Nie wiem, do czego służą ani co zamierzają z nimi robić.

– Powiedz Malcovichowi, żeby tu przyszedł – poprosiłem Morána.

Kilka sekund później Malcovich zjawił się przy mnie.

– Rzuć na to okiem – poprosiłem.

Przyjrzał się uważnie zawartości skrzyń i powiedział:

– To pociski SAM-siedem Strela-dwa. – Spojrzał na mnie z niepoko-
jem. – Wyjdźmy na chwilę.

Gdy już byliśmy na zewnątrz, wykrzyknął:

– Dzieje się tutaj coś dziwnego! Te pociski zostały chyba zmodyfikowane!

– W jakim celu?

– Na pierwszy rzut oka nie potrafię tego stwierdzić. Może po to, by miały większy zasięg albo by mogły mieć zainstalowany lepszy detektor ciepła. Nie wiem. Musiałbym dokładnie je zbadać, ale po jaką cholere potrzebne tym typom takie pociski? Podobno Argentyńcy nie należą już do zespołu. I po diabła sprowadzają taki sprzęt do tajnego więzienia?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, rozległ się głos Tomasina:

- Delta Jeden, jedzie w waszym kierunku furgonetka!
- Delta Dwa, spodziewany czas przybycia?
- Delta Jeden, maksimum trzy lub cztery minuty.
- Delta Dwa, bądź w pobliżu...

Marco, który słyszał naszą rozmowę z helikoptera, wysiadł i podbiegł do nas z porozumiewawczym uśmiechem.

– Furgonetka przyjeżdża z pewnością po to gównu, które jest w samolocie. Zaczekamy na nich, jak gdyby nigdy nic. Nie mają powodu podejrzewać, że nie należymy do ich ekipy. Marco, bądź gotowy do startu. Malcovich, idź z nim i osłaniaj nas karabinem maszynowym.

Wróciłem do samolotu. Morán słyszał już nowiny przez radio.

– Morán, zawiadom swoich ludzi. Przywitamy gości.

Sierżant powiadomił natychmiast swoich żołnierzy:

– Coco Dwa i Trzy. Mamy gości. Powtarzam, mamy gości. Główne cele to kierowca i każdy, kto będzie próbował nawiązać kontakt przez radio.

– Zrozumiano, Coco Jeden.

Potem zwrócił się do pilota i jego towarzysza, którzy nadal mieli związane ręce.

– Macie przekazać towar po usłyszeniu jakiegoś hasła?

– Nie.

– Znasz ludzi, którzy po to przyjeżdżają?

– Tylko jednego.

Gdy rozmawiałem, Morán wyjął miniaturowy ładunek, wetknął w niego zdalny detonator DT-12 i zostawił go w widocznym miejscu, obok skrzyń na środku kadłuba. Jeden z mężczyzn, przerażony, próbował się usprawiedliwić:

– Jestem pilotem. Tylko przewozimy towar.

– Jeśli nie będziecie krzyczeli ani kombinowali, nic wam się stanie. W przeciwnym razie znajdą wasze szczątki rozrzucone po całym wybrzeżu.

Słysząc już było warkot furgonetki wspinającej się po zboczu w kierunku aerodromu. Morán pobiegł schować się za krzakami. Ja stałem przed samolotem z rękami w kieszeniach, jakby nic się nie działo. Czuję się bezpiecznie. Trzej Krokodyle osłaniali mnie z różnych stron, a Malcovich z helikoptera.

Słyszeli przez słuchawki wszystko, co mówiłem. Nie wiedzieliśmy, ilu żołnierzy przyjedzie furgonetką. Gdy zatrzymali się koło mnie, byłem zaskoczony, bo wysiadło tylko dwóch ludzi. Kierowca został przy drzwiczkach, drugi z mężczyzn ruszył w moim kierunku. Powstrzymałem go pytaniem:

- Jest was tylko dwóch? Te skrzynie trochę ważą.
- Więcej nas nie ma – odparł arogancko.

Kierowca, którego zasłaniał mi częściowo samochód, położył jedną rękę na masce, pytając niepewnie:

- Gdzie jest pański towarzysz?

Opanowany głos Krokodyla 2 ostrzegł nas przez radio:

- Uwaga, kierowca ma w prawej ręce pistolet! Mam go na celowniku.

Morán, który ze swojego miejsca nie widział tej strony furgonetki, polecił zaniepokojony:

- Coco Dwa, jeśli zrobi najmniejszy ruch, jest twój.

Wyjąłem rękę z kieszeni i pokazałem kierowcy, że są puste, aby go uspokoić. Był bardzo zdenerwowany.

– Jestem tu z wieloma towarzyszami – powiedziałem. – Niech ci nie przyjdzie do głowy użyć pistoletu, który masz w drugiej ręce. Trzej moi przyjaciele celują ci w głowę. Rzuć broń!

Mężczyzna, który był bliżej mnie, stanął jak wryty i skrzywił się ze zdumienia i złości. Zanim zdążyli zareagować, rozkazałem głośno:

- Pokażcie im!

Niemal równocześnie rozległy się dwa ciche strzały. Jeden pocisk rozbił bursztynową osłonę migacza po stronie kierowcy, a drugi wzbili chmurę kurzu u stóp mężczyzny, którego miałem przed sobą.

Kierowca rzucił pistolet, Coco 3 podszedł bliżej i popchnął go w stronę jego towarzysza. Odebrawszy im broń, Morán zapytał:

- Ilu ludzi jest w obiekcie?
- Około ośmiu – odparł kierowca.
- Kto nimi dowodzi?
- Correa, ale dziś go nie ma.
- Ilu mają więźniów?

- Nie wiem – odpowiedział przestraszony.
- Kto to wie?
- Przewożeniem więźniów zajmują się Ciga i Carro.



Malcovich podszedł z pistoletem w rękę i spytał:

- Jaki jest plan?
- Taki, jaki był. Włożymy skrzynie do helikoptera i zabierzemy ze sobą jednego z tych ludzi, żeby pomógł nam wejść. Będzie łatwiej, gdy zobaczą nas z kimś, kogo znają. Coco Dwa zostanie tutaj i będzie pilnował samolotu. Morán, ile czasu potrzebujesz, żeby obstawić dziedziniec?
- Daj mi dziesięć minut.
- W porządku.



Malcovich stał na straży, podczas gdy dwaj mężczyźni przenosili skrzynie do helikoptera. Potem wsadził jednego z nich do maszyny, w której czekał Marco. Ja zaprowadziłem drugiego do samolotu. Coco 2 wepchnął go do środka i przykuł kajdankami do podstawy fotela, obok pozostałych.

Chciałem, by usłyszeli mnie wszyscy, dlatego rozkazałem komandosowi:

- Zostawiam cię. Nie komplikuj sobie za bardzo życia z tymi kanałiami. Wsiądź z samolotu. Jeśli zobaczysz, że któryś wstaje albo zachowuje się podejrzanie, wysadź maszynę w powietrze.
- Zrozumiałem. Zrobię to z przyjemnością...



Biegając w kierunku helikoptera, usłyszałem głos Tomasina:

- Delta Jeden, tu Delta Dwa. Jak wygląda sytuacja?
 - Delta Dwa, właśnie wybieramy się w odwiedzinę do mamy. Wszystko w porządku?
 - Delta Jeden, niebo czyste i bezchmurne.
- „Dobra, lecimy! Jest piękny dzień, żeby umrzeć”, powiedziałem do siebie w duchu.

Dałem Marcowi znak, by zwiększył obroty, i łoskot natychmiast się nasilił.

Wszedłem na pokład, zająłem miejsce drugiego pilota i założyłem słuchawki.

– Przygotowałeś go? – spytałem Malcovicha.

– Wie wszystko, co powinien wiedzieć: jeśli chce przeżyć, musi się uśmiechać i grać. Będę szedł za nim i jeśli da jakiś sygnał albo powie nieodpowiednie słowo, które wzbudzi ich czujność, pierwszy dostanie kulkę.

Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że odkąd Morán się oddalił, minęło ponad siedem minut. Marco popatrzył na mnie pytająco. Skinąłem głową. Słarsy huey wzbił się w górę w chmurze kurzu...



Będąc już w powietrzu, otrzymaliśmy potwierdzenie od Morána. On i jego towarzysz dotarli na miejsce. Łomot hueya jest bardzo charakterystyczny. Gdy lądowaliśmy, widzieliśmy na dziedzińcu czekających na nas mężczyzn. Nie mieli powodów do podejrzeń. Z helikopterów Huey korzystała często armia honduraska i choć oznaczenia mogły zdradzać, że maszyna pochodzi z Salwadoru, kraj ten współpracował z jednostkami biorącymi udział w manewrach „Big Pine”.

Po drodze ostrzegliśmy kierowcę furgonetki, że gdy wylądujemy, będzie go miał na teleskopowym celowniku jeden z Krokodyli, a po zademonstrowaniu precyzji ich strzałów na aerodromie, człowiek ten nie miał ochoty zgrywać bohatera. Wsiadłszy ze mną z helikoptera, odegrał swoją rolę tak, jak mu kazaliśmy. Poprosił kolegów, by pomogli my wylądować skrzynie. Jeden z nich, zanim zdążyłem temu zapobiec, wszedł do obiektu. Po kilku minutach zjawił się w towarzystwie oficera, który uśmiechnął się do mnie na powitanie. Natychmiast jednak stał się czujny, zauważywszy, że mam w uchu słuchawkę. Spytał od razu:

– Do jakiej jednostki panowie należycie i w jakim celu przybywacie?

Niemal w tej samej chwili usłyszałem w słuchawce głos Morána, który oznajmił:

– Cele namierzone.

Malcovich odsunął się od drzwiczek, aby dwaj ludzie mogli zabrać skrzynie. Uznałem, że to odpowiedni moment.

– Komendancie, kilka karabinów Sniper M-cztery jest wymierzonych w pańską głowę. Niech pan rozkaże ludziom, żeby położyli ręce na karkach i stanęli pod ścianą.

– Co to ma znaczyć, do cholery?

Rozkazałem przez mikrofon Moránowi:

– Dwa bezpośrednie strzały.

Dwóch ludzi osunęło się na ziemię. Jeden kilka kroków od drzwi, a drugi u stóp komendanta. Malcovich wziął na muszkę tych, którzy dźwigali skrzynie.

– Zobaczyć to uwierzyć – powiedziałem. – Teraz już pan wie, komendancie, że mówię poważnie. Proszę rozkazać ludziom, by stanęli twarzą do ściany, z rękami na karkach! Nie będę powtarzał.

Widząc, jak dwaj jego ludzie padają na ziemię, komendant spokorniał. Rozkazał pozostałym stanąć pod ścianą. Potem otworzył do połowy drzwi i, tak jak mu poleciłem, zawołał tych, którzy byli w środku. Wychodzili z budynku pojedynczo i natychmiast byli rozbrajani. Malcovich i Marco pilnowali ich, podczas gdy Morán i ja, z bronią w ręku, weszliśmy do środka prowadzeni przez komendanta.

Miejsce to przypominało bardziej wielki magazyn niż więzienie. W korytarzach zgromadzono dziesiątki skrzyń z pociskami, amunicją, granatami i materiałami wybuchowymi. W głębi było kilka pokoi, jadalnia, prysznic i sala z nadajnikiem radiowym. Gdy weszliśmy do jakiegoś biura, kazałem komendantowi usiąść.

Morán, na mój znak, wyszedł, by się rozejrzeć.

– Gdzie są więźniowie? – spytałem.

– Tu nie ma więźniów – odpowiedział z niespodziewaną stanowczością.

– Niech mi więc pan powie, skoro nie ma ich tutaj, dokąd zostali przeniesieni?

– Nie zajmuję się więźniami.

– A czym się pan zajmuje?

– Operacjami specjalnymi...

– Na przykład?

– Nie mogę o tym z panem rozmawiać. Proponuję spytać o to swojego dowódcę albo tego, kto zlecił panu tę akcję. Popelniacie błąd.

W tym momencie wrócił Morán, wziął mnie na bok i oznajmił zaniepokojony:

– Na dole jest piwnica. Trzymają tam ponad tonę materiałów wybuchowych C-cztery i tyle uzbrojenia, by wyposażyc całą kompanię. Myślę, że ci Argentyńczycy magazynują broń na sprzedaż. Ale znalazłem coś jeszcze. Lepiej, żebyś to zobaczył.

– Idziemy, komendancie. Zobaczymy, jaką ma pan dla nas niespodziankę.

Zeszliśmy po schodach i znaleźliśmy się w długim korytarzu z celami po obu stronach. Na końcu były dwie sale bez drzwi. W jednej stało wielkie wiadro pełne brudnej cuchnącej wody. Ściany były zbryzgane krwią. Zwisały z nich łańcuchy i kajdany. Na stole leżały brudne kaptury i kije. Ale to, co zrobiło na Moránie największe wrażenie, znajdowało się w następnym pomieszczeniu: była tam prawdziwa sala tortur. Ustawiono w niej cztery stoły, jak w sali operacyjnej. Między nimi stały mniejsze, na których leżały nożyce, lancety, szczypce i elektrody podłączone do maszyny umieszczonej przy ścianie. Była tam też kamera wideo do nagrywania tortur.

– Chodźmy do następnego pokoju.

Gdy ujrzelśmy to wszystko, rozkazałem Moránowi:

– Powieś go na łańcuchach!

– Niech pan rozłoży ręce, komendancie.

– Pieprzony sukinsynu! Nie dotykaj mnie! Wiesz, kim jestem?

Morán, któremu brakowało cierpliwości, pchnął go mocno pod ścianę, wyjął nóż i przytknął mu ostrze do szyi.

– Oczywiście, że wiem, popaprańcu. Jesteś nędznikiem, który zaraz umrze.

– Niech pan rozłoży ręce! – powtórzyłem lodowato. Hamowałem się, by nie uderzyć go kolbą pistoletu.

Morán założył mu kajdany.

– Pora, żeby wypróbował na sobie metody, które stosuje.

– Idź na górę i dopilnuj, żeby Bojownicy o Wolność dowodzeni przez tego sukinsyna wnieśli ciała do budynku, i niech Malcovich pomoże ci

sprorowadzić tutaj pozostałych. Skontaktuj się przy okazji z Deltą Dwa i Coco Trzy. Tu na dół nie dociera sygnał. Upewnij się, czy wszystko jest w porządku.

Zostałem sam z komendantem.

– Pytam raz jeszcze: dokąd przeniesiono więźniów, którzy tu przebywali?

– Nie wiem nic o więźniach.

Wyjąłem z kieszeni zdjęcie siostry Izera i podsunąłem mu je przed oczy.

– Przypomina pan ją sobie, komendancie?

Spojrzał na zdjęcie, ale milczał.

– Nie? Lepiej, żeby pan sobie przypomniał, bo jeśli pan nam nie powie, gdzie ona jest, z pewnością pan umrze.

– Zapytaj raczej idiotę, który zlecił ci to zadanie. Nie zdajesz sobie sprawy, że pracujemy dla tych samych ludzi?

Czekając na Malcovicha i Morána, przeszedłem się po pokoju i przyjrzałem narzędziom tortur. Wziąłem do ręki obcęgi i zbliżyłem się do komendanta.

– Dla tych samych ludzi? Z takim sprzętem? Wątpię, komendancie.

Usłyszałem kroki i po chwili weszli jego żołnierze z podniesionymi rękami, pilnowani przez Morána i Malcovicha, który pchnął ich pod ścianę.

Morán podszedł do mnie i oznajmił półgłosem:

– U Deltę Dwa i Coco Trzy wszystko w porządku. Chudzielec jest gotów mówić. Powiedział, że nie spodziewają się nikogo do jutra, ale że o dwudziestej pierwszej dzwonią do nich rutynowo z Tegucigalpy. Mamy nieco ponad dwie godziny.

– Zabierz go do innego pokoju i niech ci powie wszystko, co wie. Pozostali niech się rozbiorą i założą sobie wzajemnie kajdany. Ostatni niech się położy na jednym ze stołów. Dowiemy się, co tu się dzieje.

W ciągu kilku minut pomieszczenie zamieniło się w galerię nagich ciał wiszących na łańcuchach. Malcovich założył niektórym żołnierzom kaptury i rozkazał ostatniemu, by położył się na stole. Był przerażony, gdy przywiązano go i unieruchomiono trzema pasami.

- No i jak się pan czuje, komendancie, widząc swoich ludzi w takim miejscu? Niech mi pan powie, gdzie są inne więzienia, to darujemy im życie.
- Cholerny kretynie! Nie ma żadnych więzień! Nigdy nie istniały!



Choć każdy z nas liczył się z możliwością, że nikogo nie znajdziemy, jego słowa nas zmroziły. Wszyscy pragnęliśmy czegoś innego, nie tylko przez wzgląd na siostrę Izera, ale i na nas samych. Nie chodziło o to, że chcieliśmy być jak bohaterowie powieści, lecz raczej o potrzebę zrobienia dla odmiany czegoś szlachetnego i dobrego. Marco wyraził to dobitnie, uzasadniając swój udział w akcji: „Nie zmienimy przebiegu wojny, ale z pewnością będę lepiej spał”.

Malcovich, który manipulował kamerą wideo w sali, spojrzał na mnie. Był wściekły, słysząc brutalne potwierdzenie tego, co wszyscy podejrzewaliśmy.

Pokazałem mu gestem, by sfilmował kamerą to miejsce. Morán dał mi znak od drzwi, żebym do niego podszedł.

- Co powiedział? – spytałem.

- Mówi, że nic nie wie o innych tajnych więzieniach. Wyznał, że wszystkich więźniów, po przesłuchaniach w Batalionie trzy-szesnaście, przywożą z powrotem tutaj. Niektórych znowu torturują. Potem wsadzają ich do samolotów i wrzucają do morza.

- Cholera!

- To nie wszystko. Mówi, że zostały tylko pociski, bo resztę sprzętu wysłali do Managui. Chcą zestrzelić starliftera, którym będą jutro lecieli na spotkanie z sandinistami amerykańscy senatorowie Hart i Cohen.

- To nie ma sensu. Jutro zacznie się atak na Managuę. Nie sądzę, by jakkolwiek delegacja odwiedzała sandinistów podczas natarcia. Skąd zamierzają wystrzelić pociski? I skąd wiedzą, że senatorowie polecą starliftem? Przesłuchuj go dalej i spróbuj dowiedzieć się czegoś więcej. Chcę znać nazwiska wszystkich Argentyńczyków, Chilijczyków i tych z Hondurasu, którzy tu pracowali, i miejsca, skąd pochodzili. Chcę też mieć kompletną listę więzionych tutaj ludzi. Musi gdzieś być ich rejestr. Pospiesz się, to brzmi z każdą chwilą gorzej.



Wróciłem do sali i dałem znak Malcovichowi, by się zbliżył.

– Malcovich, jesteś ekspertem od uzbrojenia. Czy tymi pociskami można zestrzelić starliftera?

– Pociskiem SAM-siedem można zestrzelić każdy samolot. Starlifter C-130 czterdzieści jeden nie jest wyjątkiem. Lecąc na bardzo niskim pułapie, staje się gigantyczną apetyczną kaczką. Pocisk SAM-siedem-b Strela-dwa mógłby z łatwością wykonać to zadanie, szczególnie jeśli został zmodyfikowany. A te, które widziałem u góry, są przerobione. Wyrzutnia nie jest normalna, przypomina raczej stosowaną w chińskim modelu HN-pięć Hong Nu. Tylko ekspert mógłby precyzyjnie określić, jakie zmiany wprowadzono. Zapewne zastosowano ulepszone paliwo albo udoskonalony system zapobiegający zmyleniu pocisku przez ognie bengalskie.

– Jaki te pociski mają zasięg?

– Mogą trafić samolot albo helikopter znajdujący się w promieniu czterech tysięcy metrów i na wysokości do dwóch tysięcy trzystu metrów. Im niżej leci cel, tym bardziej jest narażony na atak. Są bardzo szybkie, osiągają prędkość około pięciuset dwudziestu metrów na sekundę. Jeśli zostaną wystrzelone w okolicach lotniska w kierunku samolotu, który ląduje lub startuje, będą śmiertelne.

Jego wyjaśnienia pomogły mi uzmysłwić sobie, jak poważna jest sytuacja i z jakimi konsekwencjami musimy się liczyć w chwili podejmowania decyzji.

– Przygotuj ładunki, żeby wysadzić to wszystko w powietrze. Zawiadom Coco Dwa, by zrobił to samo z samolotem. Wyruszamy za dziesięć minut.

Malcovich wyszedł pośpiesznie, podczas gdy ja naciskałem na komentanta:

– A zatem nie ma żadnych tajnych więzień? A co mi pan powie o pociskach SAM, którymi zamierzacie zestrzelić samolot z senatorami Hartem i Cohenem?

Oficer, czerwony z wściekłości, spojrział na mnie z pogardą.

– Jak myślisz, kto wydaje takie rozkazy? My? Zesrałbyś się, gdybyś wiedział, kto siedział na tym krześle i wszystkim kierował. Zjawiasz się tutaj, jakbyś nie miał pojęcia, co się dzieje, i oburzasz się, widząc ściany zachlapane krwią i dowiadując się, że tajne więzienia nie istnieją, że to wymysł, plotka, którą celowo rozpowszechniano. Wszyscy o nich mówią, a media powtarzają te pogłoski, bo służą tym samym panom.

– Może opowie mi pan o pociskach SAM? Kto wpadł na pomysł, żeby zestrzelić samolot, którym będą lecieli senatorowie Hart i Cohen?

– Nie macie pojęcia, w jakiej operacji przeszkadzacie.

– Komendancie, moi ludzie zakładają właśnie ładunki wybuchowe. Albo powie mi pan wszystko, co pan wie, albo pan i pańscy ludzie zginiecie przysypani gruzem w tej piwnicy.



Morán znów wetknął głowę przez drzwi i poprosił, bym do niego podszedł.

– Rzuć na to okiem.

Pokazał mi trzy zeszyty pełne notatek. Jeden zawierał listę imion i nazwisk z kodowymi oznaczeniami. Było ich wiele stron. Drugi mieścił spis broni i materiałów wybuchowych wraz z nazwiskami, datami i adnotacjami. W trzecim znajdowały się codzienne zapiski dotyczące księgowości.

– Gdzie to znalazłeś?

– „Słowik”, którego mam przy sobie, wskazał mi miejsce. Jest przerażony. Stał obok jednego z ludzi, których ustrzeliliśmy na dziedzińcu. Wie, że nie żartujemy. Znalazłem też ponad trzydzieści tysięcy dolarów.

– Powiedziałem Malcovichowi, żeby założył ładunki wybuchowe. Tego, czego szukamy, tutaj nie ma.

– Co zrobimy z tymi ludźmi? Widzieli nasze twarze.

– Zostawimy ich tu przykutych łańcuchami. Jeśli nie zginą wskutek eksplozji, będą musieli się tłumaczyć, dlaczego dali się zaskoczyć i wszystko stracili. Idziemy.

Obładowani zeszytami, instrukcjami, zdjęciami i taśmami wideo, które

znaleźliśmy w budynku, wyszliśmy na dwór, ruszyliśmy do hueya. Natychmiast nastawiłem radio na specjalną częstotliwość, by wywołać Juana Ramóna.

– Zebra Jeden, tu Delta Jeden.

Powtórzywszy to wezwanie kilkakrotnie, usłyszałem odpowiedź:

– Mów, Delta Jeden.

– Zebra Jeden, mamy szczegółowe informacje na temat ataku planowanego na jutro przeciwko delegacji z Waszyngtonu, w której skład wchodzi senatorowie Gary Hart i William Cohen, składający wizytę sandinistom. Zamachowcy zamierzają zestrzelić ich starliftera, gdy będzie podchodził do lądowania na lotnisku w Managui. Chcą użyć kilku zmodyfikowanych pocisków SAM-siedem.

– Delta Jeden, powtórz tę informację – poprosił mój rozmówca, jakby nie wierzył w to, co mówię.

Wyjaśniłem wszystko jeszcze raz. Wyobrażałem sobie zaskoczenie mojego przyjaciela z Tegucigalpy.

– Zrozumiałem, Delta Jeden. Jak przebiega poza tym operacja?

– Zebra Jeden, główny cel nie został odnaleziony, ale odkryliśmy arsenał z kilkoma tonami broni i materiałów wybuchowych. Zdaje się, że miały być wysłane na Haiti. Właściciele domu zaraz się tu zjawiają. Założyliśmy ładunki wybuchowe. Uważaj, komu przekazujesz te informacje.

– Nie obawiaj się. Dobra robota. Uciekajcie stamtąd natychmiast.

– Ruszamy.



Tomasino leciał powoli znad zatoki Laguna de Brus ku rzece Plátano, gdy dostrzegł, że przez wąski przesmyk oddzielający Laguna de Evans od Atlantyku jadą z dużą prędkością w kierunku więzienia trzy pojazdy. Obserwował je i gdy minęły, nie zatrzymując się, osadę La Playita, potwierdziły się jego obawy.

Zbliżały się do nas. Natychmiast się z nami skontaktował.

– Delta Jeden, tu Delta Dwa.

Marco odpowiedział na wezwanie przez radio:

– Mów, Delta Dwa.

- Delta Jeden, trzy jednostki naziemne zmierzają w waszym kierunku.
- Podaj odległość i przewidywany czas przybycia.
- Około dwudziestu pięciu kilometrów. Droga jest bardzo zła. Szacuję czas na jakieś osiemnaście minut.

– Delta Dwa, bez obaw, już się wycofujemy. Operacja zakończona. Wracamy do bazy.

- Zrozumiałem, Delta Jeden.

Dałem znak Malcovichowi, by podszedł do helikoptera.

- Lecimy, nastaw detonatory na dwadzieścia minut.

Spojrzał na mnie, wyrażając gestem aprobatę.

- Zrozumiałem...

Zabrawszy na pokład Krokodyla, który stał na pasie, pilnując samolotu, odlecieliśmy. Zobaczyliśmy jeszcze eksplozję beechcrafta, a potem, w oddali, ogromną chmurę dymu i ognia, unoszącą się nad koszarami Argentyńczyków...

51.

Pogrążony w myślach, niespokojny i zmęczony, wyruszyłem do Wenezueli. Czekало mnie osiem godzin lotu z międzylądowaniem na Wyspach Świętego Andrzeja.

Gdy leciałem samotnie na spotkanie z przeznaczeniem, ósmego września 1983 roku, tak jak zaplanowano, Contras, wspierani przez amerykańskie „siły pacyfikacyjne”, rozpoczęli wielką ofensywę równocześnie z Kostaryki, Hondurasu i Salwadoru przeciwko pozycjom sandinistów w Nikaragui.

Izer, choć pogrążony w rozpacz, bo potwierdziły się jego podejrzenia co do śmierci siostry, trwał na wieży jak wierny giermek i informował mnie na bieżąco o wszystkim, co się działo po naszej akcji. Wiedział, że jestem wykończony, i starał się sprawić, bym zachował przytomność umysłu, mówiąc przez radio:

– Nie śpij, Remy! Rozmawiaj ze mną, Delta. Wiem, że tam jesteś.

Uśmiechnąłem się, zauważając, że próbuje skupić moją uwagę, przypominając naszą pierwszą rozmowę w eterze.

– Delta? Jako synonim katastrofy?

– Katastrofą jest to, że zestrzelili dwa T-dwadzieścia osiem Demokratycznego Sojuszu Rewolucyjnego. Lecąc na bardzo niskiej wysokości, zdołały dotrzeć do serca Managui.

– Opowiedz mi, jak to się stało.

– Jeden z tych samolotów zbombardował dom ministra spraw zagranicznych. Drugi zrzucił dwustupięćdziesięciokilową bombę na lotnisko

Augusto César Sandino. Baterie przeciwlotnicze otworzyły ogień i samolot rozbił się o wieżę kontrolną. Piloci zginęli.

– Ktoś znajomy?

– Jeszcze nie wiadomo. Ale, jak wspomniałem, byli z Sojuszu, a wiesz, że mają tam wielu nowicjuszy.

– Są jakieś wieści na temat starliftera, którym lecieli senatorowie?

– Byli w połowie drogi do Managui, jechali na rozmowy z sandinistami, gdy ktoś ostrzegł ich przez radio, że podczas lądowania samolot zostanie zaatakowany kilkoma pociskami SAM. Zmienili kurs na Honduras. Zastanawiam się, kto przekazał im tę wiadomość – skomentował sarkastycznie Izer.

Obaj wiedzieliśmy, że to Juan Ramón ostrzegł ich przed atakiem, ocalając im życie.

– Tak, Izer. Dziwny jest ten świat...

– Zaczekaj! Przyszedł tu ktoś, kto chce cię pozdrowić.

Usłyszałem dający się nieomylnie rozpoznać głos Juana Ramóna.

– Co słychać, Remy? Jak sobie radzisz?

– Dobrze, J.R. Za jakieś dwadzieścia minut wyląduję na Wyspie Świętego Andrzeja. Wypiję parę filiżanek kawy i polecę dalej. Słyszałem, że starlifter zmienił kurs. Sądzisz, że ci senatorowie kiedyś ci za to podziękują?

– Nie, Remy. Nawet nie wiedzą, skąd ta wiadomość nadeszła. Tak jest lepiej, inaczej musiałbym wiele wyjaśniać i moglibyście zostać zdemaskowani. Byłoby dobrze, gdybyś pozostał przez jakiś czas poza Ameryką Środkową. Nikt nie wie, że uczestniczyliście w tym ataku, ale Negroponte poprzysiągł zemstę wszystkim, którzy brali w nim udział. Uważa to za zdradę.

– Chłopcy już przygotowują się do wyjazdu. Wkrótce wszyscy stąd znikną. A ty, Juanie Ramónie, co zrobisz?

– Ja przynależę tutaj, Remy. Wiem, że kiedy nie będę im już potrzebny, przyjdą po mnie, ale to mój kraj, mój naród... Jeśli mnie zabiją, zawsze znajdzie się ktoś, kto zajmie moje miejsce.

W miarę jak zacząłem zniżać lot w kierunku wyspy, sygnał radiowy coraz bardziej zanikał. Rozmawiałem wtedy z Juanem Ramónem po raz ostatni...



Dotarłem do Caracas w październikowe popołudnie. Raiza przybyła poprzedniego dnia i czekała na mnie razem z Marią.

Moją matkę przeniesiono do sanatorium na przedmieściach. Było to luksusowe miejsce otoczone ukwieconymi ogrodami, nawożonymi poczuciem winy tych, którzy przywozili tam ukochane osoby, by zostawić je pod opieką obcych ludzi. Dowiedziałem się, że matka jest sama. Maria oznajmiła mi ze smutkiem, że ani moi bracia, ani inni członkowie rodziny nie odwiedzali jej w ostatnich dniach. Zapytałem o nią pielęgniarkę, ale powiedziała, że mogę ją zobaczyć dopiero po rozmowie z lekarzem. Zjawił się po kilku minutach.

– Witam, jestem naczelnym lekarzem. Pańska matka jest teraz naszą pacjentką.

– Na co choruje? Dlaczego nie pozwolono mi jej zobaczyć?

– Zobacz ją pan za chwilę. Nikt panu tego nie zabrania. Zawiadomiono mnie, że jest pan tu po raz pierwszy. Chciałem tylko z panem pomówić, zanim się pan z nią spotka. Pańska matka cierpi na chorobę zwaną encefalopatia spongiforme, powodującą zwyrodnienie systemu nerwowego. Wywołuje demencję, brak koordynacji, spazmy i szybko postępuje, doprowadzając do śpiączki i śmierci. Przykro mi. Pacjentka jest bardzo wychudzona. Cierpi na skurcze mięśni twarzy, które uniemożliwiają jej mówienie i utrudniają przełykanie.

– Jest przytomna?

– Tak, ale z przykrością muszę pana ostrzec, że najprawdopodobniej matka pana nie pozna i być może pan jej również. Nie wygląda tak, jak ją pan pamięta. Siedzi teraz na wózku inwalidzkim wpatrzona w ogród. Staramy się nie dopuścić do zaniku mięśni z powodu braku ćwiczeń. Poza tym, co jest jeszcze poważniejsze, najwyraźniej odizolowała się z własnej woli od świata, wyrzekając się wszystkiego, co wiąże ją z przeszłością.

– Jakie są rokowania?

– W dziewięćdziesięciu procentach przypadków śmierć następuje w ciągu paru miesięcy. Dziesięć procent pacjentów przeżywa kilka lat, ale nie wiadomo o żadnym, który zostałby wyleczony.

– A więc przywieziono ją tutaj, by umarła...



Przygotowywałem się do tego spotkania przez dwadzieścia lat. Przez cały ten czas miałem w głowie precyzyjnie opracowany scenariusz, jak będzie wyglądało. Ale nie było już miejsca na niepotrzebne i absurdalne pytania. Ze wspomnień, których nie zatarł upływ lat, dotarł do mnie dźwięk jej głosu.

Poprosiłem, by pozwolono mi spotkać się z nią w cztery oczy. Otworzyłem powoli drzwi i ją zobaczyłem.

Tak jak mi powiedziano, siedziała przy oknie ze wzrokiem utkwionym w zielone drzewa i ogrody. Nagle stanął mi przed oczami jej wizerunek, który pamiętałem z przeszłości. Przyglądałem jej się przez chwilę, zanim zdała sobie sprawę z mojej obecności. Odwróciła powoli głowę, słysząc być może łomot mojego serca, i zobaczyłem, że wpatruje się we mnie błyszczącymi, nieruchomymi oczami. Przez kilka sekund, które wydały mi się wiecznością, bałem się, podchodząc do niej parę kroków, że mnie nie rozpozna. I wtedy ujrzałem, jak ściągnęła brwi, jej spojrzenie złagodniało, a z jej oczu popłynęły dwie łzy.

Rozchyliła wargi, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Mogłem jednak wyczytać ból z jej oczu i cierpienie z milczenia. Lewa strona jej twarzy była zniekształcona skurczem, a krótko obcięte włosy uwydatniały jej zwiócenie.

Objąłem ją, starając się przekazać jej słowa: „kocham cię”. Potem przysunąłem sobie krzesło, usiadłem przy niej i ująłem w dłonie jej twarz. Próbowła bezskutecznie coś mi powiedzieć, po czym wyciągnęła rękę do mojej szyi i pogłaskała kluczyk, który miałem zawieszony na łańcuszku. Zaciśnęła wargi i twarz skurczyła jej się z bólu, a z oczu zaczęły płynąć łzy, gdy ujęła moją dłoń i przysunęła ją powoli do swojej szyi. Też miała na niej łańcuszek.

Gdy wyciągnęła go spod szlafroka, zobaczyłem zdumiony, że wisi na nim oprawiona brązowa muszelka w kształcie stożka. Była to *Cypraea gaspardi*, Najrzadsza...

Dwa dni później wróciłem o świcie z Raizą i Marią, by ją stamtąd zabrać. Obudziłem ją, szepcząc:

– Obudź się, mammo. Pójdziemy szukać skarbów na plaży.

Podziękowania

Powieść ta jest owocem dwóch lat pracy i korzystałem w tym czasie z pomocy wielu osób, którym jestem głęboko wdzięczny. Ponieważ niektórzy nie życzą sobie, by o nich wspominać, nie zrobię tego. Wiedzą, o kim mówię. Dziękuję im.

Chciałbym jednak, by wyrazy wdzięczności przyjęli ode mnie: moi wydawcy, David Trias Casanovas i Alberto Marcos Santamaría; moja przyjaciółka i agentka, Cristina Salama Falabella, za jej bezwarunkową pomoc; moi profesorowie i nauczyciele: Clemen Pulet, Erika Juan Vila, Ana Rodríguez Sánchez, Luisa Iborra Fernández, Manolo, Encarna, Carmen, Maru i Paco, a także Antonio Jábega i Elvis Michael Vázquez za hojne wspomaganie mnie opiniami i sugestiami; Maribel Beltrán Jiménez i Luisa Céspedes Beltrán; a w szczególności moi przyjaciele: Hernando Bastidas Benavides, Sergio Quinto Sánchez, Rubén Céspedes Calderón, Francisco García García, Eugene Sokolov, Igor Mezceckis, Rafael Fernández de Córdoba, Julián Ruiz Parra, Juan Martín Ruiz, Ugaitz oraz Ludovico Giacobbi, za ich cenne krytyczne uwagi.

Specjalne podziękowania otrzymują: Luis Fernando, Talin, Felipe, Alfonso, Amelia, Juan, María del Mar oraz Club de Lectura de la Biblioteca de Córdoba.

Na koniec pragnę wyrazić wdzięczność pani Mercedes Gallizo Llamas, sekretarzowi generalnemu Instytucji Penitencjarnych, za jej wsparcie i zachęcanie mnie do pisania, jak również wszystkim członkom jej zespołu.

Dyrektorce, wicedyrektorce do spraw opieki nad więźniami, wicedyrektorowi do spraw bezpieczeństwa, koordynatorowi Módulos de Respeto oraz funkcjonariuszom Centro Penitenciario de Córdoba dziękuję za to, że pozwolili mi korzystać, bez zastrzeżeń i ograniczeń, z jednej z podstawowych demokratycznych swobód: prawa do wolności słowa i literackiej twórczości.

Zarówno za błędy, jakie mogły się znaleźć w tej powieści, jak i za wyrażane w niej poglądy odpowiadam wyłącznie ja.

Dziękuję wszystkim.

JORGE REAL SIERRA

*Pamięci Jamesa Francisa Carneya (ojca Guadalupe),
Any Sierry i tysięcy ludzi zaginionych bez wieści
w Hondurasie, Nikaragui, Salwadorze i na całym świecie.*